

OVIA · MARIVSZ · WOLLNY · STEP

VS · DVZ · LITHVANIA · PRVSSIA · MAS

HANVS · DEL · GRATIA · REX · POLONIE · MAGN



KACPER
 RYXX

I · TYRAN · NIENAWISTNY

MARIUSZ WOLLNY

KACPER
RYX



WYDAWNICTWO OTWARTE
KRAKÓW 2007

Projekt okładki: ART 3, 14 Dariusz Suchocki

Fotografia na okładce dzięki uprzejmości Muzeum Historycznego w Krakowie

Opieka redakcyjna: Artur Mrozowski

Redakcja tekstu: Marcin Wilk

Copyright © by Mariusz Wollny

ISBN 978-83-7515-994-3

Plik wyprodukowany na podstawie: Mariusz Wollny, *Kacper Ryx*, wyd. I, Kraków 2007

Wydawnictwo Otwarte

www.otwarte.eu

The logo for Woblink features the word "woblink" in a bold, lowercase, sans-serif font. Above the letters 'o', 'b', 'l', and 'i' are four colored dots: a light blue dot above 'o', a purple dot above 'b', a pink dot above 'l', and an orange dot above 'i'. The letters 'k' and 'n' are in black.

www.woblink.com

Plik EPUB przygotowała firma Legimi Sp. z o.o.

Kacper Ryx

Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

Dedykacja

Kraków Kacpra Ryksa

Prolog

Rozdział 1 Kradzież

Rozdział 2 Trop

Rozdział 3 Trup

Rozdział 4 Oskarżony

Rozdział 5 Kaźń

Rozdział 6 Rewizyta

Rozdział 7 Inwestygacja

Rozdział 8 W drodze

Rozdział 9 Wyrok

Rozdział 10 Kamień w wodę

Rozdział 11 Cygan

Rozdział 12 Oczekiwanie

Rozdział 13 Lochy

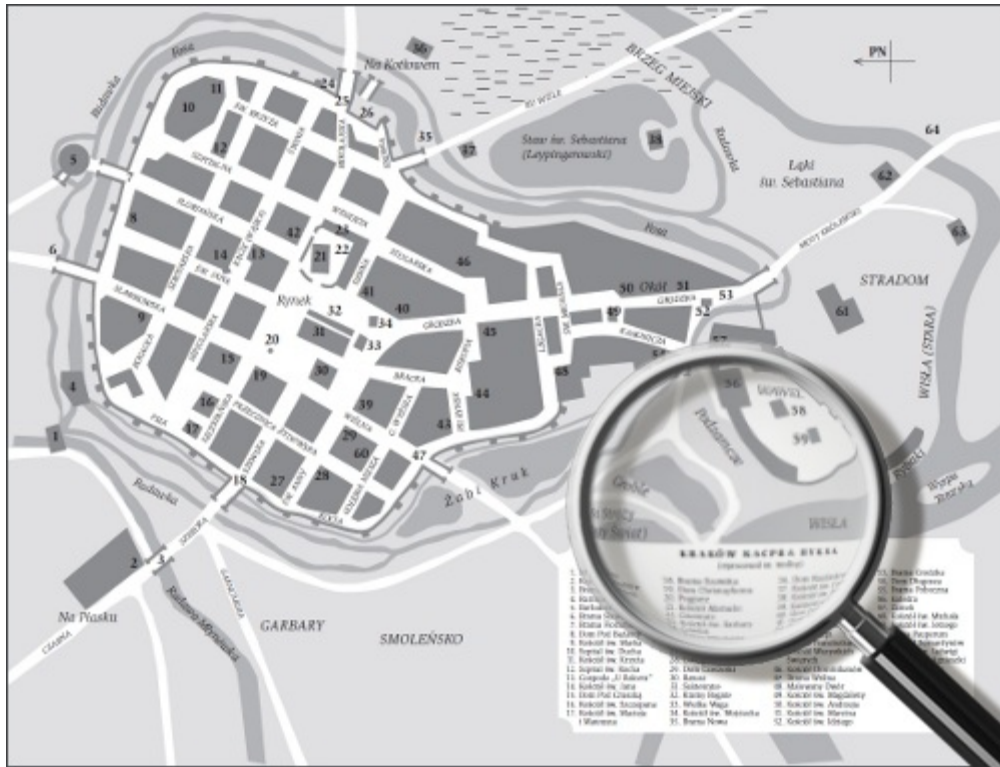
Epilog

Słownik

Kraków i okolica w czasach Kacpra Ryksa

Karta redakcyjna

Kochanej Róży



PROLOG

Stuknęła obluzowana okiennica. Człowiek za oknem, o nerwach napiętych jak postronki, wzdrygnął się gwałtownie. Wicher wył jak opętany, zacinając mokrym śniegiem o szyby warszawskiego zamku, które dygotały, podzwaniając lekko. Lecz w tym dzwonieniu nie pobrzmiwała żadna cieplejsza nuta, przeciwnie, uszom króla i jego rozpalonej imaginacji dźwięk ów zdawał się podobny do klekotu kości nieboszczyka albo szczękania zębów w trupim czerepie, budząc równocześnie grozę i będąc zapowiedzią rzeczy nie z tego świata. Zaczynała się upiorna noc z 7 na 8 stycznia 1569 roku.

Zygmunt August zasunął oponę. Omal nie nadepnął przy tym komuś na stopę, ale w podnieceniu niczego nie zauważył. Człowiek ukryty za kotarą szybko cofnął nogę i zmełł w ustach przekleństwo.

– Już? – spytał król drżącym głosem.

– Dopiero o północy – powiedział Twardowski i zaprowadził monarchę na wygodne krzesło. – Musi mi jednak wasza królewska mość obiecać, że cokolwiek się stanie, nie ruszy się z tego miejsca. I nie lza wyrzec ani słowa pod groźbą utraty żywota i nieśmiertelnej duszy!

– Masz nasze słowo.

W komnacie wybitej kirem paliła się tylko jedna świeca. Mrok i napięcie spowodowały, że monarcha zapadł w niespokojną drzemkę. W tym czasie sławny czarownik krzątał się przy swoich przyrządach: magicznym zwierciadle (powiadano, iż zrobionym z pomocą diabła), którym, jak niosła fama, skupiał promienie słoneczne i mógł podpalać wsie odległe o dziesiątki mil; czarodziejskiej księdze oraz cudownej latarni. Potem zapalił kadzidło. Oczy cały czas niespokojnie biegały mu po komnacie, co rusz zatrzymując się na śpiącym. Człowiek ukryty za zasłoną ani drgnął, choć zapach kadzidła zaczął go wiercić w nosie.

Powieki Augusta drgały, a dłonie bezwiednie zaciskały się na oparciu krzesła.

Znów miał dwadzieścia trzy lata, przybył do Wilna przejąć majątek po zmarłym bezpotomnie wojewodzie trockim, Gasztołdzie, i wówczas ujrzął ją pierwszy raz. Zjawiskowo piękną, jak nastołka, a nie młoda wdowa po wojewodzie. Odtąd byli nierozłączni, choć musieli ukrywać się z miłością. A potem zasadzka urządzona przez jej braci, potajemny ślub, niesnaski w rodzinie, awantura w sejmie, oburzenie w całej Koronie... Wygrał tę wojnę nerwów i akurat wówczas ona umarła... To już osiemnaście lat... Nie, wcale nie umarła, przecież ma ją przed sobą, całuje karminowe usta, pieści pięknie utoczone piersi... Jęk bólu i rozkoszy zarazem wyrwał się z ust monarchy, aż ludzie w komnacie podskoczyli nerwowo, ale August się nie ocknął.

Kiedy zbliżała się północ i nadeszła stosowna pora, Twardowski obudził króla i osnuł go kadzidlany dymem. Wichura za oknem szalała tak, że słycać ją było w izbie mimo zamkniętych okien i zasuniętych opon. Wydmuchany z kominka popiół wirował w powietrzu, a płomień świecy migotał, jakby był żywy i przerażony. Wtem, pośród dymu, na tafli lustra pojawiła się słabo widoczna zjawa, a król wbił palce w oparcie. Ona czy nie ona? Azali oszalał, czy też niemożliwe stało się oto ciałem?

Nagle półprzezroczyste dotąd widmo przybrało wyraźny kształt i wyciągnąwszy ku królowi ręce, szepnęło przejmująco:

– Zygmuncie!

– Barbaro! – zawołał Zygmunt August i zapominając o obietnicy, rzucił się ku zjawie.

Wtedy ukryty za kotarą człowiek strącił świecę, która zgasła, a Twardowski chwycił króla w pól i przytrzymał, dopóki postać nie znikła, zaś August nie zemdlął z wrażenia.

– Dobra robota – klepnął w pupę wymykającą się z komnaty zjawę Mikołaj Mniszech, wychodząc z ukrycia. – Nagroda cię nie minie. A teraz prędko pójdz się przebrać.

Wypuścił kobietę za drzwi. Przez uchylone skrzydło do komnaty wśliznął się jego brat, Jerzy.

– Jak poszło? – spytał, ciekawym wzrokiem obrzucając wciąż zadymione wnętrza.

– Dobrze nadspodziewanie, wręcz wybornie. Dzięki temu, że król kazał zachować stroje tamtej, teraz sam diabeł nie odróżniłby jednej Barbary od drugiej – odparł Mikołaj.

August tak kochał swą zmarłą dawno temu żonę, Barbarę Radziwiłłównę, że mimo upływu lat wciąż przechowywał wszystkie jej rzeczy.

– Mistrzu – zwrócił się Mikołaj do Twardowskiego – jak długo król bez przytomności będzie?

Czarnoksiężnik pochylił się nad omdłym.

– Jest mocno osłabiony. Myślę, że nie ocknie się wcześniej jak za pół godziny.

– Uchyl więc okno i pozbieraj swoje przybory, zanim zawołam służbę. Za kwadrans wszystko musi stąd zniknąć.

– No, to jesteśmy urządzi do końca życia – rzekł cicho Jerzy do brata. – Idź

teraz i przypilnuj Giżankę, żeby nie zrobiła jakiegoś głupstwa.

Kiedy Mikołaj wyszedł, Jerzy pomógł Twardowskiemu usunąć ślady seansu. Odprawiając czarnoksiężnika, poklepał go po ramieniu.

– Nie będziesz mógł się uskarżać na naszą niewdzięczność, mistrzu. Tylko nikomu ani słowa, zresztą to leży także w twoim interesie – dodał z naciskiem.

Kilka chwil po odejściu czarownika wrócił Mikołaj. Czujnym okiem ogarnął pomieszczenie i najwyraźniej zadowolony z oględzin powiedział:

– Zimno tu jak w psiarni... Ale po inwokacji ani śladu. Wezwać służbę?

– Zaczekaj – odparł Jerzy i podszedł do króla, który zwiślał z krzesła jak martwy.

Dla pewności uniósł mu powiekę, lecz i wówczas śpiący nie zareagował. Twarz miał wymizerowaną, pokrytą zmarszczkami, okoloną rzadką brodą. Wyglądał o wiele starzej, niż wskazywałyby na to jego wiek, niespełna pięćdziesięcioletni. Sprawił to niezdrowy tryb życia, tęsknota za zmarłą żoną i obsesja na punkcie bezpotomności. Jerzy podszedł do drzwi, uchylił je i zawołał półgłosem:

– Panie Kettler!

Wszedł człowiek cały w czerni, w dziwnym, cudzoziemskim kapeluszu głęboko nasuniętym na oczy. Gdy Mikołaj zamykał drzwi, mężczyzna zdjął kapelusz i powiedział:

– Prosiłem – żadnych nazwisk.

Wyrzekł to bez specjalnego nacisku, a jednak zimny ton jego głosu, metaliczny i ostry jak klinga solidnego rapiera, na którym opierał dłoń, brzmiał wystarczająco groźnie. Potęgował to wyraz twarzy przybysza, nieruchomej jak maska i bladej jak śmierć, z której nie sposób było wyczytać jego wieku – mógł mieć równie dobrze trzydzieści, jak i pięćdziesiąt lat. A że włosy też miał bardzo jasne, tym większe wrażenie robiły oczy – czerwone jak u królika i martwe jak ślepią węża. Kettler był albinosem.

– Jak tedy mamy się do waści zwracać?

– Jak chcecie – Kettler wzruszył ramionami. – Może być nawet „pan Ka”.

– Jak ów wynalazca gorzałki! – zaśmiał się Mikołaj, przypominając pogłoskę, jakoby coraz powszechniejszą gorzałkę wymyślił niejaki pan Ka, który tak się nasaczył swym produktem, że zgorzał od niego, skąd nazwa trunku miała wziąć miano.

Kettler nic nie odparł. Jego wąskich, zaciśniętych ust nie wykrzywił nawet cień uśmiechu, aż Mikołajowi przebiegł mróz po kościach. Ozwał się Jerzy:

– Przypatrzyłeś mu się, waszmość?

– Tak. To on?

– On.

– Patrzy na człeka przebiegłego i kutego na cztery łapy. Niełacno da się podejść.

– Ale poradzisz sobie?

– Bez wątpienia – albinos nieznacznie wzruszył ramionami, jakby zde gustowany, że można powątpiewać w jego umiejętności.

– Musi zniknąć bez śladu.

– To rzecz trudniejsza. Jest znany. Da się wszak wykonać, jednak to musi kosztować.

– O to się waść nie trap.

– Zatem kiedy?

– Dam ci znać. To zadatek – wręczył Kettlerowi sakiewkę.

Ten zważył ją w dłoni, po czym nie zaglądając do środka, wrzucił do kieszeni. Nasadził kapelusz na głowę, dotknął niedbale róna na pożegnanie i zniknął cicho jak duch.

ROZDZIAŁ 1 | KRADZIEŻ

Zabójca stał jak słup i oniemiały wpatrywał się w zakrwawiony nóż. Po chwili wypuścił go z ręki. Narzędzie zbrodni z brzękiem upadło na podłogę. Zbrodniarz przeniósł wzrok na ofiarę. Jeszcze przed chwilą pełna życia, czemu dawała wyraz w niewybrednych słowach i gwałtownych czynach, leżała teraz cicho u jego stóp, z pewnością martwa, choć rany nie było widać. Jednak spod ciała wypłynął strumyczek szkarłatnej krwi i rażno popłynął do stóp mordercy. Odskoczył jak oparzony. „Boże – pomyślał – to niemożliwe! Ja tego nie mogłem uczynić!”.

A jednak dobrze wiedział, że to fakt, którego nie da się już cofnąć, choć teraz dałby wszystko, by tak się stało. Zaraz potem przyszedł strach i zjeżył mu włosy na głowie, w której zrodziło się rozpaczliwe pytanie: jak pozbyć się ciała?

Zdyszany złodziej zatrzymał się przed spelunką i czujnie rozejrzał dookoła. Z karczmy dobiegały pijackie wrzaski i śpiewy, ale na zewnątrz panował spokój. Księżyc odbijał się w zamarznętej rzece, srebrną poświatą wydobywając z mroku kontury wyciągniętych na brzeg łodzi i tratw. Jak okiem sięgnąć – żywego ducha. Złodziej uspokojony, przysunął się pod okno gospody, a właściwie otwór w skale, zasłonięty półprzezroczystą błoną, bowiem szklane gomółki były zbyt kosztowne i ciągle narażone na wybijanie przez biesiadników.

Nawet tak liche światło wystarczyło łotrzykowi, by zorientować się, że piękny mieszek, wyglądający tak zachęcająco, kryje we wnętrzu jedynie chustkę do nosa. Odrzucił ją precz z wściekłością i to samo chciał uczynić z sakiewką, ale po krótkim zastanowieniu wepchnął ją z powrotem w zanadrze. Mogła się przydać. Łupu z drugiej pazuchy nie chciał teraz sprawdzać, bo czuł jego wagę i spodziewał się, że tym razem się nie rozczaruje, choć na pieniądze przyjdzie zaczekać do jutra. Trudno, znów spróbuje napić się na borg. Pchnął drzwi i wszedł do środka.

Mikołaj Mniszech cicho zamknął za sobą drzwi do królewskiej komnaty.

– Nareszcie! – powiedział z tryumfem do oczekującego brata, zacierając ręce z zadowoleniem. – Dziś po raz pierwszy obyło się bez czarnoksięskich sztuczek. Król widać na dobre uwierzył, że królowa Barbara objawiła się w naszej Giżance!

– *Ergo* – rzekł Jerzy z naciskiem – usługi mistrza Twardowskiego są już zbędne.

Z przebiegłym uśmiechem na pełnych wargach spoglądał na Mikołaja. W swym pędzie do kariery bracia wybrali drogę na skróty, ale był pewien, że ryzyko się opłaci i już wkrótce dołączą do najpierwszych magnatów w królestwie, kontynuując dzieło ojca, który z nic nieznaczącego szlachetki, przybłądy z Moraw, dochrapał się godności burgrabiego krakowskiego. Zmarł, gdy synowie mieli zaledwie po parę lat. Niewiele im w spadku zostawił z wyjątkiem ambicji nie znającej granic. Tylko najstarszemu Janowi żądy władzy i zaszczytów nie dostawało, nie szukał kariery na dworze, zadowolając się stanowiskiem starosty krasnostawskiego, lecz młodszy mieli jej aż nadto, zwłaszcza Jerzy. Był zdecydowany i bezwzględny, a jego pomysliwość nie znała granic. A ponieważ miał dopiero dwadzieścia jeden lat, Mikołaj zaś zaledwie dziewiętnaście, i całe życie przed sobą, perspektywy otwierały się przed braćmi wprost nieograniczone...

– *Ergo* – dodał – odszukaj pana Ka i powiedz mu, niech się bierze do roboty. Nie musi się spieszyć, ważne, by to wyglądało na wypadek i... – nagle przerwał i chrząknął znacząco, by ostrzec brata. – O, ksiądz podkanclerzy, jakże miło widzieć waszą miłość...

Ksiądz podkanclerzy Franciszek Karpiński był wzburzony. Świadczyło o tym zabawianie się pieczęcią oraz staranne unikanie wzroku człowieka, który stał przed nim w pozie pełnej szacunku.

– Ehe... mistrzu...

Twardowski nie ułatwiał mu sprawy. Stał, milcząc, i czekał. Jego ekscelencja poczuł jeszcze większe wyrzuty sumienia, choć miał je bardzo elastyczne, zwłaszcza jak na duchownego. Jednak Twardowski był jego protegowanym, Karpiński lubił go i cenił, znali się od trzydziestu lat. Kiedy młody wówczas Franciszek wyjechał do Wittenbergi studiować nauki przyrodnicze i alchemię, Twardowski, który wtedy nazywał się jeszcze Laurentius Dhur, zwany z łacińska Durus lub Duranovius, właśnie kończył studia. Zapalony adept nauk tajemnych szybko zaprzyjaźnił się z uchodzącym już za zawołanego maga Durusem, a także z jego jeszcze sławniejszym kolegą, Faustusem. Ten zaś, o pokolenie starszy, podstawy wiedzy czarnoksięskiej zdobywał na Akademii Krakowskiej, po czym powrócił do ojczyzny, by znów po jakimś czasie przybyć do Polski. Kiedy zachęcony przezeń Dhur zjawił się w Krakowie, zwabiony sławą mekki czarnoksiężników, jaką w owym czasie cieszyła się stolica Polski, rychło zmienił nazwisko na Twardowski i przybrał drugie imię, Piotr, pod którym zyskał sobie znaczną popularność. Po kilku latach mówił lepiej po polsku niż po niemiecku, ożenił się z indygenką i nikt nie podejrzewał w nim cudzoziemca. Ale prawdziwą sławę zyskał dopiero wówczas, gdy przyjaciel z

dawnych lat, szybko robiący na dworze karierę, Franciszek Karpiński, polecił jego usługi królowi. To Karpińskiemu Twardowski zawdzięczał stanowisko nadwornego astrologa, a od niedawna także podkoniuszego królewskiego, za co pobierał niezłą łafę. Brał też udział w rozmaitych intrygach dworskich, które miały ich obu wynieść jeszcze wyżej.

Teraz jednak biskup żałował, że uwikłał mistrza w tę coraz bardziej śmierzącą historię, a nawet zaczął żałować, że sam dał się w nią wplątać. Sytuacja wymykała się spod kontroli.

– Usłyszałem dziś przypadkiem coś – ciągnął z trudem, wciąż nie patrząc na czarnoksiężnika – co sprawiło, że... Chciałem cię ostrzec, Piotrze. Mam powody mniemać, iż grozi ci niebezpieczeństwo. Nic więcej rzec nie mogę. Żałuję jeno, że cię w to wciągnąłem.

– Pojmuję – z zadziwiającym spokojem odparł mag. – I dziękuję waszej miłości. Zawsze będę waszą miłość wspominał wdzięcznym sercem za to, coś dla mnie uczynił. A jeśli o wiadomą sprawę idzie, to sam w to wszedłem z otwartymi oczyma. Proszę się o mnie nie troskać, poradzę sobie.

Skłonił się i zabrał do wyjścia.

– Co zamierujesz uczynić? – rzucił za nim Karpiński.

– Coś wykoncypuję. *Praemonitus, praemunitus*.

Łup, łup, łup. Głowa rozpadała mi się na dwie części. Ścisnąłem ją rękoma, otworzyłem jedno oko i spomiędzy palców zerknąłem w okno. Nie było myte od Godów. Od dawna zabierałem się do tego, zwłaszcza że Wielkanoc za pasem, z natury bowiem nie jestem niechlujem, lecz jakoś mi schodziło... Ale mimo wszystko powinno przepuszczać trochę słońca. Skoro nie przepuszczało, znaczy, że do południa jeszcze sporo brakuje, a to z kolei znaczyło, że obudziłem się grubo za wcześniej jak na tak pracowity wczorajszy wieczór. To zaś nie było zwyczajne i pewnie dlatego łupało mi w głowie. Zaiste, piękny początek tygodnia. Mój wciąż z lekka zmętniały wzrok ześliznął się z okna i oparł na księgach. Były wszędy. Na półce, pulpicie, leżały w stertach na podłodze. Rozmaite, pisane po polsku i po łacinie: prawnicze, przyrodnicze, medyczne, ale najwięcej historycznych oraz poezyj. Niemal nic innego nie miałem, alem na księgi nie skąpił grosza, jeśli tylko coś brzęczało w mojej chudej kiesce. Kochałem je. Dopiero po dobrej chwili dotarło do mnie, że ktoś puka do drzwi.

– Proszę – wystękałem.

Weszła ciotka Balcerowa. Właściwie to nie była moja prawdziwa ciotka, tylko mamka, ale lubiła mnie jak rodzzonego, a od kilku lat gościła w swoim domu, nie żądając opłaty.

– Ile to razy prosiłam, żebyś coś zrobił z tym oknem? Sługami nie chcesz się wyręczać, lecz sam też do ochędóstwa się nie kwapisz. Nie po to, nie szcędząc kosztów, wstawiłam wszędy szklane gomółki, aby wyglądały gorzej od rybich

pęcherzy!

– Gdybym umiał do tyłu rachować, ile razy suszyłaś mi o to głowę, studiowałbym matematykę, a nie medycynę, matuchno – odpowiedziałem machinalnie, intensywnie zastanawiając się, co tym razem nabroiłem wieczorem; czy w istocie wlałem na stół, płaśałem niby w tańcu świętego Wita i wystukiwałem obcasami rytm, podczas gdy reszta kompanii wyrzaskiwała strofy ułożonej przeze mnie pijackiej piosenki, i czy oświadczyłem się Magdzie na klęczkach, czy też to było poprzednim razem?

Ciotka lubiła, gdy nazywałem ją matuchną – zawsze ją to rozbijało. Poskutkowało i tym razem.

– Czasem wątpię, czy studiujesz cokolwiek. Dziś też nie wybierasz się na akademię?

Lubiła zrzędzić, ale to była jedna z niewielu jej wad.

– Dopiero po południu. A która godzina?

– Ledwie co trębacz na hajnalicy wygrał ósmą.

– Ósma? To dlatego głowa mi pęka!

– Pęka ci, boś pewnie do północks marudził w szynku.

– Marudziłem, bom wiedział, że mogę pospać do południa – postarałem się, by w moim głosie zabrzmiał wyrzut, licząc na miękkie serce ciotki; na szczęście chodziła wcześniej spać i nigdy nie była świadkiem moich popisów.

Nie pomyliłem się. W ogóle rzadko się mylę, ale bardzo się staram nie wbijać w pychę z tego powodu.

– Nie budziłabym cię – sumitowała się ciotka – jednak na dole czeka na ciebie dwóch panów.

– Panów? Odkąd to panowie zrywają się z łoża skoro świt?

– Też mnie to zdumiało. Patrzą mi na wielce zaambarasowanych.

– Znam ich?

– Jeden to ów sławny rymopis, Kochowski, czy jak mu tam...

– Kochanowski! Mistrz! Powiedz im, że zaraz schodzę.

Kiedy wyszła, wsadziłem głowę do cebra z lodowatą wodą, a ponieważ w izbie było zimno jak w psiarni, od razu poczułem się rześko. Narzuciłem świeżą koszulę, kubrak, wdziałem rajtuzy i spodnie i pogałem na dół po krętych schodach, przeskakując po dwa stopnie jak na skrzydłach.

Kto mi dał skrzydła, kto mię odział w pióry

I tak wysoko postawił, że z góry

Wszystek świat widzę, a sam, jako trzeba,

Tykam się nieba? [1]

Boże, jak ja wielbię poezję mistrza! Mam niezbitą pewność, że i za pięćset lat ludzie będą się zachwycali jego wierszami. Jaka wielka szkoda, iż wiele z nich krąży

między ludem w odpisach, nie mogąc doczekać się druku. Jakże błogosławiłem tę chwilę, przed dwoma laty, gdy przestąpił progi naszej gospody! Jaki byłem dumny, gdy przypuścił mnie, chudopachołka, do komitywy! Jaką może mieć do mnie sprawę? Zachodziłem w głowę, która nagle przestała mnie boleć, ale nic nie potrafiłem wymyślić.

Goście siedzieli w izbie karczemnej, przy płonącym kominku, rzecz niezwykła o tak wczesnej porze, choć był luty i mróz siarczasty. Życie w gospodzie zaczynało się bowiem po południu i trwało do późna, do obwołania przez pachółków ciszy nocnej, a oszczędnej ciotce Balcerowej aniby do głowy przyszło, by marnować opał za dnia. Wizyta godnych gości musiała uczynić na niej duże wrażenie. Myślę zresztą nieskromnie, iż była dumna z tego, że od niejakiego czasu, za moją (nie chwając się) przyczyną, jej szynk „U Balcera” coraz częściej nawiedzali ludzie z towarzystwa i nawet zaczął się cieszyć pewną sławą w dworskich i uniwersyteckich kręgach. To bowiem odróżniało go od wielu innych, zaludnianych zwykle przez pospolitych moczymordów, przydając tawernie (i ciotce przy okazji) splendoru i dochodów. Nie cieszył się po prawdzie nasz zakład aż taką sławą pośród ludzi nauki i sztuki oraz duchownych jak gospoda „Pod Białym Lwem” w domu Zarogowskim na ulicy Świętej Anny, ale jak na karczmę oddaloną od kwartału uniwersyteckiego nie musiał się wstydzić swoich bywalców. Miarą szacunku ciotki dla mistrza Jana i jego komiltona było to, że obudziła Magdę, swoją najładniejszą dziewczkę, i przysłała do obsłużenia przybyszy. Zresztą ciotka zatrudniała same młode i ładne dziewczki, podejrzewałem, że także ze względu na mnie, aby mi wygodzić. I owszem, zdarzyło mi się raz czy dwa gościć Magdę w nocy w swojej izdebce, ale oboje traktowaliśmy to lekko.

– Czołem biję waszmościom, sługa uniżony – zawołałem zdyszany.

Skinęli mi łaskawie głowami, a mistrz Jan wskazał miejsce na ławie obok siebie.

– To właśnie ów młodzieniec, o którym ci opowiadałem, Łukaszu – rzekł do towarzysza, po czym zwrócił się do mnie: – Chłopcze, mój przyjaciel, pan Górnicki, ma sprawę do ciebie.

– Onże sławny Łukasz Górnicki, autor *Dworzanina*?! – zawołałem zachwycony.

Kto nie słyszał o uszlachconym przez króla Łukaszu Górnickim, którego ojciec był zwykłym łykiem z Oświęcimia, Marcinem Górą, a syn, dzięki pilności i rozległej wiedzy, zdobył stanowisko najpierw sekretarza biskupa Maciejowskiego, a potem sekretarza i bibliotekarza królewskiego. Trzy lata temu ukazało się drukiem w naszym mieście, w sławnej oficynie pana Macieja Wirzbięty, znakomite dzieło Górnickiego, dedykowany królowi Zygmuntowi Augustowi, miłościwie nam panującemu, *Dworzanin polski*. Oczywiście kupiłem go zaraz i dotąd przeczytałem już ze trzy razy, nie marząc nawet, że uda mi się kiedyś zasiąść z autorem przy jednym stole!

Górnicki przestał wodzić wzrokiem po izbie i obrócił na mnie baczne spojrzenie. Lustracja widać wypadła pomyślnie, bo odezwał się życzliwym tonem:

– Czytałeś moją książkę?

– Trzy razy! Wasz przykład, mistrzu, jest mi w życiu drogowskazem – odparłem zupełnie szczerze, bo faktycznie, i ja pielęgnowałem w sercu zamiar dojścia do czegoś w życiu dzięki pracy i zdolnościom, skoro nie mogłem z racji dobrego urodzenia.

– Młodzieńcze, jeśli choć połowa z tego, co o tobie rzecze mój druh serdeczny, Jan, odpowiada prawdzie, tedy właśnie jesteś człkiem, jakiego mi trzeba.

– Miło mi to słyszeć, acz moje wiersze...

– Całkiem udatne – wtrącił Kochanowski z życzliwym uśmiechem.

– U licha, chwali ci się to, młody człowieku, acz nie twoja poezja przywiodła mnie dziś w te progi – odparł Górnicki z lekkim zniecierpliwieniem.

– Cóż zatem?

Mistrz Jan usłyszał widać rozczarowanie w moim głosie, bo wtrącił szybko:

– Opowiadałem Łukaszowi o twoim talencie do rozwiązywania zagadek i demaskowania łotrzyków...

Byłem zaskoczony, że mistrz tak dobrze zapamiętał tę historię, w gruncie rzeczy pospolitą. Lubiąc grę w karty, wdał się kiedyś w naszej gospodzie w rozgrywkę z dwoma wydrwigroszami. Straciłby znaczną sumę, gdybym ich nie przyłapał na gorącym uczynku. Dla mnie to był drobiazg, zwyczajna sprawa – tak właśnie zarabiałem na wikt i opierunek u ciotki: pilnując, by w jej lokalu kostery, machlery i drugie franty nie zakłócały gościom spokoju, oraz świadcząc usługi medyczne jej dziewczętom i zaufanym znajomkom (za czym nie przepadałem, bo za to groziło usunięcie z akademii, lecz nie zawsze mogłem odmówić). Czasem pomagałem wyżenąć z gospody awanturników (co wołałem od pracy cyrulika).

– W takim razie, w czym mogę pomóc? – powiedziałem, trochę rozczarowany, że jednak nie wiersze sprowadziły tu sławnego pisarza, tylko mniej szlachetna strona mej działalności.

– Zatem *ad rem*... – ożywił się Górnicki.

– Jajecznicą na szynce! – oznajmiła Magda, wnosząc parujące półmiski, stawiając przed nami i promiennie uśmiechając się do Kochanowskiego.

Poeta klepnął dziewczynę w wypięty zadek i zaczął recytować jedną ze swych fraszek:

*Ukaż mi się, Magdaleno, ukaż twarz swoją,
Twarz, która prawie wyraża różą oboję.
Ukaż złoty włos powiewny, ukaż swe oczy,
Gwiazdom równe, które prędko krąg nieba toczy.
Ukaż wdzięczne usta swoje, usta różane,
Pereł pełne, ukaż piersi miernie wydane [2].*

– Jejku, panie Janie, wasza wielmożność jak co powiesz... – pisnęła Magda, przerywając poecie, zakręciła fertycznie zgrabnym tyłeczkiem i chciała uciec, lecz pochwyciłem ją za rękę.

- Magdo, zali dobrze pomnę, żem wczoraj ci się oświadczył?
- Owszem, paniczu, już czwarty raz w tym miesiącu. Poprzednich nie rachując.
- I co?
- I nic. Dostał panicz rekuzę. Jak zawždy. Kto by tam panicza brał poważnie!

Zaśmiewając się do rozpuku, wyrwała mi się i pobiegła do kuchni. A to diablica, żeby taki despekt uczynić mi przy zacnych gościach! Zerknąłem z ukosa na Kochanowskiego i oczywiście ujrzałem to, czego się obawiałem – wielki poeta dokonywał ogromnych wysiłków, by nie parsknąć śmiechem. Ładne rzeczy!

– Do czarta, Janie, strawa stygnie! – pogroził przyjacielowi palcem Górnicki, także lekko rozbawiony. – Przez te baby nabawisz się niestrawności!

Choć byli w podobnym wieku, rzucało się w oczy, że Łukasz ma poważniejsze usposobienie niż jego skłonny do krotochwil i facecji druh. To było dziwne, bo w swoim *Dworzaniu* opisał tak akuratnie wesołe dworskie życie, że musiał przecie w nim ochotnie partycypować. Był przy tym ponoć wybuchowy jak kartacz i sływał z niewyparzonego języka, którego nie zwykł poskramiać nawet w przytomności samego króla. A jednak wybaczano mu wiele, gdyż pisał wybornie i nie krył dumy z mowy ojczystej, mawiając: „Polak Polakom po polsku piszę”. A dziś był nie w sosie być może z powodu frasunku. Jan tylko się uśmiechnął, lecz zanim pochylił się nad półmiskiem, raz jeszcze rzucił okiem za oddalającą się dziewczką. I nie dziwota, bo w zakładzie ciotki Balcerowej pracowały same miłe dziewczyny, zdrowe (nie chwalać się, dzięki mnie) i same wybierające sobie klientów, z którymi wedle uznania chadzały na facjatkę (oddając ciotce ustaloną sumę), żadne tam wycieruchy. To także był jeden z atutów naszej gospody. Trzeba też przyznać, że ciotka dbała o swoje dziewczki, przywiązywała się do nich i często pomagała im dobrze wyjść za mąż, dokładając do posagu. Zresztą, jak wiedziałem (a wątpię, czy ciotka wiedziała, że wiem), jej droga życiowa wyglądała podobnie.

– *Ergo*, chłopcze – rzekł Górnicki, odsuwając pusty półmisek i popuszczając pasa. Wcześniej już rozpiął cenną szubę, bo dzięki buzującemu w kominie ogniowi w izbie wyraźnie pocieplało – pora przejść do rzeczy.

– Zamieniam się w słuch.

– To wydarzyło się wczoraj, dziś zostało odkryte, a jutro będzie o tym gadać całe miasto... Wciómości! – westchnął i przerwał, jakby badając, czy wzbudził we mnie stosowne zainteresowanie.

– O czym? – nie chciałem go zawieść.

– O kradzieży pieczęci królewskiej! – wypalił i znów zerknął na mnie, a ja podniosłem brwi w niesłychanym zdumieniu, bo tego oczekiwałem, chociaż mam już swoje lata, wiele widziałem w życiu i niełatwo mnie zadziwić, a jeszcze trudniej przyłapać na okazywaniu zaskoczenia.

– Wczoraj wieczór ksiądz podkanclerzy Padniewski wracał z zamku, gdzie pieczętował ważne dokumenty, do Łaźni Jagielły, albowiem późno się uczyniło i nie chciał po ćmoku do pałacu biskupiego się przebierać, zresztą nazajutrz znów musiał

być w zamku. Jak zawsze położył mieszek z pieczęcią na stole w gabinecie i udał się do izby sypialnej, zasię służba wraz z nim. Kradzież wykryto dziś, ledwie przed godziną, gdy z zamku przysłano list do opieczętowania. Szukano wszędy, lecz pieczęć znikła. Jego ekscelencja jest w rozpacz, bo jak waszeci zapewne wiadomo, ubiega się on o pieczęć wielką i takowe nieszczęście to woda na młyn rywali jego dostojności... A ponadto książę biskup wrychle musi wracać do Lublina na sejm, by przewodniczyć polskiej delegacji. Do kaduka! Pomyśl waść, do ilu papierów wagi państwowej będzie musiał swą pieczęć przystawić, a tu jej nie masz. Albo, co gorsza, wpadła w niepowołane ręce. Aż strach o tym myśleć...

Zgadzałem się z tym, bo też nie było nikomu tajno, że jego ekscelencja Filip Padniewski, który dobre parę lat temu objął stolec biskupi w Krakowie po Andrzeju Zebrzydowskim, obecnie przymierzał się do pieczęci wielkiej. Jeszcze niedawno był głównym faworytem, ale ostatnio przybył mu poważny konkurent w osobie księdza Krasieńskiego, najnowszego miłośnika najjaśniejszego pana, niedawno także obdarowanego pieczęcią mniejszą. Utrata pieczęci mogła Padniewskiego drogo kosztować.

– Książę biskup jest moim przyjacielem – kontynuował Górnicki, co mnie nie dziwiło, bo, jak wieść gminna niosła, biskup Padniewski był za pan brat z wszystkimi artystami, a i wesołą kompanią nie gardził. – A ponieważ wypadkiem odwiedziłem go dziś z rana, stąd pierwszy wiem o wszystkim. Przyrzekłem mu pomóc, ale, dalibóg!, nie wiem, jak się do tego zabrać. A tymczasem jego ekscelencja rwie włosy z rozpacz, że król zarzuci mu niedbalstwo.

– Na szczęście potem imć Górnicki zwierzył się mnie, a ja poleciłem mu ciebie – wtrącił Kochanowski. – Niech cię, Łukasz, nie zwiedzie jego młody wiek – kiwnął głową w moją stronę. – To ćwik szpakami karmiony! Wiem, że sporo już przeżył, czyta, co mu tylko w ręce wpadnie, i ma głowę napełnioną wszelką wiedzą, jakby chciał zostać drugim Erazmusem z Rotterdamu. Choć czasem zda mi się, iż w swoim zadufaniu mniema, że...

– Mistrzu... – próbowałem go powstrzymać, lękając się, by nie zakończył słowami: „pozjadał wszystkie rozumy”.

– ...że już wszystko wie – ciągnął poeta, spoglądając na mnie i uśmiechając się z sympatią. – Ale jest na dobrej drodze, jeśli dalej będzie korzystał z rozumu, nie popadając przy tym w zarozumiałość. Obserwuję cię od dawna, Kacprze, a jeszcze więcej słyszałem o twoich sprawkach. Powiadam ci, Łukasz, że on z samego piekła tę pieczęć dobędzie.

– Czy ja wiem...

– O, nasz Kacperek to radziecka głowa! – włączyła się ciotka, niosąca gąsiorek przedniego węgrzyna, trzymanego tylko dla najlepszych gości, która widać słyszała ostatnie słowa albo po prostu podsłuchiwała za węgłem.

Rzuciłem jej ciężkie spojrzenie, którym się nie bardzo przejęła, ale postawiwszy kubki i wino na stole, wycofała się rakiem, cała w lansadach.

– Było kiedyś za króla Starego na dworze dwóch takich, już świętej pamięci: biskup Gamrat i kanclerz Maciejowski – wtrącił Górnicki – o których także świętej pamięci Stańczyk rzekł tak: „Nie masz większych łgarzy w Polsce jak Gamrat, który powiada, że wszystko wie, chociaż w samej rzeczy nic nie wie, i Maciejowski, który choć wszystko zna i wie, powiada zawsze, że nic wcale nie wie”. No to jak, młodzieńcze, do kaduka!, podejmiesz się odnaleźć złodzieja i odzyskać pieczęć? – rzucił nagle.

Dobrze wiedziałem, że jeśli mi się powiedzie, może mi to przysporzyć wielu wysoko postawionych protektorów, porażka nic mnie nie kosztowała. A poza tym miałem wielką ochotę spróbować sił. Z emocji odebrało mi mowę, choć zwykle nie tracę łatwo języka w gębie, więc tylko parę razy kiwnąłem energicznie głową.

– W takim razie tu masz dziesięć dukatów na wydatki – podsunął mi kieskę. – A jeśli szybko się z tym uporasz, na wdzięczność księcia biskupa nie będziesz się mógł uskarżać.

– Potrzebuję więcej wiedzieć o sprawie – rzekłem, odzyskawszy mowę. – Muszę rozmówić się z czeladzią księdza kanclerza.

Oprócz innych, biskup Padniewski piastował także z urzędu stanowisko kanclerza Akademii Krakowskiej, był więc moim najwyższym zwierzchnikiem. Wyrządzając mu przysługę, mogłem sobie ułatwić studia. Jakkolwiek by na to patrzeć, miałem sporo do wygrania.

– Bardzo słusznie. Możemy pójść do domu jego ekscelencji, nawet zaraz – podniósł się z miejsca i zaczął zapinać szubę.

– Zgoda – odparłem. – W akademii mam się stawić dopiero po południu.

– Chwilkę, grzechem byłoby zmarnować Boże dary – zawołał mistrz Jan, wysączając resztę wina z gąsiora. – No, teraz możemy iść.

Jak spod ziemi zjawiała się ciotka (pewnie znów podsłuchiwała) i podała mi opończę. Górnicki sięgnął do kabzy, chcąc zapłacić za poczęstunek, ale złapałem go za rękę.

– Zaszczycem było gościć wasze miłości w naszych skromnych progach – powiedziałem, a widząc, że ciotka już otwiera usta, mrugnąłem i wcisnąłem jej jeden z dukatów otrzymanych od pisarza; gdy zobaczyła monetę, oczy jej się rozszerzyły, a twarz rozjaśniła w uśmiechu.

– A odwiedźcie nas znowu, wasze wielmożności, jak najrychlej! – odprowadziła nas za próg. – Z Bogiem!

– Wrócę wieczorem – rzuciłem na pożegnanie i poszliśmy.

Od razu owionął nas lutowy ziąb. Gospoda „U Balcera” mieściła się na ulicy Szpiglarskiej, w zaułku przy kościele Świętego Jana, zwanym Kącikiem lub ulicą Wąską [3]. Ulicą Świętego Jana doszliśmy do Rynku, zatłoczonego już od rana, choć był poniedziałek, a wielkie targi odbywały się we wtorki i piątki. Przeciskając się między straganami, kierowaliśmy się w stronę Grodzkiej. Widząc bogate szaty moich

towarzyszy, przechodnie najczęściej nam ustępowali, a gdy zdarzało się inaczej, torowałem drogę. W pewnej chwili, gdyśmy akurat znajdowali się w ciasnym przejściu między kościołkiem Świętego Wojciecha a budynkiem Wielkiej Wagi, Górnicki potknął się, ale zamiast go ratować przed upadkiem, rzuciłem się naprzód i złapałem za kołnierz chudego chłopaka. Usiłował się wyrwać, lecz trzymałem go krzepko.

– Oddaj – syknąłem mu do ucha – i zmykaj, porachujemy się potem. Wiem, gdzie cię szukać.

Rzucił mi sakiewkę i umknął jak niepyszny.

– Co się stało? – spytał Górnicki.

– To waszmości? – pokazałem mu mieszek.

– Mój – rzekł zdziwiony, odbierając sakiewkę.

– Ukradł ją pewien młody adept złodziejskiej profesji. Na szczęście poznałem go.

– Mówiłem ci! – zawołał Kochanowski. – Ten chłopak ma głowę na karku!

– No, no, niech mnie licho! – pokiwał głową Górnicki, patrząc na mnie z uznaniem, zniknęło dotychczasowe powątpiewanie, co dzięki wielkiej pracy nad sobą nie wbiło mnie w pychę; udało mi się nawet zrobić skromną minę.

Już bez żadnych przeszkód doszliśmy Grodzką i Kanoniczą do domu, stojącego u stóp Wawelu, nad płynącą tędy Rudawą, zwanego Łażnią Jagiełły, gdyż ponoć dawniejszymi czasy mieściły się tu łaźnie królewskie i to tutaj jakoby polscy panowie, przysłani przez królową Jadwigę ciekawą postaci oblubieńca, podglądali kąpiącego się przyszłego króla Włodzisława II. Potem mieszkał tu i pisał swoją historię Polski sławny kronikarz Jan Długosz. Na początku naszego stulecia zajmował ów dom inny znakomity kronikarz i wielki uczonec, Maciej z Miechowa, zwany Miechowitą, lekarz i historyk, profesor naszej akademii.

W owym domu o tak bogatej przeszłości obecnie przebywał czasowo pan podkanclerzy koronny, jego ekscelencja książę biskup krakowski Filip Padniewski, pechowiec, który zgubił królewską pieczęć. Napis na gzymsie nad bramą powiadał: *Nil est in homine bona mente melius* [4], z czym się całkowicie zgadzałem i co zamierzałem wykazać.

– *Ex Helicone tibi florentem apporto coronam, Padnevi, Aonidum cura, meumque decus* [5] – mistrz Kochanowski powitał biskupa fragmentem wiersza ułożonego na jego ingres, ze swobodą świadczącą o dużej zażyłości.

Bo też był jego ulubieńcem i Kochanowski wiele czasu spędził na pysznym biskupim dworze, jako że jego ekscelencja, wykształcony za granicą, w Padwie, wyborny łacinnik, który sam pisał, chętnie otaczał się pisarzami. Wiedziałem, że żył w wielkiej przyjaźni z Górnickim, za to nie lubił Kromera, mieszkającego parę kamienic dalej w domu Pod Motylem. Jako kanclerz uniwersytetu nie skąpił mu swych łask i wspierał najuboższych żaków, ale nie był powszechnie lubiany, zwłaszcza przez profesorów, z którymi stale wojował, ponieważ kochał się we włoszczyźnie i nie

cierpiał panującej na akademii skostniałej scholastyki, czego akurat nie miałem mu za złe. Gorzej, że jak chodziły słuchy, zaniedbywał swe biskupie powinności, zdając się na wikariusza i oficjała generalnego, Zygmunta ze Stężycy, oraz archidiakonów. Ponoć aż czwarta część parafii nie była obsadzona przez proboszczów! Kochał wystawność i miał *delicatum palatum*, więc kazał miejskiemu muratorowi Gabrielowi Słońskiemu przebudować pałac biskupi na włoską modłę i sprowadził doń arrasów nie gorsze od królewskich. A przy tym miał być człowiekiem wielkiego serca, skorym do krotochwil. Teraz jednak zbyt żartobliwe powitanie machnięciem ręki.

– Nie mam dziś nastroju do facecji, mój Janie.

– Na frasunek dobry trunek. Ja zaś mam jeszcze coś lepszego: tego oto młodzieńca, który podjął się wytropić „człeka trzech liter” i odzyskać zgubę – wypchnął mnie na czoło naszego małego pochodu.

Przyklęknąłem i ucałowałem podaną dłoń, na której ciężko było znaleźć skrawek ciała nie przesłonięty pierścieniami.

– Daruj, synu, ale wyglądasz tak młodo, a sprawa jest nad wyraz poważna... – jego ekscelencja nie krył swego powątpiewania, które chwilowo zastąpiło malujący się na jego obliczu wyraz przygnębienia. – Na rany Chrystusa, co uczyni król, kiedy się o tym dowie? Doszły mnie zaś słuchy, iż niespodzianie postanowił nawiedzić Kraków... A podkanclerzy Krasiński, ten paskudny intrygant, tylko czeka na moje spotkanie...

Wyłamywał upierścienione palce, w zdenerwowaniu używając Bożego imienia nadaremno. Trudno mu się dziwić, bo już sama wizyta królewska w stolicy, po latach nieobecności, była zdarzeniem wystarczająco niezwykłym.

– Nie turbujcie się, wasza ekscelencjo – pocieszył go Górnicki. – Da król inną pieczęć zrobić, nie tą trochę srebra, rzekę, waszej miłości dano, ale urząd, którego nikt waszej miłości wziąć nie może... Sam mu zresztą sprawę przedłożę, niewinność waszej miłości dobitnie prezentując, zanim kto zawistny o tym doniesie.

– Dziękuję, dobry z ciebie przyjaciel, luby Łukaszu, ale...

– Ja jednakowoż doradzam skorzystać z usług tego młodzieńca. Zawsze to tłumaczenie lepiej zabrzmie w królewskich uszach, gdy pieczęć będzie odzyskana, a zbrodzień ujęty – wtrącił mistrz Jan.

– To prawda, wasza miłość, widziałem go przy robocie i tuszę, że warto dać mu sposobność, ostatecznie nic to nie kosztuje... – poparł go skwapliwie bibliotekarz.

– Yhy, yhy – chrząknąłem dyskretnie, bo choć lubiłem swoją pracę i doceniałem satysfakcję z niej płynącą, to wyznawałem zasadę, że nic tak dobrze nie zachęca do trudu, jak godziwa nagroda.

– Dobrze – zadecydował Padniewski, nie spuszczać ze mnie wzroku, w którym jakby zabłysła iskierka nadziei. – Działaj, młodzianku, a jeśli uwiniesz się, zanim utracę królewską łaskę, nagroda cię nie minie. Od czego zamyślasz zacząć?

– Najpierw chcę zindagować czeladź waszej książęcej mości – odkąd kardynał

Oleśnicki w jagiełłowych czasach kupił dla diecezji krakowskiej Księstwo Siewierskie, wszystkim jego następcom przysługiwał tytuł książęcy.

– Nie podejrzewasz ich chyba?

– Nie. Gdyby któryś z nich był *homo trium literarum*, ukradłby coś innego, co dużo łatwiej spieniężyć, okazji nie brakowało – rozejrzałem się po gabinecie, wypełnionym cennymi przedmiotami. – To musi być jakiś facimiech [6], przebiegły prostak, który skorzystał ze sposobności, by wśliznąć się do domu, porwać pierwszą rzecz, jak wpadła mu w oko, po czym umknął z łupem. Być może ktoś ze służby go widział.

– Zginął także aksamitny mieszek, na szczęście tylko z chustką do nosa, pozostawiony razem z pieczęcią.

– Można go rozpoznać?

– Na chustce były wyhaftowane złotogłowiem inicjały F.P.

– Przypomina sobie wasza miłość coś jeszcze?

– Pieczęć była zawieszona na złotym łańcuchu z krzyżykiem...

– Wybornie. To może być dobry ślad.

– Masz waszeć jakiś koncept? – ożywił się kanclerz.

– Kilka. A teraz chciałbym rozmówić się z czeladzią, pojedynczo. Jeśli łaska, proszę mi wskazać izbę, gdzie mógłbym przeprowadzić indagację.

– Pozostaniemy tutaj, jestem tego ciekaw.

– I ja – dodał Górnicki.

– Ja też – dorzucił Kochanowski.

Na pierwszy ogień poszedł marszałek dworu biskupiego, imć Jakub Kołucki, potem ochmistrz, imć Stanisław Kurczewski, który przysyłał kolejnych dworzan i służących. A było ich tylu, że wątpilem, czy sam król jegomość ma tak liczny dwór.

– Daruj śmiałość, wasza książęca mość – w końcu nie strzymałem. – Tyle tu służby i żaden nie zaczął wałęsającego się wagabundy, nie spytał: ktoś jest, co tu masz za sprawę? Nikt go nawet nie dojrzał? Jak to możebne?

– I ja się temu dziwuję – otrzymałem odpowiedź, którą musiałem się zadowolić.

Po godzinie byłem już zmęczony zadawaniem tych samych pytań, a moi dostojni towarzysze – znudzeni. Rozczarowany, odsyłałem właśnie ostatniego pazia, a ten już był przy drzwiach, gdy zawahał się.

– Śmiało – zachęciłem go z nagle rozbudzoną nadzieją. – Przypomniałeś sobie coś?

– Nie jestem pewien, ale teraz, gdy o tym myślę, zda mi się, że kogoś widział. Nie mówiłem wcześniej, bo była to chwilka, a i teraz nie wiem, czy to nie imaginacja spletała mi figla...

– Ja to ocenię, mów.

– No więc kiedyśmy wracali z kownat jego ekscelencji, mignął mi wymykający się z gabinetu człek. Miał brodę i byle jakie odzienie.

– Czemuś o tym milczał?

– Bo ciemno było, a jam niósł świecę. Płomień migotał i żem myślał, iżę mi się zwidziało.

– Teraz już wiesz, że nie. Zastanów się, może coś uderzyło cię w postawie owego człeka?

Pazik zmarszczył brwi.

– Miał czarne *signum* na jagodzie i... I zda mi się, że to onże człek luźny, co był indagowany, gdy panu podskarbiemu Lubomirskiemu zginęła złota łyżka. Nie złapano go wszak na licu, on zaś wyparł się wszystkiego i trza było go puścić.

– Dobrześ się spisał – poklepałem go po ramieniu, rzuciłem mu jednego z dukatów wypłaconych przez Górnickiego i odprawiłem; odszedł w podskokach, radosny jak skowronek.

– No to już coś mamy – powiedziałem.

– No, no – pokręcił głową kanclerz.

– Miło było cię widzieć przy robocie – dodał Jan Kochanowski.

– Jestem ci winien dukata – powiedział Górnicki, sięgając do mieszka.

– Nie trzeba. To są kosza.

– Chłopcze, powinieneś być starostą – Padniewski był w znacznie lepszym humorze niż jeszcze przed dwiema godzinami.

– Nie mógłbym, wasza miłość. Nie mam klejnotu. Jestem znajdą, podrzutkiem i nie znam swoich rodzicieli.

– No to przynajmniej hutmanem ratusznym – nie dawał za wygraną podkanclerzy. – A co porabiasz, gdy nie tropisz złoczyńców?

– Studiuję medycynę, wasza ekscelencjo.

– Chwali ci się to, synu, chwali. Ratowanie życia ludzkiego to zbożne dzieło, w przeciwieństwie do jego odbierania. Niech ci Bóg błogosławi.

W tej sytuacji wolałem zmilczeć, że pierwszego człowieka zdarzyło mi się zabić, gdy miał ledwie piętnaście lat z małym okładem; było to wypadkiem i w obronie własnej, aleć zawżdy zabójstwo. Zamiast tego poprosiłem o list instancjonalny będący przepustką do zamku, gdzie chciałem kontynuować indagację. Spodziewałem się od ludzi podskarbiego uzyskać imię podejrzanego, a to byłby już spory krok naprzód.

– Bardzo słusznie – pochwalił mnie ksiądz kanclerz, posypując piaskiem wypełniony przez wezwanego sekretarza papier.

Wstał od pulpitu i wręczył mi złożone na czworo pismo.

– Rzeknę o tobie panu burgrabiemu, przyłoży na tym swoją pieczęć i będziesz mógł wchodzić na zamek, kiedy tylko zechcesz.

Skłoniłem się i schowałem papier za pazuchę, na pożegnanie znów całując podaną łaskawie dłoń.

– Możemy razem pójść na Wawel – zaproponował rozochocony pierwszym małym powodzeniem Kochanowski.

– Choćby zaraz – zawtórował mu Górnicki.

– Niestety – odparłem. – Muszę dziś jeszcze stawić się w akademii, ale od jutra cały czas poświęcę naszej sprawie.

– Odszukaj mnie jutro w bibliotece – rzekł Górnicki.

– Mnie pewnie też tam spotkasz – dodał Kochanowski.

Sławny poeta piastował stanowisko królewskiego sekretarza, ale odkąd król wyjechał z Krakowa i od kilku lat nie pojawiał się w stolicy, bawiąc w Warszawie bądź na Litwie, mistrz nie miał nic do roboty okrom pobierania nagrody. Nudził się jednak i słyszałem, że coraz częściej przebąkiwał o powrocie do rodzinnego Czarnolasu.

Opuściwszy Łaźnię Jagiełły, pobiegłem na Rynek, by zerknąć na zegar na wieży ratuszowej, kunsztownej roboty cacko z polichromowanymi figurkami, za króla Starego obstalowany w Norymberdze przez rajcę Judara Jodokusa Glaca. Minęło już południe, miałem mało czasu. Szybko udałem się do domu, w którym z wolna budziło się życie, a w szynku pojawili się pierwsi goście. Porwałem togę i zbiegłem na dół.

– Magdo – zaczępiłem ślicznotkę. – Nie wiesz, gdzie może być Nizioł? W izbie go nie ma.

– A gdzieżby, jak nie w kuchni! – prychnęła.

Znalazłem go tam. Obzerał się resztkami z wczorajszej wieczerzy, aż mu się uszy trzęsły.

– Nizioł, masz chwilę?

– Dla panicza zawsze – kmotrzyliśmy się, ale przy ciotce i służbie zawsze odnosił się do mnie z należnym szacunkiem; natychmiast porwał się od stołu, obcierając oiekające tłuszczem usta w rękaw.

Pocziwiec z niego, choć na bakier z dobrymi obyczajami. A do mnie przylgnął od czasu, gdy wybawiłem go z rąk pacholków miejskich, z którymi w naszym Kąciku stoczył istną bitwę, poskładałem do kupy, załatwiłem wikt i posadę u ciotki Balcerowej. Odtąd zajmował się wyrzucaniem z gospody gości, którzy nie ulegali mojej delikatnej perswazji, i robił to z prawdziwym zamiłowaniem. To dzięki nam obu karczma „U Balcera” cieszyła się opinią najspokojniejszej w mieście. Bo też jego imionisko było raczej mylące – Nizioł miał dobre cztery łokcie wzrostu i taki wyraz pokiereszowanej gęby, że jako żywo bardziej przypominał małpę niż człowieka. Ale dla przyjaciół był do rany przyłoż i wbrew pozorom niskie czoło kryło wcale ostry umysł.

– To wdziej kozuch i pójdź ze mną.

W kozuchu imitował niedźwiedzia tak udatnie, że gdybym go wziął na postronek, niechybnie brano by mnie za niedźwiedznika. Gdyśmy zdążyli przez Rynek, wyjaśniłem mu, czego od niego oczekuję. Bardzo mu się to spodobało, bo lubił awantury nie mniej ode mnie. Na ulicy Świętej Anny przyspieszyłem kroku, Nizioł został w tyle. Antek czekał pod Collegium Maius. Aż podskoczył nerwowo, gdy położyłem mu rękę na ramieniu.

– Boże, człeku, gdzieś był?! Ja tu umieram z desperacji!

– To widać. Uspokój się, bo inaczej całe miasto dowie się, że masz coś na sumieniu.

Ścisnąłem mu ramię jak w imadle, a uścisk mam silny – wrogowie twierdzą, że lepszy od dowcipu. Zwiotczał i od razu się uspokoił.

– Tak lepiej – rzekłem. – Masz?

– Mam – pokazał wypchaną płócienną sakwę, w której zwykle dźwigał kilka tabliczek do pisania, bo nie było go stać na kajet.

– No to idziemy.

– Dokąd? – teraz on złapał mnie za rękę. – Chcesz mnie wydać?

– Czy czekałbym z tym tak długo? Nie bądź głupi. No, rusz się.

– Czekaaj! Powiedz mi, jak odgadłeś?

Antoni był synem wieśniaka z Mogilan pod Krakowem. Żądza wiedzy, a raczej chęć odmiany losu, przygnała go do Krakowa. Zamierzał zostać księdzem, był ambitny, lecz brakowało mu zdolności. Goły jak święty turecki, mieszkał w Bursie Pauperum dla najuboższych żaków, żebrząc u litościwych mieszczek o wikt, niczym pauper ze szkoły parafialnej. Bogatsi i lepiej urodzeni studenci wyśmiewali się z niego, co było tym łatwiejsze, że i na wykładach nie błyszczał. Dopiekał mu zwłaszcza Janek Grot młodszy, syn byłego pisarza miejskiego, a teraz zamożnego kupca i od niedawna członka rady miejskiej. Nie odgrywał w niej wszak zbyt dużej roli, gdyż ciążyła mu heretycka przeszłość i darł koty z wpływowym burmistrzem Czeczotką, który trząsł naszym miastem. Janek także uczęszczał do luterskiej szkoły, a gdy wraz z ojcem przyjął prawą wiarę katolicką, wstąpił do naszej akademii. Szastał na lewo i prawo pieniędzmi, otoczony partią wiernych akolitów. Grot nie przykładał się do nauki, bowiem, jak inni synale dobrze urodzonych, studiował tylko dla zabicia czasu, nie dbając o akademickie splendory. Był jednak bardzo zdolny, a przy tym miał pieniądze na kajety i księgi nie na kieskę biednych żaków. I właśnie tydzień temu rozpętało się pandemonium – Grotowi zginęła książka do łaciny, akurat trzy dni przed egzaminem. Grot szalał z wściekłości i oskarżał każdego, mnie nie wyłączając, ale przede wszystkim Antosia.

– To było proste – odparłem, patrząc na prostaczka z politowaniem. – Boś śpiewająco zdał *examen*, aż cię profesor pochwalił, pamiętasz? I pierwszy raz nie poprosiłeś, bym ci pomógł w nauce. Dajmy Grotowi jeszcze trochę czasu, a też na to wpadnie.

– No tak – powiedział trochę rozczarowany, jakby dotąd spodziewał się, że widzę wszystko w szklanej kuli, bez męczenia swego biednego umysłu. – Ślęczałem nad tym trzy dni i dwie noce, ale udało się – dodał z lekkim zdumieniem, jakby nie dowierzając dla odmiany własnemu rozumowi.

– Chodźmy – ponagliłem, bo czasu było coraz mniej.

Przemknęliśmy przez sień i pustawy dziedziniec. Zimową porą, tak jak teraz, zajęcia rozpoczynały się skoro świt i trwały do zmierzchu, z południową przerwą na

posiłek, który profesorowie wspolek spożywali w Stuba Communis na piętrze. Już niedługo Collegium miało się zaludnić tłumem studentów i profesorów, ale i teraz kręciło się tu paru co pilniejszych żaków przeglądających notatki oraz ze dwóch bedeli. Lektoria mieściły się na dole, z wejściami od krużganków, tylko teolodzy uczyli się na piętrze. Nasze było zamknięte. Spodziejając się tego, wyjąłem z kieszeni pęk wytrychów i postawiłem Antosia na czatach.

– Co chcesz uczynić? – spytał drżącym głosem, rozglądając się trwoźnie dookoła.

– A nie widać? Daj baczenie, bo zaraz się zacznie.

– Co ma się zacząć?

– Obaczysz. Jak wszyscy pobieżą ku sieni i nikt nie będzie się gapił w naszą stronę, dasz mi znać.

Strzygąc uchem, już po chwili, jak było umówione, posłyszałem w sieni dudniący głos Nizioła, wyśpiewującego na cały głos nieprzyzwoitą piosenkę.

– Co to jest? – zdrygnął się Antek.

– Mój przyjaciel Nizioł. Właśnie rozpoczął darmowe widowisko.

– Ten olbrzym?

– Ten sam.

Nizioł rozkręcał się najwidoczniej, bo doszły mnie podniesione głosy bedeli, usiłujących go poskromić, co musiało przypominać zawracanie rzeki przetakiem. Aż żałowałem, że tego nie zobaczę, bo Nizioł miał talent komedianta i wybornie potrafił udawać pijaka, zresztą nie musiał się specjalnie wysilać, gdyż stan upojenia alkoholowego (podało mi się to arabskie słówko, alkohol, nie tak dawno wprowadzone do użytku przez doktora Paracelsusa) był mu doskonale znany. Kiedy bedele jęli wzywać pomocy, rozległ się tupot nóg spieszących im na pomoc scholarów, Antoś szepnął: „Już”, a ja zabrałem się do roboty.

Uwinałem się szybciej, niż przypuszczałem, i gwizdnałem cicho na Antka. Wśliznęliśmy się do środka i zamknęliśmy drzwi. Nie tracąc czasu, wskoczyłem na katedrę pod oknem i przyklęknąłem przy profesorskim pulpicie, zamkniętym na głucho.

– Tak jak mniemałem, tę kłódkę niełatwo otworzyć.

– O Boże, nie ma innego sposobu? – jęknął Antoś. – Może po prostu podrzucimy księgę tam, gdzie zwykle siada Grot?

– O Boże – jęknąłem, przedrzeźniając go. – Dlaczego dałeś mi tak miękkie serce, bym zajmował się idiotami? Nie pojmujesz, że to tak, jakbyś przyznał się do winy? Grot nie jest głupcem, a ty i bez tego jesteś jego głównym podejrzanym. Nie, zrobimy to po mojemu. Ostaw książkę i idź posłuchać pod drzwiami. Nie chcesz chyba, by nas ktoś tu zdybał?

Męczyłem się z kłódką dobre kilka minut, nim wreszcie ustąpiła. Wepchnąłem książkę na półkę, na górę innych podręcznych ksiąg już tam leżących. Zamknąłem kłódkę, z przygotowanego zawiniątka wydobyłem palcem trochę sadzy i poczerńiłem zamek, aby nie zostawiać śladu włamania.

– Gotowe. Możemy iść.

– Słuchaj – złapał mnie za ramię. – Czy ty jesteś...

– Nie – uspokoilem jego przebudzone sumienie. – Ale pobierałem nauki u najpierwszych w tej profesji. Nigdy nie wiada, co w życiu może się przydać.

Powtórzyłem operację przy drzwiach i po kilku minutach znaleźliśmy się na dziedzińcu akurat wtedy, gdy zaczęli się zjawiać pierwsi studenci, wygładzający poszarpaną odzież i rozcierający siniaki. Nizioł spisał się wybornie. Klepnałem Antka w plecy.

– I po wszystkim, uszy do góry. A bacz pilnie na wykładzie, żebyś mi wszystko akuratnie powtórzył!

– Nie idziesz na wykład?

– Mam spotkanie z rektorem. Spieszę, bo nie godzi się spóźnić.

Bedel na piętrze burknął, że rektor oczekuje mnie w auli. Przeczytałem dobrze znany napis nad wejściem: *Plus ratio quam vis* [Z], będący dewizą naszej akademii, przeżegnałem się i pchnąłem uchylone drzwi.

– Sam tu – usłyszałem z głębi rozkazujący głos.

Mistrz Jan z Turobina został rektorem na świętego Gawła jesienią zeszłego roku, a zanosilo się na to, że i wiosną, jak zwykle na Wojciecha i Jerzego, zostanie obrany na kolejny semestr, a może i będzie hetmanił uniwersytetowi dłużej, gdyż lubili go i szanowali tak profesorowie, jak scholarzy. Był jurystą, wykładowcą prawa rzymskiego, uczniem Piotra Ruiza de Morosa *alias* Rojzjusza, owego sławnego „doktora Hiszpana” z fraszki mistrza Jana Kochanowskiego. Minąłem ławy scholarów, potem stalle profesorskie i doszedłem do katedry, po drodze obrzucając spojrzeniem ściany, z których surowym wzrokiem wpatrywali się we mnie wymalowani na portretach królowie dobrodzieje akademii oraz byli rektorzy. Doszedłszy do podwyższenia, zdjąłem biret z głowy i pochyliłem się w ukłonie. Wyprostowałem się i stałem, milcząc.

– O nieszczęsny wieku młodzieńczy, nie ma występku bez ciebie, zbrodni pomimo ciebie. Kto popełnił nierząd? Młódź! Kto mord? Młódź! Kto grał? Młódź! Nasza zacna Alma Mater przez was w istną *spelunca latronum* się zmieniła!

Grzecznie czekałem, aż wyczerpie się gniew jego magnificencji.

– Scholar Kacper Ryx... Znów się spotykamy – zabrzmiało z wysokości rektorskiego krzesła po krótkiej przerwie. – Który to raz w tym roku?

Wbiłem wzrok w podsiębicie z rozetami i biegnący poniżej fryz z herbami profesorów, udając, że rachuję.

– Trzeci, wasza magnificencjo – odparłem z uszanowaniem.

– Właśnie, trzeci. A mamy dopiero koniec lutego... Niedługo braknie mi czasu, by spotykać się z kimkolwiek innym! Wiesz, dlaczego kazałem ci przybyć?

– Nie, wasza magnificencjo.

– Po to, abyś przypomniał sobie dewizę naszej zacnej Akademii wyrytą nad

wejściem i rzucił okiem na konterfekty naszych dobrodziejów, którzy nie szczędzili uwagi i grosza, aby takim jak ty umożliwić naukę. A ty jak się odpłacasz?

– Staram się...

– Ale kiepsko, mój panie! Ile to lat już studiujesz?

– Dopiero trzy, wasza magnificencjo.

– Trzy! Niektórzy po trzech leciech są już licencjatami, magistrami, doktorami nawet, a ty co?

– I ja będę, wasza wysokość – uspokoilem rektora, który nieco się zagalopował, gdyż zdobycie każdego tytułu wymagało co najmniej dwóch kolejnych lat nauki i jako żywo nie słyzałem o doktoracie uzyskanym w trzy lata. – Niedługo spodziewam się zdobyć bakalaureat, a potem, tak szybko jak się da, licencjat, jeśli Bóg pozwoli.

– Boga w to nie mieszaj! Już prędzej szatana. Znów była na ciebie skarga. Ponoć wczoraj poturbowałeś żaka Grota i jego towarzyszy?

– Zostałem sprowokowany.

– Ach tak?

– Oskarżono mnie o kradzież księgi.

– A ty jej, oczywista, nie ukradłeś?

– Oczywista, że nie. Nie jestem *homo trium literarum* – obruszyłem się.

Zapadła chwila milczenia, jakby rektor coś rozważał.

– Temu mogę dać wiarę – rzekł jakby łagodniej, poprawiając swoją czerwoną togę. – Znam twego piastuną, a on ręczy za ciebie. Ale żeś pobił czworo kolegów, temu nie zaprzeczysz?

– Bronilem się. To oni mnie napastowali.

– Ciekawe... Tyś się jeno bronił, ale to Grot ma rozbitą głowę, dwóch drugich wywichnięte ręce, a czwarty kuleje. Jak to wytłumaczysz?

– Widać byli nieuważni.

– Zapewne – parsknął rektor i rzucił znienacka: – Rozchyl togę!

Posłusznie uczynilem, co kazał.

– A gdzie kord?

– Jaki kord? – udałem głupiego. – Toć scholarom nie lza nosić broni.

– Ja to wiem najlepiej! Ale czy wy się do tego stosujecie? Wczoraj miałeś kord z pewnością.

– Sam nie wiem, skąd się wziął, pewnie ktoś mi go wcisnął do ręki, widząc, jaką tamci mają przewagę. Zaraz potem gdzieś go odrzuciłem. Z najwyższym obrzydzeniem, wasza dostojność. Choć, ośmielę się zauważyć, będzie już ze trzy lata, jak książę biskup Padniewski zezwolił żakom na ćwiczenia z bronią.

– Atoli z zastrzeżeniem, by powstrzymali się od zabójstw i wszczynania tumultów w mieście, jeśli raczysz pamiętać – obrzucił mnie krytycznym spojrzeniem. – Hm... Strój jednakowoż masz skromny, jak należy... Żadnych bufiastych rękawów, stubarwnych szatek...

– Nie stać mnie na inszy, w przeciwieństwie do takiego Grota na przykład – wtrąciłem chytrze.

– Myślisz, że mu za to nie zmyłem głowy? – rektor zmarszczył brwi. – Prawo jest jednakże dla wszystkich, przynajmniej na moim uniwersytecie! Zrozumiano?

– Tak jest, wasza magnificencjo.

Spoglądał na mnie długo, coś w sobie rozważając.

– Tym razem upiekło ci się jeszcze, chłopcze, a to tylko dlatego, że nie lubię, gdy czterech nastaje na jednego, bo nie tak was wychowujemy. Masz szczęście, że świadkowie potwierdzają twoje słowa. Ale ponieważ to nie pierwszy twój wybryk, będziesz ukarany. Grotowie chętnie zaciągnęliby cię przed sąd miejski, lecz to sprawa akademii. Bo co mówi prawo o sędzie rektorskim? – rzucił podchwytliwie.

Nie byłem wielkim znawcą prawa, choć kupiłem sobie najnowsze dzieło wielkiego jurysty, imć Groickiego, ale że było to ulubione pytanie rektora, a spotykaliśmy się raczej często, mogłem co do słowa wyrecytować z pamięci przywilej nadany jeszcze przez króla Włodzisława II podczas odnowienia uniwersytetu w roku 1400:

– „Rektor powinien sędzić studentów w sprawach karnych lżejszych, jako to: za rwanie włosów, obrażanie ręką lub pięścią aż do zbroczenia krwią, lub za gwałt jakikolwiek niezbyt wielki”.

– No, przynajmniej tyle nauczyłeś się przez te trzy lata. *Ergo* korzystając ze swego prawa, odczytam ci, co następuje: „Ponieważ uczniowie, nie zważając na powołanie swoje, mieli czelność, zmieniawszy ubranie, tak w dzień, jak i w nocy chodzić uzbrojeni po placach, czyli ulicach, oraz kolegów swoich poturbować, pobić, poranić na drodze publicznej, czyli na ulicy Grodzkiej, przeto Magnificencja Rektor polecił im za karę, uwalniając ich w ten sposób od wykluczenia z Uniwersytetu, na jakie zasługują za takie wybryki, aby odsiedzieli karcer przez cały tydzień, w przyzwoitym ubraniu, w czasie wykładów” – zwinął papier i odłożył na kolana. – Jak więc widzisz, mój panie, twoi adwersarze także zostali ukarani. Jeno że ty rozpoczynasz karę od jutra, oni zaś, gdy wydobrzeją. Pojąłeś? Możesz odejść.

– Za pozwoleniem, wasza magnificencjo...

– Czego jeszcze chcesz?

– Z pokorą przyjmuję karę, ale i dla mnie musi ona zostać odroczonea...

Oblicze rektora zrobiło się równie czerwone jak jego toga.

– Bezczelny młokosie...

– Z całym szacunkiem – wpadłem mu w słowo, zanim powaliła go apopleksja, czego był bliski, co nawet moje niewprawne oko początkującego medyka dostrzegło bez trudu – ale właśnie wracam od księdza kanclerza, który powierzył mi ważną, niecierpiącą zwłoki sprawę. Gdy ją załatwię, tuszę, iż pomyślnie, sam zgłoszę się do karceru. Jeśli mi wasza wysokość nie ufasz, łąco można to sprawdzić u jego ekscelencji.

Widać było, że ma zażyłość z biskupem uczyniła na rektorze odpowiednie

wrażenie.

– Nie trzeba. Trzymam cię za słowo. Idź już. I zakarbuju sobie – jeszcze jeden wybryk, a cofnę ci zezwolenie na mieszkanie poza bursą. I nawet wstawiennictwo twego opiekuna czy samego księcia biskupa nic ci nie pomoże!

Skłoniłem się i odwróciłem do wyjścia.

– Chłopcze...

Przystanąłem.

– Dawaj na siebie baczenie. Zadarłeś z możnym rodem, a twój piastun powiada, że będzie z ciebie dobry medyk, więc szkoda by cię było.

– Dziękuję waszej magnificencji za życzliwość. Będę uważał.

Zbiegłem po schodach na dziedziniec. Jak ten czas leci! Już prawie zmierzchało. Z lektorium zaczęli się wysypywać żacy, ci o delikatniejszych zadkach z ławeczkami do siedzenia pod pachą; ja tam wolałem siedzieć na słomie niż taszczyć ze sobą stołek [8]. Pierwszy był Antoś, odmieniony i radosny jak skowronek.

– Jesteś już! – zawołał na mój widok. – Żałuj, że nie było cię przy tym, jak profesor otworzył pulpit, wyjął książkę i zbaraniał. „To nie moje!”, zawołał, „Skąd to się tu wzięło?”. „To moje! I też chciałbym to wiedzieć!”, wrzasnął na ten widok Grot i podbiegłszy do katedry, wyrwał księgę z rąk profesora. Na to ten obruszył się, a znów Grot coś zagadał do niego, zaczęli się szarpać, scholarzy pokładali się ze śmiechu, ktoś spadł z ławki... Powiadam ci, heca!

Zamilkł, bo ostatni studenci opuścili lektorium, a wśród nich Grot i jego komiltoni. Przystanęli przy nas, a Grot syknął do mnie jadownicie:

– Nie wiem, jak to uczyniłeś, ale czuję, że to twoja sprawka. Jeszcze się porachujemy!

– Mało ci jednego guza? – z przyjemnością patrzyłem na opatrunek na jego łbie, na którym złamałem wczoraj ostrze swego korda; i tak miał szczęście, że walnąłem go płazem. – Wiesz, że zawsze możesz na mnie polegać.

Odszedł ze swą świtą, rzucającą mi mordercze spojrzenia.

– Przeze mnie masz w nim śmiertelnego wroga – zmartwił się Antek.

– Poradzę sobie. Idziesz ze mną na podwieczerek?

– Dziękuję, i tak zbyt często nadużywam dobroci twojej ciotki. A kiedym na ciebie czekał, jakaś litościwa dusza poratowała biednego żaczka zaczął polewką – klepnął się w kubek zawieszony przy pasie.

– Bacz – ostrzegłem go, bo gamoń, prawy wieśniak, jeszcze nie zdołał pojąć, że każda bursa ma w swojej parafii wyznaczone ulice i gospodynie-dobrodziejki, które wolno było nachodzić z prośbą o jadło. – To nie twój teren. Jeszcze drudzy scholarzy spuszczą ci lanie.

Rozstaliśmy się na rogu Rynku i Wiślnej. Ledwo przestąpiłem próg gospody, już ogarnął mnie tłum i wrzawa.

– Bywaj! – wrzasnął Sęp, przekrzykując wszystkich i machając do mnie ponad

głowami gości.

Siedział samotnie przy ławie w kącie, gdzie było trochę luźniej i ciszej, bo stali bywalcy wiedzieli, że to miejsce nie dla gości. Mikołaj, mój równolatek, wrócił niedawno z Niemiec i Włoch. Przed powrotem do rodzinnej Zimnej Wody koło Lwowa miał nadzieję dostać się na dwór, a lubo to zawiodło, pozostał w Krakowie, gdyż zależało mu na spotkaniu Kochanowskiego, którego poezję uwielbiał tak jak ja. Kiedyś zaglądnął do gospody „U Balcera” i tak rozpoczęła się nasza przyjaźń – połączyła nas miłość do wierszy i podziw dla mistrza Jana. Sęp wynajął u ciotki małą izbę i został domownikiem.

– Niedobry! – powitał mnie, ledwie usiadłem. – Czemuś mnie nie zbudził? Wiesz, jak marzę o poznaniu Kochanowskiego!

Wydawało mi się wczoraj, że Sęp pił na równi ze wszystkimi, ale albo mi się w samej rzeczy zdawało (co nie byłoby dziwne), albo wino zaszkodziło mu mniej, bo patrzył na całkiem trzeźwego. Poza tym, w przeciwieństwie do mnie, nie musiał zrywać się skoro świt.

– Nie miałem głowy ani czasu. Zresztą poznasz go jutro. Jeśli pójdziesz ze mną na Wawel.

I opowiedziałem mu o wizycie porannych gości oraz sprawie, która ich przywiodła.

– Niesłychane! – zawołał, gdy skończyłem. – Naprawdę zabierzesz mnie ze sobą?

– Jeśli tylko zechcesz... I wstaniesz na czas.

– Ha! Chyba wcale nie zasnę. A teraz uczcijmy to!

Zawołałem Nizioła, który właśnie wracał, wyrzuciwszy z szynku jakiegoś awanturnika.

– Przynieś nam małmazyją, trzy kubki i polewkę piwną!

Zjawił się błyskawicznie, roztrącając na boki wszystkich, którzy stanęli mu na drodze.

– Siadaj z nami – powiedziałem, nalewając do trzech naczyń. – Piękna robota! Aż żałuję, że tego nie widział – pochwaliłem go za występ w Collegium.

– Nic to – odparł skromnie.

– O czym prawicie? – zainteresował się Sęp.

– O tym, że Nizioł marnuje się w gospodzie, a mógłby zeń być histrion jak się patrzy. Takie dziś dał *spectaculum* w Collegium Maius, że czapki z głów.

– No to napijmy się – rzekł Sęp i wzniósł swój ulubiony, dziwaczny toast: – Bo wszystko jest marność. *Memento mori!* [9]

Choć Sęp był tak młody, to już zdążył liznąć kęs życia. Bawiąc w Niemczech, w Wittenberdze i Lipsku, skłaniał się ku luterskiej herezji (zdaje się zarazony tą chorobą przez dobrodziejów swej rodziny, Starzechowskich), aleć po odbyciu peregrynacji do Rzymu doznał olśnienia i powrócił na łono matki naszej, Kościoła, i teraz próżno byłoby szukać gorliwszego odeń katolika. Nie dawał się wyciągać na dysputy

religijne, a swoją wiarę wyrażał w poezji. Stale zakochał się nieszczęśliwie, lecz nigdy go nie widział z niewiastą, a wątłe zdrowie nie rokowało mu długiego żywota. Dlatego czytał książki, których ja nie tknąłbym za skarby świata, i pisał tak, że płakać się chciało. Ale kompanem był dobrym, a poetą o niebo lepszym ode mnie.

– Muszę wracać do roboty – powiedział Nizioł, a ja na odchodnym wcisnąłem mu srebrnego talara, co przyjął z wdzięcznością.

– Kiedy cię nie było, ja nie próżnowałem. Dokończyłem wiersz. Chcesz posłuchać? – spytał Mikołaj, gdy zostaliśmy sami.

– Ten o doczesnych marnościach i o szatanie w grzesznym ciele, który na pokuszenie nas wiezie i od Boga odwodzi?

– Ten sam.

– Czytaj.

Wyciągnął z kieszeni pomietą kartkę, zabazgraną tak i pokreśloną, że choć podsunąłem mu drugą świecę, nie mogłem wyjść z podziwu, że jest w stanie te bazgroły odczytać. Ale czytał i nawet się nie zająknął, widać miał te słowa wyryte w sercu:

*Cóż będę czynił w tak straszliwym boju,
Wątki, niebaczny, rozdwojony w sobie?
Królu powszechny, prawdziwy pokoju,
Zbawienia mego, jest nadzieja w Tobie! [10]*

– Nie nudzę cię? – spytał, przerywając czytanie.

Pokręciłem tylko przecząco głową, więc dokończył:

*Ty mnie przy sobie postaw, a przepiecznie
Będę wojował i wygram statecznie! [11]*

– I jak?

– Piękne – odparłem szczerze. – Ale smętne.

– Cóż, zawsze można się napić. Będzie weselej.

– Nie – odparłem, dojadając polewkę. – Jutro muszę mieć trzeźwą głowę. Poza tym jestem piekielnie niewyspany. Idę na górę.

– Ja jeszcze chwilę posiedzę. Ale rano obudź mnie koniecznie. Nie zapomnij!

Zostawiłem go i poczłapałem na poddasze. Przechodząc koło izby ciotki, usłyszałem za drzwiami szlochanie, lecz nie zaglądnąłem. Byłem tak skonany po całodziennym bieganiu po mieście, że zasnąłem jak dziecko, ledwo moja głowa dotknęła poduszki.

ROZDZIAŁ 2 | TROP

– Maciek!

Do izby wpadł wyrostek z szopą rozwichrzonych rudych włosów na głowie i twarzą usianą piegami jak indycze jajo.

– Wszystko przygotowane?

– A jakże, proszę jegomościa.

– Konie takoz?

– Tak.

– Uważałeś, jak przykazałem?

– Ajuści.

– Nikt cię nie śledził?

– Nikogo nie widziałem. Alem i tak dawał baczenie, zgodnie z wolą waszej miłości.

Twardowski, po raz pierwszy od kilku dni, odetchnął z ulgą. Wierzył w spryt i bystrą orientację swego ucznia. Jeśli chłopiec nie spostrzegł nic podejrzanego, istniała szansa, że uda się zmylić wrogów.

– Wymkniemy się skoro świt, korzystając z zamieszania wywołanego nagłym wyjazdem króla, więc nie marudź dziś wieczór i wcześniej kładź się spać.

– Wedle rozkazu.

Zabójca wrócił do domu przed świtem. Drżąc z emocji, zrzucił płaszcz, który opadł na podłogę, ciężki od śniegu i zabłocony na brzegach. Usiadł na łóżku i wbił wzrok w ścianę. Powoli uspokajał się. A więc już po wszystkim – pozbył się trupa. Na razie czuł tylko ogromną ulgę, pora na wyrzuty sumienia jeszcze nie nadeszła. Ale wiedział, że przyjdzie – przecież nie był mordercą. Dotąd, owszem, zabijał, zdarzało mu się w gniewie turbować ludzi; do wczoraj nie przypuszczał jednak, że jest zdolny do zbrodni, pospolitego mordu. Co prawda, już raz uczynił coś podobnego, lecz,

dalipan!, wtedy okoliczności były zgoła odmienne... Przybliżył do twarzy dłonie z rozczapierzonymi palcami i przyjrzał się im z niedowierzaniem.

Nagle podskoczył jak oparzony. Co to? Poderwał się i pochylił nad szparą w podłodze. Wygrzebał paznokciem osobliwy krzyżyk z przerwany łańcuszkiem. Widocznie się zerwał, gdy się mocowali. Wrzucił znalezisko do sekretnej szuflady skrzynki, gdzie już leżało narzędzie zbrodni, i zamaskował kryjówkę. Pomyślał, jak przezornie postąpił, kupując niedawno tę skrzynkę, skuszony przez stolarza zachwalającego swe dzieło. Wzdrygnął się. O Boże, o czym jeszcze zapomniał, jakie ślady zostawił? Jęcząc, chwycił się za gardło, jakby już czuł na nim ostrze katowskiego miecza. Boże, Boże!

– Ile chcesz za to?

– Dziesięć czerwonych złotych.

– Dam trzy.

– Szalejuś się najadł, Żydzie! Toć za złotą łyżkę dałeś mi uprzednio półtrzecia złotego!

Kupiec zerknął na złodzieja spod oka i uśmiechnął się chytrze.

– Owszem, aleś wtedy pocił się mniej niż teraz, z czego wnoszę, że towar bardziej parzy niż poprzednio, przeto i cena jest niższa.

Rabuś pocił się ze zdenerwowania, cuchnąc jeszcze bardziej niż zwykle, i nie potrafił powstrzymać się przed niespokojnym oglądaniem na drzwi, jakby w każdej chwili spodziewał się zbrojnych.

– Dziewięć.

– Cztery.

– Osiem.

– Pięć i ani grosza więcej.

– Zgoda.

Brudna ręka, na którą złotnik odliczał mu pieniądze, drżała jak gałązka na wietrze. Podczas gdy dwoma zębami na przodzie, jedynymi niezspsutymi, sprawdzał jakość monet, Izraelita uważnie oglądał złoty łańcuch, od razu dostrzegłszy, że został on ordynarnie oderwany od jakiegoś przedmiotu.

– Od czego jest ten łańcuch? – spytał, gładząc siwą brodę, by ukryć błysk chciwości w oku.

– Od tego – złodziej wydobyl z kieszeni i rzucił na stół jakiś przedmiot. – Chcesz, bierz za dwa złote.

Mimo że łotrzyk usiłował młotkiem, czy może kamieniem rozbić pieczęć, by oddzielić srebrną oprawę, paser od razu rozpoznał królewskie znamię i odrzucił przedmiot jak oparzony.

– Zabieraj to i wynoś się natychmiast! Na Najwyższego, jeszcze mnie obwieszają razem z tobą! Aj waj! Szatan mnie chyba podkusił, by z tobą kupczyć! Precz, precz! I nie pokazuj mi się już na oczy. Nigdy!

Wypchnął złodzieja za drzwi, zatrzasnął je i oparł się o ścianę, zdejmując myckę i ocierając kułakiem łysinę. Pocił się i trząsł tak samo, albo i bardziej, jak wcześniej jego klient.

Tym razem obudziłem się bez trudu. Przetarłem trochę szybę. Na dworze dopiero szarzało. Komin, który szczęśliwie stanowił jedną ze ścian mojej izdebki na poddaszu, o tej porze nie wydzieliał już ani odrobiny ciepła. Szybko, póki zimno nie odebrało mi chęci, opluskałem się w cebrzyku. Moje częste mycie uważano powszechnie za dziwactwo, ale nie przejmowałem się tym. Mój opiekun nauczył mnie dbać o higienę. Utrzymywał, że brud jest przyczyną wielu chorób, których w ten prosty sposób łatwo można uniknąć. Z tym poglądem nawet wielu lekarzy nie chciało się zgodzić, ale mój preceptor był najlepszym ze znanych mi medyków, więc wierzyłem mu bez zastrzeżeń. A poza tym czysty czułem się lepiej, co już samo w sobie jest warte fatygi. Wyszorowałem nawet zęby szczoteczką, której do dziś mało kto używał, choć już król Zygmunt Stary dał dobry przykład.

Cicho schodziłem do kuchni, żeby nikogo nie pobudzić, ale ciotka była już na nogach, a może, sądząc po zaczerwienionych oczach, wcale nie spała z powodu jakiejś turbacji. Przyczyna zresztą mogła być całkiem inna – ciotka cierpiała na kataraktę i coraz bardziej traciła wzrok. Powinienem ją zoperować, bo ani słyszeć nie chciała o drugich medykach, ale wciąż zbyt mało ufałem w swoje umiejętności, a to była poważna sprawa. Nie chciałem przecież, by z mojej winy całkiem oślepla. Drzwi do jej izby otwały się, gdy przechodziłem mimo, jakby na mnie czekała.

– Kacperku, to ty? Wejdz na chwilę.

Mieszkała wygodnie, niemal po patrycjuszowsku, bo już stary Balcer był dość zamożny, a ona po jego śmierci przed dziesięciu laty znacznie rozwinęła interes. Pierwsze piętro naszej kamienicy w rzeczy samej było wygodne i niemal tak wystawne jak *piano nobile* w magnackich pałacach. W kącie stał okazały piec kaflowy, chyba równie piękny jak te na zamku krakowskim, dlatego było tu ciepło i przytulnie.

– Usiądź przy mnie, proszę – pociągnęła mnie na ogromne łoże z baldachimem, rozsuniętymi zasłonami i wygniecioną atłasową kapą; dowód, że nie było używane tej nocy do spania.

A więc moje pierwsze wrażenie było słuszne, nie chodziło o chorobę oczu – ciotka miała zmartwienie, inaczej nigdy nie usiadłaby na swojej cennej, patrycjuszowskiej narzucie, która stanowiła przedmiot jej dumy. Z bliska zobaczyłem ślady łez na poczciwej, pyzatej, nieco już pomarszczonej twarzy.

– Dorotka nie wróciła na noc do domu – powiedziała, chlipnęła i złapała mnie za rękę.

Dorota była jej młodszą córką. Starsza, Jadwiga, o rok młodsza ode mnie, wyszła za mąż w zeszłym roku i wyprowadziła się z domu. Był jeszcze syn, Andrzej, od dawna na swoim.

– Może jest u Hedwiżki – pocieszyłem ją.

– Nie. Przed chwilą wrócił Niziołek, którego tam posłałam. Jadwinia nie widziała siostry od trzech dni.

Nie wiedziałem, co powiedzieć, żeby nie zranić ciotki. Wszyscy wiedzieli, że Dorota to nicpotem, wszyscy oprócz ciotki, zapatrzonej w córkę jak w obraz. Rozpieszczała ją i pozwalała na wszystko, traktując jak królową, co nie wyszło dziewczce na dobre. Miała dopiero piętnaście lat, a już wiedziała o mężczyznach tyle, ile ja o niewiastach nie dowiem się do końca życia. Zamiast serca miała kieskę, a miast mózgu – liczydło. Okrągła blondynka o niebieskich oczach i z wielkopańską miną; mężczyźni za nią szaleli, zwłaszcza starsi. Nie wiem, na ile im pozwalała, może tylko się nimi bawiła, ale o jednym byłem przekonany – jeśli Magda bywała dziewczką lekką, to miała duszę anioła, Dorota zaś tylko wyglądała jak anioł. Rzadko ktoś miał tak utrafię imię. Zresztą nie lubiłem jej nigdy, ona odpłacała mi podobną monetą, zła, że jej urok na mnie nie działa. To prawda, napatrzyłem się w gospodzie tyle (a wcześniej jeszcze więcej – do dziś prześladował mnie widok małych dziewczynek oddających się za łyżkę strawy), że podobne niewiasty wcale mnie nie podniecały, choć okazji nie brakowało. Czasem nawet zastanawiałem się, czy aby wszystko jest ze mną w porządku.

– Nie myśl, że jestem ślepa – ciotka przerwała mi te rozmyślenia nad naturą ludzką, zresztą w samą porę, bo nic mnie tak nie wyczerpuje jak myślenie o imponderabiliach. – To znaczy, prawie jestem, ale pojmujesz, idzie mi o to, że...

Znów chlipnęła.

– Wiem, że rozpuściłam Dorotkę... że dziewczka ma złe skłonności, ale to przecie jeszcze dziecko!

Spojrzała na mnie z rozpaczą. Nie zgadzałem się z nią, wedle mnie Dorota była już od dawna dojrzałą niewiastą, ale nie chciałem robić ciotce przykrości.

– Wiem, że widywano ją w różnych niepoczciwych miejscach... – ciągnęła, lubo widziałem, ile ją to kosztuje. – Ale to z pustoty... Ja w jej wieku byłam taka sama.

Nie była, choć za młodu robiła rzeczy, które zacnym białogłowom nie przystoją. Ale w głębi serca zachowała niewinność. Stary Balcer to czuł, dlatego się z nią ożenił, a ona nigdy go nie zawiodła jako żona. Córki jednak nie upilnowała – wiedziałem dobrze, gdzie Dorota spędza całe dni. W smatruzie, łaźniach i spelunkach, mydląc matce oczy, że odwiedza siostrę lub przyjaciółki albo przymierza się do rzemiosła, tylko nie mówiła – jakiego. Podejrzewam, że najstarszego. Ostatnio parę razy nie wróciła do domu na noc pod pozorem pieczy nad cierpiącą družką. Mimo wszystko to moja mleczna siostra i musiałem jej pomóc w potrzebie. Byłem to winien ciotce.

– Niedawno zrobiłam jej awanturę – pociągnęła nosem – a ona odszczeknęła, że zbiegnie z domu... Byłam dziś w smatruzie, bo wiem, że czasem tam zachodziła, ale tam jej też od kilku dni nie widziano...

Smatruz, czyli miejsce, gdzie mistrzowie cechowi sprzedawali swoje wyroby, a kupcy towary, o ile nie mieli własnych kramów, znajdował się na piętrze Sukiennic, z

wejściem po schodkach od strony ulicy Świętego Jana. Handlowano tu głównie norymberszczyzną, a swoje kramy mieli kowale, kartownicy, szpalernicy, iglarze, nożownicy, barchannicy, paśnicy, białoskórnicy, farbiarze, kaletnicy i rymarze. Było to przy okazji ulubione miejsce spotkań młodzieńców szukających przygód oraz panien z półświatka, toteż koso patrzono na dziewczki z zacnych domów, chętnie tu przesiadujące i trawiące czas na plotkach, pogaduszkach i amorach. Rada miejska zalecała nawet starszym niewiastom, by czuwały nad obyczajnością młodzieży. W sam raz miejsce dla Doroty i też bym jej tam szukał najpierw.

– Znajdę ją, mateczko, choćby się skryła pod ziemią – obiecałem, obejmując ją ramieniem. – Ale teraz już naprawdę muszę iść. Ty zaś połóż się i zdrzemnij trochę.

Ścisnęła mi mocno rękę i zdało mi się, że nieco się uspokoiła. W kuchni siedzieli Nizioł z Sępem i zażerali się pajdami chleba ze smalcem.

– Wstałeś jednak – rzuciłem do Sępa, krając sobie potężną kromkę.

– Mówiłem, że wstanę. Nie przepuszczę takiej sposobności.

– Dokąd się wybieracie? – wymamrotał Nizioł z pełną gębą.

– Na zamek.

– Jakaś nowa awantura? Weźmiecie mnie?

– Kiedy indziej. Słuchaj, gdzie byś szukał Doroty? Nie wróciła na noc i ciotka się zamartwia.

Wzruszył ramionami.

– Bo ja wiem? Ta dziewczucha to latawica, sam wiesz. Może Kachna będzie coś wiedzieć, chyba były ze sobą w komitywie...

Kachna pracowała u ciotki – była najmniej sympatyczna ze wszystkich naszych dziewczek, w sam raz kompania dla Doroty.

– Dobra, przepytam ją, jak wrócę. Idziemy, Mikołaju.

Śnieg skrzypiał nam pod nogami, gdyśmy przemierzali miasto budzące się z wolna do życia. W paru kamienicach otwierały się już okna, a z niektórych kominów dobywał się dym. Na Rynek zajeżdżały pierwsze chłopskie wozy. Wtorek był przecież dniem handlowym. Skręciliśmy we Floriańską, a przy kamienicy Pod Murzyny – w Mikołajską.

– Na pewno znam miasto gorzej od ciebie – odezwał się Sęp – lecz ta droga na Wawel zdaje mi się wyjątkowo okrężna.

– Cieszę się, że nie śpisz, idąc, albo znów nie rozmyślasz o znikomości tego świata – odparłem. – Musimy wstąpić do mojego mlecznego brata, który jest płatnerzem. Mam do niego sprawę.

– A jak będzie spał?

– Na pewno nie. To niewolnik pracy i ranny ptaszek.

Andrzej z żoną Małgorzatą i dzieckiem mieszkali na rogu Mikołajskiej i Tandety *alias* Wendety. Wszystko, do czego doszedł, zawdzięczał sobie i ciężkiej pracy. Był tylko o pół roku starszy ode mnie i dzięki temu mój opiekun zatrudnił jego bezdomną podówczas matkę do karmienia mnie w szpitalu Świętego Ducha. Miał dwa lata, gdy

ciotka wyszła za Balcera. Stary dobrze go traktował, ale od początku dawał do zrozumienia, że chłopak nie ma co liczyć na schedę po nim i musi nauczyć się zarabiać na życie. Andrzej wziął to sobie do serca, a że od małego kochał się w broni, został płatnerzem (a raczej miecznikiem, choć i zbroje potrafił wykonać dla zaufanych znajomych), i to jednym z najlepszych w mieście, mimo młodego wieku. Miał po teściu podupadający warsztat i doprowadził go do rozkwitu.

Pchnęliśmy uchyloną bramę i przez sień poszliśmy na zadź. Jak przypuszczałem, Jędrzek już był na nogach i właśnie odkręcał okiennicę, która po otwarciu utworzyła ladę przed warsztatem. Część wyrobów dostarczał do kramów, ale najlepsze rzeczy trzymał w pracowni dla wybranych klientów. Kiwnął głową na powitanie, niespecjalnie zdziwiony moim najściem, choć rzadko miał sposobność widywać mnie o tej porze. W głębi, obok potężnego kowadła, zobaczyłem płonące palenisko. Pod ścianami stało i wisiało na nich mnóstwo rozmaitej białej broni.

– Przywiódłeś mi kupca? – zerknął ciekawie na Sępa.

– Nie, to poeta. Sępie, poznaj mego brata Jędrzeja, najlepszego płatnerza w mieście.

– Koloryzujesz – zarumienił się Jędrzek, ale komplement sprawił mu przyjemność.

– I miecznika, nie płatnerza. Rozpuszczaj ozór o tym, że zdarza mi się kuć zbroje, a wyrzucą mnie z cechu. Lepiej od razu rzeknij, czego chcesz.

Zapomniałem, że dobrze mnie znał. Zresztą nic w tym dziwnego, skoro ssaliśmy tę samą pierś. Przy drugim gąsioru zwykle kłóciliśmy się, kto komu podpijał więcej matczynego mleka.

– Tego – rzuciłem na blat rękojeść korda z ułomkiem ostrza, długim może na dwa palce.

– Fiu, fiu – gwizdnął, biorąc rękojeść, i skrzywił się z niesmakiem. – Stal kiepska, lecz mimo wszystko... Czyżbyś walił nim w mur?

– Gorzej. W zakuty łeb pewnego głąba kapuścianego.

– I co, zdzierzył?

– Toć widzisz, że nie.

– O łeb mi idzie.

– A! Walnąłem go płazem. Nic mu nie będzie, bo głupszy już być nie może.

– Kto by pomyślał... – kręcił głową ze zdumieniem, przyglądając się mizernej resztkę klingi.

– Właśnie. Potrzebuję nowego żelaza. Czeka mnie mała robótka.

Westchnął ciężko.

– Znów jakaś awantura? Kiedy ty wreszcie dorośniesz? No dobra. Wejdziecie do środka?

– Następnym razem. A teraz daj coś naprędce.

Wzruszył ramionami, zabrał ułomek korda i odrzucił w kąt, pogrzebał pod ścianą i na stołach w głębi pracowni, zdjął to i owo ze ściany, po czym wrócił z naręczem żelastwa i rozłożył wszystko przede mną na ladzie.

– Wybieraj.

Trochę czasu mi to zajęło, bo lubię broń i wiem, że siła od niej może zależeć. Co prawda kord nie jest bronią dystygowaną, ale ma swoje zalety – jest lżejszy od miecza, poręczniejszy, no i o wiele tańszy, co ma swoje znaczenie. Wielu rycerzy też na co dzień wolało kordy od ciężkich mieczy, a zresztą w dzisiejszych czasach coraz częściej spotykało się rapiery z Okcydentu albo szable z Orientu. Mnie jednak kord na razie zadowalał w zupełności. Wybrałem kord średniej długości, jednosieczny i lekko zakrzywiony. Słowem – jakby bliźniaczego brata złamanego, nawet do starej pochwy wchodził gładko.

– Dobry wybór – pochwalił mnie Jędrak. – Wiem, że głupio pytam, ale może wypadkiem tym razem za niego zapłacisz?

– Ależ ty jesteś pamiętliwy... Wstydzilibyś się. No, dobra, akurat jestem przy kabzie – machnąłem kordem parę razy na próbę, wsadziłem broń do pochwy i położyłem na blacie pięć nowiutkich florenów. – To za wszystkie poprzednie zakupy. Nie krępuj się, zdzierco, trafiła mi się niezgorsza robótka.

– Powinszować. Jeno pamiętaj, że głowę masz tylko jedną. Coś jeszcze? – spytał, widząc, że nie zabieram się do odejścia.

– Tak. Dorota nie wróciła na noc i matka się zamartwia. Nie widziałeś jej?

– Ostatni raz na Gody. Wiesz, że się nie miłujemy.

– I nie masz konceptu, gdzie jej szukać?

– Najpewniej w jakim zamtuzie – skrzywił się.

– Tyle to i ja wiem. Bywaj! Kłaniaj się Małgorzatce.

– A ty mamie. Aha, kiedy się pofechtujemy?

Jędrak nie tylko wyrabiał broń, ale i umiał się nią posługiwać znacznie lepiej od przeciętnego łyka, to i nie dziwota, że przewodził swemu cechowi podczas ćwiczeń zbrojnych.

– Przy inszej sposobności.

– Zgoda, ale pomnij, iż masz zaglądnąć do mnie po powrocie, a nie pożałujesz. A teraz masz to.

Sięgnął pod ladę i wyjął... książkę. No, tego to akurat bym się po nim nie spodziewał. Przyglądał mi się z uśmiechem.

– Cóżeś tak rozdziawił gębę? Upewniam cię, że jej co prawda nie przecził, za to zwartował od deski do deski i po dziesięć razy obejrzał sztychy.

Książka nie była duża, wydana we Włoszech w roku 1553 nosiła tytuł *Trattato di Scientia d'Arme*. Autor: Camillo Agrippa.

– To traktat o sztuce fechtów.

– Tyle to i ja wiem. Przeczij ją szybko, to sobie poćwiczymy.

– Zgoda – schowałem traktat za pazuchę kubraka i skinąłem Jędrakowi na pożegnanie; w odpowiedzi przeciągnął palcem po gardle i wykrzywił się paskudnie; cóż, braci się nie wybiera, zwłaszcza mlecznych.

– Myślałem, że zakom i w ogóle łykom nie wolno nosić oręza – mruknął

nieśmiało Sęp, gdyśmy wyszli na Tandetę, gdzie rzeźnicy już rozładowywali z wozów połcie mięsa, boczku i słoniny.

Sęp, choć poczciwiec, który swój miecz nosił chyba jeno dla parady i nigdym nie widział, by miał ochotę go użyć, był jednak szlachcicem i niechętnie widział, gdy ludzie podlejszego stanu korzystali z przywilejów należnych lepiej urodzonym; atoli w naszym mieście zdarzało się to nader często i nikogo, okrom przybyszy, nie dziwiło, że nawet Żydzi chadzają tu z bronią.

– Yhm – potaknąłem i wskazałem na mur miejskiego cmentarza, któryśmy właśnie mijali. – Tu leży sporo takich, co się do tego zakazu stosowali. Mnie tam na razie nie spieszno.

Nic na to nie odparł. Minęliśmy kościół Mariacki, akurat gdy trębacz na hajnalicy trąbił na ósmą.

– Powiedz mi – rzekł Sęp, zadzierając głowę – czemu jedna wieża jest wyższa od drugiej? Różne dziwy widziałem w świecie, ale takiego nie.

– Jest taka bajda, która powiada, że świątynię stawiało dwóch braci. Starszemu szło lepiej, budował prędzej i jego wieża była wyższa, więc młodszy zabił go z zazdrości, po czym dał głowę na katowskim pniu, czy też sam pchnął się nożem, już nie pomnę. A ku przestrodze innych bratobójców nóż – narzędzie mordu – zawieszono u krzyża w Sukiennicach. A tak po prawdzie, to ta wyższa wieża, hajnalica, należy do miasta i musi górować nad okolicą, żeby strażnik mógł łącno dostrzec pożar albo nadciągającego wroga i zagrać na trwogę, zasię ów zawieszony nóż to świadectwo, że miasto ma prawo karać na gardle.

– Ty wiesz wszystko – stwierdził Sęp z podziwem, czemu nie zaprzeczyłem, bo w istocie miałem otwarte oczy i umyte uszy oraz czytałem wszystko, co mi wpadło w ręce, a każdy wolny grosz wydawałem u księgarzy; toteż zakarbowałem w pamięci powiastkę Górnickiego o Gamracie i Maciejowskim i postanowiłem na dal nie być ani zbyt skromnym, ani nadto chełpliwym.

Wyjaśniłem jedynie:

– Czas jakiś chowałem się na ulicy. Znam każdy kąt w tym mieście, nawet najpodlejsze zakamarki.

Przekupki na Rynku otwierały kramy, służące z wiadrami biegły po wodę do rzapi, czyściciele sprząkali nawóz z bruku, dostawcy wyładowywali przywiezione towary. Z wolna Rynek zapełniał się przybyszami z całej okolicy, jak to w dzień targowy. Po kwadransie szybkiego, rozgrzewającego marszu Grodzką i Kanoniczą doszliśmy do Łaźni Jagiełły *alias* Domu Długosza. Opowiedziałem Sępowi jego historię, on zaś pochwalił się:

– Czytałem *Tractatus de duabus Sarmatiis Asiana et Europiana* [1] oraz poprawione wydanie *Chronica Polonorum* [2] Miechowity.

Jeśli idzie o książki, osobliwie historyczne, mało kto mógł się ze mną równać. Udało mi się nawet zdobyć pierwsze wydanie wspomnianej *Kroniki*, rzadkie

niezmiernie, gdyż na rozkaz króla Starego nakład został skonfiskowany i spalony na stosie przez kata, jako że autor podawał w wątpliwość pochodzenie z prawego łoża Jagiełłowego potomstwa. Musiałem obiecać Sępowi, że zaraz po powrocie do gospody dostanie je do przegładnięcia. Nie wstępowaliśmy do księdza podkanclerzego, bo nie miałem jego ekscelencji na razie nic nowego do powiedzenia. Przeszliśmy kładkę na płynącej tędy ku Grodzkiej bronie Rudawie [3] i stanęliśmy u stóp Wawelu.

– Ależ wielki! – rzekł Sęp, zadzierając głowę. – Wciąż mnie to zadziwia. Ani w Italii, ani w Cesarstwie nic podobnego nie widziałem. Zażrę ci, że możesz go oglądać co dzień.

– A cóż mam z tego? – wzruszyłem ramionami. – To jak lizanie miodu przez garnek. Dziś będę pierwszy raz w środku, zupełnie jak ty.

Pokazałem strażnikom przy bramie list księdza podkanclerzego. Jeden z nich zaprowadził nas na odwach do dowódcy.

– Pójdę z tym do burgrabiego – oficer wskazał list. – Ale w zamku pewnie jeszcze śpią. Musicie czekać.

– Nie szkodzi, pomodlimy się wprzód w katedrze.

– Jak chcecie.

U wejścia do katedry Sęp przystanął i z rozdziawioną gębą podziwiał wielkie kości wiszące u wejścia.

– Co to?

– Kości olbrzymów z pradawnych czasów, może nawet owego smoka Holofagusa, o którym mistrz Kadłubek pisał, że mieszkał ongi popod Wawelem. Tylko ich nie rusz – powiadają, że jak się zerwą z łańcuchów, nastąpi koniec świata.

Jak oparzony cofnął wysuniętą już rękę. Otwarłem dzwierze, które król Kazimierz Wielki kazał obić blachą ze swoim inicjałem, i puściłem Sępa przodem. W głębi świątyni kościelny właśnie zapalał świece. Sęp przyklęknął przy srebrnej trumnie świętego Stanisława, usieczonemu na Skałce przez króla Bolesława Śmiałego, i zatopił się w modlitwie. Nie przeszkadzałem mu, choć sam uwinąłem się prędzej, bowiem nabożność nie jest moją mocną stroną. Praktyki religijne trochę mnie nudzą. Mam tylko nadzieję, że dobry Jezus mi wybaczy, bo w gruncie rzeczy znalazłoby się chyba parunastu chrześcijan gorszych ode mnie. No, może paru.

Sęp wreszcie skończył, podniósł się i podziwiał sztandary, które po każdym zwycięstwie zawieszano przy tym *Ara Patriae*. Między innymi wisało tu wszystkie pięćdziesiąt chorągwi zdobytych na Krzyżakach pod Grunwaldem, a także tatarskie i tureckie buńczuki.

– Z tymi buńczukami to była heca – szepnąłem do Sępa – którą opisał pan Górnicki w *Dworzaninie*. A może Decjusz albo Orzechowski? Nie pamiętam, zresztą nieważne. Oto na ślubie króla Starego z królową Starą jakiś pazik wmówił poselstwu krzyżackiemu, że owe końskie ogony to brody zdarte rycerzom zakonnym pod

Grunwaldem. A ci głupcy uwierzyli i zażądali wyjaśnień, które, a jakże, otrzymali. Ponoć śmiechu i uciechy z ich prostoty było co niemiara.

– Imaginuję sobie – uśmiechnął się Sęp.

Poszliśmy boczną nawą, mineliśmy najstarszy, ze zwykłego piaskowca wyrobiony, nagrobek króla Łokietka i doszliśmy do wielkiego krucyfiksu z figurą Chrystusa, przy którym tyle czasu zwykła spędzać dobra królowa Jadwiga. Atoli nie założyłbym się, czy Sęp nie był gorliwszy. Kiedym w końcu poklepał go niecierpliwie po ramieniu, spojrzał na mnie jak nieprzytomny, ale jakoś dał się odciągnąć.

Między sarkofagami króla Kazimierza Wielkiego i Władysława Jagiełły zdybał nas kościelny, a to dlatego, że Sęp nie mógł powstrzymać okrzyku na widok kaplicy Zygmuntońskiej.

– *Bellissima!* – wyrwało mu się.

– Cii... Gdzieś wyczytałem, że to najcelniejszy przykład renesansu na północ od Włoch – wtrąciłem.

– To prawda – potwierdził Sęp, a chyba wiedział, co mówi, bo nieco czasu spędził w Italii, a drugie tyle w krajach na północ od niej.

Wtedy właśnie zaskoczył nas staruszek kościelny.

– Co tu robicie, młodziankowie?!

– Wezwano nas na zamek, dziadku – rzekłem, bo wystraszony, jakby co zmalował, Sęp zapomniał języka w gębie. – A ponieważ ten młodzieniec przybył do stolicy z prowincji, więc korzystam z okazji, aby pokazać mu najpierwszy kościół w Polsce.

– O, to, to! – pokiwał głową staruszek. – Dobrześ rzekł, chłopcze, nic dodać, nic ująć – i dodał, rozbrojony: – Możecie ostać. Ale sza! To dom boży...

Kiedyśmy wreszcie wyszli, dzień rozpoczął się na dobre; przed katedrą zaroilo się od księży i kleryków oraz służby biskupiej i królewskiej. Przepustka już na nas czekała. Strażnicy w sieni przy bramie zamkowej bardzo dokładnie ją sprawdzili, a Sępa wpuszczono dopiero po awanturze, gdy oficer sprowadzony przez drabantów wyraził zgodę. Podczas gdy Sęp zadzierał głowę i podziwiał pięknie malowane krużganki, ja zaczępiłem przebiegającego mimo kuchcika:

– Ejże, którą do librarii?

Trąciłem Sępa i poszliśmy we wskazanym kierunku. Dobre pół godziny błądziliśmy po zamku, dla odmiany nie wzbudzając niczyjzego zainteresowania, gdyż zaambarasowana służba miotała się tam i sam i nie sposób było nikogo zagadnąć. Nieco mnie to zdziwiło, gdyż słyszałem, że pod nieobecność króla czeladź zamkowa wyjątkowo się rozprzegła, w myśl znanego porzekadła o kocie i harczących myszach. A jednak, mimo tej całej gorączkowej krzątaniny, widać było gołym okiem, że brak tu gospodarza. Król od dziesięciu lat przebywał bowiem poza stolicą, w Warszawie bądź na Litwie, a niekochana królowa, jego trzecia żona, Katarzyna Rakuszanka, najpierw żyła oddalona w Radomiu, a trzy lata nazad wróciła do

ojczyzny. Nareszcie stanęliśmy pod biblioteką i zapukałem. Nic. Drugi raz i znów nic. Otworzyłem więc drzwi i weszliśmy.

Komnata była obszerna, wypełniona szafami pełnymi ksiąg i pulpitemi do czytania, ale na mnie nie zrobiła wrażenia, gdyż libraria uniwersytecka w Collegium Maius, ufundowana przez króla Zygmunta Starego, rodziciela miłościwie nam panującego Zygmunta Augusta, jeszcze ją przewyższała. Stał w niej nawet globus, bodaj z 1510 roku, z zaznaczoną już Ameryką. Ale i *bibliotheca* królewska miała się czym poszczycić. Słyszałem, że król zbierał księgi niemal z takim samym zamiłowaniem, jak klejnoty, konie i kobiety – swe największe miłości. Spośród czterech tysięcy woluminów najwięcej było ksiąg prawniczych, a wszystkie oprawne w kurdyban i przyozdobione pięknym ekslibrisem z inicjałami SA – Sigismundus Augustus. Gdzieś tam na którejś półce stało dzieło wielkiego Kopernika oraz dwanaście ksiąg dziejów Korony pióra mistrza Długosza, który to rękopis król z powrotem sprowadził z Bari w Italii, dokąd uwiozła je nieboszczka królowa Bona, gdy wracała do swej ojczyzny, by tam umrzeć w niesławie. Wyczytałem u Górnickiego (albo u kogo innego), że raz pewnego Zygmunta Augusta wysłał za granicę po nowe księgi franciszkanina Lismanina, spowiednika swej matki, acz skłaniającego ucho ku nowomodnym herezjom, i powierzył mu bardzo dużą kwotę, co wyśmiał nieżyjący już błazen Stańczyk. „Powiedz mi, Stańczyku, iluś ty głupców równych sobie znalazł?”, obruszył się ponoć na to król. „Co dzień ich spisuję i już Zygmunta Augusta zapisałem”, odpalił trefniś. „A za cóż to?”. „Za to, królu, żeś tyle pieniędzy dał Lismaninowi i wyprawił go za granicę”. „Wróci on, wróci”. „Jak powróci, ciebie, królu, zamażę, a jego zapiszę!” No i rację miał mądry błazen, bo Lismanin nie wrócił. Powiadają, że osiadł w Helwecji i zmienił wiarę na kalwińską.

Przy pulpicie w głębi, pod oknem, siedzieli mistrz Jan i pan Łukasz, królewski bibliotekarz, zatopieni w rozmowie z dwoma innymi mężczyznami, tak zajmującej, że nawet nie postrzegli naszego wejścia. Nie zaprzętały ich sprawy wesołe, bo wszyscy miny mieli zafrasowane. Mimo woli posłyszałem strzęp rozmowy:

– Nie może to być! – to mistrz Jan.

– To sprawka Mniszchów. Coś knują, dam głowę – to jeden z tych dwóch, nieznany mi blondyn.

Górnicki coś rzekł, ale tak cicho, że nie usłyszałem, okrom „zdrada” i „spisek”. Ów biały mu odparł, ale posłyszałem jedynie „sodoma, gomora”. Drugi, młodzieniec czarnowłosy i z takimż wąsem, zaledwie parę lat starszy ode mnie, nic nie mówił, lecz był z nich wszystkich najbardziej markotny. Chrząknąłem i wtedy nareszcie nas dostrzegli.

– O, mój młody przyjaciel – uśmiechnął się Kochanowski. – Witaj, chłopcze. Kogoś tu ze sobą sprowadził?

– *Servus* waszmościów unizony – skłoniłem się głęboko. – To mój towarzysz i druh serdeczny, a przy tym poeta, urodzony Mikołaj Sęp Szarzyński herbu Junosza, szlachcic z Rusi.

Sęp uklonił się obecnym, acz nie tak nisko jak ja, oni zaś unieśli się z miejsc i też skłonili głowy, jak szlachcice szlachcicowi. Nie żebym był zawistny, ale czasem moje niskie urodzenie trochę mi doskwierało, zwłaszcza przy pochylaniu się w głębokich ukłonach.

– To ten młodzieniec, o którym ci opowiadałem – powiedział mistrz Jan do owego białego, postawnego mężczyzny około trzydziestoletniego. – A to, chłopcze, panowie Jan Zamojski, sekretarz królewski, oraz Jan Tomasz Drohojowski, najwierniejszy dworzanin jego królewskiej mości.

Ów zerknął na mnie ciekawie.

– Wiele dobrego słyszałem o tobie, mospanie, od tu przytomnych waszmościów – rzekł.

– Ichmościowie nazbyt są łaskawi dla mnie, chudopachołka – jeśli mam na to ochotę, nikt nie prześcignie mnie w grzeczności.

– My się już znamy – zauważył Zamojski.

– To zaszczyt, że wasza miłość zechciał zakonotować w pamięci nasze krótkie widzenie – odparłem mile połączony dobrą pamięcią wielmoży, któremu mimo młodego wieku powszechnie wróżono wielką karierę, bo w rzeczy samej jeden tylko raz, parę miesięcy temu, bawił w naszej gospodzie razem z mistrzem Janem, z którym poznali się na studiach w Padwie.

– Z waszmościem też się poznałem – ku mojemu zaskoczeniu Zamojski skierował te słowa do Sępa, ale potem zwrócił się do pozostałych: – Dwa lata nazad, gdym z woli jego królewskiej mości egzekwował starostwa samborskie i drohobyckie, które pan wojewoda Starzechowski trzymał nieprawnie, na domiar od należnego królewskiemu skarbowi czynszu się uchylając.

Teraz przypomniałem sobie tę głośną w swoim czasie sprawę. Oto król powierzył tak delikatną misję swemu najmłodszemu sekretarzowi, ówczasie kasztelanowi chełmskiemu, zapewne by wypróbować jego zręczność, a ten sprawił się wybornie, choć miał przeciw sobie wcale wpływową rodzinę Starzechowskich, z synami wojewody na czele, oraz liczną gromadę ich klientów i popleczników. Zamojski nie uląkł się ich, opanował Sambor i Drohobycz i przejął należne skarbowi czynsze, przez co doprowadził Starzechowskich do ruiny i upadku. Król zaś, wiecznie nie mając pieniędzy, wynagrodził wiernego sługę, puszczać mu w dzierżawę oba starostwa. Nie miałem tego za złe Zamojskiemu – umiał dbać o swoje, a ja ceniłem takich ludzi.

– Spośród stronników pana wojewody Starzechowskiego – ciągnął Zamojski – jednego dobrze zakarbowałem w pamięci; przytomnego tu młodzieńca, który pożegnał zmarłego akurat wojewodę pięknym epitafium, a potem ułożył na cześć mojej niegodnej osoby ucieszny paszkwilus. Tuszę, że to nie waść strzelałeś do mnie w Samborze w dzień świętego Marcina?

Sęp zaczerwienił się.

– Miałem wówczas siedemnaście lat i pstro w głowie, wasza miłość, zaś pan Starzechowski był przyjacielem i dobrodziejem mego rodziciela, a znów ja z jego

synami chodziłem do szkół. Atoli nie jam strzelał do waszmości.

– Wierzę i oto puszczam zaszłość w niepamięć – uśmiechnął się królewski sekretarz i wyciągnął do Sępa rękę. – Zwłaszcza że wiersz zaiste był dobry. Uśmiełem się jak rzadko, a byłbym więcej, gdyby nie mnie tyczył. Daj waść na zgodę.

Sęp skłonił się, ale bez uniżoności, i przyjął podaną dłoń, którą Zamojski mocno potrząsnął.

– *Ad rem*, waszmościowie – zniecierpliwził się Górnicki. – Bo czas ucieka.

– Właśnie, przybyłem tylko się przywitać i zaraz biegnę do kownat mości podskarbiego wypytać o owego złoczyńcę – szybko wtrąciłem.

– Już to uczyniłem – rzekł mistrz Jan. – Imię człeka, którego posądzono o kradzież złotej łyżki, brzmi Bartosz, czy też Bartek. Ochmistrz pana Lubomirskiego nie jest pewien, choć sam indagował łotrzyka, jednak to działo się dawno i tak naprawdę ów chłop był tylko jednym z podejrzanych. Zresztą nie znaleziono przy nim zguby.

– Nic mi nie mówiłeś! – zawołał Górnicki. – Trzeba wysłać drabantów, zaarrestować obwiesia i odzyskać pieczęć!

– Nie takie to proste – zmitygował przyjaciela Kochanowski. – To człek luźny. Szukaj wiatru w polu.

– Ach, tak... – królewskiemu bibliotekarzowi wydłużyła się mina.

– Spodziewałem się tego – pospieszyłem go uspokoić. – Znajdę go.

– Oby... – westchnął Górnicki.

Nagle drzwi otwały się, weszło dwóch paziów, ustawili się po obu stronach i zawołali:

– Jego królewska mość!

Aż się spociłem z emocji, a co więcej, czterej królewscy dworzanie wyglądali na równie zaskoczonych. Stanęliśmy na baczność, gdy do librarii wkroczył najjaśniejszy pan. Przyglądałem mu się z ciekawością, bom nigdy go nie widział, gdyż król ostatni raz bawił w stolicy, gdym miał zaledwie dziewięć lat. I przyznam, że jego widok mnie rozczarował – nie tak imaginowałem sobie monarchę, zwłaszcza że ludzie starsi pamiętali jeszcze króla Starego, który miał ponoć prawdziwie królewski majestat i postawę. Tymczasem Zygmunt August był wymizerowany, o twarzy wychudłej, porytej zmarszczkami i porośniętej rzadką, długą i niechlujną brodą. Od czasu śmierci królowej Barbary nosił się czarno, głowę miał okrytą jedną z kilku tuzinów, jak głośiła fama, swoich ulubionych czapeczek, które zmieniał częściej niżli kochanice. Szedł w naszą stronę lekko przygarbiony, powłócząc nogami, a za nim postępowało czterech paziów, w tym jeden uginający się pod ciężarem wielkiej księgi.

– Połóż ją tam – rzekł do niego król, wskazując pulpit, przy którym staliśmy pochyleni w ukłonach, po czym pozdrowił nas gestem i zwrócił się do Górnickiego: – Mości Łukaszu, dopilnuj, aby odbito nasze znamię królewskie na tej księdze, i znajdź dla niej gdzieś miejsce, byle nie na widoku, bo zbyt trąci herezję.

– A cóż to za dzieło, wasza królewska mość? – zaciekawił się Górnicki, śmiały jak

zawsze.

– *Opus magicum* [4] mistrza Twardowskiego, który nam je darował. Powiadają, że napisał księgę z pomocą diabła – zaśmiał się król, znany z niedowiarstwa w jednych sprawach, a aż nadto ufny w rozmaite abrakadabra w drugich, a ja miałem okazję podziwiać jego zepsute zęby, znaczy te, które się jeszcze ostały.

Ludzie na mieście gadali, że jego królewska mość posunął się bardzo od łońskiego roku, gdy jego ulubionym medykiem został kształcony w Italii Piotr z Poznania. Za jego namową i z pomocą poczty kierowanej przez mości Montelupiego Italczyk Carducio słał królowi maści i wódki do nacierania, od czego najjaśniejszy pan zaczął się szybko starzeć, nabrał osobliwych upodobań i jęły mu wypadać zęby. Ale ja miałem jak najlepsze zdanie o mistrzu Piotrze, który słusznie uchodził za jednego z najbieglejszych medyków w naszych czasach. Podług mnie winny opłakanemu stanowi zdrowia był raczej niezbyt cnotliwy tryb życia monarchy, o którym gołębie na krakowskim Rynku od dawna gruchały.

– Czy to ty jesteś tym cudotwórcą, o którym tak pieje z zachwytu mistrz Jan? – zwrócił się do mnie król; widocznie Sęp wyglądał na tego, kim faktycznie był: pięknoducha, którego niepodobna posądzić o szukanie guza, choć jego udział w awanturze w Samborze przed dwoma laty zaskoczył mnie; widocznie była z niego cicha woda. Co innego ja, zamiłowanie do awantur miałem wypisane na czole.

– Wasza królewska mość, ja... – rymsnąłem królowi do stóp i pocałowałem rękę, którą łaskawie mi podał.

– Jak cię zwą, przypomnij nam, bośmy zapomnieli – przerwał mi.

– Kacper Ryx, najjaśniejszy panie. Naleziono mnie w Trzech Króli na progu szpitala duchaków i stąd takie miano. Miało być *rex*, ale dziatwa i nieuczni starsi przekręcili na Ryx i tak ostało.

– No to jest dwóch królów w Koronie i Wielkim Księstwie, mości Ryx – zaśmiał się krótko monarcha, co zabrzmiało jak kasznięcie, po czym rzekł: – Powiem krótko – czarne oczy, jedyne, co w królewskiej postaci zdradzało oznaki życia, wpatrywały się we mnie badawczo – jeśli uwiniesz się, zanim wyjadę, nagroda cię nie minie. Ale spiesz się, masz czterdzieści osiem godzin. Waszmościowie – zwrócił się do nas wszystkich. – Powtórzę raz jeszcze, co niektórym już wiadome: ani słowa, żeście nas widzieli. Jesteśmy w Krakowie *incognito* i nie chcemy, by wieść o tym rozeszła się po mieście. Pojutrze udajemy się do Lublina. Janie, czy przygotowałeś papiery, o które prosiłśmy?

– Tak jest, najjaśniejszy panie – odparł Kochanowski.

– I co, znalazł się akt unii mielnickiej z Litwą?

– Nie, wasza królewska mość. Przepadł jak kamień w wodę.

– To źle. Na sejmie znów będą o to pytać. Janie – tym razem zwrócił się do Zamojskiego, poprawiając przy tym czapeczkę – po powrocie z Lublina zajmiesz się porządkowaniem archiwum skarbu koronnego. A teraz odszukaj dokumenty świętej

pamięci królowej Bony, pomocne w odzyskaniu sum neapolitańskich [5]. Kto wie, może hnet wyślemy cię na pertraktacje do Italii.

– Z ochotą, wasza królewska mość! – zawołał szczęśliwy z kolejnego dowodu łaskawości monarszej Zamojski i przypadł do królewskiej ręki.

– Janie – rzekł król, tym razem do Kochanowskiego, i gestem wskazał na mnie – wystaw temu chłopcu papier, który zobliguje nasze służby królewskie do udzielenia mu pomocy. Może się przydać.

Ignorując moje podziękowania, ruszył ku drzwiom, rzucając polecenie:

– Tomaszu, pójdź z nami, jesteś nam potrzebny.

Obrócił się na pięcie i opuścił bibliotekę, nie obdarzywszy nas już ani słowem, ani spojrzeniem. Paziowie oraz Drohojowski pospieszyli za nim.

– Na nas też już pora – rzekłem.

– Zaczekaj – powiedział Kochanowski, podszedł do pulpitu i odszukawszy opieczętowaną *in blanco* kartę, szybko i zamasyście wypełnił ją pismem, posypał piaskiem, zdmuchnął go i wręczył mi. – Masz, w rzeczy samej może być przydatne.

Rozwinąłem papier i przeczytałem: „Jest wolą naszą królewską, aby ichmościowie wojewodowie, starostowie oraz drudzy serwitorzy nasi królewscy nie czynili przeszkód, a przeciwnie – ochotnie udzielili wszelkiej żądanej pomocy, o ile o takową wystąpi, posiadaczowi rzeczono pisma, słudze naszemu, mości Kacprowi Rykowski. Dan w Krakowie, 16 lutego A.D. 1569”. Do tego pieczęć i podpis królewski ze wszystkimi imponującymi tytułami. To robiło wrażenie i faktycznie powinno dużo ułatwić.

– Nie musisz oddawać pisma po powrocie – uśmiechnął się szelmowsko mistrz Jan. – A nuż zda się jeszcze kiedy.

Z przejścia nie mogłem wydobyć z siebie słów na pożegnanie, tylko zgiałem się w ukłonie, dierząc papier przy piersi jak najdroższy skarb, więc Sęp przejął inicjatywę.

– Waszmościowie – rzekł uroczyście, kładąc dłoń na sercu – wiedzcie, że dzień, w którym poznałem cztery najteższe umysły i dwa najpierwsze pióra w Koronie, na zawsze zostanie w mojej pamięci.

– Waćpan jesteś poetą, jak słyszałem, i to niezgorszym. Chętnie przy jakiejś okazji przeczytam wiersze waszmości – uprzejmie odparł Kochanowski.

– Ja... Wypadkiem mam je przy sobie – zarumienił się Sęp.

Sięgnąwszy za pazuchę, wydobył plik papierów zapisanych starannym pismem i położył na pulpicie przed wielkim poetą. A ja pojąłem, dlaczego Sęp wydał mi się dziś grubszy niż zazwyczaj. A to przebiegła liszka!

Górnicki uśmiechnął się pod nosem, podniósł dłoń w pożegnalnym geście i powiedział:

– Powodzenia. Słyszeliście, co rzekł król – mamy czterdzieści osiem godzin.

– Zdążymy – odparłem z pewnością, której wcale nie czułem.

– Ty chytrusie, aleś to sprytnie uczynił – rzekłem do Sępa, gdyśmy przemierzali zamkowe korytarze wypełnione dworzanami i służbą, wielce gorliwie pełniącymi swe obowiązki, widać wieść o niespodziewanym przybyciu króla już zdążyła się rozejść do najdalszych kątów.

– Nie zmrużyłem dziś w nocy oka – wyznał Sęp. – Alem do rana miał wszystko na czysto przepisane!

– No, no, anim przypuszczał, że tak dobrze potrafisz dbać o swoje interesa. Nie mówiąc o tej awanturze z Zamojskim przed laty...

Uśmiechnął się od ucha do ucha, chyba po raz pierwszy, odkąd się znaliśmy.

– Jeszcze cię nieraz zadziwię. A teraz dokąd?

– Do „Smoczej Jamy”!

– Dworujesz sobie ze mnie?

– Gdzieżbym śmiał.

– Rzucisz mnie smokowi wawelskiemu na pożarcie?

– Może i powinienem, bo baran jesteś!

Dał mi kuksańca i pobiegł naprzód. Dogoniłem go dopiero w połowie wzgórza.

– Stój, głupcze, bo strażę przy bramie nas zatrzymają!

Ale z wyjściem nie było problemu – przepustka czyniła strażników wyjątkowo grzecznymi. Opuściliśmy Wawel boczną bramą przy baszcie Lubrance, gdzie tracono zbrodniarzy z wysokich rodów. To furkę w tej bramie rąbała toporem królowa Jadwiga, gdy chciała uciec z zamku, by nie wychodzić za księcia Jagiełłę. Wreszcie uległa perswazjom dworzan, a na koniec Chrystus z katedry przemówił z krzyża do upraszającej rady i przekonał, by poświęciła się dla chwały Bożej i dobra Litwy, ostatnich już pogan w Europie, których Jagiełło obiecał ochrzcić po ślubie z królową. *Exaudita est oratio tua* [6], miał rzec Jezus i królowa pogodziła się z losem, wysyłając jednak dworzanina Zawiszę Czerwonego z Oleśnicy, by podglądał Litwina w kąpielu, czy aby ów jest należytej konstrukcji cielesnej. Wiedziałem takie i inne rzeczy, bo gdyby nie medycyna, pewnie obrałbym profesję dziejopisa.

Zeszliśmy do stóp wzgórza wawelskiego i skierowaliśmy się nad Wisłę, między ulicę Rybaki, zabudowaną ubogimi chatkami rybaków wiślanych, a Podzamcze, tam, gdzie w wapiennej skale była wydrążona ogromna grotta, ponoć przed wiekami siedziba smoka Holofagusa nękającego krakowian. Jak tam było z tym smokiem, nie wiadomo, jedno jest pewne – do niedawna liczne groty i dziury pod zamkiem zamieszkiwali rozmaici osobliwi ludzie, płacący za to do królewskiego skarbcza. Dopiero panujący nam miłościwie Zygmunt August precz przegnał tych lokatorów, a część grot przeznaczono na śmieci i odpadki zamkowe, drugie zaś jako kanały do odprowadzania szlamu i nieczystości do Wisły. Z wyjątkiem jednej, największej jaskini, w której od dawna istniała tawerna dla flisów zwana „Smoczą Jamą” albo „Pod Skalką”, najgorsza *spelunca latronum* ze wszystkich w mieście, za to z niezgorszym zamtuzem i najurodziwszymi ladacznikami. Niejeden stracił tu pieniądze,

często wraz z życiem – Wisła płynęła tuż obok, wystarczyło tylko pchnąć ciało, a samo turlało się do rzeki. A jak ktoś chciał mieć pewność, to niedaleko ciągnęły się resztki, lecz jeszcze wystarczająco rozległe, bagna Żabi Kruk. Kogo tam ciśnięto, znikał na amen.

Jak większość takich spelunek i ta była o tym czasie zamknięta na głucho. Załomotałem w drzwi. Nic. Kopnąłem. Prawie nic – stłukłem sobie tylko wielki paluch u nogi i aż syknąłem z bólu.

– Na razie idzie ci nieszczególnie – zauważył Sęp.

– To wymyśl coś lepszego, mądralo.

– A po co tu w ogóle przyszliśmy?

– Bo od czegoś trza zacząć. A to jest tawerna, w której najprędzej naleźć złoczyńcę. Prawdę mówiąc, tylko tacy tu zachodzą, jeśli nie liczyć włóczków i rybaków. No i na Kanoniczą stąd jak kamieniem rzucił.

– Na twoim miejscu spróbowałbym tędy – wskazał niewielkie okno przesłonięte natłuszczonym pergaminem, czy też rybim pęcherzem dla oszczędności, klienci bowiem pewnie tak często korzystali z tej drogi, dobrowolnie lub wyrzucani, że na szkle właściciel poszedłby z torbami.

– Wejść?

– Zawołać, baranie.

Nagle kupa łachmanów, zwalona przy wejściu, ożyła.

– Nie radziłbym – odezwała się.

– To mówi – zdziwił się Sęp.

– Pewnie, że mówi. A od święta nawet myśli – rzucił garbaty gnom o małpiej gębie, wyprostowawszy się na całą wysokość, raptem jakieś trzy łokcie.

– Dziś mamy wtorek i akurat nie wypada żadne święto – zauważyłem.

– Mimo to tuszę, że zbudzenie Małego Janka nie jest fortunnym conceptem.

– A to czemu?

– Przekonacie się – rzekł garbus, wrzucił ramionami i usiadł na wielkim głazie, jakby szykował się na widowisko.

– Może lepiej przyjść później – Sęp pociągnął mnie za rękaw.

– Nie mamy czasu – odparłem i wrzasnąłem do okna ile sił w płucach: – Smoku, wyłaź!

Nic.

– Może tam nikogo nie ma?

– Jest – wtrącił garbus jakimś takim dziwnym tonem, który powinien mi dać do myślenia, ale mnie także myślało się najlepiej od święta.

– Wyłaź, smoku, albo ja do ciebie przyjdę!

Usłyszałem kroki i ledwo zdążyłem odskoczyć od drzwi. Smród, który buchnął z otwartej nory, mógł powalić nawet beznosego, a co dopiero kogoś takiego jak ja, który boję się zwieszać nos na kwintę, żeby nie porysować stołu. Monstrum, które wypełniło sobą całe wejście, jako żywo przypominało Holofaga, zarówno z

fizjonomii, jak i charakteru wypisanego na pokierszowanej gębie. Imię Mały Janek tak samo miał dobrane jak Niziołek, którego nawet przewyższał wzrostem.

– Czego? – warknął głosem dudniącym jak ze studni.

– Ostrzegałem – odezwał się garbus z boku.

– Lepiej chodźmy – szepnął mi w ucho Sęp, szarpiąc mnie za połę. – Przyjdziemy, jak będzie w lepszym humorze.

Wątpiłem, czy takie chwile w ogóle mu się zdarzają, więc przełknąłem ślinę i odszepnąłem uspokajająco:

– Nic się nie bój, znam parę sztuczek.

– Czego? – powtórzył Mały Janek, tylko z większym jeszcze zniecierpliwieniem.

– Szukam Bartosza. Taki brodaty ze znamieniem na licu. Był tu poprzedniego wieczora.

– A ty co za jeden?

– Przyjaciel. Chciałem oddać Bartoszowi dług.

– Łżesz, psie. Wiesz, na kogo mi patrzysz? Na łobuza ze straży starościńskiej albo miejskiego draba. A wiesz, co ja z takimi robię? Urywam im łby jak kurakom. Ot, tak.

Sięgnął podobną do bochna chleba łapą, żeby mi to zademonstrować, ale byłem szybszy. Nie chwaląc się, jestem szybszy od większości przeciwników, a moje prawie sześć stóp wzrostu też nie jest bez znaczenia. Oskoczyłem, wziąłem krótki rozpęd i z całej siły uderzyłem głową w wypięty bandzioch Małego Jasia. Zwykle skutek był piorunujący, ale nie tym razem. Odbiłem się tylko jak piłka, ale nim upadłem, wielkolud pochwycił mnie w locie, zawinął i ostatnie, co zapamiętałem, to ulubione słowo garbusa:

– Ostrzegałem...

Ocknąłem się na brzegu rzeki, woda szumiała tuż przy mojej głowie... Nie, to w głowie mi szumiało. Szczęknąłem zębami z zimna i zorientowałem się, że cały jestem oblepiony śniegiem.

– Co się stało? – wydusiłem z siebie z trudem.

– Miałeś szczęście, i to dubeltowe – usłyszałem jak przez mgłę głos Sępa. – Raz, że rzeka jest zamarznęta, a dwa, że śnieg złagodził upadek.

– Ostrzegałem – usłyszałem garbusa.

– Powiedz to jeszcze raz, a uduszę cię własnymi rękoma – aż zgrzytnąłem zębami ze złości.

– Dobrze jest – westchnął Sęp z ulgą. – Dochodzi do siebie.

Jako i z ich pomocą udało mi się usiąść, a wnet także stanąć na nogi.

– Daleko doleciałem – zdumiałem się, oceniając odległość od „Smoczej Jamy”.

– To był piękny lot – zgodził się Sęp, otrzepując mnie ze śniegu.

– Najdłuższy, jaki widziałem – wtrącił się garbus.

– No, ale i Waligóra ma ode mnie pamiątkę, niesładnie legnie na brzuchu.

– W rzeczy samej, podrapał się po żywocie, nim znikł na powrót w „Smoczej

Jamie” – przytaknął Sęp.

– Pewnie go menda użarła – skomentował garbus.

– Nikt cię o zdanie nie pytał – warknąłem, bo gnom już mnie zaczął irytować nie na żarty.

– A szkoda, bo może byście się czego ciekawego dowiedzieli bez przywoływania wilka z lasu.

Dopiero teraz przyjrzałem mu się uważniej. Chudy jak szczapa, tak że garb jakby jeszcze bardziej wystawał mu spomiędzy sterczących łopatek, odziany w łachmany i brudny, wyglądałby na najędźniejszego włóczęgę, gdyby nie patrzące bystrze oczy.

– Wiesz coś, co mogłoby nas zaciekawić?

– Możliwe...

– Za dobrą wieść dobrze zapłacę, za kiepską nie dam nic – zastrzegłem. – Mów.

– Twój człek zwie się Bartosz z Lusiny. Zaszedł tu wczorajszego wieczora, a raczej nocy, tak jak rzekłeś.

– Skąd wiesz, że to był on?

– Znam go, choć chadzamy różnymi drogami i nie jesteśmy druhami. To najzuchwalszy *fur* w Krakowie, bo mimo iż prosty zeń wieśniak, sprytu mu nie brak. Jeśli dać wiarę jego przechwałkom, to i na zamek zaglądał. Co ukradł tym razem?

– Coś, czym łąco się udławi.

– Chyba nie to?

Wydobył z wielkiej zebraczej sakwy białą szmatkę z cienkiego batystu. W jednym z rogów pozostały ślady po wyprutym hafcie, układające się w litery F.P. – Filip Padniewski.

– Skąd to masz? – spytałem, składając chusteczkę i chowając do kieski.

– Byłem przy tym, jak ją wyrzucił. Zanim wszedł „Pod Skałkę”, korzystając z księżycowego blasku, wyjął zza pazuchy mieszek, a z niego tę chustkę. Szkoda, żeście nie widzieli jego miny, gdy rozzłoszczony precz ciskał chustkę, mieszek jednakowoż chowając z powrotem.

– I co, tak przy tobie sobie śmiało poczynął?

– Nie zauważył mnie, tak jak wy dziś, a przecie wtedy noc była. Nie dostrzegł też, głupiec, haftu ze złotogłowiu. Dzięki temu stać mnie było na sutą wieczerzę i dwa garnce piwa. Anim przypuszczał, że dziś za ten sam kęsek płótna znów będę wieczerzał – wyciągnął brudną łapę.

– Będiesz mógł śniadać i wieczerzać jak panisko przez miesiąc, jeśli jeszcze sobie coś przypomnisz – zachęciłem go.

– Nie ma jak dobra zachęta – potwierdził słusność mojej metody. – A więc opuścił spelunkę przed świtem. Tuszę, iż poszedł tam.

Wskazał kierunek przeciwny do tego, w którym leżał Kraków.

– Zatem poszedł do Kazimierza.

– Raczej do pewnej jego części – uściślił włóczęga. – Zwłaszcza jeśli ukradł coś, co niełatwo zbyć. Nie mogę wam pomóc, bo wolę się tam nie zapuszczać. Wiecie, o

czym mówię?

– Chyba wiem – odparłem. – Masz, zasłużyłeś sobie. A, jedno pytanie na koniec: nie widywałeś tu ostatnimi czasy dziewczki o anielskiej twarzy, białych włosach i niebieskich jak niebo oczach, lat piętnastu lubo wyglądającej na starszą?

Obracał w palcach złotego dukata z niedowierzaniem, potem zgryzł dla pewności w zębach, o wiele bielszych i mocniejszych niż królewskie. Co znaczy odpowiedni tryb życia!

– Zawsze do usług. A co do tej małej – tu pracują same takie, młode i ładne mały, nie żadne wycieruchy, których nikt nie tknie, chyba że po ćmoku i pijaku. Tawerna podła, lecz dorotki przednie i najrozmaitszej urody. Jedno mogę ci wszak rzec, boś mnie godnie nagroził – nie masz pośród nich białej modrookiej. Musisz popytać w Krakowie. Najlepiej w łaźniach – te młode i nieszpette często tam zaczynają. Jeśli będę wam kiedy przydatny, przychodźcie sam, „Pod Skalkę”, jak w dym.

– A jakby cię akurat nie było, o kogo mamy pytać?

– A jak myślisz? – skrzywił się drwiąco. – O Garbusa *alias* Ślepca.

– Ślepca?

– Ano – rzekł i wyjąwszy czarną opaskę z brudnej szmaty, przesłonił nią sobie oczy. – Posłuchajcie wiersza o dotkniętych nieszczęściem konfratrach, który sam ułożyłem, obzywając *Peregrynacją dziadowską*:

*A wy też, kalikowie, ślepi, głuszy, chromi,
Który ma zdrowe nogi, niech jedną wyłomi,
A drugi niech na raczkach jako tako łązi,
Drugiemu sie wrzekomo niechaj głowa kazi,
Niechaj głowę zawiąże, pospołu i uszy,*

Drugi za nim niech świadczy: „Choroba go suszy” [7].

– To jeno mały kęs większej całości. Chcecie słuchać dalej? – spytał uprzejmie.

– Następnym razem, dziś nam się spieszy – wtrąciłem szybko, myśląc sobie, że nasz Kraków to takie osobliwe miejsce, gdzie od poetów gęściej niżli drzew w lesie.

– Jak wola – wzruszył pochylonymi ramionami, po czym oddalił się w stronę Krakowa, stukając przed sobą kosturem i wołając jęczącym głosem: – Ludzie, ludzie, dobrzy ludziska, poratujcie ślepego od urodzenia...

– Miałeś nosa – pochwalił mnie Sęp. – Przyjście tutaj, to był strzał w środek tarczy.

Milczałem po części dlatego, że jestem przyzwyczajony do trafności swego rozumowania, a po części, bo mimo iż nie jestem drażliwy, nie lubię uwag o swoim organie powonienia, który wcale nie jest taki wielki, jak twierdzą prześmiewcy i kiepskie zwierciadło, zapaskudzone przez muchy, zawieszzone w mojej izdebce.

– A co teraz? Czy domyślasz się, o czym prawił ten człowiek? – ciągnął Sęp.

– Mniemam, że skierował nas do Oppidum Iudaeorum [8].

– A gdzie ono?

– Na Kazimierzu.

– Tam? – Sęp wyciągnął rękę i pokazał widoczne po drugiej stronie Wisły mury i szczyty budowli, a także wieże kościoła na Skałce.

– Tak, ale teraz musimy wrócić do Krakowa.

– Po co?

– Widzisz, o tym, że łup najlepiej sprzedać Żydom, to wie każde dziecko. Trudniej jednak przyłapać takiego na licu, a cóż dopiero w Oppidum Iudaeorum, czyli w Mieście Żydowskim, gdzie każdy obcy rzuca się w oczy bardziej niż Etiopczyk na śniegu. Dlatego wpierw muszę z kimś pogadać. Wracamy na Rynek.

Nie poszliśmy w ślady Garbusa, który przez groble na Nowym Świecie i Smoleńsku poszedł w kierunku Garbar. Mogliśmy też pójść tamtędy i wrócić do miasta broną Szewską, lecz nie była to przyjemna i bezpieczna droga. A zresztą nie tęskniłem do kompanii rzekomego ślepcy, choć i takie znajomości bywały przydatne. Kierowaliśmy się zatem Podzamczem ku Porta Lateranea, czyli furcie Pobocznej, zwanej tak, ponieważ została pobudowana nie tak dawno jak inne, główne i służyła przede wszystkim wygodzie księży kanoników obsługujących katedrę, a także orszakom królewskim udającym się tędy przez Zwierzyniec do letniego pałacu w Łobzowie. Minęliśmy posadowione nad rzeką spichlerze, składy, warsztaty ludwisarskie i snycerskie. Ponoć gdzieś tutaj miał ongiś swój warsztat przesławny mistrz Wit Stwosz, gdyż do ołtarza mariackiego potrzebował olbrzymich pni lipowych spławianych Wisłą. Przeszliśmy przez bramę, za którą zaraz stała Łaźnia Jagiełły, i skręciliśmy w ulicę Kanoniczą. Zastanawiałem się przez chwilę, czy nie wstąpić do biskupa, ale uznałem, że jeszcze nie czas, by rozpalać w nim nadzieję. Sęp ledwo powłóczył nogami. Silny nie był nigdy, a nieprzespana noc wycieńczyła go całkiem.

– Ciekawa robota, ale forsowna – powiedział.

– Możesz pójść od razu do domu.

– Coś ty! W życiu nie trafi mi się nic bardziej podniecającego. Idę z tobą.

– Już niedługo – pocieszyłem go. – Potem pójdziemy coś przegryźć.

Na rogu Wiślnej i Świętej Anny, przed wielką jak pałac kamienicą, którą kazał sobie pobudować nasz burmistrz Erazm Czeczotka, czeladź łaźiebna waliła w miedzianą miednicę zawieszoną u wejścia, czyniąc piekielny hałas na znak, że woda podgrzana, i zachęcając przechodniów do odwiedzenia tutejszej łaźni. Łaźni był w mieście dostatek, ponad tuzin, ale ta cieszyła się największą, acz wątpliwą sławą. Bo też trzeba przyznać, że pan burmistrz zatrudnił w niej najlepszą obsługę, płci obojga, która na życzenie umiała nie tylko obmywać i osuszać klientów. Ponoć Czeczotka nie gardził ich usługami, jakby mu było mało całego zastępu nałożnic, które jakoby utrzymywał. Przypomniałem sobie radę Garbusa i stwierdziłem, że na rozpoczęcie

poszukiwania Doroty to miejsce jest równie dobre, a może nawet lepsze od innych. Ale ta sprawa musiała na razie poczekać.

I znów znaleźliśmy się na Rynku, i to w porze, gdy było tu najruchliwiej, gwarno i tłoczno od ludzi wszystkich stanów. Najwięcej kręciło się oczywiście mieszczan, zarówno bogatych patrycjuszy lub ich służby, jak i biedoty miejskiej liczącej na nadzwyczajną okazję. Ale zdarzali się też przedstawiciele szlachty, zwykle gorzej odziani od patrycjuszy, lecz tym bardziej zadzierający nosa. Wiedziałem z doświadczenia, że często byli to najgorsi klienci – mieli wysokie wymagania, ale niedostatek ochoty, by za to płacić. Oczywiście, nie brakowało facimiechów i innych drobnych złodziejasków – niektórych znałem z widzenia. Oni też mnie znali i unikali jak ognia. Ja zaś wyznawałem zasadę „żyj i pozwól żyć drugim”, więc nie tykałem ich, dopóki nie czynili szkody mnie lub moim znajomym.

Wszyscy rzemieślnicy i przekupnie mieli kramy w przydzielonych miejscach i tylko tam mogli sprzedawać swoje towary. Kiedyś z pustoty próbowałem je zliczyć i wyszło mi, że na Rynku stało ni mniej, ni więcej, tylko sto trzydzieści kramów (otwartych straganów nie licząc). Były kramy i stragany „naprzeciw ratusza”, „na targu kurzym”, „na targu węglowym”, „pod Krzyżem” (czyli w przejściu Sukiennic), w smatruzie oraz kramy żelazne, maślane, powroźnicze, sienne, kichlarskie i jakie tam chcecie. Było zupełnie tak, jak to opisał imć Mikołaj Rej w *Żywocie człowieka poczciwego*, który znałem niemal na pamięć: „Idź na krakowski Rynek, tam się nadziwujesz; ano jedna kielbaski smaży, druga gzelce sprzedaje, druga wątrobę pieczoną z octem a z cebulą; druga też zwodzi, druga z opłatki po rynku i po ulicach biega, druga z wieńcy, druga z ziółki i z czerwona maścią siedzi. Więc i u krup, u śledzi, u masła, u świec, u sklenic, u jabłek, u zemeł, u botów, u ryb, u żuru, u barszczu, u ogórków, u rozmaitych ogrodnych rzeczy siedzi, a kto by się ich naliczył? Więc co ich po smatruziech, po kramikoch, pod krzyżmi siedzi! Jedna z żelazem, druga z płótnem, druga z barchanem, z leszem, z goździami i z rozmaitymi przyprawami, a kto by się tego napamiętał?” [9].

Na dodatek w dni targowe, czyli wtorki i piątki, od samego rana zjeżdżały na Rynek chłopskie wozy z okolicznych wiosek, ciągnęli piesi z tobołami i koszami pełnymi towaru. Handlowali tu nabiałem, drobiem, jarzynami, chlebem, czasem wiejscy rękodzielnicy próbowali sprzedawać swoje wyroby, ale z tym było trudniej, bo cechy miejskie zazdrośnie strzegły swoich przywilejów. Draby miejskie pilnowały też, by przekupki nie podkupywały towaru od wieśniaków, aby potem sprzedawać go z wielkim zyskiem – takie praktyki były surowo karane. Na słupie powiewała chorągiew na znak, że dzień targowy wciąż trwa.

– Ależ jestem głodny! – poskarżył się Sęp, gdyśmy się przeciskali pomiędzy kramami, wciągając w nozdrza smakowite zapachy.

– Cierpliwości – rzekłem i pociągnąłem go do „kramów bogatych”, dostawionych w dwóch rzędach do zewnętrznych murów Sukiennic od strony

kościół Mariackiego.

Prześliznęliśmy się między budynkami Wielkiej i Małej Wagi i weszliśmy na macloch. Odnalazłem kram złotnika Izaaka, bogatego Żyda, jednego z niewielu, którym udało się uzyskać przywilej handlowania na krakowskim Rynku.

– *Szalom alejchem*, pokój z tobą, sławetny Izaaku, najzręczniejszy ze złotników. Ładny dzień dziś mamy – powitałem kupca, który prowadził interes razem z pulchną córką Rebeką, miłą dziewczyną, strzelającą oczyma ku chłopcom, gdy tylko ojciec nie widział.

– Aaa, Kacper Ryx, którego wszędy pełno – Żyd, nie wiedzieć czemu, skrzywił się jak po zażyciu octu siedmiu złodziei. – A owszem, dzionek niczego. Chyba nie przyszlście tu, by mi go zepsuć? – łypnął na nas podejrzliwie.

Rebeka przeciwnie – korzystając z odwrócenia ojcowskiej uwagi, posłała Sępowi zalotne spojrzenie, pod którym zarumienił się jak pięknie przyrządzone pieczyste.

– Wstydzilibyś się, Izaaku – odparłem z wyrzutem – albowiem któż, jak nie ja, nieraz ocalił ci kram i skórę przed swawolnymi kupami niesfornych scholarów?

– To prawda, ale kto w dziecięctwie, największym będąc utrapieniem, płatał mi niezliczone psikusy?

– A fe – zganiłem niewdzięcznika – wstydzilibyś się wypominać mi błędy młodości, dostojny starcze, albowiem nie licuje to z powagą twojej siwej brody i pozycji, tudzież moją obecną stateczną kondycją.

– Przejdźmy do rzeczy, mowny młodzieńcze, albowiem zapewne nie bez kozery zaszczyciłeś skromne progi mego kramu – lekko zniecierpliwiał się zacny Izaak, który, odnosiłem takie wrażenie, zazwyczaj czuł się niepewnie w moim towarzystwie.

– Domyślność twa, starcze, przynosi ci chlubę i dorównuje urodzie twej córki Rebeki – ukloniłem się obojgu, lecz dziewczyna nie przestała zerkać na Sępa, gdyż mnie już dawno przeznaczyła na straty. – A ponieważ sprawa jest delikatna, przejdźmy w głąb kramu.

I tak uczyniliśmy, zostawiając kram pod opieką Rebeki, a Sępa na jej pastwę.

– Przykro mi to mówić, Izaaku – rzekłem już bez ozdobników i pustych słówek – lecz rzecz to powszechnie znana, iż wśród przedstawicieli twego wielce szacownego rzemiosła wielu trudni się przestępczym procederem skupowania skradzionych przedmiotów.

– Ależ...

– Niestety – ciągnąłem – tak się składa, niewątpliwie będąc kaprysem losu, iż to spośród twych współplemieńców, Izraelito, rekrutuje się większość paserów.

– Ależ!

– Chcę poznać imię najbardziej znanego pasera z Oppidum Iudaeorum – zakończyłem stanowczym tonem.

Stary Żyd wznosił ręce i oczy do nieba przysłoniętego dachem kramu.

– Nie znam nikogo takiego – rzekł tonem świętego oburzenia.

– Znasz.

– Nie znam.

– Luby Izaaku, przykro by mi było usłyszeć jutro, że jacyś swawolni żacy popsowali ci ten piękny kram...

– Nie odważyłbyś się.

– Przekonaj się.

Mierzyliśmy się wzrokiem i oczywiście stary Żyd przegrał ten pojedynek. Rzekł z rezygnacją:

– Jakub z ulicy Wielkiej, zaraz przy synagodze Starej. A teraz odejź i bądź przeklęty.

– *Szalom*, Izaaku, pozostań w pokoju. I pomódl się do naszego wspólnego Boga Ojca, bym rychło i pomyślnie uporał się z tą cuchnącą sprawą, bo inaczej ktoś niechybnie skorzysta ze sposobności, by wywołać tumult przeciw waszej nacji. Do rychłego zobaczenia, Rebeko.

Kiwnąłem na Sępa, mrugnąłem do Rebeki i ruszyliśmy do drzwi. Wypuszczając nas, Rebeka szepnęła mi na ucho:

– Na tyłach domu Jakuba, przy Kupa, a nie Wielkiej, jest sekretne wyjście. Zbiegnie tamtędy, jeśli u wnijscia zoczy obcych.

Uścisnąłem jej ukradkiem rękę i poszliśmy do domu.

– Miła dziewczka – zauważył Sęp, a mnie zdziwiło i ucieszyło, że to zauważył; albo nie był tak nieprzytomny, na jakiego nieraz wyglądał, albo powoli leczył się z melancholii, która sprawiała, że wolał dumać i obmyślać smutne wiersze w domowym zaciszu, niżli korzystać z drugich okrom wina uciech i włączyć się po świecie w poszukiwaniu guza.

Raz wypsnęło mu się przy trunku, że od otroka miłuje piękną wojewodziankę, wiedząc, że to beznadziejna sprawa. Nie wiem, czy to, czy rozbudzona w Italii bogobojność sprawiała, iż nieraz chodził jak błędny, z głową w chmurach i niewidzącym spojrzeniem. Albo czasem całymi dniami nie opuszczał mieszkania. Podczas gdy on stale zaglądał w głąb siebie, ja miałem oczy i uszy szeroko otwarte; pewnie dlatego on układał wiersze o Bogu, a ja zgoła odmienne, a mimo to rozumieliśmy się wybornie.

Był jednak tak zmęczony, że dał sobie wyperswadować wycieczkę, którą zaraz po posiłku miałem zamiar przedsięwziąć z Niziołem. Musiałem mu jednak obiecać, że nazajutrz znów zabiorę go ze sobą. Ledwo skończyłem się posilać, nadeszła ciotka i powiedziała:

– Był tu twój piastun. Pilnie żąda cię widzieć.

– Muszę pójść na Kazimierz.

– Mówił, że to pilne.

– Zagładnę do niego zaraz po powrocie.

Wstałem i zabrałem się do wyjścia. Zapytała mnie na odchodnym nieśmiało:

– Dowiedziałeś się czegoś o Dorotce?

– Nie, ale pytałem tu i ówdzie. Poszukam jej, jak tylko zakończę tę sprawę –

zapewniłem ją. – Zabieram Niziołka. Nie trap się, wrócimy przed wieczorem, zanim na dobre zacznie się ruch. Nizioł, idziemy!

Znów przemierzałem Rynek i Grodzką, platea Castrensis, która od starego kościoła Świętego Andrzeja na Okole nosiła miano platea S. Andreae i kończyła się jedną z siedmiu wielkich bram miejskich, broną Grodzką, znajdującą się w bliskości Wawelu i kościoła Świętego Idziego. Jestem wytrzymały, ale muszę przyznać, że ganieńcie po mieście od rana już nieco mnie zmęczyło i ledwo nadążałem za stawiającym wielkie kroki Niziołem.

Głównym traktem zwanym Pons Regalis [10] przemierzyliśmy ubogie i podmokłe przedmieście Stradom, gdzie oprócz nędznych chałup i warsztatów drobnych rzemieślników i partaczy jedyną okazałą budowlą był kościół ojców Bernardynów pod samym Wawelem oraz kościół i klasztor bożogrobców pod wezwaniem Świętej Jadwigi na drugim końcu przedmieścia.

– O! – ucieszył się Niziołek, oblizując się lubieżnie. – Zdążamy do „Piekła” czy „Raju”?

Między klasztorem a rzeką ciągnęły się bowiem ogrody zwane „Piekłem” i „Rajem”, sławne (a raczej niesławne) z odbywających się tu hulanek i lasciwii, ale przecie nie w zimie! Poza tym nasz cel znajdował się gdzie indziej i z rozpustą nie miał nic wspólnego, co Niziołek przyjął z lekkim rozczarowaniem.

Wkrótce weszliśmy na drewniany most Gliniany, zwany też Królewskim, przerzucony przez odnogę Wisły i łączący Kraków z założonym przez króla Kazimierza Wielkiego miastem Kazimierz.

– To tu podczas procesji w Boże Ciało, gdy królowa Jadwiga wracała karocą na zamek – stojąc na moście, powiedziałem do Niziołka, chcąc mu wynagrodzić poprzedni zawód, a wiedząc, jak lubi podobne historie – mały kotlarczyk został popchnięty przez ludzką ciżbę i poszedł w wodę jak kamień. Wiedziałeś o tym?

Nizioł nie znał tej powiastki i bardzo się wzruszył, ocierając łzy kułakiem.

– Wyłowiono nieboraka, a gdy dobra królowa okryła go swym kontusikiem, ożył – dodałem, poprawiając Niziołkowi humor. – Po dziś dzień cech kotlarzy przechowuje ów kontusik jako najcenniejszą relikwię.

Przebyliśmy most oraz bramę Glinianą albo Krakowską i zaleźliśmy się na głównej ulicy tejże nazwy. Kazimierz nie tylko miał niższe, pojedyncze i bardziej zniszczone mury od Krakowa, ale i kamienice były mniejsze, no i drewnianych domów stało tu znacznie więcej niżli w stolicy.

Minęliśmy ulicę Miedzuch i skręciliśmy w lewo, w następną, platea Pannificum, zwaną Żydowską, bowiem, biegnąc mimo kościoła Bożego Ciała i klasztoru kanoników laterańskich, prowadziła do głównego wjazdu (*Valva seu porta Iudeorum*; były jeszcze dwie mniejsze furty, tylko dla pieszych) do Oppidum Iudaeorum, odgrozonego murem od reszty Kazimierza całkiem niedawno, bo w początkach rządów miłościwie nam panującego Zygmunta Augusta, gdy rajcy

kazimierscy dogadali się w tej sprawie z kahałem, czyli gminą żydowską. Strażnicy bramni, czuwający tu dniem i nocą, przepuścili nas dopiero po okazaniu królewskiego rozkazu.

Krakowskich Żydów osiedlono na Kazimierzu przed niespełna stu laty. Wnet dołączyli do nich pobratymcy wygnani z Hiszpanii i Czech, którym ponoć, ale za tę historię głowy nie dam, tu właśnie spłynął z nieba list z napisem „*po lin*”, co w ich języku ma oznaczać „tu ostańcie” albo po prostu Polskę. Na Kazimierzu przynajmniej nikt ich nie napastował. Z czasem niektórzy z nich, tak jak mój znajomek Izaak, mogli otwierać składy i kramy w Krakowie, ale na noc i tak musieli wracać na Kazimierz. Poza tym jednak wiodło im się wcale nieźle.

Nigdy tu jeszcze nie byłem, Nizioł też, więc kręciliśmy się bezradnie jak bąki.

– Spójrz, niezła ta czarna – szturchnął mnie, zezując w stronę postawnej brunetki.

– Mnie bardziej się widzi tamta ruda.

– Mniemałem, że wolisz czarne?

– Co wolę, nie ma teraz znaczenia – odparłem, bo obie dziewczki czmychnęły, nim zdążyliśmy je zaczepić; w celu uzyskania informacji, rzecz jasna.

Błądziliśmy dalej. W bocznych zaułkach stały gęsto drewniane budy, w których ludzie gnieździli się w nieprawdopodobnej ciasnocie.

– Fuj! – skrzywił się Nizioł, bynajmniej nie czyścioszek. – Śmierdzi.

W rzeczy samej, były i w Krakowie miejsca, które należało omijać, i to z zatkanym nosem, ale Miasto Żydowskie po prostu całe śmierdziało. Ludzie, których zagadywałem, od razu rozpoznając w nas obcych, udawali, że nie pojmują, o co pytam. A niektórzy spoglądali na nas tak, że rad byłem, iż zapobiegliwie zabrałem ze sobą Niziołka, choć zwykle niełatwo mnie zbić z pantałyku.

– Zaraz wezmę któregoś za łeb i jak przyduszę, zaraz mu się język rozwiąże – zaproponował Nizioł, zniecierpliwiony nieskutecznością naszych poczynań.

– Doceniam twoją gotowość – mitygowałem go – ale nie jesteśmy na wojnie, mamy jedynie kogoś odszukać.

Nie bardzo wiedziałem jednak, jak się do tego zabrać. Ponad dachami domów widziałem co prawda szczyt okazałej budowli, niewątpliwie synagogi Starej, właśnie odbudowywanej po niedawnym pożarze przez muratora Mateusza Gucciego ze znanej włoskiej rodziny osiadłej w Krakowie, ale nadal nie miałem pojęcia, gdzie się obrócić. Pomógł mi szczęśny traf.

– *Dottore!* – zaczepiłem przechodzącego mimo dostatnio ubranego człeka o białej, dostojnej brodzie i szlachetnym obliczu.

Był to dobrze znany w Krakowie medyk, Samuel Aszkenazy z Udine, osobisty lekarz króla Augusta. Zresztą zdawało mi się z rana, że mignął mi na zamku. Widać, dobrze mi się zdawało.

– Czy ja nie widziałem dziś waszmości na królewskich pokojach? – doktor zmarszczył brwi. – Tylko towarzysz acana był jakby inny... – zmierzył Niziołka badawczym spojrzeniem z góry na dół i z powrotem i dam głowę, że z miłą chęcią

przeprowadziłby sekcję mego druha.

– Owszem – odparłem i odrobinę minąłem się z prawdą, co mi się czasem zdarza:
– Z rozkazu królewskiego mamy tu kogoś odnaleźć.

– Kogóż to?

– Złotnika Jakuba z ulicy Kupa.

– Rabbi Isserlesie... – doktor z uniżonością zwrócił się do swego towarzysza, który w przeciwieństwie do niego, przybysza z Italii, wyglądał i nosił się jak prawdziwy Żyd z Kazimierza, tyle że powagą i godnością przewyższał jeszcze medyka, któremu przecież nie brakowało ani jednego, ani drugiego.

Ani oni, ani ich ubożsi pobratymcy, których spotkaliśmy, nie nosili żółtych czapek nakazanych jeszcze przez króla Starego, gdyż miłościwie nam panujący August nie czynił różnicy między obywatelami odmiennych religii, mawiając: „Nie jestem stróżem waszych sumień”. Ba! Bogaci Żydzi miewali nawet u boku miecze, co bardzo gorszyło cudzoziemców.

– Rabin Mojżesz Isserles zwany rabbi Mosze, czyli Re-Mu? – zdumiałem się.

– Znasz mnie? – spytał starzec czystą polską mową.

– Któż, nawet chrześcijanin, nie słyszał o rabbim Re-Mu, rektorze sławnej jesziby, szkoły talmudycznej na Kazimierzu, pierwszej takowej w Polsce? – kadziłem mu bezwstydnie, choć naprawdę jego szkoła nie tylko w kręgach żydowskich cieszyła się sławą równą sławie Akademii Krakowskiej w świecie chrześcijańskim, stąd ściągало do Kazimierza wiele młodzieży żydowskiej z całej Europy, był bowiem Isserles, jak słyszałem, nie tylko teologiem, ale i astronomem, jeometrą oraz znawcą historii i filozofii Greków.

Obaj uczeni wymienili między sobą szybkie spojrzenia, po czym rabbi ledwie dostrzegalnie skinął głową, a lekarz rzekł:

– Cóż, rozkaz królewski trzeba wypełnić. Musicie iść w lewo, jeszcze raz w lewo, potem w prawo i to będzie ulica Kupa, a przy niej warsztat Jakuba ben Michela, złotnika.

Podziękowałem i poszliśmy swoją drogą. Lecz kątem oka dostrzegłem, jak medyk zatrzymuje jakiegoś małego ulicznika i coś mu perswaduje.

– Prędko – ponagliłem Niziołka i skręciwszy w prawo, puściłem się prawie biegiem.

– Mielśmy skrócić w lewo! – wydyszał Nizioł, teraz on ledwo za mną nadążając.

– Dlatego idziemy tędy – powiedziałem i nagle stanąłem jak wryty, bo pośród morza hebrajskich napisów, dla prawego chrześcijanina nie do odgadnięcia, jeden rzucał się w oczy: JAKUB, ZŁOTNIK.

Tak to złotnika Jakuba zdradziło upodobanie do prowadzenia nieczystych interesów z gojami. U wejścia do nory, będącej zapewne jego sklepem i mieszkaniem zarazem, stanęliśmy równocześnie z owym ulicznikiem, którego widziałem gadającego z doktorem.

– Dziękujemy ci, chłopcze, możesz już wracać – na wypadek, gdyby nie

pojmował po polsku, złapałem go za ucho i nogą nadałem mu właściwy kierunek; oddalając się z szybkością kuli armatniej, zdążył jednak coś krzyknąć piskliwym głosem.

– Biegnij od zadzi, odciąć mu drogę! – wrzasnąłem do Nizioła i przypadłem do drzwi akurat, gdy ktoś usiłował je zamknąć od wewnątrz.

Nie zdążył i wpadłem do środka, ale złotnik zdołał uciec. Niedaleko. Za chwilę w głębi domu usłyszałem rumor i wnet pojawił się w warsztacie Nizioł niosący pod pachą niedużego Żyda z rudą brodą.

– Ładnie to tak umykać przed gośćmi, sławetny Jakubie synu Michała? – zganilem go z wyrzutem. – Znasz polską mowę, a nie słyszałeś porzekadła: gość w dom, Bóg w dom? Nie słyszałeś, nie pojmujesz, nie gadasz po polsku? Nizioł, bądź łaskaw poprawić słuch naszemu gospodarzowi, a może nawet uda ci się rozwiązać mu język?

Mówiłem już, że Niziołek był chłopcem o ostrym rozumie, wbrew małpiemu wyglądowi łapał wszystko w lot, więc teraz ścisnął mocniej złotnika i sięgnął grubym paluchem ku jego rozdziawionym ustom.

– Puście! Powiem wszystko! – wrzasnął Jakub.

Dałem znak Niziołowi, a gdy uwolniony z niedźwiedziego uścisku złotnik zbierał się z brudnej podłogi i dochodził do siebie, ciężko dysząc i jęcząc, stwierdziłem raczej, niż zapytałem:

– Wczoraj odwiedził cię niejaki Bartosz z Lusiny, *homo trium literarum*, ze skradzioną pieczęcią królewską. Gdzie ona?

– Nie mam jej! Żeby tak zdrów był! – pod wpływem wstrząsu odzyskał mowę i okazał się całkiem biegle władającym polszczyzną, aż byłem dumny ze swych pedagogicznych zdolności i przez chwilę rozważałem, czy nie zostać jednak na dobre bakałarzem w jakiejś szkółce, ze stratą dla medycyny.

Wystraszony Żyd sięgnął do okutej skrzyni, pogrzebał w niej i wydobyl złoty łańcuch z zerwanym ogniwnem.

– Mam tylko to. Właśnie wybierałem się na zamek, by powiadomić pana starostę o kradzieży i oddać ten łańcuch.

– Wierzę – powiedziałem z takim niedowiarstwem w głosie, na jakie było mnie stać. – A teraz daj to, wyręcę cię.

Wyszarpnąłem łańcuch z rąk złotnika.

– Mów, gdzie znajdę Bartosza?!

– Tuszę, że wrócił do siebie. Tu nikt od niego pieczęci nie kupi. Zbyt trefny towar.

– Trefny? – nie rozumiałem, to znaczy rozumiałem, ale jakoś nie wydawało mi się, by Jakub to miał na myśli.

– Po naszymu: zły, niedobry, lepiej nie tykać.

– Więc najdę go w Lusinie?

Pokiwał głową.

– Kacper, wszak to niedaleko stąd – wtrącił Nizioł. – Ledwie o milę za Skawińską broną!

Dostrzegłem chytry błysk w oku pasera.

– O dobre sześc – poprawiłem Nizioła. – I nie za Skawińską, jeno za Bocheńską, boć to Lusina opodal Bochni, nieprawdaż, prawdomówny Jakubie?

Złapałem łobuza za brodę i pociągnąłem.

– Aj waj! Prawda!

– Dobrze. Wiemy już wszystko. I zakarbuy sobie w pamięci, Jakubie synu szlachetnego Michała – popróbuj jeno ostrzec Bartosza, a obiecuję, że zawisniesz wyżej od niego. Słyszałeś chyba o karze talionu? Nizioł, bierz go i trzymaj mocno, bo idę o zakład, że za drzwiami czeka na nas połowa obywateli tego zacnego miasta. Wychodzimy!

Na ulicy czekała na nas połowa mieszkańców Oppidum Iudaeorum albo coś koło tego – gdybym potrafił ich oszacować na pierwszy rzut oka, mógłbym zarabiać jako rachmistrz. Ale na oko było ich niemal tylu, żeby nawet Niziołowi i mnie sprawić trochę kłopotu, choć takich stu, jak nas dwu, to nie ma ani jednego.

– Cny Jakubie – rzekłem łagodnie – jeśli niezwłocznie nie przekonasz swych współplemieńców, że pragniesz w pokoju i samopas odprowadzić miłych gości do brony, to z najwyższą niechęcią będziemy zmuszeni poturbować wielu spośród tych poczciwców i zrujnować pół miasta, ciebie zażywając jako tarana. A potem, jeśli coś ostanie z twej doczesnej powłoki, zdrapiemy toto z burku i zabierzemy na Wawel.

– Czemu z niechęcią? – spytał Nizioł. – Ja tam żadnej roboty się nie boję.

Jednak Jakub sprawił mu zawód i nie zdradzając najmniejszej chęci stawiania oporu, szybko zagadał coś do swoich. Nie wiem, czy ich przekonał, i było mi to obojętne – grunt, że rozstąpili się, dając nam drogę. Starając się pocić do środka i trzymając pod opończą dłoń zaciśniętą na rękojeści kordu, postępowałem za Niziołem i złotnikiem, objętymi w serdecznym uścisku. Ale do bramy doszliśmy bez turbacji. Wypuszczony Jakub pomknął do domu z prędkością pocisku wystrzelonego z hakownicy, a my udaliśmy się w powrotną drogę do Krakowa.

– Uff, było gorąco – powiedziałem z ulgą, gdy już oddzieliliśmy się Wisłą od Jakuba i pozostałych Izraelitów.

– Coś ty, było pysznie! Zabierzesz mnie jutro do Lusiny?

– Po co? Myślisz, że nie poradzę sobie z jednym nędznym złodziejaskiem? Poza tym już obiecałem Sępowi, że go wezmę. A zresztą, pogadamy jutro.

Rozstaliśmy się na Rynku, bo miałem jeszcze jedną sprawę do załatwienia.

ROZDZIAŁ 3 | TRUP

– Uff, nareszcie – rzekł Drohojowski, wchodząc do biblioteki i opadając ciężko na krzesło.

Spotkali się w tym samym składzie co przed południem, tylko tym razem przy świecach.

– Jego królewska mość śpi? – spytał Zamojski kuzyna, bowiem nie tylko się przyjaźnili z Drohojowskim, ale też byli spokrewnieni przez Fredrów i Herbutów.

– Jak anioł. Zresztą okrom straży prawie wszyscy już śpią – jutro będzie ciężki dzień, a pojutrze wyjeżdżamy do Lublina, pamiętacie chyba?

– Ja nie – wtrącił Górnicki. – Znaczy, pamiętam, ale nie jadę.

– Dużo cię ominie – zauważył Kochanowski. – Zapowiada się ekstraordynaryjny sejm. Ciekawym, jak król zmoże opór Litwinów, na który się zanosi.

– Nie wiem, czy nasze spotkanie o tej porze to dobra myśl. Ktoś gotów pomyśleć, że spiskujemy – rzekł Drohojowski.

– Musimy pogadać, a w dzień nie ma spokoju – powiedział stanowczo Górnicki. – Zresztą, skoro mowa o spisku, to opowiadaj, Tomaszu. Od tego miejsca, w którym przerwano nam rano.

– Lepiej od początku – wtrącił Kochanowski – bo się pogubiłem. Tyle było dziś zamieszania...

– Zaczęło się bodaj tuż po Godach. Wśród czeladzi zamku warszawskiego rozeszła się wieść, że Mniszchowie ukrywają na swoich pokojach jakowąś dziewczę. Pojmujecie, nic pewnego – takie tam gadanie. Hnet jednak po mieście zaczęto szeptać, że ktoś dokonał zuchwałego wykradzenia z klasztoru sióstr bernardynek młodej mniszki, ponoć anielskiej urody. Po cichu zasięgnąłem języka tam i sam, ojciec spowiednik przyjął nieco grosza i otom się dowiedział, iż owa nowicjuszka, nie mniszka, jak gadano, zwała się Barbara Giżanka, mieszczka warszawska. Ojciec, možny kupiec Giża, odumarł ją, matka zaś nie radziła sobie z zalotną pannicą i za

furtę ją oddała. Dziewczę wszak do służby Bożej nabożeństwa nie miało i nawet w owym ojczulku spowiedniku poradziło wzbudzić grzeszne myśli, co mi wyznał przy drugim dzbanie zacnego węgrzyna. Aż tu raptem raz czy drugi nowicjuszkę odwiedziła ciotka, zacna siostra Maria Opacka, też zakonnica, więc poczciwe bernardynki nie czyniły wstrętów. Po trzeciej zaś wizycie siostry Opackiej nowicjuszka rozwiła się jak dym.

– Zgaduję, iż znalazła się na zamku – rzekł Górnicki.

– Zaiste, ale nie to najosobliwsze...

– A co? – spytał Kochanowski.

– To, że dziewczę z klasztoru wykradł przebrany za siostrę Opacką nie kto inny, jeno... – zawiesił głos dla lepszego efektu – Mikołaj Mniszech! A rzekome odwiedziny ciotuchny, do których doszło za pośrednictwem żydowskiego kupca Egidiusza, były to schadзки miłosne, dzięki którym urobił dziewczę...

– Nie może być! – zachnął się Zamojski.

– A jednak. To rzecz pewna i sprawdzona.

– Po co to uczynił? – zdziwił się Górnicki.

– Gizanka jest chodzącą kopią zmarłej królowej Barbary.

– Pojmuję! – zawołał Kochanowski. – Mniszchowie podsunęli ją królowi, wiedząc, jak bez miary miłował nieboszczkę.

– Piekło i szatani! Ale czemu z tym zwłóczyli, skoro, jak powiadasz, trzymali ją w zamknięciu na zamku? – zmarszczył czoło Górnicki.

– Właśnie! – zawołał tryumfalnie Drohojowski. – I mnie nie dawało to spokoju. Aż raptem, pomnę doskonale, było to w nocy z 7 na 8 stycznia, pogoda pod psem, śnieg z deszczem zacinął o szyby, wicher wył jak opętany... Brrr – wzdrygnął się.

– Co się wówczas stało? – wstrzymał oddech Kochanowski.

– W tym rzecz, że nie wiadomo – rozłożył ręce Drohojowski. – Mniszchowie oddalili z komnat królewskich wszelką czeladź, a u drzwi postawili okropnego człeka, bladego jak śmierć, który wszystkim wzbraniał przystępu. Przepuścił jednego tylko mistrza Twardowskiego.

– Tego maga? – upewnił się Górnicki. – Znam go.

– Jego. Powtórzyło się to jeszcze kilkakroć. Potem Twardowski został oddalony, za to Gizanka zyskała przystęp do naszego pana we dnie i w nocy. Król jakby się szaleju najadł – obsypuje dziewczę i jej protektorów złotem i drogimi klejnotami i spełnia wszelkie ich zachcianki. Do tej pory wydał na nich ze sto tysięcy złotych!

– Sto tysięcy! – zawołał Górnicki ze zgrozą. – Toż to bez mała tyle, co roczne przychody państwa!

– Ale to prawda! – zarzekał się Drohojowski. – Sam widziałem, jak Mniszchowie wynosili ze skarbcza królewskiego brzuchate skrzynie! Rozkradną dobra królewskie te łotry jak nic! Na domiar król nikogo rozumnego słuchać już nie chce. Z trudem jeno dał się odciągnąć od tej ladacznicy, by poprowadzić sejm, bo lęka się o całość królestwa po swoim skonie. Ale nie o wiele mniej lęka się o swą żaloznicę, bo do

takiej godności już doszła, a na dal aż strach myśleć! Odesłał ją pod silną strażą do Knyszyna. Nie chcę krakać, lecz, tfu, na psa urok – splunął na pawiment – gotów tę wywołkę uczynić królową, gdyby królowej jejmości Katarzynie zmarło się w Linzu, na co ponoć się zanosi, bo biedaczka słabuje wielce. Imaginujecie sobie, do jakiego znaczenia dojdą wówczas Mniszchowie, którym ta kukła Giżanka zawdzięcza wyniesienie? Jeszcze większego niż oba Radziwiłły, Rudy i Czarny, za życia nieboszczki Barbary...

– Trzeba najjaśniejszemu panu otworzyć oczy! – rzekł stanowczo Górnicki.

– To nic nie da – odparł Drohojowski – bo wystawcie sobie, najjaśniejszy pan wierzy, że Giżanka jest zamartwychwstałą królową Barbarą!

– Nie! – jęknął Kochanowski.

– Tak – pokiwał smutno głową Drohojowski, miłośnik prawdziwej nauki, gruntownie znający łacinę, włoski i francuski, który studiował na najlepszych uniwersytetach: w Wittenberdze, Tybindze i Bazylei. – Nie dacie wiary, ale nie ma takich guseł i zabobonów, ku którym król nie skłaniałby ucha.

– Mniszchowie zatem do spółki z Giżanką omotali jego królewską mość – stwierdził Górnicki.

– Całkowicie – potwierdził Drohojowski.

– Trzeba temu położyć kres!

– Ba, ale jak?

– A co ty o tym myślisz, Janie? – spytał Kochanowski Zamojskiego, który dotąd nie brał udziału w rozmowie, z uporem godnym lepszego obiektu studiując czubki swoich butów.

– Myślę.

– A może trzymasz z nimi? – zagadnął go Górnicki, bowiem nie tajno było przyjaciołom, że Zamojski kmotrzył się i pożyczał znaczne sumy od Jana Mniszcha, brata Jerzego i Mikołaja.

– Wiecie dobrze, że nie – obruszył się Zamojski. – I mnie, tak samo jak wam, leży na sercu dobro ojczyzny i miłościwego pana. To, że zaciągnąłem dług u jednego Mniszcha, nie świadczy, że siedzę u wszystkich w sakiewce. Za to przynajmniej teraz wiem, skąd mają pieniądze. I chyba mam koncept, jak zdobyć lica niechybnie świadczące o machinacjach Mniszchów...

– Jak?

– Trzeba odnaleźć imię Twardowskiego i wydobyć zeń zeznanie, co zdarzyło się podczas owej styczniowej nocy i następnych i sprawiło, że miłościwy pan nabrał przekonania, iż Giżanka to zmarła królowa. Mając dowody w ręku, będzie można wystąpić przeciw frantom na sejmie i obnażywszy ich łotrowskie zamysły, plany hultajom popsować.

– Słusznie – rzekł Drohojowski. – Tylko że mistrz Twardowski znikł, jakby się pod ziemię zapadł.

– Ergo trzeba go odszukać. Zajmiemy się tym zaraz po sejmie – powiedział

Zamojski.

– Mój Boże – westchnął Górnicki. – Znam dobrze Twardowskiego, drużyliśmy się nawet niegdyś, dopóki nie pogrążył się w czarnej magii – sam trzeźwego umysłu, pisarz wyśmiewał się z rozmaitych hokus-pokus, czemu dał wyraz choćby w *Dworzaninie*. – Jeśli wplątał się w coś takiego, już pewnie żałuje...

– Przekonamy się – powiedział Zamojski. – Łukasz, masz gdzieś niepróżną flaszkę?

– Pewnie – odparł bibliotekarz, zza ogromnego wolumenu wydobywając pękaty gąsiorek i kilka pucharków. – Wypijmy za zmwę patriotów!

– Niech żyje najjaśniejszy pan! – wzniósł toast Kochanowski.

Wszyscy wypili ochoczo i nikt w półmroku nie dostrzegł uśmiešku na przystojnym obliczu Zamojskiego. Zmysłny młodzieniec, bez wątpienia patriota i do tego przywiązany do króla, pamiętał wszak, że jeśli uda się obalić potężną frakcję Mniszchów, nie będzie musiał zwracać Janowi, bagatela!, czternastu tysięcy złotych polskich. Nie licząc osieroconych posad, które będą do wzięcia.

Czasami zastanawiałem się, kim jestem. Nie, to pytanie zadaje sobie od czasu do czasu każdy, chyba że jest bezmyślnym idiotą. Powinienem to ująć inaczej: skąd się wzięłem? Nie, żeby mnie to jakoś szczególnie gnębiło albo spędzało sen z powiek. Nie idzie mi też o pytanie, czy dzieci przynosi bocian, czy raczej znajdowane są w kapuście – jestem już dużym chłopcem i o tych sprawach wiem wszystko, bo zdarzało mi się odbierać niejedną poród, a przez ścianę często słyshałem odgłosy zazwyczaj poprzedzające go o dziewięć miesięcy.

Chodzi o to, że co jakiś czas lubiłem popuścić wodze imaginacji na temat rodzicieli. Czy matka była piękna? Biała czy czarna, a może ruda? Dwórka królowej raczej niż pospolita małpa? A ojciec? Szlachcic, w najgorszym razie żołnierz. Dlaczego mnie porzucili? Bo rodzic musiał uchodzić z kraju przed gniewem mego dziada magnata, który zhańbioną córkę kazał zamknąć w klasztorze? Miałem jeszcze kilka innych wersji na podorędziu, ale ta podobała mi się najbardziej. Oczywiście, wiem dobrze, że w gruncie rzeczy to bez znaczenia, kim się człowiek rodzi; ważne, kim się staje. Wpoił mi to mój opiekun i zasadniczo zgadzam się z nim, choć w naszych czasach życie zadaje temu kłam na każdym kroku – wszystko, pozycja i majątek, zależy od urodzenia i od tej reguły prawie nie ma wyjątków. Zresztą, mój ojciec równie dobrze mógł być zbrodniarzem, a macierz sprzedajną dziewczką. A jednak dużo bym dał za pewność, nawet gdyby miała być przykra. Myślę, że każdy w mojej sytuacji czułby podobnie, także ci, którzy zaznali w życiu tyle szczęścia, co ja.

Znaleziono mnie na progu kościoła i szpitala Sancti Spiritus ^[1] w sam wieczór Trzech Króli, temu zawdzięczam zarówno imię, jak i imionisko. Zaopiekowali się mną zacni ojcowie duchacy z zakonu świętego Augustyna de Saxia. Od 1244 roku,

odkąd sławny biskup Prandota przeniósł szpital z Promnika [2], mieści się on przy ulicy Szpitalnej, której użyczył miana. Do zadań szpitala należało przyjmowanie „ubogich, chorych, sierot, kobiet brzemiennych i leżących na ulicach”, tudzież kalek i niedołączonych starców. Z wyjątkiem pory Wielkiego Tygodnia na opiekę mogły liczyć nawet kobiety upadłe, jak ciotka Balcerowa, która młodość spędziła na ulicy, Jędrka powiła w tym szpitalu, a potem została moją mamką. Dzięki temu wszyscy razem mogliśmy korzystać z pieczy zakonników, którzy na użytek takich jak ja podrzutków utrzymywali w szpitalu pewną liczbę mamek.

Zazwyczaj podchowanych już nieco bękartów oddawano na służbę lub rzemieślnikom gwoli przyuczenia do zawodu. Atoli jeśli który zdradzał po temu zdolności, pozwalano mu się kształcić w miejscowej szkółce parafialnej. Sam znałem kilku takich, co liznąwszy nieco ogłady i łaciny, podawali się za dobrze urodzonych i nieźle im się w życiu powiodło. Ja miałem jeszcze więcej szczęścia, zostawszy ulubieńcem, niemal przybranym synem ojca Rocha.

Dziewiętnaście lat temu ojciec Roch był furtianem i to on znalazł mnie, kwilącego z zimna, owego mroźnego poranka. Może wtedy zrodziła się między nami więź silniejsza nawet od tej, która łączy rodzicieli z potomstwem (zresztą byłem żywym dowodem, jak słabe czasem potrafią być więzy krwi), a może przywiązał się do mnie dopiero wtedy, gdym zaczął zdradzać żywość usposobienia i umysłu? Nieważne, dość że był dla mnie w jednej osobie ojcem, matką, bratem, przyjacielem i mentorem. Z krótką przerwą przed dziesięciu laty. Kiedy bowiem ukończyłem siedem років, zgodnie ze zwyczajem oddano mnie do sąsiedniego szpitala Świętego Rocha w domu Pod Krzyżem na naukę, bym po następnych siedmiu leciach mógł zostać oddany do terminu. Bardzo przeżyłem rozstanie z piastunem. Uważałem wówczas, że pozbył się mnie przy pierwszej nadarzającej się okazji i że tacy jak ja są nikomu niepotrzebni i nikt ich nigdy nie pokocha. Za to nienawidziłem cały rodzaj ludzki, a przynajmniej tak mi się wtedy zdawało.

W nowym przytulisku zdzierzyłem dwa roki za ledwie i zbiegłem, by następne trzy lata spędzić na ulicy jako wagabunda, włóczykij, tułacz, biegun, czy jak takiego nazwać. To wówczas poznałem miasto od najgorszej strony, a także nauczyłem się rzeczy i porobiłem znajomości, którymi nie wypada się chwalić. Były to straszne czasy, do których mimo upływu lat niechętnie wracałem pamięcią. Gdyby nie duma, już po miesiącu wróciłbym do ojca Rocha. Aby przeżyć, robiłem rzeczy, o których wołałbym zapomnieć i o których nikomu nigdy nie mówiłem okrom mego piastuna. Spotkałem ludzi niezasługujących na to miano i wiele razy cudem uniknąłem śmierci lub gwałtu, ale pomimo to udało mi się nikogo nie zabić ani niczego nie ukraść, tak dobrze mnie *pater* wychował. Widziałem łotrów podryznających gardła bez zmrużenia oka i taką rozpustę, że mogła na zawsze odstręczyć od miłowania. A jednak nawet pośród tej ludzkiej nędzy natknąłem się na prawych *homines*, którzy okazali mi serce. Jednym z nich był stary, oślepy włamywacz. Opiekowałem się nim

aż do śmierci. Draby miejskie pochwytyły mnie, gdym usiłował zaciągnąć zwłoki na cmentarz miejski, by pogrześć je w poświęconej ziemi.

Z kabatów pod ratuszem wyciągnął mnie *pater* Roch, który poręczył za mnie i do ukończenia szkoły Świętego Ducha trzymał przy swojej osobie. Zwabił mnie obietnicą swobodnego przystępu do swego zasobnego księgozbioru, a także przysposobienia do profesji medyka, jak on, i w samej rzeczy połknąłem zanętę, zresztą żywot wagabundy obrzydł mi do cna. A potem piastun oddał mnie pod opiekę ciotki Balcerowej, która wtedy była już zamożną wdową, ale o dobroci doznanej od duchaków zachowała wdzięczną pamięć, czego wcale nie spotykało się tak znów często.

Dziś *pater* Roch jako *hospitalarius*, czyli zarazem przełożony klasztoru i opiekun szpitala, podlega jedynie ojcu prowincjałowi. Nikt lepiej od niego nie wypełniał „czwartego *votum*”, czyli dodatkowego ślubu zakonnego składanego przez augustianów: „Poświęcam się i oddaję na usługi Bogu, Najświętszej Maryi Pannie i naszym panom chorym, że po wszystkie dni żywota mego będę ich służą”. Ojciec Roch nie tylko decydował o przyjęciu potrzebujących, notował daty ich przybycia, personalia podopiecznych, prowadził spis podrzutków, chrzczył narodzone w szpitalu lub podzruczone niemowlęta, rejestrował zgony. Nie tylko czuwał nad czystością sal, spokojem chorych i pielęgnował ich z pomocą pozostałych braci i sióstr, bo były też duchaczki-niewiasty do pieczy nad niemowlętami. Nie tylko zapisywał recepty i pilnował brata aptekarza, by należycie sporządzał lekarstwa. Nie tylko zabiegał o darowizny i jałmużny, by chorym nie brakowało odzienia, lnianego latem, wełnianego zimą, by cztery razy w tygodniu otrzymywali mięso wołowe, jarzyny, mąkę, ryby i polewkę. Nie tylko wyklócał się z prowizorem, z ramienia rady miejskiej nadzorującym szpitale miejskie, by wydebić od niego pieniądze na chleb, piwo i drewno opałowe.

Bo ojciec Roch był przede wszystkim medykiem i dlatego w szpitalu Świętego Ducha dzięki niemu zajmowano się tym, czym inne podobne przytułki w mieście nie zajmowały się wcale lub w znikomym stopniu – leczeniem. A medykiem był *pater* wybornym, najlepszym w mieście i wcale nie jest to tylko moja opinia, bo niby czemu na prośbę ojca Rocha jego magnificencja zgodził się, bym mieszkał poza bursą, i tolerował moje liczne występki? Gdyby zechciał, byłby *pater* najbogatszym i naj słynniejszym lekarzem w mieście. Lecz on pracował tylko w szpitalu i nie chciał wykładać na wydziale medycznym, choć sam jego magnificencja nieraz go o to prosił. Dla ojca Rocha medycyna i szpital stanowiły jedno i były całym jego światem. Tylko dla mnie znajdował jeszcze w swym sercu maleńki kącik.

Wszedłem do skromnego kościoła Świętego Ducha, który miał wchód od Szpitalnej, przyklęknałem przed ołtarzem i poszedłem ku bocznej ścianie, gdzie było jedno z kilku wejść do szpitala. Szpital zajmował duży budynek, składający się z jednej wielkiej, wysklepionej i przestronnej sali, którą ogrzewano i w której przeprowadzano operacje lub, po wstawieniu ołtarza, odprawiano msze święte, oraz

przylegających do niej mniejszych izb, osobnych dla obojga płci, chorych dzieci i kobiet rodzących, którzy mogli korzystać z ciepła płynącego z głównej sali i słuchać wspólnych mszy. Przy szpitalu były nawet łaźnie, wygospodarowane jakoś przez ojca Rocha, chociaż część zabudowań spaliła się podczas wielkiego pożaru czterdzieści lat nazad.

– Gdzie *pater*? – spytałem braciszka Jana, który dziś posługiwał chorym.

– W kostnicy. Coś się stało, bo wypatrywał cię niecierpliwie, a przed chwilą pchnął do miasta nowicjusza.

Przeszedłem przez szpital, nie czując smrodliwych wyziewów, nie słysząc wrzasku wariatów i cierpiących oraz kwilenia niemowląt, nie widząc okaleczonych kikutów, wrzodów i wysięków na oszpeconych obliczach – do tego wszystkiego zdążyłem już przywyknąć, odkąd ojciec Roch zaczął mnie przysposabiać do profesji medyka. Idąc w stronę ostatniej komnaty, mającej połączenie z kaplicą-kostnicą stojącą już na terenie cmentarza, wspólnego z kościołem Świętego Krzyża, zastanawiałem się, o co tym razem może chodzić mojemu opiekunowi? Zazwyczaj wzywał mnie wtedy, gdy jakiś bezdomny, o którego nikt się nie upominał, zmarł na rzadką przypadłość i była okazja zrobić sekcję. Ale czyniliśmy to ukradkiem, w środku nocy, gdy wszyscy już spali, bo choć takie praktyki od dawna przeprowadzano za granicą, u nas jeszcze się nie przyjęły [3]. *Pater* Roch specjalnie w tym celu kazał pobudować ową izbę łączącą szpital z kaplicą cmentarną – przeprowadzał tu najtrudniejsze operacje, które nie zawsze kończyły się szczęśliwie, więc sam diabeł nie udowodniłby nam, czy już przeprowadzamy sekcję, czy właśnie pacjent zmarł nam pod nożem. *Pater* Roch brał ten grzech na siebie, pewny, iż Jezus mu wybaczy, boć nie profanował zwłok z pustoty, lecz by ulżyć w cierpieniu żywym. Dlatego był doskonałym chirurgiem i mnie nauczył szanować tę umiejętność, którą pogardzali inni medycy, uważając ją za dobrą w sam raz dla balwierzów i cyrulików.

Ale sekcja o tej porze? Zarówno dnia, jak i roku, bowiem w zimie ciała nieboszczyków czekały zmrożone w kostnicy na pochówek i ryzyko wykrycia sekcji znacznie się zwiększało. Nie wydawało mi się to prawdopodobne, a najwyraźniej o to szło, skoro czekał na mnie w kostnicy. Miejscowy grabarz dałby się posiekać za ojca Rocha, prędzej niżby go wydał, i zawsze bez słowa sprawnie grzebał obiekty naszych praktyk w poświęconej ziemi, a w trakcie sekcji pilnował, by nikt nas nie zaskoczył. Czasem jedynie dopuszczaliśmy do konfidencji mistrza Franciszka Wolskiego, mojego preceptora z czasów gdy ucześnie do szkoły Świętego Ducha. Tenże, choć magister *artium*, ciekaw był wszelkiej wiedzy i chętnie partycypował w sekcjach.

– No, nareszcie jesteś – powitał mnie ojciec Roch ze zniecierpliwieniem w głosie.

– A jednak sekcja – zdziwiłem się. – O tej porze?

– Nie – burknął sucho, ale nic nie wyjaśnił.

Z podciągniętymi rękawami sutanny, takiej samej, jakie noszą księża świeccy,

bowiem duchaków odróżniał od nich jedynie wyszyty na lewej piersi duży biały krzyż o rozwidlonych, dubeltowych ramionach, pochylał się nad zwłokami spoczywającymi na szerokim stole i obstawionymi płonącymi świecami, mimo resztek światła wpadających przez nieduże okratowane okno. Zdjął z nosa okulary i nasunął płótno na twarz nieboszczyka. Był całkiem łysy, nie nosił brody i co rano golił się starannie, żeby włosy nie przeszkadzały mu w pracy, szorował ręce po każdym kontakcie z chorym, a narzędzia chirurgiczne opalał przed użyciem, przez co miano go powszechnie za dziwaka, lubo miał najmniejszą śmiertelność pacjentów spośród wszystkich lekarzy, jakich znałem. Wiele z tych praktyk poznał, bawiąc ćwierć wieku poza granicami kraju, w rozmaitych stronach świata, jednak do niektórych wniosków doszedł dzięki własnej obserwacji i eksperymentom, co i mnie zaszczepił. Dlatego naśladowałem jego dziwactwa i także nie przejmowałem się ludzkim gadaniem.

– Nie byłeś wczoraj w kościele. Lekce sobie ważysz powinności, a wiesz, że tego nie lubię i nie tak cię uczyłem.

Większość zaków, zarówno z obowiązku, przyjemności, jak i dla dorobienia paru groszy, służyła do mszy i śpiewała w chórze, a choć ja tego robić nie musiałem i wcale tego nie lubiłem, to przychodziłem w poniedziałki, środy i niedziele pomagać w kościele, a we wtorki i piątki – w szpitalu.

– Wysłuchaj mnie, ojcze, nim wydasz wyrok – powiedziałem i możliwie najkrócej opowiedziałem o wszystkim, co wydarzyło się, odkąd wczorajszego ranka obudziłem się z bólem głowy.

– Na dal postaram się w takich wypadkach uprzedzić cię, albo przysyłać substytuta – zakończyłem, myśląc o Antosiu; przydałaby mu się taka dodatkowa robota, z której czasem coś kapnęłoby ubogiemu scholarowi, no a poza tym chciał zostać księdzem, więc niech się wprawia jak najwięcej. – Chór na pewno na tym nie straci – dodałem.

– To z pewnością – uśmiechnął się, bo czego jak czego, ale słuchu to ja nie mam za grosz, co przyznaję bez batożenia, więc moje popisy śpiewacze bardzo przypominały baranie beczenie i z pewnością nie przyciągały wiernych do naszej świątyni; miałem jeno nadzieję, że nie dodają cierpień chorym. – No cóż, znajomość z wielkimi tego świata ma swoją dobrą i złą stronę. Obyś poznał tylko tę pierwszą. A kto wie, czy okrom medycyny nie wynalazłeś sobie oto całkiem nowej profesji. Nawet nie wiem, jak ją nazwać... Co powiesz na inwestygatora?

– Inwestygator... – zadumałem się. – ...to dobrze brzmi. A teraz powiedz, po co mnie wezwałeś, ojcze.

– Żebyś zobaczył to – odsłonił trupa i przyzwał mnie gestem.

Podszedłem, zerknąłem i nie ukrywam, że przeżyłem wstrząs, choć zazwyczaj niełatwo poddaję się emocjom i na pewno z mego oblicza nie da się czytać jak z otwartej księgi. Tym razem byłem jednak prawdziwie wstrząśnięty i nie wstydzę się do tego przyznać. Już nie musiałem szukać. Znalazłem Dorotę.

Ojciec Roch od razu spostrzegł, co się ze mną dzieje.

– Znałeś ją?

– Ty też, ojczu.

– Nie może być! – zachnął się.

– Ależ tak. To Dorota, córka ciotki Balcerowej i twoja chrześnica.

Przyglądał się biedaczce dokładnie i pokręcił głową.

– Ostatni raz widziałem ją chyba z dziesięć lat temu.

– To nie twoja wina. Od dawna wołała inną kompanię niżli twoja czy moja.

– Wyrosła na piękną pannę...

– Nie wyszło jej to na zdrowie.

Zerknął na mnie spod oka.

– Chcesz przez to coś powiedzieć?

– Że niewykluczone, iż sama sobie zawdzięcza tak żałosny koniec.

– Taka młoda... No cóż, co się stało, to się nie odstanie – westchnął. – *Ergo* powiedz, co widzisz.

– To twoja robota, *pater*? – spytałem, pokazując rozcięcie worka, w który zawinięte było ciało, a który okazał się poszwą pierzyny.

– Owszem. Z wyjątkiem tego rozdarcia na dole, przez które noga nieboszczki wydostała się na zewnątrz. To zwróciło uwagę Bazyla.

Bazyl to był nasz grabarz.

– Gdzie ją znalazł?

– Na cmentarzu, pod samym murem. Widać, ktoś przerzucił ciało z ulicy.

Wziąłem jedną ze świec i dokładnie przyjrzałem się zwłokom. Ojciec Roch pomógł mi przewrócić trupa na brzuch, a potem znów na wznak.

– I co powiesz? – spytał z zaciekawieniem, gdy odłożyłem powiększający okular, skończywszy oględziny.

– Ciało jest dobrze zachowane, ale dlatego, że było na mrozie. Rzekłbym, biorąc pod uwagę pewne symptomy, zwłaszcza ustąpienie *rigor mortis*, iż skon nastąpił najmniej dwadzieścia cztery godziny temu, może zeszłego wieczoru? Na zimnie sztywnienie następuje prędzej.

– Niezgorzej, ale ja miałem okazję dokładniej obejrzeć nieboszczkę. Spójrz na końcówki jej długich włosów – niektóre są przypalone. Rzekłbym, iż najpierw leżała w ciepłe, blisko kominka. Dlatego wedle mego mniemania zginęła wcześniej, między północą a rankiem w poniedziałek. I co dalej widzisz?

– Była duszona... – dotknąłem sznura z ozdobnym chwostem, który miała zadziergnięty na szyi. Wyglądał na sznur od zasłony przy łożu.

– I?

– Ale nie to ją zabiło.

– Ciekawe...

– Zabójca pewnie uległ panice i próbował zamarkować samobójstwo, dość nieudolnie. Albowiem na skórze nie ma żadnych śladów, więc obrażenia nastąpiły już

po śmierci ofiary, zresztą nie ma wysadzonych oczu ani nabrzmiących jagód, co stałoby się niewątpliwie, gdyby ją zadławiono. Zginęła od ciosu prosto w serce, zadanego nożem, ostrym i wąskim, zupełnie jak lekarski lancet, dlatego tak mało wyciekło krwi.

– Coś jeszcze?

Pochyliłem się nad nieszczęsną.

– W chwili śmierci miała coś na szyi, jakiś łańcuszek, który się odcisnął – podniosłem wzrok i popatrzyłem ojcu Rochowi w oczy. – Myślę, że to był krzyżyk od ciebie.

Pater miał zwyczaj obdarowywać wszystkich swoich chrześniaków srebrnymi krzyżykami, podobnymi do tych, jakie duchacy nosili na sukniach: z dwoma poprzecznymi ramionami, górnym krótszym i dolnym dłuższym, i rozdwojonymi końcami, tak że krzyż miał dwanaście rożków; ja również taki dostałem.

– Czy znaleziono go?

Pokręcił głową przecząco.

– Bazyl nic o tym nie wspominał, a wiesz, jaki jest uczciwy.

– Tedy jest wielce prawdopodobne, że zabrał go zabójca – odparłem, znów pochylając się nad zwłokami.

– Przed śmiercią miała styczność z mężczyzną – zauważyłem.

– Dobrze.

– Ale nie był to gwałt. Nie ma ran, otarć i tym podobnych w takich razach śladów na ciele... – naciągnąłem okrycie tak, że tylko głowa pozostała odsłonięta; złote włosy rozsypały się, tworząc jakby aureolę wokół lekko już napuchniętej twarzy.

Po raz pierwszy było mi jej żal. Nie lubiłem Doroty za życia, ale gdy teraz leżała tutaj, naga i wystawiona na nasze spojrzenia, nie mające nic wspólnego z podziwem dla jej doczesnej powłoki, przedstawiała tak żaloszny widok, że aż ścisnęło mnie coś w gardle. I już wiedziałem, że nie spocznę, póki nie wyjaśnię zagadki jej śmierci, a zabójca nie poniesie kary.

Ujrzałem światło – do izby wszedł swobodnie przez kostnicę magister Wolski, jako osoba wtajemniczona przepuszczony przez grabarza Bazylego.

Był to rektor tutejszej, przyklasztornej szkoły Świętego Ducha, w której i ja po uzyskaniu bakalaureatu miałem wykładać gramatykę łacińską raz w tygodniu, zgodnie z wymogiem, który taki obowiązek nakładał na bakałarzy. Magister Wolski był niespełna dziesięć lat starszy ode mnie, więc gdy ukończyłem szkołę, zaprzyjaźniliśmy się. Mimo młodego wieku zdążył wziąć udział w trwającej jeszcze wojnie z Moskalami, dzięki której (bo rzecz była przesądzona, odkąd zawarliśmy sojusz ze Szwecją) zdobyliśmy Inflanty. Był bowiem niespokojnego ducha, miał porywcze usposobienie i z tego powodu często popadał w kłopoty. Bywały już skargi na jego nieobyczajność. Przez to nie zrobił kariery na uniwersytecie i tylko przyjaźni z ojcem Rochem zawdzięczał, że nie usunięto go ze stanowiska rektora szkoły klasztornej. Bo też pedagogiem był wyśmienitym i lubianym przez studentów. Tak

wybornie wyedukował mnie w zakresie *artes*, że nie musiałem się doksztakać na repetytoriach, co było regułą wśród scholarów z burs, i dlatego mogłem mieszkać na prywatnej stancji.

– Skąd ona tu... – choć opanował się błyskawicznie, zdążyłem na jego twarzy dostrzec zaskoczenie i... przerażenie.

– Znałeś ją? – spytałem pospiesznie.

– Nie – odparł równie szybko. – Tylko dziwno mi, skąd taka młoda i piękna dziewczyna w tym miejscu... Wygląda jak żywa i zdrowa. Na co umarła?

– Została zamordowana. Ciało podrzucano w nocy na cmentarz.

– Biedactwo – rzekł i powtórzył: – Taka młoda i piękna...

W jego wzroku wpatrzonym w twarz zmarłej dostrzegłem nieklamany żal. Nie byłem zaskoczony, bo Franciszek lubił niewiasty, znał się na nich jak mało kto i większość turbacji miał z ich powodu. Był bowiem bardzo przystojny, wysoki i wciąż wyglądał młodo, choć zaczynał już siwieć przy skroniach.

– Jak zginęła?

– Pchnięto ją nożem – wyjaśnił *pater*. – Zapewne robota kochanka.

– Z czego to wynosisz, ojcze?

– Bo była naga, a nie wydaje się, by zdarto z niej odzienie siłą – wtrąciłem. – Tuszę, iż to zbrodnia w afekcie. Powadziła się z gachem, a on w gniewie ugodził ją nożem.

– Pewnie teraz żałuje – zauważył. – Takie urodziwe, jędrne ciało...

– Żal mu nie pomoże – powiedziałem z naciskiem. – Da gardło. Już moja w tym głowa.

– Widzę, żeś bardzo tym przejęty – Franciszek popatrzył na mnie ze zmarszczonym czołem. – Czyś jej brat, czy swat?

– Brat. Mleczny. To Dorota Balcerówna.

– Ach, tak...

– Kacper zbyttno się przejął swą nową profesją inwestygatora – rzekł z bladym uśmiechem ojciec Roch.

– Inwestygator? – zdumiał się magister Wolski. – A cóż to, u licha?

– Kiedyś ci objaśnię. W każdym razie powiadam wam obu i Niebo biorę też za świadka: odnajdę mordercę tej dziewczki i pomszczę jej śmierć albo możecie mnie nazwać kpem.

– Może nie będziesz musiał – mitygował mnie opiekun. – Już pchnąłem pachółka na ratusz, justycjariuszów ino patrzeć.

– To ja uciekam – wzdrygnął się Franciszek. – Niedawno znów miałem zatarg z mości hutmanem i wolałbym go nie spotkać. No, Kacper, znalazłeś ripostę na moje pchnięcie?

Wolski był wcale zręcznym szermierzem i co jakiś czas uczył mnie nowego sztychu lub zasłony, bowiem nigdy nie zaniedbywałem okazji, by poprawić swą sztukę robienia bronią.

– Sprawdź.

Dobyl korda tak błyskawicznie i wyprowadził cios tak zręcznie, że gdybym nie był przygotowany, padłbym trupem na miejscu z żelazem utkwionym w sercu. A tak przyjąłem jego klingę na swój jelec, odbiłem sztych, równocześnie skręcając broń tak silnie, że kord wyfrunął mu z ręki i upadł na pawiment. Rzucił się zaraz po niego, ale był szybszy. Przydepnąłem kord nogą.

– Piękna sztuczka – powiedział z uznaniem.

– Ćwiczyłem ją przez dwie niedziele.

– I udało ci się wybornie. Przyjmij moje gratulacje. Ja już nic więcej cię nie nauczę. Skończone. A teraz oddaj mi broń, jeśli łaska.

Zrobiłem to, ale wcześniej obejrzałem klingę dokładnie.

– Przymierzasz go do rany w ciele tej dziewczki? – spytał cierpkim głosem.

Nic nie odparłem, on zaś skinął nam ręką i odszedł.

– Podejrzewasz go? – spytał *pater*, patrząc mi w oczy.

– Jeszcze nie – odparłem. – Ale chciałbym wiedzieć, dlaczego skłamał.

Zmarszczył brwi.

– Myślisz, że ją znał?

– Na pewno. Ale on zna chyba wszystkie młode i ładne dziewczki w tym mieście, więc to mi nie dziwno.

– A co?

– Wcale go nie zaskoczyła osoba nieboszczki, raczej miejsce, w którym ją zastał. Pamiętasz, ojcze, pierwsze jego słowa: „SKĄD ona tu...”, a nie: „skąd ONA tu...”.

Zbył to machnięciem, jakby się opędział od uprzykrzonej muchy.

– A ty byś się nie zdziwił, gdybyś ujrzał miłośnicę, o ile nią była, którą może niedawno wypuściłeś z objęć, leżącą bez ducha w kaplicy cmentarnej?

Nic na to nie odparłem, lubom nie wyzbył się wszystkich wątpliwości, zresztą w drzwi wstawił głowę Bazyl i zawołał:

– Jegomość pan instygator!

Spodziewaliśmy się paru drabów, może z podhutmanim, albo nawet hutmanem ratusznym na czele, ale nie sławnego Bartłomieja Groickiego. Ongiś pisarza sądu wyższego prawa niemieckiego na zamku krakowskim i przejściowo pisarza celnego w Krakowie, dzięki któremu język polski zaczął być używany w praktyce sądowej i który przed dziesięciu laty napisał pierwsze dzieło prawnicze po polsku, wydane w naszym mieście *Artykuły prawa majdeburskiego, które zowią Speculum Saxonum*. Miałem je w rękach, ale nie czytałem (czytałem za to wiersze łacińskie mości Groickiego, wcale udatne), znałem jednak z widzenia pana instygatora, którego w mieście bali się wszyscy złoczyńcy, bez względu na stan, bo nie pobił nikomu, a badanie prowadził skrupulatnie. Miał zasię obowiązków całkiem sporo: czuwał nad prawidłowym przebiegiem sesji sądowych, pozywał z urzędu osoby zakłócające działanie rady miejskiej, prowadził wstępne śledztwo w przypadku przestępstwa, wtrącał do ratusza przestępców, jeśli dowiedział się o ich uczynkach, zawiadamiał

rajców o złym zachowaniu mieszczan i wszelkich zakłóceniach porządku publicznego w mieście, w sprawach kryminalnych stawał w sądzie razem z delatorem, wspierając jego skargę. Miał też uczestniczyć w obdukcji zwłok, ale wszyscy wiedzieli, że mistrz widoku krwi nie znosi i tego jednego obowiązku nierad dopełnia, wyręczając się woźnym lub subdelegatem sądowym.

– Wszelki duch, Bartłomieju – zdumiał się mój opiekun, który znał dobrze mości Groickiego, zresztą kogo ze znacznych osób nie znał, tego słowa była przesadzona.

– Witaj, Rochu. Koźmi by mnie do truposza nie zaciągnęli, gdybyś to nie ty przysłał pachółka. A to co za jeden?

– Mój wychowaniec, Kacper Ryx. Na medyka się kieruje.

Skłoniłem się gościowi, a on grzecznie mi się odklonił.

– No to pokażcie mi nieboszczyka.

– To ona.

– Tym gorzej.

Poprawił okulary na nosie, spojrzął w odsłoniętą twarz zmarłej i jego surowe oblicze wygładziło się.

– Jaka młoda! Co z nią?

– Dźgnięta nożem w serce. Ostrze nie przeszło na wylot, dlatego tak mało krwi wyciekło. Umarła w jednej chwili, nic nie poczuła.

Odsłoniłem ranę.

– Dobrze i to – instygator wzdrygnął się i szybko odwrócił wzrok. – Zakryjcie ją. Gdzie jej odzienie?

– Nie było. Nasz grabarz skoro świt znalazł ciało w takim stanie, podrzucone pod mur cmentarny – wyjaśnił *pater*.

– Więc czemuście tak długo zwlekali z powiadomieniem o zbrodni? – Groicki zmarszczył brwi.

– Bom był zajęty w szpitalu – żywi mają przodek. Dopiero po południu znalazłem czas, by przyjrzeć się nieboszczce, i wtedy spostrzegłem, że to ofiara mordu.

– Kiedy zginęła?

– Tuszę, że wczorajszej nocy, a mój chowaniec to potwierdza, ale jeśli chcesz, możesz zawezwać drugich medyków.

– Po co marnotrawić pieniądze obywateli? Twoja reputacja, luby Rochu, jest z dawna ustalona, więc wierzę ci bez zastrzeżeń. Przyślę tu pisarza, podyktujesz mu wynik prezenty ciała i podpiszecie obaj z mości, jak godność? Już wiem: Ryksem. A teraz rzeknijcie, czy kogo podejrzewacie?

Pater dał mi znak, więc powiedziałem:

– Gacha. Naszym zdaniem była to zbrodnia w afekcie. Są ślady cielesnego obcowania, a brak oznak gwałtu.

– Ktoś przychodzi wam na myśl?

Pokręciłem głową.

– Nieboszczka miała dopiero piętnaście lat, ale wiodła dość bujny żywot.

– Czyżbyś ją znał, chłopcze? – popatrzył na mnie podejrzliwie.
– To Dorota Balcerówna, moja mleczna siostra. Matka szuka jej od wczoraj.
– A tyś, jak na dobrego brata przystało, ją znalazł. To ci fortunny przypadek, nieprawdaż?

– Fortunnym bym go nie nazwał. Przypadkiem też mam niezgorsze alibi na obie poprzednie noce – sarknąłem.

Posłał mi spojrzenie spod okularów.

– Sprawdzimy to, synku, wszystko akuratnie sprawdzimy, możesz być pewny. Zbrodzień zostanie ujęty, osądzony i nie uniknie zasłużonej kary.

– Żywię taką nadzieję.

– Skoro to sobie ustaliliśmy, to czy mogę rachować na przechowanie zwłok, przynajmniej do jutra?

– Oczywiście – powiedział *pater*. – To moja chrzestna córka. Sam zajmę się pogrzebem.

– A ja powiadomię ciotkę Balcerową – dodałem.

– Zatem zaraz jutro idę na ratusz i wszczynam z urzędu sprawę o mord na obywatelce naszego królewskiego miasta Krakowa, Dorocie...

– Balcerównie – podpowiedziałem – zamieszkałej w Kąciku *alias* ulicy Wąskiej, wedle kościoła Świętego Jana.

– Właśnie. Bywaj, Rochu, obyśmy następnym razem spotkali się w miłszych okolicznościach.

Skinął mi niedbale głową i wyszedł.

– Co o nim sądzisz? – spytał mnie opiekun.

– Jurysta zeń wyborny. A ponoć dobry i uczciwy urzędnik. Ja jednak od pojutra zajmę się tą sprawą i na własną rękę przeprowadzę indagację. A teraz muszę już iść, jutro czeka mnie ciężki dzień, poprzednie zaś też nie były lekkie.

– Powiedz ciotce, że zajmę się pochówkiem, niech się o to nie trapi.

– Powiem.

Pożyczyłem latarkę, bo już było po zmierzchu, a choć właściciele kamienic mieli obowiązek palić światło przed wejściem, mało kto się do tego wilkierza stosował, więc miasto o tej porze nie tylko tonęło w nieczystościach, w które łącno było wdepnąć, ale i w egipskich ciemnościach, w których tylko łotrzyki wszelkiej maści czuły się jak ryby w wodzie. I ja, prawy nocny marek, który także wolałem noc od jasnego dnia i deszcz od pięknej pogody. Do domu Andrzeja dotarłem wszak bez przygód, jeśli nie liczyć gwałtownego uskoku na okrzyk z góry: „Leje się!”, co uratowało mnie przed oblaniem pomyjami, zwyczajowo wylewanymi w nocy wprost z okna. Jędrak od razu wiedział, że coś niezwykłego sprowadziło mnie w jego progi o tym czasie. Dowiedziawszy się o śmierci Doroty, nie udawał fałszywego żalu i nie rozpaczał, ale wysłał ze mną Margosię, a sam został z dzieckiem, obiecując zaraz z rana pójść po Jadwigę, która mieszkała na końcu Grodzkiej, i razem z nią przybyć do matki. Co ustaliliśmy, ruszyliśmy z Małgorzatą w drogę.

W naszym mieście w nocy nie jest bezpiecznie, bo choć patrole drabów miejskich niby przemierzają ulice i zagląдают w podejrzone kąty, to nigdy nie ma ich tam, gdzie coś się dzieje. Ze wszystkich miejsc najgorszą sławą o tej porze cieszą się okolice kościoła Mariackiego, a właściwie to okalającego go miejskiego cmentarza. Latarnia umarłych, podobnie jak ta przed szpitalem duchaków, rzucała tak nikłe światło, że albo dopalał się olej w kaganku, albo kończył knot. Największe szumowiny upodobały sobie to miejsce, dostawiając nawet od wewnątrz i z zewnątrz do muru cmentarnego sklecone z byle czego szopy, w których działały się sceny, jakie nawet nie przyszły do głowy Dantemu, gdy oprowadzał swych czytelników po piekle.

Toteż gdyśmy przechodzili mimo, Margotka mocniej ścisnęła mi rękę i przyłgnęła do mnie. W tej samej chwili dwa cienie oderwały się od ściany i rzuciły na nas. Cisnąłem latarką w twarz temu, który był bliżej, i doskoczyłem do drugiego w samą porę, by odbić kordem cios wymierzony kosturem w głowę mojej towarzyszki, po czym pchnąłem żelazem, jak daleko sięgnąłem. Usłyszałem jęk, ale nie odwróciłem się, tylko złapałem jedną ręką Małgorzatę, drugą ściskając obnażony kord, i puściliśmy się biegiem. Nikt nas nie ścigał, ale dopiero na Floriańskiej, gdzie paliło się kilka latarni przed niektórymi bogatszymi kamienicami, mogliśmy zwolnić i złapać trochę oddechu.

– Zabiłeś go? – spytała lękliwie.

– Być może – odparłem bez emocji.

Było to wielce prawdopodobne, bowiem brzeszczot korda lśnił w kiepskim świetle, a pod palcami wyczułem lepkość. Jucha. Nie przejąłem się, bo nie było czym – w takich okolicznościach albo zabijasz, albo zostajesz zabity, a z dwojga złego wolę to pierwsze. Przypomniałem sobie bardzo podobne zdarzenie sprzed ponad trzech lat. Wracaliśmy wtedy samowtór z ojcem Rochem od ciotki Balcerowej, bo było to wówczas, gdy miałem rozpocząć studia i przejść spod pieczy zakonników pod skrzydła zacnej ciotki. Obgadywanie szczegółów zajęło moim dobrodziejom sporo czasu i zasiedzieliśmy się, więc przyszło nam się przebierać do szpitala po ciemku. Też zaatakowało nas wtedy dwóch złoczyńców, my zaś nie mieliśmy wcale broni. Nie wiem, jakim cudem wyrwałem miecz jednemu ze zbirów, choć był roślejszy i silniejszy, i przebiłem go równie gracko, jakbym nawlekał figojadkę. Drugi zbój uciekł, nie czekając na swoją kolej, i wcale mu się nie dziwiłem.

– Rzuć to – rzekł mój opiekun, wskazując miecz, który wciąż ściskałem w dłoni – i oddalmy się stąd, nim zjawi się ront i przyjdzie nam się gęsto tłumaczyć.

– Nie chciałem go zabić – powiedziałem, gdyśmy zdążali do szpitala.

– Uczyniłeś, co należało – odparł; w jego głosie wyczułem smutek. – To było cudowne zrządzenie losu, chłopcze, bo już zegnałem się z życiem. Żałujesz swego uczynku?

– Nie – odparłem szczerze. – Wyznam, iż anim mniemał, że to takie proste.

– A jednak trzeba żałować – westchnął. – To wszak był człowiek, mój synu. Atoli czasami trzeba bronić żywota, jak to dziś uczyniłeś, i tylko wówczas Bóg może ci

wybaczy zabójstwo. Pamiętaj o tym.

– Będę, ojciec.

Przez chwilę szliśmy w milczeniu, po czym dodał:

– Wiesz, dlaczego ci to mówię? Bo jesteś urodzonym zabójcą. Wiem o tym, jako że sam taki byłem. Sposób, w jaki rozprawiłeś się z tym łotrzykiem, świadczy, że masz instynkt do walki i rękę do oręża, jaką tylko nieliczni są obdarzeni. Ale drugi raz już nie możesz liczyć na takie szczęście, czy też dar losu, jaki stał się dziś naszym udziałem. I choć boleję nad tym, bo chciałem uczyć cię jedynie tego, jak ratować ludziom życie, to wobec niedoskonałości świata tego będę cię musiał zacząć uczyć, jak je odbierać w razie konieczności. Zaczynamy od jutra.

Dopiero wtedy dowiedziałem się, że mój opiekun nie zawsze był mnichem. Że mając tyle lat, co ja wówczas, uciekł z rodzinnego domu, który, choć szlachecki, nie mógł wykarmić wszystkich gęb, i zaciągnął się do wojska. Czwierć wieku spędził na wojaczce, wysługując się coraz to innym panom. Wojował od Niderlandów aż po Turcję, wiedział doskonale, jak biją się Angielczycy, a jak Hiszpanie, jak Niemcy, a jak Włosi, bo każda nacja ma własne ulubione sposoby uśmiercania bliźnich. W służbie cesarskiej popadł w turecką niewolę, z której umknął i przemierzył całą Ziemię Świętą, udając tańczącego derwisza, czyli bisurmańskiego nawiedzonego mnicha. Już wtedy zajmowała go medycyna, podpatrywał więc tamtejszych lekarzy żydowskich i saraceńskich, którzy uchodzą za najbogiejszych w świecie. Ale diabeł go podkuślił i jak tylko przedarł się na powrót na ziemie cesarskie, znów zaciągnął się do wojska i poszedł wojować z heretyckimi Czechami, aż dopiero w jednym zabitym przez siebie wrogu rozpoznał rodzzonego brata. Wtedy rzucił wojaczkę, pojechał do Italii studiować medycynę, a po powrocie do ojczyzny wstąpił do zgromadzenia augustianów i poświęcił się służbie bliźnim.

Ale nie zapomniał niczego, co wiedział o broni, wojowaniu i fechtunku na miecze, a czego nie wiedział, tego nie warto było wiedzieć. Przez trzy lata poświęcał mi codziennie godzinę, godzinami zaś ćwiczyłem sam. W zeszłym roku uznał, że wystarczy, po czym zaciągnął mnie przed ołtarz w naszym kościółku szpitalnym i zmusił do złożenia przysięgi przed Najwyższym Majestatem, że swych umiejętności używać będę jedynie do obrony żywota własnego i ludzi będących pod moją pieczę. Przysiągłem. I jak dotąd dotrzymałem przysięgi, bo też, choć walki nie unikałem, to szukałem w niej raczej okazji do wykazania się zręcznością. Miałem dopiero dziewiętnaście lat, ale wiedziałem, że mało kto zdzierży mi na rękę albo potrafi strzelać celniej, jednak pojmowałem też, że ktoś taki z pewnością gdzieś jest, więc nie zamierzałem kusić losu. Bo wbrew pozorom byłem całkiem rozsądnym młodzianem, który za parę lat zamierzał otworzyć własną praktykę lekarską i dobrze się w życiu urządzić.

Kiedy dotarliśmy do domu, ciotka Balcerowa nie spała jeszcze. Nie wiem, czy sprawiła to obecność Małgosi, która rzadko bywała u świekry, czy też coś w wyrazie mojej twarzy, dość, że ciotka zapytała drżącym głosem:

– Coś stało się Dorocie, wiem o tym... Czuję to tu! – i złapała się za serce, równocześnie patrząc na mnie z nadzieją i oczekując, że zaprzeczę.

Nie zaprzeczyłem.

– Ona nie żyje, mateczko. Zamordowano ją.

Ciocia nic nie odrzekła, tylko westchnęła i zemdlała, osuwając się na podłogę. Zostawiłem przy niej Małgorzatę i podesłałem jej do pomocy Magdę oraz pozostałe dziewczęta. Udałem się do siebie, całkiem skonany. Umyłem się, ale nie mogłem zasnąć. Wstałem, zapaliłem świecę i odszukałem książkę, którą dał mi Jędrzej. Była napisana po włosku, a choć to język podobny do łaciny, to wszak nie taki sam. Mimo to jakoś mi szło i ani się spostrzegłem, gdy trzeba było wstawać.

Wyruszyliśmy skoro świt. Tylko z Sępem, bo w obecnej sytuacji Niziołek musiał przejąć pieczę nad interesem.

– Na pewno chcesz jechać? Dobrze się czujesz? – wołałem się upewnić, bo z Sępem nigdy nic nie było wiadomo; zmieniał nastroje jak król jegomość swoje czapeczki.

– Wyśmienicie. A wycieczka wygodzi mi jeszcze lepiej.

Wymknęliśmy się po cichu. Zresztą i tak nikt nie zwracał na nas uwagi, wszyscy snuli się przygnębieni albo byli zajęci uspokajaniem ciotki.

– To straszne. Nieszczęsna dziewczka, biedna matka – szepnął Sęp, który już o wszystkim wiedział, ale nie próbował wypytywać mnie o szczegóły, gdyśmy wyszli na podwórze, gdzie czekały na nas wierzchowce sprowadzone przez Nizioła od Wojciecha z Kleparza.

Imć Wojciech zwany Koniarem miał oberżę na Kleparzu, dawniej zwanym Florencją, który zresztą liczył karczem i zajazdów więcej od samego Krakowa, bowiem tu zatrzymywali się wszyscy, którzy nie posiadali w stolicy swoich pałaców lub nie mieli przyjaciół albo po prostu zjawili się u wrót miejskich już po ich zamknięciu. Tu był targ koński, tu mieszkało wielu siodlarzy, kołodziejów i handlarzy końmi, których, jak ktoś porachował, trzymano grubo ponad dwa tysiące! Mimo to, a może właśnie dlatego, Kleparz był nieporządnym miastem, z głównie drewnianymi domami, zamieszkanym przeważnie przez biedotę i partaczy, którzy nie znaleźli pracy w Krakowie. Roilo się tu także od hultajstwa, zbierającego się w niesławnej „Gospodzie Hultajskiej”. Koniar prowadził największy zajazd dla podróżnych, mieszczący się w domu zwanym Kamionką, jednym z niewielu murowanych w mieście. Był roztrucharzem, czyli nie tylko należał do najpierwszych handlarzy końmi, lecz umiał je też leczyć, trudnił się przy okazji wynajmem wierzchowców i w razie potrzeby, tak jak teraz, chętnie z jego usług korzystałem. Zresztą Sęp też zatrzymał się wpierw u niego, zanim trafił do nas i zaprzyjaźniliśmy się. Przyjechał do Krakowa objąć obiecane stanowisko na dworze, ale jego protektor akurat stracił swoje i Sęp został na lodzie. Zamierzał wracać do domu, lecz na razie korzystał z życia w stolicy, na ile mu skromne fundusze pozwalały.

– Owszem – odparłem. – Ale już nie musisz szeptać. Zajmiemy się tą sprawą, gdy

skończymy z tamtą. A to co? Potrzebujemy koni, nie chcesz chyba podążyć do Bochni na piechotę?

– Ja wierzchowca mam! – obruszył się.

Tak, miał. Przybył do Krakowa na szkapie, którą pewnie sam niósł na grzbiecie przez ostatnie mile. Zwała się Strzałka i stała obok dziarskiego siwka, którego zwykle używałem. Gdyby Strzałka była moja, pozwoliłbym jej dożyć swych dni w naszej stajni i nie miałbym sumienia zakłócać jej ostatnich chwil.

– Daruj, ale mamy do przebycia z sześć albo siedem mil w jedną stronę, a jeszcze trzeba jakoś wrócić. Dlatego musimy pożyczyć coś wytrzymalszego.

– Nie ma mowy – uparł się, a był uparty jak Żmudzin, a nie Rusin.

– To przynajmniej w tamtą stronę przesiądź się na luzaka – zapobiegliwie go zamówiłem dla areштanta; konik miał swoje lata, ale był jeszcze całkiem żwawy, zresztą Koniar znał mnie dobrze i nie podesłałby mi byle czego.

– Nie.

– Jak chcesz – wzruszyłem ramionami.

Sprawdziłem bandolety w olstrach. Broń wyglądała w porządku, ale obiecałem sobie solenie, że jak najprędzej muszę sobie sprawić własną. Sępowi sterczał zza pasa jakiś przedpotopowy pistolet. W sumie nasza siła ognia prezentowała się mizernie, lecz ostatecznie nie mieliśmy walczyć z całą armią, a jedynie pojmać drobnego złodziejaska. Wskoczyliśmy na konie i ruszyliśmy z kopyta. Jak burza przemknęliśmy przez wpół uśpiony Kraków, kopyta naszych wierzchowców zadudniły na moście Glinianym, po czym wjechaliśmy w ulicę Krakowską na Kazimierzu i tym razem przemierzyliśmy ją całą, potem Wolnicę i za ratuszem wjechaliśmy w Solną. Opuściliśmy Kazimierz bramą Wielicką, po moście przebyliśmy Zakazimierkę ^[4] i skierowaliśmy się na Wieliczkę.

Dwie mile dzielące nas od miasta zajęły nam blisko dwie godziny, ponieważ teren prawie cały czas się wznosił, ale Strzałka dotrzymywała kroku mojemu siwcowi, przez co Sęp wbił się w pychę i nie szczędził mi złośliwostek, które ignorowałem, ćwicząc się w sztuce cierpliwości i zaciskania zębów, a przy okazji wyrównując zgryz.

Miasto miało mury i kiedyś ponoć aż dwadzieścia jeden baszt, ale sto lat temu rozebrano większość z nich, a to, co ocalało, nie prezentowało się zbyt imponująco, zresztą trudno się dziwić, skoro nawet mury Krakowa aż prosiły się o naprawę. Z żupy solnej wysypali się akurat gwarkowie, widać skończyła się nocna zmiana. Minęliśmy Zamek Żupny, siedzibę zawiadującego kopalnią i miastem żupnika (obecnie był nim chyba Prosper Provano, ekspoczmistrz), i na wpół zrujnowany po trzęsieniu ziemi kościół parafialny Świętego Klemensa oraz karczmę u granic miasta, w której nie zatrzymaliśmy się na popas, mimo iż Sęp wyraźnie na to liczył.

Za Wieliczką teren to wznosił się łagodnie, to opadał. Zagajników było tu więcej niż pól uprawnych, i tak ledwo widocznych spod śniegu, a ludzkich siedzib jeszcze mniej. Dopiero po dwóch milach pojawiła się większa wieś. Było to Brzezcie, z

którego pochodził Zbigniew z rodu Zadorów, dowodzący chorągwiami królewskimi pod Grunwaldem, jak dowiedzieliśmy się od miejscowego karczmarza, wielkiego gaduły. Popasaliśmy tu dobrą godzinę, słuchając monologów gospodarza i spożywając piecyste z wołu, który pamiętał chyba jeszcze owego walecznego Zbigniewa. Najważniejsze jednak, że konie zyskały trochę oddechu, co Strzałce niewątpliwie bardzo się przydało, choć Sęp nigdy by się do tego nie przyznał.

Pokrzepieni, ruszyliśmy naprzód, milę z okładem dalej przejeżdżając most na zamarznętej Rabie, i tuż przed południem wjeżdżaliśmy do Bochni.

– Co teraz? – spytał Sęp.

– Powęszymy.

Założyłem, że złodziej w rodzinnych stronach zrobi to samo, co mu się nie powiodło na Kazimierzu – spróbuje sprzedać pieczęć. Dlatego zatrzymaliśmy się przy Rynku. Warsztat złotniczy, jedyny taki, należący do Żyda Józefa, znaleźliśmy bez trudu, bowiem bocheński Rynek do największych nie należał, ani też najlepiej utrzymanych, sklepom tutejszym i warsztatom było daleko do krakowskich, a choćby kazimierskich. Ale żyjące z soli miasteczko sprawiało ogólnie przyjemne wrażenie, a warsztat złotnika wyróżniał się nawet pewnym zbytkiem. Sam Józef nie przypominał Jakuba z Kazimierza. Tamtemu z oczu wyzierała chytryść, ten miał godny wygląd i uczciwe, jasne spojrzenie człowieka, który nie ma nic na sumieniu. Nie zmieszał się, gdy go spytał o Bartosza, tylko odrzekł bez namysłu:

– Był tu dziś rano. Chciał coś zbyć, ale dobrze go znam, więc nie kupiłem.

– Czy to mogła być pieczęć?

Spojrzał na mnie spod oka.

– I była, tyle że mocno zniszczona. Przybywacie z daleka?

– Z Krakowa.

Pokiwał głową.

– Spóźniliście się. Już pchnąłem pachołka do żupnika.

– Mimo to wskaż nam drogę do Lusiny.

Wyszliśmy przed warsztat i Żyd pokazał nam, którądy wyjechać z miasta. Podziękowałem mu za informacje i ruszyliśmy z kopyta. Minęło już południe, ale liczyłem na to, że pan żupnik, jak każdy urzędnik, do najgorliwszych nie należy i uda nam się go wyprzedzić. Poza tym mam taką naturę, że nigdy nie rezygnuję i nie poddaję się. Dlatego poganiałem wierzchowca, ciągnąc za sobą luzaka i nie oglądając się na Sępa. Ale wciąż słyszałem stukot kopyt jego Strzałki za sobą. Widać wziął na ambicję i postanowił wykazać mi wartość swojej kobyły.

Wioska była niewielka, położona na skraju Puszczy Niepołomnej, cicha i zasypana śniegiem. Nikogo nie widzieliśmy i nie wzbudziliśmy niczyjego zainteresowania, może dlatego że śnieg tłumił hałas. Kierując się wskazówkami złotnika, minęliśmy drewniany kościółek i zaraz za nim skręciliśmy w kierunku wałacej się chałupiny. Zeskoczyłem z konia i nie czekając na Sępa, wpadłem do chaty przez niezamknięte drzwi. Wąska sionka dzieliła chałupę na dwoje – z prawej stajnię i

izbę z lewej. W stajni brak było oznak życia, podobnie w izbie – nigdzie żywego ducha. Nawet pies nie zaszczekał, być może zjedzony. Tylko smród był wszechobecny, aż zatykał nos.

– Zbiegł? – spytał depczący mi po piętach Sęp.

– Ale niedaleko – odparłem, wskazując palenisko bez komina.

Coś pichciło się w garnku stojącym na drajfusie na ogniu rozpalonym wprost na nalepie, a dym wił się pod strzechą. Ostrożnie, aby niczego nie dotknąć, gdyż brud w izbie dorównywał smrodowi, wycofaliśmy się na zewnątrz. Po czym rozdzieliliśmy się i obeszliliśmy chatę dookoła. Spotkaliśmy się na zadzi, w miejscu, skąd ślady stóp, pięknie odcisnięte w śniegu, jak po sznurku prowadziły do stojącego o rzut kamieniem brogu, aż po dach wypełnionego sianem. Poszliśmy tam.

– Bartoszu! – zawołałem. – Wylaż po dobroci, zanim podpalimy bróg.

Ponieważ nic się nie działo, rzekłem do Sępa:

– Skrzesz ognia, nasz przyjaciel widać chce się ogrzać – a sam uniosłem lufę bandoletu i głośno odwiódłem kurek.

Tym razem w stercie siana zaszeleściło i po chwili ze środka wypełzło coś kudłatego. Początkowo nie wiedziałem, gdzie to ma przód, a gdzie zad i którą stroną jest ku nam zwrócone. Dopiero po dłuższej chwili odróżniłem – ponieważ jestem, nie chwając się, nieprzeciętnie spostrzegawczy – zarośniętą gębę z czarnym znamieniem od reszty okrytej równie brudnym i zatłuszczonym kożuchem.

Ludzie zwykle podobnie reagują, patrząc w wylot pistoletowej lufy. Ten stwór nie okazał się wyjątkiem, więc chyba jednak był człowiekiem. Podniósł ręce wysoko w górę i zaskrzeczał:

– Nie strzelać! Litości, wielmożni panowie!

– To mówi – zdziwił się Sęp, jak na poetę mając dość ograniczony zasób słów, bo tak samo zareagował uprzednio na widok Garbusa.

Mnie jeszcze bardziej zdziwiło, jak taki włóczęga mógł buszować po Wawelu i domu biskupim, nie wzbudzając prawie niczyjego zainteresowania.

– Gdzie pieczęć? – warknąłem.

Łotrzyk pokazał bróg.

– Dobra, wlaż tam, tylko nie próbuj się zgubić.

Nie próbował. Wylażł po chwili z brudnym zawiniątkiem w równie brudnych łapskach.

– Sępie, bądź tak dobry i odbierz to od niego, mam zajęte ręce – rzekłem przebiegle, ale Sęp nie dał się wykorzystać.

– Dworujesz sobie? Żeby mnie coś oblażło?

Wsadziłem bandolet pod pachę i rad nierad, rozwinąłem zawiniątko, ze wstrętem odrzucając lepką szmatę. Po chwili trzymałem w ręku coś bezkształtnego, noszącego ślady młotka czy podobnego narzędzia, gdyż złodziej próbował oddzielić pieczęć od srebrnej oprawy. Niewątpliwie jednak był to przedmiot, którego szukaliśmy.

– W porządku. Idziemy.

Wróciliśmy przed chatę, do naszych wierzchowców. Kazałem jeńcowi dosiąść luzaka (bardzo mu współczułem, znaczy – koniowi), po czym związałem złoczyńcy z przodu ręce oraz, przeciągając sznur pod końskim brzuchem, nogi. W tym czasie otrząsnął się już z zaskoczenia i z oczu zaczęło mu wyzierać zuchwalstwo. Zdziwiłbym się, gdyby było inaczej – ostatecznie nie był pospolitym złodziejaszkiem okradającym pijaków i co bardziej gapowate przekupki.

– Jestem głodny – odezwał się. – Przerwaliście mi śniadanie.

– Zaraz się rozplączę – powiedziałem współczująco, po czym pokonując odrazę, chwyciłem go za brodę i przygiąłem mu kark tak, by moja twarz i jego plugawa gęba z czarnym znamieniem znalazły się na tej samej wysokości. – Ozwij się jeszcze raz niepytany, a zeżresz własny ozór, pojmujesz?

– Kacper, może wygasić ogień na palenisku, inaczej chałupa gotowa zgorzeć – rzekł Sęp.

– To będzie nawet korzystne dla tutejszej aury. Jedziemy.

Właśnie dosiadałem siwka, gdy siedzący już na swojej Strzałce Sęp pokazał coś za mną i zawołał:

– Patrz! Co to?

Na wysokości kościoła pojawiło się dwóch jeźdźców na idących w skok koniach.

– Turbacja – odrzekłem i ruszyłem wierzchowcem tak, by zastawić sobą naszego więźnia, bo domyślałem się, kto nas nawiedził.

– Coście za jedni? – rozkazującym tonem zapytał pierwszy jeździec, zażywny jegomość w kosztownej szubie.

– Myśmy tu byli pierwsi – zauważyłem grzecznie – jesteśmy więc jakby gospodarzami. *Ergo* może waszmościowie byście się wpierw opowiedzieli. Odradzam – rzuciłem w stronę drugiego jeźdźca, który zaczął sięgać do olstra, i uniosłem w górę lufę swego bandoletu.

– Urodzony Stefan Jaworski, podżupnik bocheński – rzekł ten w szubie. – Z kim mam sprawę?

– Kacper Ryx, inwestygator królewski, a to pan Mikołaj Sęp Szarzyński, ulubiony rymopis jego królewskiej mości. Czemu zawdzięczamy wizytę waszmościów?

Pan podżupnik lekko skinął głową, widać tytuły, jakie nam samowolnie przyznałem, uczyniły na nim wrażenie.

– Przybyliśmy po niego – wskazał kryjącego się za mną Bartosza.

– My też.

– Ale tu jest moja jurysdykcja.

– Ale my jesteśmy wysłannikami samego najjaśniejszego pana.

– Możecie to wykazać?

Pokazałem mu papier, ale go nie wypuściłem z rąk i schowałem za pazuchę zaraz po tem, gdy przeczytał.

– Ten człowiek skradł pieczęć królewską – wyjaśniłem. – A my mamy dostarczyć

na Wawel i jego, i ją. I to jak najprędzej, *ergo* dajcie nam drogę, waszmościowie.

– Tutaj mnie jego królewska mość powierzył przestrzeganie prawa. I tego się trzymam – uparł się podżupnik.

– A my mamy swoje rozkazy i też będziemy się ich trzymać – odparłem twardo. – Więzień jest nasz i musicie nas zabić, żeby go odebrać.

Ponieważ znów podniosłem lufę, nie przejawiali jakoś ochoty do forsowania swej racji, ale miny mieli ponure. Siły były bowiem wyrównane, lecz nasza determinacja jakby większa.

– Kacper, tam! – szepnął Sęp.

W oddali pojawiło się kilku zbrojnych. Niewątpliwie byli to podkomendni podżupnika, nieco spóźnieni, bo na gorszych koniach.

– No, panie żupniku, pora się pożegnać. Nie radzę nas ścigać, bo najjaśniejszy pan mógłby waści wziąć za złe, gdyby wypadkiem coś złego przytrafiło się jego ulubionemu poecie. A tak szepnę mu dobre słówko o waćpanu i jego czujności.

– Jazda naprzód! – trąciłem lufą w plecy jeńca, Sępowi zostawiając ubezpieczenie tyłów.

Na pożegnanie uniosłem dłoń do czapki, ale podżupnik i jego towarzysz nie odwzajemnili pozdrowienia, miny ich też były dalekie od życzliwości. Nie dziwiłem się – oto przechodziła im koło nosa doskonała okazja do wykazania się i zdobycia królewskich faworów.

Ruszyliśmy z kopyta. Po kilkudziesięciu krokach Sęp zrównał się ze mną.

– To nie jest droga na Bochnię.

– Wiem, ale nie chcę wodzić pana podżupnika na pokuszenie. Pojedziemy na Niepołomice. Co słyhać za nami?

Sęp się odwrócił.

– Chyba się naradzają. Odjeżdżają! Może zawrócimy?

– Lepiej nie. Poza tym musimy się spieszyć, żeby zdążyć do Krakowa przed zamknięciem bram. Nie chcesz chyba nocować po drodze z tym brudasem i jego pchłami?

Aż się wzdrygnął i już nie nalegał, byśmy wracali, za to rzekł:

– Ulubiony poeta króla jegomości – to mi się podoba! Ale kto to jest inwestygator?

– Potem ci powiem.

Drzewa przed nami zgęstniały. Wjechaliśmy do puszczy. Nie była już tak niepołomna jak wtedy, gdy przyjeżdżali tu na łowy Kazimierz Wielki albo Włodzisław II, który tak często przebywał w Niepołomicach, że zwano je żartobliwie „drugą stolicą Polski”. Początkowo drzewa rosły dość rzadko, ale w miarę jak zagłębialiśmy się w las, gęstniały coraz bardziej. Najwięcej było dębów, niektóre wystarczająco stare, by doskonale pamiętały wszystkich dawno zmarłych królów, którzy tu ongiś bywali.

Nie ujechaliśmy jeszcze mili, a dukt, a raczej ledwo widoczna ścieżka, skończył

się nagle jak ucięty nożem.

– Kacper, wracajmy – powiedział Sęp. – Nie podoba mi się to.

Mnie też się nie podobało. Śnieg dawno nie padał, na drogach nie było go wiele, tu, w lesie, trochę więcej, może na stopę, ale byłem pewny, że im dalej w puszcze, będzie go przybywało, co najmniej na łokieć. Nasze konie nie będą kontente.

– Tam widać drogę – niepytany odezwał się Bartosz.

Zapomniałem go zrugać, bo też zauważyłem wijącą się ścieżkę prowadzącą mniej więcej na zachód, czyli w pożądanym kierunku. Ale już pojąłem swój błąd i zamierzałem go naprawić. Powiedziałem to Sępowi:

– Zawracamy. Wierzchowce są już zmęczone, zwłaszcza twoja Strzałka.

Nie powinienem tego mówić.

– Sam powiadałeś, że nie mamy czasu. Poza tym nie mam ochoty przebywać z tym śmieciem dłużej, niż potrzeba. Jedziemy naprzód.

Zatem pojechaliśmy. Tak jak się spodziewałem, robiło się coraz trudniej. Ścieżka była ledwo przetarta i od jakiegoś czasu nieużywana, więc zawiana śniegiem. Konie szły coraz wolniej, szlak wykręcał coraz bardziej na północ, a mnie to wszystko coraz mniej się podobało.

– To nie jest dukt – zauważył wreszcie Sęp, który, jeśli właśnie nie obmyślał rymów, był zupełnie dobrym obserwatorem.

– Nie. Jedziemy przez bagna. W lecie utknęlibyśmy już po szyję. Poza tym spójrz – zatoczyłem ręką krąg – puszcza gęstnieje. Nie jest dobrze.

I wtedy zobaczyliśmy osadę. Choć osada to za dużo powiedziane. Po prostu chałupa, a raczej półziemianka, wkopana w ziemię i przykryta darnią. Z trudem tylko można ją było odróżnić od naturalnego kopca. Ze środka wydobywała się smużka dymu. Obok stała niewielka szopa z byle jak poskładanych dranic. Gdy podjechaliśmy bliżej, przekonaliśmy się, do czego służy, gdyż z wnętrza dobiegł wściekły jazgot psów, które nas wyczuły.

– Nie podoba mi się to miejsce – rzekł Sęp, rozglądając się czujnie dookoła i kładąc dłoń na rękojeści swego przedpotopowego pistoletu.

– I mnie – dodałem.

Ale jeszcze mniej podobała mi się mina naszego jeńca, drwiąca i tryumfująca zarazem, której nie zdążył zdjąć z gęby, zanim na niego zerknąłem. Akurat gdy zdałem sobie sprawę, w jakie to miejsce sprytnie przywiódł nas jak barany nasz więzień, i zdążyłem choćby napluć sobie w brodę, skóra maskująca wejście do ziemianki odchyliła się i wynurzył się brat bliźniak Bartosza. W każdym razie kropka w kropkę do niego podobny z postury i urody. W łapie trzymał paskudnie wyglądający samopał.

Już otwierałem usta, gdy uprzedził mnie Bartosz, wrzeszcząc coś do nieznajomego, który natychmiast wymierzył w moją stronę.

– W skok! – wrzasnąłem, równocześnie rozpląszczając się na kulbace.

Łotr strzelał celnie – kula prawie musnęła mi kark. Nie daliśmy mu okazji do

poprawki – nim nabił broń, byliśmy już daleko. Niestety, również znacznie głębiej w lesie.

– Stać! – poleciłem, gdyśmy zabrnęli w taką gęstwinę, że konie zaczęły ustawać.

Na gębie Bartosza nie malowała się już satysfakcja, mimo to wyciąłem go w pysk, aż plasnęło.

– Jeszcze raz rozdziawisz usta, a ubiję jak psa – zagroziłem mu, po czym oświeciłem Sępa, który był wyraźnie zniesmaczony moją brutalnością: – Kazał tamtemu nas zabić.

– Skąd wiesz? – zaciekał się. – Ja nic z tego nie pojąłem.

– Bo to mowa wałtarska. Posługują się nią trzyliterowi i drudzy złoczyńcy, a znów dziady używają języka libijskiego *alias* liberskiego. Ponoć łotry z drugich miast zjeżdżają do Kazimierza i Krakowa, by się go uczyć.

– A ty go znasz?

– Wałtarski słabo. Trochę lepiej mowę libijską.

– To powiedz coś.

– Helik się tu lepi.

– Co to znaczy?

– Nie wiem – zaśmiałem się. – Dawno temu włóczyłem się nieco z żebrakami i hultajami. Zapamiętałem to i owo, ale znaczenia wielu słów już zapomniałem.

– Jak myślisz, kim był tamten człowiek? Smolarzem?

– Polowaczem. Ten łotr – kiwnąłem w stronę Bartosza – zwabił nas prosto do ich gniazda. Moim zdaniem nasz przyjaciel od czasu do czasu odbierał od nich dziczyznę i skóry i sprzedawał pokątnie.

Wystarczyło popatrzeć na minę naszego jeńca, by się upewnić, że mam rację. Tylko co nam z tego? Znaleźliśmy się w sytuacji niegodnej pozazdrosczenia. Głodni, zmarznięci, na osłabionych koniach, sami jak trzy palce w środku ogromnej puszczy.

– I co dalej? – Sępa dręczył ten sam problem, bo minę miał, *nomen omen*, zasępioną. – Do Krakowa przed zmierzchem na pewno nie dotrzemy. Wątpię nawet, byśmy wydostali się stąd do tego czasu.

– To wszystko prawda – zgodziłem się, po czym zwarzyłem mu humor do reszty: – Zapomniałeś jeszcze o jednym.

– O czym?

– O komiltonach lubego Bartosza. Zakład, że już idą albo pójdą zaraz, jak się zbiorą do kupy, za nami w trop, który zostawiliśmy tak wyraźny, że dziecko by trafiło. A w razie gdyby cudownym zrzędzeniem losu poraziła ich ślepotą albo zabrakło im pochodni, mają psy, które zaprowadzą ich jak po sznurku o każdej porze dnia i nocy.

– Więc co pocniemy? – dawno nie widziałem tak nieszczęśliwego wyrazu twarzy jak u Sępa w tej chwili; zrobiło mi się go żal, ostatecznie wybrał się tylko na wycieczkę, a tymczasem znaleźliśmy się w niegorszych tarapatach.

Potał nos, który zbierał mu od zimna.

– Zawsze jest jakieś wyjście – pocieszyłem go.

– Na przykład?

– Miast dać się zastrzelić złoczyńcom, możemy dać się pożreć wilkom.

Teraz i on usłyszał ledwo słyszalne wycie pojedynczego wilka. Do wieczora zmieni się w cały chór i znacznie przybliży, tego byłem tak pewny, jak i tego, że jutro nastanie nowy dzień. Tylko czy będziemy mieli okazję go oglądać?

– Pięknie – sarknął Sęp. – Za nami zbóje, przed nami wilcy, a jak tu ostaniemy, to zamarzniemy na kość. I nawet nie mam się komu poskarżyć, bo wdepnąłem w to gówno z otwartymi ślepiami. Żyć, nie umierać.

– Powinieneś być zachwycony. *Memento mori...* Mnie jednak do śmierci nie pilno. Dlatego zsiadamy z wierzchowców, żeby im ulżyć, i próbujemy przepchnąć się przez gęstwinę.

– Dokąd?

– Do środka puszczy. Do matecznika.

– Szalejuś się najadł?!

– Bynajmniej. Mam koncept. I módl się, bym się nie przeliczył.

Zsiedliśmy zatem z wierzchowców, które przyjęły to z ulgą, i pobrnaliśmy przez coraz głębszy śnieg na północ, a przynajmniej tak mi się zdawało. Co prawda całe życie spędziłem w mieście, wiedziałem jednak, że mech porasta drzewa od północnej strony, a pnie nie były aż tak ośnieżone, bym przegapił mech, grubą warstwą pokrywający te najstarsze. Najgorsze, że światło, i tak z trudem przebijające się przez splątane konary i gałęzie nad naszymi głowami, nieubłaganie przygasało.

Nie wiem, ile czasu tak wędrowaliśmy, to wdrapując się na jakieś pagórki, to omijając wykroty, to zsuwając się do jarów wypłukanych przez strumienie, chłostani przez gałęzie, z których opadał śnieg, sypiąc się nam za kołnierze. Raz, ledwie o rzut kamieniem, przeszło obok nas stado żubrów. Zamarliśmy w bezruchu i zamknęliśmy koniom chrapy, bo żubry to najgroźniejsze bestie w puszczy. Na szczęście nie spostrzegły nas. Innym razem spłoszyliśmy wielkiego jelenia, a gdy uniosłem głowę, zoczyłem czającego się na konarze rysia, który prychnął na nasz widok i wspiał się wyżej. Gdzieś po tysiącu lat tej męczarni, gdy świat wokół nas pokryła szarość, a resztki światła odbijały się już tylko od śniegu, nagle wyszliśmy na wyraźniejszy trakt. Ulżyło mi i przywróciło nadzieję. A po kolejnych kilkuset krokach trafiliśmy na dość rozległą polanę, zewsząd otoczoną czarną ścianą zarośli. Było tak, jakbyśmy znaleźli się wewnątrz krakowskiego Barbakanu, tylko kilkanaście razy większego. Ogarnęło nas poczucie bezpieczeństwa tym silniejsze, że równocześnie rozległ się niedaleko donośny zew wilczej watahy wyruszającej na łowy. Miło było pomyśleć, że to nie my padniemy ich łupem tej nocy.

Pośrodku polany stała chata porządnie zbudowana z grubych śniatów, obok szopa wyglądająca na stajnię, a dalej ogrodzenie z pali jeszcze grubszych niż te belki, z których zbudowano dom.

– Salwatorze, skąd wiedziałeś? – na twarzy Sępa malowała się tak wielka ulga, że

usunęła z niej wyraz potwornego zmęczenia.

Więzień, którego wiodłem na postronku, też przedstawiał obraz nędzy i rozpaczy, bo mając związane ręce, nie mógł bronić się przed upadkami czy smagnięciami gałęzi, ale to mnie wcale nie wzruszało, gorzej, że konie były w fatalnym stanie, a dla wątłego Sępa ratunek przyszedł w ostatniej chwili. Z całego towarzystwa ja miałem się najlepiej, zapewne trzymało mnie na nogach poczucie odpowiedzialności.

– Nie wiedziałem. Miałem tylko nadzieję, którą czerpałem z lektury Bielskiego.

– Czytałeś jego *Kronikę*?

– Pewnie, podobnie jak *Kronikę Polaków* Miechowity, dzieła Wapowskiego i Kromera. Kocham się w historii.

– I cóżże wyczytał u Bielskiego?

– Między innymi o łowach króla Starego i królowej Bony w dwudziestym siódmym bodaj roku. Sprowadzono wtedy tu, do Puszczy Niepołomnej, wielkiego niedźwiedzia z Litwy i wypuszczono ze skrzyni na łowców. Ale miś nie okazał monarchom należytego uszanowania i rzucił się na osaczników. Poturbował podkomorzego Ożarowskiego, krajczego Tarłę, obalił trefnisia Stańczyka. A najgorsze, że spłoszony wierzchowiec zrzucił królową, która była brzemienna. *Ergo* porodziła bez czasu syna, który pochowany zaraz został w Niepołomicach. A wszystko stało się tu, w miejscu zwanym odtąd Posynie albo Poszynie. Słusznie Stańczyk odparł królowi, gdy ten szydził zeń, że przed niedźwiedziem uciekał: „Większy to błazen, co mając niedźwiedzia w skrzyni, puszcza go na swoją szkodę”. Nie znasz tej historii?

– Co nieco słyszałem. Czytałem za to *Pieśń o żubrze* Hussowskiego, zadedykowaną królowej Bonie. Więc myślisz, że jesteśmy w Poszynie?

– Na pewno. Właśnie na to liczyłem, że znajdziemy tu coś na kształt myśliwskiej przystani.

Tak gwarząc sobie o literaturze i historii, co lubię najbardziej (choć zdecydowanie wolę to czynić w przytulnych czterech ścianach przy dobrym węgrzynie), doszliśmy do szopy, która rzeczywiście okazała się stajnią, i to dobrze zaopatrzoną w słomę i siano, a przy tym obszerną i dość solidną, by do wnętrza nie dobrały się drapieżniki. Może z wyjątkiem niedźwiedzia, ale żywiłem cichą nadzieję, że chociaż to zostanie nam oszczędzone.

– No to przynajmniej nasze wierzchowce są już w domu – rzekł Sęp i poklepał serdecznie po szyi swą Strzałkę.

Rozwiązałem jeńca i zapędziłem do roboty. Podczas gdy my rozkulbaczyliśmy wierzchowce, on wycierał je wiechciami słomy, potem ją podścielił, naniósł zwierzętom siana, a na koniec wziął drewniany ceber stojący w kącie i pod moim okiem poszedł po wodę do źródła, które biło niedaleko tak obficie, że usłyszeliśmy je, bo wypatrzeć na pewno by się już nie udało.

Gdy konie były opatrzone, związałem Bartosza i poszliśmy do domu, dokładnie zamykając stajnię na potężny skobel. Wąskie jak strzelnice okna były na głucho

zamknięte solidnymi okiennicami, a drzwi zawarte na ogromną kłódkę.

– I co teraz? Jeśli przestrelimy tę kłódkę, mogą nas usłyszeć kłusownicy.

– I tak tu trafią, ale masz rację, spróbujemy uporać się z tym bez hałasu.

Z taką samą uwagą i podejrzliwością jak poprzednio Antoś, Sęp śledził moje, uwieńczone pełnym sukcesem, manipulacje przy kłódce.

– Pewnie pobierałeś nauki u tego samego bakałarza, u którego studiowałeś mowę libijską?

– Żebyś wiedział. Było to ciekawsze i bardziej użyteczne niż niejeden wykład na uniwersytecie. No i proszę!

Kłódka ustąpiła i weszliśmy do środka. Skrzesalem ognia i w wątym świecieku zoczyłem wielki stół, a na nim na pół wypaloną świecę w glinianym świeczniku.

– Pilnuj go – wcisnąłem Sępowi do ręki koniec sznura, którym był spętany Bartosz, a sam poszedłem zapalić świecę.

W jej świetle ogarnęliśmy wzrokiem całe pomieszczenie. Była to jedna izba, rodzaj świetlicy, z ogromnym kominkiem w kącie, dużym stołem na środku i ławami po bokach. Ochędóstwo było bardzo skromne, sprzęty wykonane przez wiejskich albo małomiasteczkowych majstrów, ale solidne i zupełnie wystarczające do zażycia wytchnienia po łowieckim trudzie, a przed powrotem do domu. W każdym razie na nasze potrzeby to schronienie było w sam raz i nie zamierzałem skarżyć się na niewygody. Wziąłem świecę i obszedłem wszystkie kąty, na gzymsie kominka znalazłszy jeszcze jedną świecę. Zapaliłem i ją i od razu zrobiło się jaśniej i przytulniej.

– Rozpal ogień – poleciłem jeńcowi, rozwiązawszy mu więzy.

Za kominem leżała sterta bierwion, wystarczająca do uratowania nas przed zamarzeniem tej nocy. Nigdzie tylko nie było ani okruszka, ani odrobiny jakiegokolwiek strawy. Myśli Sępa biegły tym samym torem.

– Zdaje się, że przyjdzie nam pościć akurat teraz, gdy w pojedynkę czuję się gotów do pożarcia całego żubra razem z kopytami.

– A nie zezwoliliście mi zjeść śniadania – pożalił się Bartosz od strony kominka, na którym buzował już ogień, rozjaśniając całą izbę, tak że mogłem zgasić jedną ze świec.

– Poskarżysz się katu – odparłem – a teraz możesz odgryźć i zjeść sobie rękę; i tak ci ją utną. Nie chcesz? To kładź się i dawaj łapy.

Odpiąłem kord od pasa, broń położyłem na ławie, a pochwę wykorzystałem do związania naszego więźnia w kij. Nie próbował się opierać, a ja w nagrodę podsunąłem mu wielką skórę z odyńca i ułożyłem go w pobliżu ognia. Po czym wróciłem do stołu i klapnąłem na ławę obok Sępa.

– Będziemy musieli czuwać całą noc – powiedziałem. – I od czasu do czasu sprawdzać obejście.

– Wiem – odparł. – Którą wartę bierzesz? A może pociągniemy słomki?

– Nie trzeba, idę spać. Obudź mnie, gdy uznasz za stosowne.

– Kacper...

– Tak?

– Jak zginęła Dorota? Widziałem ją może ze trzy razy, ale wiesz, to takie dziwne uczucie, gdy nagle umiera ktoś znajomy...

– Wiem. Ktoś wbił jej nóż w serce.

– Zostawisz to tak?

– Nie. Jak skończymy z tą sprawą, zajmiemy się tamtą.

Kiwnął głową z aprobatą.

– Tak myślałem. Pomogę ci. Bo wiesz co? Zaczyna mi się podobać taka robota.

No proszę, kto by się spodziewał, że Sępowi spodoba się życie na dyszlu, i to pełne niebezpieczeństw. Byłem potwornie śpiący, ostatecznie poprzedniej nocy prawie nie spałem, poza tym droga przez puszcę dała mi w kość, ale Sęp był w jeszcze mizerniejszym stanie. Dlatego wybrałem gorszą, drugą wartę, od północy (mniej więcej, bo przestaliśmy orientować się w czasie) do świtu. Skór walało się wszędzie pod dostatkiem, więc dołożyłem do ognia, po czym wymościłem sobie wygodne posłanie i ledwo przyłożyłem głowę do niedźwiedziego futra, już spałem jak zabity.

Nie wiem, co mnie obudziło. Zwykle śpię twardo i nawet trąby jerychońskie mogłyby mnie nie zbudzić, ale często zrywa mnie najcichszy dźwięk, jeśli jest niezwyčajny. Poza tym, jeśli wiem, że muszę wcześniej wstać, potrafię spać płytko i zbudzić się na czas.

Ogień w kominku przygasał, Sęp spał z głową na stole, a Bartosz... Bartosz nie leżał tam, gdzie go zostawiłem. Dorzuciłem drew do ognia i w jego świetle sprawdziłem więzy jeńca. Przy nadgarstkach miały ślady przecierania, a na krawędzi kominka zobaczyłem włókna z powrozu. Pochyliłem się i syknąłem mu do ucha, wiedząc, że tylko udaje śpiącego:

– Popróbuj znów, a obetnę ci uszy.

Obaj wiedzieliśmy, że nie rzucam słów na wiatr i spełnię groźbę, jeśli będę musiał. Ale byłem rad, że wrażliwy Sęp tego nie słyszy. Byłem głodny jak diabli. Zacisnąłem pasek, żeby ścisnąć buntujący się żołądek i stłumić ssanie. Podszedłem do stołu. Świeca była całkiem wypalona, spod ramienia Sępa wystawała zapisana karta papieru, z dłoni wypadło mu pióro, cud, że nie wylał się inkaust z kałamarza. Ach, ten Sęp! Gdzie on to wszystko nosił? Kręcąc głową, zatkałem kałamarz, zabrałem kord z blatu, narzuciłem na siebie krótki kożuszek, który zdjąłem do spania, po czym, nie budząc Sępa, jak najciszej odsunąłem zasuwę, uchyliłem drzwi i wymknąłem się na zewnątrz.

Noc była ciemna, choć oko wykol. Prószył śnieg, ale mróz nie doskwierał zbyt, poza tym byłem jeszcze rozgrzany. W stajni panował spokój, ale za potężnym ogrodzeniem coś się poruszało, coś wielkiego i ciężkiego. W ciemnościach nie mogłem jednak stwierdzić, co. W otaczających zaroślach nie działo się nic, tylko niedaleko pohukiwał puszczyk, a z dali niesło się przytłumione wycie polujących wilków. Miałem jednak dziwne przekonanie, że kłusownicy już tu są, a jeśli nie, to

nadejdą przed świtem. Z pewnością znają puszcę doskonale, a poza tym mają psy. Nie było ich słyhać, więc może na razie byliśmy bezpieczni. Może padający śnieg ich opóźnił? Niestety, nie był tak gęsty, by całkowicie zasypać ślady. Mogliśmy jeszcze się stąd wymknąć, ale nie uśmiechało mi się błądzić po lesie po omacku. Tu mieliśmy większą szansę.

Skończyłem obchód i z powrotem wśliznąłem się do chaty. Wydobyłem zza pasa puginał i resztę nocy spędziłem pracowicie. Kiedy na dworze zaczęło szarzeć, obudziłem Sępa.

– Zaspałem? – przetarł oczy z zawstydzoną miną. – Przepraszam, zawiodłem cię.

– Nic się nie stało.

– Ale mogło. Z mojej winy mogli nas wyrzucić jak oseski.

– Nie zechcą szturmować chaty. Myślę, że zamierzają nas wystrzelać, gdy będziemy wychodzić.

– Już tam są?

– Tak. Nie słyhać ptaków, a już powinny się odzywać.

– A co tak hałasuje za ścianą?

Już wiedziałem, co znajdowało się w ogrodzeniu, sprawdziłem to jakieś dwa kwadransy temu, gdy robiłem ostatni obchód.

– Żubry. W zagrodzie jest kilka sztuk. Może trzymają je na wypadek, gdyby trzeba było naprędce zgotować królowi łowy.

– Brr, ależ tu ziąb – wzdrygnął się i dopiero teraz zobaczył moje dzieło: pracowicie wydłubany spomiędzy dwóch belek, wokół całej chaty, z wyjątkiem tylnej ściany będącej równocześnie fragmentem zagrody, mech; zresztą ogniowi też pozwoliłem zgasnąć, nie chciałem w zamieszaniu spowodować pożaru, ostatecznie byliśmy tu nieproszonymi gośćmi i gospodarze mogliby nam wziąć za złe puszczenie domu z dymem; ja bym wziął.

– Widzę, że porobiłeś strzelnice.

– Owszem, a teraz przygotujmy broń.

Mieliśmy stary pistolet Sępa i moje dwa pożyczone bandolety oraz mieszek z kulami i drugi na proch – diablo mało jak na potrzebę, nawet niewielką.

– Nie wygląda to dobrze – westchnął Sęp. – Na domiar słabo widzę, wciąż stoją mi w oczach tłuste udźce, zawiesiste polewki, grube pajdy chleba z masłem i takie tam.

– Puste trzewia mają swoją dobrą stronę.

– Ciekawym, jaką?

– Jeśli cię postrzelą w próżny żywot, może przeżyjesz.

– Serdeczny dank. Bardzoś mnie pocieszył. „Postrzelony w żywot” – zaiste piękny temat na wiersz. Bez wątpienia, Kacper, jesteś najlepszym poetą pośród medyków.

– I kto się skarży? Pozwól, że przypomnę ci twoją własną dewizę: *Memento mori*.

– Ale nie dziś. I nigdy na głodniaka. I koniecznie we własnym łożu. Myślisz, że to uwzględnią?

– Spytamy ich.

Tak się przekomarzając, nabiliśmy broń i czekaliśmy. Śnieg przestał padać. Cisza aż dźwięczała w uszach. A może szumiała nam krew? Na szczęście nie czekaliśmy długo. Ledwie pierwszy promień brzasku przedarł się przez chmury, gdzieś na wprost chaty, na skraju lasu, zaszczekał pies. Jeśli zbójcy mieli jakiś sprytny plan działania, teraz wziął w łeb. Rozległo się wołanie:

– Ej, wy tam! Oddajcie nam Bartosza, a puścimy was wolno!

Odwrzasnąłem przez szparę:

– Przyjdźcie po niego!

Zamiast odpowiedzi padł strzał. Kula przebiła okiennicę, wytłukła szklaną gomółkę w oknie i ze świstem przeleciała przez izbę. Druga nieszkodliwie utkwiała w śniacie, nie przebiwszy się przez grube drewno. Tylko trochę kurzu posypało się ze ściany.

– Sępie, bierzesz lewą stronę, a ja prawą. I trzymaj się z daleka od okien. Strzelamy jeno do pewnego celu.

Trochę się trapiłem Sępem – nie byłem pewien, jak się zachowa pod ogniem, i nic nie wiedziałem o jego strzeleckich umiejętnościach. Potem już nie miałem czasu, by o tym dumać, bo kłusownicy znów zaczęli strzelać.

– Piekło i szatani! – zawołał nagle Sęp i już przestraszyłem się, że został ranny, gdy dodał: – Mój najlepszy kołpak!

Kula zdmuchnęła mu z głowy czapkę i obcięła piękne czaple pióro. Odetchnąłem, po czym szybko, raz za razem strzeliłem w miejsce, które sobie upatrzyłem. Nagrodą był krzyk bólu.

– Dobra nasza! – pochwalił mnie Sęp. – Może to ich ostudzi.

Wątpiłem w to i miałem rację. Rozwścieczeni kłusownicy oddali palbę, kilka pocisków przebiło się przez okiennice i wpadło przez szpary, odłupując z belek drzazgi. Jedna z nich wbiła mi się w ramię, aż syknąłem.

– Jesteś ranion? – spytał zaniepokojony Sęp.

– Nic mi nie jest – wyrwałem drzazgę i szybko nabiłem bandolety.

W sam czas, bo napastnicy ruszyli do szturmu. Z lasu wyłoniło się z pół tuzina postaci i zaczęło biec w naszym kierunku. Sęp wypalił pierwszy i ujrzałem, jak futrzana czapka jednego ze zbirów frunie w powietrze, on zaś zawraca na pięcie i pędzi z powrotem do lasu. Mnie powiodło się lepiej – ten, który biegł na przodzie, zwał się w śnieg jak podcięty. Może był ich hetmanem, bo reszta podała tył.

Korzystając z chwili wytchnienia, rzekłem do Sępa:

– Niezły strzał, tylko następnym razem musisz mierzyć niżej.

– Trafiłem dokładnie tam, gdzie chciałem – odparł spokojnie.

Teraz dopiero pojąłem, co z niego za gagatek.

– Już wiem! To ty strzelałeś do Zamojskiego!

Uśmiechnął się filuternie.

– Owszem. I też trafiłem, gdzie chciałem. Nie zamierzałem go zabić, jeno napędzić strachu. Tylko mu tego nie mów.

– Fiu, fiu – gwizdnąłem z podziwu, bo nie byłem aż tak skrupulatny, by z taką starannością wybierać sobie cel, ani tak wrażliwy, by oszczędzać wrogów.

– Bo widzisz... – zarumienił się jak panienka. – Jeszcze nikogo nie zabiłem...

– Szczęśliwiec – mruknąłem. – Obyś dalej nie musiał, bo to nic przyjemnego.

– Nie cierpię gwałtu – wyrzucił z siebie nagle. – A od małego miałem z nim styczność. Mój ojciec, Joachim, podstoli lwowski, ima się wszelkich sposobów, by powiększyć majątek. Przykro mi to rzec, ale częściej działa lewem niż prawem, nie gardząc prawnymi sztuczkami, frantostwem, a jak trzeba – siłą. Ledwośmy z bratem Jakubem osiągnęli lata sprawne i broń byli zdolni unieść, już czyniliśmy z ojcem zajazdy na sąsiadów albo burdy w obronie naszych protektorów – Tarłów, Kostków i Starzechowskich, jak wówczas pod Samborem. Te wszystkie awantury, procesy, zajazdy, strzały z za węgła zmęczyły mnie. Dlatego wyjechałem za granicę... – równie nagle jak zaczął, przerwał swe wynurzenia i spytał z nadzieją: – Myślisz, że odejdą?

– Może – odparłem, choć w to nie wierzyłem.

Chwilę potem wznowili ostrzał. Nie odpowiadaliśmy, ale gdy tylko jeden z nich wychylił się zza drzewa, wpakowałem mu kulę w ramię. Jego wrzask przerwał palbę. Zapadła cisza.

– Przesuń się – rzekłem do Sępa. – Teraz popróbuj z boków.

I tak się stało. Złoczyńcy przypuścili atak ze skrzydeł. Wycofali się, gdy znów powaliłem jednego, a drugiego raniłem. Przy tym strzale wykruszył się piryt z kurka jednego z pistoletów; grubsze okruchy musiały zatrzeć walec, bo coś zgrzytnęło w zamku, co zdarzało się wcale często w pistoletach tego rodzaju, więc odrzuciłem zbędną broń. Upadając, kolba przełamała się na pół, taki to był marny oręż. Machnąłem ręką. I tak nie miało to już znaczenia.

– Co u ciebie? – spytałem.

– W porządku – odparł. – Strąciłem następnemu czapkę. Tuszę, że przemrozi sobie uszy i skona od tego, ale chyba nie tak prędko, jak byśmy sobie wieszowali – spowaźniał. – Cofnęli się, lecz mam ostatnią kulę.

– Ja też.

– Zdaje mi się, że zbierają się i szykują do ostatecznego szturmu od frontu. Masz jakiś pomysł, nieprzebrana skarbnico konceptów, czy mam się zacząć modlić?

– A zrobiłeś sobie kiedyś przerwę? Nie trap się, coś mi się właśnie udało ukować.

Była to prawda – jeśliby w jakiejś sytuacji zabrakło mi rozwiązania i poczułbym się całkowicie bezradny, znaczyłoby to, że umarłem. A na razie żyłem, słuch miałem dobry i od dłuższej chwili słyszałem porykiwanie naszych sąsiadów z za ściany – żubrów, spłoszonych strzałami i szalejących w swojej zagrodzie; któryś nawet otarł się o chatę, co odczuliśmy jako małe trzęsienie ziemi. To nasunęło mi pewien pomysł.

Oddałem Sępowi sprawny (miałem nadzieję) bandolet i podszedłem do naszego

jeńca. Normalnie bez zastanowienia palnąłbym go kolbą pistoletu, ale jedną już zламаłem, a nie miałem gwarancji, że druga wytrzyma spotkanie z twardym łbem złoczyńcy. Jednak musiałem jakoś zapewnić sobie milczenie Bartosza. Z braku czegoś odpowiedniejszego, wepchnąłem mu w usta zniszczoną pieczęć, aby nie ostrzegł współników, po czym podszedłem do drzwi, jak najciszej odsunąłem rygle i rzekłem do Sępa:

– Powiedz mi, kiedy zaatakują, potem mnie osłaniaj, a jeszcze później zacznij się modlić.

– Co zamysłasz?

– Obaczysz.

Zanim zdążyłem się zniecierpliwzić, Sęp zawołał półgłosem:

– Idą!

Wypadłem na dwór. Nie tracąc ani chwili, popędziłem do zagrody i z szalonym pośpiechem zacząłem odrzucać belki u wejścia, nie troszcząc się o krzyki i strzelaninę za plecami. Wreszcie zagroda stanęła otworem, a ja jałem wrzeszczeć i płaszać jak w tańcu świętego Wita, chcąc zwrócić na siebie uwagę żubrów. Nie musiałem się specjalnie wysilać, bo stado złożone z pięciu sztuk biegało niespokojnie wzdłuż ogrodzenia, rycząc ze strachu jak opętane, a teraz, dostrzegłszy wyjście, ruszyło ku niemu niepowstrzymanym galopem, aż ziemia się trzęsła. I niech mnie wciórności, jeśli nie było pośród nich tura [5], którego miałem za bestię dawno wymarłą! Ledwo zdążyłem uskoczyć, gdy przewaliły się obok, pędząc wprost na nacierających kupą polowaczy. Wrzask przerażonych złoczyńców przebił się przez ryk bestii i psi jazgot, po czym kłusownicy rozpoczęli paniczny odwrót. Zwyciężyliśmy.

– Zapłacisz mi za to!

W zamieszaniu przegapiłem, że jeden z kłusowników umknął jakimś cudem spod kopyt rozszalałych zwierząt i niepostrzeżenie zaszedł mnie z boku. A ja nie miałem nawet korda, bo nie chciałem sobie krępować ruchów. Został mi tylko puginał, lecz i tak nie zdążyłbym poń sięgnąć. Mogłem jedynie patrzeć bezsilnie, jak palec zbira zgina się na cynglu rusznicy. Padł strzał. Poczulem potężne uderzenie w pierś, które odrzuciło mnie na ogrodzenie, a potem ogarnął mnie mrok.

Nie pamiętam, czy to było następnego dnia, czy tydzień później, gdy jak przez mgłę słyszałem głos Sępa:

– Kacper, nie rób mi tego! Nie umieraj!

Dziwne, bo aniołów imaginowałem sobie zupełnie inaczej, nawet jeśli Sęp dołączył do ich grona. Diabłów zresztą także. Głowa latała mi wte i wewte, policzkowana to z jednej, to z drugiej strony. Spróbowałem otworzyć oczy i o dziwo! – udało mi się.

– Przestań! Urwiesz mi głowę – wychrypiałem.

– Ty żyjesz!

– Na to wygląda – ale byłem równie zdumiony, bo oprócz bólu w piersiach nic

mi nie dolegało i bynajmniej nie czułem się jak kandydat na nieboszczyka.

Sięgnąłem za pazuchę i wyjąłem książkę, którą dostałem od brata. Miała w środku piękną okrągłą dziurę, na szczęście nie na wylot, z osmalonymi brzegami.

– Oto, jak dobry Bóg wynagradza miłujących wiedzę.

– Co to jest?

– Traktat o fechtach.

Wziął go do ręki.

– Po włosku – stwierdził.

– Czytałem go wczoraj do białego rana. Ale nie wszystko pojmuję. Po powrocie miałem cię prosić o pomoc, tym bardziej teraz, gdy księga jest popsowana.

– Chętnie – zwrócił mi książkę i podał rękę, bym mógł powstać. – Na pewno nic ci nie jest?

Obmacałem żebra, jedno wyglądało na pęknięte, ale był to drobiazg niewart uwagi.

– Nic – rzekłem i rozejrzałem się.

Po zbójach, żubrzech i turze, jeśli mi się nie przyśnił, nie było śladu. Tylko zdeptany śnieg i leżące tu i ówdzie ciała świadczyły o niedawnej potyczce. Mój napastnik spoczywał nieopodal na wznak, martwymi oczyma celując w stalowe niebo.

– Zastrzeliłem go – powiedział Sęp, a ja dopiero teraz spostrzegłem, że cały drży.

– Ubiłem człeka – powtórzył z rozpaczą.

Objąłem go.

– On albo ja. Jeżeli chcesz znać moje zdanie – uczyniłeś dobry wybór.

– Wiem – rzekł – ale i tak mi ciężko.

Nagle, patrząc w niewidzące oczy trupa, zaczął recytować:

*Córa to grzechowa,
Świat skazić gotowa:
Wszystko, co się rodzi,
Bądź po ziemi chodzi,
Lub w morskiej wnętrzości
I wietrznej próżności,
Jako kosarz ziele
Ostrą kosą ściele [6].*

Chwilę milczałem, zastanawiając się, czy wzruszenie Sępa było spowodowane prawdziwym wstrząsem z powodu zabicia człowieka, czy też raczej dostarczyło mu silnej podniety twórczej. Myślę, że sam tego nie był pewny. Zazdrościłem mu, bo ja nie potrafiłem przeżywać aż tak głęboko. I dobrze wiedziałem, że w związku z tym moja poezja nigdy nie dorówna jego. Trudno. Za to na pewno jest weselsza.

– Wymyśliłeś to teraz, na poczekaniu?

– W nocy, gdy tak siedziałem sam w ciemnej izbie i czuwałem, nie wiedząc, co nam ten dzień przyniesie.

Zanim zdążyłem coś powiedzieć, usłyszeliśmy gwar i wnet zostaliśmy otoczeni przez gromadę zbrojnych. Przewodził im wysoki mężczyzna w kołpaku ozdobionym złotym guzem. Poprzedzało go kilku pieszych w szarych kubrakach, z rusznicami na plecach i ogarami na smyczach, za nim zaś podążał oddział kilkunastu konnych, też uzbrojonych po zęby.

– Ktoście?! – rzucił ostro ten wyglądający na hetmana, a pozostali wymierzili w naszą stronę strzelby.

– Wysłannicy jego królewskiej mości.

– Doprawdy?

Podąłem mu swój glejt, który stawał się nieoceniony. Przeczytał go uważnie, po czym zwrócił mi papier i rzucił:

– A tamten?

– Urodzony Mikołaj Sęp Szarzyński herbu Junosza. Wierszopis króla jegomości.

– Ulubiony – mruknął Sęp.

– Jam jest Grzegorz z Ruszczy Branicki, starosta niegrodowy niepołomicki. Ścigam kłusowników, których, jak mi doniesiono, zadomowiła się w puszczy zuchwała kupa i spustoszenie znaczne czyni wśród zwierzyny. A wy co tu porabiacie, waszmościowie?

– Ujeliśmy w Bochni *homo trium literarum*, lecz w powrotnej drodze zabłąkaliśmy się w puszczy, a ów łotr wezwał w sukurs swych kompanów. Tuszę, że tych samych, których tropicie.

– Chcę go zobaczyć – rzekł i zsunął się z siodła. – Wasze zostajesz – rzucił do Sępa i dał znak swym ludziom, by go pilnowali, widać wciąż nam nie ufał.

We dwóch weszliśmy do izby. Starosta z uwagą rozglądał się po zdemolowanej świetlicy, ale nic nie rzekł. Podeszliśmy do naszego więźnia, który leżał, gdzie go ostatnio zostawiłem, tylko lico, bliski uduszenia, miał czerwone jak burak. Wyjąłem mu z ust pieczęć. Zaczął rzeźić i łąpać powietrze niby ryba wyjęta z wody.

– Co ukradł? – spytał Branicki.

– Właśnie to – pokazałem mu pieczęć, zawijając ją w chustkę. – Jeno to miałem pod ręką, więc wepchnąłem mu w gębę, żeby nie zdradził naszych poczynań, gdym się wymykał z chaty, by wypuścić żubry z zagrody i poszczuć je na kłusowników.

– Masz acan koncepta! – uśmiechnął się pod nosem, po czym wyszliśmy na zewnątrz.

Jeszcze raz rozejrzał się uważnie, omiatając wzrokiem pokiereszowaną chatę, otwartą zagrodę, zdeptany śnieg i trupy leżące tam i sam.

– Stoczyliście tu prawą potrzebę – zauważył.

– Było gorąco – potwierdził Sęp.

– Po powrocie wyślę raport na Wawel. Dobrze się sprawiliście. A o szkody się nie trapie. Którędy zamysłacie wracać?

– Przez Niepołomice – odparłem.

– Tedy bez trudu traficie po naszych śladach. A może, dla pewności, dać wam, waszmościowie, dwóch moich posoczników, aby wskazali wam drogę?

Jeszcze król Stary, w 1538 roku, wydał pierwszy w Polsce zbiór praw leśnych *O ochronie lasów i łowiectwa* i ustanowił służbę leśną – leśniczych oraz strażę – posoczników, którzy tropili kłusujących po śladach krwi.

– Trafimy sami – zapewniłem go. – Wy też nie będziecie mieli turbacji, ubiegający polowacze ostawili świeży trop.

– Tedy bywajcie! – wskoczył na konia, dał znak swoim ludziom i wszyscy podążyli za zbiegami.

Unieśliśmy dłonie na pożegnanie. Poszliśmy do stajni i wyprowadziliśmy wierzchowce. Były niespokojne po strzelaninie, ale wypoczęte i nażarte. Wróciłem do chaty i rozwiązałem Bartosza. Podczas gdy jęcząc, dochodził do siebie, przypasałem pochwę i wsadziłem do niej kord.

– Wstawaj – nie zważając na jęki Bartosza, wywiodłem go na zewnątrz, wpakowałem na konia i na powrót związałem.

– Możemy ruszać? – spytałem Sępa.

Rzucił ostatnie spojrzenie na zabitego przez siebie łotra, któremu wcześniej odebrałem proch i kule (a także całkiem niezły arkebuz w zamian za popsuty bandolet), by nabić naszą broń, westchnął i mamrocząc swoje: *Memento mori*, dosiadł Strzałki.

Do Niepołomic po przetartym szlaku dojechaliśmy szybko i bez przygód. Minęliśmy okazały zamek, który zbudował Kazimierz Wielki, a pięknie rozbudował miłościwie nam panujący Zygmunt August, stary kościół, by nareszcie w Rynku odwiedzić gospodę. Zachwycony karczmarz ogołocił dla nas piwnice, ale nie wyglądał na niezadowolonego, zwłaszcza gdy przyszło do płacenia. Na czas posiłku rozwiązałem Bartosza, pozwoliłem mu też najeść się do woli, nie jestem przecież okrutnikiem. Życie dało mi szkołę, co nie znaczy, że wyzbyłem się ludzkich odruchów. Po prostu nie byłem tak wrażliwy jak Sęp, ale o to wcale nie było trudno.

Opuściliśmy miasto przez naprawianą dopiero bramę, tę samą, którą król kazał zburzyć osiemnaście lat temu, gdy zamierzał umierającą królową Barbarę przewieźć na szerokim wozie z Krakowa do zdrowszych Niepołomic, ale nie zdążył przed jej śmiercią. Dwie mile dzielące nas od Kazimierza przebyliśmy galopem, kierując się na Bieżanów i Prokocim. Wypoczęte wierzchowce gnały jak wiatr, nawet Strzałka nie odstawała i po raz pierwszy patrzyłem na nią życzliwiej. Wkrótce wjechaliśmy na główny trakt. Z góry widać było już Wawel i wieże kościoła Mariackiego, a bliżej Górę Lasoty z prastarym kościółkiem Świętego Benedykta i sąsiednie wzgórze, Rękawkę, z usypanym na nim kopcem Krakusa, założyciela Krakowa. Okoliczne białe skały wapienne porastał gęsty las, zwany Na Zbóju, bowiem grasowali tu zbójcy, na szczęście żadnego nie spotkaliśmy. Na ich szczęście, bo nawet łagodny zwykle Sęp tym razem chyba nie zdzierzył. Nie odstraszał grasantów nawet widok

górującej nad okolicą kazimierskiej szubienicy, właśnie tutaj posadowionej. Pochwyciłem skierowane na nią spojrzenie Bartosza i trochę żal mi się go uczyniło. Do Kazimierza wjechaliśmy przez bramę Bocheńską, a w samo południe zeskakiwaliśmy z koni pod zamkiem krakowskim. Przekazałem naszego więźnia dowódcy straży, który obiecał natychmiast powiadomić Kochanowskiego, bo Górnicki gdzieś wyszedł.

Już mieliśmy zawracać konie, skonani do ostatnich granic, a tu jeszcze trza było oddać resztki pieczęci jego ekscelencji, gdy ujrzeliśmy podążający w stronę zamku mały orszak. Na czele szparkim krokiem stąpało dwóch ludzi, za którymi, z trudem nadążając, niemal biegło dwóch kleryków z podkasanymi sukniemi, a za nimi kilku pstrokato odzianych dworzan.

– Jesteście! – zawołał na nasz widok Górnicki, a w jego zdyszonym towarzyszu ze zdumieniem rozpoznałem biskupa Padniewskiego; spod rozpiętego cennego futra wyglądała zwyczajna sutanna, włosy miał w nieładzie i twarz ściągniętą zmartwieniem.

– Król przyspieszył wyjazd do Lublina – wyjaśnił bibliotekarz. – A przedtem żąda widzieć jego ekscelencję.

– Macie coś? – spytał Padniewski matowym głosem, gdyśmy go całowali w upierścienioną dłoń.

– Wszystko – odparłem. – Złodzieja właśnie poprowadzono do wieży, a niezbite lica jego winy są tu – poklepałem się po piersi.

– Do kaduka! Nie może być! – zawołał radośnie Górnicki.

– Bogu niech będą dzięki! – wykrzyknął książę biskup z nagle rozjaśnionym obliczem, wznosząc oczy ku pogodnemu niebu, po czym, rzuciwszy okiem na resztki pieczęci, które mu okazałem, rzekł zafrasowany: – Tylko kto na poczekaniu wykona nową pieczęć, a jutro muszę ją zabrać do Lublina...

– Znam takiego. To Żyd Izaak. Ma kram wedle Sukiennic, a warsztat na Kazimierzu. Będzie pracował choćby całą noc, lecz wykona rzecz dobrze i pewnie – postanowiłem przy okazji zaskarbić sobie łaski Izaaka, który mógł mi się jeszcze przydać.

– Joachimie – zwrócił się do jednego z kleryków, zapewne sekretarza. – Słyszałeś wszystko, pójdz odszukać owego Izraelitę i każ mu czym prędzej przybyć do naszego domu ze wszystkim, co jest potrzebne do wykonania pieczęci.

Z rozmachem klepnął mnie w plecy i zawołał poweselałym głosem:

– *Ergo* nie każmy czekać jego królewskiej mości! – zagarnął ramionami nas obu i rozkazał: –Idziemy!

Spojrzałem na Sępa, a Sęp na mnie. Brudni, nieogoleni, w wymiętym odzieniu, prezentowaliśmy się jak dwa nieszczęścia.

– W takim ochędóstwie na królewskie komnaty? – spytał Sęp.

– Biorę to na siebie – rzekł Padniewski i powtórzył: – Idziemy, czas nagli.

ROZDZIAŁ 4 | OSKARŻONY

Reinhold Kettler podawał się za przyrodniego brata (z nieprawego łoża) ostatniego wielkiego mistrza zakonu inflanckiego (bliźniaczego pruskim Krzyżakom), który wzorem Albrechta Hohenzollerna sekularyzował swój zakon i już jako zwykły książe luterkański 28 listopada 1561 roku został lennikiem króla polskiego, co wywołało wojnę Polski z Moskwą o Inflanty, która właśnie dobiegała zwycięskiego dla Polaków końca.

Reinhold w wojnie nie uczestniczył, ponieważ masowe zabijanie za nędzny żółd uważał za stratę czasu i energii. Stanowiska dowódczego zaś nikt mu nie proponował, przypuszczalnie dlatego, iż rzekomy brat nic nie wiedział o jego istnieniu. Jednak nikt również nie ośmielał się podważać pochodzenia Reinholda, a ci, którzy popełnili tę nieostrożność, nie mieli już okazji ani naprawić swego błędu, ani popełnić następnego. Ostatecznie zresztą Kettler mógł mówić prawdę – na wielu bowiem dworach europejskich roiło się od osobników podających się za księżęta krwi czy nawet królewiczów, którzy pretendowali do rozmaitych tronów i poszukiwali sojuszników dla poparcia swych roszczeń.

Reinhold, trzeba mu to przyznać, nie miał takich ambicji. Jedyne królestwo, w którym chciał panować, to Królestwo Strachu. Z racji nieszczęsnego wyglądu wiele wycierpiał w dzieciństwie i potem odbijał to sobie na bezdusznym społeczeństwie. Od małego ćwiczył się w wyprawianiu bliźnich do lepszego świata i w wieku dojrzałym osiągnął doskonałość. Kochał tę pracę i uczynił ze swej sztuki źródło pokaźnych dochodów, ale pieniądze traktował jako sprawę drugorzędną, choć ich bynajmniej nie lekceważył. W swoim fachu potrafił wszystko – zabijał za pomocą jadu, dusił ofiary cienkim sznurem, przebijał sztyletem, strzelał do nich z pistoletu i rusznicy. Po cichu, także pozorując samobójstwo, lub z rozgłosem, wedle zamówienia. Na życzenie klienta stosował wymyślniejsze metody. Ale najbardziej lubił pracować z użyciem rapieru – podczas walki miał bowiem okazję napawać się przerażeniem swej ofiary,

rosnącym w miarę poznawania, z jak niedościgłym szermierzem ma do czynienia i czym pojedynkę ☺ musi się skończyć. Moment, gdy w mętnej oczach ofiary widział samą śmierć, był dlań największą nagrodą.

Taki właśnie był Reinhold Kettler – uderzający wygląd łączył z odrażającym charakterem i chlubił się tym. Jerzego Mniszcha poznał kilka lat temu, gdy tamten razem ze starszym bratem Janem odbywał studia w Królewcu. Połączyły ich wspólne ciemne interesy, do których młodszy Mniszech już wówczas zdradzał smykałkę. Kiedy Kettler, któremu w rodzinnej Kurlandii oraz w Prusach Książęcych zaczęło się robić zbyt gorąco, a polskim władał niemal równie dobrze jak ojczystym niemieckim, przeniósł się do Warszawy, szybko odświeżył znajomość z Mniszchem.

Podążał teraz tropem nowej ofiary. Nie spieszył się. To w całej robocie było najlepsze – pościg i rosnąca panika tropionego. Ciekawe, kiedy tamten pojmie, że przed Kettlerem nie ma ucieczki. Będzie zdesperowany czy raczej pogodzony z nieuniknionym? Jakież to pasjonujące i podniecające! Do tego stopnia, że Kettler mógł sobie pozwolić na ledwie sporadyczne kontakty z kobietami. Nie były mu potrzebne do szczęścia, a zresztą tak było bezpieczniej. Znał kolegów po fachu, których zgubiły niewiasty. Jemu to nie groziło. Kochał tylko swoją pracę.

Nie czuł osobistej nienawiści do swych ofiar. Jeśli nie było takiego zlecenia, nie dręczył ich niepotrzebnie. Nie zabijał także osób postronnych, za które mu nie zapłacono, no, chyba że musiał. Po prostu był fachowcem w każdym calu. Najlepszym w swojej branży. Za usunięcie bez rozgłosu Twardowskiego miał dostać tysiąc dukatów, tylko – bagatela! – trzeba było je odebrać ofierze, razem z wszystkimi papierami mogącymi skompromitować jego mocodawców. Mniszchowie właśnie tyle zapłacili czarnoksiężnikowi i ani myśleli tracić jeszcze jeden tysiąc. Na razie więc Kettler musiał zadowolić się setką zaliczki, ale to mu w zupełności wystarczało, ponieważ nie miał zamiłowania do luksusu. Już trzeci dzień, specjalnie się z tym nie kryjąc, śledził czarodzieja. Nawet największy głupiec zdążyłby się do tej pory zorientować, że jest tropiony, a Twardowski głupcem nie był. Zatem gra się zaczęła. Do kaduka, uwielbiał to!

Wyjechał z za zakrętu traktu biegnącego wzdłuż rzeki od Warszawy aż po Kazimierz Dolny, gdzie zamierzał dokonać powtórnej przeprawy. Przed nim wyłoniły się pierwsze zabudowania Puław. Uciekał już trzeci dzień i był wyczerpany; upadł na ciele i duchu. Dla zmylenia śladów nie wybrał prostej drogi na Kraków – opuścił Warszawę, przeprawiwszy się na drugi brzeg Wisły po słynnym moście Warszawskim, niedawno pobudowanym z rozkazu króla przez Erazmusa z Zakroczymia. Wszystkie jego myśli opanował strach. Narastał podczas tych paru dni, aż ogarnął go całego. Był bliski paniki, choć jeszcze niedawno chełpił się często i chętnie, że nigdy nie traci rezonu. I sam w to wierzył. Dobrze wiedział, że ucieczka na oślep nie ma sensu, ale nie potrafił się zdobyć na żaden koncept, z których słynał, gdy każda cząstka jego ciała nakazywała mu gnać przed siebie, jak osaczonemu

zwierzęciu, i co rusz oglądać się za siebie, jak w tej chwili. Aż serce przestało mu bić, dopóki nie rozpoznał zbliżającego się galopem jeźdźca.

– I? – spytał bez tchu, choć z ponurej twarzy już odczytał odpowiedź.

– Jedzie. Jest o milę. Nie spieszy się.

To było najgorsze. Prześladowca bawił się z nim jak kot z myszą, dając do zrozumienia, że nie ma przed nim ucieczki, że dopadnie ofiarę, kiedy zechce i gdzie zechce. Ogarnęła go czarna rozpacz. I choć jego wiara była wątpliwa, a z racji parania się zakazaną czarną magią posądzano go o konszachty z diabłem, czemu nie zaprzeczał, bowiem malująca się w oczach rozmówców ciekawość połączona z lękiem mile łaskotała jego pychę, zaczął gorąco modlić się o cud.

Dojeżdżali do gospody, przed którą wyszedł gospodarz i wylewnie witał gromadkę podróżnych – szlachcica z małą świtą. Tuż przed przekroczeniem progu karczmy szlachcic odwrócił się i zobaczył nadjeżdżających.

– Na Boga, toż to mistrz Twardowski! Waść także do Lublina na sejm? W takim razie zapraszam do kompanii, będzie się raźniej podróżowało! – i z rozpostartymi ramionami ruszył na powitanie. – Nie pamiętasz mnie, waść? Poznalim się w Bydgoszczy łońskiego roku. Konopka *sum*. Hyńko Konopka herbu Nowina, spod Łomży – pomagając sławnemu czarnoksiężnikowi zsiąść z konia, nie przestawał mówić: – Byłem przy tym, jak pewien szlachcic, który zmarnotrawiłszy ogromne dziedzictwo, klepał biedę, upraszał waszmościa, byś mu sztuką czarnoksięską wrócił majątek. Pomnisz waść?

– Pomnę – odparł oszołomiony Twardowski, choć w głowie wciąż miał pustkę i nie pamiętał nic.

– A waszmość mu na to: – ciągnął niezmordowany imć Hyńko – „Idź i szukaj pustej chaty na ustroniu, tam o zmierzchu zasiadłszy, mając ze sobą dziewięć miedziaków, ani mniej, ani więcej, będziesz je bez ustanku rachował, powtarzając zawsze od jednego do dziewięci i na odwrót, od dziewięci do jednego, aż dobrze świtać zacznie. Strzeż się zaś najusilniej *error* popełnić, gdyż on wszystko by popsował. Strachów się żadnych nie lękaj, bo ja cię upewniam, iż te nic złego ci nie uczynią. Gdy tego dopełnisz, ostaniesz bogatszym niż niegdyś panem i nigdy ci dutków nie braknie”. Pamiętam kaździutkie słowo, jakby to było onegdaj. A waść?

– Pamiętam – rzucił na odczepnego Twardowski, oglądając się za siebie.

Prześladowcy nie było widać. Czarnoksiężnikowi trochę ulżyło i odzyskał zdolność rozumowania. W jego mózgu zaczął się wykluwać plan ratunku. Dał się pociągnąć szlachcicowi do karczmy, troskę o wierzchowce pozostawiając Maćkowi.

– Nie wiesz, waszmość, wypadkiem, czy ów szlachcic nie pomylił się w rachubie i czy odzyskał majątek? – spytał Konopka.

– Nie odzyskał. Oni zawsze się myślą – odparł mistrz, a ujrzawszy rumieniec na twarzy swego staro-nowego kompana, pojął, że i ów, z marnym efektem, wypróbował zasłyszaną metodę. – Ale znam drugie, mniej zawodne sposoby – dodał jakby mimochodem, spod oka pilnie obserwując reakcję rozmówcy.

– Doprawdy? Jakie, mistrzu? – szlachcicowi zapłonęły oczy.

– Są mniej zawodne, ale bardziej *complicare*. Nie do pojęcia w godzinę, ani nawet w jeden dzień. A pomnij waszeć, że wszystko musi być wypełnione co do joty...

– Ależ mistrzu! A bo to jeden dzień mamy? Toż nie puszcze waszeci aż do Lublina. Sejm bez ochyby nie skończy się przed wiosną, a tusząc po wstrętach, jakie czynią Litwini, i do lata nam zejdzie. *Ergo* czasu będziemy mieli dosyć. A teraz upraszam waszmościa do stołu.

Twardowski przyjął zaproszenie, uśmiechając się ukradkiem. To był ten cud, o który się modlił. Napięcie opadło z niego jak zrzucona zbroja. Był bezpieczny, przynajmniej na razie. Tak czy owak, odzyskał spokój ducha i zdobył czas na obmyślenie jakiegoś sposobu na pozbycie się prześladowcy.

Zjawili się na ulicy Świętego Jana o świcie. Wyrwany ze snu kołatanem imć Warkowski, właściciel pierwszorzędnego lupanaru, wyszedł do nich w koszuli i szlafmocy. Przeraził się na widok zbrojnych. Nic nie mówiąc, hutman ratuszny wręczył mu rozkaz. Nim zdenerwowany mężczyzna zdołał całość odczytać, wyrwano mu papier z rąk.

– Gdzie on jest? – rzucił dowódca straży.

– Na górze, pierwsze drzwi na lewo... Tylko, na Boga!, nie omylcie się. Po prawej gościmy pana rajcę... Witam, mości Praszko – z widocznym strachem pokłonił się towarzyszącemu drabom potężnemu mężczyźnie, o topornej, jakby ociosanej siekierą, twarzy i nieprzyjemnym spojrzeniu. – Jak zdrowie jego wielmożności, pana burmistrza Tłokińskiego?

Ale Praszka, zwany też Siekierą od uderzającego wyglądu i ciężkiej ręki, obstawa pana burmistrza w nocnych wyprawach miłosnych, zbył pytanie pogardliwym milczeniem. Hutman skinął na podwładnych. Podkute buty zadudniły na schodach. Załomotali w drzwi.

– Otwierać! – zawołał hutman. – W imieniu prześwietnej rady miejskiej! Natychmiast otwórz albo wyłamiemy drzwi!

Nic. Hutman dał znak. Draby napały na drzwi, które ustąpiły z hukiem. Wpadli do mieszkania i rozbiegli się po kątach sypialni, otaczając szerokie łoże.

– Ożeż... – westchnął chrapliwie hutman, oddając ogólne wrażenie.

Na łóżku, wokół którego walały się puste flaszki po winie, w poprzek, w rozbabranej pościeli, spoczywała prawie niczym nieokryta para nagusów. Postawny mężczyzna z bujnym zarostem na całym ciele, jeszcze młody, ale już nie młodzieniaszek, spał twardo z otwartymi ustami i głośno chrapał. Kobieta, nagle rozbudzona, otworzyła oczy, po czym, niez mieszana bynajmniej, nawet nie usiłując zasłonić obfitych piersi, powiedziała drwiąco:

– Napatrzcie się, chłopcy, bo nie stać was na mnie.

Przełykając ślinę i usiłując nie zezować w stronę imponującego biustu, hutman

szturchnął śpiącego w ramię.

– Ej, ty! Zbudź się, jesteś aresztowany!

Mężczyzna otworzył jedno oko.

– Czego? – burknął.

– Jesteś aresztowany – powtórzył dowódca miejskich pachołków; wydobył papier i okazał go, przezornie trzymając poza zasięgiem mężczyzny. – Z rozkazu rady miejskiej.

– Powiedz raczej: tego łobuza Rozmusa Czeczotki.

– Pan burmistrz Erazm TŁOKIŃSKI – rzekł z naciskiem hutman, akcentując nowe nazwisko eksburmistrza – nie ma z tym nic wspólnego. Ale obecny burmistrz Zalasowski owszem i on także podpisał się na rozkazie, jeśliś ciekaw. Więc odziewaj się i chodź z nami.

– Akurat! – prychnął aresztant, przeciągając się leniwie. – Wszyscy wiedzą, że Zalasowski to pachoł Czeczotki. Czyni, co mu tamten każe.

Sam zaś zrobił coś, czego się nikt nie spodziewał po człowieku, który wyraźnie nie doszedł jeszcze do siebie po nocnych uciechach i igraszkach. Lamparcim susem wyskoczył z łóżka i nim zdążyli go powstrzymać, ze stosu ubrań rzuconych niedbale na krzesło wydobył kord i rzucił się na prześladowców. Zaskoczeni, zareagowali dopiero wówczas, gdy jeden już leżał na podłodze, wijąc się z bólu i wrzeszcząc wniebogłosy, drugi zaś cofał się pod ścianę ze zwisającą bezwładnie ręką. Aresztant byłby uciekł, gdyby hutman nie rzucił mu się z szaleńczą brawurą pod nogi i nie obalił z pomocą Siekiery, po czym we trzech, bo tylu ich zostało sprawnych na placu boju, zdołali dopiero skępować szalejącego mężczyznę, narzucając potem nań opończę, by nie gorszyć po drodze przygodnych widzów.

– Zapłacisz za to – rzekł hutman, szerokim gestem ogarniając zarówno zdemolowane sprzęty, pierze fruujące wokół z rozprutej pierzyny oraz dwóch strażników, ledwie trzymających się na nogach.

Przy okazji, mimowolnie, jego wzrok spoczął na niewieście, która podczas całego zamieszania wygodnie umościła się na poduszkach, by lepiej oglądać widowisko, i z tego wszystkiego nie pomyślała, by cokolwiek na siebie narzucić, tak iż było widać jej wdzięków znacznie więcej niż wprzód.

– Na mnie nie licz – odparła z uśmiechem. – To mnie zapłacono.

– Zdradziłaś mnie! – zawołał aresztant.

– Ale za dobre pieniądze.

– Kto ci zapłacił, Czeczotka?!

– Dość tego, idziemy! – hutman szarpnął więźnia za ramię i pchnął naprzód.

– Kurwa! – warknął mężczyzna na pożegnanie, z pogardą patrząc na kobietę, i splunął.

Wzruszyła ramionami i pomachała mu na pożegnanie. Gdy wyszli na korytarz, drzwi z naprzeciwka otworzyły się i wyglądał przez nie jakiś łyсы golas z prześcieradłem owiniętym wokół torsu, które ledwo się trzymało z powodu

sterczącego brzucha i dlatego mężczyzna podtrzymywał je ręką.

– Co to za hałasy? – spytał. – Nie wiecie, kto ja jestem! Złożę na was skargę na ratuszu!

– Dzień dobry, panie rajco – hutman wysunął się zza pleców aresztanta i swoich podkomendnych. – Powiem waścinej małżonce, gdzie ma szukać acana, bo nieboga zamartwia się pewno, co za robota zatrzymała cię w nocy na mieście.

Rajca rozdziawił usta i wypuścił z rąk prześcieradło.

– Do kaduka! – zawołał któryś ze strażników, spoglądając poniżej brzucha dostojnika, gdzie jednak niczego wartego zobaczenia nie było. – Jejmość rajcowa jeśli o coś się trapi, to raczej, co czynić w owe noce, gdy pan rajca raczy bywać w małżeńskim łóżu!

Rajca zatrzasnął z hukiem drzwi za sobą, strażnicy zaś, nawet ci poturbowani, jeszcze na ulicy, w drodze na ratusz [1], zaśmiewali się do łez z żartu kolegi. Tylko aresztantowi nie było do śmiechu. Początkowo łudził się, że zaprowadzą go do mieszczącej się na parterze dłużnicy, czyli karceru *alias* szperunku. W tym areszcie oprócz zatrzymanych za długi przebywali włóczędzy: gracze, kosterowie, pijanice, marnotrawcy i awanturnicy. Niepoprawnych dłużników i cięższych przestępców zamykano w piwnicznych celach bez okien – kabatach.

Tymczasem draby powlokły pojmanego do lochu dla najgorszych zbrodniarzy. Wiodąca do ciemnicy zakratowana dziura znajdowała się w sieni, tuż przy paradnej izbie; przed oblicze ławników wyciągano i wciągano skazańców z lochu na sznurze, tak też podawano im strawne, czyli spyżę – chleb i wodę. Wrzaski skazańców jakoś rajcom, odgrodzonym od nich pięknymi drzwiami, nie przeszkadzały; zresztą zawsze można było zlać więźniów lodowatą wodą i zaraz panował spokój.

Ale hutman rzekł:

– Nie tu. Do Izby Pańskiej.

Zdziwieni, zastosowali się do rozkazu, poszturchując aresztanta, który znów zaczął stawiać opór. Zaraz za wielką sienią, przed wspaniałymi, osadzonymi w czerwonym marmurze, pośród kolumn, złotymi drzwiami, *Porta Aurea*, z umieszczonym na nich wyobrażeniem Sprawiedliwości, a nad nimi napisem: *Ubi caritas et amor, ibi Deus est* [2], hutman odprawił swoich ludzi i pchnął pojmanego do środka. Była to prawdziwa izba paradna. Tu odbywały się posiedzenia rady miejskiej, uroczyste uczyty, huczne przyjęcia. To w tej izbie przebierali się królowie, przybywszy konno z Wawelu w poniedziałek po koronacji na mieszczkańskie *homagium*, kiedy to na Rynku, na specjalnym podwyższeniu – *theatrum*, odbierali hołd od mieszczan, przysięgę wierności od rajców i dary od miasta.

– No proszę. Góra przyszła do Mahometa – powitał ich, gdy hutman zamykał drzwi i przekręcał klucz, osobnik bardzo podobny do spasionego knura, rozwalający się w okazałym, podobnym do tronu krześle, na którym siadywali królowie. – Co wy na to – dodał, zataczając ręką krąg po ścianach malowanych we freski o religijnej

treści i po pięknym belkowanym i polichromowanym stropie – żeby tak pod podsiębiciem puścić fryz z fizyrunkami wszystkich polskich królów? Nie przednia myśl? Jutro przedstawię ją radzie...

Z nalanej twarzy o zmysłowych wargach złośliwie patrzyły małe, świńskie oczka.

– Czeczotka! – warknął aresztant. – Wiedziałem, że to twoja sprawka! Co knujesz tym razem?

– Jako prawy obywatel tego miasta i jego rajca, nie mogłem pozostać obojętny na skargi zacnej wdowy, jejmości Anny Waliszewskiej, przymuszanej przez ciebie do nierządu.

– Ta gamratka przymuszana do tego, co lubi najbardziej? I kto to mówi? Ty, któryś przez rok nie wychodził z jej łóża?

– A jednak to na ciebie wniosła skargę do ratusza – grubas pomachał papierem przed nosem aresztanta, po czym rzucił do hutmana i Siekiery: – Przytrzymajcie go! Jak wam poszło?

– Mam dwóch rannych – odparł dowódca straży.

– Doskonale.

Wziął z pulpitu kałamarz pełen inkaustu, chwilę ważył go w dłoni, po czym cisnął w duże zwierciadło w bogatej oprawie, wiszące na ścianie. Lustro pękło, odłamki rozprysnęły się po całej izbie, a rozlany atrament obryzgał ścianę obitą cenną materią i posadzkę.

– Widzisz? – rzekł gawędziarskim tonem. – Nakłanianie do nierządu, opór stawiany justycjariuszom, a teraz jeszcze doszło zdemolowanie sali posiedzeń w ratuszu. Cóż za profanacja uświęconego miejsca. Marne twoje widoki, przyjacielu...

Mówiąc to, uniósł z trudem, sapiąc i stękając, ciężkie krzesło i cisnął nim w okno. Wyłamana futryna razem z kolorowym szkłem i krzesłem zniknęły w wybitym otworze, a z zewnątrz doszedł huk i krzyki.

– Jak dobrze poszło, to przypiszemy ci jeszcze oskarżenie o poturbowanie przechodniów – dorzucił marzycielsko. – Już się z tego nie wyplączesz...

– Łajdak! – wrzasnął aresztant i spróbował się wyrwać z uścisku hutmana i Praszki, ale ci trzymali go krzepko; zaczęli się mocować.

Nie zważając na ich szarpaninę i dobijanie się do drzwi z drugiej strony, eksburmistrz metodycznie niszczył wyposażenie sali. Kaleczył bogate sprzęty nakryte karmazynowym ałtarem, wyściełane czerwonymi poduszkami z safianu albo cennymi tkaninami sprowadzonymi aż z Gdańska. Poszczerbił wielki stół o rzeźbionych nogach i podziurawił pokrywający go pyszny, perski kobierzec. A wszystko to podśpiewując pod nosem...

– Jego królewska mość prosi jego ekscelencję – odźwierny stanął w otwartych drzwiach i odsunął się, by nas przepuścić.

Król, w stroju podróznym, stał pod oknem, rozmawiając z Kochanowskim i Drohojowskim. Na widok naszej gromadki przerwał rozmowę i rzekł kwaśnym

tonem:

– Nareszcie – ale nie uczynił żadnego gestu, więc pozostaliśmy przy drzwiach, zginając się jedynie w ukłonach.

Po chwili Padniewski podszedł do króla i pochylił się do jego ręki, lecz August machnął jedynie dłonią, w z trudem hamowanym zniecierpliwieniu.

– I cóż, księże, masz nam do powiedzenia?

– Dobrze wieści, wasza królewska mość – podkanclerzy odwrócił się i ogarnął nas gestem. – Ci młodzieńcy wytropili trójliterowego człeka, pochwycili go i odzyskali zgubę. Właśnie wrócili. Kazałem im tu przybyć wprost z drogi i dlatego mnie należy obwiniać za ich nieobyczajny wygląd.

– Podejdźcie – rozkazał nam król.

Wykonaliśmy rozkaz i uklękliśmy przed monarchą.

– Powstańcie. Prawdali to? Macie pieczęć?

– Prawda, najjaśniejszy panie – odparłem i wydobyłem zza pazuchy wymięte zawiniątko z tym, co zostało z pieczęci, oraz łańcuch do niej.

Skrzywił się z odrazą i nie dotknął nawet okazanych przedmiotów, ale przyjrzał im się dokładnie na mojej dłoni.

– Wierzymy na słowo – rzekł i burknął do biskupa: – Trzeba jak najszybciej wykonać nową.

– Tak jest, wasza królewska mość. Już się tym zająłem. Będzie gotowa na jutro.

– A gdzie zbrodzień?

– W Wieży Złodziejskiej – odparłem. – To prosty chłop.

– Wobec tego jutro odesłać go do ratusza, szybko osądzić i stracić. Dopilnujesz tego, mości Łukaszu – Górnicki pochylił głowę na znak zgody.

Ostre, świdrujące spojrzenie czarnych oczu spoczęło na nas dwóch.

– Dobrze się spisaliście, młodzieńcy. Jesteśmy z was zadowoleni...

W tej chwili otworzyły się drzwi i wszedł paź.

– Wasza królewska mość, do pana wojewody przybył umyślny z raportem od pana starosty niepołomickiego. Jego miłość wojewoda Myszkowski tuszy, iż wasza wysokość zechce zapoznać się z pismem.

Król odebrał list od pazia i odprawił go gestem, po czym szybko przebiegł papier wzrokiem. Następnie znów zawiesił wzrok na nas, aż zrobiło mi się nieswojo.

– Pisze pan starosta Branicki, żeście, wykonując zadanie, przy sposobności stoczyli samowtór prawdziwą batalię, walnie przyczyniwszy się do wytępienia kupy hultajstwa kłusującego w naszej Puszczy Niepołomnej. Prawdali to?

– Prawda, najjaśniejszy panie – odparł Sęp, bo mnie zaschło w gardle.

– Jakiej nagrody oczekujecie?

– Służenie waszej królewskiej mości i jego ekscelencji było nam największą nagrodą – rzekł gładko Sęp, wykorzystując bezwstydnie moje chwilowe niedomaganie.

– Pięknie – odparł monarcha. – Mości Janie – zwrócił się do Kochanowskiego –

dopilnuj, by ci dzielni młodzieńcy nie pozostali bez nagrody. Niechaj dostaną coś z tego, co przywiozło nam ostatnie poselstwo tureckie. Możecie odejść.

– Wasza królewska mość... – wreszcie przemogłem się, zdesperowany, bo na podobną okazję mógłbym czekać resztę życia i nie doczekać się. – Racz wybaczyć śmiałość... Nagroda przewyższa wszystko, o czym ośmieliłem się marzyć, lecz naprawdę nie pragnę niczego. Okrom jednego... – zakończyłem spocony i wystraszony własną śmiałością.

– Mów! – monarcha prawie warknął, z trudem hamując zniecierpliwienie, ja zaś poczułem jego nieświeży oddech i wcale nie podniosło mnie to na duchu, mimo to brnąłem dalej: – Chciałbym móc zażywać tytułu „inwestygator królewski”, aby z większym jeszcze pożytkiem służyć waszej królewskiej mości ze wszystkich swoich sił.

– Inwestygator? – król zmarszczył czoło, a obecni struchleli, odwracając ode mnie spojrzenie, jak od trędowatego. – A co chcesz badać?

– Sprawy i sprawki jak owa z pieczęcią.

– Jestli takowa profesja?

– Jeszcze nie, jam ją wykoncypowałem i będę pierwszy, najjaśniejszy panie.

Król długo patrzył na mnie tym swoim mrocznym spojrzeniem, a wszyscy obecni, ze mną na czele, wstrzymali oddech.

– W takim razie, chłopcze, ukowałeś sobie robotę – rzekł po przerwie. – Oto tobie i tu przytomnym oznajmiamy, iż słudze naszemu *alias* serwitorowi, imć Kacprowi Ryksowi, przyznajemy tytuł „inwestygatora naszego królewskiego” i nakazujemy wystawić mu serwitoriat na uprawianie tejże profesji w naszym królewskim mieście Krakowie oraz drugich miejscach w Koronie i Wielkim Księstwie – odprawił nas stanowczym ruchem dłoni.

Nie mieliśmy tu już nic do roboty, skłoniliśmy się i wyszliśmy, powłókłszy się do domu jakby wymarłego. Zostawiłem Niziołowi troskę o wierzchowce, nie mając nawet siły opowiedzieć mu w nagrodę o naszych przygodach, po czym poszedłem do swej izby i zwałem się na łóżko, tak jak stałem, nie zdejmując nawet ostróg.

Obudziłem się dobrze po południu, obmyłem, obwiązałem stłuczone zębra, przebrałem się i zszedłem na dół. Ciotka jeszcze nie wróciła od duchaków. W karczmie powoli zaczynał się ruch. Ciotka, nawet pogrążona w żalu, nigdy nie pozwoliłaby sobie na straty w interesie. Zresztą Nizioł w roli surogata sprawował się tak dobrze, jak we wszystkich innych. A poza tym byłem ja. Nie pierwszy raz zastępowałem matuchnę i też znałem się na tej robocie, jak większość tu zatrudnionych, dlatego pod nieobecność gospodyni wszystko szło swoją koleją. Zająłem zwykłe miejsce w kącie, wkrótce dołączył do mnie Sęp, a gdyśmy się już najedli za wszystkie czasy, doszedł Nizioł, któremu trzeba było opowiedzieć wszystko z detalami, bo uwielbiał takie historie. Właśnie kończyliśmy, gdy przed gospodą uczynił się jakiś rumor, a w otwartych drzwiach stanął chłopak do wszystkiego, trochę przygłupi Jasiak, i wrzasnął:

– Rety! Ludziska! Chodźta i podziwiajta!

Goście i część obsługi wybiegli na zewnątrz, został tylko Gruby Staszek za szynkwasem, poszedł też Nizioł, żeby się dowiedzieć, co się dzieje. Po chwili wsadził swój wielki, kudłaty łeb w drzwi i zawołał do nas:

– Lepiej tu przyjdźcie!

Nasz zaułek wyglądał jak rynek w dzień targowy – głowa przy głowie. Chyba pół miasta tu się zbiegło. A pośrodku tej ciżby stał wystrojony w barwy królewskie dworzanin, dziesięciu gwardzistów oraz koniuch trzymający za wędzidło najpiękniejszego konia, jakiego widziałem w życiu. Był to siwy dzianet o pięknie ukształtowanej głowie, smukłej szyi i długich nogach. Prawy arab (a może hiszpan lub turek, aż tak dobrze nie znam się na koniach), szlachetny rumak, godny królewskiej stajni. Do tego rząd – skrzący się od złotych ozdób i drogich kamieni. Toż musiało być widowisko, gdy paradowali przez miasto. Już nie dziwił mnie tłum przed naszą gospodą.

Dworzanin przepchnął się przez zgromadzenie i rzucił w naszą stronę:

– Który z waszmościów to Kacper Ryx?

– To ja – rzekłem.

– Z rozkazu jego królewskiej mości mam waści oddać to.

Wręczył mi ścisną pod pachą podłużną rzecz owiniętą w skórę. Skinął na koniucha, który podprowadził araba.

– A to dla pana Sępa Szarzyńskiego.

– To ja – odparł Sęp, płonącym wzrokiem wpatrując się w rumaka.

– Jest waszmościa. Dar jego królewskiej mości.

Gapie zaczęli wznosić okrzyki na cześć najjaśniejszego pana, gdy dworak odbierał wysadzone złotymi guzami i turkusami wodze od koniucha i podał je Sępowi, po czym sięgnął za kaftan i wy dostał stamtąd jakiś pakiet i pękata sakiewkę.

– A to od jego wielmożności Jana Kochanowskiego. To zaś od jego wielmożności Łukasza Górnickiego.

Podał mi pakiet oraz kiesę, skinął nam głową, po czym kiwnął na swoich ludzi i odeszli. Gwardziści wystawili naprzód halabardy, więc tłum skwapliwie dał im drogę.

– Nizioł, czy wierzchowce są już odstawione na Kleparz? – rzekłem cicho, odciągając go na bok.

– Tak.

– Tedy odprowadź araba do naszej stajni i niech Jasiak śpi z nim dzisiejszej nocy, a jutro trzeba go odprawić do Koniara. Przykażesz mu, by dbał o niego jak o źrenicę oka, a nie pożałuje. A na noc zastaw bramę w sieni.

– Zrobi się.

Sęp niechętnie dał się oderwać od rumaka i weszliśmy do karczmy, a za nami chyba z połowa z tych, którzy tłoczyli się w Kąciku. W innych okolicznościach ciotka pewnie byłaby zachwycona z takiego ruchu w interesie. Kiedyśmy zasiedli w naszym kącie, odprowadzani ciekawskimi spojrzeniami, kazałem sobie podać drugą

świecę i wino, po czym rozwiązałem pakiet, który zawierał wiersze Sępa i list od mistrza Jana. Razem z Sępem pochylił się nad nim. Kochanowski pisał, że sam dokonał wyboru nagrody i wyrażał nadzieję, że królewskie dary nam się spodobały. Sumitował się, że nie może nam ich dostarczyć własną osobą, ale musiał wraz z królem pociągnąć do Lublina, obiecywał za to dopilnować, by wystawiono mi w kancelarii patent na uprawianie profesji inwestygatora, i odwiedzić nas zaraz po powrocie. Na koniec dodawał, iż przeczytał wiersze Sępa, bardzo mu się spodobały i zachęcał Sępa do dalszego pisania. Widziałem, że Sęp, czytając te słowa, zarumienił się jak panienka i wyraźnie wzruszył.

– Mogę zatrzymać ten list? – spytał.

– Bierz – rzekłem, zabierając się do rozwiązywania sakiewki.

Szarpnąłem niecierpliwie rzemień, który stawiał opór, worek otworzył się gwałtownie i na stół posypały się piękne, żółciutkie dukaty. Klienci, którzy pilnie nas obserwowali, wydali zbiorowy okrzyk, aż zaciekawiony Nizioł, który właśnie wszedł do izby, dosiadł się do nas.

– No, no – mruknął z uznaniem i zaczął rachować.

Ja zaś w tym czasie przebiegłem szybko wzrokiem krótki liścik od Górnickiego, który w imieniu jego ekscelencji dziękował mi za przysługę i przesyłał wynagrodzenie. Zapewniał przy tym, że zarówno drzwi jego biblioteki, jak i pałacu biskupiego zawsze będą dla mnie otwarte.

– Równo sto – rzekł Nizioł, ustawivszy pieniądze w słupki po dziesięć sztuk.

– Jego ekscelencja jest bardzo hojny – powiedziałem i pięć słupków przesunąłem w stronę Sępa. – To twoje.

Sęp przesunął je z powrotem.

– Nie mogę ich przyjąć. Ja już zostałem nagrodzony z naddatkiem. Uznanie mistrza Jana i ten cudny dzianet to więcej, niż mogłem wymarzyć w najśmielszych snach.

– Bez twojej pomocy nic bym nie zdziałał – przesunąłem pieniądze w jego stronę.

– Koloryzujesz, ale skoroś taki szczodry, to niech ci będzie – zgarnął dziesięć dukatów i wrzucił do swojej chudej sakiewki. – Zadowolony?

– Niech ci będzie.

Pozbierałem pieniądze, schowałem z wyjątkiem paru i podałem Niziołowi.

– Zanieś je na górę, nim ci tutaj pożą je wzrokiem. A to za fatywę i żeby cię nie kusilo – podałem mu dukata, który zniknął w wielkiej łapie jak w studni.

Drugiego dukata cisnąłem przez całą izbę w kierunku Grubego Staszka, który z zadziwiającą dla swej tuszy zręcznością złapał go w locie.

– Piwo dla wszystkich – poleciłem mu.

Goście powitali ten gest aplauzem i zajęli się piciem.

– Nie jesteś ciekaw, co dostałeś? – spytał Sęp, wskazując podługowaty pakunek.

– Jestem, dlatego odwróciłem ich uwagę – kiwnąłem głową w kierunku klientów, nareszcie zajętych bardziej piciem niż nami.

Ostrożnie odwinąłem zawiniątko z miękkiej skóry i zamarliśmy z gębami otwartymi z zachwytu. Przed nami jaśniała, bo trudno to inaczej określić, przepiękna szabla w złoconej, wysadzonej rubinami i turkusami pochwie, z rękojeścią równie bogatą, zakończoną jakby głową orła z oczami z rubinów i wielkim diamentem na czubku. Chwilę paśliśmy oczy, po czym szybko zawinąłem szablę z powrotem, zanim zwróciła czyjaś uwagę.

– Na rany Chrystusa! – sapnął Sęp, wzywając imienia Bożego nadaremno, co było u niego oznaką największego wzburzenia. – Zaiste królewskie dary nam się dostały. Aż dziw, że miłościwy pan odżałował dla nas takie skarby.

Jak było powszechnie wiadomo, król August namiętnie kolekcjonował cenne przedmioty. O zebranych przezeń skarbach krążyły istne legendy w całej Europie. Był przy tym hojny, aczkolwiek jedynie dla faworytów, do których my obaj z pewnością się nie zaliczaliśmy. Słyszałem, że nawet sławny, zmarły niedawno trefniś Stańczyk, miłośnik króla Starego, który do ulubieńców jego syna nie należał, dopiero dzięki swemu kąśliwemu językowi wydebilił nowe szatki, jakie zwyczajowo rozdawano na dworze na Nowy Rok.

– To zasługa Kochanowskiego. A poza tym być może najjaśniejszemu panu nie odpowiadają tureckie gusta, a może ma już tyle sułtańskich darów, że mu się przejadły.

Nie było to domniemanie bezpodstawne. Zarówno król Stary, jak i jego syn utrzymywali przyjazne stosunki z Cesarstwem Ottomańskim. Poprzedni padyszach, Soliman, nazywał naszego króla „synem”, a sam August powiadał, że Turkom można bardziej wierzyć niżli Habsburgom. Od mistrza Kochanowskiego dowiedziałem się, że nowy sułtan, Selim II, także sprzyja Polsce, a na wieść o otruciu przez Habsburgów królowej matki Bony wysłał poselstwo, które zapewniło Augusta o poparciu jego roszczeń do spadku po niej, a także przywiozło kamień przeciw truciźnie i bogate dary. Być może to ich część stała się naszym udziałem.

– Dzięki temu ogierowi założę stadninę w rodzinnych stronach – rozmarzył się Sęp. – A ty co zrobisz ze swoją szablą?

Zanim zdążyłem mu odpowiedzieć, do naszego stołu podszedł nowy gość, rudzielec niewiele starszy ode mnie. Znaliśmy się od szczenięcych lat, bo i on był podrzutkiem, tyle że znalezionym pod kamienicą Szarą. Oddany na naukę do stolarza, gdy warsztat podupadł, razem ze swym mistrzem wstąpił do straży miejskiej. Zaczynał jako liktor, potem dziesiętnik, wreszcie rotmistrz, a niedawno został podhutmanim, bo w samej rzeczy był dobry w tej profesji.

– Czołem, Kacper. Można na słówko?

– Witaj. Sępie, to Mateusz Szarski, podhutmani. Matysku, to jest pan Sęp Szarzyński herbu Junosza, mój przyjaciel. Przy nim możesz mówić swobodnie.

Matys dosiadł się do nas, a ja zamówiłem następną flaszkę węgryna tylko dla ekstraordinaryjnych gości, gdyż wisząca nad naszą tawerną wiecha wskazywała, że ciotka ma prawo jedynie do wyszynku piwa i okowity.

– Wiem o śmierci tej dziewczyny, twojej siostry. Współczuję.

– Dzięki. Co cię sprowadza?

– Właśnie ta sprawa. Dziś rano aresztowano Wolskiego, a wiem, że się przyjaźnicie.

Zamarłem z winem akurat wznoszonym do ust. Po chwili wypilem jednym haustem. Zaczekałem, aż dopije, po czym dolałem mu i zażądałem:

– Opowiadaj.

– Ale to musi zostać między nami. Rankiem hutman i paru naszych poszli do zamtuza na ulicę Świętego Jana aresztować Wolskiego.

– Za co?

– Ponoć onegdaj poturbował paru pachołków, gdy go próbowali zatrzymać awanturującego się po nocy. A wdowa Waliszewska, która znów nosi ojcowskie miano Polakówny, pannę udając, poskarżyła się burmistrzowi Czeczotce, przepraszam – Tłokińskiemu, że Wolski gwałt jej wielokroć zadał i do nierządu przymusił...

– Tę małpę Waliszewską? Śmiechu warte! Zaraz... zaraz... Czy to nie staraniem Czeczotki uwolniono ją od oskarżenia o otrucie męża? I czy nie z Czeczotką ją ostatnio łączono?

– Owszem, dlatego ta sprawa od początku śmierziała, ale to nie koniec. Bo kiedy Wolskiego przywiedziono do ratusza, a nie dał się pojmać bez walki, znasz go przecież, wpadł w szal i zruderował izbę zgromadzeń.

– A cóż tam robił? – zmarszczyłem brwi.

– Tam go powiedziano, zamiast do kabatów... Dziwne, nieprawdaż? A jeszcze bardziej to, że pachołków odprawiono i jedynie burmistrz wraz z hutmanem i fagasem Czeczotki, Praszka *alias* Siekierą, ostali w środku, i to oni potem świadczyli przeciw magistrowi. On zasię utrzymuje, że jest niewinny i wszystko zostało ukartowane. Rozmawialiśmy chwilę, gdy go wleczono do lochu. Prosił, byś mu nie pozwolił tam zgnieć.

Zamyśliłem się.

– Co ma do tego mord na Dorocie? – spytałem.

– Zaraz do tego dojdziemy – ciągnął Mateusz, pociągając z przyjemnością wino, na które zwykle nie było go stać. – Czeczotka natychmiast wezwał na ratusz burmistrza Zalasowskiego i całą radę i społem uchwalili, iż gwałt, jakiego dopuścił się Wolski na niewieście i na pachołkach miejskich, oraz skażenie ratusza należy dać pod osąd miastu i surowo ukarać, choć rajca Baranowski oponował, że magistra może sądzić jedynie sąd rektorski i że będzie z tego turbacja.

– Bo będzie – mruknąłem, widząc oczyma duszy swojej piekielny tumult, jaki bez ochyby urzędzą żacy, jak tylko się o wszystkim dowiedzą.

Nawet Czeczotka nie był takim idiotą, by dopuścić do zniszczenia miasta z takiego powodu, chyba że z pychy całkiem już odjęło mu rozum. A jeżeli o to nie dbał, to znaczyło, że nienawiść do Wolskiego go zaślepiła. Za co go tak nienawidził? Za chędożenie wespołek tej ladacznicy Waliszewskiej *de domo* Polakówny? Koń by

się uśmieł! Za talara mógł ją mieć każdy.

– Wiesz, jak niektórzy rajcy, osobliwie heretycy, niechętnie patrzą na swawole scholarów. Toteż Czeczotce i Zalasowskiemu udało się przeciągnąć większość na swoją stronę i klamka zapadła. Wolskiego osądzi ława miejska i patrzy na to, że twój druh da gardło.

– Co?! – tym razem naprawdę mną wstrząsnęło. – Za takie błahostki mają go na gardle karać?!

Wtem mnie olśniło i zanim Szarski się odezwał, już wiedziałem, co odpowie.

– Został także obwiniony o mord na twojej siostrze.

– Kto wystąpił z tą bzdurą, Czeczotka?

– Owszem – odparł, unikając mego wzroku. – Tylko widzisz, to nie jest bzdura. Wolski znał tę dziewczkę, i to dobrze. Widywano ją wychodzącą z jego mieszkania.

– Kto tak utrzymuje, Czeczotka? – sarknąłem.

– Ja – powiedział, patrząc na mnie przepraszająco. – Zalasowski wysłał mnie zaraz, bym wybadał gospodynię Wolskiego, a ona potwierdziła, że spotykała tę dziewczkę u niego. Nie ją jedną zresztą, ale tę poznała, bo widziała ją dziś w kostnicy, gdy pomagała twojej ciotce ubrać nieboszczkę.

– Nie podoba mi się to – wyznałem ponuro, wychylając duszkiem wino. – Zbyt grubymi nićmi szyte.

– Ani mnie – powiedział Matys, wstając i ocierając usta. – Hutmanowi także. Wystaw sobie, że miał odwagę powiedzieć to Czeczotce w oczy, ale ten przypomniał mi, przed kim każdy hutman ratuszny składa przysięgę, obejmując urząd, i komu winien jest posłuszeństwo.

Nasz hutman, były stolarz, Bartek Trojan był dobrym i uczciwym justycjariuszem, a Mateusz jego byłym uczniem i lojalnym podwładnym, lecz żaden z nich nie miał ochoty narazić się potężnemu eksburmistrzowi.

– Chętnie pomogę ci wejrzeć w tę sprawę, lecz bez nadstawiania łba. A teraz muszę już iść – powiedział Szarski, wstając.

– Dzięki – rzekłem, wsuwając mu w dłoń dukata. – Polecam się na dal.

Odszedł zadowolony, ale mnie daleko było do tego stanu. Zapytałem Sępa, co o tym wszystkim myśli.

– A co mam myśleć? Kto to jest Czeczotka? I czy ów Tłokiński to on, czy ktoś wcale inny?

– Dobrze pytanie. Dawny Rozmus Czeczotka to dzisiejszy jaśnie pan Erazmus Tłokiński herbu Jastrzębiec. Uszlachcił go król Stary, a do herbu przypuścił sam ówczesny kanclerz koronny, Jan Ocieski. Ile to kosztowało, jeden diabeł wie. I Czeczotka, rzecz jasna. Już dwa razy był burmistrzem, a Bóg wie, ile razy jeszcze będzie, bo cała rada miejska tańczy tak, jak on jej zagra. Od ponad dwudziestu lat jest rajcą i pewnie będzie drugie dwadzieścia.

– Ergo to człek wpływowy i godny szacunku.

Zachłysnąłem się winem.

– A to dobre! Wiesz, jak o nim gadają na mieście? Mały Borgia!

– A jakież to zbrodnie popełnił?

– Jakie tylko chcesz. Pierwszą żonę, wdowę po sławnym juryście Mikołaju Jaskierze, ponoć zgładził jadem, uprzednio zdradzawszy z nałożnicą, której dzieci legitymował. Poślubił potem siostrę królewskiego poczmistrza, Sebastiana Montelupiego, stąd jego wpływy w mieście i na dworze. Ale i ją zdradza, o czym wie całe miasto. Owej Annie Waliszewskiej, którą sobie upodobał, pomógł ponoć otruć męża, dzięki czemu wróciła do pierwszego miana, Polakówna, i do tego, co lubi najwięcej – kurewstwa. Dom, który ma na rogu Rynku i Wiślniej, stawiał mu sławny murator, Gabriel Słoński, tak iż bardziej pałac magnacki niżli mieszczańską kamienicę przypomina. Ale nie przeszkodziło mu to oszwabić Słoninkę przy zapłacie, o co do dziś się procesują. W domu zaś ma łaźnię, a w niej dziewczki, które nie samym obmywaniem jego wielkiego cielska się parają. Płodzi z nimi dzieci, nie pomnąc na sromotę i bojaźń Pańską. Wiecznie swarzy się z sąsiadami, lokatorami i dłużnikami. Za osiemdziesiąt złotych wziął w dzierżawę wagę miejską, a puścił ją w podnajem za trzysta. Wydzierżawił wieś Dąbie za sto złotych rocznie, a wyciąga tysiąc. Wybudował na Rynku kramy w imieniu miasta, a zyski z nich płyną do jego tylko kabzy. Zajął sadzawkę wedle Wiślniej brony i drugim broni do niej przystępu. W spichlerzu miejskim w ratuszu, niedawno pobudowanym, swoje jeno trzyma zboże. Oręż z bramy Szewskiej, która jego pieczy podlega, kazał przenieść do swego domu. To tyle, co o nim wiem, a nie zajmowałem się dotąd naszym burmistrzem ekstraordinaryjnie. Starczy?

– Aż nadto. Toż namalowałeś mi postać złoczyńcy, jakich mało! – zdumiał się Sęp. – Któren w lochu gnić winien albo gardło dać, a nie najwyższe urzędy w mieście sprawować!

– Pojmujesz, bieda w tym, że Czeczotka wszystkie swe zbrodnie i występki popełnia w majestacie prawa. Zawsze ma pod ręką sąd i pachołków miejskich. Nigdy nie dał się przyłapać na licu ani nie posłużył najemnymi zbirami. Dlatego walczyć z nim, to wojować z majestatem całego urzędu miejskiego, a nawet starościńskiego i wojewodzińskiego, bo i tam ma swoje koneksje.

– Ergo...

– Ergo wiesz już, dlaczego muszę pomyśleć. Broniąć Wolskiego, zadrę z całym miastem i grodem na dokładkę...

– Ale Wolski to ponoć twój druh?

– W tym cała turbacja. Na domiar okłamał mnie.

– W czym?

– Jeszcze wczoraj utrzymywał, że nie znał Doroty.

– Myślisz, że ją zabił?

– Nie wiem i muszę się dowiedzieć.

– Ergo...

– Ergo do zmierzchu brakuje ze dwie zdrowaśki, idę do ratusza. Idziesz ze mną

czy będziesz rozmyślał o marności żywota doczesnego?

Szliśmy szparko i po paru minutach byliśmy pod ratuszem. Rynek powoli się wyludniał. Ostatni klienci robili pośpiesznie zakupy, niektórzy kupcy już zamykali kramy.

Ratusz nasz, jakżeby inaczej, swoje powstanie zawdzięczał niezmordowanemu budownikowi, królowi Kazimierzowi Wielkiemu. Składał się z kamiennie-ceglanej wieży i budynku w staroświeckim stylu, od wschodu i zachodu zamkniętego trójkątnymi, zębatymi szczytami. Ale siedem lat temu (pamiętam to dobrze, bo jako dziecko nieraz biegałem podpatrywać budowę) dobudowano od północy potężne gmaszysko – spichlerz, „na wojenną albo też głodu i nieurodzaju potrzebę”. Dziś w lamusie trzymał swoje zboże Czeczotka. Od zachodu wzniesiono wysoki mur i tym sposobem ratusz przybrał kształt warownego czworoboku.

Ominęliśmy główne wejście, od Sukiennic, z szerokimi schodami i pięknym gankiem wyłożonym kamienną posadzką, za którym była główna brama obramowana ozdobnym portalem, i poszliśmy do drugiego wejścia, od zachodu, bo tamtędy zwykle prowadzono więźniów do sali przesłuchań i tortorni, a potem kabatów, czyli izb więziennych.

Halabardnicy przy bramie nie chcieli nas wpuścić o tak późnej porze. Właśnie się z nimi wyklócałem, gdy na wewnętrznym dziedzińcu, okolonym murami, także zwanym kabatem, gdyż wyprowadzano nań skazańców prosto z więzienia, by stracić ich na miejscu, jeśli egzekucja z różnych względów nie miała być publiczna, pojawił się imć Groicki. Zawołałem. Poprawił okulary na nosie, po czym widocznie mnie rozpoznał, bo podszedł do furty i powiedział do strażników:

– Znam go. Przepuście ich.

Niechętnie zrobili nam przejście.

– Czego chcesz, młodzieńcze – rzekł niecierpliwym tonem pan Bartłomiej. – Mów szybko, bo muszę jeszcze przeprowadzić wstępną indagację. Właśnie bowiem starościnscy przywiedli z zamku bezecnego złoczyńcę, *homo trium literarum*, Bartosza z Lusiny.

– *Fur* królewskiej pieczęci – wtrącił Sęp.

– A skąd wy to wiecie? – spytał jurysta podejrzliwie.

– Bo myśmy go ujeli – odrzekłem.

– O... – szła podjechały mu na nosie.

– Ale nie w jego sprawie tu przybyliśmy, jeno magistra Wolskiego – dodałem szybko. – To mój przyjaciel. Chciałem się z nim widzieć.

– Ach... – westchnął prawnik. – Trudna sprawa... Dziś i tak już się z nim nie zobaczysz, a czy w ogóle... Twój druh napytał sobie potężnych wrogów, synu, a i bez tego ciężą na nim bardzo poważne zarzuty... *Notabene* o mord na twej siostrze.

– Dlatego muszę z nim porozmawiać.

– Hmm... Przyjdź jutro i odszukaj mnie. Obaczę, co da się uczynić. Na początek spróbuję go przenieść z lochu do kabatów...

– A cóż on robi w lochu?! – zawołałem ze zgrozą, byłem bowiem przekonany, że Szarski się przejęczył, a Wolski jako magister i szlachcic został ulokowany w którejś z izb dla „dystyngwowańszych więźniów”, mieszczących się tuż obok izby hutmańskiej na piętrze ratusza.

– Siedzi, synu, siedzi. Cięży na nim gardłowa sprawa, nie zapominaj, a burmistrz jest na niego cięty, więc jeśli uda mi się załatwić mu kabaty miasto lochu, to będzie istny cud.

– Dzięki – odparłem szczerze, dopiero teraz uświadamiając sobie, w jakie tarapaty wpadł mój druh.

– Aha, chłopcze... Przypomnij Rochowi, że jesteście mi winni wynik prezenty ciała Balcerówny. Chcę go mieć jak najprędzej. To ważne.

– Dobrze.

Pożegnaliśmy się i wrócili do gospody.

– Idę na górę. Jutro znów będzie ciężki dzień – oznajmiłem.

– Ja jeszcze wypiję kieliszek wina, bo nic tak nie rozjaśnia myśli – odparł Sęp. – A mam w głowie nowy wiersz.

Oczy mu błyszczały i miały ów osobliwy, jakby nieobecny wyraz, po którym poznałem, iż w istocie dopadła go wena i wypuści ze swych objęć nie wcześniej niż przed świtem. W takich chwilach lepiej go było zostawić samego. Na schodach spotkałem Kachnę.

– Pani wróciła?

– Tak.

– O której pogrzeb?

– O dziesiątej.

– Po pogrzebie będę chciał z tobą pomówić. O Dorocie.

– Kiedy ja nic nie wiem...

– Dlatego daję ci czas do jutra. Żebyś sobie przypomniała.

Nic nie odparła. Pozwoliłem jej odejść i zapukałem do ciotki. Nie spała i nie płakała. Siedziała na łóżku, na tej swojej wymuskanej, nietykalnej kapie, i martwym wzrokiem wpatrywała się w ścianę naprzeciwko. Zauważyła jednak moje wejście.

– Była taka młoda... – głos miała równie martwy jak spojrzenie, ale moje oko, początkującego wprawdzie, lecz jednak medyka, poznało, że z jej wzrokiem jest coraz gorzej. – Kto mógł jej uczynić coś takiego?

– Nie wiem, matuchno.

– Ale dowiesz się? Obiecuj mi.

– Obiecuję.

Zdało mi się, że wstąpiła w nią odrobina życia, jakby ujęcie zbrodniarza mogło w jakikolwiek sposób pomóc Dorocie. Ale rozumiałem ją – Dorocie to nie pomoże, ale nam ulży z pewnością. Inaczej nieboszczka, naga i przebita sztyletem, będzie nas prześladować w złych snach. Tylko kara dla mordercy mogła sprawić, że to wspomnienie z czasem wyblaknie. Tak właśnie czułem, mając niejasne przeczucie, że

niezbyt to zgodne z nauką chrześcijańską. Za to ludzkie, a żyliśmy przecież w czasach, gdy nic, co ludzkie, nie było nam obce. Jak to wyraził Terencjusz? *Homo sum, humani nil a me alienum puto* [3]...

- Pogrzeb jutro o dziesiątej.
- Wiem.
- Twój piastun chciałby się z tobą wcześniej zobaczyć.
- Dobrze.

Pościeliłem jej do spania, pomogłem się położyć, pocałowałem na dobranoc i poszedłem na górę.

– Dobrze, że jesteś – zagadnął ojciec Roch, gdy odszukałem go na cmentarzu. Nieopodal Bazyl z dwoma pomocnikami odkopywali zasypany śniegiem grób dla mojej siostry. Szczęśliwie się złożyło, że pewna staruszka, dla której go wykopano jesienią, wciąż żyła i miała się dobrze, inaczej Dorota musiałaby poczekać z wiecznym spoczynkiem do wiosny, a ciotka zamartwiałaby się, że jej córuchna marźnie w kostnicy, jakby w grobie miało jej być ciepiej. – Mam z tobą do pogadania. Ale wpierw opowiedz, jak ci poszło.

Słuchał uważnie, nie przerywając mi ani słowem.

– No cóż – rzekł w końcu. – Tuszę, iż wiesz, co czynisz. Obyś tylko, zabawiając się w inwestygatora, nie zaniedbał studiów. Ale nie o tym chciałem mówić. Wczoraj aresztowano magistra Wolskiego.

- Wiem.
- A wiesz, o co jest oskarżony?
- Między innymi o zabójstwo Doroty.
- A wiesz, że on w rzeczy samej znał Dorotę?
- To pewne?
- Tak zeznała jego gospodyni. A to niewiasta zacna i prawdomówna, niestety.

Ergo...

- *Ergo* to nic nie zmienia. I tak podejrzewaliśmy, że kłamał.
- Myślisz, że ją zabił?
- Nie wiem, ale się dowiem. Dziś będę się z nim widział.
- Liczysz na to, że ci powie?

Wzruszyłem ramionami.

– Czegoś w każdym razie się dowiem. Niewykluczone, że ktoś usiłuje go w to uwikłać. Nawet wiem kto. Czeczotka.

- Ach, tak...
- Muszę dostarczyć imć Groickiemu rezultat prezenty ciała.
- Dam ci po pogrzebie.
- A teraz chciałbym obejrzeć miejsce, gdzie znaleziono zwłoki.
- Dobrze. Widzę, że już skończyli. Niech Bazyl ci pokaże.

Staruszek ochoczo wskazał mi miejsce pod murem cmentarnym, gdzie znalazł

Dorotę. Tutaj nie było nic ciekawego, ale gdy wspiałem się na drzewo, którego rozłożyste konary wystawały na ulicę tuż ponad murem, znalazłem kilka nitki, które mogły pochodzić z poszwy spowijającej ciało. Zdjąłem je i wsunąłem do kieszeni krótkiego kożuszka, który miałem na sobie. Wyglądało na to, że zabójca miał współnika, bo jeden człowiek w żaden sposób nie zdołałby poradzić sobie z takim ciężarem. Ciekaw byłem, dlaczego podrzucano zwłoki akurat na ten cmentarz. Czyżby dlatego, że Wolski mieszkał nieopodal?

Nie miałem tu już nic do roboty, więc poszedłem w kierunku szkoły, w której Wolski był prefektem. Wejście do budynku było od strony ulicy Szpitalnej, ale mieszkanie magistra, oddzielone zarówno od szkoły, jak i bursy żakowskiej, wychodziło na wewnętrzny dziedziniec, łączący się z cmentarzem, kościołem Świętego Krzyża i bramą wychodzącą na ulicę Świętego Krzyża. Miałem szczęście, bo gospodyni, która jak co dzień przysłała posprzątać mieszkanie, właśnie wychodziła. Kobięcina spieszyła się, bo chciała uczestniczyć w pogrzebie, więc z właściwym przesłuchaniem postanowiłem zaczekać. Potwierdziła jednak, że raz widziała Dorotę chyłkiem wymykającą się z domu magistra. *Pater Roch* miał rację, wyglądała na osobę wiarygodną, niestety. A przy tym zakłopotaną i chyba zadowoloną z mojego widoku, co było przyjemną odmianą po paru innych osobach poznanych niedawno.

– Dobrze by było, żeby jegomość coś zobaczył... – rzekła jakby z wahaniem i zastrzegła się: – Żeby potem nie było na mnie.

Odsunęła się i pchnęła drzwi. Nie musiałem wchodzić do środka, by ujrzeć, że wszystko w mieszkaniu zostało porzucane, jakby przeszła przez nie wichura albo...

– Pacholki miejskie – ponurym głosem potwierdziła moje podejrzenia niewiasta.

– Czego szukali?

– Nie opowiadali się. Ale był z nimi hutman, więc co mogłam uczynić?

Opuszczając mieszkanie i kierując się na cmentarz, bo zbliżała się pora pochówku, mijając zarośla głogu, czy też tarniny, rosnące pod domem i wtedy zobaczyłem kilka nici, które zawisły na kolcach. Wyglądały na bliźniacze z tymi z drzewa i było ich zbyt wiele, by przywiał je wiatr. Zdjąłem je ostrożnie i wsadziłem do drugiej kieszeni. Skąd się tu wzięły? Zamyślony wszedłem do kościoła. Spóźniłem się trochę, bo nabożeństwo żałobne już się rozpoczęło.

Pogrzeb nie zgromadził tłumu. Zjawiła się najbliższa rodzina, Sęp i czeladź ciotki. Niziołek został pilnować interesu, brakowało też Kachny. Za to przyszło kilka znajomych ciotki oraz parę staruszek, które zazwyczaj nie opuszczały podobnych okazji, jakby czerpiąc satysfakcję z faktu, że ktoś, zwłaszcza tak młody, wyprzedził je w drodze do lepszego świata. Msza święta odbyła się w kościele Świętego Krzyża, a kazanie miał ojciec Roch. Nie rozwodził się nad zmarnowanym życiem zmarłej, wspominał za to, jakim była miłym dzieckiem, bo akurat o tym mógł mówić z przekonaniem. Na koniec wyraził nadzieję, że Bóg przyjmie ją do siebie i pokarze

zabójcę. Z tym akurat nie bardzo się zgadzałem. Nie chcąc zapracowanemu Panu Bogu przydawać roboty, postanowiłem wziąć to na siebie. Chór kościelny był tego dnia wyjątkowo liczny, gdyż żacy ze szkoły duchackiej mieli wolne z powodu nieobecności Wolskiego i gromadnie zjawili się na mszy.

Ponieśliśmy potem trumnę na pobliski cmentarz i złożyliśmy w grobie do wtóru rozpaczliwych szlochów ciotki i pozostałych kobiet. Zasypanie trumny przysporzyło grabarzom trudności; ziemia była zmarznięta, a grudy z trudem dawały się rozbijać oskardami i młotami. Po wszystkim, gdy kobiety odprowadzały zapłakaną ciotkę, podszedłem do Jędrka i Michała, męża Jadwigi, starszej siostry Doroty, ale ode mnie o rok młodziej. Uścisnęliśmy sobie dłonie.

– Mam z wami do pogadania. Może jutro? – rzekłem.

– A co, nie idziesz na stypę?

– Nie. Mam tu jeszcze to i owo do roboty, a potem muszę pójść do akademii, i tak za dużo wykładów opuszczam.

– Jutro z rana będę na celestacie – powiedział Michał. – Przyjdź tam, to sobie postrzelamy.

– Zgoda. A po południu zagładnę do ciebie, Jędreku.

– Będę czekał.

Odeszli razem z Sępem, a ja podszedłem do czekającego na mnie samotnie ojca Rocha.

– Chodźmy do mnie.

Poszliśmy do szpitala, gdzie ojciec Roch zajmował celę, przy której chatki pustelników zapewne wyglądały na pałace. Z całego wyposażenia miał tylko prycę i pulpit, przy którym pracował, bo nawet książki leżały w stosie pod ścianą, bezpośrednio na pawimencie.

– Podpisz – wskazał papier czekający na pulpicie.

Przebiegłem go wzrokiem i zawahałem się.

– Już poprzednio chciałem cię o coś zapytać...

Spojrzał na mnie spod oka. Znałem to spojrzenie. Oznaczało, że znał odpowiedź na długo, zanim mnie przyszło do głowy pytanie. Przy nim chyba zawsze będę się czuł jak dziecko.

– Czy Dorota była brzemienna? – uśmiechnął się nieznacznie.

– Wedle mojego rozeznania, nie. Ale, rzecz jasna, pewności nie będziemy mieli nigdy.

Oczywiście. Każdemu mogliśmy zrobić sekcję, tylko nie Dorocie. Ciocia Balcerowa by tego nie przeżyła. Dlatego musiałem zawierzyć doświadczeniu ojca Rocha, zresztą pokrywało się to z moimi obserwacjami. Pytałem tylko dla zasady, żeby wyeliminować wszystkie możliwości.

– Myślisz, że to mógł być powód mordu? – spytał.

– Nie wiem, co myśleć. Dlatego pytam wszystkich o wszystko, co ma z tym związek. Gdzieś tkwi odpowiedź i w końcu znajdę ją. A teraz chciałbym przyjrzeć się

tej poszwie, w którą owinięto ciało.

– Jeśli siostra Perpetua nie wzięła jej do prania.

Ojciec Roch na chwilę wyszedł, po czym wrócił z poszwą, ponieważ w szpitalu nic się nie marnowało. Nie była uprana, więc, znając mojego opiekuna, siostrze Perpetui pewnie się dostało za opieszałość. Poszwa miała plamy z brudnego śniegu, po którym ciało przeciągano. Opowiedziałem ojcu Rochowi, co zobaczyłem w domu magistra i co znalazłem obok niego oraz na drzewie. Wyjąłem oba kłęбки nitek i porównaliśmy je z tymi, z których utkano poszwę. Wyglądały na identyczne.

– Masz jakiś koncept? – spytał ciekawie ojciec Roch.

– Tuszę, iż rozdarcie nastąpiło albo podczas przeciągania ciała przez mur cmentarny, albo podczas wleczenia go pod dom magistra. Ale jeżeli je tam zawleczono, skąd wzięło się pod murem?

– A może ciało zostało wyniesione z domu magistra, nie pomyślałeś o tym?

– Pomyślałem. Ale spójrz na to.

Za pomocą szkła powiększającego, zawsze leżącego na pulpicie, przyjrzałem się uważnie plamie, którą mu wskazałem.

– To otarcie od konara. Widać drobiny kory.

– Właśnie. Jeśli to Wolski zabił Dorotę i wyniósł ciało, po co miał je przetrzucać przez mur od ulicy, skoro mógł to uczynić od wewnątrz?

– Może nie chciał zostawiać śladów na cmentarzu?

– Może, ale wątpię – pokręciłem głową. – Wychodząc na ulicę, wystawiał się na większy hazard. To się nie trzyma kupy.

Cisnąłem poszwę na posadzkę.

– Niech idzie do prania, nic więcej już nam nie powie. Ale proszę cię, byś ją pokazał gospodyni Wolskiego. Może ją rozpozna. Albo choć doliczy się jakiejś brakującej.

– Dobrze.

– Po spotkaniu z Wolskim przyjdę do ciebie. A nuż będę coś wiedział.

Podpisałem się na prezencie ciała, pomachałem papierem, żeby inkaust szybciej obsechł, złożyłem papier na czworo, wsadziłem za pazuchę i wyszedłem. Zrobiło się późno. Nie mogłem już sobie pozwolić na kolejną nieobecność na uniwersytecie, a przecież musiałem po drodze wstąpić jeszcze na ratusz.

– Dobrze – rzekł Groicki, odbierając wynik, kiedy strażnik zaprowadził mnie do niego. – Możesz się widzieć z Wolskim. Masz kwadrans i ani chwili dłużej. Zaprowadź go – kiwnął głową pachołkowi.

Przecieliśmy „kabat” i zesłaliśmy w głąb, do prawdziwych kabatów. Drab wyjął pochodnię z uchwytu przy wejściu, zapalił ją i powiódł mnie wzdłuż okratowanych cel. Śmierdziało tu ludzkimi szczykami, potem, strachem i jeszcze czymś, przed czym jednak mój nos się zbuntował. Pełgający płomień łuczywa wydobywał z mroku postacie więźniów. Jedni siedzieli zrezygnowani i nie ruszyli się na nasz widok, inni wstali, a na ich zarośniętych twarzach malowała się nadzieja, jeden zaś rzucił się ku

kracie i zaczął wrzeszczeć jak opętany, szarpiąc pręty:

– Wypuście mnie! Jestem niewinny!

– Stul pysk! – warknął strażnik i przełożywszy pochodnię do lewej ręki, prawicą wyrzucił więźnia w twarz; wrzask ucichł jak ucięty nożem.

Wolski siedział w ostatnim kabacie, tuż przy izbie tortur, zwanej tortornią lub męczennicą, w której kat z pomocnikami widać kogoś oprował, co do czego nie można było mieć wątpliwości, jeśli posiadało się uszy, całe, a nie obcięte, jak niektórzy z więźniów. Nos też miał co robić: z braku okien i przewiewu, mimo opalania węglem drzewnym, straszliwie śmierdziało palonym ludzkim ciałem. I pomyśleć, że tylko ściana dzieliła izbę tortur od „Piwnicy Świdnickiej”, najlepszej piwiarni w mieście, do której wchód był od Sukiennic. Tam ludzie weselili się, pili sprowadzane aż ze Śląska piwo, mniej zielonkawe i mętne, i przede wszystkim mocniejsze od tutejszego, a tu...

– Zostawiam wam pochodnię – rzekł pachoł, zatykając szczapę w szparę między cegłami i otwierając kratę, po czym zamknął ją za mną.

Kiedy ucichły jego oddalające się kroki, powiedziałem:

– Witaj, Franciszku.

Wstał i mimo kiepskiego światła dostrzegłem, jaki był wymizerowany. Podarta koszula ledwo go okrywała, tak iż dygotał z zimna. Oko miał podbite, twarz pokrytą szczecina, włosy zmierzwione, ale nadrabiał miną.

– Miło cię widzieć, Kacper.

Nie uściskaliśmy się.

– Co się stało?

– Ten łobuz, Czeczotka, nasłał na mnie swe zbiry, no to ich trochę potarłosłem.

– A Izbę Pańską na ratuszu zruderowałeś przy sposobności?

– To nie ja! – zawołał z oburzeniem. – To Czeczotka, żeby było na mnie! Nie wierzysz mi? Przecież wiesz, że nigdy bym ci nie zełgał.

– Tak jak z Dorotą?

Spuścił wzrok.

– Pokłóciliśmy się i uciekła ode mnie w środku nocy, bynajmniej nie goła. Wybiegłem za nią, lecz zginęła mi z oczu. Kiedy ujrzałem ją wówczas na stole, martwą, zaledwie dobę po naszym rozstaniu, straciłem głowę. Lękałem się, że będziecie mnie podejrzewali.

– Wtedy nie mieliśmy powodu, teraz to się zmieniło.

– Ergo mniemasz, iż to ja ją zabiłem?

– Jak dotąd nie znam lepszego kandydata.

Złapał mnie za rękaw i zawołał z żarem:

– Ja tego nie uczyniłem! Uwierz mi!

– Staram się, ale nie ułatwiasz mi zadania.

– Jak mam cię przekonać? – puścił mój rękaw, w jego głosie słychać było rozpacz.

– Opowiedz mi o sobie i Dorocie.

– Poznaliśmy się pół roku temu. U Warkowskiego.

Zauważył moje zaskoczenie.

– Nie wiedziałeś? Ten stary rajfur namówił ją do nierządu. Ach, nie – zastrzegł się szybko – nie była pospolitą dziewczką. Brała poszóstną lafę, więc nie każdego było na nią stać. W gruncie rzeczy wiem tylko o jednym kliencie. Czeczotce. Zanim mnie poznała, spotykała się tam z nim prawie co dnia.

Zbyttno mnie to nie zaskoczyło. Sprawy zaczynały się zazębiać.

– A zatem należała do haremu Małego Borgii, który opłacał ją po królewsku, a potem zjawileś się ty, więc rzuciła go dla twoich pięknych chabrowych ocząt, Czeczotka zaś wziął ci to za złe i zagiął na ciebie parol.

– Jakbyś przy tym był – ujrzałem w jego chabrowych oczętach, mniej błękitnych niż zwykle, bo podbitych, coś bliskiego podziwu, ale jakoś nie zrobiło to na mnie wrażenia; może dlatego że skromność jest moją największą cnotą, acz nie jedyną. – Kiedyś Czeczotka się spóźnił, a ja akurat przyszedłem do Warkowskiego pochędożyć i... Od razu wpadliśmy sobie w oko i tak się zaczęło. Nadal spotykaliśmy się u Warkowskiego, a potem u mnie, odkąd...

– Śmiało – zachęciłem go, bo przerwał – nic mnie już nie zdziwi.

– *Ergo* któregoś dnia *in flagranti* zaskoczył nas Czeczotka, bo ten łotr Warkowski złożył mu delację.

– I co?

Uśmiechnął się szelmowsko, po dawnemu.

– A co miało być? Obiłem mu szpetny pysk, skopałem tłusty zad i zrzuciłem ze schodów. Szkoda, żeś tego nie widział! Cały zamtuz miał uciechę.

– A jakże. Najbardziej ubawiony był pewnie sam Rozmus. Już to widzę, jak śmieje się do rozpuku – rzekłem zgryźliwie.

– Ano – westchnął. – Odtąd nie było tygodnia, żeby nie nasłał na mnie pachółków miejskich pod lada pretekstem.

– A w końcu zabił Dorotę, żeby zrzucić winę na ciebie – dokończyłem za niego.

– Musiało tak być! Klnę się na wszystko, że ja jej nie zabiłem. Miłowałem ją! I dopiero całkiem niedawno dowiedziałem się, że to twoja siostra. Uwierz mi, na Boga!

Mówił z takim żarem, że byłem gotów mu uwierzyć. Ale było coś, co nie dawało mi spokoju.

– W takim razie, skoro jesteś niewinny, to dlaczego podpisałeś przyznanie się do winy?

– Obiecali mi, że jeśli to uczynię, opuszczę areszt, jak tylko zapłacę grzywnę za poturbowanie pachółków.

Spojrzałem na niego z niedowierzaniem.

– Bierzesz mnie za idiotę? Mam uwierzyć w to, że ty uwierzyłeś, iż cię wypuszczą po tym, jak przyznałeś się do zabójstwa Doroty i na dodatek potwierdziłeś to własnym podpisem?

– Co?! – teraz on patrzył na mnie jak na wariata. – Nic podobnego nie podpisywałem! Kto tak twierdzi, łże jak pies!

– Koniec widzenia! – nawet nie spostrzeżliśmy, że nasza pochodnia zgasła i siedzimy w kompletnych ciemnościach, dopóki nie przypomniał nam o tym zbliżający się drab z nowym łuczywem.

Otworzył celę, ale zaraz odsunął się na bok, bo ceklarze wywlekli właśnie z izby tortur jęczącego więźnia i wrzucili go do kabata obok celi Wolskiego, ledwie zdążyłem odskoczyć. Szargarze obrócili się na pięcie bez słowa i odeszli. Nim i ja opuściłem celę, przyjrzałem się torturowanemu. Nie był to Bartosz z Lusiny. Nie wiadomo czemu, ulżyło mi.

– Wierzysz mi? – Franciszek rzucił się ku kratom, zagłuszając zgrzyt klucza przekręcanego w zamku. – Powiedz, że mi wierzysz!

– Możesz być pewny – rzekłem poważnie – że jeśliś niewinny, nie dozwolę, byś dał głowę. A Bóg mi dopomoże. *Ergo* nie trać nadziei. Jak tylko wrócę do domu, przyślę ci koszyk ze spyżą, a teraz masz to – zdjąłem z ramion swój kożuszek i przecisnąłem przez kraty, bo w kabatach było zimniej niż na dworze.

Gdyśmy się oddalali, jeszcze dobiegło mnie jego rozpaczliwe błaganie:

– Kacper, wyciągnij mnie stąd! Mam tylko ciebie!

Po wyjściu z kazamatów odszukałem Groickiego.

– I co, nagadaliście się? – rzucił, podnosząc wzrok od papierów.

– Utrzymuje, że jest niewinny. Że to matactwo Czeczotki.

– Tłokińskiego – poprawił machinalnie i dodał drwiąco: – Mamy w kabatach samych niewinnych.

– Ale on klnie się, że nie podpisywał przyznania się do zabicia Doroty. Do drugich sprawek tak, ale do zbrodni nie. Dlatego chciałbym ujrzeć to zeznanie.

Prawnik zmarszczył brwi.

– Wiesz, co mówisz, chłopcze? Naruszasz powagę urzędu, który reprezentuję, i podważasz jego uczciwość. Nie nadużywaj mojej cierpliwości.

Byłem grzeczny, lecz stanowczy.

– Nie wiesz o tym, mistrzu, ale niedługo otrzymam królewski serwitoriat na uprawianie profesji inwestygatora, co da mi prawo prowadzenia indagacji na własną rękę. A na razie odwołuję się do twej przyjaźni z ojcem Rochem. Chcę jedynie rzucić okiem na zeznanie Wolskiego, nic więcej.

Zmagał się ze sobą, w końcu spuścił ze mnie ciężkie spojrzenie i otworzył jedną ze skrzyń, wyjął plik papierów i podał mi je.

– Masz. Nie było mnie przy przesłuchaniu, ale się z tym dokładnie zapoznał i nie widzę niczego, co można by podważyć.

Przerzucałem kartę po karcie, przebiegając wzrokiem wyraźne pismo jakiegoś starannego skryby. Dopiero na samym końcu znalazłem to, czego szukałem. Położyłem papier na pulpicie przed prawnikiem i pokazałem mu ów interesujący fragment palcem.

– Spójrzcie tu, mistrzu. Przyznanie się Wolskiego do mordu na Dorocie zajmuje ledwie dwa wersy wciśnięte między resztę tekstu a podpis oskarżonego i podpisy świadków. Trudno mi to teraz orzec z pewnością, lecz nie dam głowy, czy dopisek nie został dokonany inszą ręką, a użyty inkaust nie jest ciut jaśniejszy.

Jurysta pochylił się nad papierem, a kiedy podniósł głowę, był blady i spoglądał na mnie zupełnie innymi oczyma.

– Patrzy mi na to, że masz słuszość, synu. I wcale mi się to nie podoba. Przeprowadzę jeszcze dokładne badanie. Możesz być tego pewny.

– Tylko to chciałem słyszeć, mistrzu. Jeśli pozwolicie, zgłoszę się do was, gdy dowiem się czegoś nowego.

W drzwiach niemal zderzyłem się z tłustym mężem w drogich szatach i wyrazem pychy na nalanym obliczu. Zmierzył mnie zadziwiająco bystrym spojrzeniem, ale nic nie rzekł. Nie był to nikt inny, tylko imć burmistrz Erazm Czeczotka we własnej osobie.

Zerknąłem na zegar na wieży ratuszowej i niemal biegiem ruszyłem do Collegium Maius, bo było już bardzo późno. Nastawiłem kołnierz kurtki, ale i tak trząłem się z zimna, wpadając w bramę. Tu zastąpił mi drogę jeden z bedeli.

– Kacper Ryx?

– To ja.

– Jego magnificencja żąda widzieć się z waszecią. Niezwłocznie.

Zamiast do lektorium, poszedłem zatem na górę. Tym razem rektor przyjął mnie w swoim gabinecie. Odziany w zwykłą togę, siedział za pulpitem i coś pisał. Nic nie mówiąc, wskazał mi krzesło obok i dokończył pisania, po czym podniósł wzrok, westchnął i rzekł:

– I znów się spotykamy, mości Kacprze.

– Żadnych grzechów nie pamiętam, wasza magnificencjo. Od naszego ostatniego widzenia prowadziłem się bardzo przykładowie.

Uśmiechnął się lekko, ale nie starło to z jego twarzy wyrazu zatroskania. Wydawał się o wiele starszy niż zazwyczaj.

– Tym razem nie o ciebie chodzi, lecz o magistra Wolskiego. To ponoć twój dobry druh. *Ergo* wiesz już pewnie o jego aresztowaniu. I o jaką ohydłą zbrodnię jest oskarżony.

– Wiem, wasza miłość. Prowadzę w tej sprawie prywatną indagację, bowiem nie wierzę w winę magistra.

– To bardzo pięknie, chłopcze, lecz nie problem winy lub niewinności magistra Wolskiego jest tu najważniejszy. Wiesz, co mam na myśli?

– Chodzi o jurysdykcję?

– Tak jest. Nieobyczajność magistra Wolskiego nieraz sprawiała nam turbacje. Niemniej należy do grona pedagogów i jako taki podlega sądowi rektorskiemu. *Ergo* kładąc na nim areszt, miasto pogwałciło prawa akademii.

– Wiem o tym doskonale, wasza magnificencjo.

– Wiem, że wiesz. Wszyscy to wiedzą. I dlatego nie pojmuję, dlaczego rada miejska tak jawnie naruszyła prawo. Może ty mi to wyjaśnisz?

– Jestem jakmiarz pewien, że to robota burmistrza Czeczotki. Ma prywatną anse do magistra i w ten sposób próbuje wyrównać rachunki.

– Wiesz, o co poszło?

Zawahałem się, ale ostatecznie w kręgach akademickich Franciszek miał tak zszarganą reputację, że nic już nie mogło mu zaszkodzić.

– O niewiastę.

Rektor nie wydawał się zaskoczony.

– No tak. Tego należało oczekiwać. Dziwno mi jeno, że z tak błahaego powodu rada miejska gotowa jest iść na udry z akademią.

– I narazić miasto na tumult żaków, co dla wszystkich skończy się smutno – dodałem znacząco.

Rektor zapadł się w siebie.

– Właśnie. Nie pojmuję tego! – potrząsnął głową jak człowiek rozsądny, mający do czynienia z szaleństwem, którego nie jest zdolny objąć rozumem. – Co więcej, powiem ci w zaufaniu, napierają na nas ze strony urzędu starościńskiego, wojewodzińskiego, a nawet z kurii, byśmy poniechali sprawy i pozostawili ją miastu!

– A co wasza magnificencja na to?

Spojrzenie rektora znów się wyostrzyło.

– A jak myślisz? Nie ustąpimy! Ale potrzebuję czasu, żeby wnikać, o co w tym naprawdę chodzi i skąd takie forsy. Dlatego mam do ciebie prośbę.

– Zamieniam się w słuch.

– Scholarzy nic jeszcze o tym nie wiedzą. Chciałbym, żeby tak zostało jeszcze choć parę dni, dopóki rzecz się nie wyjaśni. Wiesz, że jeśli sprawa się rozniesie, nic ich nie powstrzyma od szturmowania ratusza, a skutki mogą przekroczyć wszelką imaginację. Proszę cię o kilka dni spokoju, o nic więcej.

Nie wahałem się, nie zasługiwałem na to. A poza tym miałem oto dobrą okazję załatwić zaległą sprawę, a nie zwykłem marnować podobnych sposobności

– Zgoda. Ode mnie nikt się nie dowie, obiecuję – po czym dodałem chytrze: – Za niedługo, jak tylko odsiedzę w karczerze przepisana karę, spodziewam się dowiedzieć czegoś, co być może rychło zakończy sprawę.

Na jego stroskanym obliczu pojawił się uśmiech, znów spoglądał na mnie po staremu – jak profesor na żaka.

– Informuj mnie na bieżąco. A karczer zawieszam ci do odwołania. Aha, Kacper, podobno nie nosisz korda?

Do licha! Pozbywszy się kożucha, nie miałem pod czym ukryć broni.

– Ostatnio nie czuję się bezpiecznie.

– Pojmuję, ale i tak mi się to nie podoba. I jeszcze jedno – wolałbym, byś przez najbliższe dni nie pojawiał się w akademii, z moim błogosławieństwem. Tak na wszelki wypadek. To już wszystko.

Odprawił mnie gestem i znów pochylił się nad papierami. Ponieważ do końca wykładów brakowało niewiele, przysiadłem na kamiennej ławeczce na dziedzińcu, ale zaraz ziąb mnie owionął i przez zadek aż do trzewi podszedł, więc zacząłem się przechadzać w kółko, przytupując i wymachując rękoma dla rozgrzewki, aż bedele jęli popatrywać na mnie dziwnie. Wreszcie doczekałem się. Z lektoriów wysypali się scholarzy.

– Kacper! – Antek wypatrzył mnie z dala i już ku mnie biegł. – Gdzieżeś bywał? Nie widziałem cię chyba ze sto lat...

– Wiele by gadać. Opowiem ci kiedyś wszystko jak na spowiedzi, lecz teraz wybacz... – zobaczyłem, że na dziedzińcu pojawił się Janek Grot w otoczeniu swych przybocznych, i postąpiłem ku nim.

Antek przezornie usunął się na bok, po czym zemknął ku wyjściu.

– O, pan Ryx – Grot podniósł w górę brwi, łypiąc na kord u mego boku. – Szukasz guza? Szukajcie, a najdziecie, powiedział Pan.

– Tym razem szukam ciebie.

– Więc jednak.

– Potrzebuję twojej pomocy – rzekłem pojednawczym tonem – i twoich ludzi.

– To coś nowego – Grot zmarszczył czoło, słusznie doszukując się w mych słowach podstęp, ponieważ był prawie tak samo przebiegły jak ja. – W czym rzecz?

– Słyszałeś o aresztowaniu przez pacholków miejskich magistra Wolskiego?

– Nie – odparł szybko.

Kłamał. Poznałem to po błysku w oku. Na pewno wiedział o wszystkim, i to ze szczegółami, od swego ojca, który zasiadał w radzie miejskiej.

– To już wiesz.

– Czy to aby nie twój przyjaciel? – spojrzał na mnie chytrze.

– Owszem. I dlatego szukam ludzi, aby pomogli mi go uwolnić z kabatów. Ty masz mir u żaków, dlatego pomyślałem o tobie. Trzeba skrzyknąć chłopców i ruszyć na ratusz...

Popatrzył najpierw na mnie, potem na swoich przydupasów, którzy wyglądali jak psy czekające na rozkazy swego pana (jeden nawet miał wywalony ozór i ślina kapała mu z rozdziawionej gęby), po czym na usta wypełził mu tryumfalny uśmiezek.

– *Ergo* przyszła koza do woza – rzekł. – Nic z tego, przyjacielu. Przez ciebie jutro idę do karceru, zresztą dla twego druha i tak nie kiwnąłbym nawet małym palcem i innym także nie dozwolę się w to mieszać, tego możesz być pewien – zademonstrował mi, o który palec mu chodziło, po czym warknął do przybocznych: – Idziemy!

Odeszli, ale po minach fagasów poznałem, że byli rozczarowani, iż ominie ich pyszna awantura. Nie omyliłem się zatem – Grot i jego kompani szykowali się już do uczynienia fermentu wśród studentów i wszczęcia tumultu, co było ich ulubionym zajęciem. Prosząc ich o pomoc, osiągnąłem wprost przeciwny rezultat, a o to właśnie mi chodziło. W ten sposób rektor i ja sam zyskaliśmy nieco czasu, by w spokoju zająć

się sprawą magistra. Gdyby żacy spróbowali się awanturować, już Grot znajdzie sposób, by ich uciszyć, mniemając, iż robi mi tym na złość. Rad z siebie, nareszcie opuściłem kolegium.

Kiedy wychodziłem na ulicę, już szarzało. Zanim przeszedłem Rynek, przepychając się między ostatnimi kupującymi, zmierzch zapadł na dobre. Właśnie miałem skręcić ze Świętego Jana do naszego Kącika, gdy z furty w murze okalającym ogród za domem Bonerowskim wypadło kilku zakapturzonych ludzi. Otoczyli mnie w mgnieniu oka, ale nie zaskoczyli. Wyszarpnąłem kord i odbiłem cios dębowej pałki, drugiego z napastników kopiąc w podbrzusze. Niestety, gdy parowałem kolejne uderzenie, kord pękł jak zapalka. Cios trafił mnie w bok głowy, tak że ujrzałem wszystkie gwiazdy. Osuwając się na tret, usłyszałem niewieści krzyk:

– Ludzie, ratunku! Mordują!

A potem wszystko ucichło.

ROZDZIAŁ 5 | KAŻŃ

– Mości panowie bracia! – zagrział hetman Mikołaj Rudy, który, jeśli to możliwe, jeszcze bardziej wbił się w pychę, odkąd przed kilku laty udało mu się pokonać wojska moskiewskie pod Ułą, i zwykłych boćwinków miał za nic, z wyjątkiem sytuacji takich jak ta: gdy ich potrzebował. – Nie damy Koroniarzom połknąć Litwy, nie damy pogrześć mowy przodków!

Ktoś odważniejszy parsknął śmiechem, bo strojący się w piórka litewskiego patrioty hetman wypowiedział te słowa najczystszą polszczyzną, którą posługiwał się co najmniej tak dobrze, jak językiem ruskim, natomiast litewskim, jak większość szlachty, władał słabo, bo była to mowa pospólstwa. Radziwiłł potoczył groźnym wzrokiem po zgromadzeniu i chichoty ucichły jak nożem urznął.

– Wiem, że niektórym ichmościom podoba się polska zaraza zwana demokracją. Niechaj zatem wystąpią i śmiało przyznają, że są za unią z Koroną, tym powrozem wiecznej a żywej niewoli, jak mawiał mój nieodżałowanej pamięci brat!

Nikt się nie ruszył. Spora część podzielała wrogość Radziwiłła i drugiego przywódcy opozycjonistów, Jana Chodkiewicza, do silniejszego związania się z Polską, reszta była po prostu zastraszona, bo Radziwiłłowie wciąż stanowili w Wielkim Księstwie potęgę, mimo widocznej od niejakiemu czasu niełaski królewskiej oraz niedawnej śmierci Mikołaja Czarnego, ponoć mądrzejszego z braci, choć jego nagły koniec raczej tej mądrości nie potwierdzał. Radziwiłł Czarny, wbrew ostrzeżeniom innych medyków, posłuchał rady żydowskiego lekarza i dał się na całym ciele wysmarować żywym srebrem, co miało być złotym środkiem na dręczącą go podagrę. Świadek skutków tego eksperymentu napisał tak: „Wkrótce po tym namaszczeniu wzmogły się bóle, dręczyły go przez całe trzy dni bez przerwy tak dalece, iż naprzód popękały mu oczy, uszy i gęba, następnie rozparło mu boki, a na koniec głowa rozszczepiła się na dwie części, tak iż opuszczony od Boga w wynalazku swoim, z okropnym wyciem wyzionął ducha”. W Polsce odetchnięto z

ulgą, ale osamotniony Rudy uwijał się odtąd za dwóch i ze zdwojoną energią podjudzał współplemieńców przeciw umocnieniu związków z Polską.

– Powiadam wam zatem i zdania swego nie odmienię: póki sił moich, bronił będę konika litewskiego przed polskim orlikiem i do unii nie dopuszczę! Tak mi dopomóż, Panie Boże w Trójcy jedyny! Nie masz zgody na unię realną, bo wtenczas zatarłyby się naród nasz litewski przez obfitość ludzi mądrych, godnych w narodzie ichnim koronnym! Nie damy się wyniszczyć! Jedna Rzeczpospolita, ale w niej dwa państwa!

Odpowiedziała mu burza oklasków. Posłowie wstawali z miejsc i wiwatowali, nawet ci, którym nie w smak była potęga Radziwiłłów, podobały im się wolności przysługujące szlachcie polskiej i chcieli takich samych, a przede wszystkim pamiętali o kończącym się właśnie rozejmie z Moskwą i o tym, że w starciu z Iwanem Groźnym osamotniona Litwa nie ma najmniejszych szans. Wśród nieopisanej wrzawy Rudy skinął na podskarbiego Mikołaja Naruszewicza, który był pośrednikiem między obradującymi zazwyczaj osobno posłami litewskimi i polskimi oraz królem Zygmuntem Augustem.

– Słyszałeś, waszmość? Jak tylko pisarze sporządzą skrypt, zanieśes go posłom polskim i królowi i powiesz, że takie jest nasze ostateczne postanowienie, którego za nic nie odmienimy.

Podskarbi, który od niedawna, wraz z podkanclerzem Ostafim Wołłowiczem, porzucił frakcję radziwiłłowską i przeszedł do obozu zwolenników unii, choć się z tym nie afiszował, skłonił się tylko i rzekł:

– Stanie się wedle woli waszej miłości, lubo Polakom to się z pewnością nie spodoba. Już i bez tego zaczynają się niecierpliwić, nawet biskup Padniewski, życzliwy nam dotąd i skłonny do ustępstw, który przewodzi ich sejmowi. Króla też coraz bardziej drażni nasz opór, wyraźnie powiedział to panom Chodkiewiczowi i Wołłowiczowi na wieczyzy, na którą ich onegdaj zaprosił.

– I cóż z tego? Niechaj wiedzą Koroniarze, że próżne i daremne ich nadzieje i im prędzej się rozjedziemy, każda nacja w swoją stronę, tym mniej czasu zmitrzymy po próżnicy.

– Tuszę, że wasza miłość wie, co czyni. Niechaj nas łaska boska broni przed niełaską królewską – westchnął ciężko podskarbi i zabrał się do odejścia.

– Zaczekaj, waszeć! – zatrzymał go Radziwiłł. – Powiedz królowi, że ja i drudzy senatorowie upraszamy jego królewską mość o posłuchanie na osobności jutro, to jest 28 lutego, na zamku. Damy królowi poślednią okazję, by poniechał poronionego konceptu z unią. Ale tego mu już nie mów!

Zaśmiał się, wciąż pewien swego wpływu na króla, jak za dawnych lat. Jeśli będzie trzeba, zerwie sejm! A co! Król ledwie dycha, długo nie pociągnie, a potomstwa nie ma! Po jego rychłej śmierci drogi Litwy i Polski rozejdą się na dobre. A kto wówczas będzie najgodniejszym kandydatem na króla Litwy, jak nie Rudy, pan najmożniejszy, najślawniejszy wojennik i już teraz niekoronowany władca Wielkiego Księstwa? Perspektywa całkiem realna, pod jednym wszak warunkiem – że

nie dojdzie do unii...

– Mości Twardowski, prosimy do kompanii! – zawołał Kochanowski do czarnoksiężnika, który wiódł rej pośród braci szlacheckiej przy sąsiednim stole, od popołudnia zabawiając kompanów rozmaitymi sztuczkami.

Uwolnwszy się nareszcie od rozochoczonej gromady, mag przysiadł się do spokojniejszego towarzystwa, złożonego z senatorów, ludzi nauki i sztuki, którzy zajmowali osobny stół w mniejszej izbie najlepszej winiarni w mieście, zwanej „Pod Zadorą” lub „Pod Lwią Głową”, jako że mieściła się w obszernych piwnicach najokazalszej kamienicy przy Rynku, należącej do mieszczańsko-szlacheckiej rodziny Lubomelskich. Wejście do niej okalał pięknie rzeźbiony portal z datą roku 1540, napisem: „Jan Lubom”, a przede wszystkim herbem-gmerkiem Zadorą, wyobrażającym głowę lwa zionącego ogniem, czemu traktiernia zawdzięczała swą nazwę.

– A to nam boćwinkowie siurpryzę uczynili, co? – zagaił maga, który zajął miejsce zwolnione przez spieszącego na zamek Drohojowskiego, siedzący obok doskonale wszystkim znany w całej Polsce, a zwłaszcza w Lublinie, dokąd często zaglądał, od kiedy osiadł w ziemi chełmskiej, sławny pisarz Mikołaj Rej z Nagłowic, ten, który zachęcał do pisania po polsku, objaśniając to w jednym z utworów: „A niechaj narodowie wżdy postronni znają, iż Polacy nie gęsi, iż swój język mają” [1].

– Ano, ciekawym, co teraz uczyni król jegomość? – zgodził się z nim czarownik.

Poprzedniego dnia, 1 marca, stała się bowiem rzecz niesłychana, do teraz żywo komentowana we wszystkich domach i gospodach lubelskich i jeszcze długo mająca być tematem dyskusji w całej Koronie i Wielkim Księstwie. Oto Litwini, podbechtani przez Radziwiłła Rudego, korzystając ze śnieżnej zadymki, niemal wszyscy chyłkiem opuścili Lublin, ponieważ król nie uległ perswazjom ich senatorów i polecił odbycie wspólnej sesji sejmowej. Zostali nieliczni. Niemal wszyscy litewscy lojaliści siedzieli teraz w gospodzie, przy stole w kącie, i zaciekle, acz przyciszonymi głosami, deliberowali. Byli wśród nich podkanclerzy Wołowicz i podskarbi Naruszewicz, mający wciąż nadzieję na ugłaskanie króla i odroczenie unii, oraz pisarze z kancelarii, Hałaburda i Wojna.

– Spójrzcie na nich, mają teraz boćwinkowie łamanie głowy – zaśmiał się Kochanowski i zacytował:

*Litwa z nami uniją uczyniła strojną,
Uciekli, zostawiwszy Haraburdę z Wojną* [2].

– Mistrzu Janie, jesteście niezrównani – rzekł z podziwem Rej, śmiejąc się do rozpuku, ponieważ sam sławny, nie zazdrościł innym sławy, a już zwłaszcza Kochanowskiemu, którego szczególnie cenił.

– To nie ja – bronił się Kochanowski. – Spójrzcie, waszmościowie, na ścianę za

wami...

Wszyscy jak na komendę poszli za wskazaniem wielkiego poety i faktycznie ujrzeni wypisane na tynku czyjaś ręką owe trefne wiersze. Wpierw gruchnął śmiech powszechny, lecz potem, poważniejąc, rzekł gorący zwolennik unii, senator Marcin Zborowski, z rodu, który właśnie zaczynał wielką karierę:

– Obyśmy jeno miasto unii nie mieli burdy a wojny.

– A swoją drogą, dziwna mi niefrasobliwość i źmudzki upór litewskich panów braci, gdy sprawa z Moskwą nieskończona, a Wielkie Księstwo samo się nie obroni – zdumiał się Rej.

– Samiście, mości hetmanie wierszopisów, dali odpowiedź w *Krótkiej rozprawie między trzema osobami*, która na ten wypadek też jak raz się nada – powiedział Kochanowski i zacytował „starszego hetmana”, którym to mianem młodszy poeci z szacunkiem tytułowali Reja:

Pewnie Pospolitej Rzeczy

Żadny tam nie ma na pieczy [3].

– Eee, stare to dzieje – krygował się Rej. – Kto tam dziś jeszcze mnie pamięta, kiedy tyłu was, młodszych i zdolniejszych. Do ziemi mi się już sposobić, staremu, a nie wiersze pisać. No, chyba że takie:

*Przypatrzże się, co umie pocziwe ćwiczenie,
Gdy ślachetne przypadnie k niemu przyrodzenie,
Co rozeznasz z przypadków i z postępów jego,
Tego Kochanowskiego, ślachcica polskiego* [4].

Kochanowski uśmiechnął się i skinął głową w podziękowaniu.

– Mistrzu! – oburzył się towarzyszący Twardowskiemu jak cień pan Hyńko Konopka. – Toć ja tu ze sobą wasze *Żwierciadło*, ledwie łośńskiego roku wydrukowane, przywożem i niemal z rąk nie puszczam, a wy o starości powiadacie! Mości panowie, zdrowie imć pana Mikołaja Reja, niech nam sto lat żyje i dużo jeszcze wierszy napisze!

Spełnili toast wszyscy z wyjątkiem samego Reja, który tylko zamoczył usta w kielichu napełnionym na samym początku biesiady. Widać było, że poeta, który przekroczył sześćdziesiątkę, jest niezdrów i na księżą oborę spoziera. Zawsze pełen wigoru, wesoły i rubaszny, pierwszy zasiadał do stołu i ostatni odeń odchodził, będąc duszą towarzystwa, wyraźnie czuł się źle. Worki pod oczyma, zawsze duże, teraz zajmowały pół twarzy, zarost posiwiął, włosy lepiły się od potu, a cera zszarzała.

– Mości panowie – wtrącił niezmordowany pan Hyńko. – Toć mistrz Rej w *Żwierzynku* prorocko przewidział nasze dzisiejsze turbacje z Litwą – i zaczął recytować:

*A to wszystko rozumki sprzeczne sprawują,
Iż każdą najlepszą rzecz opak wynicują.
A jako tu i z naszej, także i z ich strony
Niepotrzebne w tej sprawie stroją zabobony [5].*

– Trefne rzeczenie! – ozwał się pan Twardowski, zyskując przychylne spojrzenie imć Konopki, który jednak nie dał sobie przerwać, przepełniony uwielbieniem dla swego ukochanego poety:

*Dosyć by nam, abychmy zawždy społu byli,
Jednemu wiernie panu na wieki służyli...
Spólnie nieprzyjaciołom wszystkim sie bronili
Tak, jako bychmy spólnie sobie urządzili [6].*

– Nic dodać, nic ująć – rzekł pan Marcin Zborowski; po minie sądząc, wolał wychylać kielichy, niżli prowadzić literackie rozmowy.

– Święte słowa! – zawołał ktoś szybko, lękając się, by pan Hyńko nie przypomniał sobie innego stosownego wiersza.

– Zdrowie mistrza Mikołaja!

– Niech nam żyje sto lat albo i więcej!

– Dziękuję waszmościom – rzekł smętnie stary poeta, spoglądając na malowidła zdobiące ściany i sklepienia winiarni, a były one wielce ucieszne i mocno frywolne; przedstawiały bowiem boginkę Wenerę i inne pieprzne sceny, na czele z „tryumfem miłości”, których nie powstydziliby się sam Epikur – ale ja tam swoje wiem:

*Już ty kołac, jako chcesz, botem podkowanym,
Już sie więc tam przypatruj ścianam malowanym,
Biegaj za nastołkami, a polewki chwataj,
A jako kędy możesz, tak swe szczęście łataj;
Jam już tak doma siedząc, obrał sobie pokój,
Bogum wszystko poruczył [7].*

– Poznaje, to także ze *Żwierzyńca*! – zawołał pan Konopka, w istocie niezrównany miłośnik poezji pana Rejowej. – Jak myślicie, waćpanowie – zagał szybko, zorientowawszy się, że niechcący zwrócił uwagę wszystkich na kiepski stan zdrowia starego mistrza – co teraz uczyni król?

– Jest zły jak lichy na Litwinów – podchwycił Kochanowski – iż go na koszu zostawili, i odgraża się, że gorzko pożałują.

– Co zamyśla? – spytał Twardowski.

– Tego nie wiem. Ale zamknął się z podkanclerzami Padniewskim i Krasieńskim i radzą już drugi dzień.

– Może wreszcie panowie senatorowie przestaną się cackać z boćwinkami i wcielią Wielkie Księstwo do Korony! – uniósł się pan Konopka, jak większość polskich posłów oburzony niewdzięcznością Litwinów, podczas gdy to głównie z polskich podatków finansowano zabezpieczenie Litwy od strony Moskwy.

Młody sekretarz królewski, Jan Zamojski, siedział milczkiem, pociągał jedynie wino i ukradkiem obserwował Twardowskiego, coś w sobie rozważając i nie biorąc udziału w dyskusji.

– Kto wie... – rzekł tajemniczo Kochanowski. – Mówił mi Drohojowski w zaufaniu, że król wcale nie jest od tego, ale o tym sza! Wszystko rozstrzygnie się na dniach...

Kochanowski rad nocował, jeśli nie piliły go obowiązki, u zaprzyjaźnionej rodziny Krokierów w ich kamienicy przy Rynku, co było bardzo przydatne, zwłaszcza teraz, gdy miasto pękało w szwach od gości, którzy zjechali tu z obu państw, a na zamku było jeszcze tłoczniej, więc najpierw go odprowadzono, a potem wszyscy pozostali udali się na zamek, także pan Hyńko Konopka, który przy osobie Twardowskiego na dobre zadomowił się na królewskim dworze. Zaczny szlachcic uwierzył w zapewnienie magika, który obiecał wystarać mu się co najmniej o posadę oboźnego królewskiego. W zamian zapewniał czarownikowi wikt oraz ochronę swoich pacholków, którzy towarzyszyli im także teraz, podczas wędrówki ciemnymi ulicami. Za bramą Grodzką, przez którą przepuścili ich, rozpoznawszy, strażnicy, gdzie między zamkiem a miastem rozciągał się ni to las, ni to park, Twardowski nagle wytrzeźwiał i wzmógł czujność. Do zamku dotarli jednak bez przygód. Tutaj alchemik i szlachcic pożegnali Reja, starego pieczeniara, który choć bogactwem nie ustępował wielu magnatom, zawsze rad korzystał z nadarzającej się gościny, oraz senatora i sekretarza, którzy udali się do komnat królewskich.

– Był tu własną osobą jego wielebność ksiądz Krasieński – poinformował Twardowskiego przejęty Maciek, gdy mag dotarł na kwaterę. – Chce widzieć jegomościa jeszcze dziś, pora nie gra roli.

– Dobrze, że pan jesteś – podkanclerzy potarł zmęczone oczy i oderwał wzrok od papierów, nad którymi ślezczał. – Musimy pogadać. Wypadkiem widziałem bowiem dziś na ulicy człowieka, co do którego mam podejrzenie, że nastaje na waszmościa z powodu... – chrząknął – nam obu wiadomego.

– Wiem. Jechał za mną od Warszawy – odparł czarnoksiężnik, który bynajmniej nie zapomniał o wiszącym nad nim mieczu Damoklesa, pozbył się jedynie paraliżującego strachu i znów mógł kalkulować na zimno.

– Czy to rozumne, tak się wystawiać na szwank? – rzekł biskup z wyrzutem. – Mniemałem, że jesteś już waść od dawna w Krakowie.

– Nie byłbym tam bezpieczny. Tu na razie nic mi nie grozi.

– Sejm się kiedyś skończy – westchnął podkanclerzy. – Choć chyba nierychło... I co wówczas?

– Coś wykoncypuję.

– Jest na granicy Podlasia i Mazowsza miasteczko Węgrów, leży w dolinie rzeki Liwiec, zagubione pośród piachów, bagien i lasów. Proszę, tu jest list do moich tamecznych krewniaków, w którym zalecam waszmościa ich staraniu. Jeśli uda ci się tam dotrzeć, sam diabeł cię nie odnajdzie.

– Dziękuję waszej miłości – czarnoksiężnik zgiął się w ukłonie i odebrał pismo. – Być może zratuje mi życie.

– Oby – rzekł ksiądz podkanclerzy, na pożegnanie błogosławiąc odchodzącego znakiem krzyża, ale w jego głosie pobrzmiwało powątpiewanie.

Rozbierając się do snu, Twardowski powiedział do usługującego mu chłopca:

– Biały był dziś w karczmie. Siedział w kącie z czapką nasuniętą na oczy, alem poznał psubrata.

– Olaboga, jegomość, czy nigdy się od niego nie uwolnimy?

– Mnie będzie trudniej, ale tobie łatwiej. Przecie się nie rozdwoi.

– Co racja, to racja.

– A zatem słuchaj uważnie: jutro, jak tylko upewnisz się, że bielak polazł za mną, wrócisz do zamku, weźmiesz oba nasze wierzchowce oraz list do pani Twardowskiej, który ci zostawię, i co koń wyskoczy popędzisz do Krakowa.

– A jegomość?

– Poradzę sobie. Ale gdybym długo nie wracał, znajdź sobie uczciwe zajęcie. Najlepiej udaj się na zamek, do bibliotekarza, pana Górnickiego. Kiedyś się kmotrzyliśmy, pisał o mnie nawet. Tu masz doń list instancjonalny. A tu naści sakiewkę na dobry początek.

– Jegomość... – w oczach Maćka zaszkliły się łzy.

– Nie rycz! Bierz, pókim dobry. I pamiętaj – jak wrócę albo oddasz mi wszystko co do grosza, albo wrócisz z powrotem do służby.

– Mój jegomość...

– Ani słowa. A teraz przestań się mazać i marsz do spania.

Sam legł do łoża, uśmiechając się przebiegle. Nie był głupcem i już przed miesiącem poczynił pewne kroki. Jeśli zginie, jego zemsta nawet zza grobu dosięgnie morderców. Sprawki niegodziwców zostaną wydobyte na wierzch, a to bez ochyby spowoduje ich upadek. To prawda, że odium spadnie także na niego, lecz jeśli będzie wówczas nieboszczykiem, nic go to nie obejdzie. Ale jeśli uda mu się przeżyć, będzie dysponował potężną bronią, z której nikt poza nim nie poradzi skorzystać, tak chytrze wszystko obmyślił. W gruncie rzeczy, gdyby nie groźba nagłej śmierci, bawiłby się doskonale. Usnął dumny ze swej przebiegłości.

Odczekał, aż ucichną kroki oddalającego się strażnika, po czym przybliżył żagiew do kraty i z satysfakcją przyjrzał się więźniowi.

– Miło cię widzieć w takim położeniu, Franciszku – powiedział.

Aresztant podniósł jedną powiekę, gdyż drugie oko miał całkowicie spuchnięte.

– Obyś szczeł – wychrypiał z trudem; wargi też miał obrzmiałe i popękane, krew

z rozbitych ust i rozciętego policzka w strupach i brunatnych smugach zastygła mu na twarzy i podartej koszuli.

– Widzę, że mistrz i ceklarze wykonali kawał dobrej roboty, chyba przedłożę wniosek na radzie, żeby im podnieść jurgielt – rzekł z zadowoleniem Czeczotka. – Pewnie mi chcesz powiedzieć, że prawo zabrania męczyć uczonych? Ale tylko doktorów, a ty wszak jesteś zaledwie magistrem. Za to szlachcicem, powiesz. Aleś przyjął obywatelstwo miejskie, niestety. A nie byłoby to wszystko potrzebne, gdyby twój druh, Kacper Ryx, nie zaczął wściubiać nosa w nie swoje sprawy. I po co go było na mnie nasylać? Dziś zapewne nie wygląda lepiej od ciebie...

– Wypuściłeś na niego swoje psy, łotrze?! – Wolski spróbował wstać, ale przeszkadzała mu zwichnięta ręka, dwa złamane żebra i niezliczone rany na całym ciele, więc jęcząc, opadł na barłóg. – Zapłacisz za to!

– Płacę, i to jak za woły, ale nie tobie – chłodno odparł burmistrz. – Lecz za przyjemność oglądania twojego łba na katowskim pieńku dałbym nawet więcej. *Ergo* luby Franciszku, porzuć wszelką nadzieję, bo jeśli stąd wyjdiesz, to tylko w ostatnią drogę, możesz mi wierzyć.

– Jest jeszcze sprawiedliwość na świecie, hyclu – magister postarał się, by w jego głosie zabrzmiała odpowiednia dawka pewności, której wcale nie odczuwał.

Grubas zaśmiał się głośno, rechotliwie, aż mu się zakołysał potężny brzuch.

– Sprawiedliwość? Wiesz, ile kosztuje sprawiedliwość, głupcze? Powiem ci. Wojewoda i starosta krakowski, szlachetny i wielmożny pan Stanisław Myszkowski wziął trzydzieści florenów, więc nie rachuj na niego. Podstarości, pan Jakub Myszkowski, braciszek jaśnie wielmożnego pana wojewody, głupi jak but pijanica i jeszcze większy chciwiec, wziął trzysta talarów i przyobiegał mi wszelką pomoc ze strony swego urzędu, więc jego też możesz skreślić ze swojego rejestru salwatorów. Rektor akademii nie zdoła cię stąd wyciągnąć, jeśliś o tym roił. Nic nie wskóra, bo jaśnie nam panujący król August nie lubi akademii prawie tak jak ja, co nieraz dawał odczuć, a jeszcze bardziej nie lubi niesfornych scholarów. Zresztą, przewidując żakowskie tumulty z twojego powodu uczynione, zawczasu pchnąłem skargę na studentów i burdy przez nich wszczynane, którą już poparł pan wojewoda za owe jedyne trzydzieści dutków. Jak myślisz, kogo król wysłucha? A może masz nadzieję, że ujmie się za tobą kanclerz akademii i jej dobrodziej, jego ekscelencja biskup Padniewski? Pomijam już, mówię ci to w zaufaniu, że jako miłośnik Epikura nasz zacny książę biskup niekiedy korzystał z mojej łaźni i dyskrecji, to jeszcze dla umocnienia naszej komitywy posłałem mu niedawno srebrny puchar kunsztownej roboty, a wiesz, jak lubi takie cacka, w nim zaś dwieście dukatów, a wiesz jakie ma ekspensa. Poza tym wyjechał do Lublina na sejm. *Ergo* na kurię również nie możesz liczyć. Jedno ci jeno zostało – zacznij się modlić i żałować za swe zbrodnie.

– I kto to mówi! – więzień spróbował roześmiać się szyderczo.

– Śmieję się, śmieję, bo niedużo czasu ci zostało. Obaczymy się na szafocie.

Syknął, bo dopalająca się pochodnia zaczęła go parzyć w rękę, i odszedł szybko

w ciemność, nie czarniejszą jednak od nocy w sercu skazańca, pozbawionego resztek nadziei.

– Gdzie ja jestem?

Uniosłem się na łokciu, ale zaraz jęknąłem, złapałem się za głowę i opadłem z powrotem na poduszki.

– Jejmość Balcerowa kazała cię tu przenieść.

Znałem skądś ten głos, choć chwilę mi zeszło, nim zdołałem przypisać go do osoby. Potoczyłem wzrokiem dookoła, starając się nie ruszać głową. Już wiedziałem, gdzie jestem. Leżałem w najlepszej izbie w całym domu, w królewskim łóżu ciotki. Musiała mnie jednak kochać, skoro zdobyła się na takie wyrzeczenie, pomyślałem z niejakim wzruszeniem.

– Witamy w świecie żywych – powiedział Sęp.

– Długo byłem bez przytomności?

– Dwa dni.

– Pięknie.

– To był dobry cios.

– Nie chcieli mnie zabić. Trochę ich poniosło, gdym się zaczął odgryzać.

Przyglądnał mi się uważnie.

– Mówisz tak, jakbyś wiedział, kto na ciebie napadł.

– Nie. Ale chyba wiem, kto ich nasłał – zdawało mi się, że wśród napastników mignął mi Praszka *alias* Siekiera, acz chyba nie on zadał decydujące uderzenie.

Już otwierał usta do następnego pytania, gdy otworzyły się drzwi i weszła dziewczka. Weszła to mało powiedziane: wpłynęła. Dziewka to mało powiedziane: królewna, boginka. Miała boską figurę, włosy jak pszeniczny łan, oczy błękitne jak niebo i anielskie lico. Szczęka z podziwu opadła mi na pościel. To prawda, że najbardziej podobają mi się czarne, potem rude, co nie znaczy, że nie potrafię docenić prawej blond piękności.

– Jejmość pyta, czy panicz zechce się posilić – powiedziało zjawisko, wdzięcznie dygając.

Głos miała trochę chropawy, psujący nieco ogólny efekt, ale cóż, nie można mieć wszystkiego. Mimo to była bez wątpienia najurodziwszą z dziewcząt zatrudnianych dotąd przez ciotkę, choć bywały pośród nich prawdziwe ślicznotki, jak choćby Magda.

– Ja cię już chyba gdzieś słyszałem... – powiedziałem, gdy szczęka wróciła na swoje miejsce.

– To ona nas zawołała, gdy tamci łoil ci skórę. Zdążyliśmy w ostatniej chwili... – pospieszył z objaśnieniem Sęp, gapiąc się w dziewczkę jak w obraz. – Kasia właśnie szukała pracy. Przybyła do Krakowa ze Skawiny, bo nie podobała się jej praca u bednarza.

– Oto, co znaczy znaleźć się w odpowiednim miejscu we właściwym czasie –

rzekłem, starając się ukryć ironię w głosie.

– Dobierał się do mnie. Zdzierzyłam dwa lata i w końcu zbiegłam – rzekło dziewczę, skromnie spuszczać oczęta.

– *Ergo* znalazłaś robotę u nas i masz na imię Kasia... – powiedziałem. – Miło cię widzieć, Kasiu. Pracuje u nas twoja imienniczka...

– Już nie – sprostował Sęp. – Kachna zniknęła jak kamfora razem ze swymi statkami. Dlatego druga Kasia spadła twojej ciotce jak z nieba...

– A to ci szczęśny traf. Więc Kachna zniknęła... – mruknąłem. – Akurat, gdy chciałem ją indagować... Ciekawe...

– Przepraszam, mój jegomość – ozwało się dziewczę – ale co z tym posiłkiem?

– Przynieś. Jestem głodny jak wilk.

Podziwialiśmy, jak oddalała się, kręcąc kuperkiem. Dla rekonwalescenta był to najbardziej ożywczy z prospektów. I choć byłem ostrożny z dziewczkami, to przecie lubiłem takie widoki jak każdy.

– Wczoraj był tu twój opiekun. Zbadał cię i powiedział, że czaszkę masz całą. Ale przez parę dni nie wolno ci ruszać się z łoża – odezwał się Sęp po przerwie spowodowanej kontemplacją uroków nowej służki.

– *Ergo* skisnąć mi tu przyjdzie. No, chyba że obsługiwać mnie będzie luba Kasia.

– Wygląda na porządną dziewczkę – obruszył się Sęp.

– Wpadła ci w oko, co?

– A tobie nie? – odparł, zarumieniony jak panienka.

– Pewnie, poza tym ocaliła mi przecie skórę. Ale jeśli mam nie wchodzić ci w paradę, tedy sam będziesz musiał mnie nawiedzać i zabawiać. A ponieważ daleko ci do jej urody, zatem przynieś tę włoską książkę o fechtach.

– Zgoda, ale dopiero jutro.

– Czemu nie zaraz? Piszesz coś?

– Zacząłem, alem stracił wenę. I dlatego wybieram się na Rynek. Dziś tracą Bartosza z Lusiny. Szkoda, że nie możesz pójść.

– I tak bym nie poszedł – nigdy nie chodziłem na publiczne egzekucje; nie miałem obsesji śmierci jak Sęp, a poza tym nie gustowałem w tego rodzaju widowiskach. – Zresztą, opowiedz mi o wszystkim po powrocie. Proszę cię tylko, byś wcześniej dostarczył koszyk z jedzeniem Wolskiemu do turmy. Załatw to w kuchni, a przed wyjściem zaglądnij do mnie i przynieś ze sobą przybory do pisania. I nieco octu.

Odszedł, mijając się w drzwiach z Kasią niosącą parujący półmisek. Czekaając, aż zjem, przycupnęła na brzeżku krzesła, z błękitnymi oczętami wbitymi skromnie w pawiment. Ja zaś przyglądałem jej się z niemal równą zachłannością, z jaką pochłaniałem jedzenie. Po głowie chodziły mi różne myśli, ale chyba nie takie, które by się jej spodobały, gdyby je poznała, choć bynajmniej nie zdrożne. No dobrze, zdrożne też, ale nie przede wszystkim. Gdy odbierała ode mnie puste naczynie, przyjrzałem się jej dłoniom. Były gładkie i wypielegnowane. Kilka minut po wyjściu

służki wrócił Sęp. Położył mi na kolanach koszyk pełen najróżniejszych wiktuałów oraz kilku flaszek wina i spytał:

– Po co ci ocet?

– Zobaczysz, tylko zabierz ten koszyk, a daj mi papier i pióro.

Odkorkowałem flaszkę z octem, zanurzyłem w niej pióro i napisałem kilka słów na skrawku oddartym z kartki. Poczekałem chwilę, aż wyschnie, przykładając papier do nagrzanego kafla piecowego, po czym byle jak złożyłem kilka razy, zrobiłem palcem dziurę w chlebie i wepchnąłem pismo do środka.

– Jak to odczyta? – spytał Sęp.

– Wystarczy, że przystawi na chwilę do pochodni. Obok jego kabatu często zatykają łuczywo, jak zabierają któregoś więźnia do tortorni.

– A domyśli się, co ma z tym robić?

– Ostatecznie jest magistrem.

– A jeśli strażnicy znajdą to w chlebie?

– To pomyślą, że piekarz jest niedbały i śmieci zamiata do ciasta.

– A swoją drogą, coś mu napisał?

– Nic takiego, jeno żeby nie tracił nadziei.

Zabrał koszyk, ale ciągle patrzył nieufnie na bochenek z pismem.

– To naprawdę działa?

Wziąłem pióro, ocet i na reszcie karty napisałem dwa słowa, osuszyłem papier i podałem Sępowi, który, gdy na karcie pojawiły się wyrazy: „niewierny Tomasz”, zawołał:

– To działa! Kacper, jesteś wielki!

– Wiem – odparłem skromnie i rzuciłem mu złotego florena. – Daj strażnikowi w łapę, bo inaczej to draby zeżrą chleb razem z pismem i popiją naszym winem.

Właśnie układałem się do drzemki, gdy weszła ciotka.

– Jak się czujesz, synku?

– Dobrze, mameczko.

– Bo widzisz, masz dostojnego gościa... – w jej głosie zabrzmiał niepokój, a nawet jakby strach.

Ale nim zdążyła powiedzieć, o kogo idzie, usłyszałem na schodach podniesione głosy i do komnaty raczej wtargnął, niż wszedł, ktoś, kogo nigdy bym się nie spodziewał.

– Chcę z nim pogadać sam na sam – rzekł rozkazująco, a ciotka bez słowa, rzucając mi jedynie trwożne spojrzenie, wysliznęła się na zewnątrz.

– Kacper Ryx, jak mniemam – powiedział intruz, rozglądając się dookoła z lekceważeniem, jakby dostatki ciotki Balcerowej nie robiły na nim żadnego wrażenia.

– Wielce szanowny pan burmistrz Rozmus Czeczotka – usiłowałem dać przybyszowi lekcję dobrych manier, co jednak spłynęło po nim jak woda po gęsi.

– Dla ciebie urodzony Erazmus Tłokiński herbu Jastrzębiec, przybłądo. Będę się streszczał, bo żał mi czasu. Zatem pilnie nastawiaj ucha, gdyż nie zwykłem się

powtarzać.

– Zamieniam się w słuch. Zaszczyt to dla mnie, że tak godny gość raczył nawiedzić moje skromne progi i poświęcić mi, chudopachołkowi, swą cenną uwagę.

Nie zauważył szyderstwa, widać nie zdołało się przebić przez warstwę otaczającego go tłuszczu.

– Wsadzasz nos w nie swoje sprawy, synku. Z tego powodu boli cię głowa, a może być gorzej. Wiesz, jak ważne dla medyka są sprawne palce. Dlatego przyjmij dobrą radę – poniechaj sprawy Wolskiego.

– Bo co? Następnym razem naślesz na mnie morderców?

Skrzywił się, przez co jego paskudny pysk zrobił się jeszcze bardziej podobny do ropuszego.

– Nie podnajmuję zabójców. Zawsze działam prawem, nigdy lewem. Zakarbuje to sobie w pamięci. Ale mogę sprawić, że nigdy nie otrzymasz obiecane serwitariatu, ba!, nie będziesz mógł w moim mieście uprawiać profesji medyka, jeśli w ogóle uda ci się skończyć studia. A twoja ciotka straci tę gospodę – znów powiódł wzrokiem po ścianach – czego mogłaby nie przeżyć.

– Grozisz nam w naszym własnym domu? – wycodziłem przez zęby.

– Tylko ostrzegam.

– To wszystko?

– Tak.

Skinąłem na Niziołka, który cicho jak duch wśliznął się do izby i od dłuższego czasu czekał w gotowości.

– Pan burmistrz wychodzi, a jeśli będzie się ociągał, możesz go skopać ze schodów.

– Łapy przy sobie! – zawołał tłusciuch do Nizioła, który wykazywał nadzwyczajną ochotę do wypełnienia mojego polecenia. – Już idę. A ty, chłopcze, przybierz sobie do serca, com rzekł, bo drugi raz tu nie przyjdę.

– Nawet nie próbuj, bo osobiście wyrzucę cię przez okno – zawołałem, gdy Nizioł już zamknął za nim drzwi.

Byłem tak wzburzony, że długo nie mogłem usnąć, choć oczy mi się kleiły. O naszym burmistrzu złe zdanie miałem od dawna, a *pater* Roch tym bardziej. Mianowicie piastując wiele dochodowych stanowisk, był też Czeczotka prowizorem zakowskiego szpitala Świętego Rocha, położonego tuż przy szpitalu Świętego Ducha i też prowadzonego przez duchaków, ale zamiast utrzymywać siedemdziesięciu, osiemdziesięciu ubogich scholarów, utrzymywał tylko osiemnastu, w tym jedynie trzech żaczków, którym i tak obciął wikt, całą nadwyżkę sobie przywłaszczając.

Wszak dopiero teraz zacząłem łotra naprawdę nienawidzić. Wizyta Czeczotki, wbrew jego woli, podsyciła też we mnie – przyznaję: coraz słabsze – przekonanie o niewinności Wolskiego. Pozbyłem się także wahań, jeśli je żywiłem, co do tego, komu zawdzięczam rozbitą głowę. Poza tym ta tłusta świnia, przekonana, że wszystko jej wolno, zasługiwała na nauczkę. A ja czasem czułem w sobie żyłkę pedagoga. Nie

mówiąc o tym, że mimowolnie sprowadziłem zagrożenie na ciotkę i całą rodzinę i teraz na mojej głowie spoczywało, jak nas wszystkich z tego wyciągnąć.

Kiedy po drzemce otworzyłem oczy, na wprost siedział Sęp z gąsiorem zacnego wina i dwoma kielichami, aż przebierając nogami, tak pilno mu było do zdania mi relacji.

– Oddałeś koszyk?

– Yhm... Miałem szczęście, bo trafiłem na twojego znajomka, Matiasa Szarskiego czy jak mu tam. Obiecał dostarczyć przesyłkę, ale florena, szelma, wziął.

– To dobrze, przynajmniej mamy pewność, że Wolski dostanie, co trzeba. A teraz powiadaj, jak było na Rynku.

Nie dał się prosić, nalał wina do obu szkieł i zaczął:

– Najsamprzód dowiedziałem się od ludzi, a mnogi tłum zgromadził się pod ratuszem, iż Bartosz, lękając się tortur, po dobrowoli wyjawiał wszystkie swoje zbrodnie, a to: kradzież pięćdziesięciu złotych w Kęciech i przeputanie ich w kości na Kazimierzu do niejakiego Firka; kradzież srebrnej łyżki panu podskarbiemu Lubomirskiemu i sprzedanie jej złotnikowi za półtrzecia złotego; jako i sprzedanie temuż, za półczwarta złotego, kubka srebrnego pozłocistego do pana wojewody Tęczyńskiego należącego; także wzięcie buławy w srebro oprawnej i dwóch łańcuszków złotych z kamienicy pewnej w Krakowie; o pieczęci nie wspominając... Długo by wyliczać, dość tego było, by go na gardle pokarać. A mąk i tak nie uniknął...

Przerwał, by znów polać, po czym prawił dalej:

– Wywiedli go z kabatów za bramę ratuszną bez giezła, a mróz mamy dziś niegorszy, po czym wsadzili na wóz drabiniasty. Trzął się cały nieborak, nie wiedzieć od czego bardziej – zimna azali strachu. Powiadam ci, od samego patrzenia i mnie uczyniło się lodowato po całym ciele, brr... Ażem się zląkł, by mnie nie wypatrzył w owej ciżbie i wzrok żem odwrócił na czas, gdy przejeżdżali mimo... Niby zbrodnień to bity, a nie wiedzieć czemu, czułem się jak Judasz... Rozdziany do pasa, jechał wśród tłumu gapiów, górując nad wszystkimi głowami, jakoby płynął w powietrzu, a za nim szli ceklarze, niosąc kociołek z rozpalonymi węglami i długą żelazną cechę do piętnowania. Najsamprzód powiedziano go na wiertel garbarski i tu, na rogu Wiślniej i Świętej Anny, pieczętowano ku uciechu gawiedzi na czole. Mówię ci, smród spalonego mięsa doszedł aż mojego nosa, choćem stał wcale nie za blisko... Zasię Bartosz tak przy tym wrzeszczał, że ten jego krzyk słycać było mimo wrzawy i ludzkich śmiechów... Za czym procesja udała się ku wylotowi Grodzkiej, gdzie opodal Wierzynekowej kamienicy, na wiertelu grodzkim, przypalano mu prawą pierś. Stąd wóz potoczył się ku Floriańskiej i stanął pomiędzy farą Mariacką a kamienicą Pod Murzyny, na wiertelu rzeźnickim, a my całą hurmą za nim. Rozochocona dziatwa ciskała w więźnia kulami śnieżnymi i kawałkami lodu, on zaś kwilił jak dziecko i szlochał, aż mu ślozy ciekły po skudłonej brodzie i na mrozie zamarzały, aż żal było patrzeć na taką ludzką nędzę... Tu szargi przypiekli mu lewą

pierś, on zaś wrzeszczał przy tym, jakby go ze skóry obdzierali. Nareszcie ruszyli my ku Sławkowskiej, do wiertelu sławkowskiego, gdzie mu czwartą pieczęć wypalili na płucach. Bartosz już nie wrzeszczał, ino wył jak zdychający pies, po czym zwiśł bezwładnie na drabinkach, aż go musieli spiculatory pod ramiona podtrzymać...

Umilkł, patrząc przed siebie niewidzącym wzrokiem, a ja po raz kolejny zadałem sobie pytanie, co przeżywa – czy to widziane męki naszego brańca uczyniły na nim takie wrażenie, czy jego własne odczucia pod ich wpływem, które próbował teraz przełożyć na język poezji... Nareszcie oprzytomniał, wypił, nalał znów nam obu i mówił:

– Po pieczętowaniu pojechano ulicą Sławkowską na Kleparz, gdzie przyłączyły się do nas nowe tłumy, a nareszcie Długą dotarli my na Pędzichów, gdzie stoi murowana szubienica i gdzie czekali dostojni gapie: burmistrz Zalasowski i rajcy z żonami...

Znałem to ponure miejsce, zwało się Powroźnicze. Było zryte jak kretowisko, bowiem ludzie szukali tam pokrzyku, ziela o korzeniu przypominającym ciało człowieka, który rzekomo krzyczy, gdy go z ziemi wyciągają, i ma moc uzdrawiającą, a także skutkującą na potencję jak mandragora.

– Przez Długą ulicę prosto na szubienicę – wymruczałem stare krakowskie porzekadło, lecz Sęp nieprzerwanie ciągnął:

– ...Bartosz nie chciał zleźć z wozu, a lubo ręce miał spętane i poranion był srodze, wierzgał i bronił się ze wszech sił. Atoli ceklarze obezwładnili go i powlekli na rusztowanie, gdzie czekał mistrz, któren zaraz włożył mu łeb w pętlę i zadzierzgnął tak, iż Bartosz zwiotczał, opór stawiać przestał i zamilkł, charcząc tylko. Wtenczas ksiądz doń przystąpił, znakiem krzyża przeżegnał, mistrz zwolnił zapadkę i Bartosz zawisł, parę razy obróciwszy się wokół osi. Wierzgnął jeszcze raz i drugi, potem rozległ się suchy trzask, jakby gałąź pękła, a to musiało mu w krzyżu chrupnąć, zwiśł bezwładnie i tak poszedł na sąd Boży...

– Wielcy złodzieje małe wieszają – uraczyłem go następnym przysłowiem.

– Co powiadasz?

– Nic.

Chociaż opowieść była długa, czułem, że najważniejszego jeszcze z siebie nie wyrzucił, dlatego go zachęciłem:

– No, przyznaj się, coś tam o tym spłodził, bo jeszcze ci na żywocie zalegnie.

– Mogę?

– Jazda.

Nabrał oddechu, zamknął oczy i wyrecytował:

Niech się złe serce czuje:

Bóg złości nie lubi,

A jem dłużej folguje,

Tym srodzej zagubi [8].

– Bardzo celnie – pochwaliłem. – I jak na ciebie wyjątkowo zwięźle. Choć ja bym to ujął jeszcze krócej: póty dzban wodę nosi, póki mu się ucho nie urwie.

– Więc nie żal ci Bartosza? I nie masz wyrzutów sumienia, żeśmy się przyczynili do jego nagłej śmierci?

Oto cały Sęp! Poszedł na egzekucję w poszukiwaniu nowych doznań, a teraz przeżywa rozterki. Ja jednak byłem inny. Kęs czasu żyłem pośród ludzi, którzy za miedziaka gotowi byli poderznąć gardło najserdeczniejszemu druhowi. Pewnie dlatego bywałem czasem bezwzględny, ale nigdy okrutny. Widok mąk i kaźni nie bawił mnie wcale, ale także nie żałowałem złoczyńcy, który sobie na to zasłużył.

– Wcale. Rzetelnie zapracował na swój los. Swój żal wolę zachować dla niewinnych. I tuszę, iż jeszcze niejednego zbrodniarza przywiode na szubienicę. Atoli, w przeciwieństwie do ciebie, nie mam i nie będę miał oskomy, by patrzeć, jak zawisają. A teraz daj następny wiersz, boć widzę, że jeszcze coś dierzysz w zanadrzu...

– Ale ty mnie znasz... – Sęp pokiwał głową i uśmiechnął się. – Masz słuszność, Bartosz żył i szczeł marnie, bo wyrzucił Boga ze swego serca i dozwolił, by zatwardziało. A próżne człowiecze staranie bez Bożej pomocy, jak to popróbowiałem ująć w rymy:

Bóg nas, Bóg rządzi.

Nasze staranie

Zawsze zabłądzi,

Gdy nie chce na nie

Wejrzeć łaskawie.

Porzucmy dумы!

Szaleństwo praw[i]e

Ludzkie rozумы! [9]

– To tyle o wierszach, a teraz mów, po co tu przybył Czeczotka. Na dole wciąż o tym tylko się gada – opróżnił gąsior do ostatniej kropli, napełniając nam po raz ostatni kielichy w strych.

– Sprawdzić, czy nasłane przez niego zbiry dobrze się sprawiły. I ostrzec, żebym nie wtykał palców między drzwi.

– A ty go oczywista nie posłuchasz.

– Oczywista.

– Ale ciotka frasuje się, że straci gospodę. O ile już poznałem pana burmistrza, gotów to przeprowadzić pod lada pretekstem.

– Nie uczyni tego. Już moja w tym głowa.

– A zatem czeka nas kolejna awantura?

– A co, masz dość?

Uśmiechnął się znów tym sobie tylko właściwym wieloznacznym uśmiechem.

– Sam nie wiem. I tak, i nie. Z jednej strony awantury to nie mój żywioł, z drugiej ciekaw jestem, cóżeś znowu ukował w tej pełnej conceptów łepetynie, *ergo* nie pozbędziesz się mnie snadnie.

Zabrał pusty gąsiorek i szkła i rzekł, wychodząc:

– Przyjdę jutro. Z księgą o fechtach.

Ledwo zamknęły się za nim drzwi, przyszła ciotka. Postąpiła niepewnie kilka kroków i skierowała się prosto w stronę pieca. Była prawie ślepa! Widać, pod wpływem ostatnich wypadków i zmartwień wzrok jej się pogorszył. Pojąłem, że nie zdołam odłożyć operacji do czasu, aż zostanę lepszym medykiem, a najpewniej będę to musiał zrobić najpóźniej na wiosnę, gdy katarakta dojrzeje.

– Tutaj, matuchno – nakierowałem ją głosem i złapałem za rękę, by usiadła obok.

– Wypłakałam sobie oczy – powiedziała smutno, potwierdzając moją diagnozę – najpierw z powodu Doroty, potem twojego, a teraz jeszcze ten Czeczotka i jego pogrózki...

Znów zaczęła chlipać na dowód, że niewiasty mają nieprzebrane zasoby łez.

– Mnie nic nie jest. Jutro, najdalej pojutrze, wstanę jak nowo narodzony. Czeczotką też się nie turbuj, załatwię to.

– Obiecałeś także, że dowiesz się, kto zabił Dorotę. I co?

– I już wiem co nieco. Tylko nie wiem, czy to, co wiem, ci się spodoba.

Obróciła ku mnie smutną twarz i jej oczy jakby na chwilę odzyskały dawną bystrość.

– Mów. Zniosę wszystko.

Zatem opowiedziałem jej część tego, czego się dowiedziałem o Dorocie i jej drugim życiu, starając się to uczynić jak najogłędniej. Ale zbyt dobrze znała życie, bym zdołał złagodzić cios.

– W głębi serca przeczuwałam to. Nieszczęsne dziecię... To moje stare grzechy ją doścignęły...

Pogłaskałem ją po stroskanej twarzy.

– Nie mów tak. To się zdarza w każdej rodzinie. A ty masz jeszcze drugą córkę i syna, a trudno o porządniejszych ludzi od nich. No i masz mnie.

Uśmiechnęła się leciutko i teraz to ona mnie pogłaskała z prawdziwie matczyną czułością.

– Dobry z ciebie chłopiec... A więc myślisz, że Dorotę zabił jeden z jej gachów: Czeczotka albo Wolski.

– Chyba że jest ktoś trzeci, o kim jeszcze nic nie wiem. Ale tak, na razie podejrzewam tych dwóch.

– Wolałabym, żeby to był burmistrz – westchnęła.

– Ja też. I jak dotąd na to wygląda. Czeczotka tak bardzo stara się obwinić Wolskiego, posuwa się do gwałcenia prawa w sposób niebywały nawet jak na niego, że jest to w najwyższej mierze podejrzane i świadczy przeciw niemu. Ale...

Milczała, zastanawiając się nad tym, co powiedziałem.

– Ale co? – spytała w końcu.

– Prawdą jest, iż Czeczotka nikogo dotąd nie zabił i zabić nie kazał. Nawet mnie, choć założyłem mu za skórę. Wszystkie swoje zbrodnie popełnia w majestacie prawa. A jego fagas Praszka to kęs łotra pierwszej wody, lecz nie morderca.

– A Wolski?

– Wolski zabijał na wojnie. To gwałtownik, w gniewie zdolny do wszystkiego. Nie mówiłem ci o tym, ale wiem, choć nie od niego, że gdy w potrzebie z Moskwą służył pod komendą swego ojca rotmistrza, zabił pachółka i dlatego musiał odejść z wojska. Mógł więc zabić znów, nawet jeśli zaraz potem miałby tego żałować. Bo powiada, że naprawdę miłował Dorotę, i ja mu wierzę.

– Jeśli jest niewinny, wyciągniesz go z więzienia?

– Tak. A jeśli nie zdołam – pomszczę go.

– A jeśli jest winien?

– Tedy da głowę.

– To twój przyjaciel...

– Mimo to.

Nasze spojrzenia spotkały się.

– A jeśli to Czeczotka?

– Zostanie ukarany. Nie wiem jeszcze jak, ale znajdę sposób.

Chwyciła mnie za rękę.

– Dziwne z ciebie dziecko, Kacperku. Zawsze starałam się chować cię jak drugie swoje dzieci, ale tyś jest inszy...

– Bo naprawdę jestem, matuchno.

– Nie o to mi idzie... Jesteś taki... Mądry i współczujący, lecz zarazem twardy. Och, wiem, że mnie miłujesz i swojego opiekuna także, ale... Bardziej kierujesz się w życiu rozumem niżli sercem. I czasem myślę sobie, że sprawiedliwość i prawda więcej dla ciebie znaczą od miłowania. A sprawiedliwość to rzecz Boska synku, nie ludzka... Lękam się o ciebie, bo też cię miłuję i nie chcę, byś utwardził swoje serce, nim będzie za późno... Wolę nawet, gdyby to miało pomóc, byś nie dociekał, kto zabił Dorotkę. Ją już straciłam, nie chcę stracić ciebie.

Ucałowałem jej rękę, która ścisnęła moją, i poklepałem uspokajająco, choć dała mi do myślenia. Była to bowiem niewiasta prosta, lecz bynajmniej nie głupia, no i miała to, czego brakuje nam, mężczyznom – białogłowski instynkt. Nie podzielałem wszystkich jej obaw, ale z niektórymi uwagami musiałem się zgodzić.

Wstała.

– Powinieneś znaleźć sobie niewiastę. Dobrą i uczciwą, albo przynajmniej ładną. To nie jest zwyczajne, by chłopiec w twoich leciech nie miał jeszcze nikogo – wróciła już do siebie, bo w jej głosie pobrzmiwały znajome, gderliwo-dobrotliwe nuty.

– Serce nie sługa, cioteczko – rzuciłem wesoło, bo zaiste nie trapiłem się tym, ufając, że prędzej czy później znajdę właściwą dziewczkę, a na to warto było poczekać; zbyt wiele naoglądałem się sprzedajnej miłości lub niedobrych związków.

– Jesteś głodny?
– Jak wilk.
– Tedy przyślę ci wieczerzę.
– Przyniesie ją ta nowa, Kasia?
– Już ją poznałeś? Niewiele umie, ale bardzo się stara.
Zaśmiałem się na głos, bo dopiero teraz przejrzałem jej grę.
– Ty przebiegła lisico! Przyjąłeś ją ze względu na mnie!
Uśmiechnęła się pod nosem.
– Aha, na dole siedzi podhutmani. Ma sprawę do ciebie, ale nie chce przyjść na górę.
– Boi się Czeczotki i trudno mu się dziwić. Przyślij go, jak tylko wyjdzie stąd Kasia, a ją zatrzymaj na jakiś czas w kuchni.
– Nie ufasz jej?
– Jest nowa. A ja muszę mieć kogoś w ratuszu i nie chcę zdawać się na azard.
– Myślisz o wszystkim – pokręciła głową z podziwu i poszła zarządzić co trzeba, a ja znów miałem okazję napawać się widokiem nadobnej Kasi.
Kilka minut po wyjściu dziewczki do sypialni wśliznął się Mateusz.
– Ostatni raz tu zachodzę – sapnął, siadając ciężko na łóżku.
– Dobrze. Będziemy się spotykać na mieście. A teraz odpręż się i poczęstuj – podałem mu pieczone kurze udko.
– Nie jestem głodny – warknął. – I to jest nasze ostatnie spotkanie.
– Czemu? – spytałem z ustami pełnymi kurczaka.
– Człowieku, ty się jeszcze pytasz? Jeszcze nigdy nie widziałem, by Czeczotka był na kogoś bardziej wściekły niż na ciebie!
– To wasi ludzie na mnie napadli?
Rzucił mi ponure spojrzenie.
– Starościńscy. Pod wodzą Praszki zwanego Siekierą, cyngla Czeczotki. Napytałeś sobie potężnych wrogów. Czeczotka przekupił nie tylko starostę, a to zapewne nie było zbyt trudne, znając naszego pana starostę, ale i jego brata wojewodę, a także, uwaga, to cię pewnie zaskoczy, jego ekscelencję księcia biskupa krakowskiego...
– Padniewskiego? – rzeczywiście mnie zaskoczył.
– A znasz drugiego? Wiem nawet, ile każdy z nich wziął od Czeczotki, żeby zostawić w jurysdykcji miasta sprawę Wolskiego.
– Skąd to wiesz?
– Od twego przyjaciela Wolskiego.
– A on skąd?
– Czeczotka mu powiedział i raczej nie łgał. Tak więc magister jest zgubiony bez ratunku i wszyscy, którzy mu pomagają. Dlatego na mnie już nie licz. I na dal, jak coś zechcesz ukradkiem przesłać więźniowi, to pamiętaj, że nie jesteśmy idiotami i znamy wszystkie sztuczki, jakie ty lub kto drugi jest zdolny wykoncypować.

Podniósł się tak samo ciężko, jak usiadł.

– Odezwę się – powiedziałem na pożegnanie. – Miej nadal oczy i uszy otwarte.

– Powiedziałem ci przecież, że to koniec naszej współpracy.

– Nie chcesz chyba, żeby Czeczotka dowiedział się o naszej zażyłości? – rzuciłem słodkim tonem.

Zatrzymał się u drzwi i odwrócił ku mnie wykrzywioną złością i strachem twarz.

– Ależ z ciebie łotr! – trzasnął drzwiami na odchodnym, tak że zadrżała futryna.

Spałem twardo, a rano poczułem się o wiele lepiej, choć głowa wciąż mnie bolała. Zaraz po śniadaniu, jak obiecał, zjawił się Sęp z włoską książką pod pachą i zaczęliśmy lekcję. Niestety, ponieważ Sęp spędził więcej czasu w Niemczech niż w Italii, jego włoszczyzna była niewiele lepsza od mojej. Biedziliśmy się nad księgą całe przedpołudnie, popołudnie i pół wieczora, jedynie z przerwami na posiłki, aż wreszcie nasze, pozał się Boże, tłumaczenie dobiegło końca. Sęp puszył się jak paw i był z siebie bardzo dumny, a potem popadł w rozpacz, gdy mu powiedziałem, że dopiero zaczynamy prawdziwą robotę. Miał załatwić dwa długie na tyleż łokci kije i dwa o połowę krótsze oraz usługi Nizioła na cały dzień.

Naukę zaczęliśmy zaraz po śniadaniu. Sypialnia ciotki, wielka jak stodoła, wybornie nadawała się na plac ćwiczeń, trzeba było tylko trochę poprzesuwać sprzęty. Miałem nadzieję, że ciotka nie zajrzy tu, zanim skończymy, bo pewnie dostałaby udaru serca. Niziołek wykazywał wielką ochotę do walki, Sęp jakby mniejszą, choć przydźwigał ze sobą ogromny miecz.

– Po dziadku – pochwalił się – posługiwał się nim podczas ostatniej wojny z Krzyżakami, za króla Starego.

Na początek przeciwczyliśmy postawy, zgodnie ze szkicami, jakie maestro Camillo Agrippa pomieścił w traktacie. To znaczy – oni ćwiczyli, ja nimi dyrygowałem. Sęp szybko zmęczył się machaniem ciężkim mieczem.

– Odłóż go – poradziłem mu – i złap za kij. To jest podręcznik fechtów na rapiery, a nie na machanie średniowiecznym żelastwem.

– Łatwo ci gadać – burknął, zmachany i spocony. – Leżysz sobie i wymądrzasz się.

– Jutro przyłączę się do was – pocieszyłem go. – A potem będziemy ćwiczyć co dzień.

– Po co?

– Bo czas mieczów już minął – wiedziałem, że choć w Polsce nadal posługiwaliśmy się mieczami lub kordami, to przecież z Węgier i Orientu szła moda na szable, a z Zachodu na rapiery zażywane najczęściej przez Italczyków, Francuzów i Hiszpanów. – Teraz byle chudopacholek potrafi rapierem albo puginałem zmacać dziurę w rycerskim rynsztunku i zakutemu w stal wrazić żelazo na stopę głęboko. Chyba nie chcesz tak skończyć?

– Mnie tam się podoba – rzucił wesoło Niziołek – ale i tak wolę to... – zwinął swe potężne łapska w pięści.

– Dość gadania, bierzcie kije, bo nie dostaniecie wieczerzy – zakomenderowałem.

Zaczęliśmy naukę szermierki. Patrzyłem w rysunki, gdzie pokazano pojedynkujących się rycerzy poodziewanych w starodawne rzymskie stroje, a Sęp z Niziołem wedle moich wskazówek markowali ataki i zasłony, pchnięcia, cięcia, obejścia i uniki. Najpierw jednym rapierem, potem dwoma naraz, następnie rapierem i lewakiem.

– Au – jęknął Sęp, łapiąc się w pewnym momencie za stłuczone palce, kije nie miały bowiem jelców. – Walisz jak kmieć cepem!

– Przepraszam. Ja niechący... – sumitował się Nizioł z markotną miną.

– Jutro przyniesiesz słomę, obwiążemy nią kije – powiedziałem.

– Poza tym on ma łapy jak stąd do Lwowa – poskarżył się Sęp. – Jak mam go dosięgnąć? Musiałbym mieć rapier dłuższy od kopii!

– Nic na to nie poradzę – Nizioł z żalną miną wpatrzył się w swoje małe łapska.

– Tu jest na to rada! – puknąłem palcem w leżący na kolanach otwarty traktat. – Uwaga, uczynimy tak...

– Mam dość – rzekł Sęp, oblizując potłuczone kłykcie.

– Już ostatnie ćwiczenie – pocieszyłem go. – Wytrwaj jeszcze odrobinę. Postawa!

To była najtrudniejsza sprawa, ponieważ żaden z nas nie znał tego, co przetłumaczyliśmy jako wypad. Z grubsza polegał na przygięciu się w niskiej postawie, odbiciu z lewej nogi i nagłym skoku naprzód z wyciągniętą ręką dzierzącą rapier.

– Udało się! – zawołał radośnie Sęp, gdy dzięki temu manewrowi udało mu się nareszcie przedrzeć przez zasłonę długich ramion Niziołka i ugodzić go w pierś.

Tak się rozochocił, że zapomniał o zmęczeniu i chciał ćwiczyć dalej, ale przerwał zabawę, bo trzeba było przywrócić komnatę do pierwotnego stanu.

– Wkrótce pójdziemy po sprawunki – obiecałem.

– Dokąd? – zapytał Sęp.

– Obaczysz – odparłem tajemniczo.

Chciałem przystąpić do wykonania planu następnego dnia, ale przekonałem się, że jestem jeszcze za słaby, by szwendać się po mieście. Za to włączyłem się do ćwiczeń, na wszelki wypadek owinąwszy sobie głowę grubym ręcznikiem udrapowanym na kształt turbanu. Zresztą nie miałem innego wyjścia, bo o ile Sęp nabrał ochoty do zgłębiania tajników szermierki, o tyle Nizioł z czasem tracił zapał, gdyż zawilóści fechtunku nazbyt go męczyły.

– To na nic – mruknął w końcu zniechęcony. – Dajcie mi dobry kord albo solidny tasak, a poradzę sobie z tuzinem mizeraków wymachujących rożenkami wedle wszelkich prawideł sztuki, a jeśli trzynasty mnie przyszpili, to trudno. Jak to idzie: Nic Herkules coś tam...

– *Nec Hercules contra plures* [10] – podpowiedziałem.

– Właśnie.

I odszedł do swojej roboty. Sęp za to nie marudził, może dlatego że słomiane warkocze dobrze chroniły dłonie i obeszło się bez żadnej kontuzji, choć stale zwiększaliśmy tempo i nasze okładanie się coraz bardziej przypominało prawdziwą walkę, a nie ordynarną młóckę. Poza tym, u licha, obaj mieliśmy już wcześniej do czynienia z bronią i maestro Agrippa nie był naszym pierwszym preceptorem.

– Dość – przerwałem popisy, bo nie chciałem całkiem stracić sił. – Jutro z rana wyruszamy, chyba że masz coś ciekawszego do roboty.

Pozbierałem swoje rzeczy i przeniosłem się do izdebki na poddaszu, nie chcąc dłużej nadużywać dobroci ciotki i narażać ją na niewygody.

– Powiesz mi teraz, dokąd idziemy? – spytał Sęp, gdyśmy, zakutani po uszy, wczesnym rankiem opuszczali gospodę.

– Na celestat. O tej porze zastaniemy tam Michała.

– Zięcia twojej ciotki?

– Yhm. Mam dość pistoletów, które się zacinają i tracą kolby, oraz mieczy, co łamią się jak zapałki. Zaczynamy się zbroić.

– U Michała?

– U niego też. Jest rusznikarzem.

Omijając Rynek, bocznymi ulicami doszliśmy do Tandety, po czym obok klasztoru Dominikanek na Gródku przez bramę Mikołajską wyszliśmy za miasto. Na Kotłowym *alias* Kijowie od czasów króla Starego stał dom cechu rzeźników oraz budy i ogrodu dla bydła, które tu spędzano, a także topnia łożu, czyli smalcuz. Tu ubijano zwierzęta, a ich połciami handlowano potem na Wendecie. Nad odpadkami unosił się niemożliwy fetor, choć akurat nie cuchnęła straszliwie zapaskudzona na tym odcinku fosa, szczęśliwie wciąż zamarznięta, za to nic nie było w stanie stłumić harmideru podnoszonego przez włóczące się psy i ptactwo grzebiące w ochłapach.

– Ale smród! – skrzywił się Sęp.

– Za to później na Wendecie nie urywa nosa – rzekłem z niejaką dumą, bo choć nos miałem znacznie okazalszy od Sępa, to nie tak wydelikacony, a ponadto sam byłem świadkiem, jak cudzoziemcy nie mogli się nachwalić, że w naszym mieście nie bije się zwierzyny, tylko sprzedaje już sprawioną.

Mimo to przyspieszyłem kroku i wnet znaleźliśmy się na błoniu opodal kościoła Świętego Mikołaja i wielkich stawów, gdzie znajdował się celestat. Tutaj rzemieślnicy odbywali ćwiczenia z bronią i przygotowywali się do turniejów o miano króla kurkowego. Ponieważ jednak nikt o zdrowych zmysłach nie zrywał się o tak nieludzko wczesnej porze, by sobie trochę postrzelać, więc poszliśmy za pierwszym odgłosem wystrzału i od razu trafiliśmy na Michała.

– Wykryłeś go? – rzucił bez żadnych wstępów, bo nigdy nie bawił się w ozdobniki.

– Kogo?

– Zabójcę Doroty.

– Jeszcze nie, ale znajdę go – odparłem.

– Uczyń to, a wtedy ja odstrzelę mu łeb – z wściekłością sypnął w gardziel muszkietu więcej prochu, niż należało.

– Rozerwiesz lufę.

– Wytrzyma, sam ją robiłem – warknął i wbił forkiet w ziemię. – Witam, panie Szarzyński – dodał, pochylając się i celując.

– Znacie się? – spytałem.

– Poznaliśmy się na pogrzebie Doroty – odparł Sęp, bo Michał wciąż był zajęty celowaniem.

– Nie wiń mnie za jego maniery – rzekłem do Sępa. – To nie moja krew, choć, niestety, należy do rodziny. A wiesz, jak to jest: rodziny się nie wybiera.

– Wypierasz się mnie, łobuzie? – burknął Michał, nie przerywając mierzenia.

– A kto by chciał się przyznawać do tak lichego strzelca?

– To patrz!

Pociągnął za cyngiel. I nic.

– To może pomóc – Sęp skrzesał ognia i przypalił mu lont.

Mój nieokrzesany szwagier burknął coś pod nosem, znów zabierając się do celowania. Nareszcie dał ognia. Czubek odległego o sto kroków świerka zakołysał się i stracił kilka szyszek oraz połowę igliwia i całą śnieżną czapkę.

– Nieźle – powiedziałem. – O ile w to celowałeś.

– Potrafisz lepiej?

Nabiłem broń, podpaliłem lont, a gdy dobrze się rozjarzył, pewnym, lecz łagodnym pociągnięciem spustu odpaliłem muszkiet. Nawet nie musiałem sprawdzać – są ludzie, którzy rodzą się do broni, jak powiada mój opiekun, i ja jestem jednym z nich. Ale jednak rzuciłem okiem na czubek świerka, którego, zgodnie z oczekiwaniami, nie było.

– Niech cię licho! – zawołał Michał. – Jeśli twój przyjaciel też tak umie, podczas tegorocznego strzelania o królestwo lepiej ostanę w domu.

– Nie mam zamiaru strzelać – zastrzegł się Sęp.

– Ani ja – uspokoilem Michała. – Zresztą i tak przecież będziecie strzelać z kuszy.

– Toteż wcale dziś nie ćwiczę, jeno próbuję strzelbę. Mam na nią kupca.

Dał się udobruchać bez trudu, bo w gruncie rzeczy był poczciwcem. Miał dwadzieścia pięć lat i szykował się właśnie do złożenia egzaminu mistrzowskiego. Był podporą Szkoły Strzeleckiej, zwanej też bractwem kurkowym. Zawziął się, by zostać królem kurkowym, i rzeczywiście niedużo mu zabrakło – w zeszłym roku był wtóry, zyskując tytuł marszałka dworu, ale to go nie zadowoliło. Michał zawsze chciał być najlepszy we wszystkim, do czego się zabierał. Gdyby nie był uparty jak osioł, posłuchał mnie i sprawił sobie okulary, już mógłby zostać tryumfator, ale nic straconego – zamówiłem odpowiednie szkła i miałem zamiar podarować mu je we właściwym czasie. Do czerwca, gdy odbywało się strzelanie do kura, było sporo czasu.

- No to mówcie, o co chodzi.
- Potrzebujemy broni.
- Trzeba było od razu tak gadać. Idziemy.

Zatem wróciliśmy do miasta, tym razem przez bramę Nową, i rażno pomaszerowaliśmy Grodzką, gdzie przy końcu, tuż obok cekhauzu królewskiego pobudowanego za króla Starego, Michał miał dom i warsztat. Cech rusznikarzy był dość młodym cechem, dopiero niedawno zaczął wypierać stary cech kuszników i łuczników, powoli odchodzących w przeszłość. Zresztą Michał i dziś potrafił zrobić znakomitą kuszę i strzelać z niej tylko odrobinę gorzej ode mnie.

Zanim poszliśmy na zadź, do warsztatu, zaciągnął nas do małego mieszkanka na pięterku na śniadanie. Jadwiżka, zaskoczona pojawieniem się gości, potrafiła mimo to nie tylko uwinąć się z podaniem smacznego jadła, ale i ochędożyć raz-dwa. Przyjemnie było na nią popatrzeć, taką skrzętną, dobrą żonę i gospodynię, a przy tym niezwykle urodziwą osiemnastoletnią niewiastę. Dopiero teraz uderzyło mnie jej niezwykle podobieństwo do Doroty – gdyby nie chowała bujnych włosów pod czepcem, jak przystało na mężatkę, mogłaby uchodzić za jej bliźniaczkę. To wtedy przyszedł mi do głowy pewien concept...

– Macierz mi rzekła, żeś obiecał znaleźć mordercę Doroty – powiedziała.

– Obiecałem i znajdę. Dajcie mi tylko trochę czasu – odparłem.

– Powiadają na mieście, że to sprawka magistra Wolskiego – wtrącił Michał, spoglądając na mnie spod oka. – O ile się nie mylę, to twój druh.

– Wolskiego osadzono za sprawą Małego Borgii. To zemsta Czczotki. Konkurował z Wolskim o względy Doroty. Tedy wina magistra wcale nie jest pewna.

– Fiu, fiu – gwizdnął Michał przez zęby. – Burmistrz i magister! Wysoko mierzyła nasza Dorota. Nie świętej pamięci, niestety...

– To moja siostra! – oczy Hedwiżki ciskały błyskawice. – Wiem dobrze, jaka była, i nieraz się z tego powodu wadziłyśmy. Ale nie zasłużyła na to, co ją spotkało. Dowiedz się, Kacprze, kto ją zabił, a ja już się postaram, żeby nie uniknął kary, kimkolwiek by był!

– Będę o tym pamiętał – rzekłem poważnie.

– Chodźmy do indermachu – Michał podniósł się od stołu.

Warsztat zajmował nie tylko oficynę, ale i całe przyziemie niezbyt okazałego domu, niezasługującego na miano kamienicy. Od frontu znajdował się ciasny sklep, prowadzony przez Jadwigę, Michał zaś urzędował na tyłach budynku. Miał tam prawdziwe królestwo – połączenie warsztatu ślusarskiego i stolarskiego, a na podwórzu małą kuźnię, obsługiwaną przez dwóch robieńców, uwijających się właśnie przy palenisku i miechu. Rusznikarzy często nazywano ślusarzami, bo też należeli do wspólnego cechu pospołu z ostrożnikami i zegarmistrzami. Michał był każdym po trochu. Sam potrafił nawet ucierać proch, zarówno gruby, do lufy pod przybitkę, jak i miałki na podsypkę. Nie znałem nikogo, kto o broni palnej wiedziałby więcej od niego.

– Masz uczniów? – trochę się zdziwiłem. – Wolno ci?

– To najmici, wyrobnicy, bo sam nie dałbym ze wszystkim rady. Ale już niedługo będę mógł zatrudniać uczniów na trzy lata. Majstersztyk prawie gotów.

– To on? – spytał Sęp, z ciekawością spoglądając na dwie strzelby leżące na masywnym stole założonym rozmaitymi narzędziami.

– Tak – odparł Michał, podchodząc do stołu i pieczołtliwie głaszcząc lufę jednej z flint.

– Nie wystarczyłyby zwykły muszkiet? – spytałem.

– Cechy w drugich miastach, choćby na Kazimierzu lub Kleparzu, zadowolają się w samej rzeczy muszkietem z prochem i kulami, ale nasz żąda arkebuza – pożałił się Michał.

– A jaka to różnica? – zainteresował się Sęp.

Michał popatrzył na niego z niedowierzaniem, jak profesor na scholara-analfabetę.

– Mikołaj jest poetą – objaśniłem.

– A! – Michał pokiwał głową ze zrozumieniem, biorąc do ręki jedną z długich strzelb stojących pod ścianą. – To jest muszkiet. A to arkebuz – pokazał krótszą broń leżącą na stole. Widzisz waszmość różnicę?

– Mają inne zamki.

– Ot co! Trefne rzeczenie! Muszkiet ma prosty zamek lontowy. Lont jest u kurka. Gdy ciągniemy za cyngiel, o tak – zademonstrował – kurek, który stanowi z nim jedność, przybliża zapalony lont do ładunku u wlotu lufy i... bum! Proste, prawda? Dlatego wojsko, osobliwie piechota, przedkłada muszkiety nad arkebuzy, które są zawodne.

– Czemu?

– Widzisz pan to? – pokazał spore metalowe koło, które między kolbą a łożem strzelby leżącej na stole powodowało wybrzuszenie. – To odraszka. W środku jest walec ze sprężyną, o tam masz je pan luzem, u kraja stołu – wziął arkebuz do ręki i za pomocą specjalnego klucza, który nosił na rzemieniu na szyi, nakręcił wewnętrzny mechanizm. – Teraz podsypuję prochu na panewce, odciągam kurek, który na końcu ma umocowany kęsiek pirytu, i bloкуюję zębate koło. Kiedy ciągnę za cyngiel, zwolnione koło pod wpływem sprężyny szybko się obraca, trąc o piryt i krzesząc iskry, które zapalają proch na panewce.

Michał odłożył broń, głaszcząc ją pieczołtliwie.

– Arkebuz jest lżejszy i bardziej celny od muszkietu. Arkebuzów o krótkich lufach, zwanych bandoletami, chętnie używają jezdni. Myśliwi zaś takie strzelby, często pięknie rytowane i inkrustowane, zwą fuzjami lub flintami, a z gwintowaną lufą: sztuciami. To jest sztuciec – pokazał z dumą strzelbę, którą szykował jako majstersztyk. – Im więcej gwintów ma lufa, tym celniej bije. A teraz darujcie, miło się gadało, lecz pora wracać do pracy.

I spokojnie, jakby nas nie było, zajął się czyszczeniem muszkietu, który wypróbowywał na celestacie. Chrząknąłem.

– Potrzebujemy broni. Płacę z góry, nie jak ostatnim razem – dodałem zachęcająco.

Wciąż mi nie dowierzał, choć wzmianka o pieniądzach jakby go zmiękczyła.

– Skoroś taki bogaty, to czemu nie obsprawisz się u Topschelnisa na Rynku?

– Bo ty jesteś lepszy, a mnie potrzeba czegoś ekstraordynaryjnego. Skoro mam być inwestygatorem i nadstawiać łba, muszę mieć niezawodną broń.

Opowiedziałem mu pokrótce, jakie kłopoty mieliśmy z bronią podczas sprawy z Bartoszem z Lusiny. To mu pochlebilo i nareszcie odtajał jak śnieg na wiosnę, która oby nadeszła jak najrychlej.

– Słyszałem o twoich wyczynach, już całe miasto o tym gada – powiedział i zatoczył ręką koło. – Wybierajcie!

Poszliśmy więc do kąta, gdzie w dużym wyborze leżały na stołach i wisały na ścianach same pistolety.

– O, ten jest w sam raz – zawołał z uznaniem Sęp, biorąc do ręki pistolet o wyjątkowo krótkiej lufie i mocno wygiętej rękojeści zakończonej okazałą kulą. – Takim to i ogłuszyć można bez obawy, że się złamie.

– Błąd – uśmiechnął się Michał. – To niemiecki pistolet zwany *puffer*. Kula na końcu kolby wygląda solidnie, ale w gruncie rzeczy jest słabo do niej przytwierdzona i jeno po to, by łatwiej wydobyć broń z olstrów. Poza tym ma zamek kołowy i wszystkie wady jemu właściwe. Tu macie podobną rzecz, tyle że włoską, o głowicy na kształt jaja lub gruszki.

– A ten? – rzekłem, wskazując pistolet pozbawiony charakterystycznego koła w łożu, za to mający bardzo krótką lufę i kolbę niemal prostą, z głowicą w kształcie rybiego ogona.

– Masz oko! – pochwalił mnie szwagier, dosiadając ulubionego konika. – To *snapfans*, u nas dość rzadki i zwany pistoletem niderlandzkim. Teraz zaś pokażę wam coś jeszcze lepszego – rzekł tajemniczo i spod stołu wydobył inkrustowaną srebrem kasetę, którą otworzył z namaszczeniem, po czym odsunął się i wskazał nam dłonią, mówiąc po francusku, którego to języka wyuczył się dość biegle podczas swych peregrynacji: – *Voilà!*

Spodziewaliśmy się Bóg wie czego, a tymczasem przed nami leżał zwykły pistolet, na oko nie różniący się od poprzednich. Michał musiał dostrzec nasze rozczarowanie, bo uśmiechnął się pod nosem i rzekł:

– Tajemnica tkwi w zamku.

Wziąłem ten ósmy cud świata do ręki i obejrzałem uważnie. W rzeczy samej – zamek nie miał koła i wyglądał na wyjątkowo prosty.

– Zagnało mnie kiedyś do Normandii. To we Francji – objaśnił nas Michał, który nim wrócił do Krakowa i związał się z naszą rodziną, przez ponad dziesięć lat bawił za granicą, zgłębiając sekrety swej profesji u mistrzów italskich, galijskich i niemieckich, przemierzywszy chyba z pół Europy. – Bom słyszał, że w małym mieście Lisieux mieszka dobry francuski malarz i jeszcze lepszy rusznikarz, Marin le Bourgeois.

Spodobałem mu się i przyjął mnie do terminu. Marin stworzył bardzo sprawny rodzaj pistoletu skałkowego, którego kurek odciąga się w dwóch skokach dzięki uproszczeniu mechanizmu spustowego. Obaczycie, już niedługo wszyscy będą chcieli tylko takie pistolety, bo są proste i niezawodne.

– Właśnie tego mi trzeba – rzekłem. – Biorę go.

– To moje ukochane dziecko – ciągnął Michał, jakby mnie nie słyszał. – Spójrzcie na lufę, sam ją wyrobiłem ze skuwanego damastu i nagwintowałem od środka jak sztuciec, przez co bije celnie na dobre dwadzieścia kroków.

Zaraz potem odebrał nam broń i zapakował z powrotem w delikatną irchę.

– Nie słyszałeś? Biorę go – powtórzyłem. – Zrobisz sobie nowy.

– Mam jeszcze pistolety z dwiema lufami i dwoma zamkami kołowymi...

– Chcę tego francuza – uparłem się.

Wyłożyłem na stół po kolei dziesięć dukatów. Przełknął głośno ślinę, patrząc na stosik złota łakomie, ale pokręcił głową przecząco.

– Nie jest na sprzedaż.

Sięgnąłem do mieszka, wysupłałem następną dziesiątkę dukatów i z myślą o Sępie dołożyłem jeszcze dwakroć.

– Ktoś mi mówił niedawno, że mistrz musi się wkupić do cechu, a nadto opłacić towarzyszom traktament, a to kosztuje niemało. Czyżbym się przesłyszał...? Naprawdę mam pieniądze. Profesja inwestygatora okazała się wcale popłatna.

– Widzę – mruknął mój szwagier i sięgnął po mińce, ale zamarł w połowie drogi z wyciągniętą dłonią... – Nie mogę... To za dużo.

– W takim razie dorzuć mi jeszcze hiszpana, tego tam... mikeleta, i coś dla Sępa. Sępie, co byś chciał?

– Mówcie, co chcecie, a mnie najbardziej podobają się *puffery*. Będą się dobrze prezentować w olstrach u kulbaki mojego dzianeta.

Wyszliśmy z warsztatu objuczeni bronią, jakbyśmy wybierali się na wojnę z Moskwą, ale kontentni z zakupu i wylewnie żegnani przez równie zadowolonego Michała. Nie ma to jak szczęśliwa rodzina. A powiadają mądrale, że pieniądze szczęścia nie dają! Może, sporo spraw jednak ułatwiają.

– Teraz do domu, odnieść ten arsenał, a potem na Tandetę do Andrzeja – zarządziłem, gdyśmy wyszli na ulicę.

– Dalej się zbroimy?

– Pewnie – odparłem. – Przecie znów złamałem kord, a nie będę kuślił losu i kłuł w oczy szlachetnie urodzonych, paradując z nieprzydatną do niczego turecką czy inną karabelą. A twój miecz też nadaje się raczej na ścianę w świetlicy, zwłaszcza gdy będziesz w gronie własnych wnuków wspominał wojenne przewagi dziadunia. Potrzebujemy zacnego żelaza do walki i ćwiczeń. Obsprawimy się w nie i basta.

– Jak będziesz dalej tak szastał pieniędzmi, hnet zostaniesz bez grosza – marudził Sęp.

– Ale póki je mam, nie zamierzam się trapić ich brakiem.

Przed naszą gospodą zebrał się mały tłumek, żywo o czymś rozprawiający. Nizioł, zajęty rozpędzaniem zgromadzenia, dostrzegł nas kątem oka i pociągnął na stronę.

– Jesteście... Niezgorsza awanturka was ominęła.

– Co się stało?

– Mieliliśmy odwiedziny drabów miejskich i celników pospołu. Powiadam wam, wszystko w domu przewrócone na nice, od piwnic po strych. Byłbym ich wyrzucił na zbity pysk, ale twój znajomek, Matys Szarski, szepnął, że to Czeczotka ich nasłał i tylko szukają pretekstu, by od ręki zamknąć gospodę, tom się pomiarkował, choć ręce mi latały... Najwięcej czasu zmitrężyli w twojej izbie, Kacper, i w piwnicach.

– Znaleźli coś?

– Zabrali parę flaszek wina. Powiedzieli, że z przemytu, choć głowę bym dał, że sami je podrzucili, psubraty, bo my tak podłego trunku w piwnicach nie trzymamy, i że nie mamy zezwolenia na wyszynk wina, co i prawda. Na nic zdało się tłumaczenie, że dla siebie wolno chować. Sodoma i gomora! Twoja ciotka zległa w łożu i spazmuje, dziewczki chodzą jak strute...

Zamyśliłem się ponuro. Wyglądało na to, że Czeczotka nie straszył po próżnicy. Zagiął na mnie parol i nie popuści, dopóki nie poniecham sprawy Wolskiego albo...

– Darujcie, szlachetni panowie – odezwał się nieśmiało jakiś kmiotek, podchodząc do nas. – Czy któryś z waszych wielmożności nazywa się Kacper Ryx?

– To jest sławetny Wojciech Grzyb, bednarz spod Skawiny – objaśnił Nizioł. – Koniecznie chciał cię widzieć. Sterczy tu od dobrej godziny, ale nie chciał rzec, po co przybył.

Poprosiłem Nizioła, żeby odniósł do domu nasze nabytki, a wracając, przyniósł mi z izby turecką szablicę, jeśli jej draby nie ukradli, choć nie wierzyłem, by się na to odważyli, w każdym razie w przytomności Mateusza.

– Nie wejdiesz na górę? – spytał. – Uspokoilibyś ciotkę.

– Nie. Idziemy jeszcze do Andrzeja. Powiedz ciotce, żeby się nie trapiła. Jutro osobiście porozmawiam z Czeczotką i rękę, że nas poniecha.

– Potrzebna ci pomoc? – w oku błysnął mu płomyk.

– Niewykluczone. Pogadamy jutro.

– No to powiadaj, czego ode mnie chcesz, pocziwcze – zwróciłem się do rękodzielnika, gdyśmy czekali na powrót Niziołka.

– Twoje imię, panie, podali mi dobrzy ludzie na Rynku, gdy im się zwierzył ze swej turbacji – rzekł ów, ściągając z uszanowaniem baranią czapkę z głowy.

– No, no, stajesz się sławny – bąknął Sęp pod nosem, alem go zgromił wzrokiem i zamilkł.

– Jakaż to turbacja? – ośmieliłem bednarza.

– Córka mi zginęła, łaskawy panie. Opuściła dom, będzie już z pół roku nazad, i jak kamień w wodę. Cośmy się z żoną jej naszukali, boć to jedynaczka, oczko w głowie, i nic. Myślelim, że zbójcy ją napadli albo Cyganie, co z taborem przeciągali, porwali. Aż tu znajomek jeden, co towary do Krakowa wozi, powiada, że widział ją

zaraz po Godach w Krakowie, na Rynku. Jak wielka pani wyglądała, aleć ją poznał z pewnością, bo to sąsiad nasz i zna dziewczkę od małego. Ona wszak wyparła się wszelkiej znajomości i jeła przyzywać drabantów, więc jej poniechał... – umilkł i spojrział na mnie zrozpaczonym wzrokiem.

– I chcesz, bym ją odnalazł? – pomogłem mu.

– Tak. Schodziłem od samiuśkiego rana calutkie miasto, alem nigdzie jej nie uwidział...

– Nie dziwota – wtrąciłem. – Kraków liczy ponoć dwadzieścia tysięcy ludzi, a z przedmieściami będzie ze trzydzieści. Łacniej znaleźć igłę w stogu siana niżli człeka tutaj.

– Już to wiem – potwierdził Grzyb. – Toć muszę wracać do domu, do roboty. I dlatego przybył do waszej miłości. Skoro wasza wielmożność potrafisz odnaleźć pieczęć i tego, co ją skradł, odszukanie dziewczki nie sprawi ci trudności.

– Wiara czyni cuda – wtrącił Sęp, patrząc na mnie z uśmiechem.

– Mam pieniądze... – bednarz wyciągnął zza kożucha chudą sakiewkę.

– Jak ma na imię twoja córka? – spytałem, ignorując wyciągniętą rękę.

– Anna.

– Jak wygląda?

Opisał mi ją ze szczegółami.

– Dobrze – odparłem. – Zatrzymaj swoje pieniądze. Nie mam jeszcze serwitориату i nie wolno mi brać nagrody. Ale znajdę twoją córkę. Do tygodnia dostaniesz od niej wieści.

Gdy odszedł, rozpływając się w podziękowaniach i bijąc pokłony, Sęp sarknął, spoglądając na mnie kpiąco:

– Jasnowidz się z ciebie zrobił, skoro podejmujesz się odnaleźć w parę dni jakąś dziewczkę, jakbyś wiedział, gdzie jej szukać.

– Bo chyba wiem – odparłem.

– Chciałbym być przy tym, jak ją znajdziesz – parsknął z jawnym niedowiarstwem.

– Będziesz.

Mimo to miał dziwną minę przez całą drogę, gdyśmy maszerowali na Wendetę do Andrzeja z owiniętą w skórę turecką karabelą.

– No, no, no – Jędrak głośno wciągnął powietrze na widok królewskiego daru. – Słyszałem, żeś został hojnie nagrodzony za pochwycenie tego łotra, jakże mu było, Bartosza z Lusiny, bom asystowałem przy tym, jak go obwieszali, a ludziska o niczym innym nie gadali, alem nie przypuszczałem, że to aż taki dar... – gwizdnął z podziwu, wyjmując broń z kosztownej pochwy i poddając oględzinom. – Tu nie ma żadnego *dubium*. To szabla turecka, *kilidż*, jak oni powiadają – wziął ją do ręki. – Zaraz, co my tu mamy... Turkusy i nefryt, ale także rubiny, szmaragdy, o!, są nawet diamenty. Spójrzcie! Zakończenie rękojeści przypomina głowę orła. Słyszałem o tym, alem

jeszcze takiej głowicy nie widział. Albo te jelce... Wygięte w dół, wyrobione na kształt smoczych łbów. Wiecie czemu? Aby uniknąć znienawidzonego przez pohańców kształtu krzyża – z nabożeństwem wsadził broń z powrotem do pochwy. – Piękna rzecz, lecz nie do walki. Godna króla albo magnata. – Po chwili zapytał: – Po coś ją przyniósł? Żeby się pochwalić, abym ją wycenił, czy może znalazł na nią kupca? Ciężko będzie ze względu na cenę.

– Nie chcę się jej pozbyć – odparłem. – Przynajmniej na razie. Zdążę ją sprzedać, gdy konieczność mnie przycisnie. Chciałem się tylko upewnić, co mam.

– Skoro tak – otworzył zamkniętą na solidną kłódkę skrzynkę – to może chcesz do kompletu jeszcze i ten krzywy kindżał, po turecku *handżar*, oraz jatagan. Wziąłem je w zastaw, lecz właściciel się nie zgłosił, pewnie zginął na wojnie.

Po kolei wyjmował kolejne sztuki kosztownej, bogato zdobionej broni, bez wątpienia orientalnej proveniencji.

– Dzięki, lecz przybyliśmy po solidne żelaza do walki.

– Kord już ci nie wystarcza?

– Złamałem go.

– Ach, tak... – uśmiechnął się. – Skoro masz takie zużycie, w takim razie w samej rzeczy potrzeba ci solidniejszej broni. Może takiej? – schował na powrót kindżał i jatagan na miejsce i sięgnął po przepiękną szablę.

– Myślałem raczej o innej broni... – odparłem – na przykład... o rapierach...

– A! – zawołał Andrzej. – Zwartowałeś traktat, który ci dałem!

– Nie tylko zwartowaliśmy i przeczcili, ale już nawet z Sępem przećwiczyliśmy zalecenia mistrza Agrippy.

– Musicie to ze mną powtórzyć – w oku mu zabłysło. – Taka była umowa!

– Spokojna głowa – uspokoilem go. – Najpierw musimy mieć czym ćwiczyć. I po to właśnie przyszliśmy do ciebie.

– Tego szukacie? – pokazał nam kilka sztuk broni zawieszonych na ścianie. – To są przeznaczone zarówno do cięć, jak i do kłucia rapierskie hiszpańskie, z Toledo – rzekł, zdejmując trzy żelaza i kładąc przed nami na stole. – Ten tu jest ponoć z pracowni wielkiego Sahaguna, przynajmniej tak utrzymywał wojak cudzoziemskiego autoramentu, od którego go odkupiłem, ale wedle mego mniemania to raczej dzieło Ayali, co poznać po rękojeści podobnej do mieczowej.

Faktycznie, sama rękojeść niewiele się od mieczowej różniła, tyle że jelec był esowato wygięty, natomiast klinga owszem – miała przekrój rombowny, była o wiele węższa, u nasady szeroka mniej więcej na cal i przy rękojeści przytępiona na długości może z pół stopy, dlatego Jędrzek mógł ją bezkarnie trzymać w tym miejscu.

– To właśnie nazywa się *ricasso* – oświecił nas mój brat, widząc, na co patrzymy. – Jest konieczne, bo przy pchnięciu często przekłada się drugi albo i trzeci palec poza jelec, o tak. Na pewno o tym czytaliście.

Jakoś sobie tego nie przypominałem, ale pokiwałem głową, unikając wzroku Sępa. Rapier tego Hiszpana, Ayali, podobał mi się, bo miał kabłak od jelca aż po

głowicę rękojeści, co już samo w sobie dobrze chroniło dłoni, nie mówiąc o tym drugim, z koszem, ale mnie znacznie bardziej przypadł do gustu rapier, który wciąż wisiał na ścianie. Miał bowiem jeszcze lepsze zabezpieczenie w postaci gardy w formie dzwonu, czy też jakby półkulistej czaszy sięgającej od prostego jelca aż po koniec tego tam, rikassa. Zdjąłem go i obejrzałem z uwagą.

– Wezmę go. A ty, Sępie, który wybierasz?

Sęp po dłuższym wahaniu wybrał Ayalę, tego z koszowatym kabłąkiem. Oba rapiery były równie ładne, delikatnie cyzelowane i inkrustowane srebrem, ale ze smakiem, bez orientalnego przepychu. Oba miały też prawie tę samą długość – około czterech stóp.

– Klingi są oryginalne. Kupiłem, bo nadarzyła się okazja, ale rękojeści mojej roboty, podpatrzone u postronnych bawiących w Krakowie – powiedział z dumą w głosie Jędrzej.

Poszperawszy w pracowni, przyniósł nam dwie pochwy na rapiery wraz z rapciami.

– Gardy i większość brzeszczotów robię sam, pochwy zaś mój znajomy, ale są tak samo dobre – zastrzegł.

Przypasaliśmy broń do boku i od razu poczuliśmy się pewniej. Podciągnąłem trochę rapcie Sępa, który był o pół głowy niższy ode mnie, by nie włóczył broni po ziemi. Pomachaliśmy żelazami trochę na próbę.

– O to nam szło – rzekłem zadowolony.

– Kiedy tak patrzyłem, jak machacie, mało sobie oczu nie wydzgawszy, pomyślałem, że można by na końcu nabić ochronne gałki... – rzekł Andrzej, a my z Sępem spojrzeliśmy po sobie z otwartymi gębami, tak nas uderzyła prostota tego pomysłu.

– Jenialne – oddałem bratu sprawiedliwość, co przyjął ze zrozumieniem. – Tak uczynimy.

Sięgnąłem do sakiewki i odliczyłem na stół tyle, co dla Michała, po dwakroć dziesięć sztuk złota za sztukę, by nie pokrzywdzić żadnego z nich, bo obu cenilem tak samo.

– To za dużo – pokręcił głową Andrzej. – Za tyle możecie dostać broń całkowicie wyrobioną w Toledo albo w italskim Mediolanie.

– Twoja nie gorsza, czemu zatem ma kosztować mniej? – rzekłem, ucinając targi. – Ale jeśli chcesz, możesz nam coś dołożyć...

– To weźcie jeszcze i to – wyszukał nam dwa lewaki, bliźniacze rapiery, z którymi stanowiły komplet, niezbędny do pojedynków. – Ale musicie ze mną przećwiczyć to, czegoście się wywiedzieli z Agrippy. Co powiecie na sobotnie popołudnie? Kończę wtedy wcześniej robotę.

– Zgoda.

– Nie brak talentów w waszej rodzinie – stwierdził Sęp jakby z lekką zazdrością w głosie, gdyśmy wracali do domu. – Widzi mi się, że zarówno Michał, jak Jędrzej

daleko zajdą w swoich profesjach.

– Nie zapominaj o mnie – przypomniałem mu, lecz zaraz dodałem poważnie: – To zasługa ojca Rocha. On zaszczepił pęd ku wiedzy mnie i Jędrkowi, a Michał się po prostu dopasował. Ciągnie swój do swego.

– Jakie masz plany na jutro? – spytał. – Mamy tyle broni, jakbyśmy szli na wojnę.

– Bez obawy – uspokoiłem go. – Jutro odpoczywamy. Z rana wyskoczę tylko na chwilę do kolegium, potem odszukamy córkę sławetnego Grzyba, a na koniec przekonamy mości pana Czeczotkę, by przestał nas nękać. I to już wszystko.

Westchnął ciężko.

– Nie jestem pewien, czy nie wolałbym wyruszyć na Moskali. Zmęczyłbym się mniej i miał więcej czasu na pisanie wierszy.

– To siedź w domu i pisz. Poradzę sobie – rzekłem urażony.

– Tylko spróbuj. Koniecznie muszę zobaczyć, jak poskramiasz waszego primasa, to będzie niezapomniany widok.

Byłem skłonny się z nim zgodzić, tylko że jak na razie miałem dość mgliste pojęcie, jak to przeprowadzić, takie więcej trzy czwarte ćwierci śladu konceptu niżli solidny plan. Ale pocieszałem się, że na czczo zawsze mi się gorzej myślało i obfita wieczerza powinna nieco zaradzić nie tylko na próżny żołądek. Dlatego przyspieszyłem kroku. Wtem Sęp pochwyił mnie za ramię.

– Patrz!

Do kąta, utworzonego przez mur kamienicy i podpierającą go skarpe, dwa koty zapędziły niezbyt wielkiego szczura i teraz, swoim zwyczajem, zabawiały się z nim. Próżno szczur miotał się tam i sam, zawsze któryś z kotów zdążył zagrozić mu drogę do swobody.

– Czyż my obaj nie jesteśmy jak te koty? – zauważył Sęp w zadumie. – Ty ten większy, ja ów mniejszy. A szczur to Bartosz z Lusiny. Zaraz go zadławia.

W rzeczy samej, po chwili szczur padł z przegryzioną gardzielą. Koty, widać nażarte, powarowały przy truchle chwilę, po czym odeszły w zapadający mrok.

– Koty to pożyteczne stworzenia – rzekłem do Sępa, ruszając w dalszą drogę. – I dobrze wykonały swoją robotę. A szczur to szkodnik, w którym nie znajduję nic pożytecznego. Szczury nie tylko zanieczyszczają wszystkie miejsca, w których przebywają, ale wyjadają ludziom zapasy. Mój preceptor zaś, ojciec Roch, który zgłębiał dzieje wielu chorób, utrzymuje, że to szczury, przybyłe do Italii na okrętach płynących z nad Morza Czarnego, rozwłóczyły po Europie przywleczony stamtąd mór, czarną śmierć, która takie spustoszenie uczyniła w połowie XIV stulecia, a i dziś zbiera obfite żniwo.

– Jakim sposobem to uczyniły? – spytał Sęp sceptycznie.

– Tego nie wiem, ale wedle ojca Rocha przyczyną niejednej choroby jest brud. Dlatego każe mi myć ręce, zanim przystąpię do cierpiącego, narzędzia chirurgiczne zawsze opala przed użyciem, a ściany w szpitalu każe bielić żrącym wapnem dwa razy

do roku. I coś na rzeczy musi być, skoro naszych pacjentów umiera dwakroć mniej niżli w drugich szpitalach.

Sęp maszerował chwilę bez słowa, popadłszy w jeden z tych swoich dziwnych nastrojów, po czym rzekł:

– A jednak nie mogę przestać myśleć o Bartoszu. Ostatecznie nikogo nie zabił...

– Ciekawym, czy litowałbyś się nad nim tak bardzo, gdyby to ciebie okradł? A poza tym imaginuj sobie, co mogłoby się stać, gdyby pieczęć królewska wpadła w niepowołane ręce. Czasem wystarczy sfałszować jeden dokument, a turbacji z tego na całe wieki, zwłaszcza teraz, gdy ponoć na sejmie Litwini wciąż stają okoniem w kwestii unii... Pomnij tylko sprawę z owym nadaniem Konrata księcia mazowieckiego, który Krzyżacy sfałszowali i taki posłali do zatwierdzenia Ojcu Świętemu. Toć ledwie pół wieku nazad nastął z nimi nareszcie pokój, a wcale nie dałbym sobie obciąć nawet paznokcia, czy w przyszłości jeszcze nie podniosą łbów... Uwierz mi, Bartosz to był szczur i próżno go żałować. Żył jak szczur i także skończył. Może kiedyś takich jak on złoczyńców, co nie mają krwi na rękach, nie będzie się karać na gardle, ale póki co prawo jest, jakie jest, i on to dobrze wiedział. A my, jak owe koty, uczyniliśmy tylko swoją powinność.

Sęp westchnął i zamruczał pod nosem:

– *Homo natus de muliere, brevi vivens tempore* [11]...

– Co tam mamroczesz?

– To było z Joba. A to już moje:

Z wstydem poczęty człowiek, urodzony

Z boleścią, krótko tu na świecie żywie,

I to odmiennie, nędznie, bojaźliwie,

Ginie, od słońca jak cień opuszczony [12].

– Amen – odparłem, bo co tu było do dodania.

I tak ostatecznie zakończyła się sprawa z Bartoszem z Lusiny, pierwsza, gdzie wystąpiłem w roli inwestygatora, profesji, którą sam wykoncypowałem i z którą wiązałem spore nadzieje na dal.

ROZDZIAŁ 6 | REWIZYTA

– Co za nieoczekiwany honor... – rzekł Twardowski, wpuszczając nocnego gościa.

– Ujrzałem światło przez szparę i dlatego pozwoliłem sobie niepokoić waszmościa mimo późnej pory – sumitował się przybysz.

Twardowski wskazał mu dość twarde krzesło przy byle jakim stole, bo też kwatery do najgodniejszych nie należała, ale przy tym tłoku, który obecnie panował w całym Lublinie i na zamku, czarnoksiężnik i tak mógł uważać się za szczęściarza.

– Nie jesteś ciekaw, mistrzu, po co przybyłem, i to po nocy? – spytał gość, gdy gospodarz nie kwapił się do rozmowy i milczenie się przedłużało.

– Tuszę, iż mi to pan wyjawisz – odparł gospodarz z lekką drwiną. – W każdym razie miło mi widzieć w tych skromnych progach ulubieńca naszej królewskiej mości.

– Koloryzujesz pan...

– Nazbyt waść skromny. Ale nikomu przecie nie tajno, że mimo młodego wieku stoisz pan blisko osoby króla, który wysyła cię do izby poselskiej zawsze, gdy trzeba załatwić sprawy drażliwe, a tych, jak słyszałem, zaiste nie brak...

– To prawda – ożywił się gość. – Wiesz waść już zapewne, że nasz miłościwy pan, oburzony na Litwinów za ich *exodus*, iż swego pana na koszu zostawili, 5 marca wcielił do Korony Podlasie i Wołyń, a może wcale się na tym nie skończy...

– O niczym drugim nie mówi się na mieście i po gospodach.

– Ale nie wiesz, bo to rzecz najnowsza, choć jutro pewnie będzie o niej głośno, o pismach, które dziś na królewskie życzenie sporządziłem i już umyślny wiezie je do Radziwiłła Rudego. W pierwszym oznajmia mu król, iż postanowił „Ziemie Podlaską, która przed przeszłymi czasy zupełnym a całym prawem do Korony Polskiej zawsze należała, tejże Koronie Królestwa Polskiego przywrócić”, w drugim powiadamia o odebraniu Litwie Wołynia, ale najlepsze jest trzecie pismo. Otóż, uważaj pan, wzywa się w nim Rudego do natychmiastowego stawienia się w Lublinie

i złożenia przysięgi na wierność „królowi polskiemu oraz Koronie Polskiej”.
Pojmujesz pan? Pyszny Radziwiłł jako posiadacz rozległych dóbr na Podlasiu i
Wołyniu stał się obywatelem polskim! Jeśli nie złoży przysięgi, straci wszystkie
dobra! Chciałbym ujrzeć jego minę, gdy przeczyta te pisma... – zaśmiał się wesoło. –
Zwłaszcza że na Wołyn i Podlasie już pchnięto komorników z uniwersałami
nakazującymi tamtejszej szlachcie składanie przysięgi po grodach.

– Zaczekaj waszmość, gdzieś tu powinna być flaszka węgryzna... Warto to opić,
zwłaszcza iż ostatnio nieczęsto widywałem waszmościa w „Zadorze”...

– Byłem wielce zajęty, jak wszyscy sekretarze. Zostawmy jednak trunek na inszą
okazję, a teraz, jeśli łaska, przejdźmy do sprawy, która mnie tu przywiodła.

– Jak wola – Twardowski wzruszył ramionami. – Zamieniam się w słuch, mości
Zamojski.

Młody sekretarz królewski zabębnił palcami po stole.

– Musisz waszmość wiedzieć, że reprezentuję grupę ludzi bliskich królowi i
zatroskanych o to, co się ostatnimi czasy dzieje wokół osoby miłościwego pana... –
urwał, jakby czekając, że gospodarz przejmie inicjatywę.

Ale Twardowski bynajmniej się do tego nie kwapił. Czekał.

– Ergo – kontynuował po krótkiej przerwie Zamojski – powiem wprost.

– Tak będzie najlepiej – zgodził się z nim mag uprzejmie.

– Niepokoi nas, mistrzu, nadmierne zbliżenie Mniszchów, Jerzego i Mikołaja, do
osoby najjaśniejszego pana i wiemy, że waść mógłbyś sporo powiedzieć, co ostatnio
działo się za zawartymi dla postronnych drzwiami kownat zamkowych w Warszawie,
gdybyś tylko zechciał.

Znów przerwał i jał się wpatrywać w czarnoksiężnika z natężeniem.

– Być może... – rzekł mag ostrożnie. – Nie mówię tak, nie mówię nie. Zależy, o
co waszmości idzie.

– O wszystko, co tyczy Gizanki, owej wszetecznicy, która omotała króla.

– Skąd pewność, że mnie coś o tym wiadomo?

– Nie dworuj sobie waść ze mnie albo, co gorsza, nie miej za idiotę, co do dwóch
zrachować nie poradzi! – zirytował się sekretarz i wstał. – Mój panie, oto propozycja,
do przedłożenia której mnie zobligowano: pan spiszesz to, co ci wiadomo o
sekretnych poczynaniach Mniszchów, zwłaszcza tyczących Gizanki, my zaś
zatroszczymy się o bezpieczeństwo waszeczki i zapewnimy ci dotychczasową pozycję na
dworze.

– A jeśli odrzucę propozycję?

– Tedy – rzekł Zamojski twardo – i tak dojdziemy prawdy, ale pośród głów,
które potem pospadają, będzie i twoja. A jeśli znam Mniszchów, a trochę ich
poznałem, już teraz nie dałbym za nią funta kłaków.

Twardowski udał, że się zastanawia.

– W takim razie pozwolisz pan, że sobie to rozważę.

– Byle szybko, nie będziemy czekać w nieskończoność. Kłaniam.

Po odejściu nocnego gościa Twardowski rzucił się na łóżko, tak jak stał, i zatopił w rozmyślaniach. Teraz miał sprawę nie tylko z prześladowcą nasłanym przez Mniszchów, ale i Zamojskim, młodym, lecz ambitnym i coraz więcej znaczącym dworakiem, a także grupą wspierających go ludzi. Jeśli takowi byli, a mag nie był o tym do końca przekonany, acz było to wielce prawdopodobne. Na królewskim dworze nigdy nie brakowało koterii i frakcji walczących o wpływy.

Jednak dla niego nie miało to najmniejszego znaczenia. Bo nawet gdyby przyjął propozycję, to może pozbyłby się prześladowcy, w co wątpił, ale wpadłby z deszczu pod rynną i skompromitował się raz na zawsze. Zamojski i jego poplecznicy, wycisnąwszy go jak limona, odrzuciliby potem ze wzdardą, nie miał co do tego wątpliwości. A co gorsza, naraziłby się dotychczasowym protektorom, jak choćby podskarbiemu Krasińskiemu, którym jego wyznania mogły zwichnąć kariery i czego nigdy by nie wybaczyli. Tak czy owak – był skończony.

Nie wiadomo już, który to raz podczas ostatnich tygodni przeklął chwilę, gdy wdał się w konszachty z Mniszchami. Po co mu to było? Dla pieniędzy? Przecież miał ich dość. Dla kariery? Przecież zyskał sobie wielką sławę w całym kraju i został królewskim astrologiem. Co mógł więcej osiągnąć?

W gruncie rzeczy dobrze wiedział, dlaczego wdał się w tę awanturę. Bo wierzył w swoje umiejętności czarnoksięskie i naprawdę miał nadzieję, że uda mu się wywołać ducha królowej Barbary, a w przyszłości inne zjawy. Jakie wówczas otworzyłyby się możliwości przed całą ludzkością! A jaką on zyskałby sławę. Światową! A może nawet, kto wie, nieśmiertelność... Wciąż nie tracił przekonania, że sukces był na wyciągnięcie ręki, dopóki nie wmieszały się w to te franty, Mniszchowie...

Nie miał czasu do stracenia. Wstał, usiadł przy stole i zaczął pisać, przerywając co chwila i dumając ze zmarszczonym czołem. Gdyby mu się coś przytrafiło, Zamojski i jego klika zatroszczą się, by sprawcom nie uszło to bezkarnie. Trzeba puścić ich śladem jak gończe psy, ale tak chytrze i myśląc tropy, by udało się sprawy odwrócić, gdyby nie przyszło jednak do ostateczności. Nigdy nie zatrząskiwał za sobą drzwi i jak dotąd dobrze na tym wychodził.

Potem spakował się szybko, bo też niewiele miał statków, i po cichu wymknął się z zamku do stajen. Osiodłał wierzchowca. Strażnicy przy bramie trochę się zdziwili na jego widok o tej porze, ale ponieważ dobrze go znali i widywali w znakomitym towarzystwie, o nic nie pytali i wypuścili bez problemu. Owinął się ciasniej ciepłą delią podbitą futrem i ruszył w ciemną noc.

Kettler był trochę zniecierpliwiony. Tylko trochę, bo w razie potrzeby mógł czyhać na zdobycz jak pajak na muchę, niemal w nieskończoność. Lecz z wolna kończyły mu się środki. Sprytny manewr Twardowskiego zaskoczył albinosa, a raczej popsuł nieco szyki, gdyż nic nie było go w stanie zaskoczyć. Nie zirytował się nawet. Wręcz był rad, że sprawy się skomplikowały, ponieważ uważał się za artystę w swoim fachu i prosta robota go zwyczajnie nudziła.

Nie mógł ot, tak po prostu, wyłuskać maga z tłumu otaczającej go zawsze szlachty lub dworzan królewskich i zabić na ich oczach. Na uboczu też nie. Za zabójstwo w przytomności króla bezwzględnie karano na gardle i nie było od tego odwołania, choćby sprawcą był magnat. A w mieście stacjonowało wystarczająco wiele wojska, uzbrojonej po zęby szlachty nie licząc, by nawet Kettler, mimo całej swojej sprawności i przebiegłości, zdołał uniknąć pochwylenia. Zresztą nigdy nie ryzykował niepotrzebnie. Dlatego nadal żył i wciąż był najlepszy.

A jednak pozwolił wymknąć się śłudze Twardowskiego, Maćkowi. I zorientował się, że tamten uciekł, dopiero tydzień po fakcie. Zbyt późno, by ścigać zbiega. Po tym małym niepowodzeniu naprawił błąd i wynajął kilku włóczęgów, których cała gromada ściągnęła do Lublina, by coś uszczknąć z pańskich stołów, do obserwowania poczynań czarnoksiężnika. Opłacił także paru strażników zamkowych i miejskich, by natychmiast meldowali mu, gdyby Twardowski spróbował cichaczem opuścić Lublin. To także było przyczyną uszczuplenia jego sakiewki. Główną zaś – horrendalne ceny w zajazdach i kramach, gdyż zacni lublinianie wykorzystywali niepowtarzalną okazję, jaką stanowił dla nich przeciągający się sejm.

Czarodziej znów go jednak przechytrył, a raczej tych durniów, którzy mieli go pilnować. Cóż, w Polsce o dobrych fachmanów zawsze było trudno, a Kettler wątpił, by taki stan rzeczy odmienił się kiedykolwiek. O zniknięciu maga zabójca dowiedział się zatem dopiero dwa dni potem, i to nie od swoich, pożał się Boże, delatorów, ale pociągnawszy za język jednego z dworzan. Cztery kolejne dni zajęło mu ustalenie, w jakim kierunku udał się Twardowski. Oczywiście, zabójca najpierw sprawdził drogę na Kraków i, oczywiście, był to ruch chybiony. I, oczywiście, okazało się, że uciekinier wybrał najmniej oczekiwany trakt – północny. Ale i tak Kettler miał szczęście, które, jak wiadomo, sprzyja śmiałym, trafiwszy w nędznej gospodzie przy bocznym trakcie na szlachcica, który dobrze znał maga. Owego ranka pełny pęcherz zmusił go do wyjścia na zewnątrz i wówczas zoczył czarnoksiężnika poganiającego wierzchowca. Ów udał, że go nie poznaje, zaciął konia i pognał swoją drogą.

Podążał nią teraz także Kettler. Miał niemal tydzień spóźnienia, ale nie trapił się tym. Nawet jeśli Twardowski przebierał się do Wielkiego Księstwa, nawet gdyby tam się skrył w jakiejś mysiej dziurze i tak nie miał szans umknąć. Kettler był jak pies posokowiec. Raz zwęszywszy krew, już nie tracił tropu. A że znajdował się w swoim żywiole, dopisywał mu wyborny humor. Zaczął nawet pogwizdywać. Łowy rozpoczęły się na nowo.

Wstałem wcześniej, bo dzień zapowiadał się wyjątkowo pracowicie. Porwawszy z kuchni tylko pajdę chleba, którą zjadłem po drodze, podążyłem do Collegium Maius. Moja obecność ucieszyła Antosia i wielu kolegów, których miałem sporą gromadkę. Zaraz mnie obstąpili i jęli na wypródki przekrzykiwać się, domagając wyjaśnienia, kiedy poprowadzę ich na ratusz, by uwolnić Wolskiego. Jak było do przewidzenia, wieści o jego bezprawnym aresztowaniu nie dało się długo utrzymać w tajemnicy i

teraz na akademii wrzało jak w ulu. Scholarowie zawsze stanowili najbardziej niespokojny element w mieście i niewiele im było potrzeba do wzniecenia tumultu, tym bardziej teraz, gdy tak jawna niesprawiedliwość spotkała jednego z członków naszej uniwersyteckiej korporacji.

– Kiedy ruszamy?

– Na pohybel temu knurowi Czeczotce i jego poplecznikom!

– Na ratusz!

– Prowadź nas, Kacper!

I tym podobne. Cieszyło mnie, że miał wśród braci taki mir. Pewnie dlatego, że w przeciwieństwie do drugich nie obawiałem się Janka Grota i jego przybocznych, a trochę i dlatego, że nie chwając się, należałem do najlepszych studentów i chętnie pomagałem słabszym, nie tylko w nauce, bo tak nauczył mnie *pater* Roch.

– *Pax, pax!* – zawołałem, widząc kątem oka, że z galerii przygląda nam się z trwogą grupka profesorów, w oknie za szybą widać zatroskaną twarz rektora, a Grot z kompanami cicho jak duchy zachodzą mnie od tyłu. – Powiodę was, to pewne! Wiecie, że magister Wolski był mi druhem i nikomu bardziej nie zależy na jego uwolnieniu. Ale Czeczotka wzmocnił strażę na ratuszu i nie pójdzie nam łatwo. Dlatego pracuję nad planem zdobycia kabatów. Nie dziś, ale jutro lub pojutrze będę gotów i wtedy nic nas nie powstrzyma!

Rozległ się ogólny aplauz, bowiem aż świerbiły ich ręce do udziału w największej awanturze, jaka zapowiadała się od niesławnego wyjścia żaków z Krakowa przed dwudziestu laty. Ale gdy okrzyki nieco przycichły, rozległ się donośny głos Janka Grota:

– Milczeć, wy stado baranów! Tumultu nie będzie ani dziś, ani jutro, ani pojutrze, tylko wówczas, gdy ja tak zarządzę! *Ergo* zabierać się na wykłady, ale rusz! Jak nadejdzie czas, ja wam o tym powiem i ja was poprowadzę! Dajmy wždy czas jego magnificencji, który wszczął w tej sprawie rokowania, i nie psowajmy mu szyków pochopnymi krokami. Jasne?!

Grot i jego akolici pojawili się jak spod ziemi i stali teraz na schodach, górując nad tłumem zgromadzonym na dziedzińcu i spoglądając na resztę scholarów jak wilki na gromadę owiec. Nikt się jednak nie ruszył z wyjątkiem paru tchórzliwych i grupki zwolenników Grota. Reszta, nieco zdezorientowana, czekała, patrząc, jak zareaguję, bo jeszcze tak nie bywało, abym to ja nawoływał do awantury, a Grot lał wodę na rozpalone głowy. Zerkano to na mnie, to na Grota i jego komiltonów, którzy odchyliłi płaszcze, ukazując ukryte pod nimi kordy na znak, że gotowi są siłą poprzeć słowa swego wodza. Grot zaś wbił we mnie wyzywający wzrok i podparł się pod boki.

– Grot ma rację – rzekłem pojednawczo po chwili milczenia. – Zaczekamy, a kwestię tego, kto będzie hetmanem, rozstrzygniemy w swoim czasie. A teraz chodźmy na wykłady.

Gdy towarzystwo rozchodziło się, mocno zdziwione i rozczarowane moją

niezwykłą uległością, przystąpił do mnie Grot ze zmarszczonymi brwiami.

– Nie wiem, co knujesz, Kacper, lecz dowiem się.

Skinął na swoich przybocznych i odeszli. Nie był głupi ten Grot i doskonale wiedział, że moja potulność jest udawana, tylko na razie nie pojmował, o co mi idzie. Ale już niedługo mnie przejrzy. To nie miało znaczenia, na dłuższą metę i tak nie dałoby się powstrzymać gniewu scholarów. A jeżeli nie znajdzie się inne wyjście, tedy jedynym sposobem uwolnienia Wolskiego będzie wzniecenie tumultu, a do tego nikt lepiej od Grota się nie nadawał.

Zamiast na wykład, udałem się do rektora, który mnie oczekiwał.

– Widziałem twoje wystąpienie na dziedzińcu – rzekł, przechadzając się nerwowo tam i z powrotem po komnacie – i nie spodobało mi się. Zdaje się, że nie taka była umowa.

– Wasza magnificencjo – odparłem z uczuciem – Janek Grot aż się palił, by natychmiast poprowadzić żaków na ratusz. Gdybym usiłował ich powstrzymać, osiągnąłbym skutek wręcz odwrotny i miasto już by płonęło. Jak wiadomo, ja i Grot nie przepadamy za sobą. I dopóki on tuszy, że ja chcę siłą uwolnić Wolskiego, uczyni wszystko, by temu zapobiec.

– Sprytnie... – przyznał rektor, lecz nie rozchmurzył oblicza. – Od dziś przez kilka dni Grot i drudzy zaczną odsiadywać karę karceru. Ale i tak spokoju nie da się długo utrzymać.

– Wiem, wasza miłość. Wždy w radzie miejskiej nie wszyscy popierają Czeczotkę – wiedziałem o tym od Szarskiego. – Są w niej przecież ludzie rozumni, którzy zdają sobie sprawę, czym grozi miastu gniew żaków. O ile wiem, należy do nich także rajca Grot, ojciec Janka.

Tego akurat nie byłem pewny, ale Andrzej, u którego stary Grot zamawiał pancerz i dwa miecze, wypowiadał się o nim dobrze, a ja miałem zaufanie do jego sądów. Z drugiej strony Grot i drudzy rajcy będący w opozycji do Czeczotki stanowili mniejszość i trudno było przypuścić, aby zdołali powstrzymać Małego Borgię. Rektor też tak uważał.

– Oby – westchnął. – Bo jak dotąd nasze protestacje do wojewody i starosty nic nie dały. Nie pojmuję tego! – zawołał, łapiąc się za skołataną głowę. – Czy nikomu nie zależy na spokoju w stolicy? O sprawiedliwości już nie wspomnę... Pchnąłem gońców do króla, do Lublina, ale czy jego królewska mość raczy nas wysłuchać? A jeżeli, to czy jego rozkazy zdążą dotrzeć na czas, nim w mieście wybuchną rozruchy? – popatrzył na mnie umęczonym wzrokiem.

– Tego nie wiem, wasza miłość.

– A jak twoja inwestygacja?

– Postępuje, wasza magnificencjo. Właśnie chcę udać się na zamek. Mam tam przyjaciół stojących blisko osoby jego królewskiej mości. Może przez nich uda się coś wskórać w naszej sprawie.

– Oby – powtórzył rektor jak zakłęcie.

– Dlatego, wasza miłość, upraszałbym o jeszcze parę dni urlopu...

– Ile potrzebujesz. Zasięgnąłem języka na twój temat i dowiedziałem się, że pilny z ciebie scholar, kiedy ci się chce, Kacprze Ryksie. Tuszę, że jako, jak mu tam, inwestygator też spiszesz się niezgorzej. Czego życzę tobie, Wolskiemu, sobie, naszej zacnej Alma Mater i temu nieszczęsnemu miastu.

Z akademii udałem się prosto na ratusz, ale nie zastałem ani Groickiego, ani Czeczotki. Zresztą, o czym poinformował mnie Matys Szarski, strażnikom przykazano, by nie dopuszczali mnie przed oblicze burmistrza, do kazamatów też miałem zakaz wstępu.

– Rano przysłałem tu służkę z koszykiem jada dla Wolskiego. Dotarło?

– Sam mu zaniósłem. Dobrze, żeś tym razem nie próbował przemycić żadnej wieści. Jednak nawet do twego zakutego łba coś czasem dociera.

– Dzięki za uznanie. Coś tłoczno tu u was – zauważyłem, rozglądając się po kabacie.

– Owszem – odparł ponuro. – Wzmocniono strażę, a burmistrz kazał przenieść z cekhauzu część broni i amunicję tutaj, zaś drugą do swego domu. Czeczotka nie rusza się bez przybocznych, zbrojnych po zęby, którzy także pilnują jego domu, że i mysz się tam nie wśliźnie. A my tutaj szykujemy się na obleżenie. Nie podoba mi się to, Kacprze. Nie jestem aż takim głupcem, aby nie widzieć, że sprawa z Wolskim cuchnie na miłą, i nie mam ochoty zginąć w obronie tego hultaja Małego Borgii, zabity przez jakiegoś żaka, więc nadal możesz na mnie liczyć. A teraz już idź, zanim ktoś zwróci uwagę, że ze sobą gadamy.

Poszedłem na Wawel. Na Wiślnej zwolniłem i obejrzałem sobie dokładnie okazałą kamienicę, którą Czeczotce stawiał znany w mieście i ceniony murator, tenże, co pobudował pałac biskupi i miejski cekhauz opodal Floriańskiej brony, Gabriel Słoński zwany Słoninką, uczeń Antonia de Fiesole i preceptor jeszcze sławniejszego odeń Jana Michałowicza z Urzędowa, „polskiego Praksytelesa”. Jak słyszałem, procesował się z eksburmistrzem o należne pieniądze, publicznie brali się za łby i obrzucali obelgami, aż całe miasto miało uciechę. Taki właśnie był Czeczotka – niepoprawny frant i *fur*, przy którym Bartosz z Lusiny jawił się niewinnym oseskiem. Ale dom miał piękny. Jakby mu mało było pieniędzy zagarnianych oburącz z miejskiej kasy, urządził sobie jeszcze na dole łaźnię, najbardziej znaną w Krakowie, co i nie dziwota, skoro za darmo gościł tam nie tylko rajców, ale i wielu dworzan królewskich, no, ale że i jego ekscelencja biskup Padniewski także z niej korzystał, to mnie, przyznaję, zaskoczyło. Zwłaszcza iż łaźnia Czeczotki cieszyła się wątpliwą sławą jako najprzedniejszy z zamtużów. To, co tam się działo, mogło ponoć zadziwić słynących z lasciwii starożytnych Rzymian. Nie darmo mistrz Kochanowski pisał:

Łaziebnicy a kurwy jednym kształtem żyją,

W tejże wannie i złego, i dobrego myją [1].

Przed wejściem, pod miedzianą miednicą, stał z marsową miną i założonymi na piersiach rękoma jakowyś Saracen czy Etiopczyk, czarny na gębie, w zawoju na łbie i powłóczystych szatach. Wielu przechodniów, tak jak ja, przystawało na treacie i gapało się na Negra, pewnie połowa z nich, ta niewieścia, pójdzie wkrótce do łaźni choćby z ciekawości, czy pośród łaźiebnych nie ma takich więcej. Jedno musiałem przyznać Czeczotce – miał łeb do interesów, niech go czarci!

Pan Górnicki przyjął mnie rad, ale zastrzegł od razu, iż ma mnóstwo roboty i może mi poświęcić jedynie chwilę.

– Przybyłem jeno, by się zapytać, czy dostałeś waszmość mój list?

Jeszcze przed wypadkiem napisałem do pisarza o sprawie Wolskiego i prosiłem, w miarę możliwości, o interwencję.

– Cóż... – odparł bibliotekarz z zakłopotaniem. – Zaciekawileś mnie, młodzieńcze, bo sprawa zaiste wygląda na ekstraordynaryjną. Wždy pierwej zasięgnąłem języka... Nie, żebym ci nie ufał – zastrzegł szybko – po prostu potrzebowalem opinii jurystów.

– I?

– Bez wątpienia, nie wnikając w winę lub niewinność magistra, burmistrz Tłokiński złamał prawo i każąc uwięzić Wolskiego, działa lewem. Zatem osobiście udałem się do panów Myszkowskich, wojewody i starosty, z prośbą o wyjaśnienie.

– I?

Pisarz rozłożył bezradnie ręce.

– I nic. Powiedziano mi, że to nie jest sprawa urzędów grodzkich i należy zostawić ją miastu.

– Lecz Wolski jako magister podlega sądowi rektorskiemu, nie miejskiemu!

– Wiem. Znasz moją życzliwość dla naszej zacnej Alma Mater i ludzi nauki. *Ergo* będę sekundował akademii w sporze z miastem, bo tylko tyle jestem zdolny uczynić.

– Tu idzie o głowę mojego przyjaciela, wasza miłość! Dlatego upraszam na wszystko i zaklinam, byś zechciał, panie, poprzez swoich wpływowych przyjaciół zaznajomić z tą sprawą najjaśniejszego pana.

– Czyż jego magnificencja już tego nie uczynił?

– Uczynił, lecz nikomu nie tajno, iż Czeczotka, przepraszam, pan burmistrz Tłokiński, cieszy się łaską obecnego monarchy tak samo, jak ongi króla Starego, podczas gdy miłościwie nam panujący król August nie darzy akademii i jej spraw należną estymą. Łatwo więc przewidzieć, komu prędzej da wiarę, jeśli nikt pocziwy sprawy mu należycie nie wyłoży.

Bibliotekarz zadumał się, rozważając moje słowa, po czym rzekł:

– Do czarta! Sporo w tym racji, co powiadasz, mości Kacprze. To ładnie, żeś nie ostawił druha w potrzebie, ale jeszcze lepiej by było, gdyby niewinność magistra ustalono ponad wszelką wątpliwość.

– Pracuję nad tym, wasza miłość. I wiem, że jak dotąd nie ma dowodów zbrodni magistra.

– A niewinności?

– Też nie, niestety – westchnąłem.

Górnicki poklepał mnie pocieszająco po ramieniu.

– Wbrew pozorom imć Tłokiński wcale nie ma na dworze wielu zwolenników, dlatego woli nie pojawiać się na zamku. A już najgorszym jego wrogiem był pan kasztelan krakowski, Spytek Jordan z Zakliczyna, niestety zmarło mu się zeszłego roku. Tam do kata! Szkoda, bo z pewnością wzięłby naszą stronę. Ale uszy do góry, przyjacielu. Napiszę do moich druhów, do Lublina, by szepnęli najjaśniejszemu panu to i owo do ucha. Tylko tyle mogę dla ciebie uczynić. Jeśli będę coś wiedział, natychmiast cię powiadomię.

Podziękowałem mu i odszedłem. Jeśli żywiłem jakieś *dubium* co do uczciwości panów Myszkowskich, to wyzbyłem się go, spotykając na korytarzu znajomego pachółka starościńskiego. A gdybym się mylił, że rozpoznaję w nim tego, który dał mi po łbie na ulicy Świętego Jana, to wstrętny uśmieszek, jaki wykrzywił mu gębę na mój widok, wyjaśnił i tę niepewność.

Rozejrzałem się szybko dookoła, po czym przechodząc mimo draba, niby przypadkiem nadepnałem mu na stopę, a gdy pochylił się z bólu, jego roześmiany szczurzy pysk spotkał się ze zdążającym mu na spotkanie moim kolaniem. Miałem przekonanie, że starłem mu z gęby uśmieszek, a może nawet wbiłem do gardzieli przez zmiążdżony nos, lecz pewności nie zdobyłem, gdyż w głębi korytarza pojawił się inny halabardnik i musiałem się pospiesznie oddalić. Mimo to opuszczałem zamek z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku, ponieważ do moich licznych zalet należy także obowiązkowość, a zwłaszcza spłacanie honorowych obligów.

Podążając na Rynek, znów przeszedłem Wiślną. Maur czy Etiopczyk wciąż sterczał przed łaźnią Czeczotki, już nie jak nieruchomy posąg, lecz zapamiętałe waląc w misę zawieszoną nad wejściem na znak, że woda gorąca. Albo mi się zdawało, albo więcej klientów niż zwykle, osobliwie niewiast, dało się skusić na kąpiel, a może także inne przyjemności. Zdaje się, że to ów czarny przyciągał ludzi jak miód muchy, samym wyglądem nasuwając grzeszne myśli o czekających w środku rozkoszach godnych sułtańskiego seraju. Mnie też nasunęła się w związku z nim pewna, z początku nieśmiała i pozornie szalona myśl, która jednak w miarę zbliżania się do domu nabierała coraz realniejszych kształtów. Nie było jeszcze południa, więc czasu na wykonanie pomysłu wystarczająco dużo. Potrzebowałem tylko paru informacji i pomocnika.

Sępa zastałem w kuchni na spóźnionym śniadaniu. Towarzyszył mu Nizioł i razem zażerali się piwną polewką. Od razu poczułem się głodny. Usługiwała nam piękna Kasia, pewnie Sęp o to zadbał.

– Czyż ona nie jest urocza? – spytał retorycznie i złapał odchodzącą dziewczynę za rękę. – Powiem ci coś, Kasiu, posłuchaj:

Jako lód taje przezroczyście z lekka,

*Kiedy go ogień zagrzewa z daleka,
Tak ja na twarz twą na każdą godzinę
Patrzam a ginę.*

*Patrzam a ginę z wielkiego frasunku;
A jeśli nie dasz łaskawie ratunku,
Nielutościwą tobie wiecznie słynąć,
Przyjdzie mnie zginąć [2].*

Zapłoniona dziewczyna wyrwała mu się i umknęła.

– Nie odbieżaj! – zawołał za nią, będąc dziś najwidoczniej wyjątkowo frywolnie usposobiony. – Ten wiersz ma jeszcze piętnaście strof! Pisałem go całą noc...

– No, Sępie – zaśmiałem się – akurat, gdyś zaczął pisać do rzeczy, sprawy wymykają ci się z rąk.

– Dopnę swego – odparł naburmuszony. – W przeciwieństwie do ciebie. Obiecałeś mi, że ujrzę, jak odnajdujesz zaginioną pannicę i ucierasz nosa Czeczotce i co?

– Poczekaj chwilę. Co pijemy, piwo czy wino?

– Piwa mam już po dziurki w nosie – rzekł Nizioł i czknął na dowód.

– Zatem postanowione. Kasiu, wina!

Przyniosła i chciała odejść, ale tym razem to ja złapałem ją za rękę i zmusiłem, by usiadła przy nas.

– Uczyni nam przyjemność i napij się z nami, luba Kasiu, a może powinienem raczej rzec – Anusiu?

Cała trójka zamarła z kielichami w górze.

– Panowie – rzekłem z teatralnym zacięciem, któremu czasem nieskromnie ulegam, ale przecież nikt nie jest doskonały – pozwólcie, że wam zaprezentuję pannę Annę Grzybównę, córkę sławetnego Wojciecha Grzyba, bednarza ze Skawiny.

Sęp i Nizioł szybko wychylili wino, ale dziewczyna odstawiła swoje szkło na blat, a ręka tak jej się trzęsła, że wylała połowę zawartości. Przyznam, że trochę zgadywałem, lecz jej reakcja pozbyła mnie wszelkich wątpliwości.

– Jak panicz to odgadł? – wyjąkała, gdy już odzyskała głos.

– Właśnie, skąd wiedziałeś? – poparł ją Sęp.

– Po pierwsze – znów ująłem dłoń dziewczyny i obróciłem wnętrzem do góry – spójrzcie na to. Czy to są dłonie kogoś, kto rzekomo pracował w warsztacie? Nie, to dłonie wychuchanej panny, jedynaczki, umiłowanej córki rzemieślnika, który ciężko haruje, by pannicy niczego nie brakowało, a ona w podzięce ucieka z domu.

– Chciał mnie wydać za sąsiada, kaletnika, bogatego wdowca – odparła, dość szybko dochodząc do siebie, co musiałem przyznać.

– Pragnął ci zapewnić dostatnie życie.

– Ajuści, u boku męża, któremu cuchnie z gęby, ma siedemdziesiąt lat i trójkę

dziatek do niańczenia!

– A *secundo*? – dociekał Sęp. – Co drugiego naprowadziło cię na trop?

– Wždy to oczywiste: sławetny Grzyb jest bednarzem, a nasza Kasia-Anusia utrzymywała, iż przez dwa lata pracowała u bednarza, po wtóre i on, i ona wywodzą się ze Skawiny. Wystarczyło dodać dwa do dwóch. Naszej pięknej dziewczeczce nie dostaje imaginacji albo...

– Nie chciałam łąć bez potrzeby, bo wówczas łącno się zdradzić – rezolutna odpowiedź świadczyła, że dziewczę już całkiem odzyskało równowagę.

– Mądra z niej bestyjka, co? – rzekł zachwycony Sęp i osobiście dolał ślicznotce wina. – Powiedz mi jeszcze, Kacper, bo tego jednego wciąż nie pojmuję, toć sam słyszałem, jak Grzyb prawił, że jego córka jest ruda, a nasza luba Kasia, czy też Anusia, ma włosy złote jak, jak...

Wzruszyłem ramionami i odparłem z politowaniem dla jego naiwności:

– Białogłowskie sztuczki. Jeśli się lepiej przyjrzeć, widać rudawe odrosty u nasady włosów.

– W rzeczy samej – wyjąkał Sęp.

– Ty to masz oko, Kacper! – Nizioł klepnął mnie w plecy, że omal nie spadłem z ławy, i napełnił szkła. – Twoje zdrowie!

Wypiliśmy, nawet Kasia-Anusia umoczyła karminowe usteczka i uśmiechnęła się promiennie. Zapanowała iście familijna aura, którą musiałem skazić, niestety.

– A teraz, luba... Jak wolisz, by cię nazywać? – powiedziałem.

– Mnie bardziej podoba się Kasia – wtrącił Sęp.

Dziewka uśmiechnęła się do niego i skinęła piękną główką.

– Mnie takż.

– Jak wola – zgodziłem się. – A zatem, droga Kasiu, wyjaw nam, proszę, kto i po co cię tu przysłał.

Tym razem obyło się bez okrzyków zaskoczenia. Wszyscy jakby zastygli, a z twarzy dziewczyny, której strach nadał szpetne rysy, odpłynęła cała krew. Gdy oprzytomniała, próbowała zerwać się do ucieczki, ale przewidziałem to i trzymałem ją mocno.

– Mów! – potrząsnąłem nią.

Teraz jednak bała się naprawdę i lęk odebrał jej mowę.

– Czy to Czeczotka cię nasłał? – nie ustępowałem.

– T-tak – wyszeptała przez zbielałe usta.

– Tak właśnie myślałem – puściłem ją.

– Skąd wiedziałeś, na Boga? – wyjąkał Sęp, gdy już doszedł do siebie.

Nizioł nic nie rzekł, tylko wychylił swój kielich duszkiem i otarł usta.

– Powtarzasz się, Sępie. Kiepsko ci to wróży jako poecie – pozwoliłem sobie na lekką kpinę, widząc jego oszołomienie.

– Dobrze, przyznaję, jesteś geniuszem – odparł Sęp, patrząc na mnie z należnym respektem. – Bądź więc łaskaw i wyjaw nam, ślepcom, jakieś do tego doszedł. Pewnie

to też było proste, co?

– A owszem. Ciebie to nie zastanowiło, że luba Kasia pojawiła się tak dogodnie i w porę, akurat by mnie zratować od rzekomych rzezimieszków i zaskarbić sobie naszą wdzięczność? A w ten sam dzień znika pierwsza Kachna, którą miałem właśnie indagować w sprawie Doroty? Nie wierzę w takie przypadki. Idę o zakład, że poprzednia Kasia znalazła zatrudnienie u Czeczotki, zastępując przytomną tu Kasię, która z kolei zastąpiła ją w roli szpiega w naszym domu. Mam słuszość? Powiadaj! – rozkazałem dziewczce.

– Tak – zwiesiła głowę z rezygnacją i zaczęła mówić, początkowo zacinając się, potem już gładko, jakby chciała to z siebie wyrzucić. – Po tym, jak zbiegłam z domu, szukałam w mieście pracy, ale długo nic mi się nie trafiło... Pewien rzekomo zamożny młodzieniec, który miał się ze mną żenić, zniknął pewnego dnia, a razem z nim pieniądze, które zabrałam z domu. Wtedy jakiś człek polecił mi pracę w łaźni pana burmistrza Tłokińskiego. Spodobałam mu się i... A kilka dni temu przyszedł do łaźni okrutnie zły na panicza i kazał mi tu przybyć, mówiąc, że nie powinno być z tym turbacji, bo właśnie dziewczka służebna odeszła z waszej gospody. A potem obmyślił ten napad na jaśnie pana – spojrzęła na mnie trwożnie. – To miało być dla waszej miłości ostrzeżenie, tak powiadał, a dla mnie sposobność, by tym łatwiej dostać się do waszego domu. Miałam pilnie słuchać, co mówi się o sprawie magistra Wolskiego, i podpatrzeć, co panicz czyni w tej kwestii, a gdy się czegoś ważnego dowiem, pod lada pozorem przyjść z tym na ratusz. A żem jeszcze niczego się nie wywiedziała, nie było potrzeby składać delacji. To wszystko, przysięgam na Boga, że niczemu nie zataiła!

– Ja jej wierzę! – wyrwał się Sęp niepytany. – Daruj jej, Kacprze, boć nic złego nam przecie nie uczyniła...

– Bo nie zdążyła – sarknąłem, patrząc na dziewczkę srogo. – Bo nie jestem tak ufny jak ty i nie dałem się jej owinąć wokół palca. Spójrz na nią, Sępie. To kształtne ciało kryje niezbyt piękną duszę. Porachujmy – zacząłem odliczać na palcach – uciekła z domu, bo brakowało jej ptasiego mleka, nie troskając się nawet o to, by dać rodzicielom znak, że żyje; ponoć przybyła do Krakowa, aby znaleźć pracę, ale nie lubi fatygi, więc poszukała bogatego opiekuna; gdy okazał się frantem, również nie szukała uczciwej roboty, jeno zatrudniła się u największego rozpustnika w mieście, łąco się domyślić, do czego jej potrzebował... A gdy wysłał ją do nas na przespiegi, posłusznie wykonała polecenie. Nie, Sępie, komuś takiemu nie można ufać. Musimy się jej pozbyć.

Popatrzyłem znacząco na Niziołka, Sęp pobladł i chciał coś rzec, lecz nie mógł wydobyć z siebie głosu, dziewczka zaś wyglądała, jakby zaraz miała dostać udaru z przerażenia. Uśmiechnąłem się zimno, bo o to mi szło, i rzekłem:

– Dworowałem sobie. Nie znacie się na facecjach? Myślę o mniej ostatecznym rozwiązaniu, lecz jeśli ją wyrzucimy bez wydarcia języka, to...

– Nie oddalaj mnie, panie! – dziewczyna rzuciła mi się do nóg i przyłgnęła do

nich. – Nie mam dokąd wrócić! Czeczotka ukarze mnie, gdy się dowie, że go zawiodłam! Nie znasz go tak dobrze jak ja, panie! To straszny człek!

Patrzyła na mnie wzrokiem zbitego psa, a z oczu płynęły jej łzy jak groch, prawdziwe czy udawane, tego nie wiedziałem, bo mimo wszystko nie jestem wszechwiedzący, a dziewczę było sprytne jak lichy.

– Co wiesz o Dorocie? – spytałem, korzystając z jej przestachu i nastroju do mówienia, tuszyłem, prawdy.

– Nic, panie – odparła z gorliwością. – Widywałam ją czasem w łaźni, zawsze w towarzystwie pana burmistrza. Chyba był do niej prawdziwie przywiązany, skoro wolał ją ode mn... – trochę za późno ugryzła się w język, ale po chwili wahania ciągnęła: – W każdym razie, gdy dowiedział się, że zginęła, chodził jak struty i pomstował okrutnie na magistra Wolskiego, jego obwiniając o tę zbrodnię.

– Mógł to być jeno pozór dla zamydlenia oczu.

Pokręciła głową i otarła kułakiem łzy.

– Na mój rozum nie udawał. Jego żal patrzył na szczerzy.

– Wielu zbrodniarzy żałuje poniewczasie – mruknąłem, ale bardziej do siebie.

– *Ergo* co z nią uczynisz, Kacprze? – spytał nieśmiało Sęp.

– To zależy... Powiadasz, żeś służyła w łaźni? Tedy uczynimy tak: opiszesz mi teraz detalicznie tę łaźnię, a jeśli będę z ciebie zadowolony, pozwolę ci tu na razie ostać, o ile uwiadomisz ojca, żeś znalazła uczciwą robotę. A wy – zwróciłem się do towarzyszy – ani słowa ciotce, bo straciłaby serce do tej dziewczki i nawet moje wstawiennictwo na nic by się zdało.

– Uczynię wszystko, co każesz, panie! – zawołała dziewczyna; w jej wzroku, wbitym we mnie, dostrzegłem nie tylko całkowitą uległość, ale i nieme uwielbienie, co, muszę wyznać z niejakim zakłopotaniem, usposobiło mnie do niej nieco przychylniej.

– Będziemy milczeć – zgodził się Sęp. – Ale po co ci wiedza o łaźni Czeczotki?

– Dowiesz się, a ty – zwróciłem się do dziewczki – mów.

Rozlałem resztę wina i posłałem Nizioła po następną flaszę, tymczasem dziewczka prawiała:

– Łaźnia burmistrza jest ogromna, zajmuje całe przyziemie kamienicy. Za przedsionkiem są dwie gotowalnie, jedna dla niewiast, druga dla mężów. Nigdy nie ginęło z nich pozostawione odzienie (co ponoć gdzie indziej się zdarza), bo pan burmistrz dba o gości. Izby łaźiebne też są podzielone na dwoje – osobno dla białogłów, osobno dla mężów – ściankami z desek, które nie sięgają powały, ale mają drzwiczki dla służby. Wolno korzystać albo z pospolitej łaźni, z kadziami i wannami, albo na parę, gdzie na piec z cegieł kładzie się kamienie, a gdy się nagrzeją, leje na nie wodę. Goście leżą tam na drewnianych stopniach w kłębach pary, a potem łaźiebni wycierają ich winiuchami albo, wedle życzenia, masują, chłuszcząc winnikami. Służbie, to jest grajkom, łaźiebny, łaźiebnicom, które śpiewają, przebierańcom i komediantom, wycieraczom, tym, co wynoszą wodę, i stróżom pieniędzy dawać nie

wolno, jeno samemu łaźebnikowi, który rozlicza się z burmistrzem. Jak kto ma chęć, może wypocząć w jednej z osobnych izb, ostrzyć się, ogolić, opatrzeć rany, puścić krew, wyrwać zęba, postawić bańki i tym podobne, gdyż pan burmistrz do prowadzenia łaźni zatrudnia nie *magistra balneatorum*, jeno cyrulika, którego żona kieruje łaźnią dla niewiast...

Przerwała i spojrzała na mnie, a ja kiwnąłem głową, bo jak dotąd wszystko zgadzało się z moją wiedzą. Bowiem cech cyrulików, zwanych też golibrodami lub chirurgami, stale awanturował się z cechem łaźebników o prawo do świadczenia usług wspomnianych przez dziewczkę. Cyrulik prowadzący łaźnię był w tej sytuacji rozwiązaniem idealnym; znów miałem przykład zmyślności Czeczotki. Był łotrem, ale na interesach się znał, tego nie sposób było mu odmówić.

– W owych osobnych izbach przy łaźni podają jadło i napitki, a jak kto chce i dodatkowo za to zapłaci, przyprowadzają mu dziewczkę lub chłopca dla uciech cielesnych – ciągnęła dziewczyna, lekko się zarumieniwszy przy tych słowach, co mogło świadczyć, że jeszcze nie całkiem wyzbyła się przyzwoitości – czasem po kilkoro, wedle upodobania. Pan burmistrz ma swoją izbę, do której drugim wzbrania przystępu, okrom wybranych dziewczek łaźebnych, które go kąpią, a gdy najdzie go ochota, to... Jest też obszerna izba, w której pan burmistrz wydaje często dla przyjaciół ucztę z muzyką, lubo to wzbronione...

To też się zgadzało z tym, com słyszał. W łaźni Czeczotki dochodziło jakoby do prawdziwych orgii, choć nawet pospolitego pijaństwa w łaźniach zakazywał odpowiedni wilkierz, ale do Czeczotki prawo się nie stosowało, co już dobrze wiedziałem.

– Czy Czeczotka często bywa w łaźni? – spytałem, gdy dziewczka zamilkła na dobre.

– Jeśli nie idzie na ratusz lub do jakiejś kochanicy, nie rusza się z łaźni od śniadania do wieczery, a czasem i posiłki tam jada, zwłaszcza gdy gości wesołą kompanię.

– Co to za Saracen wystaje pod jego domem? Drzewiej go nie widywałem.

– To Ali, Etiopczyk. Niemowa. Pan burmistrz sprawił go sobie niedawno dla podniesienia splendoru i by przywabić klientów, ale zażywa jeno do osobistych posług i nikomu nie użyzca, choć wielu gości, osobliwie niewiast, o niego upraszało.

– Powtórz raz jeszcze, gdzie jest ta osobna izba pana burmistrza i jak do niej trafić – zażądałem, a gdy posłusznie spełniła życzenie, odesłałem ją do kuchni, ostrzegłszy uprzednio: – Tylko nie próbuj zniknąć jak twoja imienniczka, bo znajdę cię i wtedy marny twój los.

Odeszła, zapewniając gorąco o swym oddaniu. Ujrzałem w jej wzroku coś takiego, że tym razem jej uwierzyłem.

Nalewając nam wina, Nizioł zapytał:

– Po licha żeś ją tak indagował o tę łaźnię? Mało ci naszej? I tak wysiadujesz w niej prawie co dzień.

– Tobie też by się przydało, bo cuchniesz jak cap. Jak się jeszcze dziś nie wykąpiesz, nie pokazuj się przy tym stole – odpaliłem mu półzartem, bo akurat w sprawach czystości do żartów nie jestem zbyt skory.

– Kacper postanowił otworzyć własną łaźnię i wygryźć z interesu Czeczotkę. To będzie jego zemsta – zachichotał Sęp.

Wszyscy mieliśmy już lekko w czubie, nie za wiele, akurat w sam raz, by uczynić to, co sobie umyśliłem, a co na trzeźwo zakrawało na szaleństwo.

– Mam lepszy koncept – odparłem.

– Jaki? – spytali chórem.

Powiedziałem im. Nizioł tylko rozciągnął usta w uśmiechu od ucha do ucha i oblizwał łakomie wargi, jak zwykle, gdy szykowałą się niezgorsza awantura, w tym względzie (innych też) jak ulał odnosiło się doń porzekadło: na nim ci jako na Zawiszy.

– Ale heca! To lubię! Idę z tobą!

Sęp niemal udławił się winem.

– To czyste szaleństwo! – wyrzucił z siebie, jak już się wykrztusił. – Nie ma prawa się udać!

– To trzeba oblać! – entuzjasmował się tymczasem Nizioł. – Skoczę po następną flaszę...

– Wystarczy – rzekłem stanowczo i wstałem. – Niziołek, zamiast wina poszukaj lepiej gdzieś szwarcu, a ty, Sępie, zdecyduj się.

No i oczywiście wyszliśmy na ulicę we trójkę – Sęp mógł marudzić i smęcić, ale dobrą zabawę, o ile nie dopadała go zaduma, lubił jak wszyscy. Tylko czernidło musieliśmy kupić w kramie po drodze, bo w domu się skończyło. Już z daleka ujrzeliśmy Etiopczyka. Stracił jakby swój posagowy spokój, przytupywał i co chwila zerkał w stronę wejścia do łaźni. Musieliśmy się pospieszyć, bo Negr bez ochyby za niedługo zamierował zejść z posterunku. Minęliśmy go jakby nigdy nic, po czym przeszliśmy na drugą stronę ulicy.

Kamienica ze starodawnymi kamiennymi odrzwiami, stojąca naprzeciwko domu Czeczotki, u której wisiał łańcuch do zamykania ulicy w razie wtargnięcia wrogów do miasta, nosiła miano Książęcej, bo tu ongi stawiali kwaterą książeża mazowieccy, gdy przybywali do Krakowa. Zwano ją też Starą lub Podpartą, albo Pod Świętym Janem Kapistranem, gdyż w narożniku umieszczono figurę tegoż świętego.

Boczne wejście do kamienicy, od ulicy Wiślnej, było zawarte na głucho, tak samo jak z rana, gdym to sprawdzał. Niedawno dom, należący dotąd do znanego czarnoksiężnika Twardowskiego, został sprzedany godnej pani, jejmości Zofii ze Sprawy Odrowąż, wdowy po Janie Krzysztofie Tarnowskim, kasztelanie wojnickim. Dowiedziałem się jednak, że jak wdowa udała się na Gody do córki Katarzyny, co była za Hieronimem Sieniawskim, tak dotąd nie sprowadziła się do kamienicy, przeto dom stał pusty. Bardzo mi to odpowiadało. Jeśli ktoś go w ogóle pilnował, to raczej od frontu. Przepuściłem dwie rozgadane kumoszki z koszykami pełnymi zakupów.

Zastawiony ogromnymi barami Nizioła niby murem, szybko wyjąłem swój podręczny zestaw wytrychów i po chwili zamek w drzwiach ustąpił.

– Gotowe. Sępie, ostań tu. Potem szybko zawrzesz za nami bramę. Nizioł, idziemy!

Z powrotem przeszliśmy ulicę, rozglądając się pilnie na boki. Gdy zdało mi się, że nikogo w pobliżu nie widać, błyskawicznie z dwóch stron przystąpiliśmy do Etiopczyka. Nizioł pochwycił go za rękę jak w imadło, ja zaś przystawiłem mu do boku wyjęty zza pasa puginał i syknąłem:

– Ani słowa, a nic ci się nie stanie.

Nie wiem, czy był nie tylko niemy, ale i głuchy, i czy mnie zrozumiał, czy raczej przekonał go puginał, lecz poszedł z nami bez oporu. Sęp szybko otworzył drzwi, a Nizioł wciągnął naszego brańca do sieni. Gdy Sęp zamykał za nami bramę, spytałem:

– Ktoś coś spostrzegł?

– Zdaje się, że nie.

– To pójdź na zadź, by nas stamtąd nikt nie zaskoczył.

Przystąpiłem do Saracena, trzymanego przez Nizioła w krzepkim uścisku.

– Trzeba się pospieszyć, zanim spostrzegą jego zniknięcie – powiedziałem, ściągając starą czapkę, kapotę i sfatygowane buty, które wdziałem na tę okazję, licząc się z ich stratą.

– No, Negrze, wyskakuj z odzienia – zwróciłem się potem do jeńca, pokazując mu na migi, o co mi chodzi.

Ale ten tylko wytrzeszczał oczy, sparaliżowany strachem. Zniecierpliwiony Nizioł sięgnął po turban Etiopczyka, który wrzasnął ze strachu i złapał go za rękę.

– Puszczaj i milcz! – warknął olbrzym i otwartą dłonią trzepnął jeńca w głowę.

Ten zamilkł, a Nizioł jął ze zdumieniem gapić się w swoją rękę.

– Co jest...? – wyjąkał i przybliżył dłoń do oczu, bo światło w sieni było kiepskie, po czym znów sięgnął do twarzy Saracena i przejechał mu palcem po licu.

– Patrzcie! – podsunął nam paluch pod oczy, bo Sęp już wrócił do sieni z wieścią, że dom wygląda na wymarły albo nasze wtargnięcie nikogo nie obeszło, co wychodziło na jedno.

– Co mam widzieć? – zdumiał się Sęp, ale ja pojąłem, o co szło Niziołowi, lecz nim zdążyłem zareagować, ten już zaczął okładać kulakami jeńca, wołając: – Etiopczyk? Taki z ciebie Etiopczyk jak ze mnie królowa Saba! Ja ci dam cyganić ludzi, ty farbowany huncwocie! Masz!

– Nie bij! – zaskomlał ów, kuląc się i starając osłonić głowę. – Uczynię wszystko, co zechcecie, jeno mnie poniechaj!

– Niech mnie licho, niemowa przemówił, a domniemany Maur okazał się indygenem – rzekł Sęp, kręcąc głową z podziwem. – Dalipan, Kacprze, ty jednak umiesz czynić cuda!

Powstrzymałem osiłka, a do fałszywego Nebra powiedziałem stanowczo:

– Rozdziewaj się, a nuże! Niczego więcej od ciebie nie chcemy. Jak zrobimy

swoje, puścimy cię wolno.

Podczas gdy jeniec posłusznie się rozbierał, Nizioł ze wstrętem gapił się w swoją wielką łapę umazaną takim samym szwarcem do butów, jaki przynieśliśmy ze sobą. Już chciał odruchowo wytrzeć ją w szatę naszego jeńca, powstrzymałem go w ostatniej chwili.

– Zaczekaj. Potem dam ci chustkę. Sępie, pomóż mi się przebrać, a ty – poleciłem fałszywemu Maurowi – wdziejaj moje łachy. Jak się zwiesz?

– Maciej, panie – odparł posłusznie. – Z Krzeszowic, ale w ogólności to człek luźny. Chciałem na zimę zatrudnić się w łaźni, ale pan burmistrz łaźiebnych nie potrzebował, za to kazał mi robić za Etiopa, bo prawego nie uświadczył, a może było mu żal pieniędzy. Powiadał, że to przyciągnie do łaźni nowych gości, i nie omylił się, bo wałą tłumnie, choćby po to, żeby się na mnie pogapić do woli... Wszelako zakazano mi się odzywać, by się rzecz nie wydała, i nawet większość czeladzi łaźiebnej nie zna prawdy, jeno najzaufańsi...

Rozgadał się, widać wyzbyty już strachu o życie.

– Sępie, sprawdź, czy turban dobrze założony – poleciłem, prostując się po wzuciu tureckich butów z fantazyjnie zadartymi w górę noskami. – Nizioł, bierz garniec z czernidłem i wymaż mi gębę. A ty – zwróciłem się do Macieja – mów, co należy do twych powinności.

– Jak pan burmistrz zażywa kąpieli, wołają mnie z ulicy, bo sobie mnie upodobał, bym go wycierał i chłostał – odparł skwapliwie i ostrzegł: – Zaraz przyjdą mnie wołać, bom słyszał, że burmistrz już wlaźł do kadzi...

– O to się nie trap. Jeszcze tu, ale tylko trochę po wierzchu – rzekłem do Nizioła, wyciągając ku niemu dłonie, a wcześniej wręczając Sępowi czystą chustkę do nosa, którą, wzorem króla Włodzisława Jagiełły i ojca Rocha zawsze nosiłem przy sobie. – No i jak? – spytałem, gdyśmy skończyli robotę, a Nizioł, krzywiąc się z obrzydzenia, wycierał ubabrane łapska.

– Wybornie – rzekł Sęp. – Nie widać różnicy.

– To paskudztwo nie chce zejść – poskarżył się Nizioł.

– I bardzo dobrze. Dzięki temu nie wyłgasz się dziś od kąpieli. No, idziemy! Ja do łaźni, a wy zabieracie Macieja do „Indyj” i tam czekacie na mnie.

„Indiami” nazywano „Piwnicę Świdnicką”, czyli piwiarnię pod ratuszem, przez ścianę sąsiadującą z izbą tortur. Wręczyłem Sępowi parę groszy.

– Postawcie mu jakieś jadło i piwo, jeno sami się nie opijcie, bo mogą was potrzebować. Jeśli nie wrócę do godziny, pójdziecie pod uniwersytet, skrzykniecie żaków i spróbujecie mnie odbić. Teraz wychodzimy, a jeśli nasz nowy przyjaciel zechce zbiec albo przyzywać pomocy, skręćcie mu kark.

– Nie będę uciekał – zapewnił gorliwie przebieraniec. – A wasza miłość niechaj daje baczenie na niejakiego Praszkę zwanego Siekierą, to niebezpieczny człek.

– Znam go – odparłem – ale dzięki za ostrzeżenie. Jak nadal będziesz grzeczny, to po wszystkim dostaniesz czerwońca.

Sęp, któremu powierzyłem obiecane dukaty dla Macieja, wyszedł pierwszy, a po chwili dał znak, że i my możemy wyjść. Oni poszli na Rynek, Maciej, dla pewności krzepko trzymany pod ramię przez Nizioła i zasłaniający sobie połą kozucha usmoloną twarz, ja zaś ustawiłem się pod wejściem do łaźni w samą porę, bo kilka chwil potem pojawił się Praszka we własnej osobie i wezwał mnie do burmistrza, popierając rozkaz stanowczym gestem. Weszliśmy do środka. Było tak, jak mówiła dziewczka. Po obu stronach sieni znajdowały się gotowalnie, a dalej część łaźni, ku której popchnął mnie pachół, ponagłając:

– Pospiesz się, pan burmistrz nie lubi czekać.

Wśród kłębów pary, od której zrobiło mi się gorąco i miałem uczucie, że czernidło topi mi się na twarzy i spływa za koszulę, poszliśmy korytarzem, mijając kolejne drzwi, a zza drewnianych przepierzeń dobiegały odgłosy kąpeli i nie tylko. Jakiś pijacki głos wyśpiewywał na całe gardło sprośną piosnkę, gdzie indziej słychać było piski i chichoty rozbawionych niewiast. Mijali mnie służący biegający z wodą i winiuchami do wycierania, ale nie wzbudziłem żadnych podejrzeń. Nie mogłem zostawić Siekiery warującego za cienką ścianą, jeśli miałem spokojnie rozmówić się z Małym Borgią, więc gdyśmy doszli do ostatnich drzwi po lewej stronie, gdzie wedle wskazówek Kasi-Anusi i Macieja mieściła się prywatna balneola Czeczotki, nagle zmarszczyłem brwi i spojrzawszy poza jego ramieniem, spytałem:

– A to co takiego? – a gdy się odwrócił, rąbnąłem go w skroń głowicą wydobytego z ukrycia puginału; upadł nieprzytomny, ja zaś schowałem na powrót broń, ułożyłem Siekiere pod drzwiami w półsiedzącej pozycji, jakby się na chwilę zdrzemnął znużony czuwaniem, i szepnąwszy do uspiętego łotryka z satysfakcją:

– Teraz jesteście kwita – zapukałem do drzwi.

– Wejść! – usłyszałem.

Rozpoznałem arogancki głos Czeczotki. Pchnąłem drzwi i wszedłem. Pomieszczenie było dość obszerne. Ściany wyłożono drewnem, a pawiment marmurem, niby w jakim pałacu. Pośrodku stała wielka miedziana wanna wyrobiona na kształt wieloryba, w której baraszkował Mały Borgia z jakąś długowłosą niewiastą. Kiedyś dziwowałem się, jak jego druga żona mogła tolerować wybryki męża, o których wiedziało całe miasto. Ale potem dowiedziałem się, że jejmość burmistrzowa dla odmiany jest wzorową dewotką, która połowę czasu spędza w kościołach na modłach, dysputach z księżmi i spełnianiu dobrych uczynków, a drugą w domowej kaplicy. Nie dziwota, że Czeczotka nie dochował się legalnego potomstwa, choć nieprawego miał na kopy. Jest jednak jakaś sprawiedliwość na świecie.

– A, jesteś nareszcie! – zawołał Czeczotka, zoczywszy mnie kątem oka, i rzekł do dziewczki: – No, dość, mała, zmykaj!

Na pożegnanie klepnął ją w rozłożysty zadek. Przeszła obok mnie, całkiem naga, nie usiłując nawet zakryć przyrodzenia, jakbym był powietrzem albo meblem. Nie podobała mi się. Miała zbyt wielkie pośladki, trochę obwisły biust i okrągłą jak księżyc w pełni twarz, z jakimś takim kurewskim wyrazem. Nie mogłem się nadziwić,

jak po Dorocie, która była piękną dziewczką, ten zbereźnik mógł gustować w kimś takim, no, ale pewnie miała inne zalety. A poza tym: *de gustibus et coloribus non est disputandum* [3].

– Na co czekasz? Zdziewaj szaty, umyj łapy w cebrzyku i bierz się do roboty! – rzekł Czeczotka, wynurzając się z wody.

Woda cienkimi strumyczkami spływała z jego tłustego, włochatego jak u małej cielska. Prawy wieprz. Zdjąłem różgę ze ściany i zanim zdążył się wyprostować, ucapiłem go za kark i z powrotem wepchnąłem do wody. Zanurzył się z takim impetem, że woda wychlusnęła z balii i obryzgała mi buty. Odrzuciłem różgę i wolną ręką przytrzymałem mu łeb pod wodą przez dobrą minutę. Ciężko było, bo tłuszcz wypychał go ku górze. Kto o tym pisał? Zdaje się, że Archimedes... Początkowo próbował wierzgać, lecz wkrótce zwiotczał i przestał stawiać opór. Kiedy pozwoliłem mu się wynurzyć, chwycił powietrze wielkimi haustami, rozdziawiając przy tym wielką gębę tak szeroko, że jeszcze bardziej niż zwykle przypominała żabią. Wyrecytowałem:

*Próżno się trzesz mydłem z solą,
Jeśli cię niecnoty bolą...
Jeśliżec na duszy bydło,
Nie pomożec barskie mydło.
Byś się ługiem pigwowym mył,
Nie pomożec, jeśliś łotr był* [4].

– T-ty n-n-nie j-j-jesteś A-a-ali! – wycharczał, gapiąc się na mnie wytrzeszczonymi ze strachu świńskimi oczkami.

– Wiem – odparłem.

– O Boże! – tak intensywnie wpatrywał się w moją uczernioną twarz, że coś chyba zaczęło mu wreszcie świtać w tym wielkim czerepie.

– Nim też nie jestem – sprostowałem. – Do trzech razy sztuka. Masz jeszcze jedną próbę. Może ci odświeżyć pamięć?

Znów wtoczyłem go pod wodę i tym razem przytrzymałem dopóty, dopóki przestały się pokazywać bąbelki powietrza. Nawet się nieco przestraszyłem, że przesadziłem, bo gdy wreszcie pozwoliłem mu zaczerpnąć tchu, długo nie dawał oznak życia. Za to gdy wreszcie doszedł jako tako do siebie, miałem przed sobą to, co chciałem – roztrzęsioną kupę sadła, przerażoną i uległą.

*Nie pomoże nic brud z ciała,
Jeśli się cnota zbrukała.
Bracie, gdy się tu idziesz myć,
Odkryj cnotę, a zakryj rzyć.
Pirwej brud na duszy obacz,*

Toż potym ciało kępać racz [5].

– I jak? Wiesz już, kim jestem? – spytałem, uraczywszy go następną porcją poezji pana Reja.

– Kacper Ryx – rzekł ze skwapliwością, która zasługiwała na pochwałę.

– Dobrze – poklepałem go niezbyt delikatnie po nalanym obliczu. – Grzeczny chłopiec. Jak tu się dostałem, pewnie się już domyślił, ale z pewnością jesteś ciekaw po co?

Pokiwał gorliwie głową.

– Z rewizytą, rzecz jasna. Tyś nawiedził mnie w moim domu nieproszony, uznałem zatem, że oczekujesz ode mnie tego samego. Czyżbym się mylił? – zmarszczyłem brwi, jakbym poczuł się urażony domniemanym brakiem jego gościnności.

Teraz kiwał przecząco łbem tak energicznie, że zacząłem się obawiać, iż odpadnie mu, zanim wydobędę z niego to, po co tu przyszedłem.

– *Ergo* jesteś rad, widząc mnie tutaj? – upewniłem się.

Dla odmiany zaczął kiwać głową w górę i w dół.

– Cieszę się. I tuszę, iż wkrótce odzyszczesz głos. Ale gdyby ci przyszło do głowy wołać o pomoc, utopię jak szczura albo pchnę nożem – wyjąłem pugnał i machnąłem mu przed nosem.

– Nie jesteś mordercą – rzekł trzeźwo, co świadczyło, że wraca do równowagi, a to mogło być dla mnie niebezpieczne.

– Ale łąco mogę nim zostać, jeśli ty będziesz nierozważny, a mnie przypadkiem zadrzy ręka – odparłem i ciałem sztyłem, jakbym podrzynał mu gardło, nacinając jedynie fałdę tłuszczu na trzecim czy czwartym podbródku; nie jestem bowiem zbyt biegły w rachunkach ani zanadto skrupulatny w niektórych sprawach.

Kwiknął jak zarzynane prosię i złapał się za szyję. Kiedy odjął ręce i na jednej zobaczył odrobinę krwi, szczęki zaczęły mu dygotać jak w febrze, a zęby dzwonić. To mi się znów spodobało. Nie jestem z natury okrutny i choć nie unikam gwałtu, to jest on dla mnie środkiem wiodącym do celu, a nie celem samym w sobie. Poza tym nauczyłem się, że z każdym należy rozmawiać językiem, który pojmuje najlepiej. A z Czeczotką najwidoczniej dogadywaliśmy się coraz snadniej.

– Widzisz więc, że nie żartuję. Wdarłeś się do mojego domu, próbowałeś mnie zastraszyć i groziłeś mojej rodzinie. Siedz cicho i odpowiadaj na pytania, a może wyjdiesz z tego cało, w przeciwnym razie nie ręczę za siebie.

– Czego chcesz? – spytał cicho.

– Prawdy.

– Pytaj więc.

– Dlaczegoś zabił Dorotę?

– Nie zabiłem jej.

– Zła odpowiedź.

Nie zdążył zaczerpnąć powietrza, gdy znów wepchnąłem mu łeb pod wodę i tym razem trzymałem bardzo długo, bo mnie zdenerwował. Dyszał potem, łapiąc powietrze jak ryba wyrzucona na brzeg. Ale gdy się odezwał, w jego wzroku już nie było strachu, tylko jakaś rezygnacja, jakby jednak uwierzył, że nie pozwolę mu ujść z życiem. Mimo to odparł spokojnie i z niejaką godnością, której wcześniej u niego nie zauważyłem:

– Nie zabiłem jej. Nie mógłbym jej uczynić krzywdy, nie jej. Była najpiękniejszą rzeczą, jaka mnie w życiu spotkała.

Spojrzałem nań zdumiony. Czyżby to monstrum było zdolne do ludzkich uczuć? Czy w tych kaprawych ślepiach rzeczywiście dostrzegałem nieklamany ból? Czyżby te łajdackie, zakłamane wargi potrafiły mówić szczerze? Mimo wątpliwości rzekłem z taką twardością w głosie, na jaką było mnie stać:

– To kto to uczynił?

– Wolski. A któż by?

Tego było za wiele. Podniosłem z pawimentu pęk różeg i smagnałem go przez lico, bynajmniej nie pieśczośliwie. Ostatecznie nie byłem profesjonalnym łaziebny. Pisał jak szczur albo baba i skulił się, osłaniając twarz. Kiedy pojął, że następnych ciosów nie będzie, i odjął ręce od gęby, ujrzałem na niej pięć czerwonych pręg, które tylko nieznacznie szpeciły mu i bez tego wstrętny pysk.

– Bij mnie, ile chcesz, lecz to czysta prawda. Ten łobuz omotał dziewczkę, alem w końcu przemówił jej do rozumu. Trochę to trwało, jednak to była pojętna dziewczka, więc ostatecznie zamiast gładkiego hołysza, wybrała mnie i bogactwo, którym ją obsypywałem – głos mu drżał i co rusz spoglądał na różgę w moim ręku, ale mówił chętnie, jakby dawno chciał to z siebie wyrzucić i nie miał przed kim. – Wtedy, tej fatalnej niedzieli, przyszła tu z rana i powiedziała mi, że z tamtym skończone i jak tylko ostatecznie się z nim rozmówi, wróci do mnie na zawsze...

Znów nie byłem pewny, czy w tych żabich ślepiach błysnęły łzy, czy to była tylko zwykła woda... To, co mówił, nie podobało mi się, bo brzmiało dość wiarygodnie. Przypomniałem sobie, że widziałem kiedyś Dorotę przed lustrem, gdy myślała, że nikt nie patrzy. Była cała obwieszona klejnotami, a na twarzy miała wyraz takiej zachłanności i zadowolenia jak kot, co dobrał się do spiżarni... Wówczas mniemałem, iż pod nieobecność matki przymierzała jej precjoza, choć, dalipan!, jakoś nie uderzyło mnie, że ciotka nie używała żadnych błyskotek oprócz ładnego pierścionka i złotego krzyżyka na szyi. Teraz już wiedziałem, skąd Dorota miała swoje skarby. Ciekawe, gdzie je skrywała przed czujnym okiem matki?

– A ty gdzieś był, gdy Dorota jakoby poszła rozmówić się z Wolskim?

Spuścił wzrok.

– Byłem u wdowy Polakówny, jak co niedzielę od czasu, gdy Dorota odeszła do Wolskiego.

– Łacno się pocieszyłeś... I wdowa, rzecz jasna, gotowa jest potwierdzić, żeś był u niej w noc zabójstwa?

– A czemu nie, skoro to prawda? – zdziwił się. – Jeśli mi nie wierzysz, spytaj hutmana Trojana.

– Wyborne! – zaśmiałem się. – Każdy wie, że on siedzi u ciebie w sakiewce.

– Poniekąd masz rację – przyznał. – Ale, nie wiedzieć czemu, traktował tę dziewczkę jak córkę i nie pochwalał jej zażyłości zarówno ze mną, jak i Wolskim. Miał czelność nawet kiedyś wygarnąć mi to w oczy. Mnie, pojmujesz to? Rozmówił się też z Wolskim, gdy ten podbił jej oko, bo bił ją ten hultaj – kiwnąłem głową do siebie, bo dobrze pamiętałem tego siniaka; Dorota próbowała go zamaskować barwiczką, a gdy się nie udało, zełgała, że upadła i uderzyła się o kant skrzyni. – Tego dnia hutman też poszedł za nią do domu magistra i zarzeka się, że dziewczka nie wyszła stamtąd przed świtem. Dlaczego miałyby łąać?

– Właśnie. Mam ci podać przynajmniej jeden powód?

– Niewierny Tomasz – tłuścioch zadrzał. – Cóż, nie chcesz spojrzeć prawdzie w oczy, to twoja turbacja i nic na to nie poradzę. A teraz pozwól mi wyjść z balii. Zimno mi... – zaczął się podnosić.

– Bo się zapłaczę... – pchnąłem go z powrotem do wody. – Mimo wszystko sprawdzę, coś mi powiedział. Pamiętaj jednak, że wciąż ty jesteś moim głównym podejrzanym, w tym względzie nic się nie odmieniło.

Była to prawda, lecz niecała – w gruncie rzeczy miałem coraz większe wątpliwości co do winy tego łajdaka. Chyba to mimochodem ujawniłem, bo moje żądanie nie zabrzmiało zbyt stanowczo nawet w moich własnych uszach:

– Każ uwolnić Wolskiego.

– To zbrodzień – zacisnął usta. – Zabił i da za to gardło. A ty możesz zabić mnie, ale jego to nie ocali.

– Doprawdy? – obaj wiedzieliśmy, że gdyby zabrakło Czeczotki, pozostali rajcowie natychmiast wydaliby magistra pod sąd akademii, radzi że pozbywają się turbacji; z drugiej strony nie byłem jednak mordercą. – Łap! – rzuciłem mu duży winiuch. – Owiń się nim, bo odprowadzisz mnie do drzwi, jak na dobrego gospodarza przystało. I posłuchaj, bo to o tobie:

*Nie wypoci tego w łaźni,
Kto się na suszy pobłaźni.
Uczyń pirwej z cnotą zgodę,
Niżli ciało wmozysz w wodę.
Zmyj pirwej, miły aniele,
Brud z cnoty, niżli na ciele [6].*

– Udatne, nie? Całkiem jak dla ciebie ułożone. Wiesz, czyje to wersy?

– Nie.

– Oto bieda z wami, prostakami, którzy *litteras* nie mają, a za rządzenie się biorą. Mikołaja Reja, drugiego po Janie Kochanowskim największego poety naszych dni,

nieuku.

Nim wyszliśmy z izby, obróciłem go ku sobie i powiedziałem dobitnie:

– Posłuchaj mnie teraz uważnie. Jeśli ty postawisz na swoim i Wolski zostanie stracony, a ja potem odnajdę winowajcę, wrócę tu i zabiję cię. Życie za życie. Wrócę tu także wówczas, jeśli nadal będziesz mi wzbraniał dostępu na ratusz, nękał, nachodził moją rodzinę i straszył ją. Wiesz już, że nic mnie nie powstrzyma. A gdyby mnie spotkał następny wypadek albo aresztowanie, tedy strzeż się, bo mam przyjaciół i kula zza węgła lub sztylet w ciemnym zaułku nie ominą cię prędzej czy później.

Przełknął głośno ślinę i kiwnął głową bez słowa. Pokazałem mu znacząco puginał ukryty pod wschodnią szatą i ruszyliśmy do wyjścia. Dotarłem tam bez turbacji, bo widok ogłuszonego Siekiery, o którego omal się nie potknął, podziałał na Czeczotkę deprymująco, pojał bowiem na dobre, że nie żartuję. Nikt też nie ścigał mnie na ulicy, gdy zmierzałem do „Indyj”, akurat na czas, bo moi towarzysze właśnie stamtąd wychodzili.

– Gdzie nasz farbowany Negr?

– Został jeszcze. Pod wieczór chce wynieść się z miasta. Boi się gniewu Czeczotki. Dałem mu też resztę pieniędzy, których nie zdążyliśmy przepić – odparł Sęp. – A tobie jak poszło?

W drodze do domu opowiedziałem im wszystko. I bez tego mieli dobrze w czubie i niezgorsze humory, a teraz zaśmiewali się tak, że ludzie oglądali się za nami ze zdwojoną ciekawością ze względu na moją czarną gębę i odzienie.

W podworcu przygłupi Jasiek rąbał drwa do pieców.

– Niziołek – rzekłem – bądź łaskaw i pomóż mu. Napalcie też w łazience. Wracam prosto z łaźni i muszę natychmiast wziąć kąpiel, paradne!

– Zjadłbym coś – poskarżył się osiłek. – Nie może być potem?

– Nie. I powiem więcej – ty kąpiesz się zaraz po mnie.

Mina mu zrzędła. Obejrzał swoje łapska, czarne jak święta ziemia.

– Już są prawie czyste. W każdym razie nie brudniejsze niż zwykle.

– Właśnie. Za godzinę chcę cię widzieć w łaźni, inaczej nici z jadła. I jeszcze jedno: oddaj swe łachy do prania i wdziej nowe. Przed chwilą twoja pchła usiłowała wskoczyć na mnie, a tego nie znoszę. Wystarczą mi te, które mam po Macieju Etiopczyku – wzdrygnąłem się, bo nienawidzę wszy, pcheł, pluskiew i innych insektów, od których roiło się wszędy, a przecież zdążyłem się już przekonać, że aby się ich pozbyć, wystarczy zachować czystość swoją i wokół siebie; dlaczego tak niewielu ludzi to pojmowało?

– Ale... – Nizioł próbował się targować.

– Ani słowa. Inaczej nie tylko będziesz głodował, ale już nigdzie cię ze sobą nie wezmę.

– A wybieramy się gdzieś? – oczy mu zabłyśły.

– Jutro złożymy następną wizytę.

– Komu?

– Niewieście.

– O! To lubię najbardziej! Na taką okazję mogę się nawet umyć.

Odszedł do roboty.

– A ja? Zabierzesz mnie? – zapytał Sęp, lecz czułem, że jego ochota jest wymuszona, i jeno nie chce mi sprawić zawodu.

– Ledwie trzymasz się na nogach – była to prawda, pomieszenie wina z piwem nie wyszło mu na dobre. – A poza tym owa białogłowa nie prowadzi się najcnotliwiej i z pewnością ci się nie spodoba, więc lepiej wyśpij się do syta.

– Skoro tak... W takim razie spróbuję coś napisać... – czknął.

– Tak będzie najlepiej – zgodziłem się, choć wyglądało raczej na to, że zaraz zwali się na łożo i będzie spał do południa.

Mój występ w roli Maura nie wzbudził sensacji w domu, bo prócz Jaśka nikt mnie nie oglądał, a Jasiak nie dziwił się niczemu, bo nic go nie zajmowało. Dopiero gdy już się wypućowałem, jak należy, wschodnie szaty oddawszy do prania, poszedłem do ciotki uspokoić ją, że odbyłem rozmowę z burmistrzem i ów odstąpił od wszelkich pretensji pod naszym adresem. Bardzo ją to podniosło na duchu, ale była ciekawa, jak tego dokonałem. Odparłem, że niesłusznie przypisuje się burmistrzowi gębę gwałtownika, podczas gdy jest to człek wielce podatny na rozumną argumentację i wcale gościnnie. To ją trochę zdziwiło. Odszedłem z jej błogosławieństwem, ale wciąż z próżnym żywotem, więc zasiadłem do posiłku z Niziołkiem, od którego biła niemal łuna, wszak trochę nieswoim i wiercącym się, bo nieprzyzwyczajonym do czystej skóry i takiegoż przyodziewku. Sępa oczywiście z nami nie było. Nie wstał, choć posłałem po niego nadobną Kasię.

Potem udałem się do ciotki po klucz i pozwolenie na penetrację izby należącej do Doroty, tłumacząc to nadzieją znalezienia jakiegoś śladu pomocnego w inwestycji. Dostawszy bez trudu jedno i drugie, znalazłem się w komnacie, w której nie byłem od dawna, odkąd przestaliśmy być dziećmi i nasze drogi się rozeszły. Nie było to wnętrze, w którym chciałbym mieszkać. Za dużo krzykliwego przepychu, za mało gustu i umiaru. No cóż, była w tym cała Dorota. Obrzuciłem okiem wszystkie sprzęty i stwierdziłem, że tylko w dwóch skrzyniach może znajdować się to, czego szukam, o ile w pomieszczeniu nie ma jakiejś skrytki. Jednak ściany i podłogę zostawiłem sobie na potem. Obie skrzynie były próżne, widocznie co lepsze rzeczy po nieboszczce dostały się Jadwiźce, która była tego samego wzrostu i budowy co zmarła siostra, a pozostałe służącym, jak było w zwyczaju w takich wypadkach. Większa i starsza skrzynia, którą pamiętałem z dawniejszych czasów, nie wzbudziła mojego zainteresowania. Druga była nowa, pięknie ozdobiona snycerską robotą i malowana przez niezłego rękodzielnika w sceny z grecko-rzymskiej mitologii, przedstawiające Amora i Psyche wraz z napisem: *Omnia vincit Amor* [Z]. Tę obejrzałem sobie uważnie i wkrótce spostrzegłem, że była płytsza, niż powinna, dno miała wszak solidnie umocowane i nie dało się ruszyć. Zamknąłem skrzynię i zastanowiłem się.

Dwie listwy niby gzyms obiegały ją górą, dołem i po brzegach, poprzeczna zaś oddzielała dwa malowidła na frontowej ścianie. Boki także były zdobione, natomiast tył – nie. I tu jednak biegła dołem gruba listwa. Postawiłem skrzynkę we wnęce okiennej i uważnie obejrzałem ową zadnią listwę. Mocno pochwyliłem ją palcami i pociągnąłem ku sobie. Jej środkowa część ustąpiła i oto miałem w rękach niezbyt głęboką i okazałą szufladę, sprytnie ukrytą pomiędzy prawdziwym i fałszywym dnem skrzyni. Zawartość owej sekretnej skrzyneczki skrzyła się i mieniła wszystkimi barwami tęczy. Były tu złote i wysadzone drogimi kamieniami naszyjniki, pierścienie, guzy, zapiny i co tam jeszcze niewiasty z upodobaniem nakładają na siebie. Jeżeli uczucie da się przeliczyć na pieniądze, to Czeczotka nie łgał – musiał darzyć Dorotę niemałym afektem. A skoro tak, tym łatwiej mógł się posunąć do zbrodni w napadzie zazdrości. Wsunąłem szufladę z powrotem i odniosłem skrzynię na miejsce. Oddałem ciotce klucz, nie wspominając o swoim odkryciu. Przyjdzie na to czas.

Resztę dnia spędziłem pracowicie w szkole Świętego Ducha, na prośbę ojca Rocha starając się osieroconym żaczkom zastąpić Wolskiego, a przy okazji podciągnąć ich nieco w zakresie gramatyki łacińskiej. O zmierzchu byłem całkowicie wykończony i wiedziałem jedno – jakkolwiek potoczą się moje dalsze losy, nie będę do końca życia cudzych dziełek uczył. Nie miałem tyle zdrowia. Układałem się właśnie do snu, gdy coś zaskrobało w drzwi. Nie była to mysz, a Kasia-Anusia; ponętna, chętna i przepelniona wdzięcznością. Mam swoje zasady, do których należy unikanie tego rodzaju miłostek, czekam bowiem na wielkie miłowanie, lecz że czekanie się przeciąga, czasami czynię wyjątki. Jak tym razem... Ale wcale nie żałowałem, tego właśnie mi było trzeba po ostatnich przejściach, a dziewczka znała się na rzeczy.

ROZDZIAŁ 7 | INWESTYGACJA

Pojawili się w Bizancjum w XIV wieku, a w następnym rozeszli po Europie. Nikt nie wiedział, skąd przybyli [1], nawet oni sami. Utrzymywali, że wywodzą się z Małego Egiptu [2], nazywano ich więc ludem faraona, Egipcjanami, a w szesnastowiecznej Polsce, do której, wypędzeni z Niemiec, napłynęli wtedy szeroką falą – Mirmidonami, ale najczęściej – Cyganami. Oni zaś sami siebie określali mianem Romów. Nie lubiano ich, bowiem mieli ciemną skórę, używali niezrozumiałej mowy, ubierali się dziwnie i jaskrawo i mieli osobliwe zwyczaje, będąc stale w drodze. Uważano, że są potomkami Kaina, po zamordowaniu brata skazanego na wieczną tułaczkę.

Szli od strony Oświęcimia, zdążając ku Krakowowi. Jednak trzy dni temu, zaraz za Zatorem, zabłądzili w zawiei i ani spostrzegli, że miast trzymać się traktu, poszli łożyskiem zamarznętej Wisły, przez co nadłożyli sporo drogi i ominęli Tyniec. Dopiero napotkany wypadkiem chłop, który przyszedł do przerębla nałapać ryb, nakierował ich na gościniec. Starszy ciągnął niewielką dwukółkę, nad którą na półkuliście wygiętych patykach rozpięli płachtę z nasmołowanego płótna. Wózek był jednokonny, ale chabeta, która go ciągnęła, ustała z wysiłku, więc wyprzęgnięta, noga za nogą, ze zwieszonym łbem wlokła się teraz z tyłu. Cygan przewodnik miał ciemne lico, długie czarne włosy, w skręconych kudłach opadające mu na plecy, wąsy i brodę oraz kolczyk w uchu. Ubrany był dziwnie, zarazem dziadowsko i dostatnio: w połatany kaftan z wielkimi srebrnymi guzami, a każda z łat innej barwy, na głowie nosił wysoką baranią czapkę, na nogach nawet dość porządne buty z cholewami.

Wóz popychał wyrostek w nędznym odzieniu, smukły i sprężysty, ale nie wyglądający na silnego. Za wozem biegły uwiązane na powrozach dwa konie, widać zbyt cenne, by je zaprząć, a także koza. Na kolejnym przystanku starszy Cygan puścił dyszel i poszedł na tył wozu.

– Może się tu rozbijemy? – spytał wyrostka w ich języku.

Ów oparł się o wóz, zdyszany, i wskazał na niebo, ciemne mimo dnia.

– Idzie kurzawa, zasypie nas i pomarzniemy – wędrujący Cyganie na popas rozbijali nędzne, stożkowate namioty ze znalezionych patyków i smołowanego płótna, ale to było dobre na inne pory roku, nie w zimie.

– Co powiadał ten wieśniak?

– Że do wsi będzie z pół mili. Teraz to pewnie tylko ćwierć. Lepiej chodźmy.

Starszy zastanawiał się chwilę, bo dla Cygana każda osada była wielką niewiadomą – mogło ich tam czekać dobre przyjęcie, ciepło przy ogniu i niezły zarobek, ale też przeciwnie.

– *Mišto* – rzekł po namyśle.

Godzinę potem w śnieżnej zawierusze, która rozpełtała się nagle, jak to przewidział wyrostek, ujrzeli w dali małe światełko. Nie tylko zwierzętom dodało to sił, ale także Cyganowi ciągnącemu wóz, który poderwał się do ostatniego wysiłku, niczym koń na widok stajni z pełnym żłobem. Spora chałupa, przycupnięta na skraju wioski, jedyna, której dwa okna były dość jasno oświetlone, okazała się karczmą, i to pobudowaną niedawno, bo bale wciąż wydzierały żywiczną woń świeżości. Godła jednak nie dało się odczytać, tak było zaprószone śniegiem. Tylko wieniec zawieszony na sterczącym poziomo drągu wskazywał dumnie, że ta wiejska gospoda ma prawo sprzedawać wino. Choć zajazd wyglądał niepozornie, miał dość obszerną stajnię i oborę, ustawione tak, że wraz z cofniętą od drogi gospodą tworzyły pośrodku majdan o niemal idealnym prostokącie.

Arendarz, brodaty Żyd, który na ujadanie psa wyszedł za drzwi, na widok przybyszy skrzywił się, zamachał rękoma jak wiatrak i zawołał:

– My Cyganów nie przyjmujemy, idźcie precz! – po czym zatrzaskał drzwi.

Młody Cygan z zazdrością spojrział na psa – który przestał szczekać i schronił się w cieplej budzie, wystawiając stamtąd tylko sam nos – po czym zaczął pomagać starszemu obracać wóz, gdy wtem na drodze rozległ się tętent i na majdan wpadli jezdni. Była to szlachta z kilkorgiem czeladzi.

– Patrzcie! – zawołał jeden z przybyłych, zoczywszy Cyganów. – Egipcjanie!

– Mirmidony! – potwierdził drugi, zeskakując z wierzchowca i rzucając wodze pachołkowi. – Złodziejskie nasienie. Cygan Cyganem świadczy, a wszystko *fur* jeden w drugiego!

– Masz, Cyganie, świadki? Mam żonę i dziatki! – zaśmiał się trzeci. – Nic dodać, nic ująć.

– *Cyhańska kobyła try dni leżył, a deń biżył* [3] – dodał czwarty, widać Rusin.

– Bzdury! – zawołał pierwszy. – Hej, ty, Cyganie! A dokąd to?

Zagadnięty zdjął z uszanowaniem czapkę, pokłonił się nisko pytającemu i odparł:

– Kudy oczy poniosą, łaskawy panie. W ogólności to na Podlasie, bo tamtejsza szlachta ponoć zezwala osiedlać się Romom, wysoce sobie ceniąc nasze umiejętności kowalskie i przy robotach leśnych. Chcieliby tu należeć przytulisko na noc, aleć

gospodarz nas precz przepędził.

– A co wy umiecie? – zaciekawiał się drugi. – Cygaństwa nie licząc.

– My nie kradniemy, łaskawy panie – odparł starszy Cygan. – Jam kowal, a i na koniach się znam, i gram na cymbałach. A mój chłopak wróżyć potrafi i sztuki rozmaite zna.

– Ejże! – zawołał trzeci, oglądając buta. – Blaszkę do buta masz, Cyganie?

– Do wyboru, jasny panie, w skrzynce na wozie. Migiem znajdę i dopasuję.

W tej chwili do czwartego szlachcica podszedł sługa i coś mu szepnął.

– A podkowy masz? – rzekł ów. – Jeden z moich koni postradał podkowę.

– Mam, wielmożny panie. W dużym wyborze.

Czwarty szlachcic od pewnej chwili oglądał uważnie jednego z koni uwiązanych z tyłu cygańskiego wozu.

– Cyganie, *szczo chcesz za totu kobyłku?*

– Niedużo, wasza wielmożność, choć koń zacny. Na pewno dobijem targu.

Szlachcic skinął głową.

– Pogadamy jutro. Za widoku. Nie zwykłem kupować kota w worku, zwłaszcza od Cygana.

– Bacz – zaśmiał się jego kompan – obyś nie pociągnął kota! [4]

– Nie macie niedźwiedzia? – skrzywił się szlachcic najbardziej niechętny Cyganom.

– My nie niedźwiednicy, panie, ale mamy kozę.

– Kozę?

– Kozę – powtórzył starszy Cygan i skinął na wyrostka, który zgrabiłymi rękoma z trudem odwiązał kozę od wozu i podprowadził ku drabinie wiodącej na stryszek chlewika.

Wyglądało na to, że coś do zwierzęcia mówi, po czym pogłaskał je po łbie, a koza zaczęła się wspinać po szczeblach, po czym, na kłaśnięcie, samodzielnie zszła z drabiny. Następnie, na rozkaz wyrostka, wskoczyła na palik wbity w ziemię i utrzymała się na wierzchołku, dopóki chłopak nie pozwolił jej zeskoczyć.

– Brawo! – zawołał pierwszy szlachcic, najmniej uprzedzony do Cyganów, i rzucił chłopcu talara. – Naści za przednie widowisko. Ej tam, otwierać tę budę! Długo tu będziem marznąć?!

Rumor na podwórzu wywabił wreszcie gospodarza, który widząc znakomitych gości, zgiął się w ukłonie i jął zapraszać do środka.

– Gość w dom, Bóg w dom! Upraszam do środka, jaśni panowie, a o wierzchowce się nie trapiecie. Służba zaraz powiedzie je do stajni i nakarmi najprzedniejszym obrokiem! – odsunął się od progu.

Cyganie, zostawieni sobie, z wolna zbierali się do odejścia, gdy ostatni ze szlachciców odwrócił się na progu i zawołał:

– Ejże, Egipcjanie, pójdźcie się ogrzać. Pogoda taka, że psa by nie wyrzucił.

– Ale... – próbował zaprotestować karczmarz.

– Ani słowa – przerwał mu szlachcic. – Cyganie, a nie zabacz cymbałów! Zabawicie nas.

Akurat kończyliśmy śniadać, gdy Jasiak, którego ciotka wysłała po coś na Rynek, wrócił i powiedział mi, że przed gospodą czeka na mnie jakiś człowiek. Mąż ów niecierpliwie przechadzał się tam i nazad, lekko utykając. Po tym go poznałem. Gdy wyszedłem za drzwi, zaraz podszedł do mnie.

– Jam jest Bartłomiej Trojan, hutman ratuszny. Chciałbym pogadać. Ale nie tu. Czekam u Fukiera.

Wróciłem do domu ubrać się cieplej oraz powiedzieć Niziołkowi, dokąd i po co idę, tak na wszelki wypadek, bo nie wierzyłem, by w taki sposób chciano położyć na mnie areszt.

Winiarnia Fukierów, znanego krakowskiego rodu spolszczonych Niemców, Fuggerów, mieszcząca się w Rynku, należała do najlepszych w mieście, bo też mieli na składzie wyborne trunki, sprowadzane z całej Europy, od słodkich greckich małmazyj po wyborne tokaje węgierskie, reńskich win nie licząc. Podawali do tego wyśmienite ciasta i pasztety własnej roboty. Jak było przyjęte w naszym mieście, nad winiarnią wisiało jej godło – wieniec z winorośli upleciony; gdyby to była piwiarnia, nad drzwiami tkwiłaby wiecha, zaś nad miodosytnią – krzyż.

Można tu było spotkać ludzi nauki, sztuki, dworzan z ambicjami artystycznymi, a także wróżów, czarodziejów i alchemików, których nazjeżdżało się do Krakowa z całego świata co niemiara. Słyszałem, że Fukier chełpił się, iż jego ojciec ponoć gościł ongi samego wielkiego Kopernika, rzekomo spotykającego się tutaj ze znanym w mieście magiem Twardowskim i jego druhem Faustem, który przybył z Niemiec, by studiować na najślawniejszym w świecie wydziale astrologicznym naszej akademii. Działo się to jeszcze za panowania króla Starego, jeżeli w ogóle, w co nie bardzo wierzyłem. No bo po co poważny i już wtedy sławny uczony miałby się spotykać z astrologami i alchemikami niewiele wówczas znaczącymi, a i dziś cieszącymi się sławą dość wątpliwą? Chyba że dla przyjemności pogadania w języku dziecięctwa... Twardowskiego znałem z widzenia, bo kręcił się po Rynku, gdzie jego żona miała kram, poza tym był najślawniejszym z żyjących badaczy nauk tajemnych, które mnie wszak jakoś nie pociągały, gdyż ojciec Roch nauczył mnie cenić przede wszystkim to, co jest dostępne rozumowi i doświadczeniu. U Fukiera też nie bawiłem dotąd, gdyż nie było takiej potrzeby, dlatego rozglądałem się ciekawie. W rzeczy samej, był to lokal wyższej rangi niż nasza gospoda.

Hutman siedział w kącie, przed nim stały flaszka i dwie szklanice. Było jeszcze dość wcześnie i lokal, podobnie jak nasz, nie zaczął się zapęlniać. Tylko przy sąsiednim stole jakiś brodaty i siwy człek w ciemnych szatach studiował księgę rozpostartą na ławie. Gdy przerzucił stronicę, księga złożyła się i ujrzałem kartę tytułową. Zdażyłem przeczytać: *De revolutionibus orbium coelestium* [5]... Dzieło

Kopernikusa! Ów uczony mąż był odważny lub nieostrożny, bowiem koncepcja Kopernika, jakoby Ziemia wraz z innymi planetami krążyła wokół Słońca, nie cieszyła się uznaniem Kościoła.

– Wiesz pan, kto to? – spytałem cicho, dosiadając się do hutmana i dyskretnie wskazując uczonego.

– A ty nie wiesz? To Jerzy Joachim Retyk, nadworny astronom królewski. Uczeń wielkiego Kopernikusa.

Słyszałem, że to on dostarczył umierającemu Kopernikowi dzieło jego życia, wydane w Norymberdze w 1543 roku, lecz ile w tym prawdy, tego nie wiem. Chętnie bym poznał Retyka, który sam cieszył się zasłużoną sławą wybitnego astronoma, ale musiałem to zostawić na inną okazję, bo Trojan rzekł z lekkim zniecierpliwieniem w głosie, wskazując mi szkło:

– Nalej sobie. – Gdym się zastosowałem do jego rady, ciągnął: – Doszły mnie słuchy, synu, że bardzo zajmuje cię sprawa magistra Wolskiego. To zaś oznacza niełaskę burmistrza Tłokińskiego, co miałeś już sposobność odczuć.

– Spotkałem się wczoraj z panem burmistrzem i w serdecznej aurze wyjaśniliśmy sobie wszelkie nieporozumienia – odparłem, obserwując bacznie mojego rozmówcę, ciekaw, czy to spotkanie nie jest przypadkiem efektem owej wizyty.

Surowa, pobrużdżona twarz hutmana przybrała wyraz zdziwienia, a krzaczaste brwi uniosły się w górę.

– Doprawdy? Jakoś sobie tego nie imaginuję, a osobliwie owej serdecznej aury – rzekł sardonicznie. – Ale skoro tak utrzymujesz... Zresztą nic mnie to nie obchodzi. Nie zostałem wysłany przez niego ani przez radę miejską. Chciałem się z tobą spotkać prywatnie...

– Po co? – spytałem, gdy milczał dłuższą chwilę, wpatrując się w szklanicę z winem i obracając ją w palcach.

Podniósł na mnie poważne spojrzenie.

– Abyś poniechał swych wysiłków. To daremne, choć ci się chwali. Wiem, że Wolski to twój druh, lecz jest winny jak diabli, a twoje postępowanie ściąga odium możnych nie tylko na ciebie, lecz na całą waszą rodzinę.

– Rzekłem już, iż rozmówiłem się z burmistrzem, który zobligował się, że poniecha nękania i mnie, i mojej rodziny.

– Nawet jeśli to prawda, a nie bardzo chce mi się dać temu wiarę, bo lepiej od ciebie znam pana Tłokińskiego, to nie pojmujesz jednego. Została już wprawiona w ruch wielka machina i zbyt wielu potężnych ludzi jest w to wciągniętych po uszy, aby sprawa skończyła się inaczej niż skazaniem magistra, choćby nawet całe to miasto miało stanąć w ogniu. Machina owa zmiażdży każdego, kto wlezie w jej tryby, a więc w pierwszej kolejności ciebie i twoich bliskich. Ergo z serca cię proszę, chłopcze, poniechaj tej sprawy. Potraktuj to jako ojcowską radę.

Wyraz życzliwości i troski, który dostrzegłem w jego szarych oczach, wydał mi się nieklamany, co zdziwiło mnie jeszcze bardziej, mimo to nie wyzbyłem się

nieufności.

– Czy to nowa sztuczka burmistrza? Nie powiodło się groźbą, próbuje prośbą?

– Już ci mówiłem, że jestem tu z własnej woli – rzekł z urazą w głosie. – Powoduje mną czysta życzliwość wobec ciebie i całej waszej rodziny, uwierz mi.

– Czemu? Nie pojmuję owej życzliwości ku mnie i moim bliskim. Do dziś nie zamieniliśmy ze sobą ani słowa, nie widywałem waści w naszej gospodzie, nie słyszałem o zażyłości z kimkolwiek z naszego domu...

Westchnął ciężko.

– Wiem, że masz mnie za człeka zaprzędanego duszą i ciałem burmistrzowi Tłokińskiemu i jest to poniekąd prawda, atoli niecała. Chcesz argumentów? Bardzo proszę. Nie zgodziłem się użyć swoich ludzi do napaści na ciebie, więc musiano wysłać drugich. No i – uśmiechnął się lekko – wiem dobrze o twoich konszachtach z Matysem Szarskim, choć on nie wie, że ja wiem. Czy mimo to ukarałem go albo zakazałem współpracy z tobą? Nie. Czemu? Bo obserwuję cię pilnie od lat, synu, podobnie jak innych członków waszej rodziny, a to, co widziałem, podoba mi się i nie chciałbym, aby spotkała was krzywda z powodu kogoś, kto na takie staranie nie zasługuje.

Podniosłem do ust szklanicę i wypilem solidny łyk. Musiałem się zastanowić. To prawda, że hutman uchodził za wiernego sługę Czeczotki, ale przy tym za człeka sprawiedliwego i raczej uczciwego. Nigdy nie słyszałem, by wykorzystywał stanowisko dla prywaty, pastwił się nad aresztantami bez potrzeby czy zezwalał to czynić swym podkomendnym.

– Mam swoje lata – rzekł, jakby odgadując, jakim torem biegły moje myśli. – W moim wieku i z tym – wysunął chromą nogę i dotknął zasnutego bielmem oka – niełatwo byłoby mi znaleźć inszą robotę. Dlatego jestem posłuszny woli burmistrza i rady, nawet jeśli nie zawsze mi się to podoba. Gdy będziesz starszy, łatwiej pojmiesz, jak rzadko czynimy tylko to, co uważamy za słuszne, a jak często to, do czego przymusza nas konieczność.

Trudno byłoby zaprzeczyć, pozostała jednak jeszcze jedna rzecz do wyjaśnienia.

– W dalszym ciągu nie pojmuję, skąd u waści taka ekstraordynaryjna troska o naszą rodzinę?

Rozlał resztę wina do obu szkieł i napił się, potem otarł wąsy i zaczął opowieść:

– Powiem ci. Dawno temu terminowałem u stolarza, gdy wpadła mi w oko piękna dziewczyna, służka, równie uboga jak ja. Była mi przychylna, więc żeby mieć na weselisko i dobry początek wspólnego życia, zaciągnąłem się do cesarskiego wojska. Wojowałem w Czechach z tamtejszymi kacerzami i wówczas poznałem twego preceptora, ojca Rocha. Nie wspominał ci o tym? Snadź nie widział potrzeby... Tak zeszło mi niepostrzeżenie parę lat. Wreszcie, za jednym zamachem, straciłem i oko, i niemal nogę. Twój opiekun poskładał ją do kupy, ale już zawsze była krótsza. Wróciłem do Krakowa jeszcze biedniejszy niż wprzód i na domiar kaleka... Dziewka, rzecz jasna, nie czekała na mnie, mniemając, iż poległem. Słyszałem, że

zeszła na złą drogę, ale fortuna uśmiechnęła się do niej i wydała się za zamożnego obywatela, Josta Balcera...

Drgnąłem zaskoczony i niemal zakrztusiłem się winem.

– Tak, mowa o twojej ciotce, chłopcze. Zdziwiony? Różnie mi się potem wiodło, nim dobiłem się obecnego stanowiska. Ale waszej gospody zawsze unikałem jak ognia. Nie wiem nawet, czy Petronela wie, że żyję... Parę razy mineliśmy się na ulicy i nie poznała mnie. Niech więc lepiej tak ostanie, jak jest, po co budzić dawne wspomnienia i rozdrapywać stare rany? Nie mów zatem nikomu o tym spotkaniu, a zwłaszcza jej... Nie chciałem jej oglądać i dać się poznać, jednak coś mnie do was ciągnęło... Patrzyłem, jak wy, dziatwa, dorastacie i, rzecz dziwna, przywykłem myśleć o was jak o swojej familii, której nie mam. Osobliwie upodobałem sobie Dorotkę. Takie z niej było śliczne dziewczę, jak z obrazka... Dlatego, gdy odkryłem, że zadaje się z burmistrzem, a potem z Wolskim, chciałem zabić obydwu – potarł ręką spotniałe czoło i rozpostarł zwinięte w pięść palce prawicy. – I doprawdy niewiele brakowało... Kiedy tylko mogłem, śledziłem ją. Owej niedzieli też. I dlatego wiem z pewnością, że była wówczas u Wolskiego. *Ergo* nie trać czasu dla tego łotra, chłopcze, bo nie warto. On ją zabił, to rzecz pewna. A ja dopilnuję, by położył głowę na katowskim pniu, choćby całe miasto szturmowało ratusz! W tym jedynym względzie pan burmistrz może na mnie polegać jak na Zawiszy. Choćby przed sądem będę świadczył tak, by zbrodniarza pograżyć...

Tyle bólu i determinacji było w jego słowach, że aż zrobiło mi się go żal.

– Jak długo obserwowałeś waszmość dom magistra, całą noc?

Zawahał się, jakby rozważając, czy powiedzieć prawdę, czy powtórzyć to, przy czym obstawał, potem się widocznie przemógł, bo rzekł:

– Nie. Odszedłem o zmierzchu, przed zamknięciem bron – do powinności hutmana albo burmistrza nocnego, jeśli miasto nie miało hutmana, należało dopilnowanie pozamykania bram i odniesienie kluczy na ratusz.

– A mord został popełniony późno w noc. Sam więc waść widzisz, że twoje świadectwo nie jest wiele warte. Przecież Wolski nie wypiera się, że była u niego tego dnia, utrzymuje jednak, iż po kłótni uciekła odeń w środku nocy, i jak dotąd nie sposób zadać mu kłamu.

– To prawda – odparł. – Lecz dla mnie bez znaczenia. W sądzie stanie jego słowo przeciw mojemu.

– Ale dla mnie ma znaczenie, a jeszcze większe dla Wolskiego. Nie wiem, czy waść słyszałeś, iż niedługo otrzymam serwitoriat królewski na uprawianie w naszym mieście profesji inwestygatora. Jeślibym przez zaniedbanie dopuścił do skazania mojego pierwszego klienta, któż by mi potem zawierzył? Dlatego będę nadal badał tę sprawę. A jeśli moje dowody obalą twoje fałszywe świadectwo, będziesz waść odpowiadał za krzywoprzysięstwo.

Potrząsnął głową.

– Nie wierzę, byś coś znalazł, lecz trudno, uczynisz, jak zechcesz. Ja też uczyniłem

już dla ciebie wszystko, co mogłem. Napijesz się jeszcze?

– Dziękuję, muszę zaraz pójść w jedno miejsce.

– A ja się napiję – wezwał posługacza i kazał mu przynieść nową flaszę. – Raz ostatni powtórzę – rzucił, widząc, że zbieram się do odejścia – lubo myślę, że nadaremnie: uwierz w winę Wolskiego i poniechaj tej sprawy, co wszystkim obróci się na dobre.

– I ja dam waści dobrą radę, z której, tuszę, zechcesz skorzystać: zamów u dobrego szewca buty z jedną podeszwą o cal grubszą od drugiej, co twojej chromej nodze z pewnością wyjdzie na dobre.

Uśmiechnął się trochę smutno i przypomniał:

– Pomnij, że tej rozmowy nie było. W razie czego wyprę się i tego.

– Wiem.

Z Niziołem spotkałem się w połowie drogi do domu. Zdązał mi w sukurs z marsową miną, gotów na wszystko, o czym świadczył potężny tasak sterczący spod opończy.

– Wszystko w porządku – uspokoilem go. – A teraz na Floriańską. Do wdowy Waliszewskiej *alias* Polakówny. Ponoć gdzieś tam mieszka.

– U ojca, Piotra Polaka, rzeźnika. To lizodup Czeczotki, dlatego został rajcą. Wiem, który to dom.

– Skąd? – spojrzałem na niego zaskoczony.

Wzruszył wielkimi ramionami i nic nie odparł. Dom Polaka był okazały, ale nie najładniejszy na tej ulicy, najpiękniejszej w całym mieście. Zwano ją też czasem *platea Sancti Floriani* lub Tworzyjańską, co było dosłownym tłumaczeniem imienia Florian. Mieszkali tu bogaci patrycjusze, odrobinę tylko mniej zamożni od tych, co mieli siedziby w samym Rynku, albo po prostu z mniej szacownych rodów. Jak Polak, nowobogacki, który swą pozycję zawdzięczał konszachtom z Czeczotką. Jego kamienica, jedna z nielicznych na ulicy, nie posiadała swego godła – albo Polakowi nie dostawało fantazji, albo poskąpił na dobrego muratora, bo dla przykładu ozdobny portal w sąsiednim domu był dziełem sławnego Jana Michałowicza z Urzędowa, „polskiego Praksytelesa”. Długo musieliśmy kołatać do zamkniętej na głucho bramy, nim stareńki odźwierny, pamiętający chyba jeszcze młodego króla Starego, otworzył nam drzwi.

– Do pani Anny Waliszewskiej – powiedziałem.

– Hy? – starzec przyłożył dłoń do ucha.

Do kaduka! Na dodatek był głuchy jak pień.

– Józefie, kogo tam diabli przynieśli?! – rozległ się z góry donośny, lecz mało przyjazny głos.

– Do jejmości Anny! – wrzasnąłem w odpowiedzi.

– Do tej ladacznicy?! Zamtuz z zacnego domu uczyniła ta dziewczka wszeteczna! – trzasnęły zamykane drzwi.

– Dość tego, wiem, którądy iść – Nizioł zdecydowanym ruchem odsunął

starszka i popchnął mnie naprzód.

Przemierzyliśmy sień i wyszliśmy na podwórze, do oficyny, nie zważając na niewyraźne protesty starego sługi.

– Stary pozwolił owdowiałej córce wrócić do domu, ale gdy zaczęła sobie sprowadzać gachów, wygnał ją tutaj – wyjaśnił Nizioł, energicznie stukając do drzwi.

– Byłeś już tu – stwierdziłem.

– Zdarzyło się – odparł.

– Idę, idę – usłyszeliśmy spoza drzwi.

Niewiasta, która je otworzyła, odpowiadała dokładnie mojemu wyobrażeniu o niej. Dość niechlujna, rozmamłana, w szacie rozpiętej na piersi i ukazującej obfity biust. Bujne rudawe włosy okalały twarz, jeszcze dość ładną, ale nie dla mnie, bowiem zbyt często oglądałem podobne do tej, z wymalowanym na nich wyrazem właściwym wszystkim dziewczynom tej profesji.

– Niziołek! – zawołała na widok mego towarzysza, a w jej głosie wyczułem kilka tonów naraz: zaskoczenie oraz zadowolenie połączone jakby z pretensją.

– Spodziewałaś się kogo?

– Szczerze rzekłszy, tak. Ale skoro dotąd się nie pojawił, więc pewnie żona go zatrzymała w domu. Wejdźcie – wpuściła nas do środka i ciągnęła: – Miło, że przyszedłeś, i to z kompanem. Za uciechę we troje porachuję dubeltowo i tym razem z góry – spojrzała na Nizioła znacząco. – I tak jesteś mi dłużny dwa talary z okładem.

To wyjaśniało sprawę. Nizioł płacił mało albo wcale, ale miał inne zalety cenione przez niewiasty takie jak ta, w co nie wątpiłem, znając jego pozostałe mięśnie. Komnata, do której nas wprowadziła, wyglądała jak jej mieszkanie – bogato i niechlujnie. A na środku, jakby inaczej, królowało wielkie, rozbabrane łoże.

– Na co czekacie? Rozgośćcie się... – zachęciła nas gospodyni, układając się na skraju łoża w kuszącej pozie.

– Przykro mi – rzekłem nieco zażenowany, że muszę ją rozczarować po raz wtóry.

– Przybyłem w innym celu.

– Jakim? – przeciągnęła się leniwie, ujęła kraj mego płaszcza i pociągnęła mnie na łoże. – Ładny z ciebie chłopak. I już taki zepsuty? Nie trap się, uczynię wszystko, co zechcesz, to jeno kwestia ceny.

– Chcę jedynie odpowiedzi na jedno pytanie – naoglądałem się i w dzieciństwie, i potem takich jak ona, dlatego nie pociągały mnie zbytnio nawet wcale miłe i ładne dziewczki z naszej tawerny; owszem lubiłem się na nie pogapić, zapuścić żurawia w głąb biustu, gdy się nachylały, zmacać tu i ówdzie po pijaku albo i pochędożyć z rzadka, ale z żadną nie miałem oskomy się wiązać; dobrze wiedziałem, jakiej dziewczki mi trzeba.

– Pytaj więc – uniosła się na łokciach.

– Czy Czeczotka spędził u ciebie tę noc, podczas której zginęła Dorota Balcerówna?

– Aaa... Więc to ty jesteś Kacper Ryx, czyrak na zadku mości burmistrza?

– Owszem – odparłem lekko urażony. – Choć nie nazwałbym się tym mianem.

– A zatem zadra w jego tyłku.

– Powiedzmy – cierń, jeśli łaska.

– Jak wola – wzruszyła nagimi ramionami. – Owszem, mój luby chłoptasiu, pan burmistrz Tłokiński spędził u mnie nie tylko tę noc, ale wiele poprzednich i późniejszych. Zawsze przychodził po sumie i zostawał do poniedziałkowego południa. Zadowolony?

– Możesz tego dowieść?

– Nie. Ale poznałeś już pozostałych domowników. Brama skrzypi, stary Jan jest głuchy, lecz nie ślepy, zaś ojciec dobrze wiedział o wizytach burmistrza i nie miał nic przeciwko nim... Stary rajfur! Gdyby mógł, sam włożyłby Rozmusowi do zadka.

Przesunęła mi ręką po policzku. Nie było to niemiłe, ale na mnie jej czar nie działał. Jeszcze czułem rozkoszne mrowienie w łądźwiach po nocnych igraszkach z Kasią-Anusią, nadto Polakówna zbytnio przypominała mi inną ładacznicę, z którą straciłem cnotę. Nie miałem wówczas jeszcze piętnastu lat, włączyłem się w kompanii linoskoków i napatrzyłem lasciwii do woli. Zohydziło mnie to, ale i pobudziło zarazem, byłem bowiem akurat w tym wieku, gdy rodzi się zainteresowanie takimi sprawami. Wykorzystała to, i mnie przy okazji, pewna mała, starsza i o wiele brzydsza od Waliszewskiej. Po tym doświadczeniu na długo straciłem ochotę na tego rodzaju zabawy. Rzuciłem na łóżko monetę i wstałem.

– Nie byłaś zazdrosna o Dorotę?

– Nie – odparła szybko, lecz po skurczu na licu poznałem, że w tym wypadku kłamie. – Gdybym była zazdrosna o każdą młódkę, z którą Rozmus sypia, utopiłabym się we własnych łzach i zalała nimi cały Kraków. Odkąd pamiętam, zawsze miał drugie i zawsze potem do mnie wracał. Co inszego Franek Wolski. Najpierw chciał się koniecznie ze mną żenić, a potem w jednej chwili ostawił dla owej wywłoki. Dlatego z lubością pomogłam zastawić nań pułapkę i wydałam pacholkom. Swoją drogą jesteś głupi lub odważny albo jedno i drugie. Wiesz chyba, że powtórzę naszą rozmowę Rozmusowi?

– Nie dbam o to.

– Jednak odważny – westchnęła i przeciągnęła się kusząco. – Lubię młodzieńców z jajcami. Mogę coś jeszcze dla ciebie uczynić, chłopcze? – zanuciła:

Oj, dałabym ci dała

Kosmatego ciała...

– Dzięki.

– Trudno – rzekła, sprawdzając pieniądź białymi zębami. – Może przynajmniej ty ostaniesz, Niziołku? Jeśli cokolwiek brzęczy ci w kiesce...

Zagadnięty przesunął językiem po wargach i zerknął na mnie niepewnie. Skinałem przyzwalająco, wsunąłem mu w dłoń drugą monetę, skłoniłem się niedbale

gospodyni i wyszedłem. Gdy wracałem do domu, przez głowę przebiegały mi liczne pytania, na które nie znajdowałem odpowiedzi. Czy Polakówna nie kłamała? A może sama z zazdrości zabiła Dorotę? Skoro potrafiła, jak głosi plotka, otruć męża, by dać folę swym chuciom, była zdolna do wszystkiego. Ale skoro spędziła feralną noc z Czczotką, tedy nie mogła dokonać zbrodni. Mało tego, burmistrz też nie mógł jej popełnić. Więc kto? Może hutman Trojan? Może wcale nie żywił do Doroty ojcowskich uczuć, jak utrzymuje? Pobił przecie Wolskiego, może z zazdrości, a jeśli tak, czyżby z tego samego powodu zabił dziewczkę? Śledził ją, łatwo mógł zacząć się na nią, gdy opuszczała dom Wolskiego i... Nic mi nie pasowało. Nadal nie miałem pewnego kandydata na mordercę, a ktoś jednak zabił Dorotę. Kto? Nie ulegało wątpliwości, że podczas procesu Polakówna podtrzyma swoje zeznanie, a hutman jest gotów krzywo przysięgać, że Dorota całą noc spędziła u Wolskiego. Musiałem znaleźć coś, co podważy ich słowa, inaczej magister jest zgubiony. Najgorsze, że dziewczkę mógł zabić ktokolwiek, gdyby w istocie szła sama nocą przez miasto. Zabił i zgwałcił. Czemu więc nie było śladów gwałtu? I czemu fatygował się podrzuceniem ciała na cmentarz, ryzykując pochwylenie na licu? Pozostało mi sprawdzić jeszcze jeden ślad. Postanowiłem uczynić to jutro z samego rana.

Lecz nie było mi dane odpocząć tego wieczoru. Najpierw jedna ze służek dostała bóle brzusznych i ciotka posłała po mnie. Wykryłem, że dziewczka nie jest brzemienna, jak mniemano, lecz obżarła się w spiżarni boczkiem, który już pozieleniał i kucharka używała go jedynie na zasmażkę do kapusty. Zaaplikowałem jej zioła na wymioty i lewatywę i było po krzyku. Ledwo z tym skończyłem, zjawiała się sąsiadka z synkiem, kilkuletnim otrokiem, któremu na zadku uczynił się wrzód, przez co chłopiec nie mógł siadać, a i bez tego bardzo cierpiał. Nie lubiłem takich przypadków, bowiem nie byłem jeszcze medykiem i nie miałem prawa do parania się tą profesją, a gdyby rozniosło się, że leczę i udzielam porad, miałbym zwicniętą karierę, zanim ją rozpocząłem. Ale sąsiadka była kumoszką ciotki, więc nie mogłem odmówić. Skonany po kolejnym, obfitym w wydarzenia dniu, poszedłem spać bez wieczerzy. Do tego czasu Nizioł jeszcze nie wrócił, więc wytłumaczyłem ciotce, i tak już trochę zirytowanej, że tak często odrywam go od prac domowych, bo wykonuje za mnie bardzo ciężką robotę, co niewiele odbiegało od prawdy.

Rano znów spotkaliśmy się we trzech na śniadaniu. O ile biedny Sęp wciąż nie wyglądał najlepiej, mimo iż przespał połowę poprzedniego dnia i pewnie całą noc, to Nizioł, który spędził ją pracowicie, wręcz kwitł i był wesół jak szczygieł. Zanim przyszedłem, zdążył snadź opowiedzieć Sępowi o swych nocnych przewagach, bo Sęp miał minę zgorszona i jeszcze bardziej świętoszkowata niż zwykle, gdy dopadała go melancholia. Na szczęście nie pozbawiło to apetytu ani jego, ani nas.

– Jak było? – spytałem Nizioła, bynajmniej nie ciekaw, no, może odrobinę.

– Jak w niebie! – zakrzyknął i już gotował się, by i mnie wszystko opowiedzieć z detalami, ale mu przerwał:

– To świetnie, a teraz idź nanieść dREW i wody do kuchni, żeby ciotka znów nie

miała powodu do narzekania. Tylko się uwiń, bo zaraz wychodzimy. Aha, weź ze sobą tasak, może się przydać – sam miałem przy sobie nie tylko puginał, lecz i nabity pistolet.

– Znów jakaś awantura? – spytał Sęp ze zboląłą miną, odmawiając gestem piwa, które chciałem mu nalać; znowu był w melancholicznym nastroju.

– Tym razem to zwykła wycieczka. Jak nie chcesz, nie idź, lecz tuszę, że miejsce, do którego się udajemy, powinno ci odpowiadać jak żadne.

– A co to za jedno? – okazał umiarkowane zainteresowanie.

– Cmentarz.

– O! – jak przypuszczałem, to go ożywiło. – Akurat szukałem weny do poważnego poematu o życiu i śmierci... A poza tym czuję, że świeże powietrze dobrze mi robi.

Zatem nie trzeba go było więcej namawiać i jak tylko Nizioł odrobił się z poranną robotą, wyruszyliśmy na Rynek, gdzie wokół fary Mariackiej rozciągał się największy cmentarz w mieście. Skoro bowiem od żywych wciąż nie mogłem uzyskać odpowiedzi na pytanie, kto zabił Dorotę, postanowiłem podążyć śladem trupa.

– O dobry Jezu! – jęknął Nizioł, dowiedziawszy się, dokąd zmierzamy, bo jeśli nie bał się nikogo żywego, to był dość zabobonny i wierzył we wszelkie duchy, upiory, strzygi i tym podobne brednie; zresztą trudno mu się dziwić, skoro wielu ludzi wykształconych było równie albo i bardziej przesądnych. – A po co?

– Bo może trafimy na kogoś, kto widział w ową fatalną noc człeka niosącego zwłoki, albo nawet sam partycypował w usunięciu ciała.

Kościół Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, zwany Mariackim, był otoczony potężnym i wysokim murem wychodzącym dość daleko w Rynek, prawie aż pod Mennicę, czyli kamienicę na rogu Rynku i Floriańskiej, zwaną tak, bo ongi bito tu za królewskim przyzwoleniem mińce. Obecnie należała do Jana Kislinga, potomka pisarza mennicy. Od południa do muru przytykały dwie stojące przy Rynku nieduże bliźniacze kamienice (z których pierwsza należała do księdza Mikołaja Taranowskiego i miało w niej siedzibę Kolegium Mansjonarzy), kończące się na ulicy Szkolnej, zwanej też Sienną. Między nimi a główną bramą cmentarną znajdował się wyciek rurmusu – jeden z rzapi, czyli wielkich bek, wystających ponad poziom bruku i tretu, skąd mieszkańcy czerpali wodę do picia. Wewnątrz muru był cmentarz. Kiedyś parafialny – chowano w nim wszystkich parafian, ale od dawna już tylko patrycjuszy.

Do cmentarza wiodły trzy bramy i dwie furty. Wielka brama wjezdna znajdowała się od strony Rynku, na wprost głównego wchodu do fary Mariackiej. Do muru cmentarnego tuliły się byle jak sklecone szopy i budy, w których gnieździł się najubożsi mieszkańcy, plebeje, wynajmujący się za niewielką opłatą do najgorszych, dorywczych prac, jak sprzątanie i wywożenie nieczystości, pilnowanie jatek w nocy przed złodziejami i tym podobnych. Ponieważ ludzie schodzili się tu nie tylko do kościoła czy na groby bliskich, ale także by spotkać się i poplotkować, a wielu z nich było zamożnych, zawsze więc istniała szansa wywiedzieć się przy okazji o jakąś

robotę, dostać jałmużnę albo przynajmniej pożywić resztkami z jatek. Dlatego nie było to wcale takie złe miejsce dla nędzarzy; lepsze niż peryferyjne uliczki przy murach miejskich, jak Kocia czy Psia albo Krowia, nie mówiąc o nieużywanych piwnicach, stajniach czy chlewikach w zaniedbanych podwórkach, gdzie też gnieździli się bezdomni, mimo wypędzania ich z miasta od czasu do czasu, czy to z rozkazu królewskiego, czy rady miejskiej. Nie było na to siły, zwłaszcza że szlachta coraz bardziej uciskała chłopów i wielu z nich zbiegało do miasta, które stanowiło ich jedyną, i tak marną, nadzieję na poprawę doli, w myśl porzekadła: *Stadt Luft macht frei*. Słabo znałem niemiecki, lecz te, jakże celne, słowa akurat rozumiałem: „powietrze miejskie czyni wolnym”.

Musieliśmy odczekać, aż jakiś mnich skończy kazać przed kościołem (na szczęście kaznodzieja nie był takim krasomówcą jak drzewiej święty Jan Kapistran) i spora grupa słuchaczy opuści cmentarz, ale wielu jeszcze zostało, odwiedzając groby lub gwarząc. I tak mieliśmy szczęście, bo czasami bywało po kilka takich kazań pod rząd.

– Kacprze – ciekawski Sęp pociągnął mnie za rękaw. – Czemu kościół stoi skosem do Rynku?

– Bo fundamenty już stały, gdy za księcia Bolesława V Wstydliwego osadnicy niemieccy lokowali Kraków na prawie majdeburskim i na nowo wytyczali place i ulice.

Przekroczyliśmy bramę, obok której stał wielki kamienny grób. Do niego zimą składano zmarłych, by pogrzebać ich w sposobniejszej porze. Podczas zarazy zwożono tu na kupę trupy, aby potem wywieźć je za miasto: do dołów na Łobzowie albo na wielkie cmentarzysko założone w ubiegłym stuleciu przez medyka Jana Welsa na Garbarach.

Pomiędzy skarpami kościelnymi mieściły się kostnice. Gromadzono w nich kości wykopane podczas kolejnych pochówków i czekające na pogrzebanie we wspólnym grobie. W mur kościelny wpuszczono płyty i tablice poświęcone znamienitszym zmarłym. U bocznego wejścia do kościoła wisiały kuny *alias* liszki dla zboreźników pochwyconych w świątyni na gorącym uczynku. Akurat miotał się właśnie u kuny, usiłując zerwać z szyi stalową obręcz, jakiś szalony obdartus, coś wykrzykując bez ładu i składu. Pewnie krzyknął jakieś bluźnierstwo w kościele i za to został zakuty. W głębi cmentarza stała kaplica Świętej Barbary, ponoć zbudowana samorzutnie i za darmo przez mularzy z resztek cegieł pozostałych po budowie fary Mariackiej.

Niepozorny kościółek Świętej Barbary miał wcale bogatą historię. W minionym stuleciu działało tu sławne Nadwiślańskie Bractwo Literackie, *Sodalitas Litteraria Vistulana*, skupiające pierwszych polskich i obcych humanistów, jak Włocha Kallimacha, Niemca Celtisa czy pisarza miejskiego Heydecke, zwanego Miriką, a obecnie Bractwo Mansjonarzy. W 1415 roku przeniesiono tu kazania polskie z fary Mariackiej, a znów nie tak dawno, bo w 1537 roku, po wielkiej awanturze, którą rozsądził król Stary, kazania polskie wróciły do fary, zaś niemieckie przeniesiono do kaplicy.

Był przy niej okrom latarni umarłych też Ogrojec, cieszący się ogromną estymą krakowian, bowiem wielka, drewniana, otwierana szafa skrywała sławną płaskorzeźbę, ponoć dzieło Wita Stwosza albo jego uczniów, przedstawiającą Chrystusa Pana w Ogroju: Pan Jezus klęczy na wzniesieniu, przy nim uśpieni apostołowie, na skale siedzi anioł, a w dali Judasz prowadzi siepaczy. Ku Świętej Barbarze ciągnęły procesje ze wszystkich krakowskich kościołów na uroczyste nabożeństwo w Wielki Czwartek.

Ale do Wielkiego Tygodnia było sporo czasu, a my przybyliśmy tu szukać ludzi, z których wielu prawie nie zasługiwało na to miano, bowiem mur cmentarny był od środka, tak jak na zewnątrz, obłożony byle jak i z byle czego skleconymi budami, niewiele lepszymi od psich. W nich oraz pod kościelnym murem, a latem wprost na grobach i pomiędzy nimi koczowały wyrzutki i męty społeczne. Od dziadów i bab proszalnych, wróżych i wiedźm, kalek wszelkiego rodzaju: ślepców, kulawych, garbatych, bezrękich, po hultajstwo najgorszego autoramentu: złodziei i bandytów gotowych poderznąć komuś gardło za miedziaka. Po zmierzchu nikt o zdrowych zmysłach nie zbliżyłby się do tego miejsca, a i teraz byłem rad, mając za plecami Nizioła.

– Powróżyć? – zbliżyła się do nas obdarta kobieta wyglądająca na Cygankę, a może tylko z cerą pociemniałą od brudu.

– Kupcie relikwię, wielmożni panowie. To paznokiec świętej Magdaleny, nawróconej nierządnicy. Złamała go, z gorliwością wielką obmywając stopy Panu naszemu, Jezusowi Chrystusowi. Wodę z owej ablucji dam za darmo – zagadnął mnie mnich w połatanym habicie, z wielką brodawką na licu, wieszając mi się u rękawa i podtykając pod nos flaszkę z mętną cieczą, w której pływał jakiś paproch.

Odepchnąłem go mało uprzejmie, choć nie wątpiłem, że paznokiec należał do nierządnicy, a woda w istocie pochodziła z ablucji – mniej więcej taką samą służące wylewały do rynsztoka po każdej kąpieli Nizioła.

– Modlitwy na każdą okazję, osobliwie na pożar od pioruna i gradobicie skutkujące! – wołała, wymachując plikiem zadrukowanych kartek kobiecina obwieszona różańcami, po czym szepnęła konfidencjonalnie: – Mogę też rzucić urok na każdego człeka lub zwierza...

– Wynocha! – przegonił ją jednonogi typ z blizną, potem, wykrzywając się w szkaradnym uśmiechu odsłaniającym poczemione resztki zębów, wyciągnął ku nam rękę pełną udających złote pierścieni z sychu i szepnął: – Jedyna okazja, iście szczęśny traf. Pewna szlachetna dama, przyciśnięta koniecznością, za bezcen wyzbywa się rodowych kosztowności...

Potrząsnąłem głową przecząco. Obrzucił nas wzrokiem i nie uszła jego uwagi broń skrywana pod odzieniem. W oku błysnęło mu zrozumienie. Nachylił się ku mnie, zionąc smrodliwym oddechem niczym sam król jegomość albo smok wawelski, i szepnął konfidencjonalnie:

– Trza się kogo pozbyć? Mam przyjaciół, którzy znają się na swojej robocie.

Działamy sprawnie, a dyskrecja zapewniona.

– Dzięki, z wrogami radzę sobie sam. Szukam ludzi, którzy może widzieli pewnej nocy człeka wlokącego trupa, albo nawet pomagali mu się go pozbyć – wołałem nie sugerować, że niewykluczone, iż także morderców i gwałcicieli, aby go nie spłoszyć.

– Kiedy to było?

– Ponad trzy tygodnie temu. Z niedzieli na poniedziałek.

Mój rozmówca zrobił palcami jakiś znak. Żebrak siedzący nieopodal podniósł się i zbliżył do nas. Chwilę coś poszeptali, po czym dziad odszedł, kierując się do narożnika, który tworzył mur cmentarny z kamienicą księżowską. Stała tu szopa wyższa i porządniejsza od innych. Zapukał i wszedł. Pojawił się po chwili i znów dał sekretny znak. Jednonogi rzekł:

– Pójdźcie za mną.

Sęp zawahał się i położył mi dłoń na ramieniu.

– Nie idź tam, Kacper.

– Idę. A wy z Niziołkiem zostaniecie na zewnątrz jako moja straż.

Tak uczyniliśmy. Ledwie przekroczyłem próg, a jednonogi zamknął za mną zbite z nierównych desek drzwi, po czym wyciągnął rękę i zażądał:

– Broń.

Z półmroku wychynęło czterech obwiesiów. Przystąpili do mnie i otoczyli ciasno. Nie mogłem uczynić nic innego, tylko oddać puginał. Czyjeś ręce obszukały mnie sprawnie, ale pistoletu w cholewie buta nie znaleźli. Jednonogi pogmerał za plecami, po czym wyprostował nogę, której przedtem nie było.

– O słodki Jezusie, ale ulga – westchnął błogo, kilka razy machnął cudem odzyskaną kończyną, po czym dźgnął mnie w plecy moim własnym sztyletem i polecił: – Na górę!

Dzięki odrobinie światła wpadającego przez szpary zobaczyłem drabinę wiodącą na rodzaj półpiętra z grubą kotarą zamiast ściany. Zacząłem się wspinać, a drab z bliźną za mną. Rozchyliłem oponę i znalazłem się w innym świecie. Dach szopy wystawał ponad mur cmentarny niczym gołębnik, znajdujące się pod dachem świetliki umożliwiały obserwację całego Rynku oraz okolicy wokół fary Mariackiej, a także wpuszczały do pomieszczenia sporo światła. Było to całkiem przytulne wnętrze – i bogate. Ściany obwieszono kobiercami, na podłodze ze zwykłych tarcic leżał wschodni dywan, wszędzie lśniło od drogocennych przedmiotów, niczym w bogatym kramie, tylko że w żadnym kramie nie nagromadzono takich wspaniałości. Pośród tego bogactwa znajdowało się ni to łoże, ni tron, na którym półleżąc, rozparty jak basza, spoczywał jakiś człowiek.

– Podejź bliżej – rozkazał, a mnie zdało się, że już słyszałem ten głos.

Zbliżyłem się i nabrałem pewności.

– Witaj, Garbus, a może Ślepiec? Lubo dziś znów zdajesz się widzieć wcale dobrze.

Pochylił się, żeby mi się lepiej przyjrzeć.

– Kogo widzą moje, jak słusznie spostrzegłeś, dzięki Bogu zdrowe oczęta? No, no, toż to ów młodzian, który porwał się na Małego Janka ze „Smoczej Jamy”. Kacper Ryx, jeśli się nie mylę.

– Skąd wiesz, jak się nazywam?

– Jesteś sławny, chłopcze. A więc znalazłeś swą zgubę. Winszuję. Oglądałem, jak sprawiali Bartosza z Lusiny. Bardzo udatne widowisko.

– Masz mi za złe pochwylenie Bartosza?

– Tego wieśniaka? – parsknął z odrazą. – Zrodzonego na kupie gnoju? Pewnie trudno ci dać temu wiarę, młodzieńcze, lecz mój ojciec, niech go piekło pochłonie, był szlachcicem. Kiedy matka zmarła przy moim urodzeniu, a on zobaczył to – poklepał się po karku – wyrzekł się mnie, wydziedziczył i oddał na wychowanie swemu nadwornemu klesze, pijakowi, co nie rozstawał się z różgą i kijem. Uciekłem stamtąd, jak miałem trzynaście lat, poderżnąwszy uprzednio gardło ojcu i puściwszy z dymem dwór z macochą i jej prostymi synami w środku. Tuszę, iż klecha też się upiekł, choć pewności nie mam. Cóż zatem ktoś taki jak ja mógłby mieć wspólnego z Bartoszem? Zręczny był zeń łotrzyk, przyznaję, lecz nie należał do naszego bractwa. W przeciwieństwie do chłopców, których szukasz. Nie myśl, że mam ochotę oglądać, jak ich takóŜ będą obwieszać na Pędzichowie za twoją sprawą. Wyjrzyj przez to okno.

Wyjrzałem i zobaczyłem, jak Nizioła i Sępa otacza cała kupa oberwańców, popychając ku szopie, oni zaś nie stawiają żadnego oporu. Sępowi się nie dziwiłem, bo wiedział, kiedy należy ustąpić przed siłą, ale Niziołek powinien walczyć jak lew. Bardzo mnie rozczarował.

– Powiedziano im, że zginiesz, jeśli będą się opierali – wyjaśnił Garbus.

– Nie przyszedłem tu kłaść aresztu na twoich chłopcach, jeno po wieści.

– Kto cię tam wie. Zresztą i tak już za dużo widziałeś. Kiedy tylko twoi kompani przekroczą ten próg, wszyscy zginiecie. Nie trąp się, to będzie szybka śmierć, moi ludzie mają wprawę. Weźmy na przykład Kulasa – kiwnął w stronę fałszywego kuternogi, który z moim własnym puginalem w brudnej łapie czyhał za moimi plecami. – Nikt tak zgrabnie nie podrzyna gardła jak on.

– Miło mi – odparłem – że tak się o mnie troszczysz, mimo naszej niedługiej konfidencji, lecz tym razem, jeśli pozwolisz, odmówię skorzystania z twojej wspaniałomyślnej propozycji.

To mówiąc, podbiłem Kulasowi rękę z nożem i pięknym kopniakiem posłałem go na dół. Przebił oponę i z hukiem wylądował na dole. Miałem nadzieję, że sobie coś uszkodził, najlepiej nogę. Tymczasem ja już jednym skokiem dopadłem Garbusa i lewą ręką złapałem go za gardło, wyszarpując brutalnie z legowiska, a prawicą wydobyłem pistolet ukryty w bucie. Przyłożyłem go do łba Ślepca i pchnąłem łotra ku kotarze. W samą porę, bo już dwóch drabów pięło się ku górze, a pozostali czaili przy drzwiach, by powitać moich przyjaciół.

– Precz z drabiny, a wy tam od drzwi, bo inaczej rozwałę mu łeb – rzekłem.

Wszyscy zastygli, lecz nikt się nie ruszył.

– Uczyńcie, jak każe – odezwał się Garbus, jak mi się zdawało, lekko rozbawionym tonem.

Kiedy Niziołek z Sępem weszli do szopy, zawołałem ku nim:

– Chodźcie na górę! Gospodarz prosi na traktament.

A gdy już znaleźli się bezpiecznie w gnieździe Garbusa, rzekłem do niego:

– Powiedz swoim, żeby byli grzeczni, kiedy my sam będziem gwarzyć, bo inaczej odstrzelę ci łeb, a potem rozwalimy tę budę i całe wasze dziadowskie bractwo. Ja nie żartuję.

Garbus zagadał coś do swoich zbirów w języku libijskim. Sęp spojrzął na mnie z niepokojem, ale uspokoiłem go:

– W porządku. Powiedział, co trzeba.

– Znasz naszą mowę? – zdumiał się Ślepiec. – Zdziwiasz mnie, chłopcze.

– Bacz, bym cię jeszcze bardziej nie zadziwił. A teraz może pogadamy jak ludzie niesprosni, panie szlachcic?

Kiwnął głową i zawołał na dół:

– Kulas, dychasz?

– Ledwo, ledwo – zajęczało w odpowiedzi.

– To chyba sam z winem. Najprzedniejszym, jakie mamy.

– Rozgoście się – rzekł do nas Garbus, gdy go wypuściłem z uścisku i mógł wrócić na swoje miejsce, szerokim gestem obejmując miejsce obok siebie i dwa wyściełane zydle.

Na wszelki wypadek usiadłem przy nim, by mieć go na oku. Zjawił się Kulas z flaszką. Posłusznie zwrócił mi puginał i odkorkował zapieczętowaną butelkę z wybornym tokajem, który rozlał do srebrnych pucharów dobytých ze skrzyni. Po czym stanął przy swym herszcie jak wierny pies. Przezornie zaczekałem, aż Garbus napije się pierwszy, po czym także popróbowaliśmy trunku. Był wyśmienity.

– No to przejdźmy do rzeczy – rzekł Garbus. – Co chcecie wiedzieć?

Wy tłumaczyłem mu. Dumał niejaką chwilę, następnie spytał Kulasa:

– Gdzie są Kubrak i Dziura?

– W kruchcie fary, pielgrzymów nabożnych udając.

– To mi ich wołaj tu migiem.

Nie czekaliśmy długo, gdy pod przewodem Kulasa zjawiło się dwóch obszarpańców, jeden w wytartym habicie, drugi we włosiennicy. Nie weszli, ale raczej wczłógali się i na klęczkach podpełzli ku Garbusowi, z uszanowaniem całując rękę, którą do nich łaskawie wyciągnął.

– Ci panowie radzi by wiedzieć, jak to było z tym truchłem, coście je naszli swego czasu po nocy. Mówcie śmiało i samą prawdę jak na spowiedzi. Powstańcie.

Podnieśli się z klęczek, nadal jednak zachowując uniżoną postawę. Po czym wyższy zaczął:

– Było tak: akurat wyłazili my z jednej piwnicy przy ulicy Świętego Krzyża, nic wartego uwagi nie nalazłszy, gdyśmy увидzieli człeka targającego toból jakowyś...

– Skąd zdążył ów człek? – przerwałem mu.

– A kto go wie? Wychynał jak spod ziemi – wtrącił drugi.

– ...skryli my się więc we wnęce bramnej i skoczyli nań, gdy przechodził mimo – ciągnął pierwszy. – Lecz czujny był jak zając, psiajucha, cisnął tłumok i sięgnąwszy po kord, przystawił go do gardła Dziura...

– Jużem myślał, że wybiła na mnie ostatnia godzina – przyznał Dziura. – Lecz ów człek, miast mnie pchnąć, rzekł, iż rad jest z naszego spotkania...

– ...i że gotów jest dobrze zapłacić, jeśli to, co ze sobą ma – wpadł mu w słowo Kubrak – odniosiem na cmentarz Mariacki i ciśniem do grobowca między nieboszczyków oczekujących do wiosny na pochówek...

– Dał nam za to całego florena! – zachwycił się Dziura. – Choć i bez tego by my to chętnie uczynili, jako że zmacawszy przez płótno, wyczulim, że trup w środku to baba...

– To sodomici – wyjaśnił Garbus, uśmiechając się krzywo na widok odrazy malującej się na naszych twarzach. – Zawsze tak się zabawiają z nieboszczykami, zwłaszcza świeżymi i młodymi, zwierzyną wszelaką i padliną też nie pogardzą. Temu zresztą Dziura zawdzięcza swe imionisko...

– Każdy orze, jak może – wyszczerzył bezzębne usta Dziura.

– Mówcie dalej – rzekłem, z trudem przemógłszy obrzydzenie, którym napawali mnie ci parający się bestialstwem zbrojeńcy.

– No i dobylim targu, porwali trupa i ponieśli ku farze, a człek ów szybko oddalił się w przeciwną stronę – rzekł Kubrak.

– Jak to? – Sęp po raz pierwszy zabrał głos. – Toć Dorotę znaleziono przecie na cmentarzu duchackim?

– No bo – ciągnął Kubrak – już my prawie byli na Mikołajskiej ulicy, gdym wyjrzawszy zza węgła, spostrzegł nocny ront zdążający ku Tandecie...

– Tedy porwali my nieboszczkę i co sił w nogach pognali z powrotem – wtrącił Dziura.

– Dziura wlażł na drzewo, którego konary przełaziły ponad murem duchackiego cmentarza, ja żem podał mu trupa i tak społem przerzucilim go przez mur, po czym drapnęli stamtąd, aż się kurzyło – dokończył Kubrak.

– To wszystko – rzekł Dziura.

– Zagłądaliście do całunu? – spytałem. – Był rozerwany.

– Nie miałem kiedy. Rozdarł się o gałąź – odparł Kubrak.

– Jak wyglądał ów człek, który wam zlecił robotę?

Popatrzyli na się i wzruszyli ramionami.

– Nie wiemy – odparł Kubrak. – Ciemno było, choć oko wykol, jak to pośrodku nocy, a on kaptur miał nasunięty aż po brodę.

– A młody choć czy stary?

Następne wzruszenie ramion i milczenie, dałem więc znak Garbusowi, że może ich odprawić.

– Waligóro – powiedział Garbus, gdyśmy zostali samopięt – rozlej resztę wina, szkoda go dla moich kamratów. Równie dobrze mógłbym nim napoić świnie. A teraz – dodał, gdy Nizioł wykonał zadanie – skoro już dostaliście, po coście przybyli, pomówmy o nagrodzie.

– Słusznie – odparłem. – Oto moja propozycja: nie tylko puścimy cię z życiem, nie uczynimy krzywdy twoim kompanom i nie rozwalimy tej budy, ale nawet nie doniesiemy o was na ratusz.

Sęp zachłysnął się winem, Nizioł wybałuszył oczy, aż mu omal nie wyskoczyły z orbit, a Ślepiec na chwilę znieruchomiał, po czym opadł na poduszki, zanosząc się śmiechem. Gdy ochłonął, rzekł:

– Masz gest, niech cię nie znam! Leczysz ludzi, tropisz złoczyńców i jeszcze umiesz się targować. Całkiem nieźle jak na podrzutka.

– Sporo o mnie wiesz.

Znów się zaśmiał, ale tym razem nie tak wesoło.

– Ja wiem o wszystkich i o wszystkim. W tym mieście nie dzieje się nic, o czym bym nie wiedział. Mam oczy i uszy w każdym miejscu. Zakarbuje to sobie w pamięci. I wiedz jedno: mnie nie można przestraszyć. Niektórzy próbowali i leżą tam – wskazał okno i cmentarz za nim. – I nie myśl sobie, że gdybyście po wyjściu stąd jednak pobiegli na ratusz z delacją, draby miejskie znalazłyby mnie sam. Mam wiele podobnych kryjówek, a w żadnej nie przebywam dłużej niż dwa dni z rządu.

– Jam nie szlachcic, lecz słowo mam tylko jedno – odparłem z lekką urazą.

– Wierzę ci – rzekł. – Trudno zadawać kłam komuś, kto dla druha miał śmiałość zdrzeć z samym Małym Borgią. Słyszałem, żeś jest jak wrzód na tłustym dupsku Czeczotki, a to mi się podoba.

– Jeśli łaska: cierń – sprostowałem z większą urazą.

– Jak wola. Ta dziewczka, nieboszczka, o którą indagowałeś moich chłopców, to Dorota Balcerówna, twoja mleczna siostra, prawda? Ta, o mord na której jest oskarżony Wolski?

– Tak.

Pokiwał głową.

– Od razu tak sobie pomyślałem. Cóż, miło się z tobą robi interesy, Kacprze Ryksie, ale jest to dość uciążliwe, więc teraz chętnie bym was pożegnał, jeśli się nie obrazicie.

Wstaliśmy, Sęp i Nizioł poderwali się z miejsc z wyraźną ochotą i bardzo im było spieszno do wyjścia, lecz wstrzymałem ich gestem.

– Zaczekajcie, chłopcy. Gospodarz z pewnością zechce nas odprowadzić.

Garbus znów się zaśmiał wesoło.

– Coraz bardziej mi się podobaasz, synu. A jeśli cię zapewnię, że wyjdziecie stąd bez szwanku?

– Uwierzę ci, lecz mimo to będę się upierał przy swoim.

Zeszliśmy więc na dół w następującym porządku: Nizioł, Sęp, Kulas, Garbus i na

końcu ja, trzymając pistolet przy plecach Ślepcy. Hultajstwo patrzyło wilkiem, lecz nikt nas nie zaczepił. U bramy cmentarnej schowałem pistolet.

– Bywaj, Garbus. Możesz wracać do swego królestwa. Już się chyba nie spotkamy.

– Nie bądź taki pewien. Och, nie, nie to, co myślisz – zastrzegł szybko. – Możesz spać spokojnie. I nie musisz oglądać się stale za siebie. Podobasz mi się. Zatem do zobaczenia. Jeśli jeszcze kiedyś będziesz potrzebował mojej pomocy, przyjdź tu i daj znać.

– Zapamiętam.

Ledwie Garbus zniknął nam z oczu, Sęp zgiął się wpół i wystękał:

– Zaraz się porzygam.

Nie uczynił tego, ale oparł się o mur i oddychał ciężko, jak uratowany w ostatniej chwili topielec. Nizioł otarł pot, który strumyczkami ściekał mu po twarzy, i spytał z niedowierzaniem:

– Wiecie, kto to był?

– Garbus *alias* Ślepiec. Stary znajomy mój i Sępa – odparłem. – Spotkaliśmy się ongiś „Pod Skalką”.

– Człeku! – rzekł. – To był Król Żebraków! Nikt go nie widział, a jeśli się komu udało, to nie zdążył się tym pochwalić. Jednym skinieniem może skrzyknąć armię hultajstwa liczniejszą od straży wojewodzińskiej i miejskiej pospołu! A jakie ma skarby! Ponoć każdy dziad proszalny, rzezimieszek czy inny łotr daninę mu składać musi, bo wyżeną go z miasta albo i gardziel poderzną. O dobry Jezu, to prawdziwy cud, żeśmy uszli z życiem! Ty, Kacper, masz więcej szczęścia niż rozumu albo się w czepku rodził...

– Nie przesadzaj, Niziołku. *Audaces fortuna iuvat* [6]. Panowałem nad sytuacją. Sęp, który już stracił upiorną bladość lica i oderwał się od muru, wyrecytował:

*Ehej, jak gwałtem obrotne obłoki
I Tytan prętki lotne czasy pędzą,
A chciwa może odciąć rozkosz nędzą
Śmierć – tuż za nami spore czyni kroki!* [7]

– Paniczu Sępie – rzekł Nizioł z uczuciem – po raz pierwszy wybornie pojmuję pańskie wiersze! Też czuję, jakby śmierć dopiero co przeszła mimo i jeszcze mi chodzi po karku jej tchnienie, a w uszach mam świst kosy!

Ja zaś czułem, że mam coraz większe problemy ze zrozumieniem pokrętej składni w wierszach Sępa i mój podziw dla niego jako poety stale rósł.

– Mam jeszcze jedną sprawę do załatwienia, idziecie ze mną?

– O nie! – wzdrygnął się Nizioł. – Na dziś mam dość. Idę popracować dla twojej ciotki. Może już szrotarze przywieźli trunki do tawerny, a drudzy spyżę. Ach, te

wielkie kufy piwa, te ciężkie antały okowity, te wory mąki, te ogromne półce wołowiny, które trza znieść do loszku! I wiem, co uczynię potem: wyrzucę cały gnój z chlewika! To będzie prawdziwy odpoczynek. I pomyśleć, że kiedyś zdawało mi się, iż jejmość Balcerowa wyciska ze mnie siódme poty!

– Wracam do domu – rzekł Sęp, całkowicie utraciwszy zapal do przygód, przynajmniej na razie. – Muszę dokończyć wiersz.

Na ulicę Szpitalną poszedłem zatem sam. Wizyta u Króla Żebraków potwierdziła to, czego już się domyśliłem, ale dalej nie miałem pewności ani żadnego dowodu. W szkole było cicho i pusto, lecz w mieszkaniu Wolskiego krzątała się jego gospodyni. Rozejrzałem się. Po bałaganie uczynionym przez drabów miejskich nie było już śladu. Doceniłem pracę poczciwej niewiasty i powiedziałem jej to. Rozpromieniła się.

– Zwyczajnam. U pana Wolskiego zawždy było co robić. Osobliwie w poniedziałki.

– Tak? – po to właśnie przyszedłem, ale nie chciałem jej spłoszyć; wolałem, by rozgadała się sama.

– Drugiemu bym nie powiedziała, lecz jegomość jesteś druhem magistra... Pan rektor Wolski nie żył nazbyt cnotliwie... – zerknęła na mnie spod oka z miną świątobliwą.

– Wiem, niestety. Nieraz go napominałem – przybrałem najbardziej świętoszkowaty wyraz twarzy, na jaki było mnie stać. – Często widywałeś, dobra niewiasto, tę białogłową, która przychodziła do Wolskiego?

– Raz jeden, wypadkiem. Cokolwiek by rzec, pan magister miał tyle przyzwoitości, by ją albo i je, bo sądząc po szatkach, które czasem zostawały rzucone pod łożę albo w ką, bywały różne, odprawiać wcześniej z rana. Nie chciał gorszyć pobożnej wdowy. Bo jestem wdową, wielmożny panie. Po majstrze kaletniczym. Żyło nam się zrazu godnie, ale pił coraz więcej i w końcu wszystko przepił, niech mu ziemia lekką będzie...

– A zatem – przerwałem jej wynurzenia – magister podejmował niewiasty w niedziele?

– W drugie dni też czasem, ale w niedziele prawie zawsze. Poznawałam to po... no, wie wasza miłość po czym.

– Domyślam się. A w poniedziałek, tydzień po Matki Boskiej Gromnicznej, nie zoczyła tu jejmość czegoś ekstraordinaryjnego?

Zamyśliła się. Marszczyła czoło tak mocno, iż nie wątpiłem, że bardzo chce mi pomóc.

– To było wtedy, gdy zginęła Dorota Balcerówna – podsunąłem jej; ostatecznie od tamtej pory minęło sporo czasu, a kobiecina miała swoje lata.

– A tak! Już wiem. Tego dnia wszystko było jak zawsze, to znaczy ochędóstwo porozrzucane, pościel pomięta, flasze na podłodze... Ach! Bardzo cuchnęło w sypialni i palenisko w kominie jeszcze się tliło tak jakoś smrodliwie...

Idąc do szpitala, miałem o czym myśleć. Z tego, co już wiedziałem albo sobie

imaginowałem, sprawa dla Wolskiego wyglądała coraz gorzej. Jeśli nie nastąpi jakiś nagły zwrot, a nic na to nie wskazywało, nic go nie ocali. Ja zaś nadal nie miałem żadnego dowodu, same poszlaki. Ojciec Roch ucieszył się na mój widok. Poszliśmy do izby zabiegowej, gdzie już czekała jakaś siostra duchaczka oraz pacjent, chudy i chyba ślepy z powodu katarakty.

– Może siostra odejść, syn mi pomoże – *pater* odprawił ją, a do mnie rzekł: – Obmyj ręce.

– Co mu jest? – spytałem w zasadzie tylko po to, by się upewnić, czy moja diagnoza jest właściwa.

– Ma stara *alias* kataraktę, po naszymu zaćmę – odparł. – Jak twoja ciotka. A ponieważ wiem, iż Petronela koniecznie chce, byś to ty ją operował, *ergo* musisz nabrać wprawę.

Podszedłem do małego stolika, nakrytego białym płótnem, na którym stała miska z wodą i leżały narzędzia chirurgiczne, bowiem ojciec Roch, w przeciwieństwie do innych medyków, nie uważał chirurgii za gorszą odmianę medycyny, dobrą dla cyrulików i wędrownych balwierzów wykonujących proste zabiegi na jarmarkach, targach i w łaźniach.

– Co to? – pokazałem igłę z kościaną rączką.

– To przyrząd, którego zaraz użyjemy wedle wskazań Georga Bartischa, zwanego ojcem Augustem, uczonego Niemca, mieszczanina z Drezna, z którym koresponduję.

Ojciec Roch był nie tylko wyśmienitym lekarzem praktykiem, ale i konsyliarzem. Często udzielał listownych porad pacjentom, najczęściej bogatym i znacznym, którzy, też w listach, przysyłali mu opis choroby. Nierzadko otrzymywał potem cenne dowody wdzięczności za skuteczną poradę, które natychmiast obracał na potrzeby szpitala. Oprócz tego korespondował z innymi konsyliarzami z całej Europy, wymieniając się z nimi wiedzą i doświadczeniem. Gdyby chciał, mógłby jak drudzy drukować swoje konsylia, ale nie dbał o sławę. Zgromadził jednak wiele publikacji konsyliarskich, począwszy od padewczyka Bartolomeusa Montagnany i Antonia Cermisone z zeszłego stulecia, po niedawno spisane konsylia Niemca Johannes Crato von Craffttheima czy Francuzów Jeana Fernela i Guillaume’a de Baillou. Zamierzał je wraz ze swoimi notatkami podarować Collegium Medicum przy naszej akademii.

– Mam tu konsylium ojca Augusta – ciągnął *pater* – który gotuje się do wydania dzieła *Ophthalmodouleia, to jest służba przy oku*. Pisze mi, srożąc się na niewykształconych balwierzach-okulistach, iż „nie brakuje także starych kobiet, pospolitych kuglarzy, ludzi od teriaku, wrywaczy zębów, zubożałych kramarzy, szczurołapów i myszołapów, łobuzów, naprawiaczy kotłów, krawców i wszelkiego innego lekkomyślnego, bezużytecznego motłochu, który sobie bezprawnie przywłaszcza całą tę szlachetną kurację”. Widzisz więc, że ów uczony mąż podziela moje zdanie, które ci tak często wkładałem do głowy: chirurgia jest sztuką, a nie zajęciem dla nieuków. Zresztą dam ci owe konsylium w całości do przeczytania, bo warto. Są tam nawet szkice nowych, niewidzianych dotąd narzędzi do leczenia zeza

albo odwróconych powiek...

– Chętnie przewertuję – odparłem i zabraliśmy się do dzieła.

Wziąłem starca za rękę i posadziłem przy ojcu Rochu na ławce z oparciem, przy stoliku z przyrządami, i dałem mu gorzałkę. Gdy ją pił łapczywie, ojciec Roch wziął do ręki ową igłę z kościaną rączką i przyjrzał się jej krytycznie.

– Ojczy – wtrąciłem – przyszło mi niedawno do głowy, że zamiast opalać narzędzia, a potem wycierać z sadzy, można by spróbować je wymoczyć w spirytusie, który, jak wiadomo, ma żrące właściwości i pali jak żywy ogień... Albo wyparzyć we wrzątku.

– Hmm... – zmarszczył brwi. – To brzmi niegłupio. Cieszy mnie, że myślisz samodzielnie, chłopcze. Kiedyś wypróbuję twoją metodę, a teraz stań za nim i złap go mocno za głowę. A ty – rzekł do pacjenta – pochwyć mnie mocno w pasie... To zaćma szara, pospolite zmętnienie soczewki oka, wystarczy więc proste postępowanie, by przywrócić widzenie, należy tylko uczynić to zręcznie i pewnie – instruował mnie, równocześnie wbijając koniec igły w gałkę oczną pacjenta, który drgnął, ale niezbyt gwałtownie, widać gorzałka uczyniła już swoje. – Za pomocą igły opuszczam teraz zmaconą soczewkę, jak uczy Francuz, doktor Pierre Franco: „Należy igłą dość głęboko wcisnąć kataraktę, tak że utworzy się fałd, w którym może się soczewka zatrzymać”... No, gotowe.

Odłożył narzędzie, przepłukał dłonie w miednicy i założył pacjentowi na oczy opaskę z czystego lnu.

– Odprowadź go do izby wspólnej, bo, pomijając wszystko inne, patrzy mi na całkiem pijanego, a potem tu wróć.

– Spójrz – rzekł, gdy wróciłem – dostałem to wczoraj, prosto z Paryża. Wydrukowana pięć lat temu.

Na stoliku, skąd już zniknęły przyrządy użyte do operacji, leżała księga. Z trudem przeczytałem tytuł: *Dix livres de la Chirurgie*. Autor: Ambroży Paré.

– To po francusku – rzekłem rozczarowany.

– Niestety, ów Francuz nie zna łaciny. Był prostym balwierzem, a teraz już cieszy się mianem królewskiego chirurga i wielkim uznaniem. Zasłużonym, bo spójrz tylko na to.

Nie musiałem znać francuskiego, żeby zrozumieć ilustracje przedstawiające rozmaite protezy i aparaty dla bogatych, jak sztuczna ręka czy sztuczna noga.

– Wspaniałe – odparłem – ale kto to wyrobi i za ile?

– Ślusarz albo zegarmistrz. Paré zatrudnia jednego takiego, zwanego małym Lotaryńczykiem. Aha, Paré obmyślił też nową metodę powstrzymywania krwawienia. Zamiast przypalania rany proponuje podwiązywanie żył, co zwie ligaturą.

– Czy ja nie znam skądś tego Francuza?

– Powinieneś. Pokazywałem ci kiedyś jego traktat z 1561 roku. Pokażę ci coś jeszcze, jeno zechciej postawić na stole skrzynkę z narzędziami, bo coraz trudniej mi się schylać.

– Popatrz na to – podał mi dwa instrumenty wydobyte ze skrzynki. – Mam to od pewnego Niemca, który wyrobił je, podobnie jak ową igłę do operowania zaćmy, wedle opisu Pierre’a Franco. To szczypce i sonda do usuwania kamienia z pęcherza moczowego.

Obejrzałem je dokładnie i oddałem mu, ale nim zamknął skrzynkę z narzędziami, powstrzymałem go:

– Ojcie, masz jeszcze mój nóż? Wiesz, o który mi idzie – było to pierwsze narzędzie chirurgiczne, jakie miałem w rękach, gdy trzy lata temu *pater* pozwolił mi wykonać samodzielne cięcie. – Lubię go, a niedługo może mi być przydatny.

Zamknął skrzynkę i pokręcił głową.

– Nie ma go. Tyle razy był szlifowany, na domiar wyszczerbił się. Wyrzuciłem go albo komuś dałem do papieru, nie pamiętam. Odłóż to na miejsce – wskazał skrzynkę. – Co słyhać w sprawie Doroty?

– Indagowałem tego i owego, lecz wciąż nic pewnego nie wiem. Jednak dla Wolskiego wygląda to coraz gorzej.

– Hmm... – zafrasował się ojciec. – Nie ma zatem nadziei, by go rychło wypuścili. Będę musiał poszukać bakałarza, pauprzy nie mogą dłużej zbijać bąków, chyba że ty przychodziłbyś częściej... – spojrzał na mnie prosząco.

– Postaram się – odparłem i pożegnaliśmy się.

Ale nie było mi dane dotrzymać obietnicy. Szedłem wolno, bo męczyło mnie przekonanie, że usłyszałem dziś coś bardzo ważnego, coś, co pomogłoby wyjaśnić sprawę mordu na Dorocie, ale umknęło mi i za nic nie mogłem sobie przypomnieć, co to było. Zbliżając się do drzwi naszej tawerny, ledwo zdołałem odskoczyć, gdy Nizioł wykopywał dwóch obwiesiów.

– To kostery – wyjaśnił, otrzepując ręce. – Grali znaczonymi kostkami i kartami. Dobrze, że jesteś. Masz gościa. Siedzi już czas jakiś i bardzo się niecierpliwi.

Poszedłem do swojego kąta, przepychając się między ludźmi, którzy tłumnie, jak zwykle o tej porze, nawiedzali naszą gospodę. Nie chwając się, po części dzięki mnie, o czym świadczyło to, że wielu gości mnie pozdrawiało, a kilku chciało się koniecznie ze mną napić, ale odmówiłem, starając się nikogo nie obrazić. Młody pazik, którego widziałem poprzednio na zamku, jadł, aż mu się uszy trzęsły. Po jego zmordowanym wyglądzie i sfatygowanych butach do konnej jazdy poznałem, że ma za sobą długą drogę. Rozpiąłem kozuch i zdjąłem czapkę.

– Dokończ waść – rzekłem, przysiadając się do niego i uspokajając gestem, gdy chciał się poderwać z miejsca. – Widzę, żeś wielce zdrożony.

– Przybywam wprost z Lublina – odparł i sięgnąwszy za pazuchę, wy dostał jakiś pakiet. – Mam list dla waszeci.

Podczas gdy kończył się posilać, zerwałem pieczęć i zagłębiłem się w lekturze. List nie był długi:

Wielce nam miły Mospanie,

onegdaj zdarzyło się coś, co nas wielce zaniepokoiło, a ponieważ nasze

starania nie dały skutku, pomyśleliśmy o Waszmości i Twoich talentach, które wydają się niezastąpione również w tej potrzebie. Przybądź do Lublina tak prędko, jak jeno zdołasz, a nie będziesz uskarżał się na naszą niewdzięczność. Przedtem zasię udaj się do pana Sebastiana Montelupiego, on wie o wszystkim i przysposobi, co trzeba, do podróży.

Będziem radzi, mogąc Cię znów oglądać. Oczekujemy Waszmościa niecierpliwie, tusząc, iż nie odrzucisz naszej prośby.

Tu następowwały podpisy trzech Janów: Kochanowskiego, Zamojskiego i Drohojowskiego.

– Jest jeszcze i to – posłaniec wydobył sakiewkę, położył na stole i powstał. – Dank za traktament, ale muszę już iść – przeciągnął się, łapiąc za obolałe krzyże. – Trzy dni w siodle to nie przelewki.

Kiedy odszedł, zbliżył się Nizioł.

– Gdzie Sęp? – spytałem, zaglądając do kiesy; trzydzieści dukatów, na podróż powinno wystarczyć.

– Nie rusza się z izby. Pisze. Zjesz coś?

– Później. Muszę znów wyjść – odparłem, ubierając się z powrotem. – Jutro z rana wyjeżdżam do Lublina. Sam – mina mu się wydłużyła. – Dostałem wezwanie, którego nie mogę zlekceważyć. Postaram się wrócić jak najprędzej. Do tego czasu pilnuj tu wszystkiego, dbaj o jejmość Balcerową i wikt dla Wolskiego.

– Będę.

Znów poszedłem na Rynek. Lawirując między kramami, po raz drugi tego dnia znalazłem się koło cmentarza, lecz tym razem minąłem bramę, przelotnie zastanawiając się, czy Garbus *alias* Ślepiec *alias*, jeśli Nizioł się nie mylił, Król Żebraków, nie przygląda mi się ze swego królestwa, lecz wątpiłem w to – na pewno, mimo moich gwarancji, zmienił siedzibę zaraz po naszym odejściu; ja bym tak uczynił. Minąłem kamienicę książowską, wylot ulicy Siennej, sławną Szarą kamienicę, pamiętającą czasy króla Kazimierza Wielkiego, który ponoć kazał ją wybudować dla swej faworyty, Żydówki Sary, a niedawno zakupioną przez pnący się w górę ród szlachecki Zborowskich, i stanąłem pod Włoską kamienicą, od tego roku siedzibą poczty królewskiej.

Założył ją jedenaście lat temu król August (starając się o odzyskanie spadku po matce, czyli sum neapolitańskich, które bezprawnie zawłaszczył król hiszpański Filip II), „mając na uwadze własną, tudzież poddanych naszych wygodę, abyśmy zarówno my, jak i oni mogli przysyłać listy do Włoch, jako też inne tam załatwiać sprawy – ustanawiamy stałą łączność, tak zwaną pocztę, czyli rozstawne konie z Krakowa do Wenecji”, jak stało w przywileju z 1558 roku. Poczta ta była ponoć bardzo sprawna i szybka, bo zaledwie w dziesięć, najwyżej piętnaście dni przebywano odległość między Krakowem a Wenecją *via* Wiedeń, z przystankami oddalonymi od siebie o dzień drogi. Początkowo kierował nią Piemontczyk Prosper Provano, brat sekretarza

królowej Bony, Trojana. Wówczas poczta miała siedzibę przy Floriańskiej [8], gdzie zresztą Provano mieszka do dziś, hojnie obdarowany przez króla starostwem będzińskim i zarządem nad kopalniami soli w Wieliczce i Bochni. Przechodząc mimo tego domu, nieodmiennie bawiło mnie czytanie umieszczonej nad wejściem sentencji:

Stet domus haec, donec fluctus formica marinos

Ebibet et totum testudo perambulet orbem [9].

Po czterech latach król powierzył kierowanie pocztą Krzysztofowi Taxisowi, naczelnemu poczmistrzowi nadwornej poczty cesarskiej w Tyrolu, ze znanej w Europie rodziny wywodzących się z Italii Thurn-Taxisów, którzy wprowadzili stałe taksy pocztowe, cztery grosze za uncję. Od tego zaś roku urząd *magistra veredarum*, zwanego też poczmistrzem, objął znany w naszym mieście Sebastian Montelupi, z tuszkańskiej rodziny wywodzącej się z Montelupo koło Florencji, niedawno uszlachcony jako Wilczogórski, lecz mało kto nazywał go tym mianem. Oprócz kamienicy w Rynku miał cegielnię i duży folwark w jurydyce Szlak za Kleparzem, zwany dawniej Grzymałów, a teraz Montelupowski, gdzie postawił piękny pałac.

Dom Włoski był ładny, okazały i zaopatrzone nad bramą wjezdną w dewizę: *Te cum habita* [10], świadcząca o tym, że jego właściciel był zagorzałym Italczykiem, który sam ze sobą chciał obcować i poza domem przyjemności nie szukał. Już sama sień kamienicy była imponująca i dobrze świadczyła o zdolnościach italskich muratorów; w głównym sklepieniu widniał herb Montelupich de Mari.

– Czy jaśnie pan był umówiony? – spytał grzecznie odźwierny, gdy mu się opowiedziałem, oglądając mnie od stóp do głów.

– Nie, lecz mimo to jego wielmożność powinien mnie oczekiwać.

Nie czekałem długo, gdy wrócił i rzekł:

– Jaśnie pan prosi. Schodami na górę, drugie drzwi na prawo.

Schody były szerokie i wygodne. Otworzyłem wskazane drzwi i znalazłem się w przedpokoju, gdzie kilku sekretarzy pochylało się nad pulpitemi, skrobiąc coś zawzięcie, a na ławie siedział jakiś petent. Na mój widok jeden ze skrybów podniósł wzrok i bez słowa wskazał drzwi. Zapukałem i wszedłem. Gabinet magistra poczty królewskiej był obszerny i urządzone z prawdziwie włoskim smakiem. Dwa duże oka, wychodzące na Rynek, wpuszczały dużo światła. Poczmistrz siedział za stołem zarzuconym papierami i rozmawiał po włosku z człowiekiem w stroju podróżnym, który wyglądał, jakby dopiero co wrócił z jakiejś ekspedycji. U boku wisiał mu solidny rapier z połączoną gardą, spod rozpiętego płaszcza wystawały kolby pistoletów. Widząc mnie, Montelupi przerwał rozmowę i zagadał coś do rozmówcy, który odszedł na bok, ale nie opuścił izby. Poczmistrz uniósł się lekko, skinął głową i wskazując krzesło, które zwolnił właśnie mój poprzednik, rzekł:

– Witam. Spodziewałem się waszmościa. Proszę spocząć.

Był to człowiek słusznego wzrostu, w średnim wieku, zażywny, z okazałą brodą i poważnym obliczem, wzbudzającym zaufanie. Po polsku mówił wybornie, prawie bez śladu obcego akcentu.

– Wiele słyszałem o waszmości – powiedział Montelupi, gdy zajął wskazane miejsce, bacznie lustrując mnie przenikliwym wzrokiem – od mego szwagra, burmistrza Tłokińskiego...

– *Ergo* nic dobrego. Wždy niedawno rozmówiliśmy się z panem burmistrzem i nie masz już między nami niezgody.

Poczmistrz uśmiechnął się pod wąsem.

– Słyszałem. W Krakowie nic się nie zdoła ukryć, tu wszystkie ściany mają uszy. Podoba mi się, młodzieńcze, twoja metoda załatwiania spraw. Wyznam ci też w zaufaniu, iż szwagier nie cieszy się mym nadmiernym przywiązaniem. A dla odmiany osoby, które darzę wielką atencją, wyrażały się o waszmości z najwyższym ukontentowaniem.

– Miło mi to słyszeć.

– *Ad rem* – rzekł, biorąc do ręki jakiś papier. – Mam tu pismo od owych osób, które wspomniałem przed chwilą. Polecają one gorąco waszmościa pieczy mojej i przedsiębiorstwa, którym mam zaszczyt z woli najjaśniejszego pana powodować.

– Nie znam szczegółów – wyznałem. – Proszono mnie jedynie o jak najrychlejsze stawiennictwo w Lublinie i skierowano w tej sprawie do waszej miłości.

– I bardzo dobrze, bowiem, nie chwaląc się, lepiej waść trafić nie mógł – odparł Montelupi z nutą niekłamanej dumy w głosie – gdyż biorąc pod uwagę, iż miłościwy pan nasz ostatnimi laty więcej czasu spędza w Warszawie, Knyszynie bądź Wilnie niżli w naszym stołecznym grodzie, postanowiliśmy otworzyć nową drogę dla poczty królewskiej.

Wziął ze stołu rulon, rozwinął go i poprosił:

– Przytrzymaj waść ze swojej strony i patrz...

I bez tego wgapiałem się w kartę jak urzeczony, była to bowiem tak dokładna mapa Korony i Wielkiego Księstwa, jakiej nie widziałem nawet u Kromera.

– ...tędy – ciągnął poczmistrz, kreśląc palcem linię – pobiegnie szlak ku Warszawie przez Nowe Miasto Korczyn i Opoczno lub Rawę i Opoczno, w Nowym Mieście odbijając z kolei na Lublin przez Sandomierz i Urzędów, po czym dalej ku Wilnu przez Brześć, Wołkowysk i Lidę. A na dał, kto wie – rozmarzył się – może poprowadzimy pocztę ku Bielsku, Lwowi, Wrocławowi albo i Rzymowi *via* Wiedeń i Wenecję...

– Piękna karta – westchnąłem z podziwem.

– Sam kazałem ją sporządzić – znów posłyszałem dumę w jego głosie, całkowicie zasłużoną, bowiem w naszym kraju wciąż nie dostawało dokładnych map, choć król August wsławił się tym, że planując wojnę o Inflanty, kazał zawiesić w sejmie wielką jak żagiel kartę tamtejszych okolic. – Spójrz waść tu, bo tędy wypadnie ci jechać – pokazał mi, po czym, gdy się już nasycił, zwinął mapę i odłożył na kraj stołu.

– Mamy stacje pocztowe zaopatrzone w co trzeba: konie, bicze, trąbki i podkowy na całej drodze, którą waści jechać wypadnie. Znaczy w Nowym Mieście, Sandomierzu i Urzędowie. Wszędy tam czekają na waszmościa po dwa wyborne wierzchowce do zmiany. Porachujmy: stąd do Korczyna jest jakieś dziesięć do dwunastu mil węgierskich, z Korczyna do Sandomierza tyleż, sześć do siedmiu stamtąd do Urzędowa, z Urzędowa do Lublina mniej więcej tyle samo. W sumie masz pan do przebycia jakieś trzydzieści mil węgierskich albo czterdzieści kilka polskich. Biorąc pod uwagę, iż dziennie ciężko przebyć więcej niż dziesięć do dwunastu mil węgierskich, powinno to waści zająć trzy dni, ale jeśli zima potrzyma jeszcze trochę i gościńce nie rozmiękną, może powiedzie ci się dotrzeć do Lublina w dwa dni z jednym noclegiem w Sandomierzu, jeśli drogę z Sandomierza do Lublina przebędziesz jednym ciągiem, co zdaje się możebne...

– Chciałbym wyruszyć jutro skoro świt – rzekłem. – Ostawiam bowiem druha w srogiej obieży i muszę powrócić jak najrychlej.

– Wybornie – skinął głową – wszystko jest już przygotowane. Mój sekretarz i człek do ekstraordynaryjnych poruczeń, *messer* Giacomo Ventura – wskazał milczącego jegomościa jak posąg stojącego obok – zadbał o to osobiście. Jutro zatem w naszych stajniach przy Mikołajskiej ulicy zastaniesz pan dwa gotowe do drogi wierzchowce. A to, proszę, list instancjonalny z moją pieczęcią, który okażesz pan na każdej stacji i otrzymasz w zamian traktament, nocleg i żadaną pomoc. Szerokiej drogi, a wracaj szczęśliwie!

Odebrałem pismo z ukłonem.

– Jeszcze jedna sprawa, jeśli łaska – powiedziałem, zerkając na solidną gardę rapiera sekretarza Montelupiego. – Czy signor Ventura równie biegle włada rapierem, jak na to wygląda?

Zdziwiony nieco tym pytaniem magister poczty zagadał do swego totumfackiego tak szybko, żem nic z tego nie pojął, możliwe zresztą, iż gadali między sobą dialektem tuszkańskim lub jakimś innym, w które język włoski, jak zresztą i nasz, i wszystkie inne, obfituje. Po czym obaj spojrzeli na mnie z ciekawością.

– Giacomo uchodzi w swojej ojczyźnie za mistrza – rzekł Montelupi. – A czemu waść pytasz?

Zarumieniłem się.

– Studiowałem ostatnio traktat szermierczy mistrza Agrippy, lubo włoski znam słabo, i trochę fechtowałem się z przyjaciółmi. Po powrocie z ekspedycji chętnie wziąłbym kilka lekcji fechtów u mistrza Ventury, o ile się zgodzi.

Znów zagadali szybko do siebie, po czym Ventura uśmiechnął się, patrząc na mnie, położył dłoń na sercu i skłonił się nisko.

– Załatwione, młodzieńcze – powiedział poczmistrz. – Giacomo powiada, że będzie dlań prawdziwym zaszczytem uczyć tak zadzierzystego kawalera.

Ukloniłem się obu, jak umiałem najlepiej, i odszedłem. Ciotka czekała na mnie z wieczerzą. Zmartwiła się, gdy powiedziałem jej, że wyjeżdżam na kilka, a może nawet

kilkanaście dni, ale humor jej się poprawił, gdym jej wyznał, że jestem bliski rozwiązania zagadki śmierci Doroty i że wkrótce po powrocie mam zamiar zoperować jej oczy. Zaraz potem poszedłem do siebie poczynić przygotowania do podróży i wyjątkowo wcześnie położyłem się spać. Nie wątpiłem bowiem, że czekają mnie ciężkie dni, i nie wiedziałem, kiedy zdołam znów wyspać się do syta.

ROZDZIAŁ 8 | W DRODZE

Miasto Lewartów [1], położone na trakcie do Wilna, było rojne i gwarne, choć młode. Założył je zaledwie przed ćwierćwieczem pan Piotr Firlej herbu Lewart, kalwin. Mieli tu bardzo dobre gimnazjum, acz heretyckie. W mieście mieszkało wielu Żydów, a jeszcze więcej rzemieślników i kupców, których Firlej sprowadził z Flandrii i Niemiec, dlatego mowę niemiecką słyszało się wszędzie. Teraz zaś zjeżdżało do miasta sporo szlachty podlaskiej, zawzięcie sejmikującej przed zajazdami, wystraszonej działalnością komorników królewskich i w odpowiedzi na uniwersały królewskie posłusznie powracającej na sejm do Lublina.

W Lewartowie Twardowski powziął ostateczną decyzję. Nie wiadomo, czy sprawił to targ koński, właśnie trwający w tym niewielkim, lecz prężnie rozwijającym się mieście, czy też jego nazwa, a może jedno i drugie. W każdym razie poczuł w sobie siłę i spryt lamparta [2]. Czyż zresztą jego nazwisko nie obligowało do tego? Odtąd nie będzie czmychającym zającem, lecz drapieżnikiem, który zapoluje na prześladowcę. Dlatego musi czym prędzej dotrzeć do Krakowa, a potem do swej groty, gdzie zastawi pułapkę. Podniesiony na duchu wybrał trzy dobre biegusy, nie targując się, a nawet przepłacając, i wyjechał w kierunku Wilna, by zaraz za miastem zawrócić i bocznymi drogami ruszyć z powrotem do Lublina. Lecz ominął miasto i zatrzymał się dopiero w Urzędowie, przez całą długą i żmudną drogę zaśmiewając się z własnej przemyślności.

Dojeżdżając do Zawichostu, przypomniał sobie, że kasztelanem w miejscowym zamku jest jego znajomek, u którego ma stary oblig do odebrania. A to nasunęło mu kolejną myśl. A gdyby tak już teraz zapolować na prześladowcę?

Pech Twardowskiego polegał na tym, że Kettlerowi okulał koń przed Lewartowem i kupił nowego u tego samego handlarza, który sprzedał trzy wierzchowce magowi i siedząc w karczmie już trzeci dzień (Bóg lubi trójcę!), przepijał zarobione pieniądze,

wszem i wobec rozgłaszając o szczęśliwej transakcji, a umiejętnie podbechtany, dokładnie opisał zabójcy postać czarnoksiężnika. Zaś chłop mieszkający opodal Lewartowa, który to przypadkowo słyszał, wtrącił, iż jeździec o takim wyglądzie przejeżdżał przez jego wioskę, zdążając na południe bocznym traktem. „A to lis – uśmiechnął się w duchu Kettler – przebiera się nazad ku Krakowowi!”. Nie miał pewności, lecz zaryzykował i przejechał Lublin bez zatrzymywania się, za co w Urzędowie spotkała go nagroda. Twardowski wyprzedzał go już tylko o półtora dnia.

Stojąc w oknie na zamkowej wieży, obserwowali przepływającego się przez Wisłę czarnego jeźdźca, w którym Twardowski przed chwilą rozpoznał swego prześladowcę. Huknął strzał.

– Oho, ruszył cynгла! – zauważył gospodarz.

Jakoś wepchnęli się obaj w ciasną wnękę i wychylili z okna.

– Dostał! Mówiłem, że mój strzelec to mistrz – zawołał z satysfakcją w głosie komendant, wskazując palcem postać jeźdźca, który zachwiał się i zwiśł z siodła. – Już trup.

Ale ledwo to wypowiedział, jeździec podźwignął się, choć z widocznym trudem, zawrócił konia i po minucie zniknął w nadbrzeżnych chaszczach.

– Mogę pchnąć za nim paru ludzi – zaoferował kasztelan – acz to będzie trudniej wytłumaczyć...

– Nie trzeba. I tak nie doścignie mnie przed Krakowem. Jest ranion, tuszę, iż ciężko, a najlepiej – śmiertelnie, ale jeśli nie, popróbuje przeprawy nocą, tu lub poniżej albo powyżej zamku. Tak czy owak, zyskałem na czasie, za co składam dank waszmości. *Ergo* na mnie pora.

Wyruszył w drogę, nie marudząc. Jechał cały dzień i noc, a przed następną dotarł do Krakowa. Nie zabawił w mieście długo. Nie miał zamiaru spotykać się z żoną. Wszystko już zostało powiedziane i zrobione. Oprócz jednej sprawy, ostatniego elementu przebiegłego planu, który sobie obmyślił. Zanim ktokolwiek dojdzie do celu zawiął drogą przezeń wykoncypowaną, a dołożył starań, by nawet tak tęgiej głowie, jak Zamojskiemu zajęło to odpowiednio dużo czasu, on już będzie daleko. Owinięty opończą i zakapturzony dla niepoznaki, korzystając z zachowanych przezornie kluczy, przemknął do domu Pod Krzysztofory, który opuścił o pierwszym brzasku. Potem wrócił do stajni na Kleparzu, gdzie poprzedniego wieczora zostawił zwierzęta, sprzedał bez trudu, choć ze stratą, zbędne już luzaki i pociągnął dalej przez Garbary. Przeprowadził się przez Wisłę, minął Dębny i ruszył dobrze znaną drogą na Tyniec. Kiedyś jeździł tędy często, ale odkąd związał się z królewskim dworem, bywał w tych stronach rzadko. Ostatni raz przed dwoma (a może trzema? – nie pamiętał) laty. Niewiele się tu zmieniło. Tylko przybyło parę domów, lśniących jeszcze bielą świeżego drewna. Wkrótce wjechał w las. Ścieżkę odnalazł bez trudu, choć trochę zarosła. Jaskinia także znajdowała się na swoim miejscu. Rozejrzał się uważnie, ale nic podejrzanego nie dostrzegł. Zresztą zdziwiłby się, gdyby było

inaczej. Tu i sam diabeł by go nie znalazł. Zaśmiał się z tego porównania, niezwykle stosownego, aczkolwiek tylko on o tym wiedział. Wprowadził wierzchowca do przedsionka rozległej groty w skale, zamkniętego w głębi stalaktytami i stalagmitami. Zwisające u wejścia konary i korzenie drzew tworzyły naturalną zasłonę. Rozkulbaczył konia, przywiązując go długim rzemieniem do solidnego jak kolumna nacieku na środku pieczary, rzucił mu worek obroku, który w tym celu przywiózł z sobą, i zabierając juki, poszedł w głąb jaskini. O wodę dla siebie i zwierzęcia nie musiał się martwić. Skapywała z góry i zbierała się w nieckowatym zagłębieniu, czysta, bo przefiltrowana przez warstwy skały. Nie zamarzała, gdyż w zacisznej pieczarze panowała temperatura nieco wyższa niż na zewnątrz, gdzie mróz też zelżał w ostatnich dniach.

W zagłębieniu skalnym namacał pozostawioną tam pochodnię. Zapalił ją i schylony, drugą ręką wlokąc za sobą juki, ruszył ciasnym korytarzem, by po kilkudziesięciu krokach stanąć i pchnąć głaz tarasujący przejście. Była to płyta, która obróciła się wokół własnej osi. Wszedł głębiej, zamknął przełaz i nareszcie mógł się wyprostować. Zwalił juki pod ścianą, od przyniesionej pochodni zapalił inne umieszczone w uchwytych na ścianie i z ulgą opadł na miękkie posłanie z cetyny, nakryte skórą. Gałęzie straciły już świeżość i igliwie, ale wciąż zachowały resztki żywicznej woni. Nakrył się ciepłym niedźwiedzim futrem, które oszczędziły mole, acz nie inne insekty, o co jednak nie dbał. Odetchnął głęboko. Był w domu.

Dwa dni potem skończyły mu się zapasy żywności, a Maćka wciąż nie było. Co się stało? Czyżby chłopiec wyniósł się z Krakowa? Podniósł się z posłania i spojrzał w największy ze skalnych otworów, które wpuszczały do wnętrza trochę dziennego światła, gdy się je odśloniło. Fizycznie czuł się dobrze, wypoczął po trudach ucieczki i wyspał się za wszystkie czasy. Zmarzył jednak na kość, bo bał się palić ogień wilgotnym drewnem (po które zresztą trzeba by pójść do lasu), aby nie zdradził go dym wydobywający się otworami i spękaniem wapiennego sklepienia. Zapas suchego drewna już się prawie skończył, od dawna nieodnawiany, poza tym bywał tu niegdyś często, ale w lecie. Oprócz przejmującego chłodu gnębiły go także złe przecucia. Pod ich wpływem sięgnął do niemal już pustych sakw, wyjął jakiś przedmiot i odwinął ze spowijającej go materii.

Było to zwierciadło. Niezbyt duże, miało dwie stopy wysokości i półtorej szerokości, tafelę wykonaną ze stopu srebra, cyny i cynku, oprawną w duże czarne ramy. Przywiózł je z sobą z Niemiec i towarzyszyło mu od chwili, gdy postanowił zgłębiać tajniki białej i czarnej magii. Pogłoski, którym nie zaprzeczał, a przeciwnie – zręcznie je podsyczał, budując swój wizerunek czarnoksiężnika, mówiły, że sporządził mu to lustro sam diabeł, a kto w nie spojrzy, ujrzy złe duchy w postaci straszliwych zjaw i potworów i umrze. Powiadano, że mag mógł nim skupiać promienie słoneczne, kierować je w dowolną stronę i przesyłać na duży dystans, a nawet podpalać nimi wsie odległe o kilkaset mil. Tak bają prosty lud, a Twardowskiemu było w to graj, bo umacniało jego sławę jako wszechmocnego czarnoksiężnika.

Wpatrzył się w taflę, dającą rozmaite efekty w zależności od kąta widzenia, ale nie znalazł tam tego, czego szukał – odpowiedzi, co przyniesie mu najbliższa przyszłość. Zniechęcony, znów sięgnął do juków i wydobył kałamarz z inkaustem, gęsie pióro i kartę papieru. Zapalił świecę i w jej chyboczącym płomieniu szybko zapisał kilka linijek. Odłożył przybory, wstał, na powrót zapakował zwierciadło, położył je na blacie, a na lustrze – list. Prędzej czy później, jeśli żyje i nie opuścił Krakowa, Maciek powinien tu zajrzeć. Postanowił tego się trzymać, bo niewiele więcej mógł zrobić. W głowie, kiedyś tak pełnej rozmaitych conceptów, czuł pustkę. Poza tym był śmiertelnie znużony, i to nie tylko z powodu długotrwałej ucieczki.

Nałożył kołpak, narzucił ciepłą szubę i ruszył do wyjścia. Ostrożnie wystawił głowę z grotu. Pogoda była taka sama jak wczoraj, czyli pod psem. Znów się ociepliło, a zadyмка śnieżna jeszcze przybrała na sile. O ile poprzedniego dnia był z tego rad, gdyż niepokoił go pozostawiony wyraźny trop na śniegu, o tyle teraz wcale nie uśmiechało mu się ruszać w taką zawieruchę. Chwilę się wahał, bo w grocie był przynajmniej bezpieczny, ale przez lata dogadzania sobie odwykł od zaciskania pasa i głód potężnie dawał mu się we znaki. Nie miał też gwarancji, że Maciek zjawi się wkrótce, jeśli w ogóle. Postanowił zaryzykować. Jeżeli śnieżycy się utrzyma, zdąży wrócić i śnieg z powrotem zatrze ślady. Osiodłał wierzchowca i opuścił grotę.

Rana była czysta. Kula przeszła przez ramię na wylot. Kiedy minął pierwszy szok, Kettler zatamował krwawienie i jak tylko zapadła noc, przebrał się na drugi brzeg o strzał z muszkietu od czerniejącej bryły zamku, gdzie tak niegościnnie go powitano w południe. Nad ranem minął Sandomierz, nie zatrzymując się. Kręciło mu się w głowie, trochę gorączkował i był piekielnie głodny, lecz nie takie przykrości nauczył się pokonywać. Dopiero w Nowym Korczynie zmusił się do zjedzenia czegoś w przydrożnym zajeździe, po czym odnalazł lekarza i kazał sobie opatrzyć ramię.

Kiedy następnego dnia dojeżdżał do Krakowa, był bledszy niż zwykle, choć nikt by tego i tak nie zauważył, ale poza tym czuł się całkiem nieźle. Przypadkowy przechodzień na Rynku wskazał mu domy Twardowskiego – jeden na rogu ulicy Szczepańskiej, drugi przy Wiślniej. Pierwszy okazał się zamknięty na głucho. Ponoć został sprzedany jakiemuś Włochowi, który jeszcze nie objął go w posiadanie, o czym poinformowali Kettlera mieszkańcy kamienicy z naprzeciwka. W drugim zaś uwijali się ludzie wdowy po magnacie, bo i ten dom zmienił ostatnio właściciela, a nowa pani właśnie wzięła się do urządzania zakupionej siedziby. Obie transakcje, z upoważnienia małżonka, przeprowadziła pani Twardowska. Jej męża nie widziano w mieście od miesięcy. Kettler poszedł więc na Rynek, gdzie żona maga miała duży kram z garnkami, lecz jej nie zastał, jedynie sprzedającą, od której dowiedział się, że właścicielka udała się na rozmowę w sprawie sprzedaży kramu i nie wiadomo, kiedy wróci. Zmęczony setnie usiadł w najbliższej gospodzie, gdzie przy posiłku i piwie dumał nad następnymi krokami. Znów miał szczęście. Starszy jegomość, popijający przy sąsiedniej ławie, słyszał, jak Kettler wypytuje gospodarza o czarnoksiężnika.

– W mieście go od dawna nie widziano – wtrącił. – Ale może jest w tej swojej akademii, znów z diabłem się kumając... To gdzieś za Wisłą. W Dębnikach, a może w Tyńcu, pod samym nosem pobożnych ojców benedyktynów... Ma tam ponoć swoją pracownię, gdzie uczy adeptów czarnej magii, czartów na usługi mając...

– Powiedziecie mnie tam, dziadku? Dobrze nagrodzę.

– A Boże broń! Jeszcze mi życie miłe, o nieśmiertelnej duszy nie wspominając – wzdrygnął się starzec, nie zdając sobie sprawy, że właśnie być może uniknął przedwczesnej śmierci. Mimo namów Kettler nie zdołał go przekonać, dowiedział się jedynie, jak trafić do Dębników. Postawił dziadkowi piwo i zaraz ruszył w drogę.

Skoro świt wyjechałem z miasta broną Mikołajską. Minąłem drewniany dom cechu rzeźników, ubojnię bydła i topnię smalcu oraz królewski młyn kutłowski na Rudawce, a nieco dalej celestat, wszystko położone na przedmieściu zwanym *ante portas S. Nicolae* [3], i wjechałem na teren wsi Grzegórzki należącej do miasta. Gdy zostawiłem za sobą kościół Świętego Mikołaja, wielkie stawy rybne i młyn miejski nad Promnikiem, znalazłem się na trakcie sandomierskim, wiodącym dalej na Lublin i Kijów. Droga prowadziła przez las dębowy, bo aż potąd sięgała Puszcza Niepołomna.

Dwa gniadosze, które wybrałem sobie w stajni pocztowej na Mikołajskiej ulicy, sprawowały się wyśmienicie. Nie byłem najgorszym jeźdźcem, ale od czasu wyprawy do Lusiny nie siedziałem w siodle, a wcześniej też nie za często. Teraz szybko zdobywałem doświadczenie, lecz zadek chętnie obyłby się bez tego, czemu dawał wyraz. Droga cały czas biegła wzdłuż wciąż zamarznętej Wisły. To oznaczało, że z przeprawą nie powinno być problemu. Zresztą jeszcze przedwczoraj trzymał trzaskający mróz. Ale w powietrzu czuło się już nadciągającą wiosnę, choć prószył śnieg. Na szczęście lody na rzekach i w strumieniach jeszcze nie spękały, a drogi nie rozmiękły. Lecz lada dzień należało się tego spodziewać, chociaż nawrotu zimy też nie dało się wykluczyć; ostatecznie w marcu jak w garncu. Zwłaszcza że nocami mróz nie popuszczał.

Skoro Montelupi obliczał drogę do Nowego Miasta na jakieś dwanaście mil, co jakieś trzy mile przeskakiwałem w biegu z jednego gniadosza na drugiego. Za pierwszym razem omal nie przewaliłem się przez koński łeb, za drugim jakimś zleciałem na drugą stronę grzbietu, ale potem nabrałem wprawy. Nie traciłem czasu na podziwianie krajobrazu, gnałem jak wiatr, prawie nie zauważając mijanych wiosek. Po pewnym czasie polubiłem taką jazdę i napawałem się samym pędem, z wyjątkiem tych chwil, kiedy niemiłosiernie obijany zadek przypominał gwałtownie o sobie. Około południa wjeżdżałem do Nowego Miasta Korczyna, miasta sławnego tym, iż od czasów króla Włodzisława II przez niemal całe poprzednie stulecie tutaj odbywała się większość zjazdów i sejmików małopolskich, tu w 1457 roku ogłoszono statuty nowokorczyńskie. Miasto było stare i niezbyt wielkie, otoczone murami. Z daleka rzucały się w oczy wieże dwóch kościołów i bryła okazałego klasztoru. Minąłem

zamek pobudowany jeszcze przez króla Kazimierza Wielkiego, wielki skład drewna czekającego na spław, gdy ruszą lody, i od strażników przy bramie dowiedziałem się, gdzie szukać stacji pocztowej. Nie prezentowała się imponująco, była bowiem dopiero w powijakach, ale po okazaniu listu od Montelupiego dostałem ciepły i nie najgorszy posiłek oraz dwa zacne konie: karego ogiera i kasztankę. Podczas gdy się posilałem, oba zostały osiodłane, więc po półgodzinie wytchnienia już byłem z powrotem w drodze.

Nadal jechałem wzdłuż Wisły. Teren zrobił się jakby bardziej pagórkowaty, a Puszcza Sandomierska po tamtej stronie Wisły miejscami podchodziła ku rzece, po tej zresztą także nie brakowało zarośli. Kasztanka okazała się wierzchowcem śmigłym, lecz mało wytrzymałym, dlatego bardziej eksploatowałem karego, ale z tego powodu nie utrzymałem poprzedniego tempa i do Sandomierza dojechałem dopiero pod wieczór, zrobiwszy tego dnia dwadzieścia pięć mil. Zsuwając się z siodła, wiedziałem nie tylko tak dokładnie, jak nigdy dotąd, gdzie kończą mi się plecy, ale czułem włókienka wszystkich mięśni razem i każdego z osobna, o kościach nie wspominając. Za to miałem już odpowiedź na dręczące mnie od dawna pytanie: czy można w ciągu dwudziestu czterech godzin przebyć odległość równą sześćdziesięciu milom węgierskim? Takim bowiem wyczynem przed prawie dwustu laty mógł się ponoć poszczycić uwięziony przez królową Elżbietę Bośniaczkę, matkę królowej Jadwigi, polski poseł, starosta krakowski Sędziwój z Szubina. Uciekł z Zadaru i dotarł do Krakowa w samą porę, by ostrzec rodaków przed najazdem Węgrów pod wodzą Zygmunta Luksemburczyka. Co prawda nie smarowałem swym wierzchowcom nóg specyfikiem z goleni jelenia, jak rzekomo czynił to Sędziwój, lecz i tak stanowiłem żywy dowód, iż da się przejechać dwanaście, no, może góra dwadzieścia mil węgierskich na dobę, lecz nie więcej.

Prastary Sandomierz, od strony rzeki położony na wysokiej skarpie, przypominał Wawel, tylko rozleglejszy. Na prawo od bramy, między murami a Wisłą, ciągnęły się składy, głównie drewna do spławu, oraz liczne spichlerze, ponieważ miasto leżało na szlaku wodnym do Gdańska i przy głównym trakcie lądowym ze Śląska i Krakowa na Ruś lub na Litwę przez Lublin. Obronne położenie nie ocaliło Sandomierza podczas wielkiego najazdu Tatarów w roku 1260. Wyrznęli wówczas pohańcy wielu mieszkańców, w tym czterdziestu dziewięciu dominikanów z miejscowego klasztoru wraz z przeorem Sadokiem. Pewien gość naszej gospody, wędrowny mnich rodem z Sandomierza, opowiadał mi kiedyś, że wówczas niejaka Halina, córka zamordowanego mieszczanina, zwabiła dzicz w lochy ciągnące się pod całym miastem, a ci z mieszczan, którzy przeżyli, zawalili wejście. Dzielna dziewczka zginęła wraz z pogrzebanymi żywcem bisurmanami. Prawie sto lat potem Sandomierz zdobyli i spalili Litwini, ale to był już ostatni zły termin dla pięknie odbudowanego po tym najeździe miasta.

Tuż przed zamknięciem przejechałem bramę Krakowską i wjechałem do miasta, po lewej zostawiając solidny zamek pobudowany, jakżeby inaczej, przez króla

Kazimierza Wielkiego. Od straży bramnej dowiedziałem się, że aby dotrzeć do stacji pocztowej mieszczącej się przy bramie Opatowskiej, muszę przejechać całe miasto. Ulica wiodła stromo pod górę. Minąłem katedrę i wjechałem na Rynek, prawie pusty o tej porze. Na środku wznosił się okazały ratusz, niedawno przebudowany, sądząc po zwieńczającej go pięknej attyce. Gdzieś tu urodził się najślawniejszy z żyjących muzykantów, Mikołaj Gomółka, do niedawna kapelmistrz królewski, obecnie znów bawiący w rodzinnym mieście. Ułożył on melodie do pięknych psalmów mistrza Kochanowskiego i chętnie bym go odwiedził, powołując się na mistrza Jana, ale nie miałem na to czasu.

Stacja pocztowa faktycznie znajdowała się tuż przy bramie wyjazdowej z miasta, obok klasztoru i szpitala duchaków. Przyjęto mnie gościnnie, ale nie miałem nawet siły nic zjeść, poprosiłem tylko o kąt do spania i kazawszy się budzić skoro świt, zasnąłem jak zabity. Rankiem myślałem, że nie wstanę. Każdy ruch sprawiał mi nieznośną torturę. Dopiero po obmyciu się i spożyciu obfitego śniadania poczułem się lepiej. Jednak na widok siodła omal nie zwróciłem jedzenia. Jakoś się wszak przemogłem i dosiadłem wierzchowca. Tym razem dostały mi się dwa siwki, prezentujące się równie dobrze jak wszystkie poprzednie konie.

Za bramą Opatowską gościniec się rozwidłał. Jedna odnoga wiodła ku Warszawie przez Opatów, ale ja skręciłem na Zawichost, do którego miałem cztery mile z okładem. Konie biegły równo, a ja, przyzwyczajwszy się znów do siodła, poczułem się na tyle dobrze, że zacząłem dostrzegać krajobraz. Najpierw jak okiem sięgnąć równymi szeregami drzew ciągnęły się sady owocowe, z których sływał Sandomierz. Potem jechałem przez okolice pociętą wąwozami i jarami, jakie woda wyźłobiła w tutejszej miękkiej ziemi, przez nagie pagórki, a nawet góry, które napotkany wieśniak nazwał Pieprzowymi. Zresztą prawdziwe góry, Świętokrzyskie, też majaczyły daleko na północnym zachodzie.

Zawichost był małym, warownym miastem, sławnym z pogromu, który zdradzieckiemu księciu ruskiemu Romanowi urządzili w roku 1205 książęta polscy Leszek Biały i Konrad Mazowiecki oraz ich wojewoda, Krystyn, spychając wrogów do Wisły. Rzeka była jeszcze zamrznięta, acz ostrzegano mnie w mieście, bym pilnie baczył, bo lód jest coraz cieńszy. Jako i faktycznie, zsiadłszy z wierzchowca i prowadząc oba za uzdy, w miejscu, gdzie od wieków był bród, widziałem tu i ówdzie ciemniejsze plamy świadczące o tym, że niedługo lody ruszą, co uniemożliwi przeprawę. Miałem tylko nadzieję, że lód wytrzyma do mojego powrotu. Podobno nazwa miasta pochodzi od słów „zawij chwost”, ale z braku wody nie musiałem swoim koniom podwijać ogonów. Pośrodku rzeki, na ostrowie wiślanym, wznosił się potężny zamek [4]. Mijając go, pokiwałem do strażników na blankach, któryś mi odmachał. Na drugi brzeg dotarłem bez przygód i bez marudzenia ruszyłem naprzód traktem na Urzędów. Tuż przed miastem wjechałem w gęsty bór jodłowy.

Miasteczko, ważne z racji położenia na głównym szlaku z Krakowa do Wilna,

było także siedzibą starosty. Ale sławę zawdzięczało swym obywatelom. To stąd pochodził znakomity rzeźbiarz Jan Michałowicz, który wykonał wiele prac na zamku krakowskim, a którego znałem z widzenia, kilkakroć spotkawszy na mieście; miał swój warsztat kamieniarski na rogu Sławkowskiej i Rogackiej. Z kolei nie mniej sławny lekarz i wyborny zielarz, Marcin z Urzędowa, wykładał na Akademii Krakowskiej i żywiłem nadzieję, że już niedługo będę miał z nim do czynienia.

Tuż przed miastem stała gospoda „Pod Głową Dziką”. Chciało mi się pić, więc wstąpiłem tam na garniec piwa, a przy okazji zjadłem kizkę na gorąco z cebulą i świeżym chlebem. Podając mi piwo, gospodarz, gadatliwy grubas, zagaił:

– Wielmożny pan pewnie na sejm – i nie czekając na odpowiedź, pochwalił się: – Rozmaitych sławnych ludzi tu gościmy ostatnimi czasy. Nie dalej jak trzy dni nazad bawił u nas sam mistrz Twardowski, ten czarodziej.

– Nie pusz się tak, Błażeju – zbeształa go żona, zabierając z ławy próżne naczynia. – Anibyś wiedział, że to pan Twardowski, gdyby ci go akuratnie nie odmalował ów czarno odziany jegomość, co to wczoraj o niego przepytywał.

Pokrzepiony, odnalazłem bez trudu stację pocztową i wymieniłem wierzchowce. Tym razem dostały mi się najlepsze z dotychczasowych: ognisty srokacz i potężny kasztan. Pędziły tak szybko, że jeszcze przed zmierzchem dotarłem do Lublina. Przejechałem bramę Krakowską, całe miasto i przez bramę Grodzką zjechałem w dół do zamku, uczyniwszy tego dnia dobre dwadzieścia mil polskich, co moje kości i mięśnie wyraźnie odczuły. Opowiedziałem się drabantom przy bramie, ale musiałem zaczekać. Po kwadransie jeden ze strażników wrócił, informując, że pan Kochanowski oczekuje mnie, i objaśnił, jak doń trafić. Odebrał ode mnie wierzchowce i obiecał znaleźć pacholka, który odprowadzi je na stację pocztową.

Trochę błądziłem pomimo wskazówek, bo zamek był wcale okazały, z rozległym dziedzińcem, więc w końcu spytałem jednego z paziów, co ich mnóstwo kręciło się po korytarzach. W komnacie, którą mi wskazał, zastałem nie tylko mistrza Jana, ale i Jana Zamojskiego.

– Drogi chłopcze – Kochanowski ruszył ku mnie z otwartymi ramionami i mocno uściśnął. – Rad jestem, widząc cię tak rychło. Z nieba nam spadasz!

– Gdybyż tak się dało – westchnąłem.

Zamojski nie był tak wylewny, lecz i on krzepko ścisnął mi dłoń i także wyglądał na zadowolonego z mojego widoku.

– Spoczniej waść, patrzysz na wielce zdrożonego – rzekł i podsunął mi wygodne krzesło.

– Dwa bite dni w siodle to nie przelewki – odparłem i chętnie skorzystałem z propozycji. – Słucham, panowie, jaka to pilna sprawa naraziła mnie na tak srogie męczarnie, a waszmościów na koszt? Tuszę, iż jest tego warta.

– O, z pewnością... – zaczął poeta, lecz Zamojski mu przerwał.

– Zaczekajmy na Drohojowskiego, już po niego posłałem. Może zjesz waść coś tymczasem?

– Dziękuję, chwilowo nie jestem głodny. Ale chętnie bym się napił.

– Mam tu gdzieś dwie flasze węgryzna – rzekł Kochanowski, zakręcił się po izbie i po chwili wrócił z dwiema butelkami pod pachami i czterema kielichami w palcach, wypowiadając popularne porzekadło: – *Nullum vinum nisi hungaricum* [5].

Zamojski pomógł mu uwolnić się od nich i rozlał wino. Akurat w tym momencie wszedł Drohojowski. Przywitał się ze mną i dosiadł do stołu.

– Janie – powiedział Zamojski – czas pokazać imć Ryksowi list od Twardowskiego.

Kochanowski sięgnął do pulpitu i wyjął pismo, które mi wręczył bez słowa. Dopilem wino, po czym obejrzałem list. Był adresowany do Zamojskiego i jego przyjaciół. Tak właśnie było napisane: „Na ręce Jego Wielmożności Jana Zamojskiego, sekretarza JKM, do wiadomości onego i druhów jego”.

– Odwiedziłem mistrza Twardowskiego, występując w imieniu swoim i przyjaciół, których imion nie zdradziłem, i usiłowałem nakłonić do wyjawienia pewnej osobliwej sprawy... – wyjaśnił Zamojski. – Polej, Janie – zwrócił się do Kochanowskiego. – A ty, Janie – to było do Drohojowskiego – opowiedz imć Ryksowi o wszystkim, bo byłeś przy tym od początku.

I tak dowiedziałem się o wywołaniu ducha królowej Barbary, knowaniach Mniszchów i udziale w tym mistrza Twardowskiego, starając się nie rozdziawiać zbyt szeroko gęby ze zdziwienia.

– A następnego dnia po mojej wizycie mistrz Twardowski zniknął jak kamfora – dokończył Zamojski i dodał, pokazując list: – Zostawiając jeno to pismo.

Rozwinąłem list i przeczytałem, co następuje:

Mości panowie!

Azaliż chcecie mojej głowy?

To jedno wam rzec mogę...

Tu następowały, powtórzone kilkadziesiąt razy słowa: *mea culpa*. Ostatnie *mea culpa* było przekreślone. To wszystko. Nie było nawet podpisu. Za to na odwrocie dopisek: „Mądrej głowie dość dwie słowie”.

– Pojmujesz teraz, po co cię wezwaliśmy – rzekł Kochanowski, gdym zakończył lekturę.

– Głowimy się nad tym od niedzieli – dodał Zamojski. – I nic.

– A ja obstaję przy swoim. On nie był przy zdrowych zmysłach, gdy to pisał. Szaleju się najadł, ot co – powiedział Drohojowski.

– Nie sędzę – zmarszczyłem brwi, wpatrując się w osobliwy tekst. – Czy spostrzeżliście, panowie, że ostatnie *mea culpa* skreślono?

– I cóż z tego? – wzruszył ramionami Drohojowski.

– Może omylił się w rachubie, a chciał, by te „dwie słowie” zostały zapisane dokładnie tyle razy, ile sobie umyślił. Ni mniej, ni więcej – zauważyłem.

- Czyli siedemdziesiąt siedem – rzekł Kochanowski.
- Porachowaliśmy akuratnie. Po wielekroć – dodał Zamojski.
- Zgadza się – ja też dorachowałem się tyłu.
- I? – Zamojski rozlał do kielichów i zawisł wzrokiem na moich wargach.

Wszyscy trzej patrzyli na mnie z napięciem. Wypiłem wino.

– Panowie – rzekłem. – Schlebia mi wasza ufność w me umiejętności, lecz nie spodziewacie się chyba, że w jednej chwili rozwiążę zagadkę, nad którą trzy najtęższe głowy w Koronie biedzą się od kilku dni? I to po szalonej galopadzie, podczas której rozum obluzował mi się i obsunął tak, że poobtłukiwałem go o koński grzbiet. Nie jestem cudotwórcą.

Widocznie jednak za takiego mnie uważali, bo miny mieli tak rozczarowane, że aż zrobiło mi się ich żal.

– A to – pokazałem czystą kartę dołączoną do listu – czy to także znajdowało się w liście?

Zgodnie kiwnęli głowami.

– Dziwne... – rzekłem, obracając ją w dłoniach.

Kartka była niewielka, postrzępiona z jednej strony, jakby oddarta z większej całości. Powiedziałem im to. Ale tylko Drohojowski miał na ten temat swoje zdanie:

– To bez znaczenia. Powtarzam: on oszalał.

– Niekoniecznie – powiedziałem z namysłem. – Podumam nad tym, lecz najpierw muszę się przespać – zwróciłem mistrzowi Janowi list i pustą kartkę. – A najprościej byłoby odnaleźć mistrza Twardowskiego.

– Pomyśleliśmy o tym – sarknął Zamojski.

– Tylko nieco za późno – dodał Kochanowski.

– Ale odnalazłem trop – pochwalił się Drohojowski. – Kęs to trwało, mimo iż rozesłaliśmy pacholków na poszukiwanie, bo pewnie wybrał boczny trakt. Dopiero w Lewartowie nasi ludzie stracili ślad na dobre.

– A my ani na chwilę nie możemy opuścić miasta – rzekł Zamojski bardzo poważnie. – Ważą się bowiem w tych dniach losy dwóch państw.

– Dlatego posłaliśmy po ciebie – rzekł Kochanowski, rozlewając resztę wina.

– Pojmuję, że mam uczynić jedną z dwóch rzeczy: przeczyć list, jeśli nie jest dziełem szaleńca, lub odnaleźć jego autora, o ile nie oszalał – stwierdziłem, dopijając wino.

– Najlepiej jedno i drugie – uśmiechnął się mistrz Jan. – Chodź, zaprowadzę cię na kwaterę i każę przysłać jadło. Pogwarzymy jutro.

Spałem jak zabity prawie do południa, potem zjadłem wyśmienite śniadanie i choć wciąż bolało mnie wszystko, czułem się gotów do nowych wyzwań. *Casus* Twardowskiego zaintrygował mnie. Przed zaśnięciem, pomimo zmęczenia, dużo myślałem o osobliwym liście, ale wciąż dręczyło mnie przeświadczenie, że przegapiłem coś w sprawie Wolskiego. To nie pozwalało mi się należycie skupić, lecz i tak doszedłem do pewnych wniosków, którymi podzieliłem się, gdy mistrz Jan

przysłał po mnie pazia. Poprosiłem jeszcze raz o list i gdy go studiowałem, trójka przyjaciół obstała mnie dokoła, patrząc mi na ręce z tak wielkim napięciem, że aż odczułem jego ciężar, a nie jest łatwo pracować pod taką forszą.

– Przyszło mi do głowy – rzekłem – iż kluczem do rozwiązania tej zagadki są wielkie litery. Zważcie, mości panowie, że mistrz Twardowski nie użył ich w słowach: „panowie” i „wam”, choć grzeczność tak nakazywała. Pozostają więc inicjały trzech górnych wersów...

– MAT – odczytał Kochanowski, zerkając mi przez ramię.

– To nic nie znaczy! – zawołał Zamojski. – Chyba że rozgrywa z nami partię szachów albo sobie drwi.

– Mówiłem wam, że to daremne. Twardowski oszalał – powtórzył swoje Drohojowski.

– Może jednak nie – odparłem – jeśli MAT oznacza to, co myślę.

– Czyli co? – wpadł mi w słowo poeta.

– Świętego Mateusza Ewangelistę.

– A niech mnie... – gwizdnął Zamojski.

– O! – otworzył usta Drohojowski.

– Mam tu gdzieś Wulgatę – ruszył się Kochanowski i po chwili wrócił z Biblią.

Przerzucił karty i natrafiwszy na Ewangelię podług świętego Mateusza, rzekł:

– To mogłoby być to, ale skąd mamy wiedzieć, o które wiersze się rozchodzi?

– Wydaje mi się, że mistrz Twardowski naprowadził nas swoim dopiskiem: „Mądrej głowie dość dwie słowie” – odparłem.

– Ja tam nadal jestem taki mądry jak wprzód – poskarżył się Drohojowski. – Czyli zgoła prosty.

– A mnie coś zaczyna świtać... – pochwalił się Zamojski.

– Może oddamy głos Kacprowi, zanim połamiesz sobie głowę? – zaproponował niecierpliwie Kochanowski.

– Ergo według mnie – podjąłem rozważania – chodzi o powtórzone słowa *mea culpa*. Liczba siedemdziesiąt siedem musi mieć znaczenie, bo inaczej imię Twardowski nie skreśliłby jednego zapisu.

– Już wiem! – ucieszył się Kochanowski i zaczął wertować Wulgatę, ale po chwili mina mu się wydłużyła. – Nie ma siedemdziesiątego siódmego rozdziału w Ewangelii świętego Mateusza, jest jeno dwadzieścia osiem.

Zgodnie pochylił się nad Biblią, aby, jak wcześniej poeta, przeżyć podobne rozczarowanie. Wtem coś mnie tknęło i powiedziałem:

– A popróbuj, waszmość, odszukać siódmy wers siódmego rozdziału.

Wciąż nachylaliśmy się nad nim, gdy wertował księgę.

– To jest to! Posłuchajcie – zawołał w uniesieniu i przeczytał na głos: – *Petite, et dabitur vobis; quaerite, et invenietis; pulsate, et aperietur vobis* – i od razu, jak przystało na wybitego łacinnika, przetłumaczył: „Proście, a będzie wam дано; szukajcie, a najdziecie; kołajcie, a będzie wam otworzono”. No, chłopcze, jestem z

ciebie dumny!

Zamknął księgę i serdecznie klepnął mnie w plecy, zaś pozostała dwójka spojrzała na mnie z uznaniem.

– Rad jestem, że nie zawiodłem waszmościów – odparłem skromnie, choć też byłem z siebie dumny, ale wypracowana w pocie czoła skromność nie pozwalała mi się chwalić.

– Trzeba to uczcić – rzekł Kochanowski i zwrócił się do Zamojskiego: – Janku, jako najmłodszy kopnij się i wydeń skądś wina, boście już wypili cały mój zapas.

– Szczęśliwie jestem w dobrych stosunkach z podkomorzym – odparł Zamojski i wyszedł, lecz uwinął się błyskawicznie i już po paru chwilach był z powrotem.

Rozlaniem do szkieł zajął się Drohojowski, mówiąc:

– Zgoda, przyznaję, Twardowski nie najadł się szaleju, jeno bawi się z nami w jakąś swoją grę. Ale jedno się nie zmieniło – wciąż nic nie wiemy. Dlaczego zwyczajnie nie napisał tego, o cośmy go prosili?

– Tuszę, iż uczynił tak, by nie można było użyć tego listu przeciwko niemu; zawsze może się wszystkiego wyprzeć – rzekłem. – Myślę, że wizyta pana Zamojskiego wystraszyła go. Uszedł, bo nie chciał wpaść z deszczu pod rynnę.

– To prawda – powiedział Zamojski z zastanowieniem. – Był nieswój i zmieszany. Pojął, że zechcemy wykorzystać go przeciw Mniszchom. Tak czy owak, jego kariera legła w gruzach. Lecz myślę, że to nie przed nami zbiegł. Dlatego, nie mówiąc nic, dał nam jednak wskazówki, gdzie szukać dowodów na matactwa Mniszchów, gdyby coś złego mu się przytrafiło.

– Tak? – prychnął Drohojowski. – No to gdzie mamy ich szukać, bo ja wciąż tego nie wiem.

– Napijmy się, to może rozjaśni nam się w głowach – zaproponował Kochanowski.

Wypiliśmy, ale nam się nic nie rozjaśniło. Więc powtórzyliśmy operację i wtedy przyszedł mi do głowy nowy koncept. Wzięłem do ręki ową pustą kartkę i powąchałem.

– Co czynisz? – zaciekał się mistrz Jan.

– Zdaje mi się, że czuję lekką woń limona – powiedziałem i podałem papier Drohojowskiemu.

– Hmm... – mruknął niepewnie, obwąchując kartkę.

– Pojmuję! – zakrzyknął Zamojski. – Niewidzialny inkaust!

Kochanowski też się już tego domyślił i zapalał świecę.

– Ostrożnie! – napomniał Drohojowskiego, gdy ten kolistym ruchem prowadził kartkę nad płomieniem.

Wpatrywaliśmy się w nią z zapartym tchem, obserwując stopniowo ujawniające się litery, cyfry, fragment większego rysunku i parę mniejszych oraz oderwane słowa jakiegoś wiersza.

– Gotowe – rzekł Drohojowski, zdmuchnął świecę i położył papier na stole.

Wszyscy się nad nim pochyliliśmy.

– To poema hieroglificzne! – zawołał Kochanowski, który sam lubił się zabawiać popularnymi w owym czasie zagadkami, czemu dał wyraz choćby we fraszce *Raki*.

– Nie ulega wątpliwości – rzekł Drohojowski.

– A to chyba jakiś święty – zauważył Zamojski, wskazując palcem rysunek połowy postaci w długiej szacie, z aureolą nad głową i prawą ręką dzierżącą kostur.

– Ale który? – spytał Kochanowski, spoglądając po nas bezradnie, lecz nie doczekał się objaśnienia.

– A co znaczą te oderwane buksyby przy niektórych hieroglifach i owe cyfry? – dodał Drohojowski.

– Na ten przykład ta grecka buksyba przed fizyrunkiem góry? Albo jak rozumieć słowa „jeśli da kura s e”? Albo „najdziesz tu psa”, boć to chyba pies? Albo co to za hieroglif w czwartym wersie od góry, ów ze skutą, czy też korabiem? – zachodził w głowę Zamojski.

Napiłem się wina i rzekłem:

– Tego się nie dowiemy, dopóki nie znajdziemy drugiej połowy karty. Lecz mamy kolejny dowód czarno na białym, że mistrz Twardowski nie najadł się szaleju i chce pomóc waszmościom, tylko czyni to na swój sposób. W rzeczy samej, chyba go to bawi. Z pewnością gdzieś będzie następna wskazówka, jak odnaleźć brakującą połowę.

– Ale jak ją odszukać? – zadumał się Zamojski.

– Trzeba pójść tropem mistrza Twardowskiego – odparłem.

– Uczynisz to? – spytał Kochanowski, podnosząc na mnie wzrok.

Kiwnąłem głową. Sprawa zapowiadała się tak ekscytująco, że końmi by mnie od niej teraz nie oderwali. Drohojowski napełnił kielichy i wypiliśmy.

– No i czy on nie jest wart wszystkich pieniędzy? – spytał mistrz Jan, popatrując na mnie jak Pigmalion na swoją Galateę albo rabbi Liwa ben Becalel na Golema, którego z gliny stworzył ponoć w Pradze, pracując dla miłośnika mocnych trunków i czarnej magii, cesarza Rudolfa II, o czym szumiało w całej Europie.

– Nie neguję – rzekł Drohojowski.

– Za to, co już waszmość uczyniłeś, należy ci się nagroda – dodał Zamojski, co mnie ożywiło, bo przyjaźń przyjaźnią, a interes interesem, poza tym wytkukłem się przecież w siodle za wszystkie czasy, a to jeszcze nie był koniec.

– Nie wydałem prawie nic z tego, co dostałem na przybycie tutaj, i z pewnością wystarczy mi do końca ekspedycji – odparłem. – A jeśli idzie o nagrodę, to nie chcę pieniędzy.

– A czego? – zaciekał się Zamojski.

– *Primo*, chciałbym dostać przyobiecany serwitoriat królewski na uprawianie



profesji inwestygatora. *Secundo*, upraszałbym waszmościów o poparcie u króla sprawy mojego druha, magistra Wolskiego, lewem sązonego przez krakowską ławę miast sąd rektorski.

– To wszystko? – upewnił się Drohojowski.

– Wszystko.

– Ciężko będzie – westchnął Kochanowski i skinął na Zamojskiego: – Powiedz mu, Janku...

– Znamy tę sprawę, pisał nam o niej Górnicki – zaczął Zamojski. – Osobą własną próbowałem wstawiać się u króla za waściny kmiotem, ale nadaremno. Król daje wiarę Tłokińskiemu i zdania nie odmieni, lubo wie, że miasto nie ma prawa sądzić magistra. Mało tego, już skierował mandat do rektora akademii, nakazując zaprowadzenie porządku na uniwersytecie, respektowanie zakazu noszenia broni przez żaków i mieszkania poza bursami. Zaś karanie niesfornych scholarów z całą surowością powierzył staroście grodzkiemu.

– Który siedzi w sakiewce Czeczotki. Znaczy Tłokińskiego – wtrąciłem z goryczą.

– Nic na to nie poradzę – rozłożył bezradnie ręce i w istocie patrzył na zmartwionego.

– Ja zaś, po starej przyjaźni, wstawiałem się w tej sprawie u jego ekscelencji księdza Padniewskiego – rzekł Kochanowski. – Lecz też nic nie wskórałem. Książę biskup, choć jest kanclerzem akademii, nie lubi uniwersytetu za panującą w nim zgoła średniowieczną scholastykę, w czym akurat przyznaję mu słusność, i jest poważniony z większością profesorów, o czym pewnie dobrze wiesz. Nie poprze żaków w sprawie Wolskiego, to pewne. Mało tego, Tłokiński musiał mu coś napisać o twoim udziale w sprawie Wolskiego i... Przykro mi to mówić, ale jego ekscelencja zapomniał chyba, jak mu pomogłeś w sprawie pieczęci, i już trzy razy odsyłał mnie pod byle pretekstem, gdym podsuwał mu twój serwitoriat do podbicia.

Taka to wdzięczność możnych tego świata! Słusznie przestrzegał mnie *pater* Roch; łaska pańska na pstrym koniu jeździ. Nie byłem naiwny, zatem nie zaskoczyło mnie to zbyt, lecz i tak przepęniała mnie gorycz.

– Nie poniecham sprawy magistra – rzekłem z zawziętością, która nawet mnie zdziwiła, bo niedawno zaczęło mi się wydawać, że tracę dla niej serce; poza tym sam zawsze dotrzymuję słowa i tego samego oczekuję od drugich, zwłaszcza herbowych, którzy się tym szczycą, a potem robią się zapominalscy. – I właśnie dlatego koniecznie potrzebuję serwitoriatu. Bez niego nie mam przystępu do ratusza. Nie odjadę stąd z pustymi rękoma.

– Dobrze – odezwał się niespodziewanie Drohojowski. – Zaraz spróbuję porozmawiać z księdzem podkanclerzym Krasińskim. Znamy się i obaj studiowaliśmy w Wittenberdze, lubo on ładnych parę lat wcześniej... Poproszę go, by przystawił swą pieczęć mniejszą na waściny serwitoriacie.

– Przecież Krasiński jest zamieszany w sprawę z Gizanką – zaprotestował

Zamojski.

– Nie znacie Mniszchów tak dobrze jak ja – odparł Drohojowski. – Zwłaszcza Jerzy potrafi być przekonywający, kiedy zechce. Myślę, że podkanclerzy dał się omotać, nawet nie wiedząc kiedy i jak, a teraz tego żałuje. To w gruncie rzeczy poczciwy i dobrotliwy człek. I umysł ma ostry, więc jeśli delikatnie wspomnę o sprawie Twardowskiego, z którym się kmotrzy, z pewnością zechce wyrządzić drobną przysługę naszemu druhowi Kacprowi... Pomnicie waszmościowie, jak ówczesny podkanclerzy, niepodatny na przynajmniej biskup Przerębski, nie chciał królowej Bonie przybić pieczęci mniejszej na zezwoleniu do opuszczenia kraju? Łapówkę wziął kanclerz Ocieski i przystawił pieczęć wielką bez certowania. My uczynimy na odwrót, a miast łapówki wyrzemy lekki nacisk...

– *Ergo* załatwione – zatarł ręce Kochanowski i rozlał resztę wina. – Kiedy wyruszasz, Kacprze?

– Jak szybko się da.

– Może wypoczniesz choć do jutra?

– Jeśli nie siądę na koń natychmiast, nie będę zdolny tego uczynić przez niedzielę.

– W takim razie nie zatrzymujemy.

– Powodzenia, a wróć pan fortunnie – rzekł Zamojski i wznosił toast. – Panowie, zdrowie mości Ryksa, najprzedniejszego inwestygatora w Koronie i na Litwie, miejmy nadzieję już niedługo połączonych wiecznotrwałą unią!

– Udaj się waść do królewskich stajen wybrać sobie wierzchowce – rzekł na koniec Drohojowski. – Ja zaś odszukam koniuszego.

Podczas gdy Drohojowski poszedł uzyskać pozwolenie na wypożyczenie rumaków, wróciłem do swojej izby po broń i pieniądze. Dobrą godzinę później, bo aż tyle przyszło mi czekać na powrót pana Jana, wybrałem ognistego karego i piękną jabłkowitzką klacz z kolekcji, której królowi Augustowi zażrzali wszyscy monarchowie w Europie. Ponoć w królewskiej wozowni stało dwadzieścia siedem rydwanów, karet i wozów, a woźników było aż stu sześćdziesięciu siedmiu. Ale to nic w porównaniu z dwustu dziewiętnastoma wierzchowcami, w tym aż około sześćdziesięciu bezcennymi arabami. Ogólnie zaś we wszystkich stajniach królewskich, rozrzuconych po kraju, znajdowało blisko dwa tysiące koni, z czego sześćset pod ręką, reszta po wsiach na paszy, równie jak żrebcy i stadnina. Było też dziesięć wielbłądów trzymany osobno. Do ujeżdżania wierzchowców miał król neapolitańczyka Prospera Annelerego. O tym wszystkim, a także o najnowszej sytuacji politycznej zdążył mi opowiedzieć Drohojowski podczas wybierania biegusów, oczywiście nie z tych najcenniejszych, które tylko sam August miał prawo dosiadać, ale i tak byłem zachwycony, bo nawet wyborne rozstawne konie pocztowe ani umywały się do królewskich. Z wolna stawałem się znawcą koni, a jeszcze parę dni w siodle i będę niezgorszym jeźdźcem. Coś mi jednak nie pasowało, więc słuchałem perory Drohojowskiego tylko jednym uchem:

– Cała ta sprawa z mistrzem Twardowskim nie mogła przyjść bardziej nie w

porę... A to z powodu zbliżania się terminów składania przysięg na wierność Koronie. Tymczasem wśród zdążających na sejm więcej niżli szlachty jest delegatów miast podlaskich i wołyńskich. „Jedziemy, choć nas nie proszono – powiedział mi jeden z nich – żeby pokazać najjaśniejszemu panu, żeśmy, w przeciwieństwie do panów szlachty, wielce radzi z włączenia Podlasia i Wołynia do Korony”. Do czego to doszło, żeby łyckowie mieli więcej rozumu od urodzonych! To przechodzi imaginację! A ponieważ mamy tu pełne ręce roboty, tedy tak radzi jesteśmy waścinej pomocy...

Ponieważ różne koncepty przychodzą mi do głowy w najmniej odpowiednich momentach, przerwałem Drohojowskiemu, w myślach już żegnając się z królewskimi rumakami:

- Kiedy to Twardowski miał być w Lewartowie?
- Siedem dni wstecz. Niedługo potem posłaliśmy po waszmościa.

Właśnie. Ja to mam szczęście! Dlaczego zawsze sprawdzają mi się złe przecucia, a te lepsze nigdy? Taka już moja sieroca dola... Kiedy do syta naużałem się w duchu nad sobą, wyjaśniłem:

– Trzy dni temu widziano go w Urzędowie. W moim mniemaniu pan Twardowski zaciera za sobą ślady. Udał, że zdąża na północ, by zmylić tropy, gdy tymczasem wraca do Krakowa. Musieliśmy się minąć w drodze albo peregrynować nocami, co wcale by mnie nie zdziwiło. I jak się zdaje, jest śledzony przez człeka w czerni i o oczach płonących jak czerwone węgle, który podąża za nim w trop. Cóż, zatem jak wprzódy skorzystam z usług poczty – z żalem pogłaskałem po szlachetnych łbach zwierzęta, których nie dane mi było dosiąść.

Drohojowski przyzwał masztalerza i powierzył mu konie, po czym rzekł do mnie:

– Trudno. Ale mam dla waści dobrą nowinę. Jego ekscelencja książdz podkanclerzy przyjmie cię jeszcze dziś. Wystarczyła niewielka perswazja – uśmiechnął się do mnie i puścił oko. – Czekaając, może coś przegryziemy?

Nie miałem nic przeciwko temu, bo zdążyłem już zgłodnieć, a i chęć natychmiastowego wyruszenia w drogę jakby we mnie ostygła. Udaliśmy się do świetlicy, dokąd Drohojowski kazał przysłać jadło i wino. Podczas posiłku dworzanin dzielił się ze mną turbacjami, swoimi także, ale przede wszystkim królewskich sekretarzy, Kochanowskiego, Zamojskiego i drugich, mających w tych dniach pełne ręce roboty:

– Chyba utoniemy w papierach! A wszystko przez tych upartych Żmudzinów! Radziwiłł Rudy i Jerzy Chodkiewicz judzą, jatrzą i podżegają na potęgę... Powiadają łyckowie, że w Wielkim Księstwie nowa *turris Babylonica*. Boćwinkowie na gwałt szukają sposobów, jak obronić się przed królewskimi uniwersałami. Jedni nawołują do jawnego buntu i sprowadzenia na Polskę Tatarów, drudzy chcą uczynić zjazd w Wilnie, a inni jeszcze wołają, by uniwersały lekce sobie ważyć. Wszyscy zaś są zgodni co do jednego: nie składać przysięgi. Król wyznaczył terminy przysięgi dla Podlasian na 27 marca, dla Wołynian na 3 kwietnia, lecz czy przybędą, mocno

wątpię... Już ślą listy, że niby chorzy... Król dał „cierpiącym” odpowiedź bardzo uprzejmą i z całą „dobroduszością” zezwolił na dokonanie przysięgi na miejscu, u siebie, w przytomności komorników i pisarzy, których im wnet podeśle. Powiadam waści, że na tym nie koniec... Najjaśniejszy pan wziął na kiel i nie ustąpi. Jak to się skończy, Bóg jeden wie. A do tego wszystkiego jeszcze ta sprawa z Twardowskim...

Dopijaliśmy akurat wino, gdy odnalazł mnie młody kleryk przysłany przez Krasieńskiego. Poszliśmy do kancelarii jego ekscelencji i zostałem przyjęty niezwłocznie. Zaraz po powitaniu książę podkanclerzy odprawił sekretarza i zostaliśmy w izbie samowtór. Nie był jeszcze stary, ale nie wyglądał dobrze. Twarz miał pobrużdżoną zmarszczkami i smutną. Cieszył się królewskimi faworami, o które umiał zabiegać, chociaż, jak chodziły słuchy, niezbyt nadawał się do rady, jednak wszelkie polecenia wykonywał gorliwie i akuratnie. Ustępował biskupowi Padniewskiemu światową ogładą i talentem do dyplomatyki. Uchodził wszak za uczciwego i był niemal pewnym kandydatem do wielkiej pieczęci oraz biskupstwa krakowskiego po Padniewskim. Trudno mi przychodziło uwierzyć, że dał się wciągnąć w tak paskudną awanturę. Może uczynił to z gorliwości, chcąc jak najlepiej wygodzić najjaśniejszemu panu?

– Spoczniej waść – uprzejmie wskazał mi krzesło naprzeciw siebie. – Boś zapewne wielce zdżozon. Słyszałem, że poszukujesz mistrza Twardowskiego. Z jakim skutkiem?

Wyczułem w jego głosie nie tylko zwykłą ciekawość, ale i napięcie.

– Jeszczem nawet nie zaczął, wasza miłość, ale to i owo już mi się rysuje...

– Co masz na myśli?

– Myślę, że mistrz ma nielichą turbację – odparłem i opowiedziałem jego ekscelencji, do jakich wniosków doszedłem, nic mu wszakże nie mówiąc o papierach pozostawionych przez czarnoksiężnika.

Długo milczał, a na jego rozumnej twarzy widziałem szczerą troskę.

– *Ergo* powiadasz, iż ciągnie do Krakowa?

– Tak jest, dawszy pozór, iż zmierza w przeciwną stronę. W trop za nim podąża zaś, jak mi opisano, jegomość w czerni, z oczyma czerwonymi jak rubiny. Tak mi się przynajmniej zdaje.

– Zatem nie posłuchał mnie... Wola Boska... – wyszeptał podkanclerzy. – Niech Bóg ma cię w swojej opiece, Piotrze...

– Co wasza miłość powiada?

– Nic... Pan Twardowski jest moim druhem od z górą trzydziestu lat, dlatego troskam się o niego. Cóż to wszak może waćpana obchodzić. Proszę.

Podjął ze stołu obłożonego papierami rulon pergaminu i podał mi przez stół. Rozwinąłem go. Był to mój upragniony serwitoriat, pięknie wypisany i opatrzony pieczęcią mniejszą; wszystko jak należy.

– Dziękuję waszej ekscelencji – wstałem i pochyliłem się do wyciągniętej ku mnie dłoni, nie tak upierścienionej jak u Padniewskiego.

Skłoniłem się nisko na pożegnanie, a gdy już sięgał do klamki, ksiądz podkanclerzy powiedział:

– Będę się modlił, byś odnalazł mistrza wprzód, nim uczyni to ów czarny jegomość. *Cavete*, synu. To człek straszny. Jeśli kiedykolwiek skrzyżują się wasze drogi, zejź mu z oczu.

– Będę pamiętał, wasza wielmożność – odparłem.

Poszedłem jeszcze raz pożegnać się z moimi wysoko postawionymi przyjaciółmi i pryncypałami zarazem. Namawiali mnie, bym został w zamku na noc i dobrze wypoczął przed powrotną drogą, lecz odmówiłem.

– Jeśli chcę dostać mistrza, nim uczyni to jego wróg, muszę ruszać natychmiast, a i tak kiepską żywię nadzieję, bym zdążył na czas.

Nie zatrzymywali mnie tedy, życzyli jeno powodzenia, a Drohojowski na koniec niemal słowo w słowo powtórzył ostrzeżenie księdza podkanclerzego:

– Kiedy mistrz Twardowski wywoływał rzekomego ducha królowej Barbary, pewien albus *alias* bielak, Hiszpanie na takich wołają *albino*, strzegł przystępu do królewskich kownat. Zebrałem o nim w Warszawie garść wieści, choć nie było to łatwe, bo otacza go sekretna aura. To jurgieltnik. Zwie się Reinhold Kettler, rodem z Prus czy Kurlandii albo Inflant, i podaje za brata mistrza zakonu inflanckiego, co zapewne jest bzdurą wierutną. Pracuje dla Mniszchów, wybornie włada naszą mową i jest bardzo biegły w swoim rzemiośle, czyli zabijaniu ludzi za pieniądze. To zapewne on tropi mistrza. Strzeż się go!

– I jeszcze jedno – dodał Kochanowski. – Jeśli się czegoś dowiesz albo będziesz czegoś potrzebował, pójdź z tym do Górnickiego, a on nas uwiadomi. Najlepiej odwiedź go zaraz po przyjeździe; będzie ciekaw nowin.

Konie pocztowe, które przypadły mi w udziale, dorównywały tamtym, na których przybyłem do Lublina. Opuszczałem miasto przez bramę Krakowską z przeświadczeniem, że zmitrężyłem bez potrzeby pięć dni. Zaraz jednak zbeształem się w myślach. *Primo* – wiozłem starannie złożony i bezpiecznie spoczywający na piersi serwitoriat królewski inicjujący nową profesję inwestygatora, której miałem zaszczyt być pierwszym przedstawicielem, *secundo* – miałem do rozwikłania kolejną sprawę, która powinna przysporzyć mi sławy i dochodów. Ze względu na człeka w czerni jawiła się wyjątkowo niebezpiecznie, lecz byłem młody (ktoś nieżyczliwy, myśląc się bardzo, dodałby – głupi) i niebezpieczeństwo stanowiło miły dodatek do całości.

Pędziłem co koń wyskoczy, w Urzędowie zmitrężywszy tyle tylko czasu, by zmienić wierzchowce. Koło północy przekroczyłem Wisłę pod Zawichostem, o rzut kamieniem od czarnej bryły zamku strzegącego przeprawy. Trochę miałem obaw, przeprawiając się przez rzekę po ciemku, ale wyjątkowo długa i sroga tegoroczna zima sprawiła, że lód na Wiśle wciąż trzymał. W drodze do Sandomierza zaczął mnie morzyć śpić, więc sporą część z czterech mil dzielących mnie od miasta zabawiałem się strzelaniem z pistoletu w ruchu i z nieprzygotowanych pozycji. Moimi celami były czubki drzew, szyszki i tym podobne. Mimo kiepskiego księżycowego światła szło

mi niezgorzej. W każdym razie dzięki tej zabawie lepiej poznałem swoje nowe pistolety, a i droga nie dłużyła mi się wcale.

Skoro świt stanąłem pod bramą miejską, którą właśnie otwierano. W postamcie znów przyjęto mnie serdecznie, więc nie szukałem gospody. Przespałem się, a w zasadzie przedrzemałem trzy godziny, rano wziąłem tylko suchą spyżę i znów byłem w drodze. Ponieważ jazda nie sprawiała mi już trudności, dalej zabawiałem się strzelaniem znad grzbietu końskiego i spod brzucha, w przód, w tył i na boki. A wyniki były wcale obiecujące, trafiałem, w com chciałem, niemal za każdym razem, broń zaś sprawowała się wybornie. W Nowym Mieście zabawiłem jeno tyle czasu, by zmienić wierzchowce i coś przegryźć. Im bliżej Krakowa, tym większy gnał mnie niepokój, zaprzestałem nawet zabawy z pistoletami, zwłaszcza że kończyły mi się kule, a nie chciałem zostać bezbronny.

Na drugim brzegu Wisły już widać było Puszcę Niepołomną, a i po tej stronie trafił się wcale gęsty kawał lasu. I wtedy to się stało. Nagle przede mną zwała się rosochata sosna, a za chwilę miałem pełne ręce roboty z grasantami. Najpierw zastrzeliłem tego, który rzucił się na mnie z tasakiem, potem innego, który mierzył do mnie z puszczela, kolbą pistoletu ugodziłem obszarpańca, który uwiesił się u pyska mojego karego, rapierem przebiłem czwartego, co próbował ugodzić mnie rohatyną. Ale piąty wskoczył mi za plecy i usiłował poderznąć gardło. Pochwyciłem go za rękę, lecz musiałem wypuścić z dłoni rapier, on zaś wolną dłonią wy dobył mi zza pasa puginał. Szarpnąłem się wściekle, a koń zatańczył w miejscu, lecz napastnik wciąż się mnie czepiał jak natrętny kleszcz. Miałem akurat tyle czasu, aby zastanowić się, pod które żebro wbije mi mój własny sztylet. Raptem puścił popręg i obaj zwaliliśmy się na ziemię.

Ucisk zelżał, a zbójca jakby zwiotczał i oparł się na mnie całym ciałem. Strząsałem go bez trudu. Z piersi wystawała mu rękojeść noża, na który sam się nabił. Gapiłem się w nią bezmyślnie, ciężko dysząc. I wówczas, w nagłym olśnieniu, pojąłem to, co mi dotąd umykało. Nóż! To był ów klucz do zagadki śmierci Doroty!

Dalsza podróż upłynęła spokojnie. Bez przygód dotarłem do Krakowa. Ale gdym podjechał pod bronę Mikołajską, natychmiast dało się wyczuć napięcie. Wzmocnione straże rewidowały wszystkich wjeżdżających do miasta dokładniej niż zazwyczaj, nawet takich, co jak ja przybywali wierzchem.

– Dziś rano scholarzy przypuścili szturm na ratusz, chcąc odbić więzionego w kabatach magistra Wolskiego. Odparto ich z trudem, lecz w mieście wrze jak w tyglu. Strach pomyśleć, co jeszcze może się zdarzyć – oświecił mnie strażnik.

A więc stało się! No cóż, tego należało się spodziewać. Zajęty niewesołymi myślami odstawiłem konie do pocztowych stajen i poszedłem do domu. Po prawie nieprzerwanych dwóch dniach w siodle stapało mi się osobliwie, prawie jak majtkowi po zejściu z korabia. Od strony ratusza nie było słychać strzałów ani krzyków, ale wiedziałem, że to długo nie potrwa. Dlatego jeszcze dziś czekało mnie sporo pracy. Jak dużo, przekonałem się, ledwie przekroczyłem próg naszego domu.

– Nareszcie! – powitał mnie Nizioł, otwierając ramiona i ściskając jak w imadle. – Ci tam przychodzą tu trzeci dzień – kiwnął głową, wskazując mi stół, za którym przy piwie siedział Antoś i kilku innych kolegów ze studiów.

Rozpromienili się na mój widok, a gdyśmy się witali, jęli zarzucać mnie nowinami jeden przez drugiego.

– Spokojnie! – zawołałem. – Dajcie mi się ochędożyć po podróży. Zaraz do was zejść. Niziołku – rzekłem do wielkoluda – każ im podać piwa na mój koszt.

– A jak myślisz, na czyj chleją od początku? Ten cherlawy – pokazał Antosia, który wyszczerzył zęby – powiedział, żeś im dozwolił pić do woli aż do swego powrotu.

– A to szelma! – zaśmiałem się i żartobliwie pogroziłem Antkowi, który wykrzywił się w okropnym grymasie. – Niech im idzie na zdrowie. Gdzie Sęp?

– Był na Rynku i oberwał w głowę kamieniem. Niegroźnie, lecz zaległ w łóżu i zakazał się budzić aż do jutra. Człowieku, co to się dziś działo na mieście!

– Opowiesz mi później – przerwałem mu i poszedłem na górę.

Ciotka ucieszyła się z mojego powrotu, bo trudno powiedzieć, że z widoku. Widziała ledwo, ledwo i tylko z bliska. Opowiedziałem jej, co uznałem za stosowne. Wysłuchała cierpliwie i pogłaskała mnie po twarzy.

– Dobrze znów mieć cię w domu, synaczku.

Zrobiło mi się tak jakoś miękko na sercu i chętnie porozczulałbym się nieco nad sobą, lecz nie miałem czasu. Poszedłem więc do swojej izby pozbyć się broni, z wyjątkiem sztyletu, i zaraz z powrotem zszedłem na dół.

– Widzę, że sobie nie żałujecie – powiedziałem, dosiadając się do Antka i pozostałej trójki.

– Należy się nam chyba za to, że przed drugimi świecimy za ciebie ślepiami – odszczeknął gruby Bartek, student prawa, mimo okrągłej sylwetki całkiem żwawy i prędko do bitki.

– Opowiadajcie – kiwnąłem na Magdę, aby przyniosła mi piwnej polewki.

– Grot długo zwlekał, mniemając, że ty staniesz na czele scholarów, boć przecie Wolski to twój druh – zaczął Antek. – Nareszcie, gdy tyś nie pojawiał się w akademii, wczoraj jego akolici jęli obiegać wszystkie wydziały i bursy w mieście i nawoływać do stawienia się dziś z rana pod ratuszem, z bronią, jaką kto ma. Przybyło dobrych parę setek zbrojnego luda!

– Lecz draby i ceklarze byli gotowi na nasze przyjęcie – wpadł mu w słowo Hieronim, żak z Litwy, równie chudy jak Bartek gruby; studiował teologię, a sądząc po tym, jak chętnie sięgał po kubek wina jedną ręką, a drugą po kord, wróżyłem mu piękną przyszłość: powinien zająć w biskupy. – Odparli szturm, raniąc paru naszych. Żacy się rozpierzchli, wcześniej obrzuciwszy kamieniami dom Czeczotki. Grot odgraża się, że jutro znów przypuści szturm, tylko tym razem lepiej przygotowany. Nie wszyscy chcą za nim pójść, bo to gorączka, gotów ludzi wytracić bez potrzeby, dlatego czekamy na ciebie. Co mamy czynić, Kacprze?

Rozmyślałem nad tym od pewnego czasu.

– Frontalny atak nie rokuje powodzenia. Będą przygotowani lepiej niż dziś. Padną zabici z obu stron, ale więcej z naszej.

– To wiemy – rzekł Foltyn, kandydat na medyka jak ja.

– Trzeba ich zaskoczyć – ciągnąłem. – Myślę, że jest na to sposób. Kończcie to picie. Wychodzimy.

– Ejże! – zaprotestował Hieronim. – Jeszcze nie skończyłem!

– Nie szkodzi – rzekłem. – Tam, gdzie idziemy, też jest piwo. I także ja funduję. Hej, Niziołku – zawołałem na olbrzyma – masz ochotę na piwo świdnickie? Tak? To chodź z nami do „Indyj”! Poradzisz sobie? – spytałem Grubego Staszka, podchodząc do szynkwasu. – Wrócimy niebawem.

Kiwnął głową, wycierając szklanice.

– Tłoku dziś nie ma. Dam radę.

Niedługo potem staliśmy pod ratuszem, a konkretnie pod wieżą umieszczoną nad wejściem do najświetniejszej spelunki w mieście. Trochę się lękałem, czy aby w obliczu tumultu nie zamknięto „Indyj”, lecz próżne obawy. Piwiarnia nie tylko była otwarta, ale jak zwykle zatłoczona, a z wnętrza buchały dźwięki głośnej muzyki.

– W lewo – rzekłem, gdyśmy zeszli na dół po krętych i stromych schodach, na których niejeden pijak skręcił już kark.

Schowani za szerokimi barami Nizioła, przepychaliśmy się między ciżbą gości, z których połowy nie życzyłbym sobie oglądać w naszej gospodzie, od czasu do czasu pozdrawiając znajomych i kierując się do ostatniej piwnicy.

– Tam będzie najlepiej – wskazałem Niziołowi stół w kącie pod ścianą.

– Zrobi się – olbrzym podciągnął rękawy, ukazując potężne mięśnie.

– Najpierw ja, jeśli pozwolisz – powstrzymałem go i pod jego ramieniem przesunąłem się naprzód.

– Mości panowie – zwróciłem się głośno i wyraźnie, by być słyszonym w panującym tu hałasie, do towarzystwa zgromadzonego za stołem. – Zechciejcie nam ustąpić miejsca, a będziemy niewymownie zobligowani. Albowiem mamy ważną i niecierpiącą zwłoki sprawę do omówienia.

Rozmowy i wrzaski ucichły, jak nożem uciął, i to nie tylko przy upatrzonym przeze mnie stole, ale i innych znajdujących się w tej części piwiarni. Spoglądały na mnie chyba najbardziej zakazane gęby, jakie można spotkać w naszym pięknym mieście.

– Co on gada? – spytał jeden z nich, przytykając dłoń do miejsca, gdzie kiedyś miał ucho, był bowiem oszelmowany.

– Won, chłoptasiu, pókiś cały – uniósł się z miejsca mąż o gębie przeciętej ohydłą blizną, który zapewne owego niegrzecznego słowa nauczył się, wojując z Moskalami; Wolski też go chętnie używał. Ciekawe, czemu z obcych słów najszybciej wpadają nam w ucho te żadne?

– Słyszałeś? – rzekł trzeci i bryznął mi w twarz resztką piwa z cynowego kufla.

– Cóż – wzruszyłem ramionami, otrząsając się i cofając, by zrobić miejsce dla Niziołka – przynajmniej próbowałem. Są twoi, Niziołku.

Wielkolud ryknął i porwawszy ze stołu słuszny garniec pełen piwa, z rozmachem nasadził go na łeb tego, który mnie oblał. Dzban rozpekł się na wiele kawałków, których chyba nawet święty Jan Kanty nie byłby w stanie poskładać, a drab nakrył się nogami. Ekswojak chwycił za kord, lecz Nizioł złapał go za szyję, wyszarpnął z ławy i cisnął ku wyjściu jak worek mąki. Teraz trzech naraz rzuciło się na mojego druha. Stałem przy nim, ale odsunął mnie łagodnie i rzekł:

– Dozwól mi się zabawić.

Pozostało nam więc jedynie uchylać się i odskakiwać, gdy kolejny z biesiadników opuszczał izbę, nie dotykając stopami zaplutego kamiennego pawimentu. W kilka chwil całe pomieszczenie było puste, nie tylko interesująca nas okolica – reszta gości bowiem wolała chyłkiem wymknąć się z izby, niż znaleźć w zasięgu niedźwiedzich łap Niziołka. Tylko dziewczki towarzyszące tamtym, rade zamienić kompanię na lepszą, trza było pogonić. Ledwie jednak usiedliśmy za stołem, zjawił się gospodarz z dwoma pomocnikami uzbrojonymi w okute kije.

– Co tu się dzieje? – spytał groźnym tonem.

– Wynajmujemy tę izbę – odparłem, rzucając mu czerwońca.

Złapał monetę w locie, odprawił osiłków i spytał uniesieniem:

– Co podać?

– Piwa.

Skłonił się w pas i odszedł.

– Po co tu przyszliśmy? – spytał Antek.

– Napić się świdnickiego – odparłem, bo akurat przyniesiono nam piwo.

– A oprócz tego?

Odczekałem, aż zostaniemy sami, i odsunąłem się, aby pokazać im coś za plecami.

– Po to.

Była to wnęka w murze, którą zapamiętałem, gdy byłem tu jeden jedyny raz, kiedy mnie otrząsano jako beana.

– Nie pojmuję... – poskarżył się Hieronim.

– To proste. Za tą ścianą jest tortornia. Kiedyś, tuszę, te piwnice były połączone z kabatami.

– I co z tego? – dalej nie pojmował Foltyn.

– A to: wystarczy tutaj podłożyć minę i w murze powstanie wyłom, przez który wdrzemy się do kabatów i uwolnimy Wolskiego.

Antek omal nie udławił się piwem.

– Jesteś jeniusem!

– O, nasz Kacper to radziecka głowa! – powtarzając ulubione słowa ciotki, zawtórował Nizioł, na którego zawsze mogłem liczyć.

– Przesadzacie – powiedziałem bez przekonania, bo choć nie lubię się chwalić, to co prawda, to prawda. – Słuchajcie: spotykamy się tu jutro w samo południe.

– Skąd weźmiesz proch? – spytał praktyczny Nizioł.

– Pójdiesz zaraz na Grodzką ulicę i poprosisz mojego brata Michała, żeby sporządził dwu- lub czterofuntowy ładunek. Zresztą powiesz mu, jakiej tęgości jest mur, a on już będzie wiedział, ile prochu na to trzeba. Nie chcę wysadzić w powietrze całego ratusza i pokieraszować Bóg wie ilu ludzi. No co, zgoda? *Ergo* do jutra. W południe – przypomniałem pozostałym. – Ale muszę jeszcze coś sprawdzić i wszystko od tego zawisnie, więc mogę się nie zjawić.

– I co wtedy? – spytał Antoś.

– Nic. Wszystko odwołane.

– A my co mamy wówczas uczynić?

– Co chcecie. Możecie się przyłączyć do Grota i pozostałych, ale nie radzę.

Wychodząc, uprzedziłem gospodarza:

– Być może wrócimy tu jutro w samo południe.

– Będę zaszczycony – rozciągnął usta w szczerbatym uśmiechu.

Na zewnątrz rozdzieliliśmy się. Chłopcy poszli do bursy, Nizioł po proch, a ja do szpitala Świętego Ducha. Gospodyni Wolskiego powitała mnie jak starego znajomego. Prowadząc mnie do jego mieszkania i otwierając drzwi, powiedziała:

– Pamięta panicz, jak prosił mnie kiedyś, bym rozpatrzyła się w pościeli magistra? Brakuje jednej poszwy.

– Jesteś pewna?

– Tak. Są cztery prześcieradła, ale tylko trzy poszwy.

Nie zaskoczyło mnie to. Podziękowałem kobiecie i odesłałem, by w spokoju zrobić to, po co tu przyszedłem. Najpierw obejrzałem łożę, co winienem uczynić już dawno. Jeden ze sznurów od kotary był odmienny od pozostałych, nowszy i bez chwosta. Następnie odnalazłem skrzynkę, niemal identyczną z tą, którą miała Dorota. Skrytka także znajdowała się w tym samym miejscu. I też nie była próżna. Spodziewałem się tego, a mimo to byłem zaskoczony i wstrząśnięty. Długo siedziałem, wpatrując się w dwa przedmioty spoczywające na dnie szuflady, aż na dworze zapadł zmrok i w izbie zrobiło się ciemno. W końcu zawinąłem je ostrożnie w chustkę, zasunąłem szufladę, ustawiłem skrzynię na swoim miejscu i wyszedłem. Wystąpiłem się pod szpitalem, nim brat furtian otworzył mi drzwi.

– Ojciec Roch już poszedł spać. Miał ciężki dzień – rzekł z wyrzutem, gdy mu się opowiedział.

– Mnie na pewno przyjmie.

Pater faktycznie leżał w łóżku, lecz jeszcze nie spał.

– A, jesteś nareszcie, włóczykiju. Nie mogłeś z tym zaczekać do jutra, więc tuszę, iż przywiózł ciekawe wieści. Wybacz jeno, że nie wstanę. Odebrałem dziś cztery porody, a jedna niewiasta zmarła mi pod nożem.

Opowiedziałem mu o swej podróży do Lublina, o sprawie Twardowskiego i pochwalilem się otrzymaniem serwitariatu, po czym przeszedłem do rzeczy.

– Nie zawracałbym ci po próznicy głowy, ojcze, gdyby nie przywiodła mnie

ważna sprawa, rzecz można bez przesady: życia i śmierci – mówiąc to, skrzesalem ognia, zapaliłem świecę stojącą na pulpicie przy łóżku i usiadłem u kraja.

– Jakaż to sprawa? – zaciekawiał się i uniósł na łokciu.

– Wiem, kto zabił Dorotę.

Po czym położyłem przed nim na łóżku chustkę, odwinąłem ją i przyświeciłem mu, by przyjrzał się przedmiotom, które znalazłem w skrytce. Następnie opowiedziałem mu, jak moim zdaniem doszło do zabójstwa i jak zostało dokonane. Słuchał, nie przerywając, dopiero gdy skończyłem, nakazał gestem, bym z powrotem zabrał zawiniątko.

– Dobrześ wiedział, komu go dałeś – rzekłem z wyrzutem, wskazując narzędzie zbrodni. – Czemuś mi nie powiedział?

– A co by to dało? – patrzył mi w oczy ze smutkiem. – Dorocie i tak życia nie przywróci. Teraz to sprawa między nim a Bogiem. Co masz zamiar uczynić?

– To, co muszę – odparłem ponuro. – W przeciwieństwie do ciebie nie mogę zdać się na Boską sprawiedliwość.

Z westchnieniem opadł na poduszki.

– Nie zażrę ci. Wiem, jakie to dla ciebie musi być ciężkie. Będę się za ciebie modlił, synu.

A gdy już wychodziłem, szepnął:

– I za niego też...

Wróciłem do domu, wziąłem kąpiel, ale do zjedzenia wieczery nie potrafiłem się zmusić. Nie chcąc z nikim rozmawiać, przemknąłem do swojej izdebki, lecz nie mogłem usnąć. Przez nasz Kącik przemaszerowała nocna wachta, śpiewając:

*Już dziesiąta na zegarze!
Idźcie spać, gospodarze!
Strzeżcie ognia i złodzieja,
Chwalcie Boga Dobrodzieja!
Na sługi się nie spuszczać,
Lepiej sami doglądajcie!
Ostrożnie z ogniem!*

A ja wciąż nie mogłem usnąć, mimo iż tak mało spałem poprzedniej nocy, zwłaszcza że za oknem ponuro zawodził wiatr, oblepiając szyby mokrym śniegiem. I już nie zasnąłem, przewracając się tylko z boku na bok i rozmyślając. Nareszcie, ledwo za oknem zaczęło szarzeć, ubrałem się i na palcach zszedłem na dół. Wziąłem z kuchni trochę jedzenia, z piwnicy dwie flaszki wina, powiedziałem podkuchennej, która też już była na nogach, że nie wiem, kiedy wrócę, i wyszedłem.

ROZDZIAŁ 9 | WYROK

Ranek wstał równie ponury jak poprzedni wieczór. Śnieg wciąż zacinał, choć nie tak gwałtownie jak w nocy, jednak wyglądało na to, że wiatr ucichł jedynie na jakiś czas i zapowiadała się jeszcze gorsza zawierucha niż wczoraj. Wykorzystując chwilowe polepszenie aury i dla wywietrzenia z głów oparów nocnej pijatyki, około południa szlachta bawiąca w gospodzie wyległa na podwórze.

– Ejże, Cyganie! – zawołał któryś. – Pokaż nam raz jeszcze sztuczkę z kozą.

– *Ćhava!* – krzyknął starszy Cygan w kierunku stajni, gdzie spędziła noc czeladź szlachecka.

Ale chłopiec, którego gardzące nim pachółki przegnały ze stajni, samotnie spędził noc nad chlewikiem. Zszedł stamtąd, wytrzepując słomę z włosów. Dowiedziawszy się, po co go wołają, wrócił do chlewika po kozę, po czym powtórzył z nią wczorajsze sztuki, i to kilka razy z rzędu, bo rozochoceni szlachcice zaśmiewali się do łez i wciąż im było mało.

– Gospodarzu – jeden z nich rzucił karczmarzowi monetę – każ podać tej kozie lepszego obroku i trochę marchwi, bo zmyślna bestyja i warta tego. A ty, Egipcjaninie, prowadź do swego wozu.

Młodszy Cygan zajął się zwierzęciem, a starszy ochoczo poprowadził obecnych, bo do gości dołączyli także gospodarz, jego żona i służący, jako że obwoźny kram żelazny był rzadką gratką, zwłaszcza w zimie, gdy nie spotykało się wędrujących Cyganów i po zaopatrzenie trzeba było jeździć do Krakowa. A i tak nikt lepiej od Cyganów nie radził sobie z metalami. Umieeli pobielać miedziane kotły cyną, wyrabiali z miedzi naczynia, naprawiali dziurawe, a do wszelkich robót służył im niewielki podręczny zestaw narzędzi. Słownie kowadło-*dopo*, czyli żelazny łom, sklepany u góry, u dołu zaostrzony i wbijany ukośnie w ziemię. Resztę warsztatu stanowiły młot, młotek, obcęgi, szczypce, pilnik, miechy z koziej skóry, kawałki żelaza i... tyle. Wszystko to można było wrzucić na wóz, albo nawet nosić ze sobą w

tobołku.

Spory tłumek otoczył więc wóz stojący pod wysuniętym, wspartym na słupach dachem stajni i nieco osłonięty od zacinającego śniegu oraz Cygana, który po kolei wyjmował zeń rozmaite przedmioty, podwójnie rad, bo nieźle zarobił w nocy, a spodziewał się jeszcze lepiej obłowić. Szlachcic, któremu odpadła zelówka, został od razu obsłużony, po czym kupił parę blaszek na zapas. Także ów, którego koń zgubił podkowę, był tak zadowolony z usługi, że zaprosił Cygana do osiedlenia się na swoim folwarku, o milę od Lanckorony. Karczmarzowa przyniosła kilka naczyń do naprawy, a karczmarz zdecydował się na zakup nowego miedzianego kociołka, dużej, pobielanej patelni i skrzynki gwoździ, gdyż szykował się do przystawienia wiosną dobudówki do gospody. Czeladź męska ochoczo wykupywała noże i koziki, których Cygan miał duży wybór, niewiasty zaś nabywały tanią cynowaną biżuterię udającą srebrną oraz pierścienie z fałszywego złota, szychu, z oczkami z barwionego szkła.

– Mirmidonie – rzekł na koniec ów szlachcic, który poprzedniego dnia interesował się końmi. – Chciałbym teraz zobaczyć twego wierzchowca, tego czarnego.

– *Kało graj!* – zawołał Cygan do wyrostka, który oporządziwszy kozę, poszedł do stajni zając się końmi.

– Och! – zgodnie wyrwało się ze wszystkich piersi, gdy chłopiec wyprowadził wierzchowca, w świetle dnia widocznego w pełnej krasie.

Mimo iż wyrostek wisiał mu u pyska, koń wierzgał i rzucał łbem, nie pozwalając się poskromić.

– Niezadny! – westchnął jeden ze szlachciców.

– Nieskazitelny – rzekł Cygan. – Ma pięć lat. Idealny wiek dla konia.

– Widziałem podobnego u pana Ruszczyca spod Wadowic, tylko tamten był siwy – wtrącił jeden z widzów, przyglądając się ogierowi uważnie.

– Kto odważy się go dosiąść? – spytał ktoś.

– Ja! Siodłaj – polecił Cyganowi ów przymierzający się do kupna.

Starszy Cygan najpierw wziął koński łeb w obie dłonie i coś szeptał zwierzęciu do ucha, po czym wyjął z wozu siodło i zarzucił na wierzchowca. Koń poddawał się temu ze spokojem, choć na wszelki wypadek wyrostek nie wypuszczał kantara z rąk. Ośmielony szlachcic gestem odprawił Cyganów, odebrał wodze i wskoczył na wierzchowca.

– Zakład o talara, że kary zrzuci go, nim zdążymy sczytać do dziesiąci – zaśmiał się kompan śmiałka.

– Przyjmuję – powiedział inny szlachcic.

Tymczasem nic nie wskazywało na kłopoty. Szlachcic zatoczył koło po majdanie. Koń szedł pięknym, równym krokiem i dawał sobą powodować. Wszyscy z takim napięciem obserwowali widowisko, że ledwo zarejestrowali przybycie nowego gościa. Był to szlachcic słusznej postawy i dostatnio odziany, acz odzież miał wymiętą, a i sam wyglądał na sfatygowanego; jeno jego wierzchowiec prezentował się

niezgorzej.

– Czołem waszmościom! – pozdrowił obecnych, ale jedynie dwaj odparli machinalnie: – Czołem! – i zaraz wrócili do oglądania popisów jeździeckich kompana.

Tylko gospodarze, radzi z nowego, znamienitego gościa, rzucili się witać przybysza. Pomogli mu zsiąść z wierzchowca, którego pachołek zaraz powiódł do stajni.

– Prowadź do izby – polecił karczmarzowi przybysz. – Zdrożonym wielce i wpierw muszę wypocząć.

– Kiedy, wielmożny pan raczy darować, sporo u nas szlachty, więc nie ma wolnej izby – arendarz rozłożył ręce z widocznym żalem; nikt nie lubi tracić dobrego klienta.

Szlachcic rzucił karczmarzowi złotego dukata i rzekł rozkazująco:

– Najprzedniejsza izba. Ale migiem.

– Już się robi, łaskawy panie! – zawołał uszczęśliwiony gospodarz i faktycznie w parę chwil wraz z żoną opróżnili własną izbę, którą przybysz zaraz zajął, zakazując się budzić.

– Z jednym wyjątkiem – dodał. – Czekam na kogoś. Jeśli się zjawi, obudźcie mnie natychmiast.

Tymczasem na podwórzu kary nagle wyskoczył w górę i opadł na wyprostowane nogi. Wstrząs omal nie wysadził jeźdźca z siodła, ale jakoś utrzymał się na końskim grzbiecie do chwili, gdy rumak potężnie zarzucił zadem, a on przeleciał nad końskim łbem i wylądował w śnieżnej zaspie.

– A nie mówiłem! – zaśmiał się szlachcic skory do hazardu i nadstawił dłoń: – Płać!

– Ani myślę – zachnął się drugi. – Zdzierzył jakmiarz do sta, dokładnie rachowałem.

Zaczęli się spierać. Tymczasem niefortunny jeździec pozbierał się przy pomocy pachołka, ale nie wyglądał na rozżośzczonego. Przeciwnie.

– Biorę go – rzekł. – Ile chcesz, Mirmidonie?

– Ejże, Hrehory – wtrącił jego towarzysz. – Pomnij, żeś sam powiadał: *Cyhańska kobyła try dni leżył, a deń biżył*. Nie boisz się, że cię ocygani?

Powszechnie wiadano, że Cyganie skupowali po wsiach zabiedzone i słabe lub nawet chore konie, po czym odpasali je, choćby łopianem, piłowali zęby, by uchodziły za młodsze, i dawali im wódki, by sprawiały wrażenie dziarskich. Czasami jednak, znając się na odpowiednich ziołach, potrafili faktycznie wyleczyć zwierzę jak najlepsi roztrucharze. Jednak kary, w przeciwieństwie do drugiego konia przeznaczonego na sprzedaż jakiemuś naiwnemu chłopu, nie potrzebował żadnych zabiegów i starszy Cygan dobrze o tym wiedział, dlatego targował się twardo. Rusin, który tymczasem zaglądnął koniowi w zęby i dokładnie obejrzał pęciny, podjął decyzję.

– Biorę go – powtórzył stanowczo i odszedł z Cyganem na stronę, by ugodzić się

co do ceny.

Gestykulowali żywo, w końcu doszli do porozumienia. Szlachcic wypłacił Cyganowi pieniądze na wyciągniętą chciwie dłoń, po czym, uradowany, z rozmachem klepnął Roma w plecy i kazał pachołkowi odprowadzić karego do stajni.

– Zaczekajcie! – rzekł Cygan, podszedł do konia i wyjętym z wozu kawałkiem węgla drzewnego narysował koło na lewym przednim kopycie i krzyż na prawym, mamrocząc przy tym: – *Obles, obles te obles! Ać tu, ać tu maj sastes na t’awehas beng tute! Dewla, Dewla ać tute...* [1]

Ciągnął tak chwilę jeszcze, po czym dał koniowi kawałek chleba i siedem razy napluł mu w oczy, żeby pozbawić go strachu przed demonami.

– Co on robi? – zapytał któryś oszołomiony szlachcic, a inny przeżegnał się ukradkiem.

– Nic złego. Odczynia urok – zapewnił cygański wyrostek, w przeciwieństwie do swego towarzysza doskonale mówiący po polsku. – Żeby koń dobrze się chował, żeby demony nie miały do niego przystępu i aby nikt go nie ukradł.

Nowy właściciel karego wzruszył ramionami.

– To nie zaszkodzi. A teraz, mości panowie, zapraszam wszystkich na litkup! Wy też chodźcie – zwrócił się łaskawie do Cyganów. – Przynieśliście mi szczęście.

– Horyłku dla wszystkich – zarządził, gdy całe towarzystwo znalazło się w izbie karczemnej. – A ty, Egipcjaninie, bierz cymbały i graj!

Podczas gdy starszy zabawiał dobrze urodzonych, młodszy Cygan zaszedł do kuchni, gdzie w zamian za strawę zajął się wrózeniem z rąk. Kucharzowi obiecał na żniwa bliźnięta, czym go zachwycił i wzbudził podziw całej czeladzi, zarówno miejscowej, jak i gościnniej, która tłoczyła się przy palenisku, bo tu było ciepło i zacisznie, a na dworze wzmagała się zawierucha. Nikomu nie przyszło do głowy, że bystry chłopak już wcześniej zauważył, że kucharz i jedna z posługaczek, brzemienna, są małżeństwem. Drugiej służce wywróżył, widząc namiętne spojrzenia, jakie rzucał jej ukradkiem pachołek od wszystkiego, że przed Popielcem przywdzieje czepiec. Dziewczę było wniebowzięte i zapłonilo się jak róża. Gospodyni, która zajrzała do kuchni doglądnąć spraw, dowiedziała się ku swemu zadowoleniu z kart, że czeka ją w tym roku wyjątkowy urodzaj lnu i konopi. A kiedy poskarżyła się na ból głowy, Cygan zażądał octu, po czym natarł nim głowę cierpiącej, następnie umył jej głowę w gorącej wodzie, mamrocząc przy tym pod nosem: *Oh, dukh miro séro the o dad Miseheskro ada dikhel akana man tu maj dosta mardias miro séro tu mardias tu, na ać tu andre me!* [2]

– Coś uczynił? – spytała karczmarzowa nieco strwożona, gdy Cygan skończył robotę.

– Wygnałem Złego, który mieszkał w twojej głowie – odparł. – Czujesz ulgę?

– Tak. Ból minął, jak ręką odjął – ucieszona gospodyni pomacała się po głowie.

– Czy nie mieliście tu ostatnimi czasy jakiej choroby albo kurzego moru? – spytał

Cygan jakby od niechcenia.

– A jakże! – zawołała gospodyni z podziwem dla przenikliwości Cygana, jakby choroby ludzi i zwierząt nie zdarzały się nagminnie. – Połowa kur padła latoś! Możesz coś na to zaradzić?

– Potrzebne mi jajko.

Gospodyni skinęła na służkę, która natychmiast zeszła do loszku, gdzie w skrzyni z wapnem przechowywane były zeszłoroczne jaja. Otarła jedno w fartuch i szybko przybiegła z powrotem. Cygan wziął jajko i zawinął je w szmatkę, wykonując dużo różnych okrągłych gestów. Zaciekawieni widzowie otoczyli go kołem i wstrzymali oddech.

– Rozbij je – polecił Cygan gospodyni, kładąc zawiniątko na stole.

Kobieta zdjęła z nogi drewniany chodak i uderzyła w gałganek. Cygan rozwinął szmatkę i spośród skorupki wydobyl figurkę małego potworka. Wszyscy odskoczyli od stołu jak oparzeni, a ciężarna służąca wrzasnęła przeraźliwie.

– To *bengoro*, diablík, który był przyczyną moru – objaśnił Cygan, unosząc w górę ohydny figurkę, spreparowaną z dwóch spłaszczonych kurzych oczu, wosku i kurzej łapki imitującej diabelskie rogi. – Już więcej nie będzie wam szkodził.

Rzucił potworka między resztki rozbitego jajka i zaniósł zawiniątko do paleniska, ciskając je w ogień z uśmiechem; w razie czego miał jeszcze za pazuchą, gotowe do podrzucenia we właściwym momencie, *kokało*, czarodziejską kostkę okręconą włosami, *mułoro*, trupka z wosku, oraz zwiastujący śmierć *truszuł bałenca*, „włochaty krzyż”, ulepiony z poczernionego wosku krzyżyk opleciony ludzkimi włosami; uznał jednak, że obecni są wystarczająco wystraszeni i nie należy przesadzać. Gdy wracał od kominka, witały go strwożone i pełne podziwu spojrzenia.

– Dajcie mu jeść, ile i co zechce – poleciła karczmarzowa sługom i wróciła do głównej izby.

Młody Cygan jadł i pił, aż mu się uszy trzęsły, po czym przystąpił do sprzedawania czeladzi amuletów, lubczyku i innych ziół oraz specyfików skutkujących na wszelkie dolegliwości, a przede wszystkim zabezpieczających od uroków. Szły jak woda, a chuda wcześniej kieska wyrostka pęczniała od miedziaków.

Tymczasem w izbie karczemnej panom braciom już mocno kurzyło się z czupryn.

– Mirmidonie! – zawołał wysoki i chudy jak tyczka szlachcic. – Ostaw te cymbały! Zabaw nas inaczej!

Cygan odłożył instrument na ławę, wstał i zawołał w kierunku kuchni:

– *Ćhuri!*

Wnet zjawił się wyrostek, którego starszy Cygan ustawił pod ścianą bez okna, poprosiwszy siedzących tam gości, by się przenieśli, po czym rozpiął kaftan, ukazując szeroki skórzany pas, za którym tkwiły płaskie rękojeści pięciu noży w specjalnie doszytych pochwach. Następnie cofnął się pod przeciwległą ścianę, gwałtownie odwrócił i z niesamowitą szybkością wyrzucił noże, jeden po drugim. Chłopak ani drgnął, choć ostrza wbijały się o włos od jego ciała. Patrzącym aż zaparło dech, po

czym posypały się brawa i okrzyki podziwu. Bractwo poderwało się z ław i otoczyło obu Cyganów, poklepując ich życzliwie.

We wrzawie prawie nie zauważono przybycia nowych gości. Obaj byli ubrani w ciemne stroje i weszli w tej samej chwili, przytupując i otrząsając się ze śniegu, ale chyba nic więcej ich nie łączyło, jeden bowiem wyglądał na łyka i miał chytrą twarz kauzyperdy z rozbieganymi oczyma, a o drugim trudno było cokolwiek powiedzieć, gdyż bacznie rozejrzawszy się po izbie, zaraz zaszył się w najciemniejszy kąt, jak najdalej od kominka i reszty towarzystwa.

– Brr, ależ zawierucha! – rzekł pierwszy przybysz i przysiadł się do ognia, rozcierając zgrabią ręce.

Czujny gospodarz wezwał pachółka i posłał go, by zajął się końmi nowych gości, sam zaś wyszedł z za okratowanego szynkwasu, aby odebrać zamówienia od przybyłych.

– Gorzałkę i pieczyste – zadysponował ów wyglądający na jurystę, drugi zaś odparł tak cicho, że jego zamówienie utonęło w tumulcie czynionym przez rozochoczną szlachtę, która domagała się powtórzenia sztuczki.

Starszy Cygan wydobyl noże z belek, wetknął je na powrót w pas, po czym odpiął go, oddał chłopcu i tym razem sam ustawił się z rozpostartymi ramionami pod ścianą. Wyrostek zapiął pas na ostatnią dziurkę, cofnął się tak daleko, jak pozwalała mu szerokość izby, zdjął z szyi chustę, zawiązał ją sobie na oczach i skinął starszemu głową. W karczmie umilkły wszelkie szmery. Wszyscy, z wyjątkiem jegomościa w kącie, który jeszcze bardziej zapadł się w siebie, podnieśli się z miejsc, żeby lepiej widzieć, a równocześnie odsunęli jak najdalej od linii rzutów. Nawet służba stłoczyła się w przejściu do kuchni, żeby nic nie uronić z niesłychanego widowiska.

Młody Cygan wyjął pierwszy nóż i zważył go w dłoni. Nikt nie zauważył nawet, kiedy stal wyleciała mu z ręki i pomknęła do celu, a za nią cztery następne brzeszczoty. Wyrostek dokonał tego chyba nawet szybciej od poprzednika, choć to wydawało się wręcz nieprawdopodobne. Rezultat zaś był równie zadziwiający: pierwsze ostrze utkwilo nad głową starszego Cygana, dwa następne po obu stronach jego twarzy, a kolejne dwa – pod pachami. Wszystkie tuż przy ciele, lecz żadne go nie drasnęło.

Patrzącym odjęło mowę na widok tak niesamowitego wyczynu, po czym buchnął taki harmider, że karczma zadrżała w posadach. Na Cyganów spłynął deszcz monet o rozmaitym nominale. A potem piwo, wino i gorzałka, wedle upodobania, pociekły strugą szeroką jak rzeka.

Twardowski obudził się wypoczęty i głodny jak wilk. Wielodniowa ucieczka i ciągle napięcie wyczerpały go. Nie był jednak młodzieniaszkiem, miał już sześćdziesiąt pięć lat, choć trzymał się krzepko i nie prostował, gdy powiadano, że czerstwy wygląd zawdzięcza wynalezieniu eliksiru wiecznej młodości. Za oknem pociemniało; przespał całe popołudnie.

– Żydzie! – ryknął.

Nie czekał długo, gdy w drzwiach, zapukawszy uprzednio, pojawił się arendarz, cały w lansadach.

– Do usług, jasnie panie. Co wasza miłość rozkaże?

– Gdzie ja jestem? Zali to gospoda „Pod Lutym Turem” w Tyńcu, jeno jakby odnowiona?

Był zadowolony, że nie pobłądził mimo zadymki i do znajomej oberży trafił tak samo niezawodnie jak do grotty. To poprawiło mu humor. Wciąż był jary.

– Nie, wasza miłość. Jesteście w Pychowicach, jasny panie.

– A skąd tu karczma? Bywałem tu niegdyś często i jako żywo żadnej karczmy nie pomnę.

– A bo, wielmożny panie, stanęła dopiero łośńskiego lata. Zwie się „Rzym”, albowiem postawiono ją dla wygody przeciągających tędy pobożnych pielgrzymów.

– „Rzym”? – spytał z niedowierzaniem Twardowski, myśląc, że się przesłyszał.

– „Rzym”.

– „Rzym”! – zaśmiał się mag. – „Rzym”, a to ci traf! – znów parsknął śmiechem.

– Nie do wiary!

Byłby śmiał się dalej, lecz widząc dziwną minę karczmarza, powstrzymał się z trudem i zadysponował:

– Przyślij mi tu zaraz cebrzyk z wodą i przybory do mycia. Kto bawi w zajezdzie?

– Panowie szlachta. Z okolicy i z dalsza. Jeden Rusin ciągnie na sejm do Lublina, drudzy na targ do Krakowa.

– Bardzo dobrze. Powiedz im, że za niedługo zejdzie do nich pan Twardowski.

– Ów wielki mag, sławny w całej Koronie i na Litwie, to wasza miłość? – karczmarz wytrzeszczył oczy. – Aj waj! Jasny panie, co za zaszczyt dla biedny Żyd, co za honor...

Zamykając drzwi i schodząc na dół po schodach, arendarz słyszał niepowstrzymany, serdeczny śmiech, któremu osobliwy gość dał folgę zaraz po wyjściu gospodarza. Żyd pokiwał głową, nie pojmując, co go tak rozbawiło. Podejrzewał, że dostojny gość oszalał. Lecz szalony czy nie, mistrz Twardowski, jeśli to faktycznie był on, stanowił gratkę, która w takim miejscu jak to trafiała się rzadko, i karczmarz nie zamierzał jej zmarnować.

A Twardowski śmiał się i śmiał, jakby nigdy nie miał skończyć. Kiedy zaś w końcu przestał, bynajmniej nie stracił dobrego humoru. Pogwizdując, umył się w ciepłej wodzie i kazał przyszyć wąsy i brodę pachołkowi, który przyniósł wodę, po czym odprawił go i ubrał się sam z wyjątkową starannością. Już chciał wyjść, lecz jego wzrok padł na upstrzone przez muchy i popękane lustro, które przypomniało mu jego czarnoksiężskie zwierciadło pozostawione w grocie. Stracił dobry humor. Usiadł na zydlu, oparł łokcie na stole i podparłszy głowę rękami, wpatrzył się w lustro. Boże, jakim był głupcem! Cieszył się z aplauzu idiotów, napawał się strachem pospólstwa i podziwem możnych tego świata. Głupiec, głupiec, głupiec. Po trzykroć głupiec! A

może gorzej...

Kiedy to się zaczęło? Podczas studiów w Wittenberdze u sławnego Melanchtona? A może już w Polsce, gdy zobaczył, w jakim przepychu żyje tu szlachta i bogate mieszczaństwo, i zapragnął zostać jednym z nich? Przecież na początku pilnie studiował medycynę, chcąc nieść pomoc ludziom, potem, pod wpływem wielkiego Kopernika, z którym zetknął się przelotnie, zapragnął zgłębiać tajniki astronomii, by pojąć tajemnice wszechświata. Kiedy więc skręcił z prostej drogi i poszedł na skróty, porzucając naukę i wiarę dla magii? Czy nie wówczas, gdy niespodziewanie odwiedził go rodak, Faust? Razem z Faustem spisali wtedy własną krwią cyrograf na byczej skórze, zaprzędając dusze wywołanemu przez Fausta diabłu Mefistofelesowi, aby w zamian spełniał ich życzenia. Do czasu aż...

„Przestań wreszcie się oszukiwać – zganił się w myślach Twardowski – przecie nie uwierzyłeś Faustowi i uważałeś wywołanie Mefista za sprytną sztuczkę, a to, że szatan miał upomnieć się o twoją duszę w Rzymie, za wyborny żart Johanna. Śmiałeś się z tego w kułak. Dlaczego zatem tak namiętnie jąłeś potem zabawiać się czarną magią?”

Oderwał wzrok od zwierciadła i zanurzył twarz w dłoniach. Dobrze wiedział dlaczego. Bo uwierzył, że może być równy Bogu! Chciał wskrzeszać umarłych, przywracać zdrowie nieuleczalnie chorym, widzieć przeszłość i przyszłość, robić złoto z piachu i wiele innych cudów... Zgrzeszył pychą, bo jego duszę opanował zły, i to nie żaden Mefistofeles, ale pospolity diabeł, taki, o jakim uczą księża, władający człowiekiem, który wyrzekł się Boga. Nie uważał się za oszusta nawet wówczas, gdy umiejętnie manipulując światłem, wywoływał w swoim lustrze osobliwe obrazy, wmawiając obserwatorom, że to oczekiwane przez nich duchy, wierzył bowiem, że w końcu uda mu się naprawdę skomunikować z zaświatami. Ale teraz już wiedział: był najgorszym z możliwych frantów – oszukiwał sam siebie.

Od lat, od dobicia targu z Mefistem, nie śmiał zaglądnąć do kościoła, ale nie tylko dlatego, że stracił wiarę. Nie, żeby uwierzył w tę bzdurę, lecz dlatego, że do wywołania diabła użyli wówczas z Faustem... krwi małego chłopca. Nie wiedział nawet, jak dzieciak miał na imię. Po prostu Faust wyszedł na ulicę i po niedługim czasie wrócił z małym oberwańcem, jak twierdził – sierotą, o którego nikt się nie upomni. Zabili go we śnie. Nie męczył się. Pierwszy raz od kilkudziesięciu lat Twardowski przywołał z pamięci ukrytą głęboko w zakamarkach mózgu scenę rytualnego mordy.

– Boże, wybacz mi, jeśli potrafisz... – wyszeptał zbielełymi ustami.

Całe późniejsze życie poświęcił ekspiacji, pragnąc czynić dobro, by odpokutować tamtą zbrodnię. Nie udało się, bo zdążył fałszywą drogą, podszeptą mu przez diabła. Teraz rozumiał to aż za dobrze. Za późno. Doszedł do kresu. Pojął to, gdy dowiedział się, jak nazywa się karczma. To był znak dany od Boga, nie żadnego Mefista. Zmarnował życie i pora była się z nim pożegnać. Już się nie bał, ogarnął go jakiś przedziwny spokój. Odzyskał animusz. Obciągnął kontusz, poprawiając lewy

rękaw, który się odczepił, nasadził kołpak z czaplami piórami, podkręcił wąsa i uśmiechnął się. Był gotów na ostatni występ. I dalibóg, będzie to niezapomniane *spectaculum*. Pogwizdując wesoło, otworzył drzwi i zszedł na dół.

Obudził się zlany potem. Śniło mu się, że wyprowadzono go na kabat, gdzie już stał katowski pień. Ukląkł i położył głowę na pniu, modląc się, by śmierć nadeszła szybko. Ale Bóg nie był łaskaw: kat po dwakroć uderzał niecelnie, kalecząc go jedynie i skazując na straszliwe męki, nim nareszcie skończył sprawę i odcięta głowa potoczyła się po kamieniach dziedzińca, bryzgając krwią naokoło...

Więzień uniósł się na posłaniu i pomasował po szyi, na której czuł jeszcze ostrze miecza z sennej mary. Nie poddawano go już torturom, regularnie otrzymywał jedzenie i picie, przysyłane z gospody „U Balcera”, doskwierały mu tylko brud, insekty, ciemność, koszmarne otoczenie i wszechogarniający lęk. Jediną nadzieję pokładał w Kacprze i trapił się, że od kilku dni nie miał od niego wiadomości. Znając go, ufał jednak, iż ten dotrzyma słowa. Było coś w Ryksie, co budziło zazdrość Wolskiego. I on, i Kacper mieli za sobą ciężkie doświadczenia, zgola odmienne, a zarazem podobne, co ich do siebie zbliżyło, lecz jednemu z nich, i to młodszemu, utwardziły one charakter, a drugiemu spaczyły. Bywały chwile, gdy Ryx był mu bliski jak brat, i to starszy. Bardzo go teraz potrzebował, pragnął mu coś powiedzieć, coś ważnego, lecz nie mógł...

Nie wiedział, czy jest noc, czy dzień, ale czuł, że jego los rozstrzygnie się w ciągu najbliższych godzin. Ułożył się na wiązce słomy, jak mógł najwygodniej, lecz sen nie nadchodził. Posłyszał za to zbliżające się kroki i ujrzał pełgający płomień pochodni...

– Nie zgadzam się – powiedział rajca Mikołaj Baranowski. – Wolski nie podlega naszej jurysdykcji, jak to nam wywiódł uczenie mości pan Groicki, gdybyśmy sami tego nie wiedzieli – skłonił się w stronę prawnika, który siedząc w klatce (niegdyś przeznaczony dla oskarżonych, teraz dla pisarza miejskiego), robił zapiski, nie podnosząc głowy znad papierów. – Nie potrzeba nam turbacji z akademią i żakami, dość mamy własnych. Oddajmy magistra pod sąd rektorski.

– *Ergo* takie jest zdanie waszmościa? – upewnił się Czeczotka głosem słodkim jak miód, czemu przeczyło zmarszczone czoło i złe błyski w świńskich oczkach. – Mości burmistrz i wy, panowie rado, zdaje się, że imć Baranowski zwrócił się niedawno z prośbą o dzierżawę miejskiego młyna na Grzegórkach, co o tym sędzicie?

Burmistrz Hieronim Zalasowski, do którego bezpośrednio zwrócił się Czeczotka, przełknął ślinę i podziwiając czubki swoich nowych cizem, rzekł, jękając się i pochrząkując:

– Ee, tak... Owszem... To jest, tego... Niestety, rada musi jeszcze rozpatrzyć tę petycję, ale...

– Pragnę szacownej radzie przypomnieć – wyrwał się uczynnie Piotr Polak – iż imć Baranowski pożyczył z miejskiej kasy tysiąc florenów i właśnie mija termin

spląty. Co prawda rajca Baranowski wystąpił o prolongatę długu, lecz w tej sytuacji...

Rzucił z ukosa spojrzenie na Czeczotkę, który w podzięcie skinął mu łaskawie głową. Polak, nieokrzesany prostak, półanalfabeta, zawdzięczał swą pozycję Czeczotce jako ojciec jego kochanki i zawsze popierał eksburmistrza we wszystkich ciemnych interesach wymagających akceptacji rady miejskiej.

– Pojmuję – rzekł Baranowski, tocząc wzrokiem po zebranych, którzy w większości pospuszczali głowy. – Lecz mimo to pozostaję przy swoim. Panie Groicki, proszę odnotować mój sprzeciw w tej sprawie, choćby miało to być *votum separatum*. Nie przyłożę palca do jawnej zbrodni, nawet jeśli będzie mnie to drogo kosztować. Żegnam waszmościów i życzę dobrego samopoczucia.

Wyszedł z sali, nie oglądając się za siebie. Mimo wszystko jego wystąpienie zmieszalo obecnych, więc Czeczotka uznał za stosowne interweniować.

– Waszmościowie – rzekł uroczyście. – Abyście wyzbyli się niewczesnych dubiów w tej sprawie, które zmaciły umysł naszego szacownego druha, poprosiłem jego wielmożność pana podstarościego o wykładnię.

– Ep – pan Jakub Myszkowski, wywołany nagle do odpowiedzi, zakrztusił się, bowiem mimo wczesnej pory, swoim zwyczajem, raczył się gorzałką z podręcznego bukłaczka. – Prawo jest po naszej stronie! – wypalił nagle i rąbnął pięścią w stół. – Ot, co!

Rozparł się wygodnie w krzesło, czując w kieszeni miły ciężar dukatów Czeczotki. Foltyn Krokier, najlepszy druh Rozmusa, który stał przy oknie, odezwał się nagle drżącym głosem:

– Scholarzy znów się gromadzą...

– Furda! – ryknął Myszkowski, zionąc z ust odorem gorzałki niczym smok wawelski ogniem. – Dalipan, mamy dość siły, by ich porozgniatać jak pluskwy!

Ale sądząc po minach zgromadzonych, nie wszyscy podzielali jego pewność siebie.

– Może... – wtrącił burmistrz Zalasowski, przełykając głośno ślinę – posłać do akademii, żeby rektor utemperował żaków...

– Przednia myśl! – rzucił rajca Grzegorz Kielbasa, ocierając pot z czoła.

– Jak chcecie, to ślijcie – wzruszył ramionami Czeczotka, wymieniając porozumiewawcze spojrzenia z Myszkowskim. – Ja w każdym razie już posłałem po małodobrego...

Coś wisało w powietrzu. I nie myślałem o ołowianych chmurach ciężących nad miastem i zwiastujących potężną zawieruchę. To było coś innego, coś nieuchwytnego, a równocześnie niemal namacalnego. Niezawodnie wyczuwali to przekupnie, dlatego wszystkie kramy były zawarte, a przy niektórych kręcili się właściciele, zabezpieczając je dodatkowo przed zdemolowaniem. Zanosilo się na potężną awanturę, a w tych sprawach kupcy byli nieomylni – wyczuwali pismo nosem na długo, nim do czegokolwiek doszło. I dzięki temu mogli prosperować. Dla

drugich zaś byli niczym jaskółki zwiastujące burzę.

Spora grupa żaków już zgromadziła się na Rynku, a stale przybywali nowi. Szedłem właśnie do ratusza, gdym ujrzał nadchodzącego kata w asyście ceklarzy. Jak zwykle pojawili się od Szczepańskiej, bo kat mieszkał w baszcie Katowskiej za kościołem Świętego Szczepana, niedaleko bramy Sławkowskiej, a jego pomocnicy obok – w baszcie Ceklarzy. Przybycie mistrza do ratusza nie było niczym dziwnym, lecz tego dnia jawił mi się jakoś szczególnie złowrogo w swej urzędowej szacie, z naszytymi na rękawie trzema kawałkami sukna: białym, czerwonym i zielonym. Grupa studentów czatujących u bocznej furty do ratusza, od strony Szewskiej, powitała ich gwizdami, nieprzychylnymi okrzykami, ktoś nawet rzucił kamieniem. Lecz żaków było zbyt mało, by powstrzymać ceklarzy torujących sobie drogę pałkami. Wnet zniknęli za bramą, która z hukiem zatrzaskała się za nimi. Zgrzyt zasuwanych rygli rozszedł się echem po Rynku. Gdy zbliżałem się do bramy, ktoś pociągnął mnie za rękaw. Antek.

– Kacper! Czekamy do południa czy uderzamy już teraz? Chłopczy są gotowi.

Potrząsałem głową.

– Ani teraz, ani w południe. Wszystko odwołane. Powiadom naszych.

– Dlaczego?! Czyżby... Nie... – na jego szczerzej, chłopskiej twarzy malowała się zgroza i niedowierzanie. – Ale wiesz, że dla chłopców to bez znaczenia. Tu chodzi o sprawiedliwość i pogwałcenie praw akademii.

– W każdym razie na mnie nie liczcie – żał mi było patrzeć na jego rozczarowaną minę, ale nie mogłem w tej sytuacji brać odpowiedzialności za niego i innych; nigdy przed tym nie uciekałem, ale co za dużo to niezdrowo, całej ludzkości nie sposób wygodzić.

Załomotałem w furcie. W tej chwili scholarzy zaczęli wiwatować i podrzucać czapki w górę i ujrzałem zbliżające się dwie postacie. Jednego znałem z widzenia, księdza Krajewskiego.

– Uszy do góry, synkowie – ksiądz uśmiechał się do studentów, lecz był to uśmiech niepewny. – Wyciągniemy stamtąd magistrą, nim skończy się dzień.

W tej chwili uchylono furte i strażnik ostrożnie wystawił głowę.

– Kto tam? – burknął.

– Archidiakon i kanclerz kurii biskupiej, ksiądz Andrzej Krajewski, oraz wielbny Łukasz Podoski, kanonik kapituły katedralnej, od jego magnificencji do prześwietnej rady miejskiej.

– Wasze wielbności są oczekiwane. Wejdźcie.

Próbowałem wśliznąć się za nimi.

– A ty kto i po co?

– Kacper Ryx, do burmistrza Czeczotki.

– Tłokińskiego.

– Toć mówię.

– Czekaj – i zatrzaskał mi drzwi przed nosem.

Ktoś położył mi rękę na ramieniu. Odwróciłem się i ujrzałem Grota. Stał niedbale podparty pod boki, ze złośliwym uśmiezkiem na przystojnej gębie; parę dni karceru nie ostudziło go zbytnio.

– Doszły mnie słuchy, żeś stracił zainteresowanie dla swego druha?

– A tobie co do tego?

– Nic, lecz prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie. Nie chciałbym być twoim druhem.

– Nie grozi ci to.

– Więc nie poprowadzisz scholarów, by odbić Wolskiego?

– Nie.

– To po co się tam wybierasz? – kiwnął głową w stronę zamkniętych wrót.

– Żeby się z nim rozmówić.

– I to mu pomoże? – uśmiechnął się drwiąco.

– Nie wiem. Może pomóc mnie.

Zmrużył oczy.

– Gdybym nie wiedział, że jesteś jak wrzód na rzyci Czeczotki, a całe miasto już się śmieje z tego, jak urządziłeś Małego Borgię w jego własnej łaźni, pomyślałbym, że trzymasz z tym łobuzem... Ejże – ściszył głos – czyżby magister naprawdę zabił twoją siostrę?

Nie odpowiedziałem. Przyglądał mi się przez chwilę, po czym rzekł:

– Tak czy owak, to nie ma znaczenia. Wiesz, że miasto nie ma prawa go sądzić – podniósł głos, tak by mogli go słyszeć skupieni wokół nas scholarzy, trzymający się wszelako nieco z dala: – Po raz ostatni pytam: idziesz z nami?

– Nie. I nie wrzód, a cierni, jeśli łaska.

Odwrócił się do strzygących uszami kolegów.

– Słyszeliście? Na Ryksa nie możemy liczyć. Ja powiodę was do szturm...

– Zaczekaj – próbowałem go powstrzymać. – Może delegacja rektorska coś wskóra...

– W cuda wierzysz? – parsknął, lecz widząc, że moje słowa uczyniły wrażenie na części braci studenckiej, zawołał: – Dobra, damy im czas do południa. A teraz rozejdźcie się. Biegnijcie do Collegium i wszystkich burs. Niech po południowej przerwie każdy bierze broń i ciągnie pod ratusz. Pokażemy łykom, co znaczy zadzierać z akademią!

– Wszczynając tumult, wystawiasz na hazard ich życie – ostrzegłem go, obejmując gestem kolegów.

– Jestem na to gotów – odparł i odszedł.

Został tylko Antek i jakiś nieznajomy, który nie wyglądał na studenta.

– Mam na ciebie poczekać? – spytał mój druha.

– Lepiej nie. Nie wiem, kiedy wrócę. I, Antoś, lepiej idź na kwaterę i nie wracaj...

– Ostanę. A ty daj na siebie baczenie, Kacper – odparł.

– Kacper Ryx? – zagadnął mnie nieznajomy, którego wygląd wskazywał, że

przybył z daleka, jeszcze nie zdążył ochędożyć się po podróży i był trochę zagubiony w wielkim mieście. – Jestem Jarosław Wolski, cioteczny brat Franciszka. Wiele mi pisał o waści – wyciągnął ku mnie dłoń.

Uścisnąłem ją. W tej chwili w furcie otworzyło się okienko i strażnik obrzucił okiem Rynek, niemal pusty. Na jego napiętej twarzy odmalowała się ulga. Brama uchylła się.

– Możesz wejść – skinął na mnie. – A ty gdzie? – odepchnął Wolskiego. – Wynocha!

– Pójdź pan do gospody „U Balcera”, to niedaleko, rzeknij, że ja cię przysyłam, i czekaj tam na mnie – rzuciłem mu i przeszedłem przez bramę, którą natychmiast zatrzaśnięto.

Zaprowadzono mnie do Izby Pańskiej. W ratuszu roiło się od uzbrojonych po zęby liktorów. W sieni minąłem się z wysłannikami rektora opuszczającymi ratusz. Ukłoniłem się, ale nie zwrócili na mnie uwagi. Miny mieli zafrasowane. Wszedłem do izby. Byli tu wszyscy. Oprócz Czeczotki, za którego krzesłem, jak wierny cień, sterczał jego cyngiel od ciemnych sprawek – Praszka zwany Siekierą, za stołem siedzieli burmistrz Hieronim Zalasowski, a dalej Stanisław Cyrus, Jerzy Schilling, Grzegorz Rambiewski, Bartłomiej Habicht, Walerian Pernus, Erazm Coler, Daniel Peterek, Walenty Krokier, Grzegorz Kielbasa i Piotr Polak – jeden w drugiego kreatury Małego Borgii. Inna kanalia – podstarość Myszkowski – zwiślał przewieszony przez oparcie krzesła, pewnie pijany jak bela, bo chłanie stanowiło jego ulubione zajęcie, jeśli akurat nie inkasował łapówek. Kiedy tak na nich spoglądałem, pospuszczali głowy, jak złapane na gorącym uczynku łotry, którymi zresztą byli. Jeden Czeczotka nie stracił zwykłej pewności siebie.

– Czego chcesz?! – warknął.

– Widzieć się z Wolskim.

– Wynocha stąd. Nie masz prawa wtrącać się w nasze sprawy.

– To mi daje prawo – wyjąłem królewski serwitoriat. – Przy okazji, mości Groicki – zwróciłem się do prawnika – zechcesz pan dla porządku odnotować to w księgach miejskich.

Podąłem papier, który przestudiował uważnie, a Czeczotka i Zalasowski zaglądali mu przez ramię. Potem zwinął dokument i zwrócił mi.

– To prawda. Jako inwestygator królewski pan Ryx ma prawo prowadzić indagację na własną rękę, a nam nie wolno mu tego utrudniać. Przy sposobniejszej okazji, mości Ryx, sporządzimy kopię tego pisma i włączymy do akt.

Rajcy nachylili się ku sobie i zaczęli szeptać, popatrując na mnie ciekawie. Posłyszałem stłumione okrzyki zdziwienia w rodzaju: „Inwestygator, a co to u licha?”. Czeczotka, z podążającym za nim Siekierą, podszedł ku mnie.

– Co ty knujesz? – syknął ścisłym głosem, wyprowadzając mnie do sieni.

– Nic. Chcę tylko z nim się widzieć, to wszystko.

– Sprawdź go – rzucił Czeczotka do Praszki.

Nie stawiałem oporu, gdy małpolud ze wstrętnym uśmiechem przepatrzył koszyk z jadłem i piciem, a potem obmacał mnie dokładnie, a przynajmniej tak mu się zdawało. Zapomniał o butach, co sobie zapamiętałem na dał, ale oczywiście znalazł zawiniątko, które przyniosłem.

– Panie burmistrzu, niech pan spojrzy – rozwinął chustkę i na swojej wielkiej łapie jak na tacy podsunął mu zdobycz pod nos.

– Poznaję ten łańcuszek, nosiła go Dorota – Rozmus popatrzył na mnie.

Skinąłem głową.

– A to? – spytał, pokazując palcem skalpel z brązowymi śladami.

– Narzędzie, którym zamordowano Dorotę – odparłem.

– Pierwszy raz to widzę.

– Wiem. To twoje szczęście.

– Hm... – Czeczotka spojrzała na mnie spod oka. – Czyżbyś już doszedł, kto zabił twoją siostrę?

– Tak.

Milczał chwilę, po czym odwrócił się na pięcie, ale nim wszedł do izby, rzucił przez ramię do Praszki:

– Oddaj mu to i zaprowadź do kabatów. Nie masz wiele czasu – to było do mnie.

– I jeszcze jedno, Kacper. Chyba przyznasz teraz, że myliłeś się co do mnie? – zatrzymał się z ręką na klance, patrząc na mnie z tryumfującym uśmiechem.

– Zawsze miałem cię za świnię, Rozmus. I nic się w tym względzie nie odmieniło.

– Idź do diabła! – warknął i trzasnął drzwiami.

– Ale najpierw do kabatów. Prowadź! – poleciłem Siekierze, który wyglądał tak, jakby chciał mnie zamordować za spostponowanie jego pana.

– Kiedyś cię zabiję – powiedział.

– Każdemu wolno marzyć – sarknąłem, puszczając go przodem.

Z taką asystą nikt mnie nie zatrzymywał. Przeszliśmy dziedziniec i zeszliśmy do podziemi. Strażnik więzienny otworzył celę Wolskiego, włożył do świecaka zapaloną pochodnię i odszedł, ale Praszka nie miał takiego zamiaru.

– Odejdź, chcemy chwilę być sami – zwróciłem mu uwagę.

– Ostanę – odparł, patrząc na mnie złośliwie.

– Jak chcesz – wzruszyłem ramionami, wyprowadzając równocześnie od dołu prawą pięścią piękny cios, który trafił Siekierę idealnie w środek kwadratowego podbródka i odrzucił nieprzytomnego pod przeciwległą ścianę.

– Po czynach poznacie ich – rzekł, wstając, Franciszek. – I pomyśleć, że to ja uchodzę za gwałtownika. Oj, Kacper, Kacper...

Nie wyglądał tak źle jak za mojej poprzedniej tutaj bytności, tylko lico miał zarośnięte niegoloną od wielu dni brodą. Nie na darmo kuchnia „U Balcera” uchodzi za jedną z lepszych w mieście. O ile dobrze widziałem w półmroku, ślady tortur wyglądały na zastarzałe. Widać też było, że bardzo go cieszy mój widok. Niestety, nie mogłem tego powiedzieć o sobie.

– Masz – dałem mu koszyk z wiktuałami.

Nie rzucił się na jedzenie, ale jadł z apetytem.

– Co z moją sprawą? – spytał z pełnymi ustami. – Kiedy mnie wypuszczą?

– Dokończ – unikając jego wzroku, zająłem się otwieraniem flasz.

– Wiesz już, kto zabił Dorotę? – dociekał, kończąc jedzenie.

– Napij się – podałem mu butelkę.

– Za wolność! – wzniósł toast.

Stuknęliśmy się flaszami i wypiliśmy.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytania – rzekł.

Rzuciłem mu na kolana zawiniątko. Rozwinął je.

– Poznajesz? – spytałem.

Długo milczał. W końcu się odezwał:

– Jak to znalazłeś?

– Jestem inwestygatorem.

– Prawda. Zapomniałem – pociągnął spory łyk wina. – Nie doceniłem cię.

– Okłamałeś mnie – ja też się napiłem.

– Nie. Nie powiedziałem ci całej prawdy, a to różnica.

– Niewielka.

– Aleć zawżdy.

Znow się napiliśmy.

– Nie chciałem jej zabić.

– Opowiedz o tym, jeśli ma ci to przynieść ulgę.

Wypił łyk i milcząc, zbierał myśli.

– Wojna to straszna rzecz – rzekł po przerwie.

– Imaginuję sobie.

– Nic sobie nie jesteś w stanie imaginować. Ja też nic nie wiedziałem, póki nie zaciągnąłem się na moskiewską potrzebę. Bałem się jak diabli, tobie jednemu mogę to wyznać – znów się napił. – A potem przywykłem. Do wszystkiego można przywyknąć. Do zabijania też. Nie wiesz, jakie to łatwe – wpatrzył się w swoją prawicę, zginając i prostując palce. – Pewnego dnia pojąłem, że nawet to lubię... Wtedy postanowiłem rzucić wojaczkę i wrócić na uniwersytet, dokończyć studia.

Zamilkł i wpatrzył się w ścianę.

– Wierzę, żeś przeżył wiele i napatrzył się na okropności – odparłem – Ale co to ma do rzeczy?

– Tego dnia, gdym wystąpił z wojska, poszedłem do pewnej niewiasty, indygenki. Miłowałem ją, ona mnie też, jak się zarzekała, zwłaszcza wówczas, gdym jej znosił kosztowne dary. Chciałem, by za mnie wyszła i byśmy razem wrócili do Krakowa. Powiedziałem jej o tym i pokazałem lafę i łupy, które zgromadziłem. Było tego całkiem sporo, w sam raz na dobry początek. Rzuciła mi się na szyję i zgodziła na wszystko, jej trzech bracia też. A potem poszliśmy do łóżka... Bez braci, rzecz jasna. Pośrodku nocy zbudził mnie szcęk zasuw, gdy otwierała im drzwi. Rzucili się na

mnie we trzech, a ona wrzeszczała: „Zabijcie go! Myślałeś, że cię miłuję? Naprawdę takeś mniemał? Głupiec!”. Sięgnąłem po pistolet, który zawsze trzymałem pod poduszką. Lecz go tam nie było... Wtedy ogarnęło mnie szaleństwo. Rzuciłem się na nich, jak stałem, nagi i bez broni...

Ręka trzymająca flaszkę drżała mu, gdy niósł wino do ust.

– Nie wiem, jak to się stało, ale zabiłem ich wszystkich, a oni nawet mnie nie drasnęli. Gdy doszedłem do siebie, stałem pośrodku izby z kordem w dłoni, a wszystko wokół, i ja sam, było zbryzgane krwią.

– A dziewczka?

– Ją też zabiłem.

Musiałem się napić i nie zwlekałem z wprowadzeniem tego w czyn.

– Dorotę także musiałeś zabić?

– Miłowałem ją. Naprawdę. Bardziej niż tamtą. Zresztą sam wiesz, jaka była, nawet w świątym umiałaby uczynić skomę. Poprosiłem ją o rękę, a ona nie rzekła: nie, jeno, że jest młoda, chce jeszcze użyć życia i potrzebuje trochę czasu na zastanowienie. Wiedziałem, iż wcześniej była z Czeczotką, ale przysięgała na wszystkie świętości, że to już przeszłość. Spełniałem jej zachcianki, choć nie bardzo mnie było na to stać. Kiedyś przechodziliśmy Stolarską mimo kramów dominikańskich i nagle zapragnęła, bym kupił kosztowne skrzynki z sekretnymi schowkami, jedną dla niej, drugą dla siebie, choć, dalibóg, nie wiem po co, bo ona pisać nie umiała, a mnie słać do siebie listy zakazała...

– Jednak skrzynka do czegoś ci się zdała – wtrąciłem. – A jej do chowania precjozów od Czeczotki.

– Mogłem się tego spodziewać... – rzekł ponuro. – Tej feralnej niedzieli poróżniliśmy się. Nawet nie wiem, o co poszło, bo wadziliśmy się coraz częściej. Wykrzyczała mi w twarz, że to koniec, że wraca do Czeczotki i że wcale z nim nie zerwała. Nazwałem ją kurwą, a ona zaczęła się ze mnie wyśmiewać. Powiedziała, że Czeczotka ma nie tylko więcej pieniędzy, ale i większego... Uderzyłem ją w twarz, a ona rzuciła się na mnie z pazurami...

Odrzucił pustą butelkę i schował twarz w dłoniach.

– To było całkiem tak jak wówczas, pod Rygą. Ogarnęło mnie szaleństwo. Nie wiem, kiedy pochwyciłem leżący na pulpicie nóż do przecinania papieru, który kiedyś dał mi twój preceptor, i wbiłem go w jej białą pierś... Kiedym doszedł do przytomności, chciałem wyć z rozpacz. Dałbym wszystko, by to się nie stało. Uwierz mi.

Podniósł głowę i w słabym świetle dogasającej pochodni ujrzałem łzy jak groch skapujące mu z oczu.

– Wierzę ci – odparłem. – Nigdy nie wątpiłem, że została zabita w afekcie, a bez wyrachowania. Ale z drugiej strony wystarczyło ci przytomności, by zatrzeć ślady. Zerwałeś sznur z opony, by upozorować duszenie, choć diabli wiedzą po co...

– Straciłem głowę...

– Jeżeli, to na krótko. Łańcuszek z krzyżykiem, który zerwał się Dorocie z szyi podczas waszej szamotaniny, i nóż ukryłeś w skrytce. Jej odzienie spaliłeś w kominie, a trupa w poszwie usiłowałeś podrzucić na ulicy, lecz natknąłeś się na dwóch obwiesiów i zapłaciłeś im, by zanieśli ciało na cmentarz Mariacki i cisnęli do wspólnego grobu... Musiała to być dla ciebie nielicha siurpryza, gdy już nazajutrz odnaleziono zwłoki na naszym cmentarzu.

– Wiesz wszystko – westchnął ciężko. – Spróbuj mnie zrozumieć.

Pokręciłem głową.

– Nie potrafię.

– Łacno ci gadać! – zezłościł się. – Kacper, który wszystko wie i zawsze postępuje, jak należy. Bije tylko tych, co na to zasługują, i to silniejszych lub co najmniej równych sobie, broni słabszych, szanuje starszych, zawsze dotrzymuje słowa... Niestrudzony poszukiwacz prawdy i sprawiedliwości. Cholerny świętoszek. Oto cały ty. Rzygać mi się chce. Zawsze mnie to u ciebie złościło. Człowieku, jak żeś ty się taki uchował? Przecie też swoje przeszedłeś, obcując z zakazaną kompanią ładnych parę lat...

– Właśnie dlatego. Bo z obcowania ze złem także można wyciągnąć wnioski, sam mnie tego uczyłeś. A tyś jakie wyciągnął? Miałeś wszystko: dobre pochodzenie, rozum, wykształcenie. Mogłeś zostać profesorem na akademii, robić rzeczy użyteczne, zyskać ludzki szacunek, a tyś wołał włóczyć się po lupanarach i uganiać za małpami albo wdawać w bijatyki z pacholkami na mieście, a na koniec, folgując gniewowi i zranionej dumie, ubić kochanicę, bo wołała drugiego!

Poniosło mnie. Jednak z Franciszka też uszła cała gorycz i złość. Popatrzył na mnie smutnym wzrokiem i cicho spytał:

– Nienawidzisz mnie?

Znów pokręciłem głową.

– Tego też nie potrafię. Żal mi cię. Może gdybyś mi się w porę zwierzył, jak druh druhowi, to...

– To co? – wpadł mi w słowo. – Pomógłbyś mi usunąć trupa i o wszystkim zapomnieć? No, co byś wtedy uczynił, mądralo? A może wyrządziłem ci przysługę, o niczym nie mówiąc?

Milczałem, bo miał dużo racji. Życie stale gotuje nam pułapki, na które nigdy nie będziemy przygotowani. Co jest ważniejsze: przyjaźń czy sprawiedliwość? I czy sprawiedliwość wymaga oka za oko? Nie wiem, co bym uczynił, stając w swoim czasie przed takim dylematem, wiedziałem tylko, co muszę zrobić teraz, kiedy nic więcej nie zostało do zrobienia.

– Jednak ona mimo wszystko była moją siostrą i mimo wszystko nie zasłużyła na taki koniec – rzekłem wreszcie.

– I dlatego nie pomożesz mi się stąd wydostać – raczej stwierdził, niż zapytał.

– I dlatego ci nie pomogę.

Przełknął głośno ślinę.

– A... A rektor?

– Nic nie poradzi. Czeczotka zawział się i przeforsuje swoje, choćby miasto całe miało pójść z dymem. Ma poparcie wojewody.

Teraz on pokiwał głową.

– Kiedy po mnie przyjdą? – spytał spokojnie.

– Myślę, że niedługo. Zebrały się tu wszystkie fagasy Czeczotki z rady miejskiej i chyba odprawiają sąd.

W tej chwili zgasła pochodnia, Siekiera zajęczał i chwiejnie powstał, a w końcu korytarza rozległy się kroki wielu nóg w podkutych butach.

– Zdaje się, że już skończyli – rzekłem. – Idą po ciebie. Masz, dopij – wręczyłem mu swoją flaszkę.

Wypił do dna i pochwycił mnie za rękę.

– Obiecuj mi, że zostaniesz przy mnie aż do końca.

– Obiecuję.

– I, Kacper... Wiedz, że ulżyło mi. Dawno chciałem to z siebie wyrzucić, i to przed tobą, lecz nie mogłem... Nie dozwól, by pogrzebali mnie gdzieś za miastem, jak psa.

– Obiecuję.

– Żegnaj, Kacper.

– Żegnaj, Franciszku.

– Powiedz ciotce, że żałuję tego, co się stało.

– Powiem.

– Jak myślisz, czy Bóg mi wybaczy?

– Na pewno. On jest nieskończenie miłosierny – odparłem z pewnością, której wcale nie czułem.

– Podasz mi rękę?

Podąłem. Ucisnął ją jak topielec idący na dno.

– Idziemy! – rozkazał Wolskiemu dowódca pachołków, którzy przyszli po niego.

Franciszek puścił moją dłoń, wyprostował się i rzekł z całą godnością, na jaką go było jeszcze stać:

– Jestem gotów.

Wzięli go między siebie i poszli przodem; za nimi, jęcząc i zataczając się, podążał Praszka, a ja zamykałem pochód. Wyszliśmy boczną furtą wprost na kabat, wewnętrzny dziedziniec od wschodu ograniczony wieżą, od północy budynkiem ratusza, od południa i zachodu – wysokimi murami. Już na nas czekano.

– Mów! – Czeczotka ponaglił burmistrza Zalasowskiego, który nie kwapił się z wystąpieniem, nerwowo mnąc w rękach kartę papieru i przebijając w miejscu nogami. – Mów! – powtórzył Mały Borgia.

– Kiedy wciąż nie mam pewności, czy słusznie czynimy... – wyjąkał burmistrz, spoglądając błagalnie na podstarościego.

– Czyń pan swoją powinność, a nie deliberuj tu po próżnicy! – huknął na niego

Myszkowski, już wytrzeźwiały; o kwarcie wypitej wcześniej gorzałki świadczyła tylko czerwona gęba, wyglądająca jakby lada chwila miała z niej trysnąć cała krew.

W tej chwili posłyszeliśmy wrzawę za murem, a z bocznych drzwi ratusza wybiegł pachoł i coś szepnął Czeczotce na ucho.

– Mości starosto – rzekł Tłokiński do Myszkowskiego. – Scholarzy znów gromadzą się pod ratuszem. Uczyni pan z nimi porządek. Tylko bijcie płazem i nie strzelajcie, bo ściągnie ich tu więcej.

– Rozpędzimy ich z rozkoszą – odparł podstarość i odszedł.

Nie wątpiłem, że pan Jakub wykona zadanie z lubością. Po pierwsze dlatego, że zacy zawsze sprawiali mu turbacje, a po drugie – ze względu na swego brata. Imć Stanisław Myszkowski, wojewoda krakowski, miał bowiem od dawna na pieńku ze scholarzami, którzy śpiewali złośliwe piosenki o kurtyzanie Łukaszówniej, do której się za młodu zalecał. Dlatego pewnie, pomijając łapówki, obaj tak gorliwie popierali miasto przeciw akademii.

– No to do rzeczy, mości burmistrzu, szkoda czasu – ponaglił Czeczotka Zalaszewskiego, wyraźnie zirytowany ociąganiem się primasa.

– Ehem... – odchrząknął Zalaszewski i wystąpił krok naprzód. – Franciszku Wolski, sąd radziecki krakowski, obradując w dniu dzisiejszym z rana, potwierdził ciężące na tobie zarzuty, jako to w szczególności: poturbowanie pachołków miejskich podczas wykonywania przez nich urzędowych powinności, gwałt dokonany przez wtargnięcie na ratusz, wyłamanie okien i poniszczenie sprzętów, rapt uczyniony na osobie zacnej mieszczyki krakowskiej, sławetnej Annie, wdowie po mistrzu rzeźniczym Waliszewskim, a córce sławetnego Piotra Polaka, rajcy krakowskiego, oraz zbrodnię zabójstwa na osobie drugiej obywatelki naszego miasta, Doroty Balcerówny. Sąd wziął pod uwagę okazany przez oskarżonego brak skruchy za zbrodnię, a także rozliczne awantury, którymi rzeczony Franciszek Wolski nękał miasto w minionych latach. Franciszku Wolski, za twe niezliczone zbrodnie i niegodziwości zostałeś skazany na śmierć przez ścięcie mieczem. Wydany w zgodzie z prawem miejskim wyrok – burmistrz machnął ręką z trzymanym w niej dokumentem – zostanie wykonany niezwłocznie.

Nie mogłem się powstrzymać, żeby nie przepowiedzieć sobie owego wiersza pana Rejowego o naszym ratuszu krakowskim:

*To miejsce, na poczciwe sprawy wystawione,
Miałoby to w sobie mieć prawo przyrodzone,
Aby tu sprawiedliwość swe gniazdo rozwiła,
A bezecna niecnota tam się być wstydziła.
Ale by to napirwej od tych począć trzeba,
Na których ta należy sprawa prawie z nieba;
Bo jako szczep spróchnieje, wnet owoc czyrwiwy,
A na złej roli zawždy urosta pokrzywy [3].*

– Co tam mruyczysz pod nosem? – spytał podejrzliwie Czeczotka.

– O, biedne miasto, które jesteś rządzone przez tak niegodziwych panów! – powiedziałem głośno. – Wiesz, Rozmus, nie tak dawno wójtem i ławnikiem w naszym mieście był uczeń Erazma z Rotterdamu, twego imiennika, świętej pamięci Bernard Wojewódka, którego dewiza brzmiała: *Virtus non sanguis generositas*. Choć-eś szlachcic, widzę, że nie pojmujesz, więc ci przetłumaczę: „Cnota, a nie krew, stanowi o szlachectwie”. Dzięki tobie dużo się zmieniło w Krakowie ostatnimi czasy.

Czeczotka zmierzył mnie złym spojrzeniem.

– Ozwij się jeszcze raz, a każę cię stąd usunąć ciupasem! – zagroził.

Wolski, który od chwili wyprowadzenia z lochów zasłaniał oczy przed dziennym światłem i wysłuchiwał w milczeniu słów burmistrza, odjął dłonie od twarzy i powiedział głosem cichym, ale pewnym:

– Gdzie wójt i panowie ława, że o sprawiedliwości nie wspomnę? Wiem, że daremnie byłoby prosić was o łaskę ani przypominać, że nie do was należy prawo sądenia mnie, ale chciałbym się przynajmniej wypowiedać przed śmiercią, a nie widzę tu księdza. Należy mi się też czyste giezło, a nie masz go.

– Nie masz tu księdza, nie będziesz mógł się wypowiedać, nie dostaniesz giezła i nie zostaniesz pogrzebion w poświęconej ziemi, łotrze! – wrzasnął Czeczotka.

– Dobrze – odparł Wolski, tym razem głośniej, za to bardziej drżącym głosem. – Niechaj Bóg, który wszystko wie i widzi moją skruchę, pomści tę krew przelaną bezprawnie. Bądźcie przekłęci, nikczemni panowie sędziowie! A tobie, niegodziwy burmistrz, winszuję, aby spotkał cię los, któryś mi dziś zgotował: obyś szczył jak pies i poszedł do piekła!

– Rozdziać go! – ryknął Czeczotka do ceklarzy, widząc, iż rajcy zmieszali się i zadrżeli, a burmistrz Hieronim już otwierał usta, by coś rzec.

Pomocnicy kata rzucili się na magistra i zdarli zeń kozuch, który mu darowałem, i koszulę, i bez tego porwaną i poplamioną krwią. Skazaniec stał półnagi, krzepko z dwóch stron trzymany przez ceklarzy. Zegar na wieży ratuszowej wybił południe, strażnik na wieży mariackiej zaczął grać hejnał. Ciemne, burzowe chmury przesłoniły pogodne dotąd niebo i zerwał się wichur, zapowiedź nadchodzącej zawieli.

– Mistrzu, czyń swą powinność! – zawołał Czeczotka, na którego gest rajcy odsunęli się na bok, odsłaniając środek dziedzińca, gdzie, nakryty czerwoną kapą, stał katowski pień, a obok niego kat z twarzą zakrytą kapturem i dwa szeregi milczących drabów miejskich.

Oprawcy popchnęli Wolskiego, który nie stawiał oporu, rzucił mi tylko ostatnie spojrzenie. Z ruchu warg odczytałem: „Pamiętaj, coś przyobiecał”. Kiwnąłem głową. Nigdy nie zapominam obietnic.

– Tnij dobrze, mistrzu.

Na te słowa skazańca stała się rzecz dziwna. Małolepszy zadrzał, cisnął miecz, zerwał kaptur z głowy i otarł pot z czoła.

– Nie mogę – odparł, patrząc błagalnie na rajców. – Jako Mistrz Świętej

Sprawiedliwości jestem justycjariuszem i znam prawo. Nie naszą rzeczą jest sądzić tego człeka. Robimy błąd.

Nasz kat, Antoni Strzelbicki, był jeszcze młodym człowiekiem, ale znał się na swoim fachu, powiadali niektórzy, że skończył sławną szkołę katów w Bieczu, i choć brakowało mu doświadczenia, dotąd nie było na niego skarg. A pracy miał sporo. To on w tortorni, gdzie najczęściej pracował, lał złoczyńcom w gardło wodę, ocet lub wrzący olej, na pępek kładł w bańce mysz albo szerszenie, zakładał skazańcom buty hiszpańskie z gwoździemi, kapelusz pomorski do śrubowania głowy, śrubnice do gniecienia nóg, wieszak do wyrywania członków ze stawów. Za drobniejsze przewiny przykuwał skazańca do pręgi zwanej piłatem, cechował na twarzy rozpalonym żelazem, szelmował lub chłostał. Skazanych na śmierć wieszał na szubienicy na Pędzichowie za Kleparzem albo ścinał toporem lub mieczem przed kościołem Mariackim. Ale miał też rozliczne inne zajęcia: był hyclem łapiącym bezpańskie psy, oprawiał konie, nastawiał złamane kości lepiej od chirurga, bo też nikt nie połamał ich tyle, co on, czyścił fosę, wywoził odchody z miejsc sekretnych. Jurgielt pobierał od miasta, ale dorabiał sobie, bo ludzie chętnie kupowali „na szczęście” włosy wisielców, sznury szubieniczne, zioła rosnące pod szubienicami, zwłaszcza pokrzyk i przestęp, którym przypisuje się własności mandragory.

Wystąpienie kata znów zmieszało rajców, którzy zaczęli szeptać między sobą, a burmistrz Zalasowski ponownie otworzył usta, lecz Czeczotka nie pozwolił im się opamiętać.

– A to co? Robota ci zbrzydła? Bierz się do dzieła albo od jutra możesz szukać inszego fachu w inszym mieście! – warknął, czerwieniejąc z wściekłości jak indor.

– No, to po wszystkim. Objechaliśmy Rynek parokroć i rozpędzili żaków na cztery wiatry – rzekł zadowolony z siebie podstarość, wkraczając na kabat. – Co tu się dzieje?

– Nasz mistrz ma niewczesne skrupuły – poskarżył się Mały Borgia.

– W imieniu najjaśniejszego pana, którego tu jestem plenipotentem, nakazuję ci czynić swą powinność! – huknął Myszkowski na kata.

Zrezygnowany mistrz nasunął kaptur na głowę i skinął na pomocników. Ci pchnęli skazańca ku pniakowi.

– Puśćcie mnie – odepchnął ich Wolski. – Sam pójdę.

Pewnym krokiem podszedł do pnia, lecz nim ukląkł, powiedział do Strzelbickiego:

– Uczyń to szybko, mistrzu.

Małodobry podniósł wielki, zaokrąglony na końcu miecz w górę, ale wciąż drżał jak w febrze i miecz wypadł mu z rąk.

– Nie mogę – stęknął.

– Hej, dobry bracie, chwyć za miecz i tnij w kark tego niegodziwca! – ryknął podstarość.

Zdesperowany kat pochwycił miecz i nie czekając, aż Wolski uklęknie, ciął go w

głowę. Jednak nie trafił i tylko obciął mu kawałek ucha. Magister krzyknął, a półprzytomny ze zdenerwowania Strzelbicki uderzył znów, tym razem od dołu, płaskim cięciem. I tym razem nie trafił dobrze, raniąc skazańca jedynie lekko w szyję. Trysnęła krew, a magister jęcząc, osunął się na ziemię. Kilku rajców odwróciło głowy, jeden rzygał, a ja rzuciłem się naprzód, lecz dwóch ceklarzy zastąpiło mi drogę, a trzeci przytrzymał za poły.

– Co ty czynisz, człeku?! – huknął podstarość na kata. – Rozciągnij go na ziemi, bij, rąb, kopaj, zakłuj, jak umiesz, tak morduj tego łotra, bo nie chce umrzeć!

Jeden z oprawców nie stracił przytomności umysłu, podskoczył do skazańca, wciągnął go na pień i przytrzymał mu głowę, kat zaś, nie jednym cięciem, jak to powinien *lege artis* uczynić, lecz rżnąc szyję niczym piłą, odciął wreszcie nieszczęsną głowę i precz odrzucił. Po czym jak błędny podążył do ratusza, nie zważając na poklepywanie po plecach i podziękowania ze strony rajców, którzy podążyli za nim.

– Masz, czego chciałeś, Czeczotko – powiedział do Małego Borgii Myszkowski. – Idę się napić – i poszedł za wszystkimi.

Podszedłem do ciała, jak krwawy ochłap leżącego na zimnych płytach dziedzińca. Krew płynąca z okropnej rany u nasady szyi rozlewała się szeroką strugą. Nie był jej w stanie przysypać coraz gęściej padający śnieg. Martwe oczy Franciszka spoglądały na mnie z uciętej głowy, przypominając mi o obietnicy.

– Przyślę ludzi po ciało – powiedziałem do Czeczotki, który stał, gapiąc się na swe dzieło z obrzydliwą satysfakcją malującą się na nalanym pysku.

– Nie! – odparł twardo. – Niech tu leży, aż zgnije.

– To twoje ostatnie słowo?

– Tak.

– Pożalujesz tego – odwróciłem się na pięcie i natknąłem na Siekierę tarasującego drogę.

– Grozisz burmistrzowi? – rzekł głosem niewróżącym nic dobrego. – Pora nauczyć cię grzeczności.

– I to mówi ten, który niczego nie potrafi się nauczyć – odparłem i zamarkowałem cios w szczękę, a gdy przewidując to, zasłonił się, kopnąłem go z całej siły w przyrodzenie, wkładając w to całą wściekłość i obrzydzenie, jakim napełniło mnie to ohydne widowisko.

Padł jak, *nomen omen*, ścięty, a ja odszedłem, przez nikogo nie zaczepiany. Bez przeszkód opuściłem ratusz przez boczną bramę. Stało tu kilkunastu najwytrwalszych scholarów, wśród nich Antek, z wielkim guzem na czole, nabitym z pewnością przez ludzi starosty.

– I co? – spytał bez tchu.

– Już po wszystkim.

– Wolski?

– Zdekapitowany.

– O Boże...

Wśród kolegów, którzy obstąpili nas kołem, rozległ się szmer grozy i wściekłości.

– Przebóg, a więc zrobili to!

– Zapłacą za to, psiekrwie!

– Pomścimy cię, Franciszku!

– A co gorsza – ciągnąłem – nie chcą wydać ciała. Ma tam leżeć, aż odpadnie od kości, a potem wywiozą je za miasto i cisną psom na pożarcie. Dlatego pójdź teraz Antoś do naszej gospody i powiedz Niziołowi, żeby zabrał minę, i wróćcie tu zaraz obaj. A wy – zwróciłem się do pozostałych – skrzyknijcie resztę chłopców i też niech przyjdą pod ratusz jak najrychlej.

Posłuchali od razu, po czym poznałem, że przejmując komendę, odzyskałem ich zaufanie i mir, który ostatnio nieco ucierpiał, gdym pozostawił tę sprawę w rękach Grota. Zresztą o wilku mowa... Ledwo chłopcy się rozeszli, pojawił się Janek Grot ze swymi przybocznymi.

– I jak? – rzucił.

Opowiedziałem mu, co się stało.

– Co teraz? Masz jaki concept? – spytał.

Wyjaśniłem mu.

– To się może udać – odparł niechętnie.

Rozejrzał się dookoła. Zewsząd schodziły się gromady żaków uzbrojonych po zęby i gotowych na wszystko. „Biedne miasto”, pomyślałem przelotnie, ale to mnie nie powstrzymało, nie tym razem. Obojętnie co Wolski uczynił, należał mu się ludzki pogrzeb i włodarze miasta nie powinni przeciągać struny. Wszystko, co się stanie, niech spadnie na ich głowy.

– Za godzinę będzie tu tłum – ocenił Grot. – Wtedy uderzymy, a wy zaraz potem.

Oddalił się, aby objaśnić plan pozostałym. Tymczasem nadszedł Antoś z Niziołkiem dźwigającym bombę. Towarzyszyli im Sęp i Jarosław Wolski.

– Wiem już o wszystkim. Musiałem tu przyjść – wyjaśnił ten ostatni. – Jestem mu to winien.

Kiwnąłem głową.

– Ale ciebie, Sępie, nie powinno tu być.

– Kiedy ja chcę.

– Ale nie jesteś ani scholarem naszej akademii, ani obywatelem tego miasta. To nie twoja sprawa, a w razie aresztowania nie będziesz mógł się nijak wytłumaczyć. Lepiej trzymaj się z dala, proszę.

Przemyślał to sobie, a ja uśmiechnąłem się w duchu, choć, dalibóg, nie było mi wesoło na duszy, bo niemal widziałem, jak już układa sobie w głowie jakąś elegię, w gruncie rzeczy rad, że wszystko będzie miał jak na dłoni, niczym w teatrze.

– Zgoda – odparł.

Wybrałem kilkunastu chłopców, w większości zaufanych druhów, w tym grubego Bartka i Litwina Hieronima, bo Foltyn gdzieś się zawieruszył, kiwnąłem na Niziołka i Wolskiego i poszliśmy. Wcześniej ostrzegłem Grota:

– Niech chłopcy przysłonią lonty – bowiem śnieg prószył coraz gęstszy.

Zasłaniając twarze przed zacinającymi mokrymi płatami, obeszliliśmy ratusz i załomotaliśmy w zamknięte na głucho drzwi „Indyj”. Długo nikt nie odpowiadał, w końcu zgrzytnął rygiel i pokazała się wystraszona twarz szynkarza. Oczy mu się rozszerzyły na nasz widok, widać nas rozpoznał.

– Czego? Dzisiaj zamknięte!

Nawet bez mojego rozkazu Nizioł wiedział, co czynić. Napał na drzwi i przesunął skrzydło razem z gospodarzem. Zostawiłem na straży Antka z drugim scholarem do pilnowania, by nikt nas nie zaskoczył, i powiadomienia, kiedy zacznie się szturm.

– Co chcecie uczynić? – pytał przerażony gospodarz, popychany na schodach przez Niziołka.

– Nic takiego – uspokoiłem go. – Tylko małe bum.

Przemaszerowaliśmy przez całą piwiarnię aż do ostatniej piwnicy sąsiadującej z tortornią.

– Dobra, Niziołek, podkładaj ładunek. A wy – zwróciłem się do pozostałych – powynocicie stąd sprzęty, nie chcemy przecież poczynić większych skażeń niż to konieczne.

A do zrozpaczonego karczmarza rzekłem uspokajająco:

– Nie trap się. W interesie miasta będzie, aby jak najprędzej zreperować mur.

Ledwo uporaliśmy się z robotą, posłyszeliśmy z góry krzyk:

– Zaczęło się!

Kazałem Niziołkowi podpalić lont, a wszystkim wycofać się do sąsiedniej piwnicy, zamknąć solidne drzwi i zatkać sobie uszy. Chwilę czekaliśmy w napięciu, wreszcie potężnie huknęło, mimo ostrożności omal nie rozrywając nam bębenków w uszach, po czym drzwi pofrunęły jak ciśnięte ręką olbrzyma i walnęły o przeciwległą ścianę, a do pomieszczenia wdarły się kłęby kurzu i gryzącego dymu.

– Naprzód! A ty czekaj tu na nas! – zawołałem, gdy kurz nieco osiadł i z chustkami przy nosach i ustach skoczyliśmy przed siebie, zostawiając rozpaczającego gospodarza.

Większość impetu poszła jednak w niewłaściwym kierunku i wybita dziura była niewielka, gdy jednak Niziołek potężnym kopniakiem zaatakował nadwątlony mur, otwór uczynił się na tyle duży, że daliśmy radę się przezeń przecisnąć. Nie zwlekając, pobiegliśmy naprzód z bronią przygotowaną do użycia, na szczęście jednak nie napotkaliśmy nikogo, widać wszystkich strażników wywołano do obrony ratusza. Ścigały nas tylko wrzaski więźniów, jednych przerażonych eksplozją, drugich podnieconych nadzieją uwolnienia. W lochach dymu było niewiele, ale pełną piersią mogliśmy odetchnąć dopiero na kabacie. Tu też było pusto, jedynie pośrodku, jak wprzód, leżało ciało nieszczęsnego skazańca, przysypane coraz gęściej padającym śniegiem, który pokrył plamy krwi i złagodził nieco koszmarny widok odciętej głowy, z opadłą szczęką i martwymi oczyma, jaki wciąż miałem w oczach.

– Zabierać ciało! – poleciłem chłopcom, rzucając Niziołowi swoją opończę, a sam

skoczyłem ku wejściu do ratusza, by powstrzymać domniemaną interwencję.

Lecz nikt się nie pojawił, draby miejskie i pachołki starosty naprawdę mieli pełne ręce roboty z żakami atakującymi ratusz, a może w ferworze walki, który teraz był doskonale słyszalny, nie zwrócono uwagi na wybuch w kabatach. Przepuściłem przodem dźwigających trupa i asekurowałem nasz odwrót. Ignorując wołania więźniów, spieszyliśmy do wyłomu. Z trudem, ale jakoś udało się przecisnąć nasze brzemie przez dziurę. Nie zatrzymując się, poszliśmy dalej, powitani zawodzeniem karczmarza, które jednak znacznie straciło na intensywności, gdy na pociechę rzuciłem mu dukata. Chłopcy pilnujący wejścia do piwiarni powitali nas z wyraźną ulgą.

– Najwyższy czas! – zawołał Antoś. – Bo palba cichnie. Pewnie naszym kończy się amunicja.

W samej rzeczy, szturm ustawał. Już nieliczni mieli czym ładować pistolety i strzelby, zresztą o ile żakom nigdy nie brakowało broni białej, o tyle palnej mieli niewiele. Poza tym kilku było rannych, a pozostali zmęczeni.

– W samą porę! – powitał nas Grot, umorusany jak nieboskie stworzenie, z obwiązany łbem, ale rad z siebie, jak zawsze, gdy miał okazję do awantury. – Dobrze się spisaliście.

– Wy też niezgorzej – zrewanżowałem mu się. – Ciężko było?

– Nie za bardzo – przyznał. – Nikt z naszych nie zginął, my chyba też nikogo nie ubili, bo nie nastawiali nazbyt mocno, a ze starościńskich nie widzieliśmy żadnego.

Nie dziwiło mnie to specjalnie. Wszyscy w mieście wiedzieli, że ludzie starosty nienawidzą go nie mniej od żaków, a może nawet bardziej. Jakub Myszkowski cieszył się bowiem nie tylko zasłużoną opinią pijaka i łapownika. Zwano go „łupieżcą rabusiów”, bowiem rabował bandytom ich zdobycz, od niewinnych zaś torturami wymuszał pieniądze. Swoim ludziom regularnie zabierał należną lafę, a gdy ostatnio się zbuntowali, cudzoziemskim kupcom zarekwirował sukno pod pozorem, że nie ma przepisowej miary, po czym rozdał je żołnierzom zamiast żołdu. To i nie dziwota, że nie kwapili się do nadstawiania karku za swego wodza. Tacy to ludzie sprawowali władzę w grodzie, odkąd król opuścił miasto. Zaprawdę, pańskie oko konia tuczy, a gdy kota nie ma, myszy harczą.

Wokół ciała zgromadził się tłum. Obrońcy ratusza ciekawie wystawiali głowy, ale ponieważ z naszej strony nie padały już strzały, oni też nie strzelali. Gdy jednak żacy ujrzeli zmasakrowane zwłoki magistra, buchnął w niebo straszliwy wrzask żalu i wściekłości i na obrońców znów posypały się strzały. Poznikali w momencie, lecz nie odpowiedzieli ogniem.

– Zabieramy ciało – dałem znak Niziołowi.

– Dokąd? – spytał Grot.

– Myślę, że najbliższej będzie do franciszkanów. Braciszkwie z pewnością dadzą mu azyl, a nawet Czeczotka i Myszkowski nie odważą się wtargnąć do domu bożego – odparłem.

– Zgoda – kiwnął głową. – Idźcie, a ja tu ostanę, aby was osłaniać.

Wszyscy, którzy nie mieli już czym strzelać, poszli z nami. Uformowaliśmy pochód, na czele którego kroczyli niosący zwłoki, a jeszcze nim weszliśmy w Bracką, przyłączyła się do nas gromada żaków wyległych z okolicznych burs i teraz już mnogi tłum, płaczący i wznoszący groźne okrzyki, towarzyszył zmarłemu w przedostatniej drodze. Wystraszeni braciszkwowie zatrzasnęli nam bramę klasztoru przed nosem, ale gdyśmy wyłuszczyli sprawę, zgodzili się na wniesienie ciała do kościoła i obiecali zająć się przygotowaniem nieboszczyka do pochówku.

Gdym wyznaczał ludzi do straży przy drzwiach świątyni, zgłosili się prawie wszyscy. Skończyło się na tym, że większość scholarów postanowiła resztę dnia i całą noc spędzić na czuwaniu. Cały Psi Rynek wypełnił się szczelnie, gdy po jakimś czasie nadciągnął Janek Grot z resztą studentów.

– Gdyście odeszli – opowiadał – Czeczotka, burmistrz i drudzy rajcy próbowali się wymknąć z ratusza główną bramą, aleśmy na nich nastąpili i z okrzykami: „Bij! Zabij!”, pogonili łotrów. Zalaszowski i drudzy zemknęli do domu Foltyna Krokiera i tych jeno postraszyliśmy paroma strzałami, ale Czeczotka z przybocznymi przedarł się do swojej kamienicy. To my za nim. Kto miał strzelbę, palił z niej, kto łuk, z niego szył, kto nic – rwał bruk i nim ciskał. Wybiliśmy wszystkie okna i połamali kraty, gdy nadciągnął starosta. Proch nam się całkiem skończył, więc ustąpiłim pola. I tak Czeczotka zratował gardło. Na razie! Jutro taniec zacznie się od nowa!

Ci, co go słyszeli, wzniesli okrzyk, od którego zadrżały szyby w całym mieście. Miałem dosyć tego dnia, a następny zapowiadał się nie lepiej. Kazałem Niziołkowi odszukać Wolskiego, który przyjął zaoferowaną mu gościnę.

– Idziecie już? – spytał Grot.

– Trza pomyśleć o pochówku – odparłem zgodnie z prawdą. – Pogrzebiemy go na cmentarzu duchackim.

Kiwnął głową, zadowolony, że będzie jedynym hetmanem.

– To do jutra.

Nizioł i Wolski poszli do gospody, ja zaś udałem się do ojca Rocha. Słyszał już o wypadkach na Rynku, zresztą kto nie słyszał – chyba tylko głusi jak pień; opowiedziałem mu tylko, jak umarł Wolski. Nie miał nic przeciwko pochówkowi na szpitalnym cmentarzu.

– Skoro żałował za swój grzech, pozostawmy osąd Panu Bogu. Na ziemi poniósł już dostateczną karę.

Ciotka Balcerowa nie była tak wyrozumiała, gdym jej potem także zdawał relację, nie przeźrzała Wolskiemu, za co wszak nie mogłem jej winić. Na pogrzeb się nie wybierała i też ją rozumiałem. Sprawdziłem tylko, czy Jarosławowi Wolskiemu przydzielono odpowiednią kwaterę, i poszedłem spać. Życie na dyszlu w ostatnich dniach dało mi się we znaki – byłem zupełnie wykończony i z niechęcią myślałem o kolejnym ciężkim dniu. Na szczęście krótko, gdyż ledwo zmówiłem modlitwę za duszę Franciszka i przyłożyłem głowę do poduszki, już spałem jak suseł.

ROZDZIAŁ 10 | KAMIEŃ W WODĘ

Aby zademonstrować swą determinację, rada miejska spotkała się rano w ratuszu i obrała burmistrzem Czeczotkę. Skład był niepełny, ponieważ wielu rajców zostało w domach. Że jednak wśród przybyłych byli sami zwolennicy Czeczotki, wybór był jednogłówny. Nawet Zalasowski, choć z kwaśną miną, nie ośmielił się zagłosować inaczej.

Pierwszym rozporządzeniem nowy władca miasta zakazał mieszczanom udziału w pogrzebie Wolskiego. Rajcy zaś ze swej strony podjęli uchwałę, aby na koszt miasta wstawić szyby wybite przez studentów w oknach kamienicy burmistrza. A także, by jego domu bronili odtąd nie tylko strażnicy miejscy, ale i zaciąg (na koszt miasta) złożony z dwustu ludzi z pospólstwa.

Pogrzeb magistra przerodził się w wielką manifestację. Nie pomogły żadne zakazy. Wyprowadzeniu zwłok od franciszkanów towarzyszył tłum młodzi szkolnej i uniwersyteckiej, księży oraz mieszczan. Przed kościołem przedstawiciel studentów odczytał uroczystą protestację scholarów przeciw jawnej zbrodni oraz pogwałceniu praw akademii.

Następnie mnoga gromada pociągnęła za trumną w kierunku Rynku. Okrążono go, a na każdym rogu przy donośnym dźwięku trąb ogłaszano nazwiska głównych sprawców zbrodni: Czeczotki, Zalasowskiego, Polaka, Cyrusa, Pernusa i Schillinga, czyli „wybranych na urząd radziecki niegodziwców, plebejów bez wykształcenia, rękodzielników i szynkarzy, nieprzyjaciół Kościoła i kleru, scholarów i doktorów uniwersytetu tudzież szlachty, którzy umyślnie wysyłają pacholców nocą na ulice, by ci wszczynali awantury z żakami, aby móc ich potem więzić na ratuszu”.

Za każdym razem tłum wznosił wrogie okrzyki:

- Precz z Czeczotką!
- Mały Borgia!
- Morderca!

Zyskał też sobie Tłokiński nowe miano, pod którym przeszedł do historii:

– Krwawy Burmistrz!

Gdy kondukt mijał ratusz, ktoś wypatrzył jego twarz w oknie i rzucił kamieniem, ale liczne straże otaczające ratusz, a także księża, którzy mitygowali studentów, zapobiegli gorszącej awanturze. Kiedy jednak Wolski został już pochowany i część żałobników prosto z cmentarza Świętego Ducha rozeszła się do swych domów, większość studentów i żaków wydobyła pochowaną pod odzieniem broń, wróciła na Rynek i zaatakowała dom Krwawego Burmistrza. Gdyby nie interwencja starosty, który słysząc odgłos strzałów, przybył na odsiecz wraz z piechotą zamkową, Czeczotka dałby głowę. Ale scholarzy nie poniechali zemsty. Przez następnych dziesięć dni wykłady na akademii się nie odbywały, a Rynek stał się miejscem nieustannych walk. Zamarł handel, opustoszały ulice. Nieliczni przechodnie przemykali chyłkiem pod ścianami domów.

W izbie karczemnej zabawa trwała na całego. Starszy Cygan uwijał się przy cymbałach, młodszy towarzyszył mu na lutni, a rozochocony gospodarz przyniósł nowomodny instrument – skrzypce – którym posługiwał się z prawdziwą wirtuozerią. Podpita szlachta puściła się w tany ze służącymi, jeden porwał na środek gospodynię, a dwóch szlachciców tańcowało ze sobą, wykrzywiając się przy tym w śmiesznych grymasach.

– Cha, cha! – śmiała się podchmielona widownia.

– Chi, chi – chichotały dziewczyny porwane do tańca.

– Hejże, hola! – wtórowali im partnerzy.

Twardowski siadł na końcu stołu i podparł się pod boki jak basza.

– Hulaj, dusza! Hulaj! – zawołał i polecił służącemu: – Wódki! Dla mnie i wszystkich, co ze mną zechcą się weselić! Tyle jadła i napitku, ile kto zechce, jakem Twardowski!

Wielkopańskim gestem rzucił na blat dwa czerwone złote. Gospodarz natychmiast przerwał granie i podbiegł, aby zgarnąć monety, po czym dał znać obsłudze, by zastawiła stół.

– Wiwat, mości Twardowski!

– Niech żyje największy mag w Koronie!

– I Wielkim Księstwie!

– Zdrowie waćpana!

– Zdrowie! A w strych lać!

Wnet zaczęto wznosić kolejno toasty, a tak gęsto i szparko, że wkrótce biesiadnikom kurzyło się z głów, a i czarnoksiężnik miał mocno w czubie i był w coraz lepszym humorze: śmieszył, tumaniał, przestraszał.

– Mistrzu, pokaż jaką sztukę!

– Pokaż!

Czarodziej nie dał się długo prosić i wyczarowawszy z rękawa najbliższej

siedzącego szlachcica tajstrę kart, dał mu ją do potasowania, a potem ją odgadywać poszczególne wyciągane karty, nie myląc się ani razu. Potem zagrał z kompanami w kości, za każdym razem wyrzucając komplet oczek i zgarniając sporą pulę, ale nikt się nie gniewał, ponieważ grano na małe sumy, a i tak każdą wygraną magik obracał na wspólne biesiadowanie.

– Jeszcze! – domagali się rozochoceni kompanioni.

– Bigosować! – porwał się z ławy jeden ze szlachciców, pijaniuteńki jak bela. – Bij, zabij Moskali!

Nie dając się spacyfikować, dobył miecza i jął siec zawzięcie na oślep, aż wszyscy uciekli pod ściany, lecz i tam zaczął ich ścigać. Nie wiadomo, jak by się to skończyło, gdyby nie Twardowski, który świsnął pijanemu swoim kordem tak blisko ucha, że mało go nie odciął. Awanturnik zdębiał, oczy stanęły mu w słup, potem wrzasnął dziko, cisnął miecz, wlaź pod ławę, jęcząc i biadoląc, a za moment spał aż miło.

– Ot, co! – zawołał pan Twardowski, chowając broń do pochwy. – Szast-prast i już z zucha masz zająca! Hej, Cygany, grajcie! A waszmościowie do stołu!

Znów zrobiło się gwarno i wesoło. Wtem czarodziej dostrzegł kauzyperdę, który nie przyłączywszy się do ogólnego wesela, milczkiem w swoim kącie opróżniał rondel.

– Waszmościowie, o co zakład, że tego tam jegomościa, który gardzi naszą kompanią, w psa przemienię?

– Uczyn tak, mistrzu, uczyn! – odkrzyknęła wesoła kompania.

– Ejże, mociumpanie, a nie chciałbyś pięknego, złotciutkiego dutka, prosto spod prasy mincerza?! – zawołał Twardowski do prawnika. – Tak? To bierz, jest twój. Znaj, łyku, pański gest!

I rzucił czerwońca pod ławkę, na której siedział adwokat. Ten chwilę się wahał, ale widząc przyzwalający gest magika, przerwał jedzenie i zanurkował pod stół, po czym na czworakach zaczął szukać monety.

– No i co, panowie? – zaśmiał się czaroksiężnik. – Oto macie dziw prawdziwy: z patrona zrobił się kondel!

– Przedni dowcip! – zaśmiał się ktoś.

– Hau, hau! – zaszczekał inny.

Po chwili cała karczma grzmiała od szczekania, wycia, skomlenia i innych psich dźwięków. Tymczasem jurysta, bynajmniej nie zmieszany, wylazł spod ławy z odnalezioną monetą i z zadowoloną miną zabrał się na powrót do jedzenia. Magik zaś złapał za połę gospodarza, który podszedł z garncem gorzałki, przygiął go do stołu, wyciął mu w nos trzy szczutki, wolną dłoń zwinął w trąbkę, przystawił Żydowi do łba, cmoknął, cmok, i wytoczył mu ze łba kwartę wódki do podstawionego naczynia. Żyd był wystraszony, pozostali otworzyli gęby ze zdumienia, po czym gruchnął śmiech i gwar.

– Przednia sztuczka!

– Brawo, mistrzu!

– Jak waszmość to uczynił?

– Trzeba było uważać! – odparł Twardowski, śmiejąc się, i dał znać arendarzowi, by napełnił pozostałe kubki.

Wtem czarodziej dostrzegł w ciemnym kącie gościa w czerni, który spał na siedząco z głową na stole, ale obudził się dokładnie w chwili, gdy Twardowski zszedł na dół, i odtąd nie spuszczał go z oczu. Robił to jednak dyskretnie, spod wpół przymkniętych powiek, schowany w cieniu i do tego stopnia niewidoczny, że nawet gospodarz zapomniał o jego istnieniu. Z dwoma karczmiakami z grubego szkła, napełnionymi gorzałką po brzegi, mag dosiadł się do tajemniczego gościa.

– Napij się waść ze mną! – podsunął mu kielich.

– Nie piję – odparł tamten tak cicho, że ledwie zrozumiałe.

– Acan chcesz mnie obrazić? – obruszył się Twardowski.

– Mam wobec waści zgoła inne plany – nieznajomy wyrzekł to z lekkim naciskiem i podniósł wzrok.

Na maga spojrzęło dwoje bezlitosnych oczu, jarzących się w półmroku jak dwa rozpalone do czerwoności węgle.

– Mefisto! – nagle wytrzeźwiały, poznając swego prześladowcę, Twardowski rzucił się w tył, ale człowiek w czerni błyskawicznie pochwycił go za rękę i przytrzymał w krzepkim uścisku jak w imadle.

– Kto? Zresztą nazywaj mnie, jak chcesz. Tak czy owak, kładę areszt na waszeci. A teraz, mój panie, jako że mam z tobą do pogadania na osobności, wyjdiesz stąd ze mną grzecznie i po cichu, a wtedy tamtym poczciwcom – nieznacznym ruchem głowy wskazał biesiadujące towarzystwo, tak pijane i zajęte spełnianiem kolejnych toastów, że nawet nie zauważyło braku magika przy wspólnym stole – nic się nie stanie. Spójrz!

Pokazał oczyma leżący obok niego na ławie pakunek w kształcie kieszki z wystającym krótkim sznurem.

– Mam tu pięć funtów prochu. Jeśli podpalę lont, wszyscy zginą, a z tej budy nie zostanie jeden cały śniat. Nie zmuszaj mnie do tego.

– Ty diable!

Albinos wzruszył ramionami.

– Idziesz, waść, po dobrowoli czy...

Nagle jeden z biesiadników, ów ruski szlachcic, który kupił konia od Cygana, wstał chwiejnie od stołu i rozejrzawszy się po izbie, zmętniałym wzrokiem wypatrzył jakoś Twardowskiego i postąpił niepewnie ku niemu.

– Mości Twardowski, godzi się to tak ostawiać komiltonów pośrodku biesiady?

Twardowski, już pogodzony z losem, nagle dostrzegł ostatnią deskę ratunku.

– Czy to waszmościa jest ów kary, co dziś dokazywał na majdanie przed gospodą?

– Piękny koń, co? – nadął się dumą szlachcic. – Zrzucił mnie po prawdzie, ale okiełznam czarta, jakem prawy szlachcic – uderzył się po ordynce u boku.

– A nie dozwolilibyś waszmość mnie popróbować?

– Teraz?

– A choćby.

– Dla waszmościa wszystko. Ej tam, wyprowadzać mojego karego ze stajni! – rzucił gromko w głąb izby. – Mistrz Twardowski chce go dosiąść, będzie nowe dziwowisko...

Twardowski, ciągnięty przez kompana do drzwi, rzucił niespokojnie wzrokiem na człowieka w czerni, ale ten tylko uśmiechnął się pod nosem, po czym, korzystając z zamieszania, niepostrzeżenie wymknął się na zewnątrz. Nie wszyscy byli zdolni do takiego wysiłku – część gości spała na stołach, część pod stołami, a wszyscy chrapali tak, że karczma aż się trzęsła. Wobec mocno przeredzonej widowni, kulącej się przed okapem gospody, bo zadymka wciąż trwała w najlepsze, Twardowski dosiadł podstawionego wierzchowca. Oglądał za dnia popisy karego i wiedział, do czego ten koń jest zdolny. Jeśli zdołałby go okiełznać, nikt by go nie dogonił, zwłaszcza w zamieci. A do grotu, gdzie czekał azyl, było zaledwie pół, a może jedynie ćwierć mili. Dotrze tam, jeśli Bóg pozwoli, i zacznie nowe życie, pogodzony z Bogiem, bez czarów i pospolitych oszustw, cały pozostały mu czas poświęcając służbie Bogu i ludziom...

Kary jakby pojmował, ile zawisło od jego postawy. Posłusznie znosił, gdy jeździec próbował podskoków i zwrotów. Ładnie szedł stępą, galopował i kłusował, gdy okrążali podwórze. Uznawszy, że przyszła pora, Twardowski nieznacznie rozpędzał wierzchowca, aż ten przeszedł w cwał, i wówczas skierował go na gościniec. Pomknęli jak wiatr, ginąc patrzącym z oczu. Widownia czekała w napięciu na ich powrót. Po paru minutach przybiegł kary. Sam. Kwadrans potem kto mógł, siadał na koń i ruszał z pochodnią na poszukiwanie. Padający śnieg pozacierał ślady, ale krążono po okolicy aż do białego dnia. Bezskutecznie. Po czarnoksiężniku zaginał wszelki ślad.

Po powrocie z cmentarza zastałem w domu całą rodzinę. Zasiedliśmy do rodzinnego obiadu w wystawnej jadalni ciotki na piętrze. Od czasu do czasu ciotka lubiła widzieć wokół siebie wszystkie swoje dzieci. Dzisiejsze spotkanie miało niewątpliwie związek ze śmiercią i pogrzebem Wolskiego, ale długo nikt nie poruszał tego tematu. Nie dało się jednak uniknąć kwestii rozruchów w mieście, bo od Rynku znów dochodziły odgłosy strzałów i nic nie zapowiadało końca tumultu, co miało też niekorzystny wpływ na obroty w gospodzie „U Balcera”. Przygnębiało to ciotkę i bez tego markotną z powodu pogarszającego się wzroku. Kiedy po raz kolejny nie trafiła łyżką do talerza, Jędrzej zapytał mnie, kiedy ją zoperuję.

– Zrobię to zaraz, jak tylko zakończę pewną sprawę – zapewniłem.

– Co to za sprawa? – zaciekawiał się Michał.

Opowiedziałem im o swej podróży do Lublina i o nowym zleceniu. Nie wszystko, ale wystarczająco, by słuchali jak zaczarowani.

– A więc dopiąłeś swego – stwierdziła Małgorzata, żona Andrzeja, gdy skończyłem. – Jesteś tym, jak mu tam, inwestygatorem. Zdałaby ci się wywieszka przed domem.

– I owszem. Jeśli matuchna pozwoli – zwróciłem się do ciotki.

– Wiesz, że to twój dom, i możesz czynić, co chcesz – odparła, a mnie zrobiło się ciepło na sercu; miło mieć taką rodzinę, miło w ogóle mieć rodzinę; umiałem to docenić.

– Znam dobrego i taniego snycerza, a bukstaby sam wyrobię z metalu – zaoferował się Jędrzej.

– Pana Twardowskiego nie było w mieście od miesięcy, a i jejmości Twardowskiej nie widziano na Rynku od paru dni. Wiem, bo onegdaj chciałam u niej kupić garnek – wtrąciła Margosia. – A ponoć wcześniej sprzedawała kamienice w mieście. Trudne cię czeka zadanie.

– Zabójca Doroty poniósł karę – po raz pierwszy odezwała się Jadwiga, odważnie poruszając drażliwy temat. – Atoli prawdziwy winowajca ma się wciąż doskonale.

Spojrzałem jej w oczy, które patrzyły na mnie twardo. Jadwiga miała w sobie siłę i stanowczość cechującą wszystkich Balcerów, ale była chyba najtwardsza z nich. Z nas, poprawiłem się w myślach.

– Kogo masz na myśli? – spytałem, dobrze wiedząc, co odpowie.

– Czeczotkę, a kogoż by innego? – wyrzuciła z siebie z nienawiścią. – To on zdeprawował Dorotę i on bardziej niż Wolski odpowiada za jej śmierć, a tymczasem co się stało? Dorota martwa, Wolski ścięty, a ten łotr dziś znów został obran burmistrzem! – nie spuszczała ze mnie wzroku.

– Chcesz czegoś ode mnie, Hedwiżko? – spytałem.

– Chcę, aby Krwawy Burmistrz zapłacił za swe niegodziwości. I chcę, żebyś mi pomógł go ukarać.

– Jadwiniu... – Michał z lekkim przerażeniem wpatrywał się w żonę, jakby ją widział pierwszy raz.

– Daj już temu pokój, córuchno – poprosiła ją matka.

– Pomożesz mi? – zignorowała ich, wciąż uparcie patrząc mi w oczy.

I wówczas znów uderzyło mnie jej podobieństwo do Doroty. Nie duchowe, rzecz jasna. Pod względem moralnym dzieliła je przepaść, ale w gniewie obie tak samo zaciskały usta, a ich oczy tak samo miotały błyskawice. Gdyby lico Jadwigi nieco okrasić barwiczką, a włosy zaczesać inaczej, sam diabeł miałby kłopot z rozróżnieniem siostr... To nasunęło mi pewną myśl.

– Może mógłbym ci pomóc – odparłem ostrożnie. – Aleć to rzecz wielce azardowna...

– O to się nie trap – odparła zuchwale.

Nie wątpiłem w jej determinację.

– Ergo postanowione – rzekłem. – Jak tylko uporam się ze sprawą Twardowskiego, zajmę się i tym. A teraz wybaczcie, powinności wzywają.

Uściskaliśmy się i opuściłem jadalnię. Dobrze, że zajęcia w akademii w związku z tumultem odwołano, bo miałem sporo roboty. Dzień chylił się z wolna ku schyłkowi, więc musiałem pospieszać, jeśli chciałem jeszcze dziś coś zdziałać. Nie zabrałem ze sobą tym razem Nizioła, choć się napraszał, bo w czas tumultu należało pilnować interesu, z kolei Sęp wyszedł do miasta szukać natchnienia. Wstąpiłem tylko do kwatery Jarosława Wolskiego, by się z nim pożegnać. Wybierał się już z powrotem do domu, napisawszy wprzód listy-protestacje w sprawie krewniaka. Zapewniłem go, że bynajmniej nie uważam jeszcze tej sprawy za zakończoną i będę na swój sposób dochodził sprawiedliwości. To go trochę pocieszyło.

Kramy w Rynku wciąż były pozamykane na głucho, gdyż pod ratuszem w najlepsze trwała bitwa. Jedna grupa scholarów szturmowała dom Czeczotki, druga zaś trzymała w szachu pachółków z ratusza. Nie chciałem się mieszać do tej awantury. Podzielałem gniew kolegów na Krwawego Burmistrza, ale nie wierzyłem, by udało im się go dostać, zwłaszcza gdy zafundował sobie na koszt miasta gwardię przyboczną złożoną z nowo zaciężnych plebejów. A w razie czego w każdej chwili z zamku mogli nadciągnąć starościńscy z odsieczą. Aby dobrać mu się do skóry, trzeba było sposobu, nie siły.

Kiedy przecinałem Rynek, jakaś zabłąkana kula świsnęła mi koło ucha. Przyspieszyłem kroku i po chwili stałem za domem Pod Krzysztofory, wyglądającym na niezamieszkaany, pod sąsiednią kamienicą, już przy Żydowskiej, zwanej również Szczepańską, także niegdyś należąca do Twardowskiego. Brama była zamknięta na głucho, kołatanie nic nie dało. Widać dom naprawdę został sprzedany, a nowy właściciel jeszcze się nie pojawił. Sterczałem na treście, dumając nad następnym ruchem, wtem ktoś zawołał mnie z okna naprzeciwko, z domu Pod Gruszką należącego do sławnego rodu krakowskiego – Morsztynów. Wedle Bielskiego w roku 1386 ukrywał się tu rakuski książę Wilhelm, gdy przybył do miasta upomnieć się o swe słuszne prawa do ręki królowej Jadwigi, przyobiecanej już komu innemu – Litwinowi Jagielle. Odwróciłem się i ujrzałem staruszkę, kiwającą na mnie palcem. Posłusznie podszedłem bliżej.

– Czego szukasz, młodzianku? – spytała, uchylwszy szerzej okna.

– Państwa Twardowskich.

– O, jego to nie widziałam dobre parę miesięcy, a jej od niedzieli najmniej. Była tu wtedy z jakimś Italczykiem. Jej służdy wynosili z domu sprzęty, a jego wnosili. Potem zamknęli bramę na cztery spusty i odtąd nikt tu nie zaglądał. Ponoć ów Italczyk to alchemik, który dlatego kupił dom, że razem ze wszystkim dostała mu się pracownia imć Twardowskiego. Skaranie boskie! Znów będą się tu działy niestworzone rzeczy – babina przeżegnała się trzykrotnie.

– A co się tu działo? – spytałem podchwytliwie gadatliwą starowinę.

– A długo by gadać, bo to i światła osobliwe z piwnicy było widać po nocach, i smrody dziwne na ulicę się wydobywały, a to jakieś huk, a to głosy, jakby kogo mordowali – znów się przeżegnała. – Diabelska to sprawka, synku, bo też mistrz

Twardowski ponoć z diabłem się kumał!

– Matko! – rozległo się z głębi domu. – A zamknijże wreszcie to okno, bo ziąb leci do izby!

– A ty mi nie rozkazuj! – odszczeknęła staruszka. – Póki co, to jeszcze mój dom i robię, co mi się podoba! Nogi już nosić nie chcą – to było do mnie – to człek choć przez okno na świat Boży chce popatrzeć, póki oczy służą...

I uszy, pomyślałem.

– Nie zachodził tu aby kto w ostatnich dniach? – spytałem pospiesznie, widząc, że starowina mimo wojowniczej postawy jednak przymierza się do zamknięcia okna.

– Ajuści. Wczoraj... – zamyśliła się. – Albo onegdaj... Nie pomnę... Był tu jakiś człek, cały w czerni, jak sam diabeł – ponownie się przeżegnała. – Długo stał przed drzwiami i usiłował wniknąć do środka. A dziś, ledwie parę zdrowaśków temu, był tu ten chłopiec, uczeń mistrza Twardowskiego, jak mu tam... Maciek! Ale przystanął jeno na chwilę przed bramą, głowę uniósł i zaraz uciekł, jakby go zły gonił.

Czekałem, żeby zrobiła znak krzyża, i nie zawiodła mnie. A potem uczyniła ruch, jakby chciała zamknąć okno.

– Babciu, jeszcze chwilka. Nie wiesz aby, gdzie mógłbym zastać jejmość Twardowską?

– Jeśli nie wyjechała z miasta, to pewnie będzie u wdowy Wojcieszkowej. To jej powinowata. Jejmość zatrudnia ją w swoim kramie. Wojcieszkowa ma dom na Legackiej ulicy i wielce się tym chełpi, ale to pozór, bo wszyscy wiedzą, że kamienica należy do Twardowskich – prychnęła babka.

A zaraz potem zamknęła okno, ledwo zdążyłem jej machnąć na pożegnanie. Nie ma to jak nudzące się staruszki, istne kopalnie wieści i pospolitych plotek. Miałem już jakiś ślad. A nawet dwa. Podniosłem głowę, jak to uczynił ów pomocnik Twardowskiego, Maciek, i ujrzałem rzecz na pozór zwyczajną – uczyniony wysoko na bramie kredą napis, świadectwo kolędy. Dziwne wszak, że napis uczyniono na bramie, a nie na drzwiach wiodących do mieszkania, zasię zamiast liter K.M.B. stało K.M.C. i choć mieliśmy rok Pański 1569, na bramie widniał 1523. Ktoś najwyraźniej starł ostatnią literę i dwie cyfry i dopisał nowe. Nic mi to nie mówiło, ale Maćkowi pewnie tak, dlatego pognął gdzieś jak oparzony. Wiele bym dał, żeby wiedzieć, dokąd było mu tak spieszo i gdzie go szukać. Ale ponieważ nie miałem pojęcia, udałem się na Grodzką, aby na Wawelu złożyć wizytę mości Górnickiemu i zdać mu relację z pobytu w Lublinie.

Na rogu Grodzkiej i Legackiej, przy której mieli swą siedzibę legaci papiescy, w domu, gdzie ongi mieszkał z rodziną Wit Stwosz, u złotnika, być może potomka osiadłego w Krakowie brata mistrza Stwosza, Macieja, dowiedziałem się, że kamienica kramarki Wojcieszkowej znajduje się tuż obok Malowanego Dworu ^[1] Gniewoszów, a obecnie Tęczyńskich. Zapukałem do sąsiedniego domu, podając się za plenipotentą kupca, który chce kupić większą partię garnków. Za parę miedziaków uzyskałem

potwierdzenie zdobytych wcześniej od gadatliwej staruszki informacji.

Miałem zamiar przyjść tu ponownie, kiedy będę wracał z Wawelu, i nie spocząć, póki nie rozmówię się z Twardowską. Jeśli prześladowcę jej męża widziano Pod Krzysztofory, tedy jego żona też była w niebezpieczeństwie. Ów Kettler, czy jak tam się zwał, głupi nie był. Skoro ja trafiłem na ślad żony maga, on też ją odnajdzie. Na zamek wpuszczono mnie bez trudności, a Górnicki powitał serdecznie.

– Przyszedłbym wcześniej – sumitowałem się – ale zatrzymała mnie sprawa Wolskiego.

Pokiwał smętnie głową.

– Słyszałem, jak to się odbyło. Takie jawne pogwałcenie prawa to nie tylko wstyd dla miasta, lecz i policzek dla powagi króla. Nie zdołałeś zatem ocalić druha. Współczuję.

– Mogłem go ocalić... – westchnąłem i wyjaśniłem mu, nie ukrywając niczego.

– Takie buty... – powiedział, gdy skończyłem. – Paskudna sprawa. Z którejkolwiek strony by na to patrzeć. Zaczekaj chwilę, trzeba to przepłukać.

Podszedł do szafy z opasłymi foliałami, wyjął najgrubszy i wy dostał flaszkę wina.

– A teraz opowiadaj, jak było w Lublinie – rzekł, stawiając na stole butelkę, kielichy i zapalając świecę, bo na dworze już szarzało, a w komnacie zapadł półmrok. – Zjesz coś?

– Dziękuję. Jestem po familijnym obiedzie – odparłem i zacząłem relację, co jakiś czas zwilżając gardło wyborną małmazyją.

Na koniec wy dostałem z za pazuchy kartę, na której skopiowałem osobliwą zagadkę sporządzoną przez mistrza Twardowskiego niewidzialnym inkaustem.

– A to przebiegły lis – zaśmiał się bibliotekarz, zakładając okulary i oglądając szkic. – Mówi ci to coś?

Pokręciłem głową przecząco.

– No, ale i tak spisałeś się wybornie – pochwalił mnie. – Czyś wpadł już na trop czarnoksiężnika?

– Nie, alem zdołał się wywiedzieć tego i owego – i opowiedziałem mu o swoich poszukiwaniach dzisiejszego popołudnia i ich rezultatach.

Wysłuchał w skupieniu, po czym potarł w zamyśleniu brodę.

– Tak... Myślę, że Maciek mógłby nam sporo objaśnić...

– Ba, lecz gdzie go szukać?

– Może tym razem ja cię zadziwię – odparł tajemniczo.

Wstał od stołu, otworzył drzwi, zawołał pazia dyżurującego w korytarzu i coś mu powiedział, po czym wrócił i rozlał resztę wina. Akurat gdyśmy je dopijali, rozległo się pukanie i do librarii wszedł chłopak może piętnastoletni, ze strzechą rudych włosów i twarzą usianą piegami jak indycze jajo, na której malowało się zatroskanie.

– Oto Maciek – rzekł do mnie Górnicki – uczeń mistrza Twardowskiego. Cóż to, wybierasz się dokądś, chłopcze? – spytał, ogarniając wzrokiem odzienie młodzieńca i buty do jazdy konnej.

– Właśnie chciałem upraszać waszą miłość, byś zezwolił mi pożyczyć wierzchowca z zamkowych stajen – odparł chłopiec.

– A dokąd to tak ci spieszno?

– Tego nie mogę wyjawić.

– Ach, tak... – bibliotekarz zmarszczył brwi. – Do czarta! To taka twoja wdzięczność za wikt i kwaterę, jakie masz u mnie?

Lecz Maciek tylko zaciął usta i zwiesił głowę, ale nic nie rzekł. Ubiegłem Górnickiego, który był bliski wybuchu gniewu.

– Dziś po południu odebrałeś wieść od swego pana i przebierasz się do niego, nieprawdaż?

W młodziaka jakby piorun strzelił. Poderwał głowę i wpatrzył się we mnie z przestraczem.

– Podejdz sam. To jest pan Kacper Ryx, inwestygator królewski – przedstawił mi pisarz i muszę przyznać, że dobrze to zabrzmiało w moich uszach. – Na zlecenie znajomych twego pana, do których, jak wiesz, i ja się zaliczam, próbuje odnaleźć mistrza Twardowskiego i ocalić go przed człkiem, który zagiął nań parol. Możesz mu więc spokojnie wyjawić wszystko, co wiesz, bo i tak nic się przed nim nie ukryje.

Uśmiechnąłem się na takie *dictum* i aby zacnego chwalczy nie rozczarować, powiedziałem:

– Wieść dla ciebie była ukryta w bukstacie C i liczbie 23 nad bocznym wejściem do domu Pod Krzysztofory. Co to znaczy?

Maciek już ochłonał z zaskoczenia, jego oczy znów patrzyły bystrze, lecz widziałem w nich wahanie. W końcu podjął decyzję.

– Taka była umowa. Miałem co dzień, zachowując baczenie, przychodzić Pod Krzysztofory i sprawdzać, czy nie ma dla mnie nowin od mojego mistrza. Liczba 23 oznacza, że mój pan był w mieście 23 marca.

– Trzy dni temu – mruknąłem.

– Właśnie, a ja dopiero dziś zdołałem wyrwać się do miasta, bo wasza miłość kazał mi ślęczyć nad księgami – z wyrzutem popatrzył na Górnickiego.

Bibliotekarz walnął pięścią w stół.

– Do kaduka, a cóżeś sobie imaginował, łobuzie?! Chcesz na jesień wstąpić do akademii, tedy musisz się uczyć, a nie po mieście się wałęsać i baki zbijać!

– Kiedy ja... – w oczach Maćka błysnęły łzy.

– Daj mu pan pokój – poprosiłem pisarza. – Chwali mu się, iż jest tak oddany swemu panu. Gdzie macie wyznaczone spotkanie? – spytałem chłopaka.

– W grocie – odparł już bez wahania.

– Gdzie? – zdumiał się Górnicki.

– C jak *cavum* – wtrąciłem. – Wszystko się zgadza. Gdzie to jest?

– W lesie za Dębnikami, przy drodze do Tyńca, na Tetyncie [2] – wyjaśnił Maciek. – Mistrz ma tam pracownię.

– Ach! Niesławna Akademia Twardowskiego – rzekł surowym tonem bibliotekarz. – Słyszałem, jakoby pan Twardowski sekretnie nauczał tam adeptów czarnej magii, alem nie dawał temu wiary.

– Ja nic nie wiem – bronił się Maciek. – Służę u mistrza dopiero trzeci rok, a w grocie byłem raz jeden tylko, w lecie łośńskiego roku, nie, dwa roki wstecz, i nikogo okrom nas dwóch tam wtedy nie było. Wasza miłość – złożył dłonie jak do modlitwy, patrząc błagalnie na Górnickiego – zezwól mi natychmiast wyjechać w sukurs mistrzowi, który z pewnością jest w wielkiej obieży i wygląda ratunku...

Pisarz już otwierał usta, gdy się wtrąciłem:

– Niewątpliwie mistrzowi Twardowskiemu grozi wielkie niebezpieczeństwo. Ale *primo*: jest już późno i zaraz zamkną bramy miasta; *secundo*: lada chwila ruszy lód na Wiśle, więc przeprawa przez rzekę jest niebezpieczna, zwłaszcza nocą; *tertio*: trafić po ćmoku w lesie zasypanym śniegiem w miejsce, w którym się było jeno raz, i to w lecie, rzecz to jakmiarz niemożliwa – i w dzień będą z tym turbacje; *quarto*: zbójcy; *quinto*: Kettler to bezlitosny zabójca, mniemasz, iż zadrży mu ręka przed zabiciem nieopierzonego młokosa, który wejdzie mu w paradę i plany popsowa?

– Ale ja muszę! – wykrzyknął chłopiec ze łzami w oczach, choć widać było, że moje argumenty uczyniły na nim wrażenie.

Górnicki zdecydowanie potrząsnął głową.

– Imć Ryx ma słuszość, Maćku. Idź się rozdziać, nigdzie nie pojedziesz.

Młodzieniec otarł łzy kułakiem, a ja ujrzałem w jego oku stanowczy błysk. Spodobało mi się to. Chłopiec miał charakter i był lojalny, a to cechy, które sobie cenię. Zanim więc zdążył otworzyć usta, odezwałem się, chcąc zapobiec niepotrzebnej awanturze:

– Jeśli do jutra nie odmienisz postanowienia, Maćku, będę cię czekał skoro świt przed gospodą „U Balcera”. Pan Górnicki wytłumaczy ci, jak tam trafić. To jak?

Chwilę ważył coś w sobie, po czym twarz mu pojaśniała.

– Zgoda – odparł.

– Jeśli masz jakąś broń, nie zapomnij jej zabrać.

– Pójdź teraz do stajen wybrać sobie wierzchowca. Powiedz, że to z mojego polecenia – rzucił pisarz.

– Z serca dziękuję waszej wielmożności – zawołał uszczęśliwiony Maciek i nim śmignął za drzwi jak fryga, dodał pod moim adresem: – I waszej miłości takż.

– Tylko się nie spóźnij, bo nie będę czekał! – krzyknąłem za nim.

Podniosłem się z krzesła.

– Muszę już iść, bo jeszcze mi zatrzasną bronę przed nosem.

– Przywieź go żywego, Kacprze, to jeszcze dzieciak. Bystry nad wiek, lecz dzieciak. A po powrocie musisz mi zdać akuratną relację.

Wracałem po ciemku przez wymarłe miasto, bo nawet strzelanina pod ratuszem umilkła. Tylko śnieg wciąż sypał i zacinał w twarz.

Zasiedliśmy do wieczerzy we trzech: Sęp, Nizioł i ja. Nie darowali mi, tak zżerała

ich ciekawość, więc jeszcze raz musiałem opowiadać o wyprawie do Lublina, o swej inwestygacji w sprawie Twardowskiego i o jutrzejszej wycieczce. Niziołek zaraz jął się napraszać, by go zabrać. Pewnie, że przydałby mi się, bo rzecz nie była bezpieczna, ale w mieście wciąż trwał tumult i w każdej chwili mógł się rozszerzyć na boczne ulice. Nie byłby to pierwszy raz, gdy gniew żaków obracał się przeciw Bogu ducha winnym obywatelom. Poza tym zawsze przy takiej okazji do głosu dochodził miejski motłoch, a i wśród scholarów też nie brakowało łotrzyków prędkich do gwałtu i rabunku. Wytłumaczyłem to Niziołkowi, lecz był niepokieszony. Humor mu się nieco poprawił dopiero przy drugim garncu piwa i po zapewnieniu, że następna eskapada już go z pewnością nie ominie. Natomiast Sęp tym razem wcale nie napraszał się na wycieczkę. Był jakiś zamyślony i z lekka nieobecny. Znałem ten stan. Tworzył. Zresztą ledwo zdążyłem to pomyśleć, wyrecytował:

*Na nędzną ziemię racz mieć wzgląd, Panie,
Którego ten świat trzyma staranie.
Sprawę rąk Twoich, część niewzgardzoną
Wichrzy Fortuna burzą szaloną;
Ślepa, prócz braku rozsiewa szkody.
O, wżdy chciej kiedy jej wściągnąć wody,
Ojczy łaskawy! A pokój, który
Niebo i wielbią Anielskie Chóry,
Niech naród ludzki sprawuje wiecznie,
Aby imię Twe chwalił bezpiecznie [3].*

– I jak wam się podoba? Napisałem to, napatrzywszy się wczoraj i dziś do woli, do czego zdolen jest naród ludzki. A teraz pracuję nad dłuższym poematem, dlatego pozwolicie, że was opuszczę. Jeśli chcesz, Kacprze, możesz sobie wziąć mojego dzianeta, przyda mu się trochę ruchu.

I odszedł z głową w obłokach, jak zwykle zostawiając nas oszołomionych swymi wierszami. Cóż, mnie wydarzenia w mieście w ostatnich dniach z pewnością nie natchnęłyby myślą o Bogu, ale to Sęp był wielkim poetą, o czym wiedziałem bez najmniejszego *dubium*, ja zaś tylko marnym składaczem. Dokończyliśmy piwa, poprosiłem Nizioła, żeby mi na rano sprowadził od Koniara z Kleparza araba (czy raczej turka), bo postanowiłem skorzystać z hojności Sępa, po czym udałem się na górę przygotować do wyjazdu. Szczególnie pieczołowicie oporządziłem broń, czując, że od niej wiele może zależeć. Spałem twardo. Obudził mnie dopiero Niziołek:

– Koń już czeka i ten młodzik, Maciek, też.

Szybko się ochlapałem, zjadłem coś w biegu i kwadrans potem byliśmy w drodze. Mimo tak wczesnej pory walka pod ratuszem już trwała w najlepsze. Nie chcąc spotkać kolegów i tłumaczyć się, dlaczego nie partycypuję w tumultie i dokąd się wybieram uzbrojony po zęby, zrezygnowałem z wyjazdu bramą Wiślną.

Bocznymi ulicami przedostaliśmy się zatem pod bronę Szewską, rzadko uczęszczaną, gdyż nie prowadziła na żaden ważny szlak, i tedy opuściliśmy miasto. Nie wjeżdżając nawet w przedmieście Garbary, skręciliśmy w drogę biegnącą wzdłuż fosy, mijając po prawej przedmieście Smoleńsko, ciągnące się aż do Podzamcza i Zwierzyńca, zwane tak od okazałego tejże nazwy dworu pana Jana Myszkowskiego z Mirowa. Jeszcze niedawno było tu pustkowie, lecz ostatnio teren ów polubiła szlachta, ohotnie stawiająca dwory i dworki *ante portam Wislensem* [4].

Po lewej widok już nie był tak przyjemny, gdyż tedy biegł kanał, którym spływały do Wisły nieczystości odprowadzane z miasta, toteż nie woniało cudnie. Na szczęście przez cuchnące rozlewiska (nazywane Żabim Krukiem na pamiątkę rozległego bagna, które dawniej znajdowało się w tych stronach) wiodły liczne groble, więc przebyliśmy zapowietrzoną okolicę suchą stopą, czy raczej kopytem. Zresztą o tej porze roku smród nie był jeszcze tak uciążliwy, a poza tym bliżej Wisły czekał nas o wiele przyjemniejszy widok – wielkie stawy, składy rybne. Były tu umieszczone ogromne drewniane skrzynie ze specjalnymi otworami do przepływu wody, w których rybacy mieszkający w osadzie Rybaki pod Wawelem trzymali ryby od jesieni do wiosny, aby zapewnić mieszczanom świeże ryby zimą. Handlujące na Rynku żony rybaków zwano stularkami lub modelnicami. Odprowadzały od tego podatek. Urząd królewski, na miejscu przed Wiślną broną ściągający czoł, nazywano Stróżą Rybną i dlatego całe przedmieście, aż po rzekę Rudawę, za którą ciągnęło się Półwsie Zwierzynieckie, obzywano Na Stróży, a ostatnio coraz częściej Nowym Światem.

Między większym ze stawów, podziurawionym przerębiami jak rzeszoto, a ogrodzonym wysokim parkanem królewskim składem drewna przy porcie rzeczonym dotarliśmy do Wisły. Zazwyczaj cały brzeg rzeki wypełniony był tratwami i skutami, kursował tu także prom na drugą stronę. Ale teraz prom tkwił wyciągnięty na brzeg, a przewoźnik, który akurat wyszedł ze swego domku, radził nam poczekać kilka dni, bo lada chwila spodziewał się ruszenia lodów i spłynięcia kry. Nie zważając na ostrzeżenie, zdecydowaliśmy się jednak na przeprawę, mimo ciemnych plam w lodzie wskazujących na podmywanie go od spodu. Dla ostrożności zsiadliśmy jednak z wierzchowców i prowadzili je za uzdy. Dzięki Bogu udało nam się bez szwanku dotrzeć na drugą stronę, pomachaliśmy życzliwemu przewoźnikowi, który obserwował naszą przeprawę, i podążyliśmy dalej.

Wjechaliśmy do bardzo starej wsi Dębniki. Dawno temu, jak do teraz na Zwierzyńcu, po północnej stronie Wisły, rosła tu gęsta puszcza. Tutejsi osadnicy, zwani dębnikami, zajmowali się wytwarzaniem wybornego garbnika z kory dębu na użytek dworu królewskiego. Dziś po tamtych czasach nie zostało nic. Mieszkali tu głównie woźnice, co wynajmowali się w mieście do przewozu ziemi, gliny lub piasku, biorąc za wóz po półtora grosza, a także hamernicy, wytapiający w kuźnicach żelazo z rudy. Wioska tonęła w ogrodach, a wokół rozciągały się rozległe łąki, na

których latem wypasało się mnóstwo krów. Drzewiej, właśnie na wiosnę, gdy puszczały lody, Wisła często wylewała i jej wody przewalały się przez wieś. Niedawno wszak naprzeciw klasztoru sióstr Norbertanek uczyniono kamienny wał ubezpieczający prawy brzeg i odtąd rzeka szła swoim korytem, a pozostałością po zalewach było długie kizkowate wiślisko zwane Jeziorem Jelitowskim, obecnie zamrożone.

Przemierzyliśmy senną wioskę i pociągnęliśmy południowo-zachodnim traktem na Tyniec, po ostatniej zawiei zasypanym świeżym śniegiem i ledwie widocznym. Tego dnia jeszcze nikt z tej drogi nie korzystał ani w jedną, ani w drugą stronę. Wkrótce teren zaczął się wznosić, a krajobraz zmieniać. Pojawiły się drzewa, z każdym krokiem gęstniejące, oraz wapienne skały, coraz wyższe i bardziej urwiste, widoczne w miejscach, gdzie wiatr zerwał warstwę śniegu. Temu właśnie, ponieważ w wapieniu pełno było bul krzemienych, okolica ta zawdzięczała nazwę Krzemionek, choć używano też starszego miana – Tetyńka. Pagórki stawały się coraz bardziej strome, las, złożony głównie z sosen i brzoź, schodził ku traktowi, zamykając go z obu stron jakby ścianami. Choć zawieja już ustała i dzień był pogodny, słońce z trudem przebijało się do parowu, którym podążaliśmy.

– Trochę tu straszno – odezwał się Maciek i dodał markotnie: – Nie wiem, zali trafię do groty.

Ujechaliśmy może z pół mili, gdy las z prawej zaczął się przerzedzać. Przez jakiś większy prześwit dostrzegłem zamrożoną wstęgę Wisły oraz klasztor Norbertanek na drugim brzegu. Zaraz potem Maciek ożywił się i zawołał:

– To chyba tu – wskazał na lewo, gdzie widniało pionowe urwisko.

Zsiadliśmy z wierzchowców i biorąc je za uzdy, zaczęliśmy się wspinać. Po niedługiej chwili staliśmy przed na wpół zasypaną śniegiem, obszerną, lecz płytką grota.

– Tutaj? – nie chciało mi się wierzyć, by ta jaskinia mogła komuś służyć do czego innego niż chwilowego schronienia podczas burzy.

– Po przeciwnej stronie skały, ale stąd już łatwo trafić.

Tedy podjęliśmy na nowo wspinaczkę, coraz trudniejszą, gdyż zaspy śnieżne były coraz wyższe, a i gąszcz coraz większy. Strącany z drzew śnieg sypał nam się za kołnierze. Któraś z odgiętych przez Maćka gałęzi wycięła mnie w gębę tak gracko, że aż świeceki stanęły mi w oczach. Na szczęście rychło przedostaliśmy się na drugą stronę grzbietu. Maciek powierzył mi konia i jał krążyć tam i sam, bez rezultatu. W końcu wrócił, bezradnie rozkładając ręce.

– Na pewno jesteśmy w dobrym miejscu? – spytałem.

– Na pewno.

Zostawiłem go zatem z wierzchowcami i sam podjąłem poszukiwania. W końcu dopisało mi szczęście, lecz nie zawdzięczałem go dobremu wzrokowi, a raczej węchowi. W pewnej chwili wionęło mi bowiem w nos zapachem końskiego łajna i wówczas dopiero spostrzegłem ledwo widoczną dziurę w ziemi. Pogrzebałem trochę i

odstłoniłem wejście do jaskini. Przywołałem Maćka.

– To tu! – ucieszył się, chyba już nie żałując, iż odwiedliśmy go wczoraj od samotnej wycieczki; po nocy nawet diabeł nie wypatrzyłby tej groty.

Weszliśmy do obszernej jakby sieni. Pełno tu było końskich odchodów. Najświeższe, jak oceniałem, miały dobę lub dwie.

– Mistrz tu był! – ucieszył się chłopak.

– Zapewne – potwierdziłem. – Pytanie, czy jeszcze jest?

Odrobina światła wpadającego do środka pozwalała stwierdzić, że w głębi od głównej komory odchodziły liczne boczne korytarze.

– Jeśli wasza miłość pozwoli, pójdę sprawdzić – powiedział Maciek, patrząc na mnie z zakłopotaniem.

Pojałem, że nie chce zdradzać tajemnicy swego mistrza, sięgnąłem więc do juków i wydostałem pochodnię, których kilka zabrałem ze sobą na wszelki wypadek. Zapaliłem ją i podałem Maćkowi.

– Idź. Ja tu zaczekam – mogłem sobie na to pozwolić, na zwiedzanie sekretnej pracowni Twardowskiego przyjdzie jeszcze czas.

Rzucił mi wdzięczne spojrzenie i po chwili zniknął w jednym z odgałęzień. Czekając na jego powrót, podziwiałem osobliwe kształty, które woda i czas wyrzeźbiły w jaskini. Nie czekałem długo.

– Nie ma go, ale zostawił kartkę – rzekł zdyszany Maciek, gasząc pochodnię i opierając ją o ścianę. – Czeka w gospodzie „Pod Lutym Turem” w Tyńcu.

Znów czekało nas kołowanie i przedzieranie się przez zarośla i kopny śnieg, nim wyjechaliśmy na trakt. Ujechaliśmy najwyżej ze ćwierć mili, gdy las zaczął rzednąć i pojawiły się zabudowania jakiejś wsi.

– To Pychowice – poinformował mnie Maciek. – Do Tyńca stąd jeszcze mila z okładem.

Ale ja już dostrzegłem przy drodze lśniący nowością budynek okazałej karczmy z zawianym przez śnieg szyldem.

– Najpierw sprawdzimy tutaj – rzekłem, zjeżdżając z traktu.

– Kiedym tędy przejeżdżał z mistrzem uprzednio, tej gospody jeszcze nie było – zauważył chłopiec.

– Tym bardziej musimy tu zajrzeć. Po co mistrz miałby jechać milę w zawiei, skoro miał schron pod nosem?

Podjechaliśmy pod drzwi, a gdy z blaszanego szyldu opadł śnieg, strącony kolbą mego pistoletu, pojawiła się osobliwa nazwa oberży: „Rzym”. Mimo wołania nikt nie wyszedł na dwór, więc zleciłem Maćkowi przywiązanie naszych wierzchowców do koniowiązu u podcienia przed stajnią, wyjmując tylko broń z olstrów, po czym przekroczyliśmy próg karczmy, wcale sporej jak na tak niedużą wioskę.

W środku było jakoś dziwnie sennie. Gospodarz drzemał za okratowanym szynkwasem, czwórka graczy leniwie zabawiała się kartami, a dwójka Cyganów, starszy i młodzik, jadła coś w kącie.

– Gospodarzu! – zawołałem, zajmując miejsce przy pustym stole. – Podaj, co macie najlepszego, kwartę gorzałki i piwo dla chłopca. I niech ktoś zajmie się naszymi końmi.

Gospodarz zawołał w głąb domu, skąd wyszedł pacholek. Trąc rozespiane oczy i powłócząc nogami, poczłapał do wyjścia.

– Coś tu sennie u was – zauważyłem, gdy arendarz przyniósł mi okowitę.

– Szkoda, że nie odwiedził nas wielmożny pan wczoraj – odparł Żyd. – Aj waj! Co tu się działo przez cały wieczór i pół nocy! Sam mistrz Twardowski zaszczycił nasze skromne progi! Taki gość! A jakie sztuki wyczyniał! Cymes!

– Chętnie posłucham, jak było – rzekłem i rzuciłem na blat srebrnego talara. – Lecz najpierw musimy coś przegryźć.

– Mamy wyborne świeże ryby smażone na maśle. Wczoraj złowione w przerebli. Panowie usarze wielce sobie chwalili.

– Może być.

Czekając na jego powrót z kuchni, popijałem gorzałkę, obserwując graczy. Ale gdy gospodarz wrócił z pięknie przyrumienionym szczupakiem, zapomniałem o wszystkim i zająłem się jedzeniem, rzucając tylko:

– Opowiadaj.

Skończyliśmy w tym samym czasie. Z tego, co usłyszałem, wyłonił się obraz takiej hulanki, że – byłem tego pewien – karczmarz i drudzy będą mieli co wspominać i opowiadać do końca życia. Może nawet ktoś to kiedyś uwieczni w pieśni.

– Więc mistrz Twardowski nie wrócił do karczmy? – spytałem, a Maciek zamarł z kęsem niesionym do ust.

– Nie, ale gdym przed świtaniem udawał się na spoczynek, zdało mi się, iż w środku ktoś chodzi, więc pomyślałem, że mistrz wrócił nad ranem zasromany, bo się dał zrzucić z konia, zawieruszył po nocy i pewno zgubił klucz, więc wlaź do izby przez okno. Łacno to uczynić, bo popod oknem jest szopa, a wedle niej drabina.

– Więc mistrz Twardowski wciąż jest u siebie?

– Tak mniemam. Nie ośmieliłbym się go niepokoić po próżnicy. Chyba żeś jest wasza wielmożność tym, kogo mistrz oczekuje? Tedy kazał się budzić, nie zwlekając.

– Zgadłeś – mijanie się odrobinę z prawdą nigdy nie sprawiało mi trudności ani nie ciążyło na sumieniu. – Prowadź.

Młody Cygan, który odnosił puste misy do kuchni, wracał właśnie i przechodził obok stołu, przy którym zapamiętałe grano w karty, gdy wtem wybuchła awantura.

– Brakuje jednego dukata! – zawołał jeden z graczy.

– Było osiem, a jest siedem! – zauważył drugi.

– To on go ukradł, to ten Cygan! – trzeci wskazał palcem cygańskiego wyrostka, który zastygł w miejscu z przerażoną miną.

A czwarty zerwał się z ławy, pochwycił wystraszonego chłopca za ramiona i jął nim potrząsać.

– Oddaj pieniądz, złodziejskie nasienie!

– Ja nie... Ja nic nie wziąłem, jasny panie – wyjąkał Cygan.

– Co to za jedni? – spytałem półgłosem gospodarza, wskazując głową graczy.

– Tamci dwaj to tutejsza szlachta, są sam od wczoraj, a tych – pokazał dwójkę w dość wyświechtanym odzieniu – nigdy nie widziałem. Zjawili się może z godzinę przed waszą wielmożnością.

Tymczasem ten, który trzymał chłopca, spoliczkował go i potrzasał nim tak, że z oczu wyrostka trysnęły łzy. Drugi Cygan nie ruszył otrokowi w sukurs; ta nacja przywykła do takiego postępowania.

– Ostaw, acan, chłopca! – powiedziałem, podnosząc się.

– Nie wtrącaj się waść! – burknął jeden z graczy, a ten, który pastwił się nad Cyganem, uderzył go pięścią, po czym zaczął okładać kułakami.

– Poniechaj, acan, chłopca! – warknąłem i w dwóch skokach byłem przy nim, łapiąc wzniesioną pięść.

Próbował się wyrwać, ale gdy zwiniętą lewicą rąbnąłem go w szczękę, opadł na kolana, ja zaś kolanem (Nizioł był zaprawionym w karczemnych awanturach, a ja jego pojętym uczniem, nie licząc doświadczenia, które zebrałem jeszcze w szczenięcych, niezbyt chlubnych czasach) poczęstowałem go po raz wtóry i posłałem na deski. Uwolniony Cygan, nie spuszczać ze mnie wzroku, wycofał się w stronę swego starszego towarzysza. Ja zaś podszedłem do jednego z graczy, tego – podobnie jak ów, co pastwił się nad wyrostkiem – bardziej niechlujnego, i kopnąłem go w kostkę. Wrzasnął i poderwał nogę, a wtedy w miejscu, gdzie przed chwilą spoczywał jego but, wszyscy mogli ujrzeć to, co ja – błyszczącego dukata.

– Wasza zguba, panowie – powiedziałem do dwójki pozostałych graczy.

Nagle ten, którego wcześniej powaliłem, rzucił się na mnie z dobytym kordem. Odskokyłem, wyszarpnąłem rapier i wytrąciłem mu broń w drugim złożeniu, a potem czubkiem głowni rozciąłem zapięty rękaw wytartego kontusza. Na podłogę posypały się znaczone karty. Wskazałem je końcem rapiera.

– Oto macie. To machlery.

Zdemaskowani oszuści kopnęli się do wyjścia i nim ktoś zdążył zareagować, zniknęli w sienie dali.

– Panowie – powiedziałem do pozostałych graczy – odbierzcie swoje pieniądze. A dajcie na nie baczenie, bo coś mi powiada, że będzie pośród nich sporo fałszywych. Ty zaś – zwróciłem się do karczmarza stojącego na środku izby z otwartą gębą – prowadź do mistrza Twardowskiego.

Na górze dołączyła do nas zaciekawiona gospodyni. Drzwi były zawarte, na pukanie, a potem walenie nikt nie odpowiadał, w zamku nie było klucza, gospodarze zaś nie mieli zapasowego i już chcieli wołać służbę, by wyważyć drzwi, ale ich powstrzymał. Karczmarzowi oczy zaokrągliły się ze zdumienia na widok moich przydatnych w takich razach podręcznych przyborów, które nie zawiodły mnie i teraz. Pchnąłem drzwi, nasz wzrok padł na łóżko i ściany. Przełknąłem ślinę, arendarz

zbladł śmiertelnie i oparł się o futrynę, natomiast jego połowica rozwrzeszczała się tak, że żywym puchły uszy, a umarli powstaliby z grobów. Tylko że na łóżku nie było żadnego trupa i w ogóle nikogo, za to całe zbryzgano krwią, jakby ktoś zaszlachtował w tym miejscu prosiaka. Mało tego, również na ścianie widniały krwawe smugi. Maciek wgapiął się w nie z oczami i ustami szeroko otwartymi w niemym przerażeniu. Na wrzask gospodyni, kto żyw przybiegł na górę i teraz wszyscy tłoczyli się u wejścia.

– Zamilknij, kobieto! – huknął na żonę gospodarz i otwartą dłonią uderzył ją w twarz; pomogło: nadal spazmowała, ale już znacznie ciszej.

– Na Boga żywego! – wciągnął gwałtownie powietrze jeden ze szlachciców, przepychając się ku mnie. – Co tu się podziało?

– Sam chciałbym wiedzieć – odparłem.

– To sprawka diabła! – powiedział stanowczo karczmarz. – Szatan porwał mistrza Twardowskiego!

– Jezus Maria! – przeżegnał się drugi szlachcic.

Na twarzach wszystkich pozostałych, zwłaszcza przesądnej czeladzi, malowało się przerażenie, tylko Cyganie sprawiali wrażenie bardziej opanowanych.

– Nie gadaj głupstw! – ofuknąłem Żyda.

– Ajajaj, jasny panie, kiedy to szczerą prawdą! Spójrz tam! Na te cyfry na ścianie krwią malowane! Toż to sześćset sześćdziesiąt sześć!

– I cóż z tego?

– A to, że wedle kabały liczba ta szatana oznacza, ot co!

Przez zgromadzenie przeszedł szmer grozy.

– Piekło i szatani! Prawdę Żyd powiada – powiedział jeden ze szlachciców. – Toć słowa „diabeł”, „piekło” i „szatan” po sześć buksztabów mają! Diabeł zabrał mistrza do piekła, co i nie dziwota, bo czarną magią się parał! *Nomen omen*: pal go sześć, choć człek zeń był przyjemny i ucieszyć umiał, jak mało kto.

Rozległ się potakujący szmer; wszystkim ta argumentacja przypadła do gustu. Oprócz mnie. Podszedłem do zbryzganego krwią łóżka, potem do ściany, uważnie się przyglądając i wachając. Posoka już zastygła, ale jeszcze nie wyschła całkiem, pewnie dlatego, że w izbie z powodu uchylonego okna było dość chłodno. Ostrożnie zdjąłem puch przyczepiony do jednej z krwawych szóstek.

– Moim zdaniem to kurza jucha. Ktoś zabił kurę i jej krwią uczynił wszystkie te ślady. A oto dowód: pierze – oznajmiłem. – Pewnie kurzy zewłok jeszcze gdzieś leży w śniegu popod oknem, chyba że porwał go dziki zwierz.

– Kura? – zachnął się z niedowierzaniem ów szlachcic, który tak pięknie wywiódł proweniencję liczby sześćdziesiąt sześć, i chciał złapać za kołnierz młodego Cygana. – Ukradliście kurę? Mów, łobuzie!

Wyrostek wymknął mu się i skrył za mnie, a ja zagroziłem szlachcicowi drogę.

– Chłopak jest niewinny – powiedziałem.

– A skąd wasze możesz to wiedzieć? Nie było cię tu przecie – burknął szlachcic,

łapiąc za miecz, a jego kompan zaczął zachodzić mnie z boku. – I kto ty właściwie jesteś, że nieproszony w nie swoje sprawy nos wściubiasz? Nie lubimy tu takich...

Pojąłem, że tych dwóch mociumpanów do entuzjastów posługiwania się rozumem nie należy, za obcymi też nie przepadają, jak na prawych Polaków przystało.

– Kacper Ryx, inwestygator królewski. Przybywam z Krakowa z zadaniem odszukania mistrza Twardowskiego – odparłem, kładąc dłoń na rękojeści rapiera i odsłaniając połę kubraka tak, by ujrzeli kolby pistoletów.

To oraz imponujący i niewątpliwie niezrozumiały tytuł, jakim się zaprezentowałem, nie będę ukrywał, iż z niejaką dumą, od razu ostudziły ich zapędy.

– Toś się waszmość spóźnił – zauważył jeden z nich pojednawczo.

– Na to wygląda – zgodziłem się z nim, podchodząc do okna. – Człowiek z kurą dostał się tędy, z dachu szopy – powiedziałem. – Śladów nie ma, snadź jeszcze trwała zawieja. Gospodarzu, czy nie zginęło nic ze statków mistrza?

Żyd rozejrzał się dookoła.

– Chyba nie, bo też prawie niczego ze sobą nie miał... Okrom tej szuby.

Też się rozejrzałem i również nic interesującego nie zauważyłem. Podszedłem do stołu, szukając jakiegoś pisma, czegokolwiek. Ale nic takiego nie było. Tylko przewieszony przez oparcie krzesła podbity futrem płaszcz maga. Cokolwiek spotkało Twardowskiego, zaskoczyło go.

– Gospodarzu, czy był u was wczoraj mąż cały w czerni, z gorejącymi oczyma? – rzuciłem.

– Był jeno patron ze Skawiny, mistrz Twardowski zabawił się z nim i w kondla go przerobił.

– Pamiętam! – zaśmiał się drugi szlachcic. – Ucieszne to było wielce!

– Nikogo drugiego czarno odzianego nie było? – upewniłem się.

Gospodarz popatrzył po żonie i sługach, ale wszyscy pokręcili przecząco głowami, z wyjątkiem jednego pachotka.

– Był taki jeden – rzekł niepewnie. – Dziwnie mu z oczów patrzyło. Pytał mnie, czy mistrz Twardowski jest sam, zali ktoś mu towarzyszy. Odrzekłem, że na kogoś czeka, bo jegomość gospodarz nakazał nam zaraz uwiadomić, gdyby kto przybył do mistrza.

– Co potem uczynił ten człek? – spytałem.

Chłopak wzruszył ramionami.

– Nie wiem, potem już go nie widziałem. Jakby się popod ziemię zapadł.

– A co? – spytał mnie pierwszy szlachcic szyderyczym tonem. – Suponujesz waszmość, że to jakoby ów osobliwy człek w czerni spowodował zniknięcie czarnoksiężnika, zabił go, Bóg jeden wie gdzie, potem zakradł się do tej izby i wymazał ją kurzą krwią. Tak?

Potaknąłem.

– Bzdura – stanowczo rzekł drugi szlachcic. – Żyd prawdę rzekł: diabeł porwał

mistrza do piekła, wszyscy przecie wiedzą, że Twardowski miał z nim pakt!

Pojąłem, że cokolwiek bym spróbował rzec, nic to nie da: i tak w świat pójdzie nowina o porwaniu przez diabła w karczmie „Rzym” sławnego czarnoksiężnika. Zdaje się, że ta wersja wszystkim najbardziej dogadzała. Upewnili się w tym, gdy wysłany do stajni pacholek wrócił z wieścią, że wierzchowiec magika spokojnie stoi przy żłobie. Zaraz też jedna z dziewczek kuchennych przypomniała sobie, jak podczas zawiei uniósł się w górę aż do nieba wielki czarny kłęb, i już nikt nie żywił wątpliwości, iż była świadkiem kary, jaka spotkała sławnego czarodzieja za paranie się czarną magią i kumanie z diabłem.

Goście zesli na dół pokrzepić się trunkiem po przebytych emocjach i roztrząsać niezwykle wydarzenia, a gospodarze wiedli za drzwiami spór, czy nakazać służbie usunięcie krwawych śladów diabelskiej interwencji, czy zachować je dla ciekawskich, którzy, jak się spodziewali, zaczną odtąd tłumnie nawiedzać karczmę, pielgrzymując, być może, aż z Krakowa. Zostaliśmy sami z Maćkiem, jak mi się zdało, gdy wtem poczułem lekkie szarpnięcie za rękaw. Odwróciłem się i zobaczyłem młodego Cygana.

– Ja też widziałem tego człowieka. Siedział cały czas w kącie i nie rzucał się w oczy. A ślepa miał jak wilk. Wyszedł za mistrzem Twardowskim, gdy ten poszedł zabawiać się z karym. A potem przez to okno, zamieć akurat poczęła ustawać, widziałem ich idących tam – wskazał ręką.

Spojrzałem na Cygana ciekawie, po raz pierwszy zauważając jego regularne, wręcz delikatne rysy i, dziw nad dziwy!, zielone oczy błyszczące inteligencją.

– Aha, wielmożny panie... – zawahał się. – Gdy wszyscy już spali, ów człek wysłiznął się stąd – pokazał drzwi, przed którymi staliśmy – cicho jak duch. Potem jakby nigdy nic zstąpił do izby na dole, do swojego kąta, dokończył posiłku i wymknął się z karczmy niedługo po świtaniu.

Pogłaskałem bystrego wyrostka po ciemnym licu, zdumiewając się, jakie jest gładkie, i wcisnąłem mu w rękę talara.

– Bardzoś mi pomógł. A teraz lepiej zabierajcie się stąd zaraz z twoim kompanem. A nuż znajdzie się martwa kura i wtedy znów sobie o was przypomną.

Popchnąłem chłopca ku drzwiom, sam jeszcze rozejrzałem się po izbie, aby niczego nie przegapić, po czym też wyszedłem, pociągając za sobą milczącego jak pień Maćka. Szedł jak błędny, ściskając jak skarb szubę magika, którą wepchnąłem mu w rękę. Po drodze poradziłem wciąż spierającym się pod drzwiami gospodarzom:

– Kaźcie umyć izbę. Nie chcecie chyba mieć na głowie procesu o czary? – zbledli, bo oczywiście o tym nie pomyśleli. – Co tam jest? – spytałem o kierunek wskazany przez młodego Cygana.

– Nic. Ino Wisła. Jeszcze zamarznięta. Ale uczynilim w lodzie przerębel, aby łapać świeże ryby na stół.

Wyszedszy z karczmy, skierowałem się zatem ku rzece, ciągnąc za sobą Maćka, który jeszcze nie doszedł do siebie. Wpierw brodziliśmy przez pole pokryte grubą

warstwą topniejącego śniegu, jako że dzień naprawdę był piękny, słoneczny, iście przedwiosenny. Jeżeli ktoś szedł tędy przed nami, to i tak sypiący w nocy śnieg zdążył zaproszyć ślady. Niemniej, posuwając się od strony szopy, zdawało mi się, że dostrzegam jakieś wgłębienia, które mógł pozostawić zabójca (bo nie łudziłem się co do losu Twardowskiego) wracający do karczmy, by przeszukać rzeczy czarnoksiężnika, a potem za pomocą przyniesionej zabitej kury przyozdobić izbę w diabelskie wzory, co było zaiste szatańsko przebiegłym konceptem. Wkrótce weszliśmy w zagajnik i tam straciłem nawet ten wąty, domniemany trop. Przebywszy pas zarośli, znaleźliśmy się nad rzeką wciąż skutą lodem. Poszliśmy wzdłuż brzegu, aż trafiłem na spory przeręb, a obok na dwie świeżo złamane gałązki łożyny, a także trzy zagłębienia po leżących tu wcześniej kamieniach – padający śnieg nie zdołał ich całkowicie zasypać. Przeręb także nie zdążył pokryć się lodem; pływało w nim długie pióro czaple. Wyłowiłem je. Było całe białe, a białe czaple żyły wszak na południu i tylko ich pióra przywożono do Polski; ponoć czasem widywano je przelatujące nad naszym krajem, lecz zdarzało się to niezmiernie rzadko.

Wszystko to nie stanowiło niezbitych dowodów, ale byłem dziwnie przekonany, że tu właśnie, w tej dziurze w lodzie, zakończył życie najślawniejszy czarnoksiężnik naszych czasów, które wszak obfitowały w magów i czarodziejów. Zwłoki zostały obciążone kamieniami. Może spoczywały tuż-tuż na dnie? Woda była zbyt mętna i głęboka, by coś dostrzec, ale przypuszczałem, że raczej prąd powłókł je dalej. Tak czy owak nie stoczono tu zażartej walki, w przeciwnym razie śladów byłoby więcej. Widocznie Twardowski pogodził się ze śmiercią, skoro aż tutaj posłusznie dotarł ze swoim zabójcą.

To wszystko były wszak tylko domniemania. Dlatego poszedłem jeszcze w dół rzeki dobre ćwierć mili, lecz nic ciekawego nie znalazłszy, zawróciłem do karczmy. Maciek podązał za mną jak cień, wciąż się nie odzywając. W izbie było pusto, wyjechali już nie tylko Cyganie, ale i szlachta.

– Gospodarzu, czy mistrz Twardowski nosił kołpak? – spytałem.

– O tak, jasny panie, z pięknymi czaplami piórami, a było pośród nich całe białe, jakiegom nigdy w życiu wprzód nie oglądał.

– Takie jak to? – pokazałem mu znalezione pióro.

– Aj waj, dokładnie takież.

– To pióro z kołpaka mistrza – Maciek odzyskał głos. – Mistrz dostał je w darze od jakowegoś Turczyna.

Nie miałem tu już nic więcej do roboty. Zamówiłem dwie porcje bigosu, bo ryb złowionych w przerębli bym nie tknął, i gorzałkę, tym razem także dla Maćka, po czym dosiedliśmy podstawionych wierzchowców i ruszyliśmy w powrotną drogę, zabierając ze sobą konia Twardowskiego i jego szubę, przeciwko czemu nikt nie zaprotestował.

– Mistrz nie żyje? – spytał Maciek drewnianym głosem, gdyśmy zostawili karczmę za sobą.

- Tak tuszę – odparłem, patrząc na chłopca ze współczuciem.
- Miłowałem go – pociągnął nosem. – Był dla mnie jak ojciec.
- Przykro mi.
- Czy ten zbrodnień zaciągnął go ku rzece i utopił w przeręblu jak psa?
- Na to wygląda.
- I mistrz się nie bronił?

– Nie, lecz mniemam – dodałem szybko, widząc pełne cierpienia oczy chłopca – że życie mu zbrzydło. Dlatego nie stawiał oporu. Był martwy, jeszcze nim go Kettler zamordował. Wczoraj hulał w karczmie jak desperat, a nie człek wesół i beztroski, jak drudzy mniemali, bo też chciał, by go takim zapamiętano. I ty też musisz go takim pamiętać.

Uderzył pięścią w łęk siodła i zawołał z rozpaczą:

– Gdybym wczoraj nie posłuchał waszmościów, może bym go zdołał zratować!
– Głupstwa gadasz! – osadziłem go surowo. – Gdybyśmy cię wczoraj nie zatrzymali, albo zabłąkałbyś się w lesie i dziś wilcy ogryzaliby twoje kości, albo to samo czyniłyby ryby i raki, gdybyś i ty wpadł w łapy bielaka. *Ergo* skończ się mazać i czynić sobie daremne wyrzuty. Teraz myśl o tym, jak pomścić mistrza i pochwycić zabójcę!

Chwilę jechał, nic nie mówiąc, po czym otarł kułakiem oczy i rzekł już o wiele pewniejszym głosem:

- Dokąd teraz?
- Do groty, a gdzież by?

Popędziliśmy wierzchowce. Starając się robić to dyskretnie, rozglądałem się czujnie dookoła. Pamiętałem bowiem, że zabójca czarnoksiężnika tuż przed naszym przybyciem opuścił gospodę, wiedząc, iż mag kogoś oczekiwał.

ROZDZIAŁ 11 | CYGAN

– Dlaczego stajemy? – zawołał młodszy Cygan, gdy wóz zatrzymał się za garbem, w miejscu, gdzie trakt wcinął się w gęsty las. – Tylko patrzeć, jak ten głupi Rusin spostrzeże, że jego kary swe czarne umaszczenie zawdzięcza sztuce, a nie naturze. Albo kto drugi zagładnie do pana Ruszczyca i dowie się o zaginięciu jego siwka. Chcesz mieć pościg na karku?

– Nie mędrkuj! – warknął starszy. – I nie kracz!

Rozejrzał się wokół z zadowoleniem.

– Przednie miejsce – rzekł. – Tu się zasadzimy.

Młodszy już otworzył usta, ale nic nie zdążył rzec, gdyż zza drzew wyskoczyło dwóch ludzi z dobytymi kordami. Były to owe franty, które uciekły w popłochu z karczmy „Rzym”.

– Trefne rzeczenie, Cyganie. Zaiste, wyborne miejsce na zasadzkę – powiedział jeden z nich, wykrzywając się w szyderczym grymasie. – A ot, siurpryza.

– Ja biorę tego młodszego – rzekł drugi, oblizując się obleśnie i podchodząc do wyrostka. – Przez niego dostało mi się w karczmie. Gładki jest jak dziewczka, zabawimy się z nim, a potem poderżnę mu gardło.

Młody Cygan cofnął się o krok i rozpaczliwie szukał wzrokiem czegoś, czym mógłby się bronić.

– Daj pokój! – huknął nań starszy Cygan. – Trza wiedzieć, kiedy się przegrało. Tylko pchnij czysto, *gadźo*.

– To lubię! – zarechotał napastnik, gdy starszy Cygan zaczął rozpinać kurte, jakby chciał obnażyć pierś i wystawić ją na cios.

Wszystko potoczyło się błyskawicznie. Wątpliwe, by napastnicy zauważyli, jak Cygan sięga po noże ukryte pod kaftanem, a nawet, czy zdążyli się zorientować, że umierają z przebitymi gardłami. Żaden nie wydał z siebie głosu i oto leżeli w brudnym śniegu na drodze, martwi i nieruchomi. Wyrostek chciał się zabrać do

odciągania zwłok w las, lecz starszy go powstrzymał.

– Ostaw. Ułożysz się potem pomiędzy nimi i będziesz jęczeć, a ja z samopałem skryję się za wozem.

– Na kogo chcesz się zasadzić?

– Na tego młodego *Chindo Bało*, co szukał czarnoksiężnika. Dobrze odziany i w królewskiej służbie, no i przybył z Krakowa. Pewnie ma pękata kieskę, a skoro nie odnalazł Twardowskiego, tedy za niedługo winien tędy wracać. A że nietutejszy, sporo czasu minie, nim zaczną go szukać, jeśli w ogóle.

– Nie uczynisz mu krzywdy! – zawołał wyrostek, zwijając długie palce w pięści.
– On zratował mi skórę, albo i nam obu!

– I co z tego? – starszy wzruszył ramionami. – To *gadźo*, nie *manuś*.

– On nie tylko jest *manuś*. On jest *raj!* – nie ustępował młody. – Nie pozwolę ci go zabić! To ty nie jesteś *manuś!* Nie jesteś Rom! Ty... ty *magerdo!*

Szybko jak piorun, starszy z wykrzywioną z wściekłości twarzą podskoczył ku młodszemu, uderzył go pięścią w szczękę i posłał na ziemię, po czym usiadł mu na piersiach i wyjąwszy nóż, już miał przebić gardło leżącego, ale powstrzymał się olbrzymim wysiłkiem woli. Szarpnął jedynie łańcuszek, który młodzik miał na szyi, zerwał go i wrzucił za pazuchę, po czym powstał.

– Wstawaj! – warknął i kopnął chłopca. – I ruszaj na pagórek wypatrywać tego *gadźa!* A nie zawieź mnie, bo następnym razem ubiję jak psa!

– Dobrze, ale oddaj mi medalion – powiedział wyrostek, posłusznie podnosząc się ze śniegu.

– Oddam, jak się dobrze spiszesz.

Spoglądał podejrzliwie, gdy młody się oddalał.

– Czego tam szukasz? – spytał, kiedy tamten zajrzał do wozu.

– Czegoś do jedzenia. Jeden *Dewel* wie, ile czekać nam przyjdzie. Co to?

Teraz i starszy usłyszał pohukiwanie i rozejrzał się niespokojnie. Cyganie, którzy pilnowali się, by nie skrzywdzić węża czy żaby, nie przepuścili żadnej napotkanej sowie, wierząc, że zapowiada śmierć.

– Sowa. W biały dzień! – powiedział młodszy. – Brzydki ptak. To znak. Wieszczy śmierć.

– Ale nie nam – uciął starszy. – Idź już!

Reinhold Kettler nie odjechał daleko. Po opuszczeniu karczmy zaraz za wsią znalazł pagórek, z jednej strony opadający ku Wiśle, z drugiej ku traktowi. Wierzchowca ukrył w iglastym młodniaku. Potem ułamaną gałęzią świerka z grubsza pozacierał za sobą ślady i zajął zaciszne stanowisko na szczycie pagórka, skąd miał doskonały widok na trakt i całą okolicę, sam nie będąc widziany. Zabijając czarodzieja, wykonał zadanie tylko po części, więc nie był usatysfakcjonowany. Ani przy Twardowskim, ani w jego izbie nie znalazł żadnych papierów ni pieniędzy. A te, które alchemik miał przy sobie, wydał na hulankę w karczmie. Nie wydusił z maga

ani słowa. Gdy rumak zrzucił go z siebie, Twardowski widać uznał to za fatum i zupełnie nie stawiał oporu, gdy Kettler ciągnął go ku rzece. Popadł w jakieś dziwne odrętwienie, wzrok miał szklisty i błędny, jakby patrzył na coś, czego inni nie widzą. Kettler miał dość doświadczenia, by rozpoznać ten stan. Twardowski był chodzącym trupem. Wiedząc, że nawet torturami niczego nie osiągnie, pchnął czarnoksiężnika czystym sztychem prosto w serce, zdając sobie sprawę, że niemal wyrządza mu tym przysługę, *coup de grâce*, jak by to ujął pewien Francuz, z którym współpracował w jednej sprawie. Obciążone kamieniami ciało wrzucił do przerebła, grubym patykiem wpychając jak najdalej pod lód, po czym wrócił do karczmy przetrząsnąć izbę maga. Po drodze przyszedł mu do głowy wyborny pomysł zmylenia tropu, więc zakradłszy się do kurnika, ukręcił łeb kurze, by uciąć go już w izbie i całą schlapać krwią. Miał dużo czasu i prawie nic nie ryzykował, bo zarówno domownicy, jak i goście byli już w sztok pijani albo spali w najlepsze.

Wyniósł się z karczmy o świcie, nie chcąc przeciągać struny. Zostało mu jedno. Ponieważ alchemik miał tu gdzieś, jak wieść gminna niosła, swoją pracownię, ale nikt dokładnie nie wiedział gdzie, trzeba było zapolować na człowieka, którego Twardowski tak niecierpliwie wyglądał. Był przyzwyczajony do takiej roboty. Mógł czyhać na ofiarę całymi godzinami, nie zważając na głód i chłód. Tym razem nie było tak źle – zabrał z karczmy flaszkę gorzałki i pęto kielbasy, a dzień wstał wcale ciepły. Na domiar szczęście wciąż stało przy nim jak wierny pies. Po niezbyt długim czasie ujrzał na drodze dwóch jeźdźców nadjeżdżających od Krakowa. Instynkt podpowiedział mu, że to ci, na których czekał Twardowski, a teraz on. Ze swojego dogodnego punktu obserwacyjnego wkrótce zobaczył dwóch pieszych zmierzających ku rzece i uśmiechnął się w duchu, rozpoznawszy rudego ucznia czarnoksiężnika. To byli oni! Na wszelki wypadek schował się lepiej i zmusił wierzchowca do zalegnięcia w śniegu. W samą porę, bo towarzysz rudzielca rozglądał się uważnie dookoła. Ten sam człowiek odnalazł przerebel i wyłowił jakieś pióro, potem poszedł jeszcze kilkadziesiąt kroków z biegiem Wisły. Zawrócił w ostatniej chwili. Kettler z ulgą zdjął palec z cyngla. Potrzebował tego człeka i nie chciał jeszcze go zabijać, a za moment byłby do tego zmuszony. Już się jednak nie uśmiechał. Znajomy czarnoksiężnika nie był głupcem i przeprawa z nim zapowiadała się niełatwo.

W czasie gdy nowi przybysze wracali do karczmy, opuściło ją najpierw dwóch jeźdźców, potem Cyganie z wozem, ale oni go nie interesowali. W końcu doczekał się. Na trakcie pojawiła się właściwa para, wiodąc za sobą luzaka. Poczekał, aż zniknie za wzniesieniem, po czym dosiadł konia i ruszył za nią. Przed następnym pagórkiem usłyszał odgłos dwóch następujących po sobie strzałów. Błyskawicznie skoczył w zarośla na poboczu i czekał tam cierpliwie, aż ujrzał stado gawronów kołujące nad miejscem strzelaniny. Kiedy ptaki zniżyły lot, a potem opadły ku ziemi, i on się ruszył.

Jechał czujnie jak żuraw, a przed szczytem pagórka zostawił konia i poszedł piechotą, nadal zachowując największą ostrożność. Płosząc czarnych padlinożerców

obejrzał ślady walki i plamy krwi na śniegu, padłego konia i porzucony wóz na drodze, trzy trupy odciągnięte na bok i ciśnięte do dołu oraz szeroki trop odchodzący w las. Schował za pas pistolet, wrócił po wierzchowca i pogwizdując, niespiesznie podążył traktem. Zawahał się przy śladach odbijających w bok, lecz ominął je i ruszył dalej, bacznie wpatrując się w las po prawej ręce i szukając jakiejś ścieżki. Nie musiał długo szukać, bo wnet zobaczył dubeltowy ślad wiodący z naprzeciwka i skręcający w las. Tym razem bez wahania i on zboczył. Znów się uśmiechał.

Jechaliśmy powoli. Kettler mógł być już daleko, lecz równie dobrze mógł czaić się gdzieś w pobliżu. Ciarki chodziły mi po grzbiecie i z trudem się powstrzymywałem, by co chwila się nie odwracać. Nie chciałem okazywać niepokoju wobec Maćka, który miał dość emocji jak na jeden dzień. Pogoda wciąż była ładna i słoneczna, a droga przetarta. Rozpoznałem ślady wozu cygańskiego i chyba jeszcze czyjeś. Ułatwiała nam to jazdę, lecz z drugiej strony – pobudzało czujność.

Wjeżdżaliśmy właśnie na drugi pagórek za wsią, za którym, jak zapamiętałem, należało skręcić do groty. Nagle, gdy wpatrywałem się w szlak urywający się na wierzchołku wzniesienia, oślepił mnie refleks świetlny. Wpierw pomyślałem, że to przypadkowe odbicie promieni słonecznych od śniegu, lecz nie. Ktoś ukryty w krzakach na pagórku puszczał w naszą stronę „zajączki”. Dopiero gdy uniosłem w górę dłoń, sygnały ustały.

Praemonitus, praemunitus. Za wierzchołkiem nie czekało nas nic dobrego, to pewne, ale na pewno miałem tam także jednego sojusznika. Jeszcze bardziej zwolniłem. Sprawdziłem swoje pistolety. Tuszyłem, że nie zawiodą mnie w potrzebie. Nie byłem spokojny, ale też nie wpadłem w panikę.

– Maćku – powiedziałem – musimy dać baczenie. Za wzgórzem ktoś na nas czeka. I to bynajmniej nie przyjaciel.

Zbladł, lecz zdołał powściągnąć strach, czym zyskał w moich oczach.

– Kettler?

– Nie wiem. Umiesz strzelać?

– Nie za dobrze.

– Szkoda. Pamiętaj zatem: trzymasz się na zadzi, a gdyby coś mi się stało, bierzesz nogi za pas i zmykasz, jakby cię wszyscy czarci gonili. Pojąłeś?

Nic nie odparł. Starając się, aby wyglądało to naturalnie, przesiadłem się na konia Twardowskiego, wodze siwka powierzając Maćkowi. Może Sep darowałby mi utratę swego wspaniałego rumaka, lecz ja sobie nie. Z jednym pistoletem opartym o łęk siodła, a drugim także wyjętym z olstra i wsadzonym za pas, ruszyłem naprzód. Gdy minąłem wzniesienie, ujrzałem cygański wóz stojący przy drodze, przy nim dwie kobyły, przed nim rzucone w śnieg trzy ciała, w tym jedno poruszające się i jęczące. Moje oczy jednak szukały czego innego. I dzięki temu, iż zostałem ostrzeżony, wypatrzyły w głębi wozu płomyk jarzącego się lontu. W tej samej chwili wystrzeliłem i zsunąłem się z konia, kryjąc się za jego grzbietem, równocześnie krzykiem

ostrzegając Maćka. Strzał z naprzeciwka padł moment później. Wierzchowiec czarnoksiężnika kwiknął żałością i zwał się w śnieg. Ledwo zdążyłem pomyśleć, że biedne zwierzę niedługo przeżyło swego pana, gdy zza wozu, z dymiącą jeszcze rusznicą-półhakiem, wyszedł starszy Cygan i postąpił ku mnie. Ale kroczył jakoś dziwnie sztywno, jakby kij połknął, po czym wypuścił z rąk strzelbę i upadł na wznak w śnieg. Gdyby upadł na twarz, pewnie bym strzelił doń powtórnie dla pewności, a tak drugim strzałem dobiłem nieszczęsnego wierzchowca, potem nabiłem oba pistolety i dopiero wtedy podszedłem do Cygana. Nie żył z pewnością. Martwe oczy patrzyły prosto w jasne niebo, na tle którego kołowała, pohukując, sowa, a na prawej piersi czerwieniła mu się mała plamka krwi; dużo więcej wyciekło spodem i zabarwiło śnieg na szkarłatno. Nie czułem nic z wyjątkiem satysfakcji, że z tak daleka i do prawie niewidocznego celu strzeliłem tak dobrze, a pistolet też sprawił się wybornie. Może w starciu z czerwonoookim nie byłem bez szans?

– Wstań i pokaż ręce! – rzuciłem w kierunku jednego z trzech innych ciał leżących opodal, tego najmniej sztywnego, ściskającego coś w dłoni.

– Jam przyjaciel – rzekł młody Cygan, posłusznie wykonując polecenie.

– Wierzę – odparłem, bo wyrostek trzymał w garści małe błyszczące zwierciadło, którym nadał mi ostrzegawcze sygnały. – Czemuś mnie ostrzegł?

– Bo tyś był dobry dla mnie. Nie jak *gadźo*. Jak *manuś*, znaczy – prawdziwy człek, honorowy. Rom.

– Rom to Cygan?

– Tak.

– Zdaje się, że on był jednak lepszym Romem ode mnie – zaśmiałem się, wskazując nieboszczyka.

– On był Baro Grengroćor, a mimo to nie *manuś*.

– Baro co?

– Baro Grengroćor. Wielki Koniokrad. A zwał się Kało Szero, Czarnogłowy.

– Tak czy owak – mruknąłem – niezgorszy był łotr z niego.

– Baro to u nas ktoś ważny, szlachcic, wielki pan. Szczególnie, gdy jak on zna się na koniach. Mógł zostać kimś wielkim, bo wywodził się z królewskiego rodu. Ale stał się *magerdo*.

– To znaczy?

– *Famuso*: banit i infamis. *Ćorachane romengre*, czyli cyganokradca, a zarazem cyganobójca, najgorszy rodzaj *magerdo*. On zabił drugiego Roma, żeby zdobyć jego konia. Ale sprawa się wydała i Baro Szero kazał mu iść precz z gromady...

To tłumaczyło, dlaczego ta dwójka włóczyła się zimą po kraju, zamiast przebywać gdzieś na hibernie razem z taborem.

– Baro Szero...

– Baro Szero, czyli Wielka Głowa, zwany też Szero Rom, Cygan Głowa, wybierany przez *romano celo*, czyli wielki zjazd na kształt waszego sejmiku, to najwyższy sędzia, jakby nasz król; jego słowo jest prawem. Na sądzie Baro

Grengroćor – młodzik pokazał głową zmarłego – do dawnych zbrodni dodał najcięższy grzech: krzywoprzysięstwo, bo wyparł się mordu i kradzieży, utrzymując, iż konia kupił, a ów drugi Rom napadł nań zdradziecko. Uczynił to podczas *sovłach mulikane szerestyr*, czyli „przysięgi z trupiej głowy”, najstraszniejszej z przysięg...

– Oho! W istocie, mocna rzecz – uśmiechnąłem się.

– A tak – odparł Cygan poważnie. – Do kupionej od grabarza czaszki nalewa się wody i pijąc ją, wypowiada takowe słowa: „Biorę tę wodę z trupiej głowy w usta moje i piję na dowód, że nie jest kłamcą. A jeśli kłamca, to połam mnie, Boże”. A potem nastawał, by złożyć równie wielką „przysięgę z grobu”. Wszedł do dołu nagi, owinięty jeno w biały całun, ułożył się na dnie i rzekł: „Boże, ty widzisz moją prawdę, że tego nie uczyniłem. A jeśli uczyniłem, to pokaż mi, Boże, cud do trzech dni, trzech miesięcy, trzech lat, połam mnie, wysusz mnie, abym leżał w grobie”.

– No, no – rzekłem, mimo woli zaciekawiony. – Brzmi groźnie. Jakżeż wydało się, że łągał jak pies i krzywoprzysięgał?

– Bo gdy wylazł z grobu, znaleziono w jego włosach ukrytą srebrną szpilę...

– I cóż z tego?

– Nie wolno mieć podczas składania przysięgi czegokolwiek z metalu; żelaza, srebra, złota – jakiegokolwiek, bo to pozwala bezkarnie łągać. Po tym poznano, że krzywoprzysięgał.

– Coś nie chce mi się dać wiary, iż tak przebiegły i bezwzględny człek dozwolił, by go przyłapano z zakazanym kęskiem srebra...

– On się nie zdradził. To ja szepnąłem o tej szpili Baro Szero.

Spojrzałem na młodzika ze zdumieniem, ale spokojnie wytrzymałem moje spojrzenie.

– Widziałem, jak zabił tamtego, który był dobrym Romem. Nie chciałem dozwolnić, by mu to uszło na sucho.

– Mniemałem, iż to twój ojciec albo brat i dlatego wspolek musieliście iść na wygnanie.

– Nie. Należałem do jego rodziny, lecz moim krewnym nie byłem. Jego ojciec, póki żył, opiekował się mną. Poszedłem z nim, bo przyobiecał, że pomoże mi odnaleźć matkę... Ale to nie był *manuś*. Już raz chciał mnie sprzedać i pewnie by na tej jednej próbie nie poprzestał... Nienawidziłem go.

Wypowiedziawszy te zadziwiające słowa, młody Cygan klęknął przy trupiej współplemieńca i nie okazując żadnego wzruszenia, sięgnął mu za pazuchę, po czym wy dobył dość pękatą sakiewkę. Otworzył ją i wyjął medalion na przerwanym złotym łańcuszku. Podał mi go. Było to cacko pięknej i misternej roboty. Na wypukłej, emaliowanej powierzchni wymalowana była miniatura przedstawiająca głowę bardzo pięknej niewiasty.

– Kto to? – spytałem.

– Nie wiem – odparł młody Cygan, odbierając ode mnie klejnot. – Miałem to na szyi, gdy mnie znaleziono osiem zim temu. Tak powiadał Petrus Parnobała, czyli

Piotr Białowłosy, nasz Baro Szero.

– Więc nie jesteś Egipcjaninem! Dlatego po naszymu gadasz dużo lepiej jak wasi. Zostałeś porwany! – wszyscy wiedzieli, że Cyganie porywają małe dzieci.

– Romowie nie kradną dzieci, to ambaje *gadźów!* – stanowczo zaprzeczył Mirmidon. – Wałęsające się kury albo prosię tak, lecz nie dzieci. Ja to wiem najlepiej. A mnie znaleźli w lesie, gdym płakał ze strachu i z głodu. Tak powiedział Baro Szero i ja mu wierzę, bo to człek prawy. Przygarnęli mnie jak swego i dali to – rozpiął guzik pod brodą, wyjął i pokazał mi zawieszony na szyi kwadratowy woreczek. – To *bajero*, amulet, który daje się każdemu romskiemu chłopcu, aby mu zapewnił zdrowie i siły i chronił od chorób. W środku jest suszone ziele *draboro* i *sastra*, kęsek żelaza, aby był mocny jak rycerz. Mam więc i to, i medalion, i sam nie wiem, kim jestem. Ale dowiem się.

Od początku uderzało mnie w tym Mirmidonie, że miał zielone oczy, jak owa białogłowa na miniaturze. W samej rzeczy, mogła to być jego matka. Na pewno nie chłopka, może mieszcza, albo nawet szlachcianka, zresztą chłopiec nie wyrażał się jak prostak. Ale jaka matka z dobrej rodziny pozbyłaby się własnego dziecka? W tym kryła się jakaś tajemnica i nie dziwiłem się chłopakowi, że chciał ją rozwikłać. Gdybym ja był na jego miejscu, uczyniłbym to samo. Pośliniłem palec i przejechałem mu po policzku. Ale to, co zebrałem, bardzo przypominało zwykły brud. Młodzik spojrzał na mnie kpiąco.

– Nie takie to proste. Kto ma bielszą niż drudzy skórę, tego w dziecięctwie smarują gęsim smalcem. Można też, nabrawszy śnieci jęczmiennej, zbić ją z żółcią wołową przyczyniwszy trochę oliwy, a tym się mazać na każdy miesiąc.

– Jak cię zwa?

– Janko Zełenojak, czyli Zielonooki.

– Bardzo stosownie. A ile masz lat, Janku?

– Nie wiem. Chyba dwanaście.

Jak na dwunastolatka był wyrośnięty, jeno jakiś taki smukły i chuchrowaty, no ale dotychczasowy tryb życia na pewno nie sprzyjał rozwojowi. Chyba jednak rzeczywiście nie miał więcej, bo mówił głosem przyjemnym, ale dość wysokim, który jeszcze mu nie zgrubiał. Z tego wynikałoby, że tabor zabrał go, gdy miał cztery lata lub niewiele więcej.

– Dobrze, Janku, ciekawie się z tobą gwarzyło, lecz pora uprzątnąć ten bałagan i zabierać się stąd co prędzej, bo inaczej noc nas w lesie zastanie. Maćku, pomóż nam ściągnąć trupy z drogi.

Tak jak przypuszczałem, Maciek zlekceważył moje polecenie i bynajmniej nie dał drapaka, gdy uczyniło się gorąco. Dzielnny chłopak. Niedaleko znalazłem dół, do którego zawlekliśmy zwłoki, narzucając na nie trochę kolczastych gałęzi, bo tylko tyle mogliśmy uczynić.

– Kto zabił tych dwóch, twój kompan?

Chłopak kiwnął głową.

- Oni chcieli nas zabić najpierw.
- A mnie czemu zamierzał zabić?
- Bo mniemał, że to się opłaci.

Nie drążąc dłużej tematu, bo powód był wystarczająco dobry, zapytałem o co innego:

- Co zdjąłeś z nieboszczyka?
- To – pokazał mi szeroki pas z pozatykanymi weń nożami.
- Po co ci to?

Ani spostrzegłem, jak cisnął jednym z noży, który wbił się w pień jodły tuż koło mego ucha; już o nic więcej nie pytałem. Cygan zaczął się zbierać do odjazdu.

- Gdzie się wybierasz? – zagadnąłem.
- Gdzie oczy poniosą. Dziś tu, jutro tam, a nigdy u siebie, taka już romska dola.
- Pojedź z nami do Krakowa.
- A co będę tam robił?
- Na początek dam ci wikt i stancję. A potem coś wykoncypujemy.

Nie wiem, dlaczego złożyłem mu tę propozycję. Było w nim coś, co mnie ujęło. Może to, że zachowywał się jak dorosły, choć był jeszcze dzieckiem. A może to, że był znajdą jak ja. Patrzył na mnie uważnie, jakby chciał rozgryźć pobudki, które mną kierowały, po czym wolno skinął głową.

- Dobrze. Pojadę z wami.

Zmarudziliśmy trochę, gdyż młodzik uparł się, aby spalić wszystkie osobiste rzeczy starszego Cygana, a potem, z braku wody ponoć zazwyczaj do tego używanej, wylał z bukłaków na wozie wszystkie płyny, całe wino i gorzałkę, aby spragniona dusza (a ich duszom ponoć okropnie chce się pić) nie wróciła i nie zakłócała spokoju żywym jako *cochano*, upiór, zły duch. Podobnież trzeba to czynić przez parę dni dopóty, dopóki dusza nie dotrze wystarczająco daleko w zaświaty, ale my nie mieliśmy więcej trunku na zmarnowanie i aż tyle czasu; już i tak dość go zmitrężyliśmy. Zostawiliśmy na drodze padłego konia i wóz, choć Cygan błagał, by go zabrać, bo miał zamiar spieniężyć statki na najbliższym targu, za nic natomiast nie godząc się, bym to ja wykupił cały towar na miejscu. I ten młokos miał charakter. W końcu dał się przekonać, że jeśli chce się z nami zabrać do Krakowa, musi poniechać wozu. Dosiadł zatem kobyły, chabetę wziął jako jucznego, obciążając ją tyloma statkami, ile udało się zabrać z wozu, i wreszcie mogliśmy ruszyć do groty.

W połowie drogi kazałem chłopcom jechać naprzód, sam zaś skryłem się za drzewem, oparłem lufę pistoletu o gałąź, wycelowałem i czekałem. Po kwadransie delikatnie spuściłem odwiedziony kurek, schowałem broń i podążyłem za młodzieńcami, nieco tylko uspokojony. Nikt za nami nie jechał, ale podskórny niepokój mnie nie opuszczał. Czekający pod grotą chłopcy spojrzeli na mnie pytająco, lecz nie podzieliłem się z nimi obawami. Gdyśmy jednak wprowadzili konie do jaskini, poprosiłem Cygana, by ich popilnował, dając równocześnie baczenie na wszystko wokół. Zgodził się bez szemrania, o nic nie pytając, lubo widziałem, jak

oczy biegały mu ciekawie po pieczarze. Wyjąłem pochodnie, zapaliłem dwie i poszliśmy z Maćkiem w głąb jaskini.

Korytarz, którym mnie poprowadził, był wąski i niski, po paru krokach rozdawał się, równocześnie obniżając, szliśmy więc zgięci w pół, co rusz zmieniając kierunek. Na koniec weszliśmy do nieco obszerniejszej komory, gdzie było więcej miejsca, lecz cóż z tego, skoro drogę zagrodziła nam lita skała. Korytarz był ślepy.

– Zabłądziłeś – stwierdziłem.

– Nie – odparł i poświecił na strop, na którym sadzą wymalowany widniał krzyż.

Naparł ramieniem na ścianę, która okazała się dokładnie wpasowanym głazem, obracającym się wokół własnej osi. Zrobiłem krok naprzód, chcąc się wcisnąć w ciasne przejście, lecz Maciek chwycił mnie za ramię i powstrzymał. W tej chwili usłyszałem w środku głuchy odgłos.

– Prezerwatywa przed niepożądanymi gośćmi – mruknął.

Wchodząc za nim, potknąłem się o kamień wielkości ludzkiej głowy leżący u wejścia.

– Wychodząc, musimy go z powrotem tam umieścić – Maciek poświecił i oświetlił półkę nad wejściem. – Przy zamykaniu wsuwa się do wnęki, podczas otwierania wypada.

– Sprytne – pochwaliłem.

– Mistrz to wykoncypował – odparł z dumą w głosie.

Komora, w której się znaleźliśmy, miała zadziwiająco regularny kształt zbliżony do kwadratu i nakryty półkulistym sklepieniem. Czułem się niemal jak w kaplicy Zygmuntońskiej, tylko niższej. Wrażenie to wzmogło się, gdy Maciek zapalił świece stojące na stole oraz w kandelabrze zwieszającym się ze stropu, a długą tyczkę wepchnął w skalną dziurę. Śnieg, który ją zasypał z zewnątrz, został wypchnięty i przez otwór wpadło do wnętrza nieco dziennego światła. Pogasiliśmy przyniesione pochodnie, aby bez potrzeby nie zadymiać pieczary.

– Są tu jeszcze ze dwa albo trzy takie okna – rzekł Maciek, odstawiając tyczkę – ale w lecie zarośnięte i mniej światła dają, za to powietrza zawsze dość.

– Woda je wyżłobiła – zauważyłem – ale czy podczas ulewy nie czyni tego schronu mniej przyjemnym?

– Przez te dziury woda nie ciecze, a drugie mistrz zamurował.

Rozglądałem się z ciekawością. A więc tu chronił się mistrz Twardowski, by dokonywać swych zakazanych eksperymentów z czarnej magii. Byłem nieco rozczarowany, gdyż niczego szczególnie diabolicznego tu nie widziałem, oprócz może dziecięcego szkieletu, podrutowanego i umocowanego na drewnianej podstawce, oraz niewykształconego ludzkiego płodu pływającego, zapewne w spirytusie, w dużej szklanej bani. Reszta, jak mniemałem, było to pospolite wyposażenie każdej pracowni alchemicznej. Zatem jakieś retorty, alembiki i inne szklane naczynia napełnione różnobarwnymi proszkami, skrzynki i puzdra, gliniane garnki i miedziane kociołki, nieco narzędzi na półce, a nawet palenisko w kącie z

okapem i otworem-kominem biegnącym gdzieś w górę. Wszystko tu było zakurzone i od dawna nieużywane, z wyjątkiem może paleniska, posłania z wysuszonych gałęzi i stołu, do którego podszedłem.

– *Laterna magica* – wyjaśnił Maciek, widząc, czemu się przyglądam.

Wziąłem ową latarnię czarnoksięską do ręki. Miała kształt cylindra ze stożkowym, dziurkowanym daszkiem dla dopływu powietrza, uchwytem z boku do trzymania i kółkiem na czubku do podwieszania. Otworzyłem drzwiczki z wprawioną szybą, od wewnątrz zamalowaną na czarno, z pozostawioną na czystym szkłe sylwetką ni to człowieka, ni diabła. Na wprost niej, na ścianie latarki, umocowano soczewkę, większą i grubszą niż do okularów, pomiędzy nimi zaś umieszczono świecę. Bez objaśnień Maćka pojąłem zastosowanie instrumentu. Po zapaleniu lampy padający na ścianę zwielokrotniony cień wizerunku umieszczonego na szybie robił wrażenie zjawy. Zapewne tym sposobem czarnoksiężnicy wywoływali rzekome duchy, mając naiwnych i budząc podziw prostaczków. Odstawiłem przyrząd bez komentarza. Odłożyłem też na bok kartę z napisem na ukos: „Maćku, czekam w karczmie”, i mały nożyk do przycinania papieru, natomiast podniosłem list zatytułowany „Moja ostatnia wola. Otworzyć po mej śmierci”. Bez skrupułów skruszyłem pieczęć i przeczytałem na głos, zdając sobie sprawę, że Maćka zżera ciekawość:

„Oto doszedłem do kresu żywota. Połowicy swej, Pani Twardowskiej, która nielekki żywot ze mną miała, na osłodę starości pozostawiam kamienice, statki i całą gotowiznę z jednym wyjątkiem: oto memu wiernemu uczniowi Maćkowi przeznaczam sto dukatów z zaleceniem, by wstąpił do przesławnej Akademii Krakowskiej, od alchemii i magii z dala się wszak trzymając. Cudowne zwierciadło, najcenniejsze, co mam, darowuję dobrodziejowi memu, Jego Ekscelencji księdzu podkanclerzemu Franciszkowi Krasińskiemu; niechaj uczyni z nim podług woli, najlepiej powierzając jako *votum* domowi bożemu przez się wybranemu, by już nikomu do dzieł niegodnych nie posłużyło. *Opus magicum* zaśę poszukiwaczom prawdy zalecam”.

Był jeszcze podpis: „Lorenz Dhur *alias* Laurentius Durus *alias* Wawrzyniec Piotr Twardowski, astrolog i koniuszy królewski”. Podniosłem pękaty mieszek leżący obok pisma, zważyłem go w dłoni i rzuciłem Maćkowi.

– Jezu! – westchnął łamiącym się głosem, a oczy znów mu się zaszklily. – Dołożyłbym drugie tyle, byle żyw był...

– Ale nie żyje i musisz się z tym pogodzić. Ucz się. Nie zawieź go.

Wziąłem rzecz owiniętą w materię, opartą o skałę, i odwinąłem ją. Było to spore zwierciadło wspomniane w testamencie. Miało osobliwą tafłę, jakby falującą i odbijającą postać w zniekształceniu.

– Mistrz przywiózł je ze sobą z Niemiec. Potrafił z jego pomocą podpalać wsie o sto mil odległe! – wyrwał się Maciek, lecz widząc moje spojrzenie, dodał niepewnie: – Tak ludziska powiadali...

– A ty nie powtarzaj ambajów – uciałem i dalej oglądałem zwierciadło.

Było oprawione w czarne ramy, miałem nadzieję, że na nich będzie coś napisane, ale mimo iż obracałem je na wszystkie strony, nie znalazłem nic, co mogłoby mi posłużyć za wskazówkę do rozebrania ostatniego zdania testamentu. Niech licho porwie Twardowskiego i jego zagadki!, zakląłem w duchu i zaraz się zmytygowałem, bo to pierwsze wszak już się spełniło. Zawinałem zwierciadło na powrót, wsadziłem pod pachę, legat zaś za pazuchę, rozejrzałem się ostatni raz po grocie, czy czego nie przegapiłem, i zarządziłem:

– Nic tu po nas. Idziemy. Pogaś świece.

– Nie tak prędko – rozległ się od wejścia szyderczy głos, dodając: – Dołącz do swoich przyjaciół.

Pchnięty silną ręką, zatoczył się w naszą stronę młody Cygan.

– Przepraszam – szepnął ze spuszczoną głową. – Zjawił się jak duch. Zaskoczył mnie.

– Nie ma jak siurpryza – szydził dalej przybysz, trzymając w obu dłoniach wycelowane w nas pistolety. – Nieprawdaż?

Rozejrzał się po grocie.

– A więc to jest ta osławiona akademia imć Twardowskiego... – rzekł. – No, no, niczego sobie kryjówka. W sam raz na podejrzone eksperymenta...

– Kettler... – wyjąkałem, powoli otrząsając się z zaskoczenia.

– A więc słyszałeś o mnie – rzekł niespecjalnie zdziwiony. – Jak cię zwa, zmyślny młodzieńcze? Lubię wiedzieć, z kim mam sprawę.

– Kacper. Kacper Ryx – spełniłem jego życzenie; zawsze bywam ugodowy, gdy spozierają na mnie wyloty pistoletowych luf.

– Widziałem cię przy robocie nad rzeką. Te trupy wedle drogi to też twoje dzieło? Moje uznanie. Dlatego bądź łaskaw trzymać ręce z dala od broni. Ejże, synku, czego szukasz pod kubrakiem, noży? – zapytał Janka. – Wiem, co potrafisz nimi zdziałać. Ergo zapomnij o nich, jeśli ci życie miłe. Odsuń się, o tak, dobrze.

Chłopak przysunął się do stołu, zerkając na spoczywający na nim nóż do papieru. Miałem nadzieję, że *albus* tego nie zauważył. Na wszelki wypadek przesunąłem się nieznacznie, nieco zasłaniając Cygana.

– Nic do was nie mam – rzekł zabójca, ogarniając nas wszystkich niesamowitym spojrzeniem swych czerwonych oczu. – I nic od was nie chcę, okrom tego, co mości Ryx dzierży pod pachą i co skrył za pazuchą.

Odrzucił kaptur swego czarnego płaszcza, więc mogłem mu się dokładnie przyjrzeć. Zdumiała mnie sprzeczność tkwiąca w tym człowieku. Rysy jego twarzy były pospolite, wręcz nijakie. Nie dziwiło mnie już, dlaczego nikt nie zwracał nań uwagi. Z drugiej strony nie sposób było zapomnieć białych jak wypłowiwały na słońcu len włosów i czerwonych źrenic, gorejących jak dwa rozpalone węgle, jeśli nie przysłaniał ich bezręszymi powiekami. Wiedziałem, że był bezlitosnym i nad wyraz sprawnym w swoim fachu zabójcą, lecz gdy mówił do nas kpiącym tonem, sprawiał

wrażenie przyjacielskiego i zupełnie niegroźnego. Ponoć był Inflantczykiem, lecz z mowy każdy by go wziął za rodowitego Polaka. Kameleon, nasunęło mi się porównanie do osobliwego gada, co rusz zmieniającego ubarwienie, o którym gdzieś czytałem. Mógł mówić prawdę, że nie chce nas skrzywdzić, lecz nie dałbym za to złamanego grosza.

– No dalej – ponaglił mnie; wyraźnie stracił cierpliwość i widać było, że nagle zaczęło mu się spieszyć. – Oddaj mi to, a obiecuję, że zaraz stąd zniknę, nawet was nie tykając. Pospiesz się!

Uczyniłem krok naprzód, tak aby całkiem ukryć Janka przed czujnym okiem Kettlera, po czym nagle odskoczyłem na bok, mając już bolesną pewność, że jestem o wiele za wolny. Kettler zdążył wystrzelić. Trafił w ramię, aż mnie obróciło i powaliło na ziemię. Nim jeszcze dym zasnuł pieczarę, zdążyłem dostrzec, dlaczego mnie nie zabił i czemu nie zdążył wypalić po raz wtóry. Mały Cygan był bowiem jeszcze szybszy od niego! Kettler zgiął się nagle wół z wyrazem cierpienia na twarzy, wypuścił z dłoni pistolety, chwycił się za bok, obrócił na pięcie i zniknął w ciemności.

– Za nim! – wrzasnąłem, podnosząc się z ziemi.

– Biegnijcie naprzód, ja pogaszę świece i nastawię pułapkę! – zawołał Maciek.

– Nie ma czasu! – krzyknąłem, porywając ze stołu zapaloną świecę sprawną ręką, z ranionej nie wypuszczając zwierciadła. – Idźcie za mną!

Przecisnąłem się przez ciasne przejście i jak tylko się dało prędko, podążyłem niskim korytarzem, słysząc za sobą tupot nóg chłopców. Gnała mnie naprzód nie tylko chęć dopadnięcia zabójcy, lecz także zrodzony nagle niepokój, który unosił mi włosy na głowie i kazał jak najszybciej opuścić jaskinię. Gdym wpadał do obszernego przedsionka, Kettler właśnie wdrapywał się na konia i ruszał z kopyta. Obejrzałem się za siebie. Chłopcy wynurzali się z mrocznego korytarza. „Chwała Bogu, zdążyliśmy”, pomyślałem, gdy nagle zatrzęsa się ziemia, a z głębi jaskini dobiegł głuchy odgłos, całkiem jak wówczas, gdyśmy wysadzali mur dzielący „Indie” od tortorni, aby wydostać z kabatu ciało Wolskiego. Podmuch wybuchu zgasił mi świecę. Ziemia i kamienie posypały się na nas z góry jak grad, naciek skalny wielkości słoniowego ciosu oderwał się i upadł tuż obok mnie, konie kwiknęły przeraźliwie, jeden nawet wybiegł z grotu, lecz na szczęście strop wytrzymał.

– Jesteście cali? – spytałem, gdy kurz nieco osiadł.

– Nic nam się nie stało – zapewnił mnie Maciek w imieniu obu. – Co to było?

– Wybuch. Kettler mówił prawdę, że nie chce nas zastrzelić. Nie musiał. Podłożył w głębi minę, łotr.

Wyprowadziliśmy wierzchowce, które też nie ucierpiały, były tylko przerażone. Uspokajaliśmy je, a Janek w tym czasie pobiegł za swym jucznym. Wrócił markotny.

– Uszedł. Szukaj wiatru w polu.

– Ktoś go znajdzie. A ja wynagrodzę ci stratę. Ocaliłeś życie nam wszystkim – zdrową ręką poklepałem chłopca po ramieniu.

Skrzywił się, niekontent z siebie.

– Nie trafiłem dobrze, no i nóż był zbyt mały, żeby zabić.

Pokazałem mu wcale obfite ślady krwi na śniegu.

– Jest ciężko ranny. Możesz mi wierzyć, znam się na tym.

– Ty też jesteś ranion – mruknął, wciąż markotny.

– To głupstwo – odparłem.

Pomógł mi zdjąć kożuszek, kubrak i obnażyć ramię. Kula rozorała tylko mięsień, rana jednak silnie krwawiła. Jednym ze swych noży Cygan obciął rękaw mojego giezła i zgrabnie zawiązał ranę, powstrzymując krwawienie. Z przyjemnością patrzyłem na jego sprawne palce, miłe rysy twarzy i niezwykle długie rzęsy.

– Gotowe – rzekł, nałożywszy mi na powrót wierzchnią odzież. – Ale trzeba jak najprędzej przemyć ranę czystą wodą i założyć porządny opatrunek.

– Znasz się na rzeczy – rzekłem z uznaniem. – Sam nie uczyniłbym tego lepiej.

Wzruszył ramionami.

– My, Romowie, znamy się po trosze na wszystkim.

– Przecie nie jesteś Romem.

– Kto to wie? Jestem czy nie jestem, czuję się nim – odparł z prostotą. – A ty kim jesteś, kiedy nie szukasz czarodziejów i nie tropisz złoczyńców?

– Kształcę się na medyka.

– O! – wykrzyknął, lecz już nic więcej nie dodał.

Wsadziłem zwierciadło do sakwy, dosiedliśmy koni i ruszyliśmy w powrotną drogę, znaczoną kroplami krwi Kettlera podążającego w tym samym kierunku. Gdyśmy dotarli na grzbiet skały skrywającej w swym wnętrzu grootę, w miejscu, gdzie była pracownia Twardowskiego, ujrzeliśmy świeże zapadlisko.

– No i po akademii mistrza – stwierdził z żalem Maciek.

– Nie ma czego żałować – stwierdziłem. – Cieszymy się, że jesteśmy na wierzchu, a nie pod spodem.

Gdzieś przed nami Kettler gnał galopem, potem cwałem, co poznałem po głębokich śladach zostawionych przez kopyta jego wierzchowca. Może i doścignąłbym go na arabie, lecz nie chciałem zostawiać chłopców samych ani narażać cennego rumaka na złamanie nogi. Przy ostatnich drzewach przed Dębnikami, na środku traktu, śnieg był zryty i widniała plama posoki większa od drugich, za to dalej brakowało krwawych śladów.

– Tu się zatrzymał, by zatamować krew – bystrze zauważył Maciek. – Szkoda, miałem nadzieję ujrzeć na drodze jego truchło.

– Tacy jak on nie umierają tak snadnie – powiedziałem. – Niemniej jest poważnie ranny i dlatego tak pędzi. Jeśli rychło nie znajdzie medyka, będzie trupem w rzeczy samej.

– Oby – mruknął chłopiec mściwie. – Należy mu się za to, co uczynił memu panu. O tym, co dla nas szykował, nawet nie wspomnę.

– A jeśli przeżyje? Co wtedy? – spytał mnie cicho Janko.

– O co ci idzie?

– Czy on zabił mistrza Twardowskiego?

– Zabił i utopił ciało w przerębli na Wiśle. Tak mniemam.

– Ale nie znalazł przy nim tego, czego szukał. Dowiedział się wszak w gospodzie, że mistrz na kogoś czekał, dlatego was śledził i tym sposobem dotarł do grotty. Nie dostał tego, po co przybył, więc jeśli przeżyje, nadal będzie próbował.

– Nawet gdyby zdobył zwierciadło i testament, nic mu one nie powiedzą, jako i mnie, a nawet mniej.

– Ale on o tym nie wie. Za to zna teraz twoje imię. Pomyśl o tym – zaciął konia i zrównał się z Maćkiem.

Myślałem o tym bez przerwy, odkąd opuściliśmy jaskinię. Teraz byłem jedynym tropem, po którym mógł podążyć Kettler, jeśli nadal chciał osiągnąć cel, a nie wątpiłem, że póki żyw, nie zbastuje. To, że mogłem przy okazji posłużyć na wabia dla pochwylenia zabójcy, bynajmniej nie poprawiało mi humoru. Nie byłem aż tak ambitny, pomimo wszystko cechowała mnie dbałość o własną skórę. Cóż, będę teraz musiał stale mieć się na baczności. Może nie od razu. Kettler myśli pewnie, że pogrzebał nas w grocie. Ale jeśli wydobrzeje, prędzej czy później trafi do gospody „U Balcera”, żeby zyskać pewność. Wiedziałem, że tak się stanie, bo on niczego nie zostawiał przypadkowi. Już go na tyle poznałem.

Przerwałem niewesołe rozmyślenia, żeby napawać się przyjemnym widokiem przed sobą. Obaj chłopcy byli młodzi i zgrabni, jednak Janko miał o wiele więcej wdzięku od Maćka. Wystarczyło spojrzeć, z jaką gracją poruszał się w siodle. Złapałem się na tym, że z lubością wgapiam się niby sroka w gnat, jak jego jędrne pośladki unoszą się i opadają, zgodnie z rytmem kroków wierzchowca. Naszła mnie potworna myśl: czyżbym był sodomitą?! O Boże, tylko nie to, jęknąłem w duszy. To prawda, że choć wzbudzał we mnie opiekuńcze uczucia, to wszak dalekie od ojcowskich, z drugiej strony wcale urodziwe i chętne dziewczęta w naszej gospodzie nie podniecały mnie wcale. Dotąd mnie to nie obchodziło, tym bardziej że nie czułem żadnej skłonności ku swej własnej płci. Panie Boże, jałem się modlić żarliwie, nie dozwól, by to nieszczęście stało się moim udziałem...

Na ostatnim wzniesieniu przed Dębnikami Janek wstrzymał wierzchowca i wodząc zachwyconym wzrokiem po rozciągającej się jak na dłoni panoramie miasta, zawołał w uniesieniu:

– Jakie wielkie! Wygląda jak lutnia!

Uderzyła mnie trafność tego spostrzeżenia. Chyba nawet gdzieś o tym czytałem... Wytężyłem pamięć. U Bielskiego, który pierwszy spisał po polsku ojczyście dzieje, oczywista!

Minęliśmy Dębnyki, prawie tak ciche i puste jak o poranku, i podążyliśmy ku przeprowie. Lód na Wiśle wyglądał inaczej niż z rana. Gdym mu się przyjrzał lepiej, zdało mi się, że jakby się porusza i z lekka faluje. Zawahałem się, zwłaszcza że gromada ludzi na drugim brzegu, których najwyraźniej przygnała chęć ujżenia, jak

ruszają lody, wykrzykiwała coś i machała do nas ostrzegawczo. Z drugiej strony, widziałem ślady Kettlera, bo tylko nasze poranne i jego wiodące w stronę miasta były widoczne na śniegu pokrywającym lód. Skoro jemu się udało... Nim zdążyłem podjąć decyzję, Janko śmiało zeskoczył z konia, wziął go za uzdę i wszedł na lód. Chcąc nie chcąc, zachowując odstęp, poszedłem w jego ślady, a za mną Maciek. Cygan szedł czujnie, lecz pewnie. Raz jeden, na samym środku rzeki, aż widzowie na brzegu powitali to wielkim jękiem i okrzykami, lód załamał się pod jego chabetą, lecz zdążył ją pociągnąć, nim zapadła się w toń. Z duszą na ramieniu ominąłem to miejsce, czując, że lód ugina się pod stopami. Janek z kobyłą już wspięli się na skarpe nadbrzeżną, ja i dzianet też staliśmy na pewnym gruncie, nagle usłyszałem w górze Wisły jakby wystrzeliły salwą wszystkie armaty ustawione na murach, zaś ludzie na wałach wrzasnęli przeraźliwie jednym głosem:

– Lody ruszyły!

Kopnąłem się w dół i pomogłem Maćkowi wyciągnąć na brzeg przestraszonego konia, który zaparł się w lód wszystkimi kopytami. Zdążyliśmy w ostatniej chwili. Wszystko wokół grzmiało, trzaskało i falowało, jakby rzeka nagle ożyła i niby jakiś monstrualny potwór szykowała się do pożarcia nas. Do zbawczego szczytu wału mieliśmy już niedaleko, a Janek rzucił nam dobyte skądś gruby sznur, którego drugi koniec przywiązał do łęku siodła, i zaciął kobyłę. Koń ruszył ostro pod górę i pociągnął nas za sobą. Nawet nie zamoczeni, razem z innymi obserwowaliśmy z wierzchołka skarpy, jak poniżej przetaczają się zwały kry, to spiętrzając się, to spływając z biegiem płynącego środkiem nurtu. Wreszcie powyżej uczyniła się wspaniałość, a spiętrzona woda rozlała się szeroko, aż musieliśmy salwować się ucieczką. Nadeszła wiosna.

Tym razem do miasta wjechaliśmy po grobli przez brzoję Wiślną, mijając położony zaraz za nią zajazd „Rzym”, podobnie jak ten w Pychowicach przeznaczony dla pobożnych pielgrzymów. Od strażnika przy bramie dowiedziałem się, że walki w Rynku ustały na dziś, lecz żacy odeszli, odgrządzając się, że nie spoczną, nim nie spalą domu Krwawego Burmistrza i nie usmażą go w nim żywcem. Podjechawszy bliżej, ujrzeliśmy powybijane okna w jego kamienicy i smugi dymu wydobywające się tu i ówdzie. Ludzie wynajęci przez Czeczotkę zagrodzili nam drogę i skierowali w ulicę Gołębią Wyższą.

Tu pożegnaliśmy się z Maćkiem, zapowiadając się z wizytą u mości Górnickiego nazajutrz, po czym podążyliśmy z Jankiem przez Bracką i Rynek do domu. Janko rozglądał się dookoła z otwartymi oczami i ustami – pewnie pierwszy raz był w tak wielkim mieście. I nie dziwota, gdyż jak słyszałem, jeden tylko Gdańsk mógł w Polsce konkurować wspaniałością z Krakowem, a miał ponoć więcej mieszkańców. No, ale ostatecznie był przecież największym portem na Bałtyku, przez który przechodziło aż sto tysięcy łasztów pszenicy rocznie.

– Co to? – zapytał chłopiec, szeroko rozwartymi oczyma patrząc na Sukiennice, budzące podziw wielu gości zjeżdżających do miasta.

Odnowiono je ledwo czternaście lat temu staraniem kuśnierza i rajcy Stanisława Cyrusa, który przekonał panów radę, by do przebudowy gmachu w nowomodnym stylu zatrudnili mistrza nad mistrzami, Jana Marię Moscę, zwanego u nas Padovanem od miejsca urodzenia. Jego dziełem były też, uczynione z udziałem Santiago Gucciego, zwanego Florentino, owe sławne maskarony w attyce, ponoć wyobrażające niektórych ówczesnych rajców, czemu chętnie dawałem wiarę, znając co nieco tych panów, acz drudzy powiadali, że pozowali artystom więźniowie z lochu pod ratuszem, najgorsze łotry i oczajdusze. A zresztą, rajcy czy złoczyńcy, różnica niewielka.

– To Sukiennice krakowskie – rzekłem.

Ledwo ustały walki, a już przekupnie, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, pootwierali swe kramy. Nie wszystkie, lecz na moje potrzeby wystarczająco wiele. Zsiedliśmy z wierzchowców i przepchnęliśmy się do kramów z odzieniem.

– Wybieraj – powiedziałem do Janka. – Zratowałeś mi żywot. I tak nigdy ci się nie wywdzięczę.

Oczy mu się zaszklily, lecz nic nie odparł, zaraz zresztą zajął się podziwianiem ubiorów i to pochłonęło go całkowicie. Choć nie cierpię sprawunków i zwykle załatwiam to szybko, zadowolając się pierwszą potrzebną rzeczą z brzegu, tym razem cierpliwie znosiłem, gdy Janko przebierał w niezmiernym bogactwie łaszków wszelkiego rodzaju.

– Ojej, ależ to cudne!

– A to, spójrz, będzie na mnie dobrze leżało?

– Popatrz tylko na ten kubrak!

Cieszyłem się jego radością. Był jak małe dziecko w sklepie z zabawkami. Wreszcie dokonał wyboru. Moja męka się skończyła. Zapłaciłem bez targowania.

– Zadowolony?

Z emocji nie mógł chyba mówić, bo tylko przełknął ślinę i kiwnął głową. Przez chwilę miałem wrażenie, że rzuci mi się na szyję, albo tylko mi się tak zdawało. Może na to czekałem?

– Zanim to wszak wdziejesz – rzekłem surowo, dosiadając dzianeta, pakunek z ubraniami zostawiając chłopcu – stawiam jeden warunek. Zaraz pójdziesz do łaźni.

– Myłem się zeszłej niedzieli! – zaprotestował.

– Właśnie. Tak też czułem.

W naszej gospodzie było pełno, jak zwykle późnym popołudniem. Mimo to odwołałem Niziołka od jego obowiązków.

– Bądź tak dobry i odprowadź wierzchowce do Koniara na Kleparz, bom jest skonany. A potem przygotuj kąpiel dla tego młodzieńca. To Janek, zratował mi dziś życie.

– Zajmę się wszystkim – zapewnił, bacznie przyglądając się chłopcu, który odpowiedział mu twardym i z lekka wyzywającym spojrzeniem; widać te cieplejsze rezerwował tylko dla mnie.

Przeszliśmy z Jankiem przez zatłoczoną izbę karczemną i poszliśmy na piętro, gdzie zaprezentowałem go ciotce. Jak się spodziewałem, przyjęła chłopca życzliwie, zwłaszcza gdy dowiedziała się, ile mu zawdzięczam. Poutyskiwała jeno jak zwykle, że znów wdaję się w awantury, ale zaraz przywołała Kachnę i kazała jej zająć się młodzieńcem. Poszliśmy we trójkę na poddasze, gdzie Janko dostał izdebkę podobną do mojej.

– A ty gdzie mieszkasz? – spytał trochę niepewnie, po czym poznałem, że jest bardziej zdenerwowany, niż chciał się do tego przyznać.

– Obok.

– To dobrze.

– Jutro rano masz być umyty, ostrzyżony, przebrany i wyspany, bo idziemy na Wawel. Dobranoc.

Wydałem jeszcze dodatkowe dyspozycje Kasi, ciekawie zerkającej na chłopca, i odszedłem zająć się swoją raną. Gdym zszedł na wieczerzę, dowiedziałem się, że Janek już się wykapał, zjadł i poszedł spać, jak mu przykazałem. W skupieniu i z należytą estymą wysłuchałem poematu, nad którym Sęp pracował pół nocy i cały dzień, a potem opowiedziałem im o moich dzisiejszych przygodach. Słuchali z niezwykłym przejęciem. Kiedy skończyłem, Niziołek westchnął z ogromnym żalem:

– Że też mnie to ominęło...

– Nic straconego – pocieszyłem go. – Jeśli Kettler przeżyje, będziesz miał pełne ręce roboty.

– Niech no tylko wpadnie w moje łapy – rzekł z rozmarzeniem, zaciskając w pięści swe dłonie ogromne jak bochny chleba.

Następne dwa garnce piwa zajęło nam oglądanie na wszystkie strony czarodziejskiego lustra i łamanie głowy nad ostatnim wersem testamentu maga, ale gdy wreszcie wracałem do siebie, wcale nie byłem mądrzejszy. Rano trochę zasnęłam. Gdym schodził do kuchni, by poszukać czegoś do jedzenia, usłyszałem najpierw podniesione głosy, potem śmiech, a na końcu krzyk, który urwał się nagle jak nożem uciął. Przekraczając próg, usłyszałem powiedziane groźnym tonem:

– Niech mu jeno któraś popróbuje powiedzieć, a ubiję jak psa.

Kiedy wszedłem do kuchni, Janek wyjmował właśnie jeden ze swoich noży z belki nad głową zmartwiałej ze strachu podkuchennej.

– Co tu się dzieje?

– Nic – burknął chłopiec, łypiąc na mnie spode łba.

– Magdo?

– Naprawdę nic – potwierdziła, na mój gust zbyt gorliwie. – Posprzecza... łyśmy się z Jan... Jankiem, ale już wszystko zostało wyjaśnione.

Byłbym ślepy, gdybym nie zauważył, z jakim strachem podkuchenna i obie służki patrzą na Janka.

– Czy tak? – ostro łypnąłem na młodzika.

– Tak – burknął.

– To dobrze, bo nie życzę tu sobie żadnych awantur. Pojąłeś? A teraz idź na górę i pozbądź się noży.

– Ale...

– Bez żadnego ale. Idziemy na zamek królewski, chłopcze, a nie na wojnę.

Odszedł, lecz wcześniej, myśląc, że nie widzę, posłał niewiastom srogie spojrzenie mówiące: spróbujcie tylko coś pisnąć.

– O co tu chodzi? – spytałem dziewczyn po jego wyjściu.

– O nic... Takie tam nieważne sprawy – zapewniły gorliwie.

– Skoro tak... – nie chciało mi się głębiej wnikać w tak błahą kwestię, która z czasem powinna ułożyć się sama – to podajcie mi coś na ząb, tylko szybko.

– Musisz być miłszy dla ludzi, Janku, nie jesteś już w lesie – pouczyłem go w drodze na Wawel.

– Dobrze – odparł podejrzenie zgodnym tonem.

Wyglądał dziś aż oczy rwały. Wybielony, umyty i uczesany, z przyciętymi długimi, czarnymi włosami i w nowym strojnym odzieniu. No i te zielone oczy przy smagłej cerze. Wątpiłem, by na dworze królewskim znalazł się choć jeden ładniejszy od niego pazik. Z trudem oderwałem odeń wzrok.

– Witam, witam – Górnicki zamknął mnie w serdecznym uścisku, po czym zaciekawiony zerknął na Janka. – A to zapewne ów dzielny Egipcjanin? Siadaj i opowiadaj, Kacprze. Maciek już po prawdzie to uczynił, lecz przygoda zdaje mi się tak niesłychana, że chętnie posłucham po raz wtóry.

Usiadłem, Janek zaś stanął za moim krzesłem jak prawdziwy paź. Jeszcze raz opowiedziałem o naszych wczorajszych przygodach, a bibliotekarz słuchał w skupieniu jak wcześniej Sęp i Niziołek.

– Mój Boże, i pomyśleć, żeś spóźnił się zaledwie jeden dzień... – westchnął, gdy skończył. – *Ergo* jeśli dobrze pojąłem, mistrz Twardowski nie żyje, a jego zabójca jest w mieście...

– Cóż, *corpus delicti* nie znalazłem, lecz tak mniemam. Tuszę też, iż Kettler, jeśli przeżył, znalazł gdzieś kwaterę i medyka lubo cyrulika, który ma o niego staranie. Szukać go, to jak dostać igłę w stogu siana. Lecz skoro wydobrzeje, sam mnie odnajdzie, a jest szybszy z bronią i bardziej doświadczony.

– Boisz się go? – spytał z ową sławną bezceremonialnością, która cechowała go nawet w obliczu króla.

– Nie, ale i nie lekceważę, inaczej byłbym głupcem.

– Słusznie. Pokażcie mi teraz to sławne zwierciadło i legat mistrza Twardowskiego.

Skinąłem na Janka, który położył przed pisarzem oba przyniesione przez nas przedmioty. Górnicki oglądał je z wielką starannością, lecz również niczego ciekawego nie znalazłszy, odłożył zniechęcony.

– Cóż, patrzy na to, że z chwilą śmierci Twardowskiego postradaliśmy okazję zdobycia dowodów na machinacje Mniszchów... – powiedział markotnie.

Czekałem na to od dłuższego czasu.

– Niezupełnie – odezwałem się. – Moim zdaniem ostatni wers adresowany jest do waszmościów.

– „*Opus magicum* zasię poszukiwaczom prawdy zalecam” – powtórzył z namysłem. – Toć zwierciadło ma dostać ksiądz podkanclerzy, a poza tym nic na nim nie ma. Jakaż w tym dla nas wskazówka?

– Mniemam, iż mistrz Twardowski pisząc o *opus magicum*, wcale nie miał na myśli magicznego lustra. Tak i jam myślał z początku, lecz myliłem się – powiedziałem. – Tu musi chodzić o coś drugiego, ale, dalipan!, o co, tego nie wiem... Choć – dodałem, bo nagle mnie olśniło – chyba już się domyślam...

– Ja też – rzekł Górnicki i wstał, kiwając na Janka. – Pomóż mi, synku.

Z pomocą chłopca zdjął z półki kilka ciężkich wolumenów. Odłożywszy je na bok, sięgnął po wielką księgę oprawną w czerwony safian i kazał Jankowi przenieść ją na pulpit. Otworzył księgę na stronicę tytułowej i odstąpiwszy krok, z tryumfalną miną wskazał otwartą dłonią i rzekł:

– Czytaj, chłopcze!

Janek poszukał u mnie wzrokiem ratunku, więc żeby uniknąć konfuzji i aby bibliotekarzowi wyrządzić przyjemność, szybko podszedłem do pulpitu, mimo iż dobrze wiedziałem, co zobaczę. Pamiętałem bowiem doskonale, jak król przybył niespodziewanie do Krakowa i jak oddał do librarii dzieło, które właśnie dostał od mistrza Twardowskiego.

– *Opus magicum* – przeczytałem na głos.

– Właśnie – rzekł Górnicki z satysfakcją. – Jeno cóż nam z tego? – zafrasował się zaraz, wertując księgę. – Kiedy dzieło ma blisko tysiąc stronic, a my żadnego wskazania, gdzie szukać i czego.

– Nie jest tak źle – pocieszyłem go. – Tuszę, iż idzie o brakującą połówkę tej zapisanej sekretnym inkaustem karty, którą mistrz Twardowski ostawił ichmościom w Lublinie. Musi być w księdze.

Przeniosłem *Dzieło czarnoksiężskie* na stół, żeby nam było wygodniej, i zaczęliśmy wertować karty. Ale choć czyniliśmy to z wielką uwagą i po dwakroć dla wszelkiej pewności, nie znaleźliśmy nic.

– I co teraz? – spytał zniechęconym tonem pisarz i sięgnąwszy do szafki w pulpicie, wyjął wino, nalewając sobie i mnie.

Wypiliśmy. Jak zawsze, w moim przypadku lek ów zadziałał zbawiennie.

– Janku, podaj mi nóż. Tylko nie udawaj, żeś się wszystkich pozbył, bo nie uwierzę.

Z kwaśnym uśmiechem sięgnął w zanadrze i wręczył mi nóż płaskim trzonkiem do przodu. Ostrożnie, żeby nie uszkodzić księgi, podważyłem oprawę. Ku wielkiemu rozczarowaniu, nie tylko swemu, nic tam nie znalazłem. Mistrz Łukasz i Janek, choć ten nie do końca wiedział, o co w tym chodzi, wydali z siebie zgodny jęk zawodu. Ale nie poddawałem się tak łatwo. Obróciłem dzieło i powtórzyłem operację z drugiej

strony. Zerknąłem w szparę i ostrożnie zaczepiwszy czubkiem ostrza, wysunąłem spomiędzy okładek kęsek papieru. Tym razem wszyscy zgodnie westchnęliśmy z ulgą. Bibliotekarz niecierpliwie porwał z mych rąk papier, zapalił świecę i przybliżył kartkę do ognia. Janek okrągłymi ze zdziwienia oczyma patrzył z fascynacją, jak pod wpływem żaru na karcie pojawiają się litery i obrazy.

– Gotowe – rzekł pisarz i rad z siebie nalał wina do szklanicy.

Wychylił swoje duszkiem, odłożył papier, zgasił świecę i gestem nakazał Jankowi odnieść na miejsce *Opus magicum*, po czym z szafki pulpitu wydostał dostarczony przeze mnie szkic drugiej połowy i złożył obie razem. We trójkę pochyliliśmy się nad blatem. Na złączonych kartach malował się taki obraz:



– I co, pojmujesz wać coś z tego? – spytał po dłuższej chwili Górnicki.

– Niewiele – wyznałem.

– Poślę po Maćka, może on się w tym wyzna.

Czekając na przybycie ucznia czarnoksiężnika, osuszyliśmy flaszkę do dna. Maciek przywitał się ze mną serdecznie, kiwnął głową Jankowi i na polecenie pisarza pochylił się nad zagadką Twardowskiego. Po prawdzie takowe zagadki i rebusy, jak też całe „poema hieroglificzne” bardzo były rozpowszechnione w naszych czasach, bywały także i *obscoena*, nawet mistrz Kochanowski ułożył jedną nietrefną zagadkę, którą jeszcze nietrefniej odczytywano, ale wolałbym, by imć Twardowski nie hołdował temu zwyczajowi.

– Tu idzie zapewne o dom Christophoros – rzekł Maciek, wskazując postać świętego, bez wątpienia Krzysztofa, o czym świadczył kostur w jednej ręce i

Dzieciątko Jezus drugą podtrzymywane na ramieniu.

– Tyle to i jam się dorozumiał – stwierdziłem. – A te drugie znaki?

Pokręcił głową i rzekł z żalem:

– Nie wiem.

– Pozwolisz waszmość – zwróciłem się do Górnickiego – że uczynię z tego kopię. Pomyślę nad tym w spokojności. Jak tylko do czegoś dojdę, zaraz z tym do waćpana przybędę.

Bez słowa podsunął mi kałamarz z inkaustem, podał pióro i czystą kartę. Skończywszy, wsunąłem kartę w zanadrze i rzekłem:

– Tedy nie ma *dubium*, że to, czego szukamy, znajduje się gdzieś w domu Pod Krzysztofory. Bieda w tym, że jejmość Twardowska już kamienicę sprzedała jakowemuś Italczykowi, który wszak jeszcze jej w posiadanie nie objął. Możesz, Maćku, spytać panią Twardowską, azali możebne by było rozpatrzenie się przez nas po domu pod jakimkolwiek pozorem?

– Ja... – zaskoczony młodzieniec podniósł na mnie wzrok. – Nie wiem...

– Wiem, że jejmość mieszka u swej krewnej na Legackiej ulicy, więc możesz mówić bez obawy.

Spojrzał na mnie z podziwem, do którego byłem już przyzwyczajony, więc nie mrugnąłem nawet okiem.

– Mistrz nakazał jej zaraz po przedaniu dobytku opuścić miasto i wrócić w ojczyście strony, gdzieś na Śląsk, jak mniemam, bo czasem gwarzyli z mistrzem po niemiecku, choć nie władała tą mową zbyt dobrze. Nie wiem, co ją zatrzymało...

– Może nie dostała jeszcze pieniędzy od tego Włocha – myślałem na głos. – W każdym razie spróbuj się z nią zobaczyć. Tylko bądź ostrożny i nie mów jej o tym, co tu widziałeś. Możesz za to ogródkami wspomnieć o śmierci mistrza i ostrzec ją przed czerwonoookim. A potem wróć tu i nie opuszczaj zamku, dopóki nie wyjaśni się sprawa z Kettlerem. Jeśli będę potrzebował, wiem, gdzie cię szukać. A tymczasem pamiętaj o ostatniej woli swego mistrza i pilnie się ucz, by już na jesień podjąć studia.

– Dobrze – kiwnął głową gorliwie i odszedł, odprawiony przez pisarza.

– To by było tyle na dziś. Mam jeszcze jedną prośbę do waszmościa – wskazałem Górnickiemu Janka. – Chciałbym, aby wasza miłość wynalazł mu jakowyś kąć i zajęcie na dworze.

I opowiedziałem mu o chłopcu, jak uratował mi życie, o czym pewnie już słyszał od Maćka, i o medalionie. Musiał go zdjąć i pokazać.

– Piękna niewiasta – zauważył bibliotekarz, który jako doświadczony dworzanin na pewno się na tym znał. – Tu z tyłu jest herb, jeno tak wytarty, że nie sposób go rozpoznać. Tedy to szlachcianka – stwierdził i zwrócił klejnot małemu, podejmując go pod brodę. – No, chłopcze, nie miałeś lekkiego dzieciństwa, lecz może czeka cię świetna przyszłość... Kto wie?

– Ma wdzięczną postać – dodał, szacując sylwetkę młodzika fachowym okiem bywałego dworaka. – Nieco ćwiczenia i nada się na pazia. Co ty na to, synku?

Ale chłopiec milczał z zaciśniętymi ustami. Patrzył tylko na mnie z wyrzutem, a w oczach lśniły mu łzy, jakbym go sprzedał jak Judasz Chrystusa.

– Zaniemówił ze szczęścia – rzekłem. – Potrzebuje trochę czasu, by pojąć, jak bardzo los się do niego uśmiechnął.

– Zajmę się nim – obiecał pisarz. – I popytam tu i ówdzie, czy kto nie słyszał o zaginionym przed laty dziecięciu ze szlchetnego rodu.

– Dziękuję waszmości – powiedziałem z wdzięcznością i chciałem pogłaskać Janka, lecz zachnął się ze złością i cofnął o krok, tak że jak głupiec zostałem z wyciągniętą ręką.

Zrobiło mi się przykro, bom już zdążył przywyknąć do otroka, tymczasem czułem się jak zdrajca. A przecież nie mogłem nic lepszego dlań uczynić. Pożegnałem się tylko z bibliotekarzem, bo Janek uparcie mnie ignorował. Opuściwszy zamek, udałem się na stację pocztową, gdyż miałem tam do załatwienia kilka spraw. Ledwo wszak zszedłem z podjazdu na Wawel, kiedy na wysokości Łaźni Jagielły posłyszałem za sobą szybkie kroki dudniące na kładce przez Rudawę. Jakoś nie byłem zaskoczony, gdy po chwili zdyszany Janek zrównał się ze mną.

– A co ty tu robisz!?! – huknąłem dla porządku.

– Uszedłem – odparł Janko.

– Widzę, u czarta! I co zamierujesz uczynić?

– Nie ostanę paziem. Idę z tobą.

– O nie!

– A tak!

Ucapilem go za kark, przygiąłem do ziemi i wlepiłem w zadek tyle razy, że aż mnie ręka rozbolała. Dwóch księży, przechodzących мимо, odwróciło wzrok. Kiedy go w końcu puściłem, upadł na tret, łzy ciekły mu po twarzy ciurkiem, ale ani pisnął.

– Wracamy na Wawel – warknąłem.

– Nie wróć!

– Wrócisz i zostaniesz, już ja tego dopilnuję – rzekłem stanowczo.

– I tak zbiegnę!

Tyle było w jego głosie determinacji, że ręce mi opadły. Ostatecznie ja też nie tak dawno byłem w tym samym wieku i mój opiekun także miał ze mną krzyż pański.

– Czego w takim razie chcesz?

Zdaje się, że wyczuł w moim głosie nutę rezygnacji, bo zhardział.

– Już mówiłem. Idę z tobą.

– Chłopcze – rzekłem z rozpaczą, choć serce mi się krajało – czemuś się do mnie przyczepił jak rzep? Anim ci brat, ani swat.

– Mniemałem, że mnie lubisz... – zwiesił głowę.

– Lubię cię, ale nie mam swojego domu, nie jestem bogaty i nie nadaję się na piastuna.

– Nie potrzebuję starania – burknął, nie podnosząc głowy. – Mogę ci służyć, umiem gotować i pracować, nie jem dużo, będziesz miał ze mną dobrze. Jak chcesz, mogę

dla ciebie kraść, choć wolałbym tego nie robić. Jeno mnie nie odtrącaj. Mam tylko ciebie. Przynajmniej dopóty, dopóki nie dowiem się, kim jestem naprawdę.

Podniósł głowę. Ledwie spojrzałem w te ogromne, zielone oczy, już wiedziałem, że przegrałem. On też to wiedział, szelma, widziałem w tych oczyskach, że wie. Niepokoiło mnie to nie na żarty. Czułem, że jeśli się nie wezmę w garść, owinie mnie sobie wokół palca.

– Jak chcesz tego dokonać?

– Nie wiem. Ale ty wiesz – wielkie ślepia patrzyły na mnie niewinnie. – O ile dobrze pojąłem, znasz się na tropieniu ludzi i papierów, których nikt drugi nie potrafi nawet przeczczyć. Twój przyjaciele cenią cię za to. Słyszałem na własne uszy. Umiem słuchać i myśleć. Nie jestem głupi.

Aż zaniemówiłem. A już myślałem, że przywiązał się do mnie. A to przebiegły łobuz!

– Chytrześ to sobie wykoncypował – rzekłem z goryczą.

Wyczuł ją widać w moim głosie, bo naprawdę umiał słuchać i miał głowę nie od parady.

– Nie złość się na mnie – rzekł przymilnym tonem, głaszcząc mnie po rękę – mój mądry i dobry starszy bracie. Najlepszy ze wszystkich.

– To masz jeszcze drugich? – sarknąłem.

– Wszyscy Romowie są braćmi.

– Tedy jestem w dobrej kompanii. Dziękuję za zaszczyt.

Pomarkotniał.

– Nie chcesz, żebym był twoim młodszym bratem?

Od razu przeszła mi złość. Było w nim coś takiego, że nie potrafiłem się na niego gniewać. I to mnie martwiło, bo dotąd byłem przyzwyczajony, że to inni tańczą tak, jak im zagram. Pod wpływem impulsu wyznałem:

– Ja też jestem znajdą – i opowiedziałem małemu, jak to znaleziono mnie na progu szpitala Świętego Ducha w dzień Trzech Króli, czemu zawdzięczam miano, i zakończyłem: – *Ergo* być może w rzeczy samej jesteś moim bratem, choć to wątpliwe.

– Czemu?

– Bo ty masz oczy zielone jak szmaragdy, a ja brązowe. To znaczy, że twoi rodziciele oboje mieli jasne oczy, a wtedy nie mogliby mieć syna o ciemnych źrenicach – rzekłem, choć wcale nie miałem co do tego pewności, teoria owa bowiem sprawdzała się w przypadku oczu niebieskich, wiedziałem o tym z obserwacji, ale czy tyczyła także zielonych?

Tak czy owak, nie wiedzieć czemu, myśl, że nie jesteśmy spokrewnieni, była mi miłsza.

– Skąd wiesz takie rzeczy? – zaciekawiał się.

– Mówiłem ci, że kształcę się na medyka.

Był tym zainteresowany, więc wolno podążając Kanoniczą i Grodzką,

opowiadałem o swoich studiach i praktyce u ojca Rocha.

– Ja też będę medykiem – stwierdził na koniec z wielką pewnością siebie. – Na ziołach już się znam.

Uśmiechnąłem się.

– Najpierw trzeba poznać łacinę.

– Nauczę się.

Próbowałem pociągnąć go za język, ciekaw, jak wyglądało życie wśród Cyganów, ale odpowiadał niechętnie, półsłówkami, aż w końcu zaprzestałem indagacji; ostatecznie ja też niechętnie wracałem myślami do czasów, gdy włączyłem się po świecie w kompanii hultajów i oczajduszów. W milczeniu dotarliśmy do domu Włoskiego. Odesłałem otroka do domu, zalecając mu baczenie, po drugiej stronie wyludnionego Rynku nadal bowiem w najlepsze trwała bitwa. Scholarzy dotrzymywali słowa – chcieli ujrzeć Krwawego Burmistrza upieczonego na stosie uczynionym z jego własnego domu.

– Co tam się dzieje? – spytał na odchodnym.

– Żacy dochodzą swojej krzywdy. To się zdarza od czasu do czasu. Jeśli wytrwasz w swoim postanowieniu, na pewno prędzej czy później jakiś tumult cię nie ominie. No, zmykaj już. I pamiętaj – żadnych nowych awantur w domu!

Szczęśliwie się zdarzyło, że pan Sebastian Montelupi był u siebie i zgodził się mnie przyjąć natychmiast. Życzliwy jak uprzednio, z uwagą wysłuchał mojej relacji z ekspedycji do Lublina, wypytał o sejmowe nowiny i wspólnych znajomych, od których przywiozłem mu pozdrowienia, na koniec z widocznym zadowoleniem przyjął moje szczere pochwały dla sprawnego działania poczty królewskiej, którą kierował.

– Christophoros? – powtórzył, gdy przeszedłem do drugiej sprawy, która mnie tu przywiodła, wiedziałem bowiem, że Italczycy w naszym mieście tworzą rodzaj bractwa i wszyscy trzymają się razem. – Owszem, słyszałem, że kupił ją niedawno krajan mój, dopiero co przybyły z Italii, Antonio de Stessi.

– Gdzie zastanę signora Stessiego?

– Z tym będzie kłopot. *Messer de Stessi* udał się bowiem z powrotem do ojczyzny. Zamierza sprowadzić z Faenzy, gdzie są od tego najlepsi fachowcy, dwóch mistrzów, którzy postawią mu w obszernych piwnicach domu Christophoros piec do wypalania *maiolica*, na której pragnie zbić fortunę.

– Majo... Czego?

– Fajansu, zresztą właśnie od miasta Faenza tak zwanego, lub inaczej farfury.

– Ach!

– Potrzebujesz wasze czegoś od mistrza Stessiego? – podniósł brwi.

– Po prostu byłem ciekaw, miałem bowiem sprawę do jejmości Twardowskiej, lecz nie zastałem jej w domu, a powiedziano mi, że sprzedała dom jakiemuś Włochowi.

– Coś jeszcze, młodzieńcze? – Montelupi przesunął papiery na stole. – Nie żebym

cię wypędzał, zawsze będziesz tu mile widziany, lecz, sam widzisz, mam sporo roboty...

Wstałem, zerkając na sekretarza poczmistrza, który odkłonił mi się uprzejmie na powitanie, potem wszak milczał jak grób, jednak spoglądał na mnie życzliwie.

– Jeśli *messer* Giacomo Ventura nie odmienił zdania, to pragnąłbym, aby udzielił mi kilku lekcji fechtów.

Znów zagadali szybko do siebie.

– Czy jutrzejszy wieczór w naszym domu odpowiada waszmości? – spytał mnie imć Montelupi.

– Jak najbardziej.

– Tedy ustalone.

Ukłoniłem się każdemu z osobna, najpiękniej jak umiałem, i wyszedłem wesół jak szczygieł. Po drodze mina mi trochę zrzędła, gdym sobie przypomniał, że czeka mnie niegorsze łamanie głowy nad rebusem mistrza Twardowskiego.

ROZDZIAŁ 12 | OCZEKIWANIE

Zdecydowana postawa króla i panów polskich zaczęła przynosić owoce. Do komorników królewskich, przybywających z „wielką nowiną” i w uroczystej asyście, jęła gremialnie stawiać się szlachta podlaska i wołyńska i składać przysięgę na wierność królowi i Koronie Polskiej, pojawiały nareszcie, że unia oznacza dla nich wyzwolenie spod przewagi magnatów litewskich. Idąc za ciosem, posłowie polscy wystąpili o przyłączenie do Korony także Kijowszczyzny. Król zgodził się na to, co ostatecznie złamało opór Litwinów. Polacy „nic nie chcą Litwie zostawić, jedno podobno Ejszyszki a Mejszagołę”, raportował swemu panu obecny w Lublinie sekretarz udającego chorobę Radziwiłła Rudego, Andrzej Wolan. Osłabione Wielkie Księstwo nie mogło już myśleć o politycznej niezależności. Tylko król mógł uratować jaką taką samodzielność Litwy, Polacy twardo optowali za całkowitą inkorporacją.

„Wielkich rzeczy, które mają trwać wiecznie, nie można przeprowadzać siłą – tłumaczył zwaśnionym stronom Zygmunt August i apelował: – Ufajcie sobie nawzajem, bo z ufnością tym większa miłość i zgoda rósć między wami będzie. A my, gdybyśmy znali, aby to niosło jednym czy drugim jakieś obelżenie albo zniewolenie, nigdy byśmy do tego nie wiedli, bo dobrze to znamy, żebyśmy obojemu państwu jednakowo powinni”.

Jedynie dwóch opozycjonistów pozostało nieugiętych: Radziwiłł Rudy, uparcie odmawiający przyjazdu do Lublina, oraz Jerzy Chodkiewicz, zarzekający się, iż woli unii nie dożyć. Jak powiedział, tak się stało, umarł 6 czerwca, rażony apopleksją.

Teraz sprawy potoczyły się szybko.

– Ekscelencjo, przesyłka z Krakowa – powiedział sekretarz, wchodząc do gabinetu, gdzie nad stosem papierów pochylał się książdz podkanclerzy.

– Otwórz – rzucił tamten, nie podnosząc wzroku.

Młody kleryk rozpakował paczkę i uniósł brwi ze zdumienia.

– No, co tam masz? – podkanclerzy przerwał wertowanie dokumentów.

– List i jakoweś osobliwe zwierciadło.

Kraśński od pierwszego rzutu oka rozpoznał przedmiot.

– List – wyciągnął rękę.

Ze ściągniętą twarzą czytał relację Górnickiego o okolicznościach domniemanej śmierci słynnego czarnoksiężnika, wyświeconych przez młodego inwestygatora Kacpra Ryksa. Przy okazji bibliotekarz chwalał młodzieńca pod niebiosa i gorąco polecał na dal jego usługi. Do listu dołączona była kopia testamentu maga.

– *Ergo* dokonało się. *Mea culpa*... – wyszeptał Kraśński, odłożył list i zamyślił się głęboko.

Sekretarz nie ośmielił się przerywać mu zadumy, zaskoczony wyrazem cierpienia malującym się na obliczu dostojnika. Był zdziwiony, gdyż podkanclerzy rzadko pozwalał sobie na okazywanie uczuć wobec postronnych. Musiał być naprawdę poruszony. Księżdz paliła ciekawość, co też może być w tym liście, który tak wstrząsnął Kraśńskim. Wkrótce otrzymał odpowiedź.

– Mistrz Twardowski nie żyje – oznajmił podkanclerzy, otrząsając się z zamyślenia. – To, co widzisz, to jego sławne zwierciadło, które zapisał mi legatem.

Podczas gdy młodzieniec w nabożnym skupieniu i z pewnym lękiem wpatrywał się w metalową tafłę, która, jak wiedział, służyła Twardowskiemu do wywoływania duchów, Kraśński pisał coś na karcie papieru. Skończywszy, podał kartkę sekretarzowi, który przebiegł wzrokiem łaciński napis: *Luserat hoc speculo magicas Twardovius artes, lusus at iste Dei versus in obsequium est* [1].

– Zaniesiesz teraz zwierciadło do najlepszego snycerza w mieście i każesz wyrzezać mu te słowa w ramie. Tylko dopilnuj, by nie narobił błędów. A potem...

Przerwał, znów się namyślając.

– Potem umyślnym odeszlesz zwierciadło do Węgrowa. Niech je zawieszą w tamtejszej farze [2].

Kraśńscy mieli dobra w okolicy Węgrowa i z wolna przymierzali się do wykupienia miasta z rąk Kisków i Radziwiłłów. Głównie dlatego, by powstrzymać napór kacerstwa, któremu hołdowali dotychczasowi właściciele, pozwalając arianom na pobudowanie w Węgrowie zboru, seminarium, drukarni, szkoły i szpitala. Zawieszenie w kościele parafialnym pod wezwaniem Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny *votum* ofiarowanego przez skruszonego grzesznika miało być pierwszym krokiem do przywrócenia prawdziwej wiary w mieście ogarniętym heretycką zarazą. „Tak, to przednia myśl”, pogratulował sobie w duchu księżdz podkanclerzy.

– I jeszcze jedno – sekretarz zatrzymał się w progu. – Zakarbuy sobie w pamięci to nazwisko: Kacper Ryx.

– To ktoś znaczny?

– Nie, ale wielce użyteczny. Może nam się kiedyś przydać.

– Zapamiętam, wasza ekscelencjo – obiecał sekretarz i wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi, żeby nie zakłócać spokoju pryncypałowi, który znów popadł w zadumę.

Stara kobieta obudziła się. Musiała bezwiednie się poruszyć, gdyż natychmiast posłyszała pytanie:

– Potrzeba ci czego, babciu?

Pamiętała ten głos, ciepły i pełen niekłamanej troski. Słyszała go wielokrotnie w ciągu minionych paru dni, gdy wyczerpana i osłabiona nie opuszczała łoża. Łzy wzruszenia napłynęły jej do oczu. Nie pamiętała, by kiedykolwiek ktoś opiekował się nią z takim oddaniem. Nawet matka w dzieciństwie...

– Jak myślisz, mogę już to zdjąć? – ostrożnie dotknęła opaski na oczach.

– Myślę, że tak.

W młodzieńczym głosie było tyle zdecydowania, że niewiasta pozbyła się obaw. Poczowała, że dłużej już nie zniesie niepewności.

– Pomożesz mi?

Niesłychanie delikatnie, z precyzją lutnisty pieścącego struny swego instrumentu, długie i zręczne palce sprawnie ściągnęły opatrunek. Kobieta jednak dłuższą chwilę nie odważyła się unieść powiek, lękając się, co zobaczy, czy raczej – czego nie. Wreszcie zdecydowała się.

– Dzięki ci, Boże! – wyrwało jej się z piersi.

Ciesząc się jak dziecko, wodziła wzrokiem po wszystkich kątach, jednak rzeczy odleglejsze widziała jak za mgłą. Wreszcie zogniskowała spojrzenie na uśmiechniętej twarzy tuż przy swojej. To widziała ostro i wyraźnie. Z przyjemnością wpatrywała się w miłe rysy, także promiennie uśmiechnięta. Po chwili jej źrenice rozszerzyły się, uśmiech stęzał, a cała twarz przybrała wyraz niesłychanego zdziwienia.

– A więc już wiesz – domyślnie pokiwała pochylona nad nią głowa. – Jeśli mu o tym powiesz, poderżnę ci gardło.

Kobieta przelknęła ślinę. Była pewna, że to nie żarty.

– Będę milczeć – wyszeptała zmartwiałymi wargami.

Obudziła się z mocnym postanowieniem. Mimo stanowczego mężowskiego zakazu pójdzie tam, choćby nie wiadomo co! Co prawda po spieniężeniu wszystkich kamienic była bogata i mogła wrócić w rodzinne strony jak prawdziwa pani, opływając w dostatek do końca swych dni, doczekawszy się powrotu męża lub znajdując sobie nowego. Ale z natury była nie tylko kłótniwa, lecz i chciwa. Wiedziała, że odkrył formułę uzyskania kamienia filozoficznego, ostatecznie należał przecież do najslawniejszych magów swych czasów, i ukrył ją w swojej pracowni. Gdyby odnalazła ten papier, mogłaby zań uzyskać sumę o wiele przewyższającą nędzny zysk ze spieniężonych kamienic! Nie miał prawa pozbawiać jej tego! Miał też

schowany podręczny kapitalik na czarną godzinę. Może niewielki, co nie znaczy, że do pogardzenia.

Uśmiechnęła się chytrze do siebie, nie uświadamiając sobie, iż jej twarz przybrała w tym momencie wyjątkowo ohydny wyraz nieznającej granic przebiegłości i pożądlivosti. Nie wiedział, że kiedyś, gdy był podchmielony i mniej ostrożny niż zazwyczaj, poszła za nim do lochów i podpatrzyła, gdzie ma schowki i jak ominąć zabezpieczenia.

Pójdzie tam zaraz, póki jeszcze nie oddała temu Italczykowi wszystkich kluczy, i odzyszcze to, co jej się należy, a czego ten łajdak – Bóg widzi, że nigdy nie był dobrym mężem! – chciał ją pozbawić. Podjąwszy decyzję, zaopatrzyła się w latarkę, którą wrzuciła do sakwy, i nie opowiadając się kuzynce, ostatecznie tylko ubogiej krewniaczce na respekcie, opuściła dom, zdążając na Rynek.

Tumult wygasł po dziesięciu dniach. Scholarom nie powiodło się ani zabicie Czeczotki, ani spalenie jego siedziby. Wybili mu tylko wszystkie okna, za które i tak kazał sobie zapłacić z kasy miejskiej, czyli pieniędzmi obywateli. Żacy zyskali jedynie sporo guzów i sińców, wielu było rannych, niektórzy ciężko. Ci ostatni pozostali w bursach. Reszta zgromadziła się na dziedzińcu Collegium Maius i z dumą pokazywała obrażenia. Przekrzykując się jeden przez drugiego, chwalili się swymi przewagami. Rej wiódł, jak by inaczej, Janek Grot. Z obwiązany łąbem i ręką na temblaku wyglądał jak gdański kaper. Puszył się i nadymał, przyjmując hołdy kolegów. Stojąc na cembrowinie studni i górując nad zgromadzeniem, wypatrzył mnie natychmiast.

– Patrzcie, oto idzie niesławny Kacper Ryx, co poskapił krwi dla swego druha!

Pojąłem, że stosunki między nami, chwilowo ocieplone wspólnotą celu, znów wróciły do normy. Nie zaskoczyło mnie to ani nie zmartwiło.

– Ejże, Grocie, a kto wy dostał ciało magistra z kabatu, jak nie Ryx? – przypomniał ktoś obdarzony lepszą pamięcią.

Większość została przy Grocie, ale było sporo takich, którzy zbliżyli się do mnie, witając i poklepując mnie życzliwie.

– Gdybyś się do nas przyłączył, Wolski byłby pomszczon! – oskarżył mnie wprost Grot, nierad z okazywanej mi przez kolegów sympatii.

– Gdybym się przyłączył, wyglądałbym jak ty, a nic więcej i tak byśmy nie wskórali. Krwawy Burmistrz miał za sobą miasto, starostę i króla. Jak mogliśmy zwyciężyć? Ale zapewniam was, że Czeczotka zapłaci za swe zbrodnie. Moja w tym głowa.

– Kiedy? – szyderczo zapytał Grot, wyczułem jednak niepewność w jego głosie.

– Jak przyjdzie pora. Na razie ma się na baczności. Trzeba odczekać.

Moje słowa nie przeszły bez wrażenia. Osiągnąłem *status quo*. Znów mniej więcej połowa scholarów była za mną, druga za Grotem. Czyli jak zwykle. To mnie zupełnie satysfakcjonowało. W tym momencie bedele ogłosili początek zajęć i rozeszliśmy się do lektoriów.

Przez następne dni najpierw odsiedziałem swoje w karczerze (jego magnificencja sobie o mnie przypomniał), potem wszak pilnie uczęszczałem na wykłady. Zamierzałem tego lata obronić bakalaureat i mieć tę sprawę z głowy. Na szczęście ojciec Roch znalazł następcę Wolskiego do nauczania żaków w szkole Świętego Ducha. Po zajęciach na uniwersytecie mogłem więc uczęszczać na lekcje fechtunku do domu Włoskiego. *Messer Giacomo* okazał się prawdziwym mistrzem, a ja zupełnym dyletantem, mimo uważnego przestudiowania dzieła inżyniera Camilla Agrippy. Lecz dopiero *signor Ventura* pokazał mi, jak bić się dwoma rapierami naraz albo jak skutecznie walczyć z pomocą puginału-lewaka, jak bronić się za pomocą płaszcza lub nawet dłoni.

– *Bene* – mówił, gdy dobrze mi poszło, a gdy źle, udawał, że nic się nie stało, lub pocieszał; nie mogłem sobie wymarzyć lepszego preceptora.

– Są dziś dwie szkoły szermierki – gdy mówił powoli, rozumiałem prawie wszystko – hiszpańska i włoska. Hiszpanie dużą wagę przywiązują do postawy, dlatego walczą sztywno, jakby połknęli kij. Tak zalecają mistrzowie Corraza i Pacheco de Narvaez. My wolimy więcej ruchu. Dlatego tak ważna jest praca nóg.

I z nieskończoną cierpliwością uczył mnie właściwej postawy, kroków w przód i tył, wypadów i uników.

– Palce – powtarzał – operuj palcami i nadgarstkiem, nie machaj jak cepem.

Łatwo mu było mówić. Gdy uznał, że już jako tako umiem utrzymać rapier w ręku, pokazał mi najwyższy stopień wtajemniczenia – walkę w ciemnościach z użyciem latarki. Był bardzo sprawny w szermierczym rzemiośle i w ogóle robieniu każdą bronią. Czuję, że to człek niebezpieczny. Kusiło mnie, by spytać, czy nie pochodzi z południa Italii, z Królestwa Obojga Sycylii, słyszałem bowiem, że skrycie działa tam konfraternia złoczyńców zwana *mafia*. Od dziecięcia, przechodząc Rynkiem mimo kamienicy Pod Jagnięciem, zawsze się wzdragałem, gdyż w sierpniu roku Pańskiego 1537 zginął pod nią od ciosu sztyletem przesławny mistrz Bartłomiej Berecci, ten, co pobudował kaplicę Zygmuntofską dla króla Starego. Paręnaście lat potem, w równie niewyjaśnionych okolicznościach, zginął syn Bartłomieja, Sebastian. I choć mistrz pochodził z Florencji, podejrzewano *vendettę*, czyli zemstę owej *mafii*, choć ponoć jej macki nie sięgały na północ Italii, a tym bardziej do Polski. Ostatecznie nie zagadnałem *signora Ventury*, bo słyszałem także, iż członków *mafii* obowiązuje nakaz milczenia, *omerta*, a jego złamanie najszybciej właśnie prowadzi do straszliwej zemsty.

Przychodziłem do domu skonany, a tu nie dość, że musiałem rano wstawać na wykłady, to jeszcze przed nocą zasiadałem do uczenia Janka łaciny. Chłopiec bowiem uparł się, by osiąść sztukę pisania i czytania, ale za nic nie chciał chodzić do szkoły Świętego Ducha, choć mu to perswadowałem. Jednak wkrótce przestałem, bo robił zaiste niesłychane postępy. Przed zaśnięciem kładłem co noc przed sobą rebus Twardowskiego i usiłowałem go rozgryźć, lecz bez powodzenia.

Dwudziestego czwartego dnia nauki, rachowałem dokładnie, stała się rzecz

niesłychana, udało mi się wytrącić Venturze żelazo! Uśmiechnął się tylko i rzekł:

– Wiedziałem, że to nastąpi, jak tylko zaczęliśmy lekcje. Nie myślałem wszak, iż tak prędko. Jesteś urodzony do broni, młody człowieku. To już koniec, nauczyłem cię wszystkiego, co sam umiem.

Uściskałem wyciągniętą dłoń. Stanowczo odmówił wzięcia wynagrodzenia za naukę. Zgodził się za to, bym co jakiś czas wpadał do niego trochę pofechtować, żeby nie zardzewieć, a sam obiecał zachodzić do naszej gospody na darmowe wino. Rozstaliśmy się w wielkiej przyjaźni. Na pożegnanie powiedział:

– Pomnij, chłopcze, że nawet największy mistrz prędzej czy później trafi na lepszego od siebie. I zawsze bij się na zimno. Jeśli dasz się ponieść gorączce, przepadłeś.

Zakarbowałem to sobie w pamięci, bo choć może czasem sprawiam wrażenie, jakbym zjadł wszystkie rozumy, umiem słuchać dobrych rad i wyciągać wnioski z życiowych doświadczeń. Dlatego dożyłem swoich lat.

Nie miałem już tyle czasu, co wcześniej, by przesiadywać nad flaszą wina z Sępem i prowadzić długie dysputy o literaturze. Zresztą Sęp był jakiś osowiały. Wybrał się dwa razy na Wawel, ale wracał rozczarowany. Mistrz Górnicki mimo starań nie był w stanie załatwić mu posady, gdyż większość dostojników przebywała w Lublinie. Zalecał cierpliwe czekanie na zakończenie sejmku, lecz Sęp nie chciał czekać nie wiadomo jak długo. Kiedyś zastałem go pochylonego nad jakimś listem.

– Ojciec niezdrów – oznajmił. – Na żniwa wracam do domu.

Chcąc wykorzystać ostatnie dni swobody, często zamykał się w swojej izdebce i pracował nad nowymi wierszami. Dałem mu kopię zagadki Twardowskiego, aby miał dodatkowe zajęcie, ale do niczego nie doszedł. Raz i drugi dał się namówić na zabawę z bronią, bom chciał z nim przećwiczyć to, czegom się nauczył u *messer* Giacoma, jednak nie miał do tego serca.

Drugiego dnia Wielkiejnocy wyprawiłem się z Jankiem na Zwierzyniec, na sławny tamtejszy odpust w kościele Najświętszego Salwatora, zwany emaus. Razem z nami ciągnęły mnogie tłumy krakowian, zwłaszcza młodzieży obojga płci. Grupa psotnych żaków, z witkami wierzbowymi i rozwiniętymi już baziami na nich, wedle obyczaju zwanego śmigusem smagała po siedzeniach uciekające przed nimi z chichotem dziewczęta, wołając:

– Czemu nie rychło na emaus?! [3]

Z kolei nad Rudawą dwie kupy wyrostków załatwiały przy okazji jakieś swoje porachunki, okładając się pięściami i bez dyngowania [4] oblewając wodą zarówno siebie, jak i przechodniów. Zmoczyli i nas, gdyśmy nie odskoczyli w porę. Na szczęście dzień był pogodny, więc nim skończyła się uroczystość w kościele, już zdążyliśmy obeschnąć.

A po mszy poszliśmy do kramów rozstawionych między kościołem Najświętszego Salwatora a stojącym na sąsiednim wzgórzu Świętej Bronisławy, w

miejscu gdzie ponoć w pogańskich czasach był chram z posagiem bożka wiatru Pośwista, drewnianym kościółkiem Świętej Małgorzaty i cmentarzem dla zapowietrzonych. Kupiłem chłopcu łakocie, ale drapać się po gładkim słupie po nagrodę zakazałem. Nazajutrz wyprawiliśmy się na cały dzień za Kazimierz, na kopiec Krakusa i położony obok na Górze Lasoty, gdzie ongi stała pogańska figura bożka wiatru Śwista, kościółek Świętego Benedykta (opiekowali się nim duchacy), na odpust zwany Rękawką, ponieważ po śmierci księcia Kraka współplemieńcy jakoby nosili ziemię na jego mogiłę w zawiązanych rękawach swych koszul. Tu już nie broniełem Jankowi dokazywać z innymi dziećmi, turlającymi się z kopca ku ogólnej uciechu i łapiącymi rzucane im przez zamożnych mieszczan krakowskich i kazimierskich pierniki, chleb, owoce, gotowane jajca i drobne mińce, pamiętając nie tak znowu odległe czasy, gdy to mnie przyprowadzał tutaj *pater* Roch. Ale bić się z drugimi na palcaty mu nie zezwoliłem, sam też nie stanąłem do zawodów na ostre, mimo to bawiliśmy się przednio.

Tydzień po świętach Michał okazał swój majstersztyk, zdał egzamin i został mistrzem rusznikarskim, a ciotka wydała w gospodzie ucztę dla całego cechu. Parę dni potem zjawił się Jędrzej, dźwigając chorągiewkę, którą dla mnie wykonał. Na drewnianej desce, ozdobnie powycinanej na brzegach i wyłoczonej, widniało ułożone z miedzianych liter moje nazwisko: KACPER RYX, i napis poniżej: INWESTYGATOR KRÓLEWSKI, NA FRASUNEK LEPSZY NIŻLI TRUNEK! A na blaszanej zawieszce wycięto oko opatrności z odchodzącymi na boki promieniami. Pomógł mi umocować szyld u wejścia do gospody, by był dobrze widoczny, ale nagrody nie chciał przyjąć.

– Pokaż mi za to, czegoś się nauczył, bom słyszał, żeś u Italczyków pobierał nauki fechtów, i będziem kwita.

Poszliśmy na dziedziniec. Tak się zapamiętała, że zapomniał o czekającej go robocie i dopiero zmierzch przerwał nam zabawę. Musiałem mu obiecać, że jak najrychlej znów poćwiczymy.

Nazajutrz zaspąłem, więc zamiast na wykłady, postanowiłem odwiedzić Michała na strzelnicy, bo wiedziałem, że tego dnia będzie ćwiczył przed turniejem, który miał się odbyć za miesiąc. Nie zastałem go w nowej siedzibie bractwa kurkowego przy bronie Mikołajskiej, więc poszedłem na stary celestat. Był zwyczajny dzień roboczy, tedy oprócz Michała ćwiczyło tylko trzech innych zapaleńców. Mój szwagier miał stanowisko z brzegu błonia i właśnie celował z kuszy do deski z wymalowanym ptakiem, umieszczonej w odległości jakichś stu kroków.

– Niezgorzej – pochwaliłem, gdy oddał strzał.

– Tak sobie – rzekł, smętnie spoglądając na pierzysko bełtu widoczne u nasady ogona malowanego kura. – Ty trafiłbyś lepiej.

– Wątpię.

– Popróbuj – wręczył mi kuszę.

Napiąłem ją i nałożyłem bełt. Przybliżyłem łożę do policzka i szybko strzeliłem.

- Kiedyś ostatnio ćwiczył?
- Nie pomnę. Jesienią.
- Właśnie – pokiwał głową z rezygnacją. – I trafiłeś prosto w serce.
- Tylko że celowałem w łeb – odparłem zgodnie z prawdą.
- Tym gorzej. Aż boję się pomyśleć, jak byś strzelał, ćwicząc tyle co ja.
- Szkoda deliberować po próżnicy. Bierz kuszę.

Pośliniłem palec i uniosłem w górę.

– Jest lekki wiatr z północy. Zapomniałem wziąć poprawkę i dlatego mi zniosło bełt. Poza tym twoja kusza ściąga nieco w prawo i w dół, a ty zbyt długo mierzysz i ręce ci potem drżą, no i za gwałtownie ściągasz cyngiel. Aha, pokaż tego.

Wyjąłem zza pazuchy okulary, które specjalnie dla niego obstałowałem, i podałem mu. Już dawno spostrzegłem bowiem, że mruży oczy jak krótkowidz. Zawiązałem nić utrzymującą szkła na głowie i odstepiłem na krok, podziwiając swoje dzieło i odmienionego szwagra.

- I jak? Widzisz wyraźniej?
- Tak – odparł zdumiony.
- No to bierz się do dzieła.

Uniosł broń do oka. Tym razem celował znacznie krócej. Jego bełt utkwiał tuż obok mojego.

– Wygrasz! – klepnałem go w plecy. – Tylko przywykaj do noszenia szkieł. Idę, muszę jeszcze odwiedzić ojca Rocha, dawno go nie widziałem.

Zostawiłem Michała w zupełnie innym nastroju, niż zastałem. Po błysku w oku poznałem, że teraz uwierzył w zwycięstwo. A w gruncie rzeczy tylko tego mu brakowało – wiary w swoje umiejętności. Nie licząc szkieł i paru moich bezcennych rad.

- Nie na wykładach? – powitał mnie *pater*.
- Zrobiłem sobie urlop.
- Nie przeciągaj struny.
- Naprawdę ostatnio przykładałem się do nauki.
- Co słychać poza tym?

Opowiedziałem mu o niedawnych wypadkach. Westchnął.

– Masz swoje lata, więc nie będę ci suszył głowy – rzekł. – Ale bacz, byś się nie doigrał.

Sięgnął do pulpitu i zwrócił mi kartę z zagadką mistrza Twardowskiego, którą mu dałem, ufając w jego wiedzę i bystrość umysłu. Ale nie miał dobrych wieści:

– Nic z tego. Wprzódy myślałem, że te znaki tutaj – pokazał, o które mu szło – to *signa* wolnomularzy, lecz nie.

- Wolnomularzy?

– To takie sekretne bractwo muratorów, którzy w wiekach średnich budowali katedry. Mieli się za coś lepszego od pospolitych mularzy, wywodząc swe pochodzenie od Hirama, co postawił świątynię Salomona i zginął zamordowany.

Zdało im się, że potrafią uczynić świat lepszym.

– Istnieją do dziś?

– U nas chyba nie, lecz w zachodnich krajach, kto wie? Przyszło mi do głowy, że mistrz Twardowski podczas studiów w Wittenberdze mógł się z nimi zetknąć... O, spójrz na to znamię, przypomina cyrkiel, a to *signum* wolnomularzy. Ale te drugie... *Ergo* pomyślałem sobie, że może imć Twardowski przystąpił do bractwa różokrzyżowców...

– A to co znów za jedni? – zdumiałem się.

– Sekretne bractwo założone ponoć przed półtora wiekiem przez mnicha niemieckiego Christiana Rosenkreutza, a jak słyszałem, ożywione niedawno przez młodego teologa Johanna Andreaę. Łacno sobie wystawić, że mistrz Twardowski, sam wywodzący się z Niemiec, miał z nimi coś wspólnego. Co więcej, konfratry owego bractwa zajmują się tym samym, co mistrz: wywoływaniem duchów czy możliwością przedłużania życia poprzez wynalezienie eliksiru wiecznej młodości...

– I ci różokrzyżowcy używają znaków podobnych do tych? – stuknąłem w rebus, po raz nie wiadomo który oszołomiony rozległą wiedzą posiadaną przez mego opiekuna.

– Tego nie powiedziałem – zastrzegł. – Jednak zetknąłem się kiedyś z członkiem bractwa, Francuzem, który wszak mniej się zajmował zgłębianiem tajników magii, co o wiele praktyczniejszym szukaniem skarbów templariuszy...

– Tych rycerzy zakonników, co bronili Ziemi Świętej podczas krucjat w dawnych czasach? – popisałem się znajomością historii wtłoczoną mi swego czasu przez ojca Rocha i zdobytą z rozmaitych ksiąg.

– Tych samych – skinął głową. – Zostali potem przez króla Francji, łasego na ich bogactwa, oskarżeni o kumanie z diabłem Bahometem i wymordowani w majestacie prawa, jednak jakimś sposobem zdołali wcześniej pochować swe skarby, kryjówki opatrując sobie tylko znanymi znakami. Zdaje się, że oni wszyscy: templariusze, wolnomularze, alchemicy, magowie i różokrzyżowcy, są ze sobą w jakiś sposób powiązani. Ów Francuz, o którym ci wspomniałem, szukał skarbów templariuszy i co prawda niewiele znalazł, ale odkrył kilka sekretnych znaków, na które natknął się w podziemiach zamków i kościołów, a nawet udało mu się odgadnąć znaczenie niektórych. Pokazywał mi je w zaufaniu...

– Pamiętasz je? – przerwałem mu podniecony.

– Nie wiem... – zawahał się, ale podszedł do pulpitu, po czym narysował na karcie kilka znaków, objaśniając mi je przy okazji: – Ów kwadrat przepołowiony to ponoć dwa skarby, ta tarcza na osiem pól podzielona – kosztowności, ten labirynt – kamień filozoficzny, a znów owe zwoje – dokumenty, dzban – monety w nim schowane, a owa niby czwórka, znak Jowisza, przestrzega przed niebezpieczeństwem. Lecz – zniechęcony odłożył pióro, zmiął kartkę i cisnął na pawiment – jak widzisz, żaden z nich nie przypomina rysunków z karty mistrza Twardowskiego. Nie, to pospolite poema hieroglificzne. Bieda w tym, że ciężko go rozebrać. Musisz znaleźć

do niego jakiś klucz, synu, inaczej nie ruszysz z miejsca.

Czyli nic nowego – nadal wiedziałem tyle, co i przedtem.

– Może to kabała? – rzuciłem z nadzieją, na wszelki wypadek podnosząc z posadzki papier ze znakami templariuszy i chowając w zanadrze.

– Może, choć mi na to nie patrzy – odparł powątpiewająco. – Alchemicy zwykle znają się na kabale, lecz ja o niej pojęcie mam zgoła blade i nie znam nikogo, kogo mógłbym ci polecić w tym względzie.

Pater Roch, w przeciwieństwie do wielu wykształconych ludzi, gardził magią i kabałą, uważając ich zgłębianie za zajęcie jałowe, a pod jego wpływem i ja nie miałem szacunku dla tych nauk, których znajomość, tak jak teraz, mogła się jednak na coś przydać. W ogóle ludzie w naszych czasach dzielili się na dwa rodzaje: ufnych we wszelkie nadprzyrodzone dziwy (choćby niezgodne z prawdziwą wiarą) oraz niedowiarków, jak my dwaj czy Łukasz Górnicki, choć i nasze przekonania często kłóciły się z religią. Dla przykładu *pater*, a ja za nim wyznawaliśmy, w skrytości rzecz jasna, potępioną przez Kościół ideę Kopernikusa, nie mówiąc o wykonywanych przez nas sekcjach.

– Przykro mi – rzekł, widząc moje rozczarowanie. – A ten człek, Kettler, pokazał się?

– Nie – nikt mnie nie śledził, nikt nie kręcił się wokół domu, byłem tego pewny, zresztą pod moją nieobecność Nizioł miał baczenie na nasz zaułek.

– Może jednak umarł...

– Też żywię taką nadzieję.

– Zjesz ze mną obiad?

– Dziękuję, ale skoro zrobiłem sobie wolne, chcę spędzić trochę czasu z ciotką. Ostatnio nie czuje się dobrze.

– Kiedy byłem u was, widziałem, że jej katarakta dojrzała do zdjęcia. Nie możesz dłużej zwlekać. Chodź!

Zaprowadził mnie do izby, w której przeprowadzał operacje, i pokazał mi zestaw noży chirurgicznych.

– Bierz – rzekł. – I natychmiast po powrocie do domu weź się do roboty. Szkoda by było zmarnować tak słoneczny dzień.

Wybrałem sobie dwa małe noże.

– Pomożesz mi?

– Nie. Zaraz wyjeżdżam z miasta na wezwanie generała naszego zakonu, który ciężko zachorzał i chce, bym go leczył. Poradzisz sobie. Ale jeśli pójdzie coś nie tak, wezmę winę na siebie.

To miło z jego strony, bo gdyby rzecz się wydała, nigdy nie pozwolono by mi kontynuować studiów medycznych, ale gdyby operacja się nie udała, i tak nigdy bym sobie nie wybaczył. Wiedział, o czym myślę, bo położył mi rękę na ramieniu.

– Nie trap się. Będzie dobrze. Jest silna i młodsza ode mnie – była to prawda, zwykle zaćma doskwierała osobom znacznie starszym od ciotki.

I tak dzień, który miałem spędzić miło, lekko i przyjemnie, stał się dniem ważnej próby. Może i dobrze, że *pater* podjął decyzję i spadło to na mnie znienacka, bo dzięki temu ani ja, ani ciotka nie mieliśmy czasu się zdenerwować. Była tylko zaskoczona.

– Dziś? Teraz?

– Tak. Muszę tylko znaleźć kogoś do pomocy... – ani Sęp, zbyt delikatny, ani Nizioł, z dokładnie przeciwnego powodu, nie nadawali się na pomocników, ale zanim zdecydowałem się na którąś z dziewczek, ozwała się ciotka:

– Weź tego chłopca, Janka. Troszczy się o mnie lepiej niż rodzone dzieci – w jej głosie zabrzmiało typowe dla niewiast w tym wieku uzalanie się nad swoim opuszczeniem.

Poczyniliśmy stosowne przygotowania. Kiedy Janek uwijał się, wykonując moje polecenia, ja przerzucałem swoje notatki, które robiłem, obserwując ojca Rocha przy tej robocie, a także sięgając po przepisane z otrzymanych przez niego konsyliów uwagi innych doktorów, zwłaszcza Niemca, ojca Augusta Bartischa, Francuza Pierre'a Franco i Włocha Borgognoniego. Usunąłem wszystko z wielkiego stołu w jadalni, przysunęliśmy go do okna i położyliśmy ciotkę na nim, przywiązując ją do blatu szerokimi pasami płótna, aby unieruchomić ręce, nogi i głowę, lecz równocześnie aby nie wrzynały się w ciało. Znosiła to z podziwu godną cierpliwością, choć widziałem, że się boi. Napoiłem ją mocnym winem z korzeniami.

– Czy będę widziała jak wprzód? – spytała z nadzieją.

Pokręciłem głową z żalem.

– To niemożliwe. Jeśli się powiedzie, będziesz matuchno widziała dobrze na wyciągnięcie ręki, nie dalej. A jeśli się nie uda, oślepniesz całkiem. Musisz to wiedzieć, bo jeszcze jest czas.

– Niech się dzieje wola Boża. Zaczynaj.

Wcześniej kazałem Jankowi założyć świeżo wypraną koszulę i sam to uczyniłem, teraz dokładnie wymyliśmy mydłem ręce i przetarliśmy czystą szmatką twarz pacjentki, potem wyparzyłem we wrzątku, wedle przez siebie obmyślonej metody, mniejszy ze skalpeli pożyczonych od ojca Rocha.

– Spójrz na te zmętniałe źrenice i prawie żółte białka oczu – rzekłem do chłopca. – To obustronna katarakta. Muszę ją wyciąć.

– Co to takiego? – spytał z zaciekawieniem.

– To jest jak opony w oknach. Jedno i drugie nie przepuszcza światła. Teraz uważaj – uniosłem powieki chorej, żeby mu pokazać, jak ma je trzymać. – Ciotka nie może mrugać i w żadnym razie nie wolno jej zawierać oczu. Jeśli nie chcesz patrzeć, jak będę ciął, możesz odwrócić wzrok, byleś trzymał powieki.

– Nie trap się o mnie. Rób swoje.

Wystraszona i przytępiona wypitym winem ciotka nic nie mówiła, trzymając się jedynie kurczowo brzegu stołu. Wziąłem głębszy oddech, po czym szybko wykonałem drobne nacięcie przy prawym oku. Pacjentka drgnęła.

– Spokojnie, matuchno, już niedługo – powiedziałem kojąco.

Końcem lancetu podważyłem naciętą błonkę, od wewnętrznego kącika do zewnątrz, i po chwili odpadła. Wtedy zabrałem się do drugiego oka.

– Skończone – rzekłem, oddychając z ulgą. – Chyba wszystko poszło jak należy. Janku, przyłóż ciotce zimny kompres na oczy. Trzeba będzie go zmieniać co jakiś czas.

Spod zamkniętych powiek chorej wypłynęły łzy. Janek delikatnie je otarł i nałożył wilgotną opaskę.

– Dobrze się spisałeś – pochwaliłem go.

– Chcę być medykiem jak ty.

– Najpierw wyucz się porządnie łaciny.

Wezwałem Niziołka. Odwiązaliśmy pasy, przenieśliśmy pacjentkę z powrotem na łożo, przysunęliśmy stół na pierwotne miejsce, a wychodząc, Nizioł zabrał miednicę z brudną wodą.

– Idź odpocząć – powiedział do mnie Janek. – Ja się nią zaopiekuję. Kiedy można zdjąć opaskę?

– Niedługo.

Ścisnąłem pokrępiąco dłoń ciotki, choć chyba tego nie czuła, gdyż zasnęła wyczerpana operacją i lękiem. Już miałem zamknąć za sobą drzwi, lecz zawróciłem, usłyszawszy dziwne mamrotanie.

– *Oh, dukh andral jakha, dzia andro pani, dzia andral pani* [5]... – mówił Janek, równocześnie przemywając czymś oczy chorej.

– A cóż ty wyczyniasz?!

Obrócił się ku mnie gwałtownie, jak przyłapany na gorącym uczynku złoczyńca, i odparł obronnym tonem:

– To nic, to tylko zamawianie choroby oczu, wypędzanie złego. A to – pokazał miseczkę, którą jakoś zdołał przemyć do kownaty – źródłana woda zmieszana z szafranem. Można też demona wyprowadzić na „drogę śmierci”, mówiąc tak: „Dwoje oczu mam, dwoje stóp mam. Bólu z oczu, idź do stóp. Ze stóp idź do ziemi. Z ziemi do śmierci”, czyli zgiń, przepadnij. Nie gniewaj się na mnie, to jej nie zaszkodzi, a może pomóc.

Trudno się było na niego gniewać, zwłaszcza że zadał sobie wiele trudu, by znaleźć prawdziwą źródlaną wodę, a i wykosztował się na drogocenny szafran, postarałem się jednak, by w moim głosie zabrzmiał odpowiednio surowy ton i zdecydowanie:

– Skończ z tym natychmiast. Widzę, że najwyższy czas, byś zaczął także pobierać nauki prawdziwej wiary. Jak tylko ciotka wydobrzeje, a ojciec Roch wróci do miasta, zaprowadzę cię do niego. Nie mów nic – dodałem, widząc, że otwiera usta. – To postanowione.

Ciotka nie odmykała oczu przez dwa dni, nie dlatego że nie mogła, tylko z

obawy, którą dobrze pojmowałem. Cały ten czas Janek zajmował się nią z wielką troskliwością. Dlatego gdy ciotka w końcu zdecydowała się pozbyć opaski i okazało się, że operacja się powiodła, nie pojmowałem wyrazu, który pojawiał się w jej źrenicach za każdym razem, gdy spoglądała na Janka. Czaił się w nich strach. Zupełnie jak w spojrzeniach pozostałych służek, które schodziły chłopcu z oczu, gdy tylko się pojawiał, choć czynił to rzadko, wolny czas, po pomocy w kuchni przy przygotowywaniu jadła dla gości, spędzając w swojej izdebce na nauce. Było to tym osobliwsze, że zarówno Nizioł, jak i Sęp, czy nawet Gruby Stach zdawali się lubić chłopca.

Nie miałem jednak czasu, by się nad tym poważniej zastanowić, gdyż nie dawała mi spokoju zagadka Twardowskiego. W końcu udałem się na Rynek, do kramów bogatych, by przepytać na tę okoliczność Żyda Izaaka.

– Nie znam się dobrze na tym, ale to tu – stuknął sękatym paluchem w kartkę – z pewnością z kabałą nic wspólnego nie ma.

Widząc moją markotną minę, poklepał mnie po ramieniu i dodał:

– Za to chyba wiem, co oznacza ta liczba na górze. My, Żydzi, liczymy czas od początku świata. A zatem nasz rok 5330 to wedle waszej rachuby rok 1569 od narodzenia Jezui, zwanego przez was Jezusem, czyli teraźniejszy.

– Dziękuję, Izaak, bardzoś mi pomógł. Jestem zobligowany.

– To ja ci winienem wdzięczność, żeś mnie polecił do wykonania pieczęci. Przy okazji jego ekscelencja zamówił u mnie dwa pierścienie i jeden kosztowny łańcuch. Chcesz, to pożyczę ci każdą sumę. I wezmę tylko dziesięć od sta.

Wzruszony jego hojnością, nie skorzystałem jednak z propozycji, nie omieszkałem wszak, będąc w dobrym humorze, uszczypnąć na pożegnanie Rebekę w pewne krągłe miejsce poniżej pleców, co przyjęła jak zawsze z zadowoleniem. Pokrzepiony na duchu odkryciem Izaaka, bez trudu odgadłem znaczenie rzymskich cyfr w zagadce, a po lekcji łaciny z Jankiem nareszcie otworzyła mi się w głowie jakaś klapka. Klnąc w duchu na swoją niedomyślność, natychmiast zabrałem się do rebusu i tuż po północy miałem rozwiązanie. A rankiem umyślny przyniósł z Wawelu wiadomość od Górnickiego. List był krótki: „Pani Twardowska zniknęła przed paroma dniami na dobre. Jej kuzynka utrzymuje, że miała wyjść tylko na chwilę do miasta, lecz dotąd nie wróciła. Zabroniłem Maćkowi opuszczać Wawel. Strzeż się. G.”. A więc Kettler przeżył. Skończyło się oczekiwanie, teraz trzeba było działać. I to szybko.

– To pewne? – spytałem zaraz po powitaniu.

– Tak – odparł bibliotekarz. – Poszedłem tam osobiście, jak tylko Maciek przybiegł z wieścią. Jejmość Twardowska zniknęła jak kamfora.

– Może wróciła w rodzinne pielesze?

Górnicki pokręcił głową.

– Zostawiając wszystkie statki i całą gotowiznę? Niemożliwe.

Musiałem przyznać mu rację.

– Myślisz pan, że to sprawka Kettlera? – spytałem.
– A znajdujesz lepsze wytłumaczenie? – I znów musiałem się z nim zgodzić.
– Co teraz?
– Zostaje nam spenetrować piwnice pod Christophoros – rzekłem i dodałem skromnie: – Rozwikłałem zagadkę mistrza Twardowskiego.
Podąłem mu kartkę z rozwiązaniem. Maciek, który dotąd się nie odzywał, przycupnąwszy w kącie librarii, nie zdzierzył i także podszedł do stołu. Odczytany rebus brzmiał następująco:

11 lutego 1569

*Kto me arcana poznać pragnie,
Nie z mozołem do turris, lecz snadnie
Przez sień ku aula niechaj postąpi,
Za czym przez porta do ziemi wątpi.*

*Jeśli da cura, secretum zgadnie,
Co jest ukryty w diota na dnie.
Tam, pod figura, jam to pochował,
Gdziem swe mysteria odprawował.*

*Najdziesz tu charta, lecz draco swem
W lochu custodia sprawuje tchem.
Śmierci ujdzie, palma go ozdobi,
Kto ze speculum użytek robi [6].*

– Jak do tego doszedłeś? – w głosie Górnickiego zabrzmiał podziw, który sprawił mi przyjemność, choć przecież powinienem już przywyknąć; na szczęście stale ćwiczę się w cnocie skromności, więc zadzieranie nosa mi nie grozi.

– Przypadkiem – odrzekłem zgodnie z prawdą. – Datę odgadł za mnie pewien Żyd, a to, że za hieroglifami skrywają się wyrazy łacińskie, nie nasze, przyszło mi do głowy podczas lekcji łaciny. A powinno wcześniej, bo przecież mistrz dał to do zrozumienia, w ostatnim wersie pisząc „zwierciadło” po łacinie.

– Poemat do udatnych nie należy – zauważył mistrz Łukasz.

Byłem wyrozumialszy od sławnego pisarza.

– Trzeba darować panu Twardowskiemu, zapewne miał mało czasu i pisał na chybcika. Maćku – zwróciłem się do chłopca – bywałeś z mistrzem w jego pracowni w piwnicach domu Pod Krzysztofory, czy poznajesz miejsca wspomniane w wierszu?

Na wszelki wypadek, nie dowierzając jego znajomości łaciny, przetłumaczyłem mu łacińskie słówka.

– Byłem tam z mistrzem jeno dwakroć i za każdym wiązał mi oczy – odparł

Maciek. – Ale niektóre miejsca poznaję w samej rzeczy. Wchód do piwnic znajduje się zaiste za sienią na zadzi, wspólnej dla narożnej kamienicy i drugiej za nią, też należącej ongi do mistrza. Figura może oznaczać malowidło w pracowni mistrza, lecz jak tam dotrzeć, tego nie wiem. Droga jest kręta, trzeba przebyć wiele loszków i sklepów, czasem na czworakach. Raz mistrz kazał mi uczynić duży krok naprzód, to znów podnieść wysoko stopy, dworując sobie, że gdybym postąpił niezręcznie, miałbym głowę w dwóch połowach i ciężko byłoby je poskładać, ale jeśli bym coś podglądnął, tedy będzie jeszcze gorzej: za karę zamieni mnie w pajaka i wyekspediuje na Księżyc. Aha! Drugim razem mistrz, popychając mnie naprzód, zażartował: „Krzyżyk na drogę”. Może to nic nie znaczy, lecz widziałem w lochach krzyżyki wyrysowane na murze wyżej oczu patrzącego...

– Ostry z ciebie chłopiec – pochwaliłem go.

– Wybierasz się tam? – Górnicki posłał mi niespokojne spojrzenie.

– Będę musiał – w moim głosie brakowało entuzjazmu, gdyż nie uśmiechało mi się wcale błądzenie po omacku w podziemiach, omijanie przeszkód i pułapek, takich jak ta z opowieści Maćka, przed którymi Twardowski wyraźnie ostrzega w swym poemacie hieroglificznym, na domiar z zabójcą na karku.

Górnicki także zdawał sobie z tego sprawę.

– To niebezpieczne samo w sobie. A przy tym Kettler będzie cię śledził.

– Wiem. Może uda się z nim rozprawić wprzód, nim zejdem do lochów.

– Weźcie mnie ze sobą, panie! – wyrwał się Maciek.

Położyłem mu dłoń na ramieniu.

– Nie mogę, Maćku. Nie znając dobrze drogi, w niczym mi nie pomożesz, a tylko lękałbym się dodatkowo o ciebie.

– Obiecuj nam przynajmniej, że powiadomisz nas przed ekspedycją do lochów, abyśmy w razie czego mogli ci przybyć w sukurs.

Musiałem im to obiecać, zanim pozwolili mi odejść. Prosto z zamku poszedłem na Rynek, a potem pod dom położony za narożnym Christophoros z figurą świętego Krzysztofa [Z], który Twardowska sprzedała Stessiemu. Miałem nadzieję, że starowina z naprzeciwka trwa na posterunku, i nie omyliłem się. Był już początek czerwca, dzień piękny i słoneczny, więc siedziała przy oknie otwartym na oścież. Poznała mnie natychmiast.

– Ejże, młodzieńcze, próżna twoja fatyga. Jeśliś przyszedł do Italczyka, za wczas, boć jeszcze się tu nie sprowadził, a jeśli chcesz kupić Pod Krzysztofory – zachichotała – za późno, bo niedawno dom kupił Doraus Karniowski, z owych Karniowskich, co to od pokoleń „Piwnicę Świdnicką” pod ratuszem dzierżawia, sromotę jawną i zgorszenie cnych obywatelów czyniąc.

Doprawdy, czy zdarzyło się w mieście coś, o czym babina by nie wiedziała? Trochę zmartwiło mnie kupno Christophoros, oznaczało bowiem, że nie dostanę się stamtąd do piwnic. Z drugiej strony nie bardzo było czego żałować, skoro

Twardowski do swej pracowni przebierał się od podwórza, co znaczyło, że od Christophoros i tak nie ma do niej przystępu.

– A ja wciąż szukam pani Twardowskiej, babciu. Nie widzieliście jej aby ostatnimi czasy?

– A nie było jejności u Wojcieszkowej?

– Była, lecz zniknęła parę dni temu jak kamień w wodę.

– To by się zgadzało... – mruknęła staruszka.

– Co?

– Dużo by gadać – odparła. – Nie będziem przecie tak do się wołać przez ulicę, wejdź do domu, syn dogląda kramu w Rynku, tedy możemy spokojnie pogwarzyć.

Zakołatałem klekotem, otworzył mi stary odźwierny i przekazał drugiemu słudze, który powiódł na piętro, prawe *piano nobile*, ochędożone z *gustum*, jak przystało na Morsztynów, ród stary i zasłużony dla miasta.

– Sam tu! – usłyszałem i wszedłem do komnaty zajmowanej przez staruszkę.

Ukloniłem się jak dworzanin (podpatrzyłem tę sztukę na zamku), ona zaś gestem nakazała mi wziąć krzesło i usiąść mimo.

– Jak cię zwą, synku?

– Kacper Ryx.

– Chowaniec karczmarki Balcerowej, ów, co odzyskał skradzioną pieczęć królewską?

– Nic się przed tobą nie ukryje, babciu – rzekłem z niekłamany podziwem.

– A żebyś wiedział! Chodzić nie bardzo poradzę, aleć uszy i oczy mam szeroko otwarte. I właśnie, będzie z ośm lub dziewięć dni wstecz... Lecz wprzód wyjaw mi, co cię obchodzi jejność Twardowska?

Łypnęła na mnie przenikliwie. Nie chciałem kłamać nie tylko z obawy, że to wyczuje i nie zechce ze mną rozmawiać, lecz także dlatego, że zawsze wolę mijać się z prawdą jak najmniej. Za to, jeśli już zdecydowałem się kłamać, mało który łgarz mógł mnie w tym przewyższyć.

– Persony będące blisko osoby królewskiej i godne zaufania powierzyły mi odszukanie pana Twardowskiego, który zniknął bez śladu. Myślałem, że odnajdę go poprzez jejność Twardowską, lecz i ona zniknęła.

Wzmianka o możnych zleceniodawcach uczyniła stosowne wrażenie.

– Skoro tak, to mogę ci rzec, że chyba widziała panią Twardowską przed bodaj ośmiu dniami... Zmierkło już, a ja o zmierzchu gorzej widzę, więc pewności nie mam. Weszła do domu i już nie wyszła. A brama wprzód była otwarta, a potem znów zawarta. Cuda-niewidy, powiadam ci, synku.

– Jak to: otwarta, a potem zawarta? – zainteresowałem się.

– A tak. Nie słyszałeś, co spotkało moją kuchnię, Hankę? Mniemałam, iż całe miasto już o tym gada. A zresztą, niech ci sama powie.

Wzięła dzwonek leżący we wnęce okiennej i zadzwoniła. Po dobrych paru minutach zjawił się ten sam służący, który mnie tu przywiódł.

- Hanka poradzi już chodzić? – rzuciła stara.
- Chodzi, jeno o lasce – odrzekł.
- Tedy powiedz jej, że ją czekam.

Odszedł, a za niedługo usłyszeliśmy stukot i do komnaty wtoczyła się korpulentna jejmość z twarzą pyzată jak księżyc w pełni.

- Usiądź, Hanko – poleciła jej starsza pani. – Jak twoja noga?

– Już lepiej, moja jejmość – kucharka, onieśmielona, bo pewnie nieczęsto proszono ją na komnaty, przysiadła skromnie na brzeżku krzesła, wystawiając przed siebie obwiązaną płótnem stopę.

– Ten młodzieniec – staruszka wskazała na mnie – chciałby posłuchać o twojej przygodzie, zatem opowiedz wszystko jeszcze raz akuratnie jak na spowiedzi.

– Było tak – zaczęła niewiasta z oczyma błyszczącymi z przejęcia; z jej początkowego onieśmielenia nie zostało wiele. – Poszłam ci ja na Rynek, coby na Kurzym Targu [8] kogutka na niedzielny obiad dla państwa kupić. Bo to piątek był, dzień targowy, ale pora późna, ku zmierzchowi się zbliżało...

- Bo też zawsze czekasz na ostatnią chwilę! – zgaśniła ją pani.

– Jakby moja jejmość nie wiedziała, że wtedy najlepiej kupować, jak już chorągiew z drzewca ściągną – broniła się służka. – Wówczas ceny najniższe, bo chłopci do dom nazad spieszą i sporo utargować można.

Miała rację, zresztą wszyscy tak robili, a zwłaszcza przekupnie, bo dopiero wówczas, by nie zawyżać cen, wolno im było odkupywać od wieśniaków to, czego ci do tej pory nie przedali, a nie wcześniej, zwłaszcza rankiem, gdy chłopci dopiero ściągali na targ. Gospodyni też to wiedziała, a zrędziła tylko z przyzwyczajenia.

- No już dobrze, dobrze. Powiadaj dalej – burknęła.

Kucharce nie trzeba było dwa razy powtarzać. Potoczyła się nieskładna opowieść, co chwila przerywana dygresjami służki i uwagami starowiny. Pokróctce rzecz miała się tak:

Wracając z kupionym kogutem pod pachą, Hanka ujrzała, jak do bramy naprzeciw wślizguje się coś dużego i czarnego. Zaciekawilo ją to, wiedziała bowiem, że dom był chwilowo niezamieszkały, więc nacisnęła klamkę i brama niespodziewanie się uchyliła, a kurek skorzystał z okazji i smyrgnął do sieni, a potem na zadź i wprost w rozwarte drzwi do piwnic. Zawahała się, pomnąc gadkę, że Pod Krzysztofory zaczynają się srogie lochy, co ciągną się aż popod Mariacką farę. Lecz wówczas kogutek dał głos, więc śmiało zanurzyła się w loszek. Długo błądziła w ciemnościach i już miała zawrócić, gdy kur zapiał, rzuciła się zatem naprzód, potknęła i upadła. Powstając, namacała coś brzęczącego, co potem okazało się pełną kieską. Wówczas skoczyło na nią z mroku coś jeszcze ciemniejszego. Był to jakoby sam diabeł albo bazyliszek – z czarnymi skrzydłami, węzowym ogonem, kogucim grzebieniem na łbie, dziobem miasto gęby, ślepiami wielkimi jak talerze i czerwonymi jak rozżarzone węgle. To upewniło przerażoną niewiastę, że plotki nie kłamały –

mistrz Twardowski, czarną magią się parając, z diabłem w konfidencję wszedł i ów pod Christophoros się zagnieżdził.

– Ejże – nie strzymałem. – To czart czy bazyliszek?

– Diabeł pod postacią bazyliszka – odparła bez wahania, widać mając już tę kwestię gruntownie przemyślaną. – Ja w nogi, on za mną! Ucałował mnie za ramię, wtem nogą zaczepiłam o sznur jakowyś nad ziemią rozpięty, com go wcześniej widać jakoś ominęła... Padłam jak długa i wtenczas coś spadło z hukiem z góry, piętę mi jak nożem urzynając... – chlipnęła. – Nie wiem, jakim sposobem trafiłam do wyjścia.

– Wbiegła do domu z bosą nogą, rycząc i krwią brocząc – potwierdziła relację służki gospodyni. – Ale gdy syn wziął latarkę i sług dwoje i poszli ku bramie, ta zawarta na głucho się okazała i dobijanie na nic się zdało. Tyle z tego pożytku, że się Hance parę dukatów w znaleźnej kiesce ostało...

– Pięćdziesiąt bez mała – pochwaliła się kuchta. – I to.

Pokazała złoty guz, pięknie wyrobiony, z karbunkulem pośrodku, któremu dokładnie się przyjrzałem.

– Na odnowienie kaplicy Złoczyńców w Mariackiej farze znalezisko obróć. Ino niech na murze konterfekt mój jako fundatora odmalują ^[9] – rozmarzyła się.

Staruszka spojrzała na mnie, lecz ja już dowiedziałem się, czego chciałem, więc odprawiła służącą, a gdy ucichło jej kuśtykanie, rzekła:

– Lubi oprawiać ptactwo, ale nade wszystko kocha się w podziwianiu, jak przed farą tracą złoczyńców. Żadnej karności nie ominie i stąd jej zamiar pobożny się bierze – wyjaśniła, a mnie zimny dreszcz przeszedł po krzyżu na takie upodobanie. – I co ty na to? Hanka ma zbyt mało rozumu, by sobie rzecz całą zmyślić. Zali wierzysz, że zaiste diabła spotkała, który, jak powiadają, złota w piwnicach pod Christophoros strzeże, co go tam z jego pomocą mistrz Twardowski z piasku górę wielką narobił?

– Nie wiem, co myśleć – odparłem nie całkiem szczerze.

– Ale masz ochotę sprawę wyświecić, widzę to w twoich oczach – dociekała.

A gdy potaknąłem, kazała mi przyrzec, że jak tylko coś odkryję, opowiem jej o tym. Wyszedłem z gościnnego domu ciekawskiej starowiny umocniony w przekonaniu, że rozwiązanie wszystkich zagadek znajduje się podziemiach kamienicy Pod Krzysztoforą. Wracając do domu, miałem nieprzyjemne uczucie, że jestem pod obserwacją, więc od czasu do czasu zerkałem dyskretnie wstecz, lecz nikogo nie ujrzałem. Ale mrowienie w karku nie ustawało.

– Widziałem Kettlera – powitał mnie Janko, otwierając drzwi swojej izdebki, gdy się drapał na górę. – Wyglądałem cię przez okno, gdy on wysunął się zza kościelnego węgła i spoglądał za tobą w ślad, gdyś do domu wchodził.

– Jesteś pewny? – spytałem, przekraczając próg jego izby.

– Zawždy i wszędy rozpoznam te gadzie ślepie i białą gębę, choć ją pod kapeluszem skrywał, teraz jeszcze bledszą. Istna śmierć.

A zatem nie omyliło mnie przecucie. Podeszedłem do małego okienka i ostrożnie

zerknąłem przez szybę, ale nic nie zobaczyłem.

– Słuchaj – rzuciłem do Janka, który stanął za mną i nie wiadomo na co czekał – widziałeś mistrza Twardowskiego owego feralnego wieczora w karczmie „Rzym”. Pomnisz, jakiego miał guza u kołpaka?

– Pomnę. Złotego z wielkim karbunkulem pośrodku.

– Tak myślałem...

– A co?

– Nic, jeno zyskałem dziś pewność, że Kettler zabił Twardowskiego. Ejże, do nauki! Co to miałeś na dziś zadane? Koniugację? Zatem słucham: *habere*.

– *Habeo, habes, habet* – zaczął odmieniać przez osoby – *habemus, habetis, habent*.

– Dalej – poleciłem, nie odrywając wzroku od okna. – *Scribere*.

Ciągnął posłusznie:

– *Scribo, scribis, scribit...*

– Dalej. *Venire*.

– *Venio, venis, venit, venimus, venitis...*

– Jest! – zawołałem, ujrawszy kątem oka czarną postać wysuwającą się zza kościoła.

Stał tam i gapił się beczelnie na nasz dom, jakby chciał rzec: „Spójrzcie, oto żyję i wnet was dopadnę”.

– Nie! – ryknąłem, widząc, że z gospody wypada Niziołek z tasakiem w ręku i rzuca się na bielaka, widać rozpoznawszy go z mojego opisu.

Kopnąłem się do siebie, porwałem rapier i na łeb na szyję zbiegłem po schodach, mijając stojącego w drzwiach swej izby Janka.

– Idę z tobą! – zawołał.

– Ani się waż! Do ksiąg! – odkrzyknąłem i już byłem na dole, przeskakując po trzy stopnie na raz.

Za późno! Gdym wpadł na nasz Kącik, Nizioł zwijał się z bólu na tacie, rycząc jak zarzynany wół, a Kettler szykował się do zadania ostatecznego ciosu. Wiedziałem, że nie zdążę z pomocą. Wtem z okna mojej izby na facjatce trysnął płomyk, rozległ się huk, a kapelusz sfrunął z głowy zbira, zdmuchnięty wystrzałem. Dopiero wówczas *albino* poniechał swej ofiary i wnet zniknął mi z oczu. Nie ścigałem go. Z pomocą Sępa i kilku gości, których wywabiło z gospody moje nagłe wybiegnięcie i wystrzał, podniosłem leżącego w kałuży krwi druha.

Wspólnymi siłami z trudem dźwignęliśmy nieprzytomnego olbrzyma, jeszcze cięższego niż zwykle, zanieśliśmy do jego izby i złożyli na łożu, po czym wyrzuciłem stamtąd wszystkich z wyjątkiem Janka, któremu kazałem przynieść z góry moje narzędzia chirurgiczne, a z kuchni gorącą wodę. Przyklęknąłem przy wielkoludzie, który spoczywał cicho i bez zmysłów. Udo miał przebite na wylot, na szczęście sztych o włos minął tętnicę, dlatego jeszcze żył, ale i tak sporo krwi zeń wyciekło. Rozpiąłem pasek, by przewiązać udo powyżej rany, i miałem rwać spód koszuli do zatamowania

krwawienia, gdy smukła dłoń wśliznęła się jak wąż i przyłożyła czysty gałganek do rany. Janko!

– Kto ci zezwolił przerwać lekcję, nieproszony wchodzić do mojej izby i brać mój pistolet? – burknąłem surowo. – Ale strzał był przedni – dodałem już łagodniej.

– Kiepski, bo niecelny – burknął nierad z siebie.

Przez następne pół godziny zajmowaliśmy się nogą Niziołka, który o niczym nie wiedział, trwając w błogosławionym omdleniu. Wzdrygnął się raz, gdym przypalał ranę gorącym żelazem. Wreszcie skończyłem, zszywając rozcięcie. Byłem skonany.

– Straci ją? – spytał Janek.

– Tuszę, iż nie, chyba że wda się zgorzel *alias* gangrena, aleśmy dokładnie zażegli ranę, a pchnięcie było czyste, więc rokowania są dobre. Gorzej, że stracił wiele krwi...

– Jutro pójdę na Wendetę kupić świeżą wątrobę wołową – pomagając w kuchni, zdążył już nieco poznać miasto. – To najprzedniejszy medykament na ubytek posoki.

– Dobra myśl.

– Idź spać. Ja ostanę przy nim – powiedział Janek.

– Kto mu to uczynił? – spytał Sęp, gdym zszedł do izby karczemnej, żeby uspokoić domowników i druhów Nizioła, zatrwożonych jego stanem.

– Kettler.

– Będzie żył?

– Mam nadzieję – odparłem, co nie tylko Sęp przyjął z wielką ulgą.

Wypiliśmy lampkę wina za zdrowie olbrzyma, po czym poszedłem spać. Miałem rację, a Niziołek szczęście, bo już na drugi dzień doszedł do przytomności, rana zaś goiła się dobrze. Niemniej czekały go co najmniej trzy niedziele leżenia w łóżku.

ROZDZIAŁ 13 | LOCHY

We wtorek 28 czerwca pamiętnego roku Pańskiego 1569 nareszcie doszło do unii, zaprzysiężonej ostatecznie 1 lipca. Wedle życzenia Polaków przyjęto zasadę główną, „iż Królestwo Polskie i Wielkie Księstwo Litewskie jest jedno nieróżne i nierozdzielne ciało, a także nieróżna, ale równa Rzplita, która się z dwu państw i narodów w jeden lud i państwo zniosła i spoiła”. Zlikwidowano cła wewnętrzne. Wspólne miały być odtąd sejmy i rady, jednak zastrzeżono odrębność Litwy choćby w nazwie i urzędach, a przywileje i swobody obu narodów pozostawiono nienaruszone, zostały także odrębne skarby i wojska. Litwini musieli wszak składać przysięgę wierności „królowi i Koronie Polskiej”.

Do nastroju powszechnego braterstwa i *gaudium* przyczynił się król wielką solemniczają. Wszyscy społem, i Polacy, i Litwini, pociągnęli za Augustem, gdy mimo doskwierającej mu kamicy pęcherzowej i podagry, po zaprzysiężeniu unii w ulewnym deszczu dosiadł konia i ruszył z zamku do kościoła Franciszkanów na mszę.

I tak oto narodziło się najpotężniejsze państwo w Europie Środkowo-Wschodniej, Rzeczpospolita Obojga Narodów, jedyne takie w świecie dziwowisko, bo oparte na dobrowolnym połączeniu „wolnych z wolnymi, równych z równymi”.

Upewniwszy się, że księżyc jest w pełni, wróciła do kuchni, starając się zachowywać jak najciszej, choć było już dobrze po północy i wszyscy domownicy spali twardo. Sięgnęła w zanadrze i wyjęła pasmo zdobytych ukradkiem jego włosów. Wrzuciła je do rozgotowujących już się na małym ogniu pestek z jabłek. Zacięła się w palec lewej dłoni i pozwoliła, by kilka kropel krwi skapnęło do naczynia. Zestawiła garnczek z pieca, wygasiała ogień i czekała cierpliwie w ciemnościach, aż mikstura nieco wystygnie. Wyniosła rondel na zewnątrz i nabierając papki w usta, wolno ją przeżuwała, powtarzając co jakiś czas z twarzą uniesioną do księżyca:

– Żuję twe włosy, żuję swą krew! Z włosów i krwi niech powstanie miłowanie

nas obojga!

Skończywszy, odniosła naczynie do kuchni, po czym poszła na podwórze, tam, gdzie dziś on zostawił odcisk swej stopy. Przyłożyła go wcześniej kamieniem, by nikt nie rozdeptał śladu, teraz więc łatwo znalazła to miejsce. Starannie zagarnęła ziemię z odcisku, po czym podeszła do starej wierzby rosnącej w kącie podwórza i zakopała pod nią przyniesioną ziemię, mamrocząc:

– Przykrywam ślad twój ziemią! Kogo miłuję, niech będzie moim! Rośnij, rośnij, wierzbo. Smutek nie dla mnie. On trzonek, ja siekiera. On kogut, ja kura. Tego, tego chcę!

Wracając do swej izby, powtarzała w myśli: „Lizę twe serduszko, jem twoje oczy, piję twoje usta. Miłuję cię!”. Kładąc się spać, westchnęła i wyszeptwała:

– Spraw, Boże, by i on mnie pokochał.

Niepostrzeżenie nadeszło Boże Ciało. Całą rodziną oraz z Sępem i Jankiem wybraliśmy się na mszę do fary Mariackiej, którą w zastępstwie nieobecnego Padniewskiego koncelebrował infułat. Potem Andrzej dołączył do swojego cechu, który razem z innymi pod rozwiniętą chorągwią i w paradnych strojach brał udział w procesji, podobnie jak delegacje wszystkich klasztorów, kościołów, uniwersytetu i kurii oraz mnogi tłum wiernych. Ale na czele procesji, nawet przed wszystkimi dostojnikami, szli przedstawiciele bractwa kurkowego wraz z Michałem jako ptasim marszałkiem, dzierżącym okutą srebrem laskę. Na przodzie dumnie kroczył król kurkowy ze srebrnym kurem na piersiach, mając po bokach marszałka i starszego bractwa. Jankowi zaś oczy aż się śmiały do oglądanych wspaniałości, a to był dopiero początek tego, co nas czekało w najbliższych dniach.

W oktawie Bożego Ciała, w poniedziałek, dniu wielce stosownym ze względu na tradycyjne poniedziałkowanie, odbyło się „strzelanie o królestwo”, czyli miano króla ptasiego *alias* kurkowego. W tym roku Szkoła Strzelecka, zwana też Konfraternią Strzelców albo Bractwem Kurkowym, zyskała nowe *locum* dla celestatu z ogrodem – pomiędzy niższym zewnętrznym (zwanym przymurkiem i pobudowanym w czasach króla Włodzisława II) a wyższym wewnętrznym murem, przy bronie Mikołajskiej, a nie za nią jak wprzódy. Żywiłem niejaki *dubium*, czy obecny celestat okaże się dość pojemny dla wszystkich skorych oglądać strzelanie o królestwo, mimo iż sejm w Lublinie wciąż trwał, więc dworzan latoś nie należało się spodziewać, o królu nie wspominając, szlachty też bawiło w mieście mniej niż zazwyczaj.

Zaraz po porannej mszy z udziałem całego bractwa kurkowego wyruszył z kościoła Świętego Mikołaja za murami wielki orszak, ciągnąc przez Kijów *alias* Kotłowe ku bronie Mikołajskiej. Piękną figurę srebrnego kura, „klejnot pański”, niesioną przez króla ptasiego, Stacha Henkego, jak głosiła fama, ufundował dla szkoły i zamówił u krakowskich złotników sam król August. Prawdziwym fundatorem kura była jednak Rada Zawiadowcza Bractwa, złożona z rajców miejskich, obrana pięć lat temu wedle nowego statutu uchwalonego w 1564 roku.

Do nowego celestatu wchodziło się z lewej strony wieży bramnej, przez osłonięte daszkiem solidnie okute drzwi dębowe, nad którymi widniał napis: *Schola Iaculatoriae*. Naprzeciwko znajdowała się kordegarda strażników bramnych. Wyszliśmy z Margosią, Sępem, Jankiem i Andrzejem (ciotka i Hedwiżka zostały doma) za drugimi szczęśliwcami przez furkę na Ogród Strzelecki, wprost na przystawiony do wyższego muru budynek Szkoły Strzeleckiej z izbą bracką, skarbcem i zbrojownią, z wymalowanym na nim okazałym kurem, ptakiem będącym oznaką nocnego czuwania i ostrzegania przed niebezpieczeństwem. Wnet wypełniły się gapiami mury wycieczki i warownej bramki na jej końcu, wysoki mur miejski naprzeciw strzelnicy oraz wieża brony Mikołajskiej, baszty Barchanników i Czapników, a także dachy przylepionych do muru rozmaitych kleci.

Barwnie przyodziani członkowie bractwa, niestający do zawodów, utworzyli szpaler odgradzający strzelców od spektatorów. Nosili halabardy, tarcze oraz miecze u boku, ale już co do hełmów panowała większa różnorodność. Jedni mieli starszego typu łebki, niektóre z przyłbicami, drugie bez, salady i podobne do kapeluszy kapaliny, drudzy nowomodne szturmaki z daszkami i policzkami na zawiasach oraz łódkowate moriony z grzebieniami. Na kaftany o papuzich kolorach ponakładali stalowe napierśniki. Z ustawionych przed sobą na ziemi pawęży utworzyli mur nie do przebycia dla postronnych.

Na oczach gawiedzi i do wtóru okrzyków przyniesiono ozdobną skrzynkę. Dotychczasowy król włożył do niej klejnot pański, o który miała niedługo rozgorzeć walka, i powierzył go pieczy starszego bractwa. Cyler, czyli mistrz ceremonii, zwany też przysięgłym lub zaprzysiężonym, przystąpił teraz do starszego, siedzącego na podwyższeniu – *theatrum* – aby spośród trzech drewnianych kurów wybrać jednego i opatrzył go swym podpisem. Zaraz przytwierdzono kura do masztu, który następnie ustawiono do pionu przy baszcie Barchanników, dodatkowo mocując odciągami.

Kozerników, czyli strzelców biorących udział w zawodach, było tym razem niespełna pięćdziesięciu. Sporo, acz bywało więcej. Do strzelania o królestwo mogli stawać jeno ci, którym dobrą opinię wystawili starsi cechów. Byli pośród nich weterani celestatu, ale też młode wilczki, rade spletać figla bardziej doświadczonym. Wedle nowego statutu królem kurkowym zostawał ów kozernik, który strącił ostatni szczątek kura, marszałkiem zaś ten, co trafił przed nim. Henke, mistrz cechu kuszników, aktualny król, również w tym roku należał do faworytów, ale nie zamierzałem na niego stawiać. Wedle mnie głównym rywalem Michała był czeladnik rzeźniczy Kacper Raiman lub jeszcze kto drugi, spostrzegłem bowiem, że Henkemu znacznie przybyło sadła. Zresztą do zwycięstwa potrzebny był uśmiech fortuny, bo ostatnie trafienie zależało w dużej mierze od przypadku, wedle porzekadła: jak komu kostka padnie.

– Długo to potrwa? – spytał Sęp.

– Dwa dni – odparłem. – W zeszłym roku trwało trzy, ale wówczas kozerników stało niemal dwakroć więcej.

Ponieważ zakazano używać broni palnej, strzelano z łuków lub kusz, wedle upodobania. Jedni woleli długie na cztery łokcie cisowe łuki wedle angielskiej modły, drudzy swojskie, zwyczajnej długości, a jeszcze drudzy orientalne kamany, krótkie a mocno bijące. Również sajdaki i łubia bywały rozmaite – od bogato zdobionych na wschodni sposób po zgoła proste. A i kusznicy nie stanowili jednolitej gromady. Jedni używali starodawnych kusz, napinanych za pomocą haka u pasa. Kusze takie były celnie, ale łuki miały dość słabe. Drudzy woleli nowszy francuski mechanizm do napinania, zwany kozią nogą, inni angielskie kusze z oburęczną korbą mocowaną na końcu kolby. Ale największym wzięciem cieszyły się nowomodne niemieckie kusze z kołowym hewarem napinającym cięciwę, umieszczonym pośrodku broni. Taką właśnie kuszę miał Michał. Henke zaś szczyił się kuszą z mechanizmem własnego wynalazku, którego nikomu nie zdradzał, a znów Raiman strzelał z orientalnego łuku. Dwóch czy trzech strzelców posiadało wyrobione prawie całkiem w metalu kusze, z dźwignią połączoną z łożem na stałe; te służyły do strzelania nie bełtami, lecz kulami kamiennymi lub ołowianymi.

Starszy bractwa dał znak i rozpoczęło się strzelanie. Staliśmy blisko stanowiska strzelców, umiejscowionego opodal bramy, natomiast żerdź z ptakiem stała przy baszcie Barchanników oddalonej o jakieś sto kroków. Sporo. Co prawda dobry strzelec mógł z kuszy ubić nieopancerzonego wroga z sześciuset pięćdziesięciu kroków, ale już mało który trafiał z pięćdziesięciu kroków do kurzego jajca, a ze stu – jeno mistrzowie.

Na początek próbowali swych sił mało doświadczeni i nieznanymi kozernicy, dlatego tylko kilku zaliczyło trafienie, a kur był prawie nietknięty. Zanim do zawodów przystąpili najlepsi strzelcy, nastąpiła przerwa. Na znak cylera pacholki kopnęli się zbierać wystrzelone strzały i bełty, by zwrócić je kozernikom, którzy rozpoznawali swoje po pierzyskach. Andrzej chciał podnieść na duchu Michała, lecz go powstrzymałem, pewien, że Michał poradzi sobie z zaliczeniem trafienia, a wszelkiej możliwej pomocy będzie potrzebował dopiero nazajutrz. Tak też się stało; trafił pewnie, odłamując kęs skrzydła, i powiększył grono szczęśliwców, które ostatecznie urosło do dziewiętnastu kozerników.

Niedługo potem starszy bractwa ogłosił koniec strzelania na dziś i wszyscy się rozeszli. Kozernicy, którym się powiodło, w otoczeniu przyjaciół ciągnęli do szynków, by wspólnie świętować sukces. Wielu z nich jutro miało przypłacić to klęską, jaka dziś dotknęła młodego Raimana, któremu po wczorajszym pijaństwie w decydującym momencie drgnęła ręka. Przemykał teraz chyłkiem do domu, zupełnie samotny, ze wzrokiem wstydliwie wbitym w tret. Chcieliśmy i my zabrać Michała do gospody, choćby na jedną szklanekę wina, lecz wymówił się i pobiegł prosto do domu. Cóż, tedy usiedliśmy sami przy flasce, odprawiwszy Janka do nauki, a Margotkę do świekry.

Następnego dnia na celestacie zgromadził się jeszcze większy tłum. Z dziewiętnastu kozerników co najmniej kilku patrzyło na jeszcze wólpijanych i tym

nie rokowałem powodzenia. Tym razem cyler miał pełne ręce roboty, żeby ustalić kolejność strzelania, ponieważ żarty się skończyły. Kur miał dotąd utracone jedynie jedno skrzydło, i to niecałe, oraz mały kęsek drugiego, ale wystarczyło parę dobrze wymierzonych strzałów, aby został strzępek lub zgoła nic, nim ostatni przystąpią do strzelania. Stąd kłótnie i przepychanki.

Ponieważ zostali najlepsi (kilku pamiętałem z poprzednich zawodów), emocji było znacznie więcej niż wczoraj i gawiedź co rusz miała okazję okrzykami witać celny strzał. W pewnej chwili spostrzegłem, że strzelec tuż przed zwolnieniem cięciwy wzdrygnął się, jakby go coś ucięło, i oczywiście strzelił Panu Bogu w okno. Drugi kozernik tak chwiał się na nogach, że nie mógł trafić. Kolejny w momencie strzału uderzył się w policzek i machnął ręką, jakby się oganiał od uprzykrzonego owada. On także chybił. Zasię stary król, Stach Henke, trafił pewnie. Następny strzelec znów został użądlny i strzelił niecelnie. Zaniepokoiło mnie to, bo niedługo miał strzelać Michał.

– Janku, czy widzisz gdzie osy lub pszczoły? – spytałem.

– Nie.

– A ty, Sępie?

– Też nie – odparł, rozglądając się bacznie.

– Właśnie – rzekłem. – Tedy cóż żądli strzelców?

Nic nie odparli, a mnie przyszło nagle coś do głowy i zacząłem pilnie rozglądać się po gapiach. Szukałem jakiegoś psotnika lub psotników z procą, ale to, co dostrzegłem, zdumiało mnie tak bardzo, że aż musiałem się upewnić:

– Janku, Sępie, spójrzcie tam, na dach szopy między murem a basztą Czapników, czy widzicie to, co ja?

– Na Boga! – zawołał Sęp. – Otrok z jakowąś rurą przy gębie!

A więc wzrok mnie nie omamił – wciśnięty w załom muru, czaił się chłopiec w wieku Janka z łokciowej długości świstułą, którą, jak w tej chwili, przystawiał co jaki czas do gęby niewątpliwie po to, by wypuścić kolejny pocisk w kierunku składającego się do strzału kozernika. Trąciłem Andrzeja, samotnego dziś, bo Małgorzata została z matką doma. Spojrzał, gdzieś mu wskazywał, i poczerwieniał.

– Przebóg! A to łotr! – i dodał po chwili zaskoczony: – Znam go, to mały Klaus, uczeń Henkego!

– Myślisz, że są w zмовie? – zdziwiłem się, bo Henke cieszył się dobrą opinią w mieście.

– Wątpię, raczej na własną rękę chce się staremu przysłużyć. Trzeba natychmiast powiadomić starszego i cylera! – gorączkował się.

– Ja pobiegnę! – zadeklarował się Janek.

– Za późno! – powiedziałem, pokazując im Michała, który właśnie zajął stanowisko i poprawiał na nosie otrzymane ode mnie szkła.

W dwóch susach doskoczyłem do ostatniego w kolejce kozernika. Był to Janek Piątek, czeladnik piwowarski, którego znałem z widzenia, jako że jego mistrz

zaopatrywał w piwo naszą tawernę.

– Daruj! – rzekłem i wyrwawszy mu z rąk nabitą kuszę, błyskawicznie wymierzyłem i nacisnąłem cyngiel; kamienny pocisk, bo była to kusza na kule, pomknął do celu. – Dzięki! – wcisnąłem osłupiałemu broń w ręce i nim zdążył zareagować, wmieszałem się w ciżbę i wróciłem do przyjaciół.

Wszystko stało się tak szybko, że mało kto cokolwiek spostrzegł.

– Kula ugodziła w mur tuż przy głębie chłopca – ekscytował się Sęp. – Ukruszony kęs muru prasnął go w lico, aż się nicpotem nakrył nogami i na łeb na szyję stoczył z daszku. Wyborny strzał!

– Gdybyś wziął udział w strzelaniu, na pewno byś zwyciężył! – Janek wpatrywał się we mnie jak w obraz.

Do ostatniej tury weszło czterech kozerników, w tym Piątek. Ucieszyłem się, że moja nagła pożyczka nie zbiła go z pantałyku. Oprócz niego i Michała był w czwórce Stach Henke oraz młody mistrz garbarski z przedmieścia Garbary za broną Szewską, strzelający z orientального łuku, Francz Schode. Kiedy ostali się sami na placu, rozległy się wiwaty. Podczas gdy pachołkowie zbierali strzały i bełty z ogrodu, kozernicy pod okiem cylera losowali kolejność strzelania. Po minie Michała widziałem, że fatum nie było dlań łaskawe. Z kura pozostał jedynie strzęp. Jeśli strzelający przed nim nie chybią, Michał mógł nie mieć już do czego strzelać.

– Spokojnie, nie wszystko stracone – pocieszyłem markotnych towarzyszy.

Najmniej szans w tym gronie dawałem Piątkowi. I nie omyliłem się, bo choć Janek dobrze trafił, kula ześliznęła się z piersi ptaka i urwała jedynie resztkę ogona. Jako drugi przymierzył król kurkowy. Gawiedź wstrzymała dech, rachując na strzał kończący sprawę. I może by tak się stało, gdyby mistrz nie mrugnął w decydującej chwili, oślepiony błyskiem słońca. Bełt z jego kuszy zgórował odrobinę. Zamiast się rozpaść, kur postradał jedynie łeb do cna. Kiedy Schode szykował się do strzału, pożyczyłem od Sępa jego kapelusz z dość dużym rondem i wręczyłem go Jankowi, mówiąc:

– Biegnij do Michała i kiedy będzie się składał do strzału, zasłoń go tym od słońca. I powiedz mu, żeby wziął tycią – pokazałem jak małą – poprawkę na lekki wiatr od wschodu. I jeszcze daj mu to – wręczyłem mu specjalnie przyniesioną na tę okazję małą flaszkę z mocnym, korzennym winem. – Niech koniecznie łyknie sobie solidnie przed strzelaniem.

Już wczoraj zauważyłem, że Henke popija gorzałkę, zanim odda strzał. Stary wyga na pewno wiedział, co czyni. Nieopierzeni młodzieńcy upijali się przed zawodami, a potem byli do niczego, lecz odrobina mocnego trunku, spożyta w porę, przydawała spokoju i pewności dłoni i oku.

Francz strzelił dobrze, jednak jego strzała nie miała takiej siły rażenia jak bełt, więc ostatni szczątek wciąż czekał na szczęśliwca. Gdy Michał zajmował stanowisko, spoglądałem nań z dumą. Po tym, jak krzepko stał na szeroko rozstawionych nogach, widać było, że ufa w swe umiejętności, a pewnie uwierzył też, że tego dnia kapryśna

fortuna stała przy nim jak wierny pies. Nie spieszył się zbyt, lecz i nie zwlekał niepotrzebnie. Tak jak go uczyłem, płynnym ruchem przyłożył broń do oka, mierzył krótko i delikatnie ruszył cyngla. Bełt pomknął do celu, uderzył w sam jego środek i zniósł kura ze szczętem.

Trudno opisać harmider, jaki się wówczas uczynił. Wszyscy wrzeszczeli i wiwatowali na cześć nowego króla, a regiment należących do bractwa muszkieterów oddał z rusznic salwę w powietrze. Rzuciliśmy się ku Michałowi z gratulacjami, aleśmy się nie docisnęli, tak szczelnie otoczyli go konfratry i powiedli przed oblicze starszego, który dobyty ze skrzyni „klejnot pański” zawiesił Michałowi na szyi, po czym nowy król ptasi zasiadł na majestacie, machając do wiwatującego tłumu i unosząc „klejnot pański” nad głową. Następnie starszy wręczył okutą srebrem laskę drugiemu ze strzelców, Schodemu, nowemu marszałkowi kurkowemu, Henke zaś otrzymał cynowy półmisek z wyobrażeniem łba ptasiego, a Piątek takiż, jeno z wizerunkiem ogona.

Konfraternia uformowała pochód. Poprzedzany przez bracką kapelę muzykantów, nowy król kurkowy zstąpił z regimentu i ruszył na Rynek, by najpierw, wstąpiwszy do fary, podziękować modlitwą Bogu za łaskę zwycięstwa, a potem pod ratuszem odebrać dodatkową nagrodę od rady miejskiej – spisany i opatrzony pieczęciami jak należy przywilej uwalniający na rok od podatków i dający prawo sprowadzania bez cła rozmaitych towarów. I tylko widok Rozmusa Czeczotki zepsuł mi nieco tak piękny dzień.

Z wolna tłum się rozproszył, członkowie bractwa zaś i goście zaproszeni przez Michała na obligatoryjną „uczty królewską” udali się do naszej gospody, gdyż izba bracka na celestacie nie pomieściłaby takiej gromady, a nie było potrzeby urządzić, jak zazwyczaj, uczyty w drewnianym domu Rzeźników Na Kotłowym, skoro świekra Michałowa, dumna z wyniesienia zięcia, oddawała do dyspozycji tawernę. Udało nam się jakoś przepchnąć do Michała, kiedy już nacieszyły się nim i jego trofeum nasze niewiasty. Gdym mu winszował i macał pięknego srebrnego kura, którego dźwigał na piersi i miał prawo trzymać u siebie przez rok, poprosił mnie, bym mu go przechował.

Nim zająłem wyznaczone miejsce przy stole, Janko złapał mnie za ramię i szepnął z poważną miną:

– Znów go widziałem.

Nie powiedział kogo, nie musiał. Mnie również kilka razy mignęła czarna sylwetka.

– Ja też. A od tygodnia widzę wysiadujących przed gospodą obszarpańców, których nigdy wcześniej nie oglądałem.

– Jak myślisz, o co mu idzie?

Wzruszyłem ramionami, nie chcąc go niepokoić, ale podejrzewałem, że Kettler będzie tak krążył wokół jak wilk, dopóki nie nadarzy mu się sposobność... Jaka, tego nie byłem pewny. Może nie chciał przegapić chwili, gdy wyruszę po skarby czarodzieja, albo zamierzał porwać kogoś z moich bliskich, aby zmusić mnie do

wyjawienia tego, co jego zdaniem wiedziałem o legacie Twardowskiego.

Podczas uczyty Jadwiga znów poruszyła sprawę Doroty, o której już prawie zapomniałem. Westchnąłem, odstawiając od ust wyborny tokaj. Ponieważ gospoda była dziś zamknięta dla postronnych, a uczta prywatna, można było wystawić na stół wino, do którego wyszynku zwykłą koleją ciotka nie miała prawa.

– Jak zamyślasz się do tego zabrać? – dociekała.

Powiedziałem jej. Zaniemówiła.

– Jeśli się boisz, powiedz od razu. Z miłą chęcią o tym zapomnę – zastrzegłem.

Chwyliła mnie za rękę. Oczy jej błyszczały.

– Za nic bym tego nie poniechała. Kiedy to przeprowadzimy?

– Jak tylko skończę z drugą, pilniejszą sprawą. Wprzódę muszę też rozmówić się z Kasią-Anusią, bo od niej zawiśnie powodzenie – wskazałem usługującą nam hożą dziewczkę, która wciąż zwlekała z powrotem do rodziców.

– Już nie mogę się doczekać – Jadwiga stuknęła swoim kieliszkiem w moją szklanicę i pocałowała mnie.

Dwa dni potem, na zakończenie oktawy Bożego Ciała, kiedy to w procesji na Rynku brały udział nie tylko cechy krakowskie, ale i podmiejskie oraz Szkoła Strzelecka z Michałem jako królem kurkowym, wcześniej z rana zabrałem Janka i poszliśmy ku bramie Wiślniej. Przed farami Mariacką zbierały się delegacje cechów ze wszystkich przedmieść, ale większość gapiów zdążyła tam, gdzie my. Nagle rozległ się krzyk:

– Włóczki idą! – i ciżba ludzka pognała ku ulicy Wiślniej.

Pobiegliśmy i my. Mnogi tłum już oblepiał mury i kłębił się w szyi bramnej, na moście zwodzonym, a nawet poza murami, ale ja pociągnąłem chłopca w stronę pałacu biskupiego, gdzie tłok na razie był mniejszy, lecz na wszelki wypadek podsadziłem go na mur klasztoru Franciszkanów.

– Co się dzieje? Na co czekamy? – dopytywał.

– Cierpliwości.

Nareszcie buchnął pod niebo wielki harmider, z każdą chwilą narastający. Również tłum wokół nas zgęstniał. Najpierw pojawił się chorąży Konfraterni Włóczków z wielką chorągwią bractwa, przedstawiającą z jednej strony Orła Białego, z drugiej herb Krakowa. Potem ujrzeliśmy gromadę mlaskotów, czyli przebierańców udających Tatarów i czyniących mielnicstwo: płaszających, fikających kozły i niesłychanie hałasujących waleniem w kotły, grą na piszczałkach, cymbałach i czym tam jeszcze. Dwóch miało samopały i od czasu do czasu palili w powietrze. Nareszcie zobaczyliśmy jego – tatarskiego chana. W zwieńczonej półksiężycem szpiczastej czapie na kudłatej głowie, z brodatym licem, odziany we wschodni barwny kaftan, w szarawarach i czerwonych butach z zadartymi noskami, jataganem oraz łukiem i strzałami w bogatym sajdaku u boku i buławą w dłoni, harcował na okrytym kolorowym kropierzem drewnianym koniku ze śmiesznie małym łbem ozdobionym kitą z piór.

– Hulaj, hulaj, koniku! – zachęcali go gapie.

Inni śpiewali:

Nasz lajkonik, ten lajkonik

Po Krakowie ciągle goni.

Laj, koniku, laj, laj,

Poprzez cały kraj, kraj.

– To konik zwierzyniecki *alias* lajkonik! – wrzasnąłem do ucha Jankowi, przekrzykując wrzawę.

– A co on za jeden?

– Potem ci wytłumaczę, teraz patrz.

Dotarłszy przed bramę pałacu biskupiego, lajkonik począł płaszać i kłaniać się, a chorąży pochylili z uszanowaniem chorągiew, po czym również z nią zatańcował. Taniec ów zwał się *urbem salutare*. Okno nad wejściem otworzyło się, ekscelencja pobłogosławił lajkonika i jego świtę oraz zgromadzonych, a sekretarz cisnął pękata sakiewkę, którą konik zwierzyniecki zgrabnie pochwycił, po czym ruszył ulicą Wiślną do Rynku.

– Lej! – krzyknął ktoś i tłum podchwycił okrzyk: – Lej! Lej!

Nie przerywając harców, lajkonik zaczął swoją buławą rozdawać lekkie razy na prawo i lewo, ludzie zaś rzucali mu datki.

– To na szczęście – rzekłem, ściągając z muru Janka. – Osobliwie dla panien i kawalerów, którym zwiastuje rychły ożenek.

– Więc na co czekamy? Gońmy go! – zawołał wesoło i pociągnął mnie za sobą.

Po drodze mu wyjaśniałem:

– Ponoć za czasów księcia Leszka Czarnego, gdy Tatarzy po raz trzeci najechali Polskę, na szturmujących Kraków pohańców od zady napadli włóczkowie, czyli flisowie z leżącego za murami Zwierzyńca, pogromili najezdników i zabili ich wodza, którego strój wdział hetman włóczków i tak z towarzyszymi wjechał do miasta, podejmowany z honorami. Odtąd od prawie trzystu lat, w oktawę Bożego Ciała, na dziedzińcu klasztoru Norbertanek na Zwierzyńcu zbiera się kompania lajkonika z nim samym na czele, składają hołd ksieni klasztoru i proboszczowi miejscowego kościoła, otrzymując w zamian datek, po czym ciągną ku Krakowowi.

Gdyśmy dotarli pod farę Mariacką, lajkonik i pozostali włóczkowie przykładowie wzięli udział w mszy i procesji wokół Rynku, ale zaraz potem rozpoczęli igry na nowo, zaglądając do wszystkich gospód i szynków w Rynku. Pod ratuszem lajkonik i chorąży znów odtańczyli *urbem salutare*, tym razem dla rajców i burmistrza, a otrzymawszy puchar wina i pękata sakiewkę, skierowali się ku bronie Wiślnej, mocno wszak chwiejnym już krokiem. Nim opuścili Rynek, między włóczkami doszło do kłótni i bójki, aż musieli interweniować strażnicy przysłani z ratusza.

– Któregoś dnia zabronią im wstępu do miasta – powiedziałem, zagarnąłem Janka

ramieniem i wróciliśmy do domu. – Podobało się?

– Bardzo.

A mnie mniej, bowiem znów dostrzegłem Kettlera i pojąłem, że muszę się pospieszyć i uczynić, com zamyślił, zanim on mnie ubiegnie. Dlatego nie zezwoliłem Jankowi iść nad Wisłę w najkrótszą noc w roku, gdy wszystkie dziewczki czeladne wybierały się na sobótki. Gdy się napraszał, odparłem wykrętnie:

– To panięskie święto.

– A cóż one wtenczas czynią? – zaciekał się.

– Gromadzą się w odludnych miejscach, byle u wód: Rudawy, Wilgi, a osobliwie Wisły pod Wawelem, palą ogniska, skaczą przez ogień i płasają wkoło niego, śpiewają sprośne piosenki, kąpią się, a na koniec puszczają na wodę wianki przez się uplecione z ziół rozmaitych, a szczególnie bylicy...

– Po co?

– Kąpią się, aby zmyć nieszczęścia z przeszłego roku, dając wiarę, że po takiej kąpieli wszystko lepszy obrót przybierze. A w wianki wkładają kaganki albo świece. Jeśli nurt porwie wianek i z prądem go wartko niesie, a wiatr płomienia świecy nie zagasi, tedy dziewczka za mąż nierychło pójdzie. Lecz skoro płomień zgaśnie albo wianek w szuwarach ugrzęźnie, tedy źle to jej całkiem wróży. Czasem młodzieńcy, zaczajeni w krzakach na brzegu albo w łódce, starają się wianek lubej wyłowić. Skoro im się to powiedzie, dobra to dla obojga wróżba – wrychle ślub ich czeka i szczęsne małżeństwo...

– A zatem nie tylko panny bawią się dzisiejszej nocy? – zażył mnie chytrze.

– No tak – musiałem przyznać. – Tak powiadają, ale to bajdy i pogański jeszcze obyczaj, królownie Wandzie, co w nurt Wisły się rzuciła, poświęcony. A choć nazajutrz wypada święto Jana Chrzciciela, co Pana Jezusa w Jordanie ochrzcił, to Kościół krzywo na ów zwyczaj spogląda, diabelskim go obzywając. Ergo nie zezwalam ci na nocną wycieczkę i basta.

W zamian zabrałem go następnego dnia na Rynek, gdzie hucznie bawili się scholarzy, którzy z rana obrawszy „króla żaków”, mieli dokazywać i hulać przez całą oktawę. Poprzebierani cudacznie, tworzyli królewski orszak. Nawiedzając kramy, nakłaniali przekupniów do datków lub poczęstunku, wyśpiewując na głos sławną starą pieśń zwaną *Breve regnum erigitur* ^[1]. Sprawdzając jego znajomość łaciny, tłumaczyliśmy z Jankiem słowa pieśni, kończącej się tak:

*...ten królewski wybór
Jest nauki zaniedbaniem,
Osamotnia też lektorium
Przez calutki długi tydzień.*

Ponieważ, jak to stało w pieśni, zajęcia na uniwersytecie zawieszono na tydzień, postanowiłem dłużej nie odwlekać zejścia do lochów, choć było niemal pewne, że

jeśli nie wpadnę w jakąś pułapkę zastawioną przez czarnoksiężnika, to zginę z ręki bielaka. Zwłaszcza że z pomocy Niziołka nie mogłem skorzystać, a Sępa, Janka czy Maćka nie chciałem narażać. Musiałem to zrobić sam. Postanowiłem wyruszyć tej nocy, zostawiając jedynie na stole kartkę, by wiedziano, gdzie szukać tego, co ze mnie zostanie, gdybym nie wrócił. Wieczorem podsypałem świeży proch na panewki pistoletów, które zatknąłem sobie za pas obok rapiera i sztyletu. Do sakwy wrzuciłem latarkę, kilka świec, krzesiwo i hubkę oraz spore zwierciadło, na łokieć szerokie, które zdjąłem ukradkiem z paradnej izby ciotki, gdy usnęła. Gadanie Hanki o bazyliisku czyhającym w piwnicach Christophoros nasunęło mi bowiem pewien koncept rozprawienia się z Kettlerem, potrzebowałem więc zwierciadła nie tylko dlatego, że bez niego nie mógłbym rozwiązać zagadki pana Twardowskiego.

Tuż przed północą, gdy cały dom pogrążony był we śnie, niezauważony wymknąłem się na zewnątrz. Żebrak, śpiący pod kościelnym murem, chrapał głośno, ale nie wątpił, że dokładnie zakarbował w pamięci moje wyjście. Ciekawe, gdzie Kettler czekał na wieści. Na pewno podnajął kwaterę nieopodal. Gdym chyłkiem podążał pustymi i mrocznymi ulicami, nie słyszałem za sobą żadnych kroków, ale śmierć zawsze nadchodzi bezszelestnie. Na razie jednak nic mi nie groziło.

Brama nie nastęrczyła mojemu wytrychowi najmniejszych trudności. Dźwierze lekko skrzypnęły. Rozejrzałem się szybko. Nic. Wśliznąłem się do sieni i zamknąłem bramę od środka. Nie spodziewałem się, że zatrzyma Kettlera, lecz przynajmniej trochę go zajmie. Poza tym, gdybym ułatwił mu sprawę, mógłby nabrać podejrzeń. Wydobyłem latarkę, skrzesałem ognia i zapaliłem ją. Jak stało w zagadce i zgodnie z objaśnieniem Maćka, przeszedłem sień, a na podwórzu skręciłem w prawo. Znalazłem *porta* i po krótkiej manipulacji przy zamku solidnych, dębowych drzwi, zstąpiłem „do ziemi wąpi”. Jak dotąd szło jak z płatka, lecz nie łudziłem się. Jeszcze parę kroków, a niechybnie strop spadnie mi na głowę albo ja wpadnę do jakiejś dziury, albo zje mnie bazylisek... W odwodzie zaś jest Kettler, a na nim mogłem polegać jak na Zawiszy. Jeśli z życiem wyjdę z tych lochów, będzie to traf graniczący z cudem.

Nawet gdybym chciał, nie mogłem się już wycofać. Nic przede mną nie było gorsze od tego, co czyhało z tyłu. Westchnąwszy, ruszyłem w drogę, pilnie szukając krzyża powyżej poziomu oczu. Początkowo sklepy były wysokie i przestronne. Bez najmniejszej trudności minąłem dwie czy trzy takie piwnice, po czym znalazłem się w hali niemal tak ogromnej jak kościelna nawa, ze sklepieniem podobnym do kolebki lub beczki. To na tej piwnicy zapewne zależało Stessiemu, gdy kupował kamienicę. Upewniłem się w tym, wchodząc do następnego pomieszczenia. Było mniejsze, lecz wyższe, miało lśniące od sadzy ściany i wiodący w górę kanał, do którego na upartego mógłbym się wcisnąć. Nagle olśniło mnie, że stoję pośrodku ogromnego pieca z kominem! To tutaj z pewnością Włoch chce wypalać swoją farfurę, a sąsiednia piwnica ma mu posłużyć za skład gotowych naczyń.

Tu droga się kończyła. Ocenilem, że jestem mniej więcej na przecce obu kamienic należących niegdyś do Twardowskiego. Pracownia mistrza powinna znajdować się

pod narożnym Christophoros. Ale jak tam się dostać? Nie było żadnych drzwi ani przejścia, tylko wnęka. Daremnie szukałem znaku krzyża, za to nad wnęką zobaczyłem dwa nachodzące na siebie koła. Coś mi to przypomniało. Sięgnąłem po kartkę, swego czasu zapisaną przez ojca Rocha znakami templariuszy, którą przezornie zabrałem ze sobą. Nie omyliłem się – ten znak powiadał: „idź prosto”. Uznałem to za przedni żart, ale z braku innych możliwości przyjrzałem się wnęce. Wyjąłem sztylet zza pasa i ostukałem ścianę niszy. Nic. Naparłem na nią ramieniem. Obróciła się na osi i po chwili znalazłem się po drugiej stronie, a pozorna ściana wróciła do poprzedniego położenia.

Nie przypuszczałem, by ta przeszkoda zatrzymała Kettlera dłużej niż mnie. Zasada pierwsza – jeśli chcesz przeżyć, nie lekceważ przeciwnika. Loch za ukrytym wejściem okazał się ciasny i dość niski, poza tym wnet się rozdzielił. Nad jedną z odnóg znalazłem wydrapany znak krzyża i tam skręciłem. Do tej pory mogłem iść prawie wyprostowany, więc kiedy musiałem pochylić się mocno po raz pierwszy, byłem bardzo ostrożny i uważnie patrzyłem pod nogi, szczególnie przed przejściem do następnej piwnicy. W rzeczy samej, była tam, na wysokości łydek, nić. Cienka, lecz mocna, jedwabna. Uniosłem latarnię i spojrzałem w górę. Mechanizm był prosty i działał jak brona w bramie. Przerwanie nici powodowało opadnięcie osadzonej w murze stalowej płyty z zaostrzoną krawędzią. Cięła jak topór kata. Miałem odrobinę nadziei, że wracając, natknę się tu na równo odciętą głowę Kettlera szczerzącą ku mnie zęby i będę mógł się uśmiechnąć w odpowiedzi, ale tak naprawdę nie liczyłem aż na takie szczęście. Zasada wtóra – umiesz rachować, rachuj na siebie. Na razie znalazłem zakrwawioną niewieścią cizmę i pojąłem, że to tu kucharkę Hankę spotkało nieszczęście. Ale jakim sposobem dotarła aż tutaj? Pewnie ten, kto wszedł przed nią do lochu, zapobiegliwie zablokował ruchomą ścianę i zostawił ją w otwartym położeniu. Dopiero potem zasunął przełaz z powrotem. Ta pułapka też została zastawiona na nowo – nić była czysta i nowa. A więc nie mogłem liczyć, że któraś z pułapek zatrzyma Kettlera, skoro on poznał je lepiej ode mnie, a niektóre sam na nowo nastawił. Niemal czułem jego rozterkę – z jednej strony chciał, abym go doprowadził do ukrytych skarbów, więc chętnie usunąłby mi spod stóp wszelkie przeszkody, z drugiej zaś musiał wszystko urządzić tak, jak to ostawił Twardowski, abym nie nabrał większych podejrzeń, niż miałem. Zaufał mojej bystrości i nie wziął mu tego za złe.

Dwie lub trzy piwnice dalej natknąłem się na taką samą pułapkę. A potem korytarz znów obniżył się i rozdzielił. Tym razem próżno wypatrywałem krzyżyka wytyczającego trakt. Za to nisko, może łokieć nad ziemią, zobaczyłem inszy znak – jakby przekreśloną na ukos literę S. Tym razem nie musiałem zaglądać do kartki, zapamiętałem to *signum*. Powiadało: „skręć w lewo”. *Ergo* skręciłem, dochodząc zwiężającym się korytarzem do kolejnych masywnych drzwi, przed którymi leżała duża kamienna płyta zachęcająca do wstąpienia na nią. Dlatego nie uczyniłem tego. Znalazłem pod murem dużą cegłę i położyłem ją na skraju płyty. Natychmiast

obróciła się na trzpieniu umieszczonym pośrodku i cegła wpadła w otchłań pod spodem. Po długiej chwili usłyszałem plusk, a w tym samym czasie idealnie wyważona płyta wróciła do pierwotnego położenia, ja zaś uczyniłem wielki krok i pchnąłem drzwi, których nie zamknięto na klucz. Widocznie mistrz Twardowski nie przypuszczał, by ktoś niepowołany dotarł aż tutaj. Przez otwarte drzwi wtargnął do tej partii lochów strumień świeżego powietrza, który ustał nagle, gdy zamknąłem przełaz.

Straciłem orientację. Piwnice były tu mniejsze niż na początku, połączone wąskimi korytarzami i przejściami wybitymi w grubym murze. Gdyby nie pojawiające się co jakiś czas krzyżyki i drugie *signa* nakazujące skręcić wte, wewte lub iść prosto, nie miałbym pojęcia, dokąd mam podążać. Podejrzywałem, że kręcę się w koło i wciąż jestem gdzieś pod Christophoros. Od czasu do czasu widziałem w górze zakratowane okienka. Za dnia pewnie wpadało tamtędy światło z ulicy. Ale od dawna nie natknąłem się na żadne okno. Nagle wszedłem do dość obszernego lochu, a w nim natrafiłem na duży piec z kominem, wyrobiony na kształt stożka. W powietrzu woniało spalenizną. Czuję przez skórę, że pracownia pana Twardowskiego musi być w pobliżu. Tuż przy piecu odchodziły dwa korytarze. Wybrałem szerszy i znalazłem się w kilku obszernych sklepach położonych w szeregu i zaopatrzonych we wnęki, które niewątpliwie były zamurowanymi oknami. Po raz pierwszy wyraźnie poczułem wilgoć. Dotknąłem ściany – była mokra. Coś zmierzwiło mi włosy. Uniosłem latarkę i ujrzałem korzenie, które przebiły się przez sklepienie. Już wiedziałem, gdzie jestem. Na terenie pod Rynkiem!

Powiadali starzy ludzie, że jeszcze kilkadziesiąt lat temu Rynek wyglądał zupełnie inaczej niż dziś. Piwnice, w których się teraz znajdowałem, tworzyły wówczas nadproża wychodzące parę kroków przed lica domów i kamienic. Lecz za króla Starego nadsypano na Rynku ziemi na chłopa wysoko, aby całkowicie przykryć nadproża, dla zapobieżenia częstym pożarom kazano wyburzyć drewniane ganki nad nimi, strome dachy zaś spłaszczyć i środkiem pograżyć, a frontowe mury wyciągnąć w górę i ozdobnie zakończyć.

Teraz byłem skłonny uwierzyć, że jak fama niosła, z lochów Pod Krzysztofory dało się pod ziemią przedostać na drugi kraniec Rynku, aż pod farę Mariacką. Wróciłem do loszku z piecem, tym razem odbiłem w lewo, jeszcze raz w lewo i trafiłem na sporą, ślepą niszę z półkolistym jakby oknem. Ponieważ było aż lepkie od sadzy, pokrywającej je grubą skorupą, wycofałem się i precyzyjnie przeczesałem przez wąski korytarz. W tej chwili przygasła mi latarka, więc zmieniłem świecę i dopiero wówczas mogłem się rozejrzeć.

Ta piwnica nie dorównywała wielkością tej, która tak spodobała się Stessiemu, że kupił całą kamienicę, ale była też spora. Wydawało mi się, że jestem pod samym narożnikiem domu Pod Krzysztofory, między Rynkiem a ulicą Szczepańską. Kiedyś piwnica miała okna wychodzące na ulicę, ale zamurowano je. Gdy światło latarki ogarnęło wnętrze, omal nie krzyknąłem z radości. Znalazłem pracownię mistrza Twardowskiego!

Kąt po lewej zajmowało palenisko, niewielkie, podręczne, z którego dym uchodził przez owo łukowate okienko do niszy, a potem do następnego lochu, tego z dużym piecem. Mimo to cała wnęka była czarna od sadzy, w palenisku jeszcze znajdował się popiół i stał w nim mały kociołek na drajfusie, a obok leżał również niewielki skórzany miech do niecenia ognia. Na wprost, na drewnianych półkach, widniało podobne, tylko znacznie obfitsze wyposażenie jak w „akademii” mistrza na Tetyncie, wokół zaś unosił się osobliwy, nieprzyjemny fetor, którego nie potrafiłem określić. Może gniło jakieś paskudztwo pozostawione w którymsz z garnków?

Dwa duże kandelabry wiszące u stropu zapewne mogły niezgorzej rozświetlić pracownię, lecz nie miałem zamiaru ich zapalać. Odwróciłem się i zaparło mi dech. Światło mojej latarki wydobyło z mroku malowidło na ścianie, niegdyś pewnie soczyście kolorowe, teraz już mocno wyblakłe, gdyż wilgoć i upływ czasu dały mu się we znaki. Podszedłem bliżej. Niewątpliwie to była owa *figura*, pod którą mistrz odprawiał swe *mysteria* i gdzie należało szukać rozwiązania zagadki. Malowidło przedstawiało jakieś wijące się, mocno splecione zioła, niektóre o przedziwnych liściach i owocach. Pośród nich wił się także, początkowo przegapiony przeze mnie, bo mocno już zatarty napis: *In vino veritas* [2]. Człek podpity niechcący mówi prawdę, to rzecz ogólnie znana, ale czy o to chodziło mistrzowi? Miałem już serdecznie dość pana Twardowskich zagadek i rebusów. Skoro jednak zaszedłem tak daleko... Skupiłem się i po chwili przyszło olśnienie. Odszukałem wzrokiem pęd winorośli i przybliżywszy latarnię, pośród kiści winogron znalazłem niepasującą do rysunku grubą, przekreśloną buksabą „x” kreskę. Znów wyjąłem kartkę od ojca Rocha i po chwili już wiedziałem, co ów znak głosił: „szukaj nad ziemią”. W miarę jak schodziłem wzrokiem w dół, moim oczom ukazywał się wizerunek smoka, którego długie, łuskowate cielsko wyginało się na kształt owych roślin powyżej, tak iż trudno go było od nich odróżnić, zwłaszcza że im bliżej gruntu, tym rysunek był coraz bardziej zżarty przez wilgoć.

Przyklęknąwszy, postawiłem latarkę na ziemi i pochyliłem się, dostrzegając smocze pazury, dziwnie podobne do kogucich, a między nimi aż trzy znaki: w słupek przepołowiony kwadrat, poziomą kreskę z prostokątem na końcu i kilka pionowych kresek. Sprawdziłem je. Znaczyły kolejno: „dwa skarby”, „dziewięć kroków”, „bądź czujny”. Czemu akurat dziewięć? Podejrzywałem, że ów Francuz, znajomek ojca Rocha, znalazł coś w tej właśnie odległości od owego *signum*. A może dziewiątka miała jakieś znaczenie dla templariuszy?

Ruszyłem w lewo, odliczając kroki. Im dalej szedłem, tym intensywniejszy stawał się przykry zapach, który poczułem już wcześniej. Uszedłem pięć kroków, gdym ujrzał przed sobą stertę łachmanów. To one wydawały z siebie ów fetor. I nie dziwota, skrywały bowiem ludzkie szczątki, w stanie dalekiego rozkładu. Po koralach na szyi i kolczykach w uszach poznałem, że to niewiasta. Wyjąłem chustkę i przytykając ją do nosa, pochyliłem się nad nieboszczką. Obu dłońmi trzymała się za szyję, jakby się

sama udusiła, boć nie widziałem nigdzie śladów gwałtu. Inna rzecz, że ani myślałem dokładnie oglądać ciało. Obok leżał przewrócony dzban, z którego częściowo wysypały się złote monety. Jak na skarb nie było ich zbyt wiele, być może Twardowski trzymał je na czarną godzinę albo posłużyły tylko do zastawienia pułapki. Spostrzegłem też otwartą skrytkę w murze z wyrytym nad nią rysunkiem dzbana, powiadającym zgodnie z prawdą: „monety w dzbanie”, ale zaopatrzoną obok w ostrzeżenie: „niebezpieczeństwo!”, w postaci *signum* nieco podobnego do cyfry cztery, oznaczającego także planetę Jowisz. Powyżej widniał szkaradny smoczy, czy raczej ptasi rozwarty dziób z wychodzącym zeń nie strumieniem ognia, jak można by się spodziewać, lecz obłokiem jakby pary, spowijającej wyryty dzban. Oto był prawy bazyliżek i zarazem *draco* z zagadki mistrza Twardowskiego!

Nie wątpiłem też, że znalazłem to, co zostało z zaginionej pani Twardowskiej, a poświeciwszy nieco w bok, wypatrzyłem szczątki drugiej zguby – koguta, który uciekł kucharce. Nie wiedziałem, kto lub co ich zabiło, lecz wyglądało na to, że w samej rzeczy „*draco* swem in lochu *custodia* sprawuje tchem”. Nadeszła zatem pora posłużyć się lustrem, wedle ostatniej wskazówki mistrza, którego rebus miałem wyryty w pamięci. Przesypałem więc złoto z dzbana do sakwy i cofnąłem się pod *signum* „dziewięciu kroków”. Wyjąłem zwierciadło i postawiłem na wprost ściany, choć wcale nie musiałem tego robić, gdyż już wcześniej domyśliłem się, o co szło. O to mianowicie, że odbity w lustrze znak „dziewięciu kroków” był teraz zwrócony w prawo, a nie w lewo.

Zanim tam poszedłem, znów wymieniłem świecę w latarce, po czym zmusiłem się, by przestąpić ciało nieboszczki w celu ustawienia zwierciadła we wnęce, jak na zawołanie znajdującej się na odpowiedniej wysokości, więc nie musiałem wieszać go na puginale wbitym w spoinę w murze, jak pierwotnie zamierzałem. Ulokowawszy lustro, wróciłem, odliczyłem kolejne dziewięć kroków i stanąłem dokładnie przy palenisku, nad którym zwieszał się smoczy ogon zakończony strzałką zwróconą w dół. Nie znalazłszy żadnego innego znaku, zgarnąłem popiół z kamiennej płyty tworzącej nalepę paleniska, po czym sztyletem oskrobałem ją z brudu i sadzy. I wtedy pokazały się wykute na powierzchni kamienia dwa znaki, jeden w kształcie ślimaka albo labiryntu, drugi dwóch rulonów. Pierwszy znaczył: „kamień filozoficzny”, drugi: „dokumenty”. Pociągnąłem ku sobie płytę, która nadspodziewanie łatwo wysunęła się z muru, i oto miałem przed sobą wgłębienie. Ponieważ nie było tu znaków ostrzegawczych, zanurzyłem rękę i wydobyłem dwuuszny dzban z wąską szyjką i zalakowanym otworem. *Diota* skrywająca skarb mistrza Twardowskiego! Na wszelki wypadek nie odpieczętowałem amfory, jeno ostrożnie umieściłem ją w sakwie. Teraz już pozostało tylko jedno pytanie – czy uda mi się ujść z życiem z tych lochów, by cieszyć się palmą zwycięstwa?

Odpowiedź przyszła niemal natychmiast. Ledwo uświadomiłem sobie, że czuję powiew, jakby ktoś nie zamknął za sobą drzwi znajdujących się kilka piwnic stąd, a już z daleka posłyszałem głos:

– Czyś znalazł to, zmyślny młodzieńcze?

Kettler! Gdy ozwał się po raz wtóry, był już znacznie bliżej.

– Odezwij się! Wiem, że tam jesteś, a ty wiesz, że ja wiem.

Nadal nie odpowiadałem. Zasłoniłem tylko latarkę.

– Naszedłeś już jejmość Twardowską? – ciągnął zabójca. – Nie dasz wiary, lecz nawet jej nie tknąłem. Gdy wszedł wówczas za nią, konała już w mękach. Wziąłem nogi za pas i wtedy wpadłem na tamtą głupią babę, która pewnie rozgłasza teraz niestworzone ambaje... Do kaduka! Nie tylko niczego nie dostał, ale i sakiewkę wówczas postradał... Jak pech, to pech. Słuchasz mnie?

Wciąż milczałem, siedząc jak mysz pod miotłą i po cichu odwodząc kurki pistoletów.

– Nic do ciebie nie mam. Przeciwnie, odkąd cię lepiej poznałem, żywię dla ciebie rewerencję, wierzaj mi. Oddasz mi jeno to, coś znalazł, a rozejdziemy się w zgodzie.

Tak jak w grocie, chciałem odrzec, lecz ugryzłem się w język. Nie mogłem dopuścić, by zlokalizował mnie po głosie. Był niebezpieczny jak lewart i miał wystarczającą przewagę doświadczenia, by mu jeszcze przydawać atutów. Nie po to obmyśliłem chytrą pułapkę, by teraz z powodu chępliwości wszystko postradać. Puszyć się będę jutro. Jeśli dożyję. Był tuż obok, w sąsiednim lochu. Czuję to, choć nic nie słyszałem. Naprawdę poruszał się bezszelestnie jak kot. Nie błysnął żaden płomyk. Widać zasłonił swoją latarnię jak ja. Wiedziałem, że będę miał tylko moment. Wstrzymałem oddech i rzuciłem kamyk pod przeciwległą ścianę. Widziałem kiedyś w ogrodzie zmię atakującą mysz. Kettler był jeszcze szybszy. W jednej chwili odsłonił latarkę w wyciągniętej lewej ręce i z pistoletu w drugiej wystrzelił... do mego odbicia w lustrze! Mój sposób na bazyliszka okazał się skuteczny, acz... Huk pękającego szkła jeszcze brzmiał mi w uszach, gdy składał się do strzału, kiedy bielak błyskawicznie obrócił się na pięcie i zdążył wypalić do mnie z drugiej lufy, nim ja strzeliłem do niego. Gdybym tego nie widział na własne oczy, nie uwierzyłbym.

– Nieee! – rozległ się krzyk i coś czarnego rzuciło się między nas.

Oddałem strzał, dziwiąc się, że nie czuję uderzenia pocisku. Kettler wypuścił broń i złapał się za ramię. Uniosłem do oka drugi pistolet i wypaliłem mu w sam środek piersi. Uderzenie kuli cisnęło go pod ścianę, na szczątki lustra. Osunął się po murze i zaległ nieruchomo. Dopiero teraz dotarło do mnie, że żyję, choć nie powinienem. Podniosłem latarkę i ujrzałem leżącą u mych stóp zwiniętą w kłębek postać. Obróciłem ją twarzą do góry i nie zdołałem powstrzymać okrzyku przerażenia:

– O Boże! Janek!

Jeszcze bardziej przeraziło mnie, gdy wyczuwszy lepką wilgoć, podniósł dłoń do twarzy. Rękę miałem całkiem zakrwawioną! Nieszczęśnik przyjął na siebie kulę dla mnie przeznaczoną.

– Szalony chłopcze... – szepnąłem, zdając sobie sprawę, ile odwagi musiało go kosztować zstąpienie do lochów w ślad za bezlitosnym zabójcą.

Porwałem dzieciaka na ręce i ile sił w nogach pogałem do wyjścia. Potem nie byłem w stanie wytłumaczyć, jakim cudem udało mi się wydostać z lochu, omijając wszystkie pułapki – z dodatkowym ciężarem, prawie po omacku, bo pot zalewał mi oczy, ręce mdlały z wysiłku, a latarka zgasła w połowie drogi. Gdy wypadłem na dziedziniec, niemal świtało. Nie troszcząc się o zawarcie za sobą bramy, pobiegłem przez puste jeszcze ulice, kopniakiem otwierając drzwi do naszej gospody.

– Grzej wodę! – krzyknąłem, gdy pojawiła się przerażona Magda.

Pobiegła wykonać polecenie, podnosząc raban, więc po chwili cała służba była na nogach, a hnet cały dom. Z góry zeszła także ciotka. Wystarczył jej jeden rzut oka.

– Zanieś go do mej izby i połóż na stole – poleciła.

Uczyniłem tak. Umyłem ręce, namoczyłem czyste gałgany, po czym rozciąłem skrwawione gieżło... i zaniemówiłem. Nie sposób było się pomylić, nawet w przypadku jeszcze dziecięcia.

– Przebóg! To dziewczka! – potoczyłem osłupiałym wzrokiem po obecnych, a zgromadziła się tu chyba cała czeladź, przykuśtykał nawet wciąż osłabiony Nizioł oraz rozbudzony hałasem, trący zaspane oczy Sęp. – To dziewczka! – powtórzyłem radośnie, bo dotarło do mnie, że afekt, który żywiłem do Janka i przed którym tak rozpaczliwie się broniłem, z sodomią nie ma nic wspólnego.

Nagle pojąłem, że tylko dla nas trzech, mężczyzn, stanowiło to niespodziankę.

– Groziła, że nas pozabija, jeśli ci powiemy – oznajmiła ciotka. – I nie żartowała.

Dopiero teraz zrozumiałem, czemu wszystkie niewiasty w domu z takim lękiem odnosiły się do Janka... Janki.

– Ocalił...a mnie dziś po raz wtóry. Ta kula była przeznaczona dla mnie – wyjaśniłem.

Wówczas ciotka stanęła na wysokości zadania, jak wiele razy przedtem.

– Tedy jest też moją córką. Rób, co należy, koszta biorę na siebie.

Bez słowa ucałowałem jej dłoń.

– Wyjdźcie – rzekłem do Nizioła i Sępa. – Nic tu po was. Wam też dziękuję – odprawiłem służące. – Sępie, jeśli łaska, pójdź na róg Floriańskiej i Rynku, do domu Sub Aethiopiibus *alias* Pod Murzyny. Ma tam aptekę i mieszkanie nad nią doktor Marcin Siennik, sprowadź go.

Nie mogłem sam operować, a ojciec Roch wyjechał. Mistrz Siennik był jego znajomkiem, cenionym medykiem, niegdyś nadwornym lekarzem króla Augusta, a na dodatek wybornym zielarzem, tłumaczem, rajcą i wydawcą sławnego, pierwszego polskiego herbarza Stefana Falimirza. Na stare lata już nie praktykował, zajmując się prowadzeniem niegdyś swojej apteki, odkupionej niedawno wraz z sąsiednią winiarnią przez włoską rodzinę del Pace, zwaną Delpacymi. Byli oni właścicielami dwóch sąsiadujących kamienic: wspomnianej Pod Etiopy oraz drugiej, do której portal wykonał sam sławny mistrz Jan Michałowicz z Urzędowa, uczeń naszego Słoninki. W aptece przedawano sprowadzane z zamorskich krain rzadkie frukta, stąd godło apteczne na kamienicy – dwaj Negrzy niosący kosz z owocami.

Kiedy wszyscy wyszli, obnażyłem do reszty piersi dziewczyny i obmyłem jej ranę.

– I jak? – spytała ciotka.

– Źle – odparłem. – Płuco chyba nienaruszone, bo nie ma pęcherzyków powietrza, lecz posoki też niewiele. A to oznacza krwotok we wnętrzu.

Przyłożyłem ucho do serca. Biło, ale bardzo słabo. Przytknąłem palce do tętnicy szyjnej. Tętno ledwo wyczuwalne. Nic więcej nie mogłem na razie uczynić. Szczęściem doktor Siennik zjawił się wcale szybko, lubo mnie się zdawało, że czekam całą wieczność. Nie marudząc, chociaż został wyrwany ze snu, o czym świadczyło wystające ze spodni długie nocne giezło, zaraz po zdawkowych powitaniach rażno wziął się do pracy. Dokładnie obejrzał i obwąchał ranę, zmierzył rannej temperaturę, po czym pokręcił smutno głową i odstepił od łoża.

– Wiem, że kształczysz się na medyka, chłopcze, więc nie będę oczów ci mydlił. Nic tu po mnie, jej trzeba księdza.

– *Ergo* nie masz żadnej nadziei? – spytałem z rozpaczą.

– Módlcie się, to nigdy nie zawadzi. Kula tkwi w środku i Bóg jeden wie, jakie poczyniła spustoszenia. Sztuka medyczna jest wobec tego bezradna.

– A teriak, mistrzu?

Teriak była to cudowna driakiew, opisana przez Galena w *Księdze o teriaku* oraz Awicennę w jego *Kanonie medycyny*. Stanowił panaceum na wszelkie dolegliwości i zarazem był odtrutką. Składał się z blisko dziewięćdziesięciu składników, niektórych bardzo rzadkich: korzeni tataraku, rzewienia, kokornaku, czubków pędów ożanki, szanty i dąbrówki żółtokwiatowej, dzikiego majeranku z Krety, dziurawca, ziaren aminku i żebrzycy, *laudanum* otrzymanego z maku ze Smyrny, białego bełdka, żagwi, sadła bobra, glinki z Judei oraz soku z lukrecji zmieszanego z winem Grenache, stanowiących podstawę leku. Teriak miał postać maści nakładanej za pomocą szpatułki. *Pater Roch* nie wierzył w skuteczność tej mikstury, ale teraz była to ostatnia deska ratunku i musiałem z niej skorzystać, bo nic innego mi nie pozostało.

Oko medyka błysnęło.

– Racja, zapomniałem o nim. Macie szczęście, bo moja apteka, bodaj jako jedyna w mieście, ma wszystkie potrzebne do utarcia teriaku ingrediencje, nawet wino Grenache. Ale, młodzieńcze – uniósł w górę palec – wiesz, iż nie należy nadużywać tego specyfiku, albowiem skążesz nieśmiertelną duszę konającej na błąkanie się po świecie; nie zazna nigdy wiecznego spokoju?

– Wiem, mistrzu – właśnie dlatego teriak był medykiem, po który sięgano niezwykle rzadko, najczęściej wówczas, gdy chciano ożywić na krótko umierającego, by zdołał wyznać jakiś ważny sekret.

– No i teriak nie jest tani – dodał.

W sumie, wspołek z wynagrodzeniem medyka, jego wizyta i lek kosztowały mnie sto pięćdziesiąt dukatów, i tak tanio ze względu na konfidencję z ojcem Rochem

i dlatego że lekarz nie przewidywał dalszych interwencji. Dla niego Janka była już martwa, choć z litości nie chciał tego rzec wprost.

– Poradzisz sobie z nałożeniem mikstury? – upewnił się, po czym rzucił na odchodnym: – Jeśli przeżyje dzisiejszą noc, będzie jakaś nadzieja. Poślijcie wtenczas po mnie.

Tymczasem posłałem z nim Sępa, by odniósł mu pieniądze, które ciotka wyłożyła na razie z własnej szkatuły, i odebrał teriak z apteki. Czekając nań, pozwoliłem ciotce obmyć dokładnie całe ciało Jank...i i okryć czystym prześcieradłem, po czym przemyłem ranę gorzałką, nie mogłem się bowiem zdobyć na pewniejsze środki: oblanie jej moczem lub wypalenie żelazem, lękając się, że dziewczka mogłaby nie przeżyć wstrząsu i bólu towarzyszącego temu ostatniemu zabiegowi. Zresztą oba sposoby skutkowały raczej przy ranach powierzchownych lub czystych sztychach na wylot. Kiedy Sęp wrócił z teriakiem, posmarowałem nim ranę i obwiązałem bandażami. Może godzinę później ciotka położyła dłoń na czole cierpiącej i rzekła ze zdziwioną miną:

– Chłodne!

W tej samej chwili ranna otworzyła oczy.

– Gdzie ja jestem? – wyszeptała.

– W domu – odparłem, pochylając się nad nią.

– Żyjesz – ucieszyła się. – A on?

– A on nie. Dzięki tobie. Spisałaś się wybornie, ale nigdy więcej tego nie rób.

– Więc już wiesz... Gniewasz się na mnie?

– Nie – ucisnąłem jej rękę; oddała mi uścisk, który był słaby jak muśnięcie motylim skrzydłem.

– Jestem ranna? Czy umrę?

– Ani się waż – zmusiłem się do uśmiechu, choć chciało mi się płakać. – Jeśli to uczynisz, stłukę cię na kwaśne jabłko za dubeltowe nieposłuszeństwo i za to, żeś wystrychnęła mnie na dudka. Jeno nie imaginuj sobie w zadufaniu, że to wielka sztuka.

– Tedy nie umrę – uśmiechnęła się lekko – ale musisz mi przyobiecać, że spełnisz potem jedno moje życzenie.

– Obiecuję.

– Trzymam cię za słowo – szepnęła, po czym zamknęła oczy i po chwili już spała.

– Ty też się połóż – rzekła ciotka. – Nie wiem, gdzieście byli i coście robili dzisiejszej nocy, ale widzę, że i ty ledwie stoisz. Jak będzie się coś działo, obudzimy cię.

Przyznałem jej słuszność i poszedłem do siebie. Za chwilę służka przyniosła mi śniadanie, które natychmiast pochłonałem, po czym zająłem się swoimi łupami z nocnej wyprawy. Nie chciało mi się liczyć złotych monet, ale było ich na oko ze dwie lub trzy setki, hiszpańskich dublonów i pistoli, wartych ze trzy razy więcej niż

czerwone złote, oraz naszych portugalczyków [3], jeszcze dwakroć cenniejszych. Ucieszyło mnie to, bo moje ekspensa ostatnimi czasy przeważały nad przychodami. A potem, niesłychanie ostrożnie, wstrzymując dech i przy otwartym na oścież oknie, mając w oczach trupa jejmości Twardowskiej powalonej smoczym tchnieniem (bowiem uwierzyłem Kettlerowi, że nie on ją zabił), zerwałem lak i otworzyłem znaleziony w skrytce pod paleniskiem dzban, który miał skrywać dwa skarby. I skrywał, a mnie nic się nie stało, gdym je wydobywał. Były to dwie ołowiane tuleje, zasklepione na obu końcach. Gdym je otworzył, z obu wypadły papiery. Pierwszy był, jak mi się zdało, bowiem nijak nie mogłem się w tym doszukać sensu, formułą na uzyskanie kamienia filozoficznego. Dla alchemików wart pewnie krocie, dla mnie nie przedstawiał żadnej wartości. Drugi papier był podpisanym i opatrzonym datą wyznaniem z rzekomego wywołania ducha królowej Barbary przed obliczem króla Augusta w styczniu tegoż roku. To było to, na co czekali moi przyjaciele i co podjąłem się dla nich zdobyć, nie wiedząc, jak straszną cenę przyjdzie mi za to zapłacić.

Zbyt zmęczony, by się porządnie umyć, wrzuciłem tylko pieniądze oraz papiery do skrzynki i padłem na łóżko, usypiając jeszcze w locie. Obudziło mnie szarpanie.

– Ona znów gorączkuje – rzekła ciotka, gdy otworzyłem oczy.

Natychmiast rozbudzony, pognąłem na dół. Za oknami już zmierzchało, więc kazałem służącemu zapalić świece i nanieść dużo, tym razem zimnej, wody, a potem przymocować ranną, jęczącą i miotającą się w gorączce, do stołu szerokimi płóciennymi pasami. Razem z ciotką zmienialiśmy potem co rusz zimne okłady na głowie, piersiach i stopach dziewczyny. Mimo to o północy stan Janki był tak zły, że znów zdecydowałem się na teriak, obmywszy uprzednio ranę, która obrzękła i jadziła się.

– To ostatni raz – rzekłem do ciotki. – Nie lza mi użyć go po trzykroć, bo ją zabije pewniej od postrzału.

Driakiew sprawiła, że gorączka spadła, jednak tym razem cierpiąca nie odzyskała przytomności. Odesłałem ciotkę do łóżka, a sam czuwałem do świtu. Rano Janka wciąż żyła i następne dwa dni zmagiła się ze śmiercią. Na zmianę czuwaliśmy przy niej z ciotką, nie odstępując łoża na krok, zmieniając zimne okłady i wycierając ranę, która nie chciała się goić.

Trzeciego dnia, brudny, cuchnący i nieogolony, wiedziałem już, że nie zwyciężymy w tej potrzebie. Janka umierała. Nie jęczała ani nie rzucała się w malignie. Leżała jak trup, a czy dycha jeszcze, musiałem sprawdzać, przystawiając jej lusterko do ust. Widząc moją minę, ciotka chlipnęła i zabrała się do przełożenia dziewczki na bok, by zmienić przepocone pościel.

– Spójrz, co to? – powiedziała, pokazując palcem.

Na łopatce dziewczęcia ujrzałem guz wielkości orzecha, czarny jak siniak. Gdy go delikatnie dotknąłem, Janka jęknęła i poruszyła się gwałtownie.

– To kula – odrzekłem. – Wędrowała Bóg wie którądy i teraz tkwi pod skórą. Musimy ją dobyć! Wrzątek, mydło, świeże gałgany i moje narzędzia, prędko!

Skóra wokół guza była purpurowa i lśniła jak dojrzała śliwka. Przeżegnałem się i ciętłem głęboko, aż czubek skalpela stuknął o coś twardego. Nie myliłem się, to była kula. Tymczasem z nacięcia trysnął strumień brunatnej i żółtej ropy, cuchnący tak, że omal mnie nie zemdlilo. Po chwili ropę zastąpiła czarna substancja, podobna do zakrzepłej krwi, a na końcu coś włóknistego. Zaczepiłem to nożem i wyciągnąłem. Był to strzęp materii, kawałek giezła Janki, wepchnięty przez pocisk do ciała.

– Masz kulę?

– Jeszcze nie.

Po chwili udało mi się czubkiem lancetu podważyć ołów i wydobyć go z rany. Kula była zdeformowana od uderzenia w kość. Z rany wylało się znów trochę ropy, a potem pojawiła się jasnoczerwona krew. Przemyłem ranę przegotowaną wodą i dla pewności gorzałką, założyłem tampon z gałganka i obwiązałem płótnem całą pierś i płuca. Na szczęście raniona nie odzyskała przytomności podczas tej bolesnej operacji, ale – wciąż żyła.

– Odpocznij – powiedziała ciotka. – Bo sam wyglądasz jak trzy ćwierci do śmierci.

– Nie – pokręciłem głową, patrząc na swoje ubabrane krwią i ropą ręce. – Wpierw muszę się wykapać. Hej tam! – zawołałem przez drzwi. – Nagrzać mi wodę w łaźni, a nuże!

Przez dwa kolejne dni losy dziewczki ważyły się. Gorączka spadała, ale bardzo wolno, rana wciąż się jątrzyła, a chora nadal nie odzyskiwała przytomności. Lecz kolejnego dnia, ledwo wszedłem do izby, powitało mnie rozjaśnione szerokim uśmiechem oblicze ciotki, która siedziała przy łóżu cierpiącej i trzymała ją za wychudzoną rękę.

Gdy pochyliłem się nad Janką i stwierdziłem z radością, że gorączka ustąpiła, dziewczka otworzyła oczy. Zielone jak szmaragdy. Jak nadzieja.

– Żyję – szepnęła cichutko. – Dotrzymałam słowa.

– Cieszę się.

– A miłujesz mnie?

– Jak siostrę – zapewniłem trochę bez przekonania.

– Nie chcę, żebyś mnie miłował jak siostrę.

– A jak?

– Pamiętasz, coś mi przyrzekł, jeśli przeżyję?

– Pamiętam.

– Ożenisz się ze mną?

– Tak.

Tak radośnie grało mi w duszy, że byłem gotów złożyć temu dziecku każdą przysięgę. Choćby chodziło o podpisanie paktu z samym diabłem! Co, stwierdziłem potem, nieco ochłonawszy, być może właśnie uczyniłem.

EPILOG

Z listu Jana Drohojowskiego do przyjaciół:

„Odprawiwszy sejm lubelski, udał się Najjaśniejszy Pan, a z nim razem Wasz sługa unizony i drudzy dworzany, do Knyszyna, przystępując do dalszego załatwiania pilnych spraw gdańskich, szwedzkich, duńskich i moskiewskich, aleć i, o zgrozo, z największą gorliwością oddając się nieprzystojnym amorom. Albowiem baby, wróżychy i magowie, którymi się otacza, ludziom zacnym do siebie przystępu wzbraniając, sprawili, iż JKM uwierzył, że korzeń rozpalony przez starą czarownicę zdolen jest zapłodnić młódkę, zasię astrolodzy przepowiedzieli mu potomstwo z czwartą dopiero żoną, jak się to jego pradziadowi Włodzisławowi II przygodziło.

Dając wiarę niecnotliwym doradcom (o kim mowa, to już wiecie), król jegomość, który, jak rozpowiada poseł rakuski, gotów jest poślubić dziewczkę najpodlejszego stanu, żebraczkę choćby, byleby mu upragnionego syna dała, przykro mi to pisać, tutejszy zameczek, jak wprzód warszewski, w babiniec, a raczej istny zamtuż zmienił, takowe sobie remedium na niepłodność znalazłszy: szukać pośród młodych i zdrowych niewiast, szukać pilnie i bez ustanku owej, co by mu męskiego potomka dała. Pięć kownat na sypialnie obrócono, do każdej wielkie łoże wstawiono, a w nich kurwy pospolite, które JKM swymi „sokolikami” obzywa, na królewskie odwiedziny dniem i nocą trzymane są. Powiadam Wam, druhowie mili – sodoma, gomora i skaranie boże, co to się u nas wyprawuje!

Spośród kochanic królewskich była do niedawna i owa Zuzanna Orłowska, z którą JKM już wprzód lat kilka nierządnie mieszkał, niewiasta *incerti generis*, to jest bękartka jednego kanonika krakowskiego, aleć ostatnio i ona była z troków wypadła; przez pewną jej zdradę i niecnotę wzgardził nią nasz Pan.

Zastąpiła ją królowa wszetecznic, Barbara Giżanka, która JKM całkiem omotała za sprawą owego króla niegodziwców, dwornika do spraw białogłowskich, Jerzego M. i brata jego, niecnotliwego Mikołaja. Ladacznicza ta obwieściła właśnie, jakoby była

brzezienną, czemu nikt nie daje wiary okrom samego Najjaśniejszego Pana, który w głos rozmyśla o rozwodzie z królową, ku zgorszeniu wszystkich rozumnych a prawych ludzi.

Aż strach pomyśleć, co to będzie, gdy rzecz dojdzie do nuncjusza i posła cesarskiego! Jedyna nadzieja w tym, że nasz młody przyjaciel, Kacper Ryx, najdzie wyznanie mistrza Twardowskiego o knowaniach wiadomych niegodziwców i będzie można im kres położyć, nim do ostateczności przyjdzie...”.

Ocknął się w zupełnych ciemnościach i początkowo nie mógł sobie niczego przypomnieć. Dopiero ból w ramieniu i piersiach przywrócił mu pamięć. Jęknął i poruszył się. Dotknął prawą dłońią lewego ramienia i syknął, a pod palcami poczuł lepkość. Na szczęście było to jedynie powierzchowne draśnięcie, które już prawie nie krwawiło. Pomacał kirys i znalazł wgłębienie w okolicy serca oraz rysę odchodzącą aż ku żebróm. Szczeniak chytrze postąpił z tym lustrem i celnie mierzył, pomyślał z uznaniem i bez gniewu. Napierśnik z przedniej stali, który założył z czystej przezorności, uratował mu życie. Jak to było możliwe, że Ryx nie padł po jego strzale i jeszcze sam zdołał doń wypalić z dobrym skutkiem? Tego nie pojmował. Usiadł. Rozwiązawszy rzemienie łączące napierśnik z naplecznikiem, odrzucił kirys na bok. Ruch sprawił mu ból. Westchnął ciężko i zmacał się po żebrach. Co najmniej dwa były złamane, a może tylko pęknięte. Młody musiał mieć pistolet z gwintowaną lufą. Ryx nauczył go paru rzeczy i Kettler cenił go za to, jak dobry rzemieślnik drugiego profesjonalistę. Świat był pełen fuszerów, prawi mistrzowie trafiali się z rzadka.

Zmusił się do wstania. Odnalazł latarkę i zapalił ją. Ryx zniknął, a z nim razem pieniądze i sekrety mistrza Twardowskiego. Kettlerowi zostały jedynie truchła pani Twardowskiej i koguta. Nagle coś błysnęło w ciemności. Pochylił się i wygrzebał dwie złote monety przegapione przez inwestygatora (swoją drogą, cóż za osobliwe zawołanie!). Hiszpańskie dublony, ze cztery razy więcej warte od dukatów! Bez najmniejszego wahania czy obrzydzenia zdjął z nieboszczki złote kolczyki i korale. Dobrze i to, skoro postradał swoją sakiewkę. Cóż, umiał pogodzić się z porażką, choć nieczęsto mu się zdarzała. Odegra się, jak to już nieraz bywało. Musi jeno na jakiś czas zniknąć z oczu Mniszchom, którzy patrzą na ludzi pamiętliwych i mogą mieć długie ręce. Teraz wszak miał ważniejszy problem – musiał wydostać się z podziemi, a nie mógł skorzystać z poprzedniej drogi. Raz dlatego, że w stanie, w jakim się znajdował, nie miał pewności, iż uda mu się uniknąć pułapek zastawionych przez Twardowskiego, a dwa – nie wiedział, czy jest noc, czy już dzień i czy zdążają tu właśnie ludzie przysłani po trupy przez Ryksa.

Lecz którędy ma się stąd wydobyć? Wtem poczuł powiew z wnęki, przed którą rzuciła go kula. Poświecił i stwierdził, że kiedyś musiały tu być drzwi, nim je zamurowano, na szczęście byle jak, stąd brały się dziury w spoinach między cegłami. Zgasił latarkę, by oszczędzać świecę, i za pomocą tylko dotyku, zaczął puginałem wykruszać zmurszałą zaprawę. Najwięcej czasu i wysiłku zabrało mu wydobyć

pierwszej cegły, potem poszło już szparko. Z sąsiedniej piwnicy nie buchnęło stęchlizną, czego się obawiał. Bez wahania zagłębił się w odsłonięty korytarz. Wkrótce musiał pełznąć, a w pewnej chwili gruz zaczął mu się sypać na głowę i cudem uszedł z życiem, gdy tuż za nim zapadł się strop.

W końcu stracił orientację w przestrzeni i czasie. Zasypiał ze zmęczenia i budził się dwa razy, więc przypuszczał, że wędrował lochami dwa lub trzy dni, lecz nie miał pewności, bo doskwierały mu rany i coraz potężniejszy głód. Świeca dawno się wypaliła, więc błąkał się po omacku. Raz natknął się na loch pełen kości i namacał ludzkie czaszki. W jakiejś na wpół przysypanej piwnicy znalazł beczki z zepsutą kiszoną kapustą. Obżarł się nią, a potem cierpiał niewysłowione katusze, ale dominujące uczucie głodu na chwilę przygaśło. W pewnym momencie oślepiło go dzienne światło, wpadające przez okratowane okna wysoko w górze, więc zaraz cofnął się w głąb lochu. Mógłby krzyczeć, ale co by mu to dało? Jak wytłumaczyłby swą obecność w piwnicach? Pachołki miejskie pewnie już go szukały.

Na trzeci (a może piąty?) dzień znalazł antałek z winem tak starym, że przybrało postać galarety. Zagarniał ją garścią i pochłaniał łapczywie, nim go powaliła na ziemię. Gdy ocknął się z pijackiego snu, wciąż szumiało mu w głowie. Ale przynajmniej zapomniał o głodzie. Już miał się poddać, całkiem opadłszy z sił, gdy wtem wszedł do obszernego lochu, pełnego oberwańców. Na jego widok podniósł się opętańczy wrzask, po czym wszyscy zerwali się do ucieczki. Ponieważ wciąż krzyczeli, kierując się słuchem, ruszył za nimi chwiejnym krokiem.

Nagle zorientował się, że jest w pomieszczeniu innym niż dotychczasowe. Nie wiedział, skąd to wrażenie, dopóki nie wciągnął w nozdrza dziwnego zapachu. Znał ten fetor. Tak woniała śmierć. Wpierw myślał, że znalazł się w kaplicy cmentarnej, lecz przez uchylone żelazne drzwi wpadło nieco księżycowej poświaty i pojał, że to grobowiec. Gdyby lepiej znał Kraków, wiedziałby, że jest na cmentarzu Mariackim, w zbiorowym grobie służącym do przechowywania zwłok w zimie. Kiedy jednak pchnął drzwi i w księżycowym blasku ujrzał nad sobą nierówne wieże Mariackiej fary, domyślił się, dokąd wyprowadziły go podziemne korytarze.

Odetchnął pełną piersią, pierwszy raz od Bóg wie kiedy, i to było jedyne przyjemne doznanie, bo widok, który miał przed sobą, nie napawał radością. Otaczało go czterech ludzi, którzy nawet w biały dzień wzbudzaliby przerażenie każdego z wyjątkiem takich jak Kettler. Wszyscy byli uzbrojeni po zęby, lecz mieli pecha – stanęli Kettlerowi na drodze do wolności i trafili na jego najpaskudniejszy humor. Choć kontuzjowany i osłabiony z głodu, za pomocą rapiera i lewaka rozprawił się z nimi w mig. Drogę do bramy zagroziła mu jednak żywa ściana.

– Cóż – rzekł zrezygnowany – wam też postaram się wygodzić. Lecz nie wińcie mnie, gdyby mi się nie powiodło. Mam złe dni.

– Może nie będzie to konieczne? – z szeregu zbrojnych hultai wystąpił kaleka. – Jestem Garbus, zwany Ślepcem. Jeśli chcesz żyć, odrzuć oręż.

– Jak na Ślepcę masz dobry wzrok, i to w nocy. Powinszować.

Król Żebraków zignorował tę uwagę.

– Widziałem cię przy robocie. Dobry jesteś. Przystąp do nas. Tyś biały, ja garbaty. Dwaj odmieńcy. Pasujemy do siebie.

Kettler nie zastanawiał się długo.

– Jeśli jadasz tak dobrze, jak widzisz, i zaprosisz mnie do swego stołu, tedy zgoda.

Erazm Czeczotka *alias* Tłokiński płał się w wielkiej wannie w osobnej izbie swojej łaźni. Wielki i tłusty, unosił się w ciepłej wodzie niby hipopotam. Dwie zupełnie nagie dziewczyny krzątały się przy nim. Brunetka masowała mu obwisłe niczym u starej kobiety piersi, ruda majstrowała przy przyrodzeniu. Z krzywym uśmiechem wziął w łapę pierś brunetki i ścisnął mocno, aż krzyknęła, a z jej oczu trysnęły łzy.

– Dość – rzekł do rudej i otwartą dłonią plasnął w jej wypięty pośladek, aż podskoczyła z bólu. – Wytrzyjcie mnie.

Wspierając się na nich, zdołał z trudem wyleźć z balii.

– Siekiera! – wrzasnął w kierunku drzwi, gdy dziewczęta masowały go winiuchami i winnikami. – Gdzie ta ladacznica Katarzyna?

– Właśnie przyszła, wasza miłość! Z jakąś drugą! – odkrzyknął fagas zza drzwi.

– To dawaj ją sam! A wy, wynocha! – warknął do służących, które narzuciły kuse szaty i wybiegły z izby, w drzwiach mijając się z rudawą blondynką.

– Przywiodłaś ją? – spytał burmistrz, uwalając się wygodnie na drewnianym podeście grubo wyścielonym białym płótnem.

– Tak, wasza miłość.

– Jeśli nie sprawi się tak, jak przyobiecałaś, wiesz, co cię czeka? – rzekł do dziewczyny z pogróżką w głosie. – Oddam cię Praszce, a on już się tobą zajmie po swojemu. Nie myśl, żeśmy ci zapomnieli twoją zdradę. Na wybaczenie musisz sobie zapracować.

– Wiem, wasza miłość.

– To dobrze. A teraz przyprowadź to cudo i powiedz Siekierze, że pod żadnym pozorem nie wolno mi przeszkadzać. Ale bądźcie pod ręką. Oboje.

– Powiem, wasza miłość. Będziemy, wasza miłość.

Wyszła, a po chwili w izbie łaźiebnej zjawiała się niewiasta w zwiewnych, otulających ją całkowicie szatach, z woalem na twarzy.

– Przybliź się – powiedział Czeczotka głosem ochrypłym z podniecenia i kiwnął paluchem grubym jak kiełbasa.

Kobieta wykonała polecenie. Szła wolno i w taki sposób, że Tłokińskiemu zaparło dech. W jego mózgu zapaliło się jakieś światełko. W miarę jak niewiasta podchodziła bliżej, szczęka opadała mu niżej, a ślepia robiły się coraz większe. Wyciągnął rękę, lecz dziewczka zatrzymała się poza jego zasięgiem i wyuzdanym gestem poruszyła biodrami, po czym wysunęła nogę i odchyliła szatę. Sapnął i poczerwieniały jak burak, z oczyma niemal wychodzącymi z orbit, jak osłupiały

wpatrywał się w czarne znamię na wewnętrznej stronie jej prawego uda.

– P-p-pokaż l-l-lico! – wycharczał, łapiąc się za gardło.

Podeszła bliżej i odczekawszy chwilę, nagle, dramatycznym gestem, ściągnęła zasłonę z twarzy. Zerwał się na równe nogi, aż spadło zeń okrycie, i wyciągnawszy rękę, śmiertelnie przerażonym wzrokiem wpatrywał się w błękitne jak bławatki źrenice i anielskie oblicze okolone złotą aureolą puszystych blond loków. Krzyknął przeraźliwie:

– Dorota!

Zachwiał się i padł na twarz, ledwo zdążyła się odsunąć.

Uklękła przy nim, z wielkim trudem przewróciła bezwładne cielsko na plecy i wyjąwszy z włosów długą szpilę, już miała wbić ją leżącemu w oko („jeśli będzie trzeba, wbij ją w oko lub ucho – przypomniła sobie instrukcję – to najpewniejsze, a nadto niemal nie ostawia śladów”), lecz spojrzawszy w na wpół martwe oczy tłuściocha i dziwnie obwisłą połowę oblicza, westchnęła jakby z ulgą i opuściła uzbrojoną dłoń.

– Co tu się dzieje?! – usłyszawszy krzyk swego pana, wpadł do izby Siekiera, z trudem odrywając się od obmacywania dziewczki nazwanej przez Czeczotkę Katarzyną.

– Zabiłaś go, kurwo! – ryknął, ujrawszy leżącego bez życia pryncypała, i podskoczył ku dziewczynie, lecz i on znieruchomiał na widok jej odsłoniętej twarzy.

Wykorzystała to Katarzyna, która bezszelestnie wśliznęła się za nim, porwała wielką drewnianą chochlę służącą do nalewania wrzątku i biorąc potężny zamach, walnęła fagasa w kwadratowy czerep. Padł jak ścięty i legł obok swego pana.

– Zawsze chciałam to zrobić – rzekła mściwie, patrząc z satysfakcją na obu, po czym pochwyciła za rękę stojącą wciąż nieruchomo dziewczynę nazwaną przez burmistrza Dorotą: – Musimy już iść.

Opuściły izbę, zamykając za sobą drzwi, i skierowały do wyjścia. Prowadziła Katarzyna, doskonale znająca drogę. Druga dziewczyna postępowała za nią bezwolnie. W pewnej chwili jęknęła i powiedziała:

– Nie poradziłam go zabić. Leżał przede mną nieruchomo, tłusty wieprz gotów do zaszlachtowania, a ja nienawidziłam go z całej duszy i nie mogłam pchnąć...

– W takim razie nie wiem, jak to uczyniłaś, ale na moje oko był zeń trup jak się patrzy – odparła Katarzyna.

Szła tak pewnie i swobodnie, że nikt ze służby ich nie zaczepił, a gdy wreszcie dwóch strażników zastąpiło im drogę, zamiast zwolnić kroku, podbiegła do nich, wołając z przejęciem:

– Nasz pan was potrzebuje! Pospieszajcie!

Nieniekójone wyszły na ulicę. Natychmiast przystąpiło do nich dwóch mężczyzn, młodzieniec w towarzystwie olbrzyma.

– Udało się? Wziął cię za Dorotę? – spytał młodszy.

– Tak. Już znamię na nodze uczyniło na nim piorunujące wrażenie, a potem... – wzdrygnęła się zagadnięta, ściągając z twarzy woal, wycierając nim pokryte grubo

barwiczka lico i odrzucając materię ze wstrętem.

Cała czwórka szybkim krokiem oddaliła się w stronę Rynku, mieszając się z tłumem w chwili, gdy w domu burmistrza podniesiono larum.

Lato było nadzwyczaj upalne. Żacy, jak zawsze między 8 a 21 sierpnia, okupowali niemal wszystkie piwnice w mieście, skąd rozlegały się wrzaski beanów otrząsanych przez starszych kolegów. Co prawda z powodu awantur i pijaństwa otrząsiny były wzbronione od roku 1511, ale nikt się tym zakazem nie przejmował. *Beanus* albowiem oznaczał nie tylko nowicjusza przed przyjęciem do korporacji, ale także nieokrzesanica, grubianina, gamonia. Toteż należało go okrzesać, czesząc grabiami miasto grzebienia albo wielką warząchwią nalać mu *oleum* do głupiego łba przez ucho, albo ociosać rzeźnickim toporem, albo ogładzić na bruśle... Niewyczerpana była pomysłowość dręczycieli. Pamiętałem to doskonale z własnego doświadczenia. I jeszcze należało podjąć dręczących traktamentem, na szczęście za nie więcej niż pół florena, co regulowały prawo i obyczaj. Ale trud i koszt opłacały się, bo kto przebył otrząsiny, należał odtąd do studenckiej braci na dobre i złe. A nazwanie kogo *beanus* było obelgą równą *fur* albo *filius meretricis*. Do dziś na uniwersytecie opowiadano facecję, jak to przed osiemdziesięciu laty magister Melchior krzyknął do scholara: „Ty beanie!”, a ów mu odpalił: „Sameś bean!”, po czym wzięli się za łby.

Kiedy scholarzy zabawiali się po szynkach, jam odbywał *examen* bakałarski i pocilem się jak mysz. Nie ze strachu, raczej z powodu upału, który nawet w grubych murach Collegium dawał się we znaki. *Examen* nie był bowiem trudniejszy niż dwie poprzedzające go dysputacje. Po pomyślnym zakończeniu moi egzaminatorzy udali się do Izby Wspólnej na tradycyjny poczęstunek przeze mnie ufundowany, a ja, nieco markotny, wyszedłem na ulicę. Nikt z przyjaciół ani rodziny nie zechciał być świadkiem mojego wystąpienia, nikt na mnie nie czekał na dziedzińcu, a gdym ich wcześniej uprzedzał, nie wyglądali na zainteresowanych. Pewnie, bakałareat to nie doktorat ani nawet licencjat, niemniej zawsze coś, zwłaszcza uzyskany w tak błyskotliwy sposób...

Wcale nie byłem obrażony. Drugi, łasy na zaszczyty i próżny, pewnie oczekiwałby podziwu i uwagi, lecz nie ja. Mimo to jakoś nie spieszyło mi się do domu. Przez chwilę rozważałem, czy nie wstąpić do winiarni u Fukiera i samotnie nie zakropić krzeczka swego, co mnie żarł. Lecz nawet na to nie miałem ochoty. Powlokłem się do domu. Trochę zdziwiła mnie cisza przed gospodą, zwykle o tej porze tętniącą gwarem. Pchnąłem drzwi. Zamknięte. Co jest, u licha?! Przecież wyraźnie słyszałem szmery w środku. Wyrzucili mnie z domu czy co? Walnąłem pięścią w drzwi.

– Nie widać, że zawarte?! Przyjdź jutro! – rozległ się gruby głos Nizioła, który już całkiem wydobrzał i pałał chęcią dania komuś w zęby.

– To ja, Kacper. Otwieraj, nie wygłupiaj się!

– Bakałarz? – upewnił się.

– Tak. Otwieraj, nim stracę cierpliwość!

Nareszcie zgrzytnęły zasuwę i mogłem wejść do domu. Choć niezupełnie, bo Nizioł wciąż tarasował przejście. Sięgnąwszy przeze mnie, zasunął rygle, po czym porwał mnie w ramiona i niemal zdusił w niedźwiedzim uścisku, aż biret mi spadł, a toga zaczęła pękać na szwach.

– Brawo, Kacper, wierzyłem w ciebie!

– Niech żyje Kacper!

– *Vivat baccalaureus!*

– *Bravo, bravissimo!*

– Kacperku, daj pyska!

– Pijmy zdrowie Kacpra!

– Kacper, twoje zdrowie!

– Napij się z nami!

– Należcie mu!

Byli tu wszyscy. Matuchna, Andrzej i Michał z żonami, Sęp, ojciec Roch, Mateusz Szarski, druhowie ze studiów: Antoś, gruby i zapalczywy Bartek, chudzielec Hieronim i przyszły medyk Foltyn oraz paru drugich, okropnych moczymordów (osobliwym trafem wśród moich przyjaciół nie bywało innych), sąsiedzi i stali bywalcy naszej tawerny oraz cała czeladź: Gruby Staszek, Magda, Kasia-Anusia, niedawno przyjęta kolejna Kachna i podkuchenne... Czyżby mi się przywidziało? Nie! Obok mistrza Górnickiego po jednej ręce siedział mistrz Kochanowski, po drugiej pan Zamojski!

Potem, gdy już spełnił toast, wyściskał się ze wszystkimi i zasiadł przy głównym stole na honorowym miejscu wyznaczonym mi przez ciotkę wedle naszych znakomitych gości, dowiedziałem się, czemu zawdzięczam tę siurpryzę, choć po części sam się już domyśliłem. Oto sejm lubelski, na którym zawarto unię z Litwą, trwający od 10 stycznia, zakończył nareszcie obrady 12 sierpnia i moi możni znajomi zjechali do Krakowa.

– Trwałoby to dłużej, gdyż nie załatwiono wszystkich spraw, które król zamierzał przeprowadzić na tym sejmie, lecz skróciła obrady sprawa ordynaryjna... Brak spyży!
– śmiał się Kochanowski.

– To prawda – wtórował mu Zamojski. – Miasto nie było w stanie utrzymać takiej liczby sejmujących, dworzan królewskich i szlachty, przybyłych do Lublina na czas obrad, *ergo* trza było je skrócić.

– Wszak stała się rzecz wielka – zauważyłem. – Miast Polski i Litwy mamy jedno nieróżne i nierozdzielone ciało.

– To prawda – potwierdził Górnicki. – Acz dopiero wnuki nasze obaczą, czy Wielkiemu Księżtwu, a zwłaszcza Koronie to się na dobre obróci.

– Nie kracz, Łukaszu, jeno kontentuj się chwilą! – stuknął się z nim pucharem Kochanowski. – *Carpe diem!* ^[1] Wypijmy za Rzeczpospolitą Obojga Narodów!

Wszyscyśmy z ochotą spełnili i ten toast.

– I za najjaśniejszego pana! – dodał Zamojski, wzorowy dworzanin.

I przed tym toastem nikt się nie uchylił.

– Myśmy uczynili w Lublinie swoje, ale i tyś nie próżnował – pochwalił mnie Kochanowski.

– A, tam – machnąłem ręką lekceważąco. – Cóż znaczy taki bakalaureat...

– Toteż ja nie o tym – zaśmiał się król poetów. – Jeno o tym, jakieś rozwiązał zagadkę mistrza Twardowskiego i rozprawił się z Kettlerem.

Musiałem jeszcze raz opowiedzieć detalicznie, jak rozwikłałem rebus i jak stoczyłem z zabójcą pojedynek w lochach pod Rynkiem, bo nie wszyscy z przytomnych znali tę historię, a ci, co ją znali, chętnie słuchali po raz kolejny.

– Ta sztuczka z lustrem była zaiste przednia – pochwalił Zamojski.

– Oho, mój Kacperek to radziecka głowa! – wyrzekła swoją kwestię ciotka, przewycięzając onieśmienie spowodowane obecnością tak dostojnych gości, od których ostatnio odwykła. – Ale dobrze, że mi wasza dostojność przypomniał. Kacperku, synku kochany, kiedy odkupisz zwierciadło?

– Jutro, matuchno. Dwakroć większe i piękniejsze niż tamto. Z weneckiego szkła – zapewniłem. – A jeśli o to idzie, to koncept zdałby się psu na buty, gdyby nie poświęcenie Janki...

– No właśnie – wpadł mi w słowo Kochanowski. – A gdzież to dzielne stworzenie, co będąc niewiastą, ma serce prawego męża?

– I które nas tak szpetnie zwiodło – mrugnął do mnie mistrz Łukasz.

– Janusia jeszcze słabuje i nie może wstawać z łoża – rzekła z uczuciem ciotka.

Ofiara Janki zmaszała jej poprzednie przewiny, które ciotka z właściwą sobie dobroduszością puściła w niepamięć, już od miesiąca opiekując się dziewczęciem jak ukochaną rodzoną córką. Janka trafiła jej się w samą porę, by złagodzić ból po stracie Doroty.

– Oddanie Janki takoz nie zdało się na wiele, skoro Kettler przeżył – rzekłem z goryczą.

– Jak to? – zdziwił się Kochanowski i zwrócił do Górnickiego: – Pisałeś, że Kacper zastrzelił bielaka.

– Bom tak mniemał – wtrąciłem. – Ale gdy powiadomieni przeze mnie hutman i pachołki miejskie zeszli do lochów po ciała, naleźli jeno szczątki pani Twardowskiej. Kettlera ocalił kirys, który wdział na się i który leżał pod ścianą, sam bielak zaś zbiegł. Przebił się do sąsiedniej piwnicy i wstąpił do lochów ciągnących się popod Rynkiem. Draby poszły za nim, lecz wnet drogę zastąpiło im gruzowisko z zawalonej piwnicy i zawróciły.

– Tedy jest nadzieja, że jednak nie uszedł z życiem?

– Ale słaba – nie łudziłem się. – Tacy jak on mają twarde żywoty. Albo i dziewięć żywotów, jak koty.

– A mnie ciekawi, kto zabił jejmość Twardowską, jeśli nie Kettler – rzekł

Zamojski, marszcząc czoło. – Chyba że łągał jak pies.

Potrząsnąłem głową.

– Nie łągał. Dużo o tym myślałem i tuszę, że zabił ją smoczy dech.

– Dworujesz sobie z nas? – koso zerknął na mnie Kochanowski.

– Gdzieżbym śmiał! Pamiętacie, waszmościowie, co stało w rebusie mistrza Twardowskiego: „najdziesz tu *charta*, lecz *draco* swem w lochu *custodia* sprawuje tchem”.

– I cóż z tego?

– Panią Twardowską zabił trujący gaz.

– A cóż to u licha? – nie tylko wielki poeta, ale i wszyscy przy naszym stole, nie śmiąc odzywać się w przytomności tak świętego zgromadzenia, gapili się na mnie ze zdumieniem.

– To greckie słówko. Do nauki wprowadził je sławny medyk i alchemik Paracelsus. Oznacza ono ciało lotne, podobne do powietrza, nieprawdaż, ojcze? – zwróciłem się do ojca Rocha, który znacznie lepiej ode mnie znał zarówno pansofię, czyli filozofię Paracelsusa, jak i wymyślony przezeń kierunek w medycynie, jatrochemię.

– Owszem. Nie ma ono własnej postaci ani objętości, a odznacza się dążnością do zajęcia jak największej przestrzeni.

– Dla przykładu, para wodna jest gazem – kontynuowałem. – Moim zdaniem mistrz Twardowski zastawił pułapkę w postaci substancji ukrytej w dzbanie. Kiedy jejmość otworzyła dzban, pod wpływem powietrza substancja wydzieliła z siebie albo wręcz przemieniła się w trujący gaz, coś w rodzaju oparów merkuriusza *alias* żywego srebra. Wiem, że u alchemików takowe sztuczki nie są niczym dziwnym.

– To prawda – potwierdził bibliotekarz. – Widziałem raz jednego, jak mistrz Twardowski uczynił coś podobnego w przytomności najjaśniejszego pana.

– Aha, mości Ryksie – nachylił się do mojego ucha Zamojski, korzystając z zamieszania spowodowanego kolejnym toastem. – Papiery, któreś wyniósł z lochów, dostał już Janek Drohojowski, on uczyni z nich najlepszy użytek. A czarodziejską formułę Łukasz umieścił w librarii, bo dalibóg, nie wiada, co z tym fantem uczynić. Co się zaś tyczy pieniędzy...

Dokumenty wraz z relacją spisaną w pośpiechu na kolanie odesłałem Górnickiemu na Wawel przez Sępa zaraz na drugi dzień po dramatycznych wypadkach, lecz pieniądze zatrzymałem do rozliczenia. Zamierzałem sobie bowiem potracić z tej sumy sto dukatów plus koszty, a były one niemałe (weźmy choćby lustro matuchny albo leczenie Janki). Poza tym postanowiłem, teraz i na dal w takowych przypadkach, że zatrzymam piątą część znaleźnego. Ostatecznie nie nadstawiałem karku dla niczyich pięknych oczu, przynajmniej na razie.

– Pójdźmy na górę zrachować mińce, bo wyznam, zem dotąd nie znalazł czasu, by to uczynić – była to prawda, nie znałem dokładnej wartości znaleźnika.

Chciałem wstać, ale Zamojski położył mi rękę na ramieniu i zmusił do pozostania

na miejscu.

– Nie trzeba. Uznaliśmy spolem, że ile by tego było, zasłużyłeś sobie, by zatrzymać wszystko. Twardowscy już się o to nie upomną. Ani słowa! – widząc, że chcę zaprotestować, dał mi żartobliwą sójkę w bok i zadysponował: – Moi państwo, wypijmy zdrowie tu przytomnego Kacpra Ryksa, najlepszego inwestygatora w całej Rzeczypospolitej Obojga Narodów!

– Najlepszy, bo jedyny – próbowałem zaprotestować, ale mnie zakrzyczano.

Sęp, który miał już dobrze w czubie, tak się rozochocił, że odchylił się z ławy i zgarnął na oba kolana posługujące dziewczki: czarnowłosą Kachnę i białą Anusię (zwaną też Kasią dla niepoznaki).

– Waszmościowie! Oto dwie nimfy, a ja nie poradzę rozstrzygnąć, która mi się więcej widzi! – zawołał. – Hola, moje lube! Miłuję was obie po równo! A na dowód opowiem wam fraszkę, którą zem dla was ułożył:

*Na którą pilniej patrzeć – oczy me nie wiedzą.
Anusia zda mi się być piękniejsza nad Kasię,
Kasia zda się piękniejsza nad Anusię zasię,
Tamta nad tę, a ta też nad tamtę wdzięczniejsza;
I w rozmowie, ja nie wiem, która przyjemniejsza.
To jedno wiem, że obie bez miary miłuję.
Jak to może być? Nie wiem. Ale miłość czuję [2].*

Rozległy się brawa. Zapłonione dziewczki próbowały mu się wyrwać, ale trzymał je krzepko.

– Brawo, Sępie! – rzekłem. – Nareszcie jakieś ludzkie rymy!

– Zaiste wyborny wiersz, mości Szarzyński – pochwalił Sępa sam mistrz Kochanowski, aż mój przyjaciel pokraśniał jak piwonia. – Musimy się za niedługo znów spotkać i...

– Niestety, mistrzu – wtrąciłem, uświadomiwszy sobie, że jest to również uczta pożegnalna. – Mikołaj jutro wraca do siebie na wieś.

– Doprawdy?

– To postanowione – potwierdził Sęp. – Dlatego muszę się dziś upić, bo już nigdy nie będę biesiadować w milszej kompanii!

– Mądre postanowienie – pochwalił wielki poeta. – Zarówno co do upicia się, jak i powrotu w rodzinne pielesze. I ja zamierzam wrócić na ojcowiznę, i to jak najrychlej.

– Jak to, mistrzu – wyjąkałem. – Rzucacie dwór?

– A tak – odparł poważnie i z goryczą. – Mam go już wyżej uszu. Co to za dwór? Król do Krakowa zjechać nie zamieruje, krąży jeno między Warszawą a Knyszynem, otoczony kreaturami. Nic tam po mnie.

– To prawda – wtrącił Zamojski. – Prosto z sejmu król pojechał do Knyszyna.

Pisał nam Drohojowski, że prawie nikomu rozumnemu przystępu do się nie daje, w czarach-marach a rozpuście się pogrążając i o rozwodzie z królową zamyśla...

– Nie! – zawołała ciotka ze zgrozą i aż przytknęła dłoń do ust. – Nie może to być!

Drudzy byli też po równo zgorzeleni i zachwyceni, że oto dane jest im usłyszeć najnowsze plotki dworskie niemal prosto u źródła. Zamojski spostrzegł, że powiedział za dużo, bo szybko podstawił kielich do napełnienia i rzekł:

– Tak, srogie terminy mogą z tego przyjść na Rzeczpospolitą. Ale dość już o tym, napijmy się i mówmy jeno o rzeczach przyjemnych!

Wino sprawiło, iż poweselał, bo wcześniej był nieco markotny. Mistrz Jan szepnął mi na ucho, iż to z powodu rozczarowania, ponieważ nici wyszły z obiecanego mu przez króla wyjazdu do Italii w sprawie sum neapolitańskich; zamiast niego został wysłany bywały kurier Stanisław Kłodziński, Zamojskiemu zaś na otarcie łez powierzono uporządkowanie archiwum skarbu koronnego.

– Skoro tak – rzekł mistrz Górnicki, odstawiając próżne szkło – to chętnie bym się więcej dowiedział o wypadku burmistrza Tłokińskiego. Chodzą słuchy na mieście i na Wawel też dotarły, żeś w tym maczał palce, Kacperku. Prawdali to?

– Eee tam – machnąłem ręką lekceważąco. – Mój udział był znikomy. To sprawka przytomnej tu mej siostry Hedwiżki i Anuli Grzybówny.

Wszystkie oczy spoczęły na Jadwidze i Kasi-Anusi, którą Sęp wciąż trzymał krzepko, choć druga Kasia zdołała się wyrwać i wrócić do pracy. Mimo zachęt dziewczki nie chciały jednak mówić, zawstydzone tak licznym i godnym audytorium. Musiałem więc ja zabrać głos.

– Od dawna Hedwiga molestowała mnie, bym pomógł jej wziąć słuszną pomstę na Czeczotce za śmierć naszej siostry Doroty. Dał za to głowę magister Wolski, ale wina burmistrza była równa, boć on dziewczkę znieprawił i do śmierci przywiódł. Postanowiłem tedy wykorzystać podobieństwo obu sióstr – w tym momencie zgromadzeni jak jeden mąż obrócili oczy na Jadwigę, gapiąc się w nią jak sroka w gnat, aż nie wiedziała, gdzie uciec z oczyma. – Wystarczyło jeno rozjaśnić włosy i podbarwić liczko oraz uczynić znamię w pewnym sekretnym miejscu, by z Jadzi uczynić wykapaną Dorotę. Teraz szło o to, by we właściwej chwili ujrzał ją Czeczotka. Każdy medyk wie bowiem, że osobie z tak czerwoną gębą, jakby cała jucha zaraz miała z niej trysnąć, nie wolno się nadmiernie wzruszać. Anusia, która ongi pracowała w łaźni Czeczotki, zgodziła się wystawić na hazard i wrócić tam, udając skruszoną, po to jeno, by zalecić łasemu na niewiasty Czeczotce dziewczkę ekstraordynaryjną. I kiedy łotr nabrał oskomy, wprowadziła Jadwigę udającą Dorotę tak udatnie, że burmistrz na jej widok, trafiony apopleksją, padł jak rażony piorunem.

Teraz dla odmiany spoglądano z podziwem na Annę, która zносиła to dużo lepiej od Jadwigi.

– Nie żyje?! – zawołał Zamojski.

– Niestety – odparłem z żalem. – Z początku w samej rzeczy tak mniemano, lecz to był zwyczajny w wypadku udaru mózgu paraliz, który ogarnął jedną połowę

ciała i ustąpił po parunastu dniach. Aleć do teraz Czeczotkę muszą nosić do ratusza, bo dobrze chodzić nie poradzi. A ponieważ z pewnością zechce się mścić, zatem Anulę też jutro dla jej dobra wyekspedujemy do rodzinnego domu.

Mała szelma nie wracała z pustymi rękoma. Kosztowała nas ciężki grosz, bo za mniej niż trzysta duków nie chciała wystawiać się na azard, więc my, rodzeństwo Doroty, złożyliśmy się na tę sumę, a po wszystkim ciotka dorzuciła dziewczce jeszcze setkę. Uczynił się z tego niczego sobie posag, a znając jej spryt, byłem o nią dziwnie spokojny.

Nie miałem także zamiaru wspominać o tym, że gdyby Czeczotki nie trafił szlag (czego jednak byłem prawie pewny), Jadwiga miała wrazić mu żelazo. Ale gdy przyszło do tego, nie umiała łotra pchnąć, co zresztą przewidziałem, i dlatego warowaliśmy z Niziołem przed łaźnią, gotowi wtargnąć w razie czego i wybawić obie dziewczki z obieży.

– Co za niewiasty! – pokręcił głową Kochanowski. – Godne pieśni. Mości Jadwigo, to dla ciebie, któraś swym zgoła nie białogłowskim animuszem serce mi skradła. O, żebyś ty wolną była! Za pozwoleniem, panie Michale...

Przepłukał usta winem i zaczął:

*Wróc mi serce, Jadwigo, wróc mi, prze Boga,
A nie bądź przeciwko mnie tak barzo sroga...*

Tu się zaciął z lekka, zapomniawszy wersów, po czym zakończył:

*Przeto uczyn tak dobrze: albo wróc moje,
Albo mi na to miejsce daj serce swoje! [3]*

– A to, Anno, dla ciebie... Chwila, jak to idzie? Już wiem:

*Bo skoro namniej wzrok skłonię ku tobie,
Słowa nie mogę domacać się w sobie;
Język mi zmilknie, płomień się w mię kradnie,
W uszu mi piszczy, noc przed oczy padnie,
Pot przez mię bije, drzę wszytek i bladnę,
Tylko że martwy przed tobą nie padnę [4].*

– Co też, wasza miłość... – chichocząc, udawała skromnisię Anula, także na niby usiłując się wyrwać z uścisku Sępa.

– Mistrzu – rzekłem z powagą. – Dotąd nie miałem śmiałości publicznie wypowiedzieć swych wierszy, ale dziś się poważę:

Najsławniejszy poeto między poetami,

*Ty nigdy nie umrzesz, zawsze jesteś z nami,
Bo zawsze, poglądając na twój wiersz wspaniały,
Musimy się dziwować, że był rozum cały.
By nas kilka tysięcy stanęło z wierszami,
Żaden taki nie będzie, musim przyznać sami [5].*

– Jest jeszcze nieskończony... – sumitowałem się, tym razem naprawdę onieśmielony.

– No, no, sam bym tego lepiej nie ujął – rzekł Sęp z podziwem i wreszcie puścił Anusię, klepiąc ją na pożegnanie w pupę; nie poznawałem go dziś i serce mi się ścisnęło, że tracę go akurat wtedy, gdy szłowieczał i przestał powtarzać w koło Macieju swoje *memento mori*.

– Brawo, Kacprze – klepnął mnie w plecy Górnicki.

– Mój Kacper to radziecka głowa! – wtrąciła dumna jak paw ciotka.

– Masz jeszcze jakąś próbkę swej poezji? Chętnie posłucham, pod warunkiem, że nie będzie o mnie – uśmiechnął się życzliwie mistrz Jan.

– *Pieśń o ślachetnym trunku!* Chcemy pieśni o okowicie! Dawaj sam pieśń o gorzałce! – zaczęli wołać moi druhowie-scholarzy i dalejże tłuc szklanicami w stół.

– Ha, zdrajcy! – zawołałem. – Zamilczcie!

– Ejże, chętnie posłucham – rzekł Kochanowski.

– I ja – dodał Górnicki.

– Ja też – poparł ich Zamojski.

– Kiedy to takie nic, żarcik taki... – próbowałem się wykręcać, ale na próżno; domagali się pieśni zarówno ci, co ją znali, jaki i ci, którzy chcieli ją poznać, uległem więc. – Jasiak, lutnia! – zawołałem, bowiem o ile Głupi Jasiak rozumem nie grzeszył, to grał bosko, zarówno na lutni, jak i na skrzypicach czy drugich instrumentach.

Teraz też nie dał się prosić, gdy go wywołano z czeladnej. Trącił zatem struny lutni, a ci z obecnych, którzy już pieśń znali, a takich była większość, śpiewali razem ze mną:

*Śpiewali przód o winie,
Potym o dobrym piwie,
A my o gorzałce ninie,
Dobrzy ludzie.*

*Bo jej się chwala dzieje,
Tak w domiech, jak w kościele,
Mogę rzec i to śmieie:
Przy ołtarzu...*

– I tak dalej w tymże guście – przerwałem popisy.

- Nie przerywać! – zawołał rozochocony Kochanowski.
- Śpiewajmy! – sekundował mu Górnicki.
- Ale wprzód się napijmy! – zaproponował Zamojski.
- *Ergo bibamus!* [6] – wrzasnął ktoś z drugiego końca stołu.
- Weselmy się!

Wszyscy podchwycili ostatni okrzyk i cała gospoda zadrżała w posadach od chóralnego:

- Weselmy się!

Przypisy

ROZDZIAŁ 1 | KRADZIEŻ

[1] Jan Kochanowski, *Pieśń X*, [w:] tegoż, *Dzieła polskie*, oprac. J. Krzyżanowski, wyd. II, t. I, Warszawa 1953, s. 279.

[2] Tenże, *Do Magdaleny*, tamże, s. 179.

[3] Dziś miejsce to nosi miano "zaułka niewiernego Tomasza".

[4] *Nil est in homine...* (łac.) – nie ma nic w człowieku lepszego od rozumu.

[5] *Ex Helicone...* (łac.) – "Z Helikonu kwiecisty wieniec przynoszę ci, Padniewski, ulubieńcze aonijskich muz i moja ozdobo" (Jan Kochanowski, *Elegia V*, [w:] tegoż, *Dzieła wszystkie*, t. III, Warszawa 1884, s. 104).

[6] Facimiech – rzezimieszek (od fatać, chwatać – chwycić); ponoć nazwa ul. Facimiech Na Kozłówce w Krakowie jest pamiątką po istniejącej kiedyś pod Prokocimiem osadzie, wylęgarni złodziejasków; w zamierzchłych zaś czasach od Zwierzyńca w górę Wisły ciągnął się gęsty las Facimiech lub Chwacimiech, którego pozostałością jest Lasek Wolski.

[7] *Plus ratio...* (łac.) – więcej rozum niż siła; rozum wyższy niż siła.

[8] Stałe ławki pojawiły się w lektoriach dopiero w XVII w.

[9] *Memento mori* (łac.) – pamiętaj o śmierci.

[10] Mikołaj Sęp Szarzyński, *Sonet IV. O wojnie naszej, którą wiziemy z szatanem, światem i ciałem*, [w:] tegoż, *Poezje*, wstęp i oprac. J.S. Gruchała, Kraków 1997, s. 72.

[11] Tamże.

[1] *Tractatus...* (Traktat o dwóch Sarmacjach: Azjatyckiej i Europejskiej) Macieja z Miechowa (Miechowity); wydane w 1517 r. dzieło historyczno-geograficzne, po raz pierwszy opisujące Europę Wschodnią i zamieszkujące ją ludy, m.in. Litwinów, Tatarów czy Turków; książka ta była niesłychanie popularna w całej Europie i doczekała się aż osiemnastu wydań w wielu językach.

[2] *Chronica Polonorum* (Kronika Polaków) Macieja z Miechowa (Miechowity) z 1519 r.; pierwsza drukowana historia Polski.

[3] W owym czasie Rudawa miała zupełnie inny przebieg niż dziś: jako dopływ Rudawka opływała miasto dookoła, wypełniając fosy miejskie, jako Młynówka na przedmieściu Garbary zasilała Młyny Górne i Dolne, a jako szeroko rozlana Nieciecza uchodziła do Wisły mniej więcej na wysokości dzisiejszej ul. Retoryka.

[4] *Opus magicum* (łac.) – *Dzieło czarnoksiężskie*; tytuł księgi podarowanej Zygmuntowi Augustowi przez Twardowskiego, zaginionej w XVII w.

[5] Sumy neapolitańskie – ogromna kwota pożyczona przez Bonę królowi Hiszpanii Filipowi II, którą Zygmunt August i jego następcy nadaremnie próbowali odzyskać.

[6] *Exaudita est...* (łac.) – wysłuchane zostały twe modły.

[7] *Peregrynacja dziadowska*, [w:] *Antologia literatury sowizdrzałskiej XVI–XVII wieku*, oprac. S. Grzeszczuk, wyd. II, Wrocław 1985, s. 404.

[8] *Oppidum Iudaeorum* (łac.) – Miasto Żydowskie, północno-wschodni kwartał podkrakowskiego Kazimierza.

[9] Mikołaj Rej, *Żywot człowieka poczciwego*, oprac. J. Krzyżanowski, Wrocław 1956, s. 369–370.

[10] *Pons Regalis* (łac.) – most Królewski, obecnie ul. Stradom.

ROZDZIAŁ 3 | TRUP

[1] Sancti Spiritus (łac.) – Święty Duch; nazwa szpitala prowadzonego przez duchaków w Krakowie, zburzonego w XIX w. wbrew protestom Jana Matejki.

[2] Dziś Prądnik Biały – północna dzielnica Krakowa (dawniej Promnik Biskupi) oraz rzeka, zwana też Biełuchą.

[3] W Polsce pierwsze sekcje przeprowadzono na początku XVII w.

[4] Odnoga Wisły od południa oblewająca miasto Kazimierz, zwana Nową Wisłą, odkąd w 1571 r. powódź zniosła tamę kierującą główny nurt w północną odnogę, zwaną odtąd Starą Wisłą, która zaczęła się zamulać i w XIX w. została zasypiana (dziś biegną tam ulice Dietla i Starowiślna).

[5] Tur – wymarły już dziki zwierz podobny do ogromnego byka (przodek krowy); ostatnia turzyca padła w 1627 r. w Puszczy Jaktorowskiej na Mazowszu.

[6] Mikołaj Sęp Szarzyński, *Napis na statuę abo na obraz śmierci*, [w:] dz. cyt., s. 68.

ROZDZIAŁ 4 | OSKARŻONY

[1] Ratusz został zburzony w 1820 r., do dzisiaj ocalała jedynie wieża.

[2] *Ubi caritas...* (łac.) – gdzie miłosierdzie i miłość, tam jest Bóg.

[3] *Homo sum...* (łac.) – człowiekiem jestem i nic, co ludzkie, nie jest mi obce.

[1] Mikołaj Rej, *Do tego, co czytał*, [w:] tegoż, *Pisma wierszem pisane*, oprac. J. Krzyżanowski, Wrocław 1954, s. 276.

[2] Jan Kochanowski, [*Haraburda z Wojną*], [w:] tegoż, *Dzieła polskie*, dz. cyt., t. III, s. 256.

[3] Mikołaj Rej, *Krótką rozprawą między trzema osobami, Panem, Wójtem a Plebanem*, [w:] tegoż, *Pisma wierszem pisane*, dz. cyt., s. 47.

[4] Tenże, *Jan Kochanowski*, tamże, s. 244.

[5] Tenże, *Unia z Litwą*, tamże, s. 440–441.

[6] Tamże.

[7] Tenże, *Mikołaj Rej z Nagłowic*, tamże, s. 243–244.

[8] Mikołaj Sęp Szarzyński, *Fraszka*, [w:] dz. cyt., s. 124.

[9] Tenże, *O tymże epigramma abo napis krótki*, tamże, s. 100.

[10] *Nec Hercules...* (łac.) – i Herkules nie sprosta wielu (siła złego na jednego).

[11] *Homo natus...* (łac.) – człowiek zrodzony z niewiasty ma krótkie i bolesne życie (Hi 14, 1–6).

[12] Mikołaj Sęp Szarzyński, *Sonet II. Na one słowa Jopowe...*, [w:] dz. cyt., s. 70.

ROZDZIAŁ 6 | REWIZYTA

[1] Jan Kochanowski, *O łaźnionych*, [w:] tegoż, *Dzieła polskie*, dz. cyt., t. I, s. 236.

[2] Mikołaj Sęp Szarzyński, *Do Kasie*, [w:] dz. cyt., s. 134–135.

[3] *De gustibus...* (łac.) – o upodobania i kolory nie należy się spierać; z gustami się nie dyskutuje.

[4] Mikołaj Rej, *Na łaźnie*, [w:] tegoż, *Pisma wierszem pisane*, dz. cyt., s. 404–405.

[5] Tamże.

[6] Tamże.

[7] *Omnia vincit Amor* (łac.) – miłość zwycięża wszystko (Wergiliusz).

ROZDZIAŁ 7 | INWESTYGACJA

[1] W X w. opuścili Indie, wyruszając na zachód.

[2] Przypuszczalnie z Azji Mniejszej.

[3] *Cyhańska kobyła...* (rus.) – cygańska kobyła trzy dni leży, a dzień bieży (prysłowie ukraińskie).

[4] Kota pociągnąć – dać się wywieść w pole, "zrobić w konia".

[5] *De revolutionibus orbium coelestium libri sex* (*O obrotach ciał niebieskich ksiąg sześcioro*), dzieło Mikołaja Kopernika z 1543 r.

[6] *Audaces fortuna iuvat* (łac.) – śmiałym szczęście sprzyja.

[7] Mikołaj Sęp Szarzyński, *Sonet I. O krótkości i niepewności na świecie żywota człowieka*, [w:] dz. cyt., s. 69.

[8] Do teraz trwają spory, czy pierwsza siedziba polskiej poczty mieściła się na Floriańskiej 14 (gdzie dziś hotel "Pod Różą"), czy pod numerem 7 w Rynku.

[9] *Stet domus haec...* (łac.) – niech dom ten przetrwa w tak odległe lata, dopóki mrówka morza nie wypije, a żółw całego nie obieży świata.

[10] *Te cum habita* (łac.) – niech z tobą mieszka.

ROZDZIAŁ 8 | W DRODZE

[1] Lewartów – dziś Lubartów.

[2] Lampart – dawniej lewart.

[3] *Ante portas S. Nicolae* (łac.) – u bram Św. Mikołaja.

[4] Zniszczony przez Szwedów w połowie XVII w., do dziś widać podwodne ruiny.

[5] *Nullum vinum nisi hungaricum* (łac.) – żadne wino, jak tylko węgierskie (przysłowie z epoki).

ROZDZIAŁ 9 | WYROK

[1] *Obles, obles...* (rom.) – dookoła, dookoła i dookoła! Zostań, bądź zdrowy, żebyś diabła nie miał w sobie! Boże, Boże, zostań w nim...

[2] *Oh, dukh...* (rom.) – ach, bólu w mojej głowie, ojciec Złego. On patrzy teraz. Mnie już wystarczająco męczyłeś, głowę moją męczyłeś, nie zostawaj we mnie...

[3] Mikołaj Rej, *Ratusz Krakowski*, [w:] tegoż, *Pisma wierszem pisane*, dz. cyt., s. 270.

ROZDZIAŁ 10 | KAMIEŃ W WODĘ

[1] Malowany Dwór – nieistniejąca już budowla przy ul. Poselskiej; w 1610 r. Jan Tęczyński podarował go karmelitom bosym na klasztor i kościół św. Michała, w XIX w. Austriacy przerobili klasztor na więzienie, a obecnie stoi tu budynek Muzeum Archeologicznego.

[2] Tetyńka – obecnie Skalki Twardowskiego (Krzemionki Zakrzówskie).

[3] Mikołaj Sęp Szarzyński, *Prośba do Boga. Z Boeciusa*, [w:] dz. cyt., s. 113.

[4] *Ante portam Wislensem* (łac.) – u bramy Wiślnej.

ROZDZIAŁ 12 | OCZEKIWANIE

[1] *Luserat hoc speculo...* (łac.) – bawił tym zwierciadłem Twardowski, wykonując magiczne sztuki, teraz narzędzie zabawy zostało przeznaczone na służbę Bogu.

[2] Jest tam do dziś; wspomniany napis pochodzi z przełomu XVI i XVII w.

[3] Dlaczego tak wolno idziesz na emaus?!

[4] Dyngowanie, dyngus – dyngus w niemczyźnie średniowiecznej oznaczał okup, w Polsce zaś oblewanie niegościnnych gospodarzy wodą przez gromady chłopców, najczęściej żaków, chodzących w Wielkanoc po domach z oracjami i wierszami o Męce Pańskiej lub komicznymi parodiami i składających gospodarzom życzenia w zamian za jajka, wędliny, pieczywo czy ciasta; później połączony ze śmigusem (smaganiem witkami brzozowymi z baziami) w jeden śmigus-dyngus.

[5] *Oh, dukh andral...* (rom.) – och, bólu z oczu, idź do wody, idź z wody.

[6] Łacińskie słowa znaczą kolejno: *arcana* – tajemnice; *turris* – wieża; *aula* – tu: podwórze, dziedziniec; *porta* – brama, wejście; *cura* – tu: baczenie; *secretum* – sekret; *diota* – dwuuszne naczynie, amfora; *figura* – tu: obraz; *mysteria* – nauki tajemne, tajemnice; *charta* – pismo, papier; *draco* – smok; *custodia* – straż, piecza; *palma* – tu: nagroda, zwycięstwo, ale także: dłoń, palma; *speculum* – zwierciadło.

[7] Christophoros – dom na rogu Rynku i ul. Szczepańskiej, w XVII w. połączony z dwiema sąsiednimi kamienicami na ul. Szczepańskiej w okazały pałac Pod Krzysztofory; obecnie siedziba Muzeum Historycznego Miasta Krakowa; figura św. Krzysztofa z 1380 r., zdobiąca niegdyś narożny dom, znajduje się dziś w Muzeum Narodowym.

[8] Kurzy Targ – połączyć Rynku krakowskiego między Sławkowską a Floriańską (dzisiejsza linia A–B), zwana też Kurniczym Rynkiem, gdzie w dni targowe handlowano drobiem.

[9] Kaplica św. Antoniego zwana kaplicą Captivorum (Złoczyńców) mieści się na parterze wyższej wieży Mariackiej, z wejściem na lewo od głównego wejścia do kościoła; wedle Ambrożego Grabowskiego (któremu zawdzięczamy zanotowaną w pierwszej połowie XIX w. legendę o kogucie, kucharce i bazyliisku w piwnicach Pod Krzysztofory) ponad dwieście lat temu na kaplicznym murze był wymalowany portret kucharki z warząchwią w ręku.

ROZDZIAŁ 13 | LOCHY

[1] *Breve regnum erigitur* (łac.) – królestwo powstałe na krótko, średniowieczna pieśń żaków.

[2] *In vino veritas* (łac.) – w winie prawda.

[3] Portugał – największa moneta bita w Polsce na przełomie XVI i XVII w., wzorowana na portugalskich *cruzados*, warta 5–10 dukatów.

EPILOG

[1] *Carpe diem* (łac.) – chwytaj dzień; używaj życia; nie marnuj ani chwili.

[2] Mikołaj Sęp Szarzyński, *Fraszka o Kasi i o Anusi*, [w:] dz. cyt., s. 138.

[3] Jan Kochanowski, *Do Jadwigi*, [w:] tegoż, *Dzieła polskie*, dz. cyt., t. I, s. 180.

[4] Tenże, *Do Anny*, tamże, s. 210.

[5] *Janowi Kochanowskiemu, na jego kompozycje*, [w:] *Antologia...*, dz. cyt., s. 211.

[6] *Ergo bibamus* (łac.) – pijmy więc.

SŁOWNIK

- Ad rem* (łac.) – do rzeczy
Akolita – towarzysz, poplecznik
Albus (łac.) – biały, albinos
Ambaje – bzdury, brednie
Ansa – niechęć, uraza
Ara Patriae (łac.) – Ołtarz Ojczyzny
Arendarz – dzierżawca karczmy
Artium – wydział filozoficzny na uniwersytecie
Atencja – szacunek, uznanie
Autorament cudzoziemski – wojsko najemne, inaczej uzbrojone i zorganizowane niż rodzime
Azard – hazard, ryzyko
- Bakalaureat* – najniższy stopień naukowy
Bandolet – krótka broń palna (ale dłuższa od pistoletu)
Barchannik – wytwórca lekko kosmatych tkanin bawełnianych (barchanu)
Bean – początkujący student
Bedel – woźny szkolny
Bene (wł.) – dobrze
Białoskórnik – wytwórca galanterii skórzanej (z delikatnej skóry)
Biegun – włóczęga
Bisurmanie – muzułmanie
Boćwina (rus.) – burak; żartobliwie o Litwinie
Borg – kredyt
Brona – brama
Bukstaba – litera
Buńczuk – sztandar turecki (ogon koński na drzewcu)
Burk – bruk
- Casus* (łac.) – sprawa, afera
Cavete! (łac.) – strzeż się!
Cavum (łac.) – jaskinia, loch
Cekhauz – arsenał
Ceklarz – pomocnik kata
Celestat (z niem.) – strzelnica
Chorągiewka – szyld
Chowaniec – wychowanek

Chwatać – chwycić, łapać
Ciupas – odsyłanie więźnia pod strażą
Complicare (łac.) – skomplikowane
Corpus delicti (łac.) – dowód rzeczowy świadczący o przestępstwie
Coup de grâce (fr.) – cios łaski, dobitnie z litości
Cyngiel – człowiek od „brudnej” roboty
Cyngla ruszyć – wystrzelić
Czerwony złoty – dukat
Czol – podatek
Čhava (rom.) – chłopcze; *čhavo* – chłopiec
Čhindo Bało (rom.) – Polak; dosł. „obcięte włosy” – tak długowłosi Cyganie określali wysoko podgolonych Polaków
Čhuri (rom.) – nóż
Ćmok – ciemność
Ćwik szpakami karmiony – wyga

Dal – przyszłość
Damast – stal damasceńska
Dank (z niem.) – podziękowanie, wdzięczność
Delacja – donos
Delator – donosiciel, informator
Delia – płaszcz podbity futrem
Delicatum palatum (łac.) – wytworny smak
Despekt – obraza, zniewaga
Dewel (rom.) – Bóg
Dorotka – dawniej jedno z określeń prostytutki (a także celi więziennej)
Drabant – halabardnik
Drajfus (z niem.) – trójnóg
Dubeltowy – podwójny
Dubium (łac.) – wątpliwość
Durus (łac.) – twardy, także: wytrzymały, silny, groźny, niebezpieczny
Dzianet – okazały koń rasy hiszpańskiej, neapolitańskiej lub tureckiej

Ekspensa – wydatki
Ekstraordynaryjny – dodatkowy, nadzwyczajny
Ergo (łac.) – więc, zatem
Error (łac.) – błąd

Fara – kościół parafialny
Farfura (z tur.) – wyroby fajansowe
Fertycznie – zgrabnie
Figojadka – roślina przypołudnik
Filius meretricis (łac.) – syn nierządnicy
Fizyrunek – wizerunek, portret
Floren – złota moneta równa dukatowi i czerwonemu złotemu (zawierała ok. 3,5 g złota), początkowo równa także bitemu w Polsce od 1564 r. srebrnemu talarowi (złoty polski), tzw. półkopkowi (30 gr); z czasem wartość florenów i dukatów wzrosła do dwóch talarów i wynosiła 60 gr

Forkiet – widełki do podpierania lufy muszkietu
Forsa – przemoc, siła, nacisk
Frant – oszust; frantostwo – oszustwo
Frukta – owoce
Fryz – ozdobny pas pod gzymsem
Fur (łac.) – złodziej

Gadźo (rom.) – chłop, obcy, nie-Cygan
Gamratka – prostytutka
Gaudium (łac.) – radość
Gieźło – koszula
Gody – Boże Narodzenie
Goj (z hebr.) – obcy, niewierny, nie-Żyd
Gomółka – bryła sera, także: tafla szkła okiennego
Gustum (łac.) – gust, smak
Gzelce – salcesony

Habere (łac.) – mieć
Hakownica – ciężka rusznica z hakiem do zaczepienia o podłoże na spodzie lufy
Helwecja – Szwajcaria
Herbarz – zielnik
Hewar – lewar
Hiberna – zimowanie
Histrion (z łac.) – aktor
Hnet – wnet
Holofagus (łac.) – całozerca, określenie smoka wawelskiego
Homines (łac.) – ludzie
Homo trium literarum (łac.) – dosł. człowiek trzech liter (por. *fur*), złodziej
Horrendum – rzecz straszna
Hutman ratuszny – dowódca straży miejskiej
Hycel – pomocnik kata

Iglarz – wytwórca igieł
Imionisko – pseudonim
Imponderabilia – rzeczy ważne, lecz trudne do określenia
Indagacja – śledztwo; *indagować* – prowadzić dochodzenie
Indermach (z niem.) – oficyna; największy budynek na zadzi (zob.)
Indygen – tubylec
Instygator – prokurator miejski mianowany przez radę miejską
Inwestygator – badacz, śledczy; od *investigo* (łac.) – śledzić, tropić, badać, poszukiwać

Jagody – policzki
Jakmiarz – prawie
Jelec – poprzeczka między głównią (brzeszczotem) a rękojeścią białej broni
Jurgielt – miesięczne lub roczne wynagrodzenie, żołd
Jurgieltnik – najemnik
Justycjariusz – stróż prawa

Kabaty – cele więzienne w krakowskim ratuszu; *kabat* – dziedzińczyk więzienny tamże
Kabłak – pałak
Kało graj (rom.) – czarny koń
Kaman (tur.) – azjatycki łuk refleksyjny
Karbunkuł – wielki rubin lub granat, także: nabrzmiały wrzód
Karcer – areszt
Karczmiak – kieliszek z grubego szkła
Kartownik – wytwórca kart do gry
Kauzyperda – podrzędny adwokat
Kazić – psuć, niszczyć; *głowa się kazi* – niespełna rozumu
Kichlarskie – piernikarskie
Kir – czerń żałobna
Kleć – przybudówka, szopa
Klejnot – szlachectwo

Klekot – kołatka
Kmotrzyć się – przyjaźnić
Kołpak – wysoka czapka kończąca
Komilton – towarzysz
Konfidencja – zażyłość
Konterfekt – portret, wizerunek
Korab – okręt
Korona – Polska
Kostera – szuler (w grze w kości)
Kownata – komnata
Krotochwila, krotofila – żart, zabawa, także: turniej rycerski
Krzeczek – robak; zakropić krzeczką – zalać robaka
Kufa – wielka beczka
Kułak – pięść
Kutłowski – znajdujący się Na Kotłowym

Lafa (z tur.) – żołd, wynagrodzenie
Lansady – podrygi, podskoki
Larum – alarm, hałas
Lasciwia – rozpusta
La(n)terna magica (łac.) – latarnia czarnoksięska
Laudanum (łac.) – opium
Lege artis (łac.) – zgodnie ze sztuką, prawidłowo
Lesz – skóra
Lewak – sztylet używany do walki z użyciem rapiera
Lewem – bezprawnie
Libijski (liberski) język – żargon przestępczy (głównie żebraczy)
Lico – policzek, też: bezpośredni dowód przestępstwa
Liktor – pachołek miejski
List instancjonalny – list polecający
Litkup – poczęstunek po udanej transakcji
Litteras (łac.) – wykształcenie
Lużny człek – włóczęga

Łaszt – nieco powyżej dwóch ton
Łokieć – miara długości, ok. 50 cm
Łubie – pochwa na łuk
Łyczek, łyk – mieszczanin (lekceważąco)

Machler – szuler, oszust karciany; machlerstwo – oszustwo (w grze w karty)
Macloch – uliczka, zaułek między kramami
Magardo (rom.) – skalany; wyrzutek, infamis
Magister balneatorum (łac.) – łaźiebnik
Maiolica (wł.) – majolika, ozdobne naczynia fajansowe wyrabiane według wzorów arabskich i hiszpańskich na Majorce (stąd nazwa)
Majdan – plac, podwórze
Małpa – prostytutka
Mansjonarz – ksiądz mający utrzymanie i zwolniony z obowiązków z wyjątkiem modłów i odprawiania mszy
Manuś (rom.) – człowiek; w sensie: prawdziwy człowiek – niemal każdy Cygan to *manuś*, zazwyczaj zaś *gadźo* nie zasługuje na to miano
Masztalerz – mający nadzór nad końmi, stajenny
Mea culpa (łac.) – moja wina
Menda – wesz łonowa
Merkuriusz – rtęć

Mietelnictwo – kuglarstwo, sztuczki cyrkowe
Mila polska – ok. 7 km
Mila węgierska – ok. 10 km
Miłośnica – kochanka; miłośnik – kochanek, także: ulubieniec, faworyt
Mińce – monety
Mišto (rom.) – dobrze
Mularz – murarz
Murator – architekt

Nastolka – nastolatka
Nicpotem – nicpoń
Niedziela – także: tydzień
Niepołomny – trudny do przebycia, zwłaszcza do wykarczowania, niezniszczalny, niedający się
zaorać
Niesprosny – kulturalny
Nietrefny – mało śmieszny
Nieżadny – niebrzydki
Niziołek – człowiek niskiego wzrostu
Norymberszczyzna – drobna galanteria użytkowa, zabawki

Oblig – dług, zobowiązanie
Obscoena (łac.) – obsceniczne
Ochędóstwo – porządek, czystość, schludność, także: strój, ozdoba, ubranie
Ochyba; bez ochyby – niechybnie
Okcydent – Zachód
Olstro – pochwa przy siodle na pistolet
Opona – zasłona, kotara
Oprawca – pomocnik kata
Ordynka – szabla tatarska
Ostry – bystry
Otrok – chłopiec, wyrostek

Palba – strzelanina
Palcaty – kije do ćwiczeń szermierczych, obwiązane słomą
Pandemonium – piekło
Paśnik – wytwórca pasów
Pauper (z łac.) – ubogi (student)
Pawęża – duża prostokątna tarcza drewniana służąca podczas bitwy do osłaniania kusznika przez
pawężnika
Pawiment – posadzka
Pax (łac.) – pokój
Piano nobile (wł.) – reprezentacyjne pierwsze piętro w pałacach magnackich
Platea (łac.) – główniejsza ulica
Płuca – plecy
Podsiębicie – sufit
Poema hieroglificzne – wierszowany rebus
Pohańcy – poganie
Pokrzyk – wilcza jagoda, której przypisuje się właściwości mandragory, czyli żeń-szenia
Pokusić – spróbować
Polowacz – kłusownik
Poniedziałkowanie – bumelowanie w pracy po niedzielnym świętowaniu
Postamt (z niem.) – urząd pocztowy
Postronny – obcy, cudzoziemski
Potrzeba – walka, bitwa, wojna
Praemonitus, praemunitus (łac.) – ostrzeżony, uzbrojony

Prawy – prawdziwy
Preceptor – nauczyciel
Prezenta ciała – obdukcja
Prezerwatywa – zabezpieczenie
Pręga – pręgierz
Primas – tu: burmistrz
Prostota – głupota
Proweniencja – pochodzenie
Przecka – granica
Przeczyć – przeczytać
Przenajem – przekupstwo
Przetak – sito
Przeźrzeć – wybaczyć
Przodek – pierwszeństwo
Puginał – sztylet

Raj (rom.) – pan
Rakuski – austriacki
Rakuszanka – Austriaczka
Rapcie – pasy do podwieszania białej broni
Regiment – oddział, także: tron
Rekuza – odmowa dana przez pannę starającemu się o jej rękę
Respekt – być na respekcie: na łasce (dotyczyło ubogich krewnych)
Rewerencja – szacunek, poważanie
Rex (łac.) – król
Rigor mortis (z łac.) – pośmiertne stężenie mięśni
Robieniec – wyrobnik, robotnik, najmita pracujący na akord
Rohatyna – dzida
Roztrucharz – handlarz końmi
Ruski – białoruski lub ukraiński
Rusznica – ciężka strzelba
Rymarz – wytwórca wyrobów z grubej skóry, rzemieni, uprzęży i siodeł
Rząp – zbiornik na wodę

Sajdak, sahadak – kołczan
Salwator (z łac.) – Zbawiciel, wybawca
Sam – tutaj; także polecenie przyjścia
Schola Iaculatoriae (łac.) – Szkoła Strzelecka
Scribere (łac.) – pisać
Sczytać – zliczyć
Servus (łac.) – sługa, niewolnik
Serwitor – sługa królewski
Serwitoriat – przywilej królewski pozwalający wykonywać zawód w mieście z ominięciem przepisów i ograniczeń cechowych, przyznawany jednostkowo serwitorom (sługom królewskim) uprawiającym nową, rzadką i pożyteczną specjalność
Signa (łac.) – znaki; *signum* (łac.) – znak
Siurpryza – niespodzianka
Skażenie – zniszczenie
Sklep – piwnica
Składacz – wierszokleta, podrzędny rymopis
Skoma – ochota, pożądanie; skomę uczynić – wzbudzić pożądanie
Snadnie – łatwo
Snadź – widocznie
Solemnizacja – uczczenie
Spectaculum (łac.) – przedstawienie, widowisko, spektakl

Spektator – widz

Spelunca latronum (łac.) – jaskinia łotrów

Spiculator (łac.) – pomocnik kata

Spyża – żywność, prowiant

Stary król – Zygmunt Stary, zwany tak od momentu koronacji dziesięcioletniego wówczas Zygmunta Augusta.

Stopa – miara długości, ok. 30 cm

Stuba Communis (łac.) – Izba Wspólna

Substytut – zastępca

Sum (łac.) – jestem

Surogat – zastępca

Sych – fałszywe złoto lub srebro

Szarga, szargacz – pomocnik kata

Szelmować – obcinać uszy złodziejom

Szkuta – statek rzeczny, głównie do transportu zboża

Szpalernik – tkacz, wytwórca makat i gobelinów

Szrotarze – woźnice i tragarze rozwożący piwo i wino ze składów miejskich do prywatnych odbiorców; od szrot – cło od importowanych do miasta trunków

Sztuciec – sztucer

Sztych – pchnięcie; ostry koniec białej broni

Szych – zob. sych

Szynkwas – lada w szynku

Śniat – belka

Śpik – senność

Tajstra – talia (kart)

Taksa – ujednolicona opłata

Talar – duża srebrna moneta

Talion – kara wymierzana współnikom, paserom i fałszywym oskarżycielom, równa należnej sprawcy przestępstwa

Tandeta – Wendeta, dziś Mały Rynek

Tasak – długi nóż z szerokim ostrzem

Teriak – cudowny lek, niemal panaceum

Termin – tu: czas nauki rzemiosła; srogie termina – ciężkie czasy

Traktament – poczęstunek

Trefne rzeczenie – celne określenie, trafne słowa; trefny – dowcipny, celny

Tret – chodnik

Turbacja – kłopot

Turris Babylonica (łac.) – wieża Babel

Tuszczański – toskański

Ukować – obmyślić

Usarz – rycerz

Venire (łac.) – przybywać

Votum separatum (łac.) – odrębne zdanie w urzędowej kwestii

Wałarska mowa – żargon przestępczy

Wątpia – wnętrzości

Wciórności! – Niech to diabli!

Wendeta – zob. Tandeta

Wespolek – wspólnie, razem

Wiertel – kwartał miejski; granice wiertelni zbiegały się na środku Rynku, także dzieląc go na ćwiartki

Wilkierz – rozporządzenie rady miejskiej
Winiuch – chusta, ręcznik
Winnik – chwostak (pęk różeg) do masażu
Wiślisko – odcięty od głównego nurtu Zalew Wiślany
Włodzisław II – Władysław II Jagiełło
Włóczkowie – flisacy z podkrakowskiego Zwierzyńca
Woźniki – konie pociągowe
Wspacznica – zator lodowy na rzece
W strych – po brzegi, po wierzchołek
Wycieczka – atak przez zaskoczenie; także: tzw. szyja między bramą a ufortyfikowaną bramką na jej końcu, już za fosą
Wykocypować – wymyślić
Wykrot – drzewo wyrwane z korzeniami przez wicher
Wyżenąć – wygonić, wypędzić, wyrzucić
Wżdy – jednak, przecież

Zadz – tyły kamienicy, podwórze
Założnica – konkubina, metresa
Zamtuz – dom publiczny
Zanęta – przynęta
Zasromany – zawstydzony
Zawołanie – zawód, zajęcie, profesja
Zażrzeć – zazdrościć
Zdrożony – zmęczony
Złoty polski – zob. talar
Zruderowany – zniszczony, zaniedbany, w ruinie
Zwartować – przewertować

Żadne – brzydkie
Życie na dyszlu – włóczęgowskie, stale w ruchu



Spis treści

Karta tytułowa	2
Dedykacja	5
Kraków Kacpra Ryksa	6
Prolog	7
Rozdział 1 KRADZIEŻ	11
Rozdział 2 TROP	33
Rozdział 3 TRUP	62
Rozdział 4 OSKARŻONY	98
Rozdział 5 KAŻŃ	126
Rozdział 6 REWIZYTA	158
Rozdział 7 INWESTYGACJA	183
Rozdział 8 W DRODZE	212
Rozdział 9 WYROK	236
Rozdział 10 KAMIENŃ W WODE	262
Rozdział 11 CYGAN	284
Rozdział 12 OCZEKIWANIE	309
Rozdział 13 LOCHY	329
Epilog	350
Przypisy	364
Słownik	378
Kraków i okolica w czasach Kacpra Ryksa	386
Spis treści	4
Strona redakcyjna	3